

POGROMCA GRZESZNIKÓW



GRZEGORZ
KALINOWSKI

GRZEGORZ
KALINOWSKI

POGROMCĄ
GRZESZNIKÓW



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Ewa Rudnicka*

© by Grzegorz Kalinowski

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2017

ISBN 978-83-287-0755-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2017

Lepiej późno niż wcale

Teresie i Włodkowi

Hineni, hineni

Jestem gotów, Panie

Leonard Cohen, *Jeśli pragniesz mroku*

(You Want It Darker)

Spis treści

PROLOG

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

EPILOG

POSŁOWIE

PROLOG

dzień, w którym wszystko się zaczęło.

Warszawa, piątek 26 maja 1905

To jeden z pierwszych obrazów, jakie zapamiętał: była wiosna, jechali dorożką, może bryczką, a może po prostu zwykłą furą. Nie pamięta, co to dokładnie było, ale na pewno jakiś pojazd zaprzęgnięty w konie. Te dwa gnadosze znał od zawsze, ciekawiły go, budziły w nim fascynację i strach, bo były ogromne i silne. Tym razem jednak to on patrzył na te potężne stworzenia z góry. Wcześniej zdarzało mu się to rzadko, a każda z nielicznych przejażdżek była świętem. Teraz już z pół dnia wlekli się pod górę z mnóstwem gratów, najpierw wiejską drogą, później stromym traktem wzdłuż torów hałaśliwej i dymiącej kolejki. Nigdy przedtem nie widział kolejki i długo nie mógł przestać myśleć o tym, co zobaczył: dymiący jak czajnik czy samowar żelazny stwór ciągnął za sobą wypełnione ludźmi wagony i od czasu do czasu gwizdał przenikliwie.

W końcu z mozołem wspięli się na plac otoczony zielenią. Stały przy nim dwa białe domki z kolumnami i płaskimi dachami.

– Patrz, synku, jesteśmy w Warszawie, będziemy tu mieszkać, ale nie w tym miejscu. To plac Keksholmski, pusto tu, ale zaraz obok mieszka dużo ludzi. My do nich nie pasujemy. Z jednej strony są budy dla biedoty, z drugiej pałace i kamienice dla jaśniepaństwa. Nie jesteśmy najbiedniejsi, ale do bogaczy nam jeszcze dalej – zaśmiał się ojciec, gładząc brodę. Tak, zdaje się, że nosił wtedy brodę. – Będziemy żyć skromnie, ale godnie, lepiej niż biedacy w budach i wygodniej niż na wsi.

Rozejrzał się ciekawie, ale wtedy niespodziewanie stanęli.

– Rogatki mokotowskie, daj pieniąż, Danielu – zwrócił się do ojca woźnica. – Musimy zapłacić za wjazd.

Z białych domków wyszło dwóch jednakowo ubranych ludzi. Byli pewni siebie i mówili tak, że nic z tej ich mowy nie mógł zrozumieć.

– To rosyjscy żandarmi – wyjaśnił szeptem ojciec. – Ruscy i po rusku mówią. Ich jest w mieście najwięcej, po Polakach i Żydach. Są i Niemcy, inni też, ale znacznie mniej.

Niewiele zrozumiał, ale przestało go to interesować, bo ruszyli dalej i zobaczył wielkie kamienne domy.

– A to kamienice, nasza oczywiście będzie skromniejsza, niższa i bez wygód. Tu mieszkają bogacze, co mają wodę i wychodki u siebie na piętrze, i nie chodzą na górę, tylko jeżdżą windą – tłumaczył ojciec, a on słuchał i nie wiedział, o czym mowa, nie był nawet w stanie wyobrazić sobie, jak to wszystko wygląda.

– A to tramwaje konne – dalej wyliczał ojciec, wskazując na wypełnione ludźmi wielkie bryczki. – Tramwaje jadą po szynach, a omnibusy zwyczajnie, po bruku.

Jak to zobaczył, to o mało nie wypadł na ulicę, ale matka trzymała go mocno.

– Jedź przez miasto, Jakubie – zarządził ojciec. – Niech zobaczą, dokąd trafiliśmy.

Woźnica Jakub pokwękał, ale zrobił tak, jak chciał ojciec.

Patrzył i chłonał obrazy, jakich wcześniej nie widział. Do tej pory znał tylko wieś: sama zielenią, pola, łąki i woda. Jedynie majowe słońce było takie samo. Stukot końskich kopyt już nie. Tam na wsi był miękki, przytłumiony, a tu mocny i donośny, tak że przebijał się przez uliczny gwar.

W mieście było jak w ulu, ale odgłosy nie wydały mu się monotonne. Rozmowy, krzyki gazeciarzy,

tramwaje, dorożki... Działo się. Na pierwszy plan wybijały się żelazne podkowy ich koni oraz metalowe obręcze kół. Kopyta miarowo uderzały o bruk, a koła zdawały się go mieć swymi jednostajnymi obrotami, miał wrażenie, że ich zaprzęg nadaje rytm reszcie ulicznych dźwięków. Tego porządku, tej kojącej muzyki nie zakłóciły nawet krzyki i wrzaski. Do uszu dotarła nowa uliczna melodia, groźna, agresywna, niepokojąca.

– Skręcamy w Zgodę – usłyszał głos woźnicy. – Na Szpitalnej coś się dzieje.

Matka objęła go mocniej, ale on szybko wychylił głowę. Bał się, ale ciekawość była silniejsza, przecież to był najbardziej interesujący dzień w życiu trzylatka, ta pierwsza podróż przyniosła mnóstwo najrozmaitszych zdarzeń, sytuacji, kolorów i dźwięków. Nie były w stanie zakłócić jej dochodzące gdzieś z góry krzyki, tupot nóg i podniecone głosy gawiedzi. Toż to cała atrakcja! Nie do końca rozumiał, co mówiły i wołały te setki ludzi, które mijali po drodze, bo nie znał jeszcze za dużo słów po polsku.

– Nie słuchaj synku, nie słuchaj, nie bój się – tuląc, uspokajała go matka.

– Zaraz to minie, zaraz będziemy daleko od tego miejsca, od tych okropieństw – dodał ojciec.

– Niepotrzebnie tędy pojechaliśmy, przecież żandarm na rogatekch mokotowskich mówił, że jest zamęt.

On nie dostrzegał w tym ani krztyny okropieństwa i wręcz wyrывał się, żeby zobaczyć więcej, ale matka trzymała go z całych sił. Wtem z niebieskiego, rozświetconego przez majowe słońce nieba syknął biały puch. Widział to już, pamiętał. To śnieg! Płatki wirowały nad ulicą, były blisko, coraz bliżej, aż poczęły spadać na niego, matkę i ojca. Wtedy zauważył, że to piórka, na pewno zgubiły je przelatujące anioły!

– To pierze! – odezwał się ojciec. – Wywalają przez okna pierzyny i poduszki.

– Boże, co się tam dzieje? – Matka zaniepokoiła się nie na żarty.

– Podobnież to już drugi czy trzeci dzień ten cały pogrom – odpowiedział woźnica. – Tak mówil stójkowy na rogatekch.

– Ale przecież powiadał, że to tylko w północnej dzielnicy! – przypomniał ojciec.

– Przecież, przecież – zachnął się woźnica. – Władza zawsze mówi co innego, niż my widzimy.

Gwar cichł, oddalali się od tumultu, który go tak ciekawił, a którego tak się bali starsi. Mówili po polsku czy po niemiecku? A może mieszałi obie mowy? Nie pamięta, pamięta za to ludzi w skrwawionych ubraniach, jedni gonili drugich, błyskały noże, dopiero to go przeraziło. Nie zdążył przyjrzeć się dokładnie, bo wóz szarpnął gwałtownie, woźnica strzelił batem i krzyknął na konie. Byli już dość daleko od tego straszego miejsca, gdy w uszy wdarł się nowy niezwykły hałas, końskie kopyta, setki końskich kopyt stukwały o bruk. Zobaczył, jak mijają ich w zawrotnym tempie konie i jeźdźcy wywijający szablami.

– Kozacy! – zawołali niemal jednocześnie ojciec i woźnica.

– Kozacy! – jak echo krzyknęli ludzie na ulicy.

Na widok kawalerii zapanowało poruszenie, ludzie kryli się po bramach i przeskakiwali z jednej strony ulicy na drugą. Pod koła ich pojazdu o mało nie wpadł jakiś człowiek, aż konie stanęły dęba.

Woźnica zaklął, ojciec przytrzymał spadający pakunek, a matka krzyknęła ze strachu i mocniej go przytuliła.

O mało nie wpakował się pod chłopski wóz, ależ by to była śmierć! Nie z ręki carskich krwiopijców, nie od kosa bandyty ani też nie od nieszczęśliwego wypadku w pracy, a takie się zdarzały. Rach-ciach i po wszystkim! Przecięta, często tylko skaleczona aorta i było za późno! Ostra jak brzytwa stał czyniła rzeczy nieodwracalne. Podcięcie gardła i wykrwawienie się, śmierć w niemal jednej chwili to co innego, a takie konanie minuta po minucie – inna sprawa. Widział ludzi czekających na pomoc, jak wpatrywali się w drzwi w oczekiwaniu, że może przyjdzie jaki lekarz. W ich oczach była pierw nadzieja, a później już tylko strach lub niepewność wobec tego, co nieuchronne.

Dzisiaj nie było czasu na takie filozofowanie, tak jak i przez ostatnie trzy dni, szło ekspresem, bez litości i bez pardonu. Ruscy nie przeszkadzali, aż wreszcie poszła wiadomość, że się przebudzili, że jadą. Więc

ktoś krzyknął: kończymy! Nie wszyscy skończyli, ale on był zmęczony. Poczł to, gdy ogłoszono, że w koszarach zrobił się ruch i że lada chwila mogą nadjechać żandarmi i kozacy. Gdy pędzili ulicami, on już wracał do domu, tak jak się wraca po ciężkiej robocie. Bo przecież była to ciężka, wyczerpująca robota – bić, ciąć, wyrzucać graty, demolować pokoje. Na początku się tego nie czuje. Nogi same niosą, ręce nie znają wytchnienia, plecy nie bolą. Ale wszystko ma swój kres, a dziś położyli go policjanci i żandarmi. To już koniec, bo ściągnęli wojsko i kozaków. Ale na nich też przyjdzie kiedyś czas.

Otarł ręce z krwi w jakieś prześcieradło, które leżało na ziemi. Zabrał też porzucony surdut, by zakryć swoje ubranie pobrudzone kurewską juchą. Licho wie, co wymyślą carskie. Przecież przez trzy dni udawali, że nic się nie dzieje, a dziś mogą strzelać. Na razie dali do zrozumienia, że koniec zabawy, pojawiły się patrole. A jak im przyjdzie do głowy wyłapywać uczestników? Kto wie, dzisiaj patrzyli, jak bandyterka bierze w łeb, ale to przecież do bandytów im bliżej niż do robotników. Zwłaszcza teraz, w czas rewolucji. Ktoś głądził, że to wszystko prowokacja ochrony. Pieprzenie. Był w tym od początku. A zaczęło się parę miesięcy temu, jeszcze zeszłej jesieni. Tak to się musiało skończyć. Sprawa nabrzmiewała i w końcu spadła jak dojrzałe jabłko.

ROZDZIAŁ I

w którym kończy się pewna epoka i zaczyna nasza historia, a aspirant Kornel Strasburger i przodownik Zygmunt Stolarczyk dostają za karę ciekawe śledztwo.

Warszawa, poniedziałek 26 maja 1930

Szedł Marszałkowską, jego kroki dudniły po opustoszałej ulicy. Im dalej od Dworca Głównego, a bliżej Świętokrzyskiej, tym mniej elegancka stawała się ta reprezentacyjna ulica Warszawy. Pod niższymi numerami, bliżej niedawnego przedmieścia i rogatek, mieszkali najlepsi klienci, a tam gdzie numery rosły, bliżej Ogrodu Saskiego i Murdziela[1], świat stawał się bardziej pospolity. Oczywiście istniały wyspy bogactwa i szyku, ale na odcinku od zbierającego w swym pobliżu wszelki motłoch Dworca Głównego po kończące Marszałkowską Dom Mody Hersego i kamienicę pod numerem 156 większość odchodzących na boki ulic wiodła do świata bez pięknych witryn i wytwornego życia.

Minął Chmielną, a po minucie skręcił w Złotą, by Wielką dojść do Śliskiej, tam gdzie kwartały zabudowano tak gęsto, że oficyny tworzące podwórka zwano studniami. Były one tak ciasne, że ściany domów i oficyn zdawały się stykać dachami na samej górze. Wczoraj było tu gwarno, a dziś jakby po fajrancie. To już nie niedziela, a jeszcze nie poniedziałek. Na przedmieściach słońce już zaczęło nowy ranek, tu w wąwozach ulic i podwórek była jeszcze noc, ale to jej ostatnie minuty. Niedługo się to stanie, zacznie, gdy będzie jeszcze ciemno i cicho, a jak skończy i wyjdzie na ulicę, to będzie gwarny dzień.

Myślał o tym długo, ale nie planował. To był impuls, to, co się miało stać, stawało się, bo gniew przez ostatnie miesiące narastał. Dość tego, nadszedł czas, niezależnie od tego, czy jest chrześcijańska niedziela, czy byłby to żydowski szabas. Poniedziałek też dobry, każdy moment jest dobry, właściwy i ostateczny. Zapalił, zdąży, ma jeszcze parę minetek drogi. Palenie podobno nie na jego zdrowie, ale pies to jebał. Ci, co tak dbają o zdrowie innych, potrafią też być jak pijawki. Tak mu mówiła: zdrowie, szanowny panie, zdrówko! Jedną ręką groziła palcem za papierosy, a drugą zabierała pieniądze. Podła, zakłamana suka. Gniew boży dosięga takie osoby wcześniej czy później. Lepiej wcześniej odczepić taką pijawkę, lepiej załatwić to z miejsca. Jeden alfons powiedział mu kiedyś, że kurwy muszą znać mores! Święta prawda, a poznać ją powinna nawet bladź, która ma się za królową, zwłaszcza taka powinna poczuć mores.

Mijał niewidzialną granicę między chrześcijańskim i żydowskim kwartałem ulic, jego czas już się zbliżał. Zaciągnął się raz jeszcze, rzucił niedopałek i poczuł, że misja zaczyna się na dobre, że jakiś głos wzywa go do wykonania zadania, niełatwego, krwawego, ale potrzebnego i nieuchronnego.

Im wcześniej, tym lepiej. Robiło się jasno, cięć na drugim rogu szurał już miotłą. Szybko skręcił za jego plecami do szeroko otwartej bramy, pchnął drzwi do klatki schodowej, zacisnął w rękę młotek i ruszył w górę. Nagle usłyszał gardłowy wrzask. Co zrobić, udawać, że nie słyszy, cofnąć się, a może po prostu zaczekać na tego krzykacza?

Głos gazeciarza, który próbował upchnąć przechodniom ostatnie numery porannego wydania, sprawił, że drzemiący nad biurkiem Edward Giez się ocknął. Przysnął, cholera jasna, a przecież mógł iść jakiś ważny redaktor albo sam naczelny lub właściciel. Już od godziny siedział w redakcji i popijał lurowatą herbatę, ale nie było to najlepsze antidotum na senność. W głowie szumiało mu po wczorajszym jublu. Pięknie było, ale nie do końca. Spłukał się, choć nie dojechał do mety. Fakt, popił sobie, podjadł, trochę poszczypał w tyłek. Ładna była ta panna Hela, nie ma co. Twarda, jędrniutka pupka i cycuszki jak marzenie. Tam niestety nie dotarł, na marzeniach się skończyło. Panna dała się pomacać po siedzeniu i nic więcej. A szukaj sobie księcia na białym koniu, mało jedna! Ale kutas nie sługa, a portfel nie źródło, a jeśli nawet, to wyschnięte

jak studnia w porzuconej przez karawany oazie na pustyni. Powtórzył raz jeszcze – portfel nie źródło, a jeśli nawet, to wyschnięte jak studnia w porzuconej przez karawany oazie na pustyni.

Potrafił pisać, miał lekkie pióro, ale brakowało mu drygu do dobrych tematów. A bez dobrych tematów nie ma wierszówki, a bez wierszówki nie ma wypchanego portfela i dzwoniących w kieszeniach monet. Pieniążki, kochane pieniążki, one tak pięknie pachną wódeczką, kabaretami i restauracjami, a na koniec kobietami i przygodą. Za grosze, które miał, nie odważył się zażyć żadnej przygody, dobre dziwki były dla niego niedostępne, a na podryw z konsumpcją nie miał co liczyć. Żeby oddać się w ręce panienki, co bierze złoty pięćdziesiąt, trzeba być naprawdę desperatem. A on nie był. Nie był czy jeszcze nie był? Może szkoda, że nie skorzystał? Ulżyłby sobie. Na myśl o tym przeciągnął się, ale po chwili podskoczył. Brrr, brudne, chore, brzydkie...

Chustkowe, wilczyce, tanie dziwki, fuj! Nie ma co dumać, trzeba zasuwać, żeby zarobić na lepszy sort, ale jak? Nie mógł się skupić, no bo kutas nie sługa, żołądek jak kocioł, a głowa jak bomba. Kulturalni państwo z towarzystwa określają ten stan słowami: jestem niedysponowany. O takich jak on, stojących najniżej w redakcyjnej hierarchii, mówią: schlał się wczoraj ten bałwan jak Świnia i ma dzisiaj kaca jak jasna cholera!

Czuł się fatalnie, żadnych pomysłów, żadnej nadziei. Najchętniej wyszedłby z Domu Prasy i walnął w barze Pod Dwójką piwko. Ale jak? Ani floty, ani szans na pożyczkę. Jak masz dług u połowy redakcji, to druga połowa o tym wie i jest kicha, a nie pożyczka. Zwłaszcza że jest stażystą i niewielu daje mu szansę na to, by dociągnął dalej niż do końca czerwca. Nie tak sobie wyobrażał robotę dziennikarza, raczej jak pracę literata: siedzieć za biurkiem, pisać, popijać w kawiarniach. Oczywiście pójść tu i tam, ale nie biegać cały czas po mieście jak kot z pęcherzem. Ten cholerny szef, naczelny, kurdebalans, szybko mu to wybił z głowy.

– Coś pan myślał, że będziesz pan redaktorem? Redaktorem to jestem ja! Kalicki jest redaktorem, Szwarz, Szymański! Pan jesteś reporter, pan masz biegać i wrywać tematy. Na razie zresztą to pan jesteś tylko kandydat na reportera.

Tak go, psia jego mać, podsumował ten cały Dobosz i zrobił to właśnie Pod Dwójką. Redaktor naczelny wparował tam, gdy Giez zrobił sobie przerwę na piwko. Było to drugiego dnia stażu, wtedy jeszcze nie wiedział, że Dobosz tam prawie mieszka. Jak trzeba, to przynoszą mu teksty do stolika, a w najmniej spodziewanych momentach robi naloty w redakcji. Ma jakiś dodatkowy zmysł. Szósty? Siódmy?

Edward zamyślił się, a od myślenia głowa boli, zwłaszcza na kacu. Pies to trącał! Przejechał dłońmi po wybrylantynowanej głowie, w samą porę, bo na blaszany parapet zleciały gołębie, robiąc nieziemski hałas. Szybko objął dłońmi uszy i schował głowę między ramiona. Ufff, poleciały zasrańce. Nic tylko srają i hałasują. A może by tak notatkę o gołębiach? Ludzie nie lubią gołębi, może podpuścić magistrat, żeby je wytruł albo wystrzelał? Nie, chyba już był taki artykulik. A gdyby tak... Nie, meczem zajął się redaktor od sportu. Jakby to przyjeżdżała lwowska Pogoń, to co innego, bo razem z zawodnikami przywlekłoby się paru baciarów i wtedy byłyby jakieś sensacje. Tylko im się chce i tylko z nimi są kłopoty. Teraz nic z tego, Legia grała na wyjeździe z Cracovią, Polonia wybrała się na mecz z Ruchem, a Warszawianka gra dopiero za parę dni. Żadnej Pogoni w Warszawie i po temacie, psia mać. Z końcem czerwca upływa jego okres próbny. Szanse na to, by naczelny usiadł z nim do stołu i zaproponował stałą posadę, topniały jak śnieg w lecie... Głowa leciutko poleciała mu w dół.

Zdrzemnął się. Ile spał? Kwadrans chyba. Co zrobić? Jak z tego wyjść, jak błysnąć? I nagle przyszło olśnienie! Co mówił redaktor Bonifacy Kalicki? Jak nic się nie dzieje, to spójrz w przeszłość! Szukaj jakiej rocznicy, wydarzenia, czegoś do odgrzania! Morderstwo, samobójstwo, wypadek! Kalicki ma łeb, a on robi tak, jak mu kiedyś doradził. Giez podniósł się od biurka i chwiejnym krokiem ruszył do archiwum. Po drodze podszedł jeszcze do kranu i łyknął wody. Lepiej, ale najważniejsze, że dał sobie szansę na jakiś temat. Aż się przeżegnał, choć do kościoła chadzał z rzadka, a modlił się jeszcze rzadziej.

Franciszka Piecuch, żona Kazimierza, dozorczy kamienicy z ulicy Śliskiej, była kobietą religijną i wierzyła, że znak krzyża świętego może odegnać wszelkie zło. Żegnała się często, choć dyskretnie, bo

żyła wśród Żydów i od nich zależała. Robiła znak krzyża za ich plecami, jak nie widzieli, ale w myślach pozwalała sobie na jeszcze więcej. Czasem ich przeklinała, czasem im tylko zazdrościła, ale bywało też, że im błogosławiła. Niemal każdego dnia psioczyła na chasydów, bo jej grali na nerwach: nie lubili kobiet, a najbardziej chrześcijanek. Zazdrościła bogatym, bo to oni mieli kamienice, banki, sklepy i nie wiadomo co jeszcze. Mieli najwięcej i strasznie chytre byli. Większość Żydków miała jednak mniej niż jej rodzina. A Piecuchom wiodło się nie najgorzej, bo byli gojami i mogli pracować w sobotę. I za to właśnie Franciszka Żydków błogosławiła. Niby w niedzielę też nie wolno robić, ale kto by się tym przejmował. A głupie Żydki się przejmowały, szabes to szabes i szlus. Dzięki temu w każdej z żydowskich kamienic, nawet w tych, w których mieszkali sami starozakonni, dozorcami byli goje. Goje, czyli normalne ludzie, chrześcijanie.

Ich kamienica przy Śliskiej należała do Sruła Wolfsdorfa, który kutwił, ale z głodu zdechnąć nie dał. Wiele razy odgrażali się i zaprzysięgali samym sobie, że to się skończy i znajdą lepszą posadę. Ale lepszych nie było, a chamów ze wsi, co chcieli mieszkać w Warszawie i mieć taką robotę jak oni, to pewnie by się ustawiła kolejka jak stąd do placu Grzybowskiego. Więc siedzieli cicho i robili swoje, bo mieli służbówkę i parę groszy. Może ich syn Leszek też zostanie cieciem? Dobrze by było, miałyby święty spokój. Nie istniała chyba gorzej płatna posada, nie było ciecia, który zarabiałby stówkę. Oni dostawali osiemdziesiąt złotych. Niby za mało, ale przecież to jej stary trzymał klucz do bramy, w nocy można było na tym dorobić nawet i dwie dyszki. Więcej mieli z otwierania bramy niż za sprzątanie kamienicy, a były jeszcze inne dodatki. Nie ma co, trzeba chłopaka pokierować tak, żeby sobie pocieciował.

Zresztą on się pierdołami nie zajmował, szkoła, książki i takie tam nie były tak ważne jak pieniądze. Miał piętnaście lat i na razie wprawiał się, pomagał im zwłaszcza w soboty i w te różne żydowskie święta. Wtedy można było dorobić dodatkowo, i to wcale nie najgorzej. *Szabes goj*. Tak mówili i wołali na nich, gdy potrzebowali jakiejś posługi. Czasem chodziło tylko o to, by napalić w piecu. U nich windy nie było, ale w wyższych domach chrześcijanie pociskali guziczki, bo Żydom nawet i tego w święto robić nie wolno.

Jakoś szło żyć z tymi gudłajami, a ci bogatsi dawali zarobić także w inne dni. Na przykład Gołda Ejzenberg z drugiego piętra. Dziwka, a żyła jak jaśnie pani i stać ją było na wiele. Miała suknie, parasolki, dziesiątki par butów i pantofelków i jeździła dorożkami. Była starsza od Piecuchowej, ale wyglądała na młodszą o ładnych parę lat. Tlenione włosy, figurka, stroje i perfumy. Niby nią pogardzano, ale jak przy jakim lokatorze nie było kobity, to łąsił się do niej niczym pies do suki. Jak szedł taki z własną babą, to ledwo głową kiwnął albo jej nie zauważał, ale jak już był sam...

Madame Galu! Witam, kłaniam się, rączki całuję i tak dalej. I ten lekarz Goldberg z pierwszego piętra, i sąsiad z drugiego mecenas Rapaport, a nawet szewc z samej góry Grindberg. Więc Leszka ani starego nie puszczala, sama jej wszystko sprzątała, a jak trza było wbić gwóźdź, to pilnowała swego Kazimierza, żeby jej tam nie przepadł.

To straszny łazik, dziś rano wyszedł z miotłą i gdzieś go wciąło, pewnie się przyssał do butelki, łachudra. Raz na miesiąc się zdarzało, że od samego rana szedł w cug, ale niech tam, oby się do jakiejś baby nie przyssał, a już w szczególności do tej dziwki Ejzenberg. Bo wiadomo: „żadna rodzina nie da ci takiego kina”. A ta dawała przez długie lata, aż w końcu zaczęła prowadzić własny bajzel. Miała go gdzieś przy Siennej czy Żelaznej, cholera ją wie. Mówili, że te lepsze panienki to poza burdelem trzymała i tylko wysyłała do klejenteli dorożkami. Taksówkami nie, bo kutwa była. Może i kutwa, ale kto wie, czy jakby ją przypiliło, to Kazikowi i za darmo by nie dała.

Dlatego Franciszka Piecuch była ostrożna, no bo wiadomo, strzeżonego Pan Bóg strzeże. Madame Gołda miała jeszcze swoich adoratorów. Doktor Stein i adwokat Migdal przychodzili do niej tydzień w tydzień, a oprócz tego jeszcze paru innych eleganckich panów. Wiadomo, po co przychodzili, przecież zmieniała pościel, to wie najlepiej. Byli też i tacy, którzy nie przychodzili dla uciech. Księgowy Rozenblat to co innego, ten wpadał z kajetami, i był też taki wielkolud i jego mniejszy pomagier. Czort wie, po co oni byli, bo przecież nie po to, by pomagać wsiadać do dorożki czy taksówki. Podobno tylko dla niej pracowali. Niby pościel nie kłamie, jednak mówią, że takie jak ona nie potrzebują łózek... Ech, szkoda gadać i grzech

myśleć, sodoma i gomora, skaranie boskie i grzech ciężki, ale robota jest robotą, wysprzątać u tej lampucery trzeba na cacy, bo pieniążków nie będzie. Wzięła wiadro i powlekła się wąską klatką dla służby na górę do tej całej Ejzenberg.

Edward Giez wślizgnął się między półki w ciasnym pomieszczeniu z archiwalnymi numerami i sięgnął do najbliższej. Był zbyt zmęczony, by przepychać się dalej. Rocznik 1929. Zszywki majowe. Znalazł. Ostatni tydzień. Otworzył kartonową okładkę, poślinił palec i przewracał strony. Jest, dwudziesty szósty maja. To przecież niedziela, a więc poprzedni dzień, sobota dwudziesty piąty. Napaść, ale zwykła, bez trupa, wypadek, też, cholera, bez większych ofiar. Pożar! Drobny. Nikt się nie spalił, nawet strat poważnych nie było. Same bzdury! O, na przykład Wszechśłowiański Zjazd Śpiewaczy. Już zrezygnował, ale w skołatanej głowie błysnęła myśl, kolejna instrukcja działania. Jeśli chcesz, durniu, znaleźć coś, co zdarzyło się dwudziestego szóstego maja, to szukaj w gazecie z dwudziestego siódmego! Jak mógł szukać przed, skoro pisze się po!

Był raczej bystry, leniwy, ale bystry... Gdyby choć jedno piwko albo kawka mogły mu rozjaśnić umysł! Trudno, trzeba się wziąć w garść, nie takie kace się przeżywało. Jest, jest dwudziesty siódmy. Poniedziałek. Poniedziałki to kopalnie tematów, w sobotę, niedzielę ludzie popijają i nieszczęście gotowe. Miał rację, trafił. Nawet się nie spodziewał, jak dobrze trafił! ŚMIERĆ ARTYSTY ROLANDA PODCZAS SZALONEJ ESKAPADY AUTOMOBILOWEJ. BODO SPRAWCĄ TRAGICZNEGO WYPADKU POD ŁOWICZEM. Boże, dobry Boże, a jednak jesteś! Przestałeś grzmieć, za to obdarzyłeś mnie łaską.

Jeszcze trochę i by się przeżegnał. Chłonał artykuł, choć wcale nie musiał. Jak każdy, kto robił w sensacji, znał tę historię na pamięć. W nocy z 25 na 26 maja 1929 roku na przedmieściach Łowicza doszło do wypadku na remontowanej drodze. Bodo i jego kolega z teatryku Morskie Oko, trzydziestoletni Witold Konopka znany ze sceny jako Roland, oraz jeszcze trzy osoby, pędzili kabrioletem marki Chevrolet. Chcieli dotrzeć na rano do Poznania, gdzie odbywała się wystawa krajowa. Bodo kupił auto zaledwie dwa tygodnie wcześniej, nie miał doświadczenia. Nie wyrobił się na zakręcie i... Gwiazdor tłumaczył się, że nie wylecieli z zakrętu, lecz zderzyli się ze stertą kamieni. Koniec końców auto zleciało z wysokiego nasypu, Witold Roland zginął, a Bodo i reszta wyszli z wypadku pokiereszowani.

Pikanterii sprawie dodawało to, że pozostałymi pasażerami, oprócz tancerki Zofii Ordyńskiej, byli bracia Marian i Michał Reczkowie, właściciele szkoły samochodowej, która wyszkoliła Bodo na kierowcę. Reczkowie nie tylko nie powstrzymali niedoświadczonego szofera, ale i dopuścili do pijatyki na pokładzie automobilu. Policja, która przyjechała na miejsce wypadku, znalazła flaszki po wódce i koniaku! Bodo zaprzeczał, jakoby pił, za to pijany był podobnie Roland. Kto winien? Bodo, instruktorzy, a może administrator drogi? To jest temat, to jest temat! Przecież nie było jeszcze procesu, a Bodo wciąż jest najjaśniejszą gwiazdą! Miał już tytuł: *On nie powróci już*, tym tangiem żegnano ich, gdy wyruszali po spektaklu spod Morskiego Oka.

Czyż Edzio nie jest genialny? Jest i udowodni to! Kac minął jak ręką odjął. Nadzieja dodała mu heraklejskiej wręcz energii. Znow był młodym obiecującym reporterem Edwardem Gzem. To cholerne nazwisko. Może je zniemczyć, na Gietz? A może jaki pseudonim, na przykład taki amerykański, Ed Gizzy? Gwiazdy tak robią, przecież Bodo to Eugeniusz Bohdan Junod, Mieczysław Fogg to tak naprawdę Fogiel, a nieboszyk Roland nazywał się Konopka! Nieważne, teraz musi zdyskontować to, co stało się rok temu pod Łowiczem na drodze do Korabki Dolnej.

Było tylko jedno ale: Alicja Pohulanka... Ulubienica całej redakcji, a zwłaszcza szefów. I tego bezpośredniego, nad nimi, i tego na samej górze. Wchodziła do redakcji, a stary kłaniał się, rączki całował i mówił to swoje: – Panno Alicjo, wygląda pani niczym gwiazda filmowa... Potem wprowadzał ją za biurko, jakby był konferansjerem w teatrze, i wdychając, kończył: – Każdego dnia boję się, że nam panią ukradną. – Nie ukradną, o nie. Piękna była, to fakt, ale głos miała nijaki, lekko sepleniała i zmiękczała. Więc każdy teatr odpadał, a teraz też i kino, bo zaczęli robić filmy z dźwiękiem. No i nie miała wycucia rytmu. Nie tańczyła, ale za to podobno umiała inne rzeczy. Musiała umieć, to byłby wielki grzech, gdyby nie umiała.

Teraz tylko ona stała na drodze do jego tematu. Alicja Pohulanka miała bowiem monopol na pisanie

o życiu gwiazd, nie mogło być inaczej, wszak była jedną z nich. Dlatego z rzadka pojawiała się w redakcji, jej miejscem były premiery, rauty, salony i, jak mówili złośliwi, także garsoniery. Pewnie, jakby miał garsonierę, toby ją tam zawlókł w try miga! Dzisiaj zbierało się kolegium, więc gwiazda pewnie zstąpi z nieba i przyniesie pakiet propozycji, które naczelny łyknie jak ryba haczyk i bez pomocy jej długich nóg, dobrego biustu i blond włosów. Trzeba jej to oddać, miała dojścia i kontakty. Nic dziwnego, na takich nogach można było wejść na samą górę.

Zwykle wpadała w ostatniej chwili, a często nawet po rozpoczęciu zebrania. Wszyscy siedzieli, a ona spóźniona wpływała do środka, tak by naczelny mógł zatańczyć swój godowy taniec. Ożeż kurwa mać, a jak jej zamarzy się ten temat? Wystarczy, że powie swoim sepleniącym głosikiem: – Ojej, a to nie wiesz, Ed, że ja już nad tym pracuję, prawda panie redaktorze naczelny? Tak może być. Trzeba się zabezpieczyć. Miał energię, był nabuzowany, ruszył więc między półki. A może tak dla pewności poszukać w dawnych rocznikach? Może coś sprzed wojny? Wtedy to były piękne afery i morderstwa! Naczelny powtarza to co i rusz, a i sam Kalicki o tym wspominał. Nie poddawać się, nie poddawać się!

Poniedziałkowa poranna odprawa. Kto to lubi? Chyba tylko tych dwóch palantów, szef i jego przydupas. Jak zwykle, to znaczy od zeszłej jesieni, weszli do sali razem, kierownik Brygady do spraw Ciężkich Zbrodni i równocześnie jeden z zastępców szefa całego stołecznego Urzędu Śledczego oraz jego asystent. Tak było cały czas: pan i jego kundel trzymali się razem, tylko nie mieszkali ze sobą i nie pili wieczorami, ale na służbie od rana do wieczora byli nierozłączną parą. Nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski i aspirant Fryderyk Wolf byli jak sługa i pan, niczym D'Artagnan i Planchet, Don Kichot i Sancho Pansa, jak Robinson Crusoe i Piętaszek. Ze służby na Kresach przywieźli przydomek „Bibliotekarze”, bo podobno zamęczali swoich podwładnych lekturami i „kulturalnymi sposobami spędzania wolnego czasu”. Być może dlatego znaleźli zrozumienie u naczelnika urzędu podinspektora Antoniego Sitkowskiego, dobrego gliny, ale jeszcze lepszego organizatora, owładniętego myślą o założeniu pisma dla funkcjonariuszy, które chciał zatytułować „Przegląd Policyjny”. W tej materii Sitkowski, Słubica-Popielski i Wolf rozumieli się doskonale, żartowano nawet z ich spotkań, że siedzą nad pierwszym numerem swojego „Przeglądu Policyjnego” zamiast jak normalni ludzie pójść na wódkę albo do cyrku. Śmiano się też, że jak już się kiedyś ukaże to całe pismo, to Wawrzyniec Słubica-Popielski i Fryderyk Wolf będą do niego pisać po łacinie, bo obaj mieli hopla na punkcie języka lekarzy, farmaceutów i klech. Nadkomisarz kochał wygłaszać łacińskie sentencje, a Wolf tłumaczył je zebrany.

Nazwisko Wolfa szybko skojarzono z księgarzem i wydawcą Augustem Wolffem, nie trzeba było więc długo czekać, by Słubica-Popielski został Gebethnerem. Wszyscy się dobrze bawili, choć Strasburger zastanawiał się czasem, co by na to powiedział pan August Wolff-jego imiennik z jednym „f” w nazwisku był w tym duecie tylko adiutantem i klakierem. Mówiono o nim Fryc i miał opinię przygłupa i wlizodupca, który całą swą karierę opierał na usługiwaniu przełożonemu. Razem pracowali w Poznaniu, razem także urzędowali w Łucku, a teraz w Warszawie. Ich służba rozwijała się odwrotnie niż tego upierdliwca Denhela. Loluś dostał awans i poleciał na prowincję, oni w końcu się z niej wydostali.

O takie przeniesienie nie było szczególnie trudno. Wielu ceniło sobie gnicie w dupie, czyli nigdzie: mieli spokój, było tanio, a i pozycja lepsza. Do tego sprawy proste jak drut. Proste, chamskie morderstwa, wyrodne matki, bójkki na weselach, kradzieże w miasteczkach i na drogach dokonywane przez znanych wszystkim złodziei. Robota jak w sanatorium, wygodnie i na świeżym powietrzu. Tam strach było służyć jako mundurowy, bo ginęło ich na patrolach więcej niż gdzie indziej, ale za to śledczy pracowali pod znacznie mniejszą presją niż w miastach, a już tacy, którzy nie mieli większych ambicji i nie potrzebowali do życia gwaru wielkiej metropolii, czuli się na prowincji jak ryba w wodzie. Do Warszawy policjanci wcale się nie garnęli, bo robota była ciężka, a ceny wysokie i nie wyrównywał ich nawet dodatek, który był przywilejem funkcjonariuszy pracujących w stolicy, na Śląsku i w Gdyni.

Tych dwóch zjechało jednak do Warszawy. Nic ich nie było w stanie powstrzymać, to znaczy Słubicy-Popielskiego, bo Wolf nie miał nic do powiedzenia. On był w tym duecie jak jo-jo na gumce. Nadkomisarz był ambitny i szedł w górę, ale nie po trupach. Nie był złym facetem, nie rył pod innymi funkcyjnymi

i dobrze traktował podwładnych. Miał ksywkę Bibliotekarz, ale zachowywał się raczej jak belfer. Był psem, choć nie z tej parafii, co trzeba. Strasburger wyobrażał go sobie jako krzyżówkę pieska salonowego z owczarkiem, taki pies jest dobry, by pilnować obejścia i zabawiać państwo, a na pewnych stanowiskach to ważne cechy. Nadkomisarz Słubica-Popielski trafił jednak do roboty, w której trzeba było być psem gończym i buldogiem w jednym. Tymczasem, podobnie jak Lolek Denhel, miał wykształcenie i obycie, ambicje, dobre urodzenie i kumpli, ale brakowało mu charakteru i pasji. Co tam, ważne, że szanował ludzi, w miarę dobrze organizował pracę, a że potrafił irytować, to inna sprawa. Był denerwujący, ale z pewnością nieszkodliwy i niegroźny, więc trzeba było pogodzić się z tymi wszystkimi duperelami, jego przemówieniami i łaciną, przez którą Strasburger nie skończył szkoły w normalnym trybie.

Oto zaczynało się kolejne przedstawienie: pan hrabia Słubica-Popielski i jego szambelan Wolf stanęli przed śledczymi, za chwilę znów ogłoszą jakieś prawdy objawione, mogliby to zrobić w try miga, ale jak mówił współpracownik aspiranta stary śledczy Stolarczyk, ci dwaj z bożej łaski Gebethner i Wolff pieprzyli się z każdym szczegółem jak stara matka z łobuzem. Trudno, co zrobić, nie z takimi sprawami i szefami miało się do czynienia.

Giez nie lubił takiej dłubaniny. Ale musiał chrzanić się ze starymi gazetami, bo to była jego ostatnia deska ratunku. Tkwił w archiwum i tkwić będzie, póki czegoś nie znajdzie. Przewertował rok 1914, czyli ostatni przed Wielką Wojną, a potem kolejne lata. I nic. Nic, co byłoby lepsze od cudzych pomysłów, nic, co by go dziś ratowało. Bodo to temat niepewny, a inne po prostu słabe. Dostanie jakiś ochłap z przydziału i przy okazji dowie się, że nie wykazał się inicjatywą. Jakby mógł, toby opłacał kogoś w Urzędzie Śledczym, ale nie mógł, bo pieniądze się go nie trzymały. Rok 1905... Chyba można go sobie podarować, rewolucja i nic więcej, a polityka nikomu do szczęścia nie jest potrzebna. Ale tonący brzytwy się chwyta, dwudziesty siódmy maja... Krew, przemoc, ciężkie obrażenia i trupy. Niemożliwe, że trafił się taki rarytas! Co to znaczy, co to za sprawa, czemu nikt do tego nie wraca? Zawile to, ale ciekawe. Dobrze jest! Ma dwa tematy, coś wypali, ale zacznie od rocznicy wypadku Bodo.

Nagle gwar dochodzący z sali, w której odbywało się kolegium redakcyjne, ucichł. Cholera, zaczęło się, a szef nie lubi spóźnień! Ruszył biegiem, najszybciej, jak mógł. Za szybko, w pośpiechu zaiwanął o brzeg biurka, aż go skręciło z bólu i jednocześnie ostatecznie otrzeźwiło. Ale za jaką cenę! Kolano puchło, siniak będzie jak się patrzy. Zaklął i pokuśtykał. Wszedł niepewnym krokiem do salki, byli wszyscy: komplet redaktorów, reporterzy, sam naczelny i nawet ona, królowa warszawskich żurnalistek, Alicja Pohulanka.

– O, kogo my widzimy! – zakrzyknął naczelny. – Jaśnie pan reporter Edward Giez przyfrunął tu nam jak na skrzydłach.

Towarzystwo zaśmiało się. Co za fiut, tak się bawić cudzym nazwiskiem, zwłaszcza że sam nazywał się Dobosz, Józef Dobosz, kupa śmiechu! Gdyby nie był naczelnym, toby mu powiedział: niech pan tak nie wali w ten swój bębenek, panie Doboszu! Ale to byłby jego koniec. Zamiast odszczeknąć zrobił głupią minę i zaśmiał się ze wszystkimi.

– Coś pana boli oprócz głowy? Zgaduję, że noga, bo jakoś pan tak niepewnie i kulawo do nas zstąpił, łaskawco.

Znów śmiech. Co za upokorzenie, co za potwarz. Pogrzenie kiedyś tego dziada i nawet nie splunie na jego grób.

– Masz pan dla nas co ciekawego, panie Edwardzie? – Naczelnny Dobosz spojrział na niego znad lekko opuszczonych okularów. Pochylając głowę, zaświecił mu w oczy łysiną.

Miał ochotę odpowiedzieć: tak, ty łysa pało, ale przyjął pozycję na bacność i wyrecytował: – Szanowny panie redaktorze naczelny, proponuję dwa tematy, pierwszy o tym, że przed rokiem była katastrofa samochodowa z udziałem Eugeniusza Bodo, zginął wtedy...

Naczelnny nie dał mu dokończyć.

– Jak tam stoimy z naszymi gwiazdami, panno Alicjo, co tam planuje Królowa Warszawskiego Salonu?

On był Gzem, upierdliwą, podpitą muchą, a Alicja Pohulanka była od niedawna Alicją z Salonu Stolicy

albo Królową Warszawskiego Salonu. Kim będzie jutro? Przegapiła moment, by wziąć sobie jakieś ładne nazwisko, tak jak to robią artyści, ale pewnie niebawem problem się rozwiąże, bo faceci z wypchanymi portfelami lecieli do niej jak pszczoły do miodu.

– Jakież to specjały się szykują dla naszych kochanych czytelników? – ciągnął Dobosz.

Łysy satyr jakby mógł, toby ją pocałował w stopę, tak nisko się schylił. On też by to zrobił, i nie tylko to, ale dla tego starego łacha była to tylko teoria, może dlatego był taki wylewny.

Alicja, Królowa Pohulanka siedziała, założywszy nogę na nogę. Przed rozpoczęciem swojej kwestii machnęła zgrabnie nóżkami, o których marzyła cała redakcja i pół Warszawy, i zmieniła pozycję, po czym zasepleniła świdrująco wysokim głosem: – W przyszłym tygodniu ma się ukazać wywiad z panem Eugeniuszem, przecież sam pan redaktor naczelny zaordynował, by zająć na to trzy kolumny z sobotniego dodatku. – Uśmiechała się czarująco, ale zdecydowanie lepiej było, gdy milczała.

– W rzeczy samej! – zaśmiał się Józef Dobosz. – Trzy kolumny i czwarta na zdjęcie naszej gwiazdy, naszej królowej w duecie z panem Bodo! – W końcu to on wymyślił hasło „Królowa Warszawskich Salonów”. – To byłoby niezręcznie robić sensację wokół pana Bodo, a później...

– Ale ja... – zaczął Giez.

– Ja tu rządzę! – Dobosz uciął kwestię.

Dyskusji nie będzie, to jasne jak słońce.

– A drugi temat? – Naczelny znów spojrzał znad połówek okularów.

– Dwadzieścia pięć lat temu doszło do...

Dobosz przerwał mu gestem ręki i spojrzał tak, jakby Edward zakomunikował, że chce pisać o ślubie papieża. Mina naczelnego była tak niecodzienna, że w sali zapanowała cisza. Nawet ten cwaniak Janusz nie wiedział, co będzie dalej.

– Dwadzieścia pięć lat temu, powiadasz pan... – Dobosz zamyślił się i podrapał po łysinie. – No słucham, słucham.

– To temat zapomniany, choć zupełnie niesłusznie. Czytałem o tym relację; piorunująca, pełna krwi, okropieństw, zwłaszcza opis wpływających wnętrzości...

Dobosz zaczął przechadzać się po pokoju, wyciągnął papierosa i zapalił. To było coś szczególnego: od czasu gdy Królowa Salonu zaprotestowała przeciw robieniu z sali kolegów kotłowni, naczelny wprowadził zakaz palenia.

– Państwo nie mają pojęcia, o czym mówi pan Giez?

Nikt nie odezwał się ani słowem, w końcu ktoś poczuł się zobowiązany zabrać głos.

– Rewolucja tysiąc dziewięćset piętego, barbarzyństwa dokonane przez kozaków...

– Saaaadaj pan! – huknął Józef Dobosz, bo młody reporter Burczyk, który wypowiedział słowa o rewolucji, uniósł się odruchowo z krzesła jak uczeń w klasie.

– Kto się podpisał pod artykułem, z którego czerpał pan wiedzę? – Dobosz wycelował palcem w Gza.

– Dejoj, panie naczelny, taki był pseudonim reportera. Szkoda, że nie podali nazwiska, to był kawał roboty – odparł Giez.

– Bo kiedyś żeby zobaczyć swoje nazwisko w gazecie, to trzeba było zasłużyć, drodzy państwo! – Dobosz wyprostował się dumnie i przeszedł do finału. – To był kawał roboty, powiadasz pan?

– To było po prostu doskonałe... – wyszeptał Giez niepewnie.

Dobosz zrobił małe kółko z dymu i wyciągając palec w górę, oświadczył z dumą: – Dejoj, bo „D” jak Dobosz i „j” jak Józef. Dejoj to ja!

Zgromadzeni popatrzyli z uznaniem na naczelnego i z zazdrością na stażystę. Nie był już skacowany i przegrany, był zwycięzcą tego kolegium.

– Taaa, pisałem wtedy o tym! Zapomniana, ale barwna historia. Warto ją znać i pewnie byś pan o tym pisał, panie Giez. Miałem nawet plan, żeby ten temat przypomnieć, ale życie, a w zasadzie śmierć idzie naprzód. – Józef Dobosz był zadowolony ze swoich słów, które kilku młodszych dziennikarzy skrzętnie zanotowało w swoich kajecikach. – A więc – Dobosz postanowił niejako na życzenie publiczności powtórzyć swój bon mot – życie, a w zasadzie śmierć idzie naprzód. Dziś w nocy zabito Gołdę Ejzenberg, bardziej znaną jako Madame Gala. – Po sali poszedł szmerek. – Tak, tak, to słynna artystka w pewnej dość szczególnej specjalności. – Naczelnny spojrzął na Alicję Pohulanę przepaszającym wzrokiem. – Pani wybaczy, ale nazwijmy sprawę po imieniu, Gołda Ejzenberg była jedną z najśłynniejszych warszawskich prostytutek, a po zejściu z głównej sceny stała się kto wie czy nie największą warszawską stręczycielką. Może nie szła na ilość, ale na pewno na jakość, jej dziewczynki należą do najdroższych, można powiedzieć, do tych... – Dobosz szukał właściwego słowa – luksusowych! – Znalezienie właściwego słowa sprawiło mu przyjemność, luksusowa dziwka, nikt tak chyba wcześniej nie mówił. Wykonał zwrot, szykując się do finału. – Tuż przed kolegium dostałem informację z Urzędu Śledczego, że barwne życie Madame Gali zostało gwałtownie przerwane. Nie będzie to przebój roku, ale przyznają państwo, sprawa zapowiada się ciekawie. Swoją pilnością i inicjatywą pan Giez zasłużył na to, by dać mu szansę. Wymyślił pan, a w zasadzie wyszukał świetny temat z przeszłości i stracił go pan, bo stało się to, co się stało. Należy się zatem jakaś rekompensata. Jedź pan niezwłocznie na Śliską. To gdzieś blisko Wielkiej, poznasz pan kamienicę, gdzie popełniono zbrodnię, po ambulansach i autach policji. Weź pan kierowcę, on już czeka, powiedziałem mu, że zaraz pošlę tam najlepszego reportera. – Naczelnny zaśmiał się jak król, który wygłosił wiekopomne zdanie i zachwycił się własnymi słowami.

W istocie dla Edwarda Gza te słowa były zachwycające, a nawet oszałamiające. Reporter strzelił obcasami jak rekrut, ukłonił się naczelnemu i dziarsko wyrecytował: – Dziękuję, panie redaktorze naczelnny! Dziękuję za zaufanie!

– Proszę tego nie sknocić, każdy by chciał dostać ten temat!

Taka była prawda, koledzy reporterzy patrzyli na niego zawistnym wzrokiem, a Alicja Pohulanka z zaciekawieniem, a może nawet z nutką podziwu.

– Jest pan wolny, proszę ruszać! – wydał rozkaz naczelnny.

Giez raz jeszcze strzelił obcasami i tyle go widzieli.

Babranie się w zbrodniach popełnionych na dziwkach to żadne halo, ale zawsze lepsze to od wysłuchiwanie pierdoł opowiadanych przez asa policji śledczej Słubicę-Popielskiego, uzupełnianych o nic niewnoszące dodatki jego klakiera Wolfa. Zanim odprawa rozkręciła się na dobre, aspirant Kornel Strasburger i jego współpracownik przodownik Zygmunt Stolarczyk zostali wysłani na ulicę Śliską, gdzie zamordowano niejaką Gołdę Ejzenberg. Gdy wychodzili z sali, koledzy dyskretnie klepali ich po plecach, mówiąc: – Dodek, Sztekker, udało się wam zerwać z rekolekcji u Gebethnera i Wolffa!

Aspiranta Kornela Strasburgera i przodownika Zygmunta Stolarczyka nazywano w Urzędzie Śledczym Dodkiem i Sztekkerem. Strasburger był bowiem żartownisiem i cały czas sypał kawałami, więc kojarzył się wszystkim z komikiem Adolfem Dymszą, który na scenie i w filmie kreował postać Dodka. Inna pasja, gra w brydża, takiej sławy w Urzędzie Śledczym mu nie przyniosła. Z kolei Stolarczyk uprawiał kiedyś zapasy, stąd ochrzczono go na cześć czempiona maty i bywalca warszawskich salonów Teodora Sztekкера. Najpierw mówiono tak o Zydzie Stolarczykowi z pewną nutką złośliwości, bo był od prawdziwego Sztekкера o dwie głowy niższy, ale gdy zobaczono go parę razy w akcji, to docinki się skończyły. Wszyscy wiedzieli, że potrafi powalić kilku łobuzów, i nawet poważni zawodowi bandyci czuli przed nim respekt. Poza tym policyjny instruktor, legendarny Władysław Pytłasiński, wystawił mu ocenę celującą, a skoro Wielki Pytłas kogoś chwalił, to nie było się z czego i kogo śmiać.

Koledzy z urzędu przy Daniłowiczowskiej uwielbiali z nim pracować. Oczywiście bywały wyjątki. Wawrzyniec Słubica-Popielski zdawał się nie do końca doceniać i Stolarczyka, i Strasburgera, bo byli pyskaci, mieli własne zdanie i byli od niego lepszymi śledczymi. Zastępca naczelnika Urzędu Śledczego cenił sobie kindersztubę, a tej Dodkowi i Sztekkerowi często brakowało. Pewnie dlatego nie przydzielił im

prestżowej sprawy włamania do Kasy Ziemiańskiego Towarzystwa Asekuracyjnego, lecz posłał do mieszkania prostytutki Ejzenberg. Śledztwo w sprawie kradzieży dwustu tysięcy złotych, osiemnastu tysięcy dolarów i czterech tysięcy funtów szterlingów oraz zamordowania strażnika to było coś, ale dostał je nowy człowiek w ich zespole, komisarz Leon Przygoda, a Strasburger i Stolarczyk mieli zanurzyć się w świat żydowskich alfonsów, upadłych kobiet, brudnych spelunek i melin. Tak się przynajmniej wydawało ich przełożonemu, który nie mając rozeznania w warszawskich sprawach, nie wiedział, że czterdziestodwuletnia Ejzenberg, znana lepiej jako Madame Gala, była osobą, w której sprawie należało raczej odwiedzać salony niż najpodlejsze przybytki.

Najpierw jednak Strasburger i Stolarczyk musieli dojechać na Śliską i nie zanosilo się na to, że będzie to krótka podróż. Policyjny automobil włókł się na miejsce zbrodni w takim tempie, jakby był wozem z węglem ciągniętym przez starą szkapę. O tej porze przedzieranie się przez zatłoczone ulice przypominało żeglugę po azjatyckim porcie zapchanym dżonkami, tak przynajmniej wyobrażał to sobie Strasburger. Czytał ostatnio książkę o egzotycznych miastach, gdzie po wodzie pływały tysiące łódek, a na ulicach ocierali się o siebie niezliczeni kulisi i rikszarze. Nagle w jego myśli brutalnie wdarł się Stolarczyk.

– Posterunkowy, po jaką ciężką cholere pojechaliście tą droga?!

– Bo najkrótsza – odpowiedział policyjny szofer.

– Ma być szybko, a nie krótko! Kochany, pamiętaj: *ego sum via et veritas, et vita* – z powagą wygłosił Stolarczyk. – Rozumiemy się?

– Nno nnnie – wyjąkał kierowca.

– Ja jestem drogą, prawdą i życiem! – zaśmiał się Stolarczyk. – Kariery posterunkowy szofer nie robi, jak się nie naumi łaciny, teraz nastały takie czasy, że procentuje ministranckie doświadczenie!

– Zyga Stolarczyk, ministrant! – ucieszył się Strasburger. – Nie może być!

– Boja święty człowiek jestem, przynajmniej taki byłem, zanim wstąpiłem do policji, a już kompletnie upadłem, jak mnie skierowano do pracy z aspirantem Strasburgerem!

– A lizusem zawsze byłeś – zaśmiał się Kornel – czy dopiero od przyjscia pana nadkomisarza Słubicy-Popielskiego?

– Akurat to znałem – obruszył się Stolarczyk, którego nijak nie można było nazwać lizusem czy karierowiczem.

– A znasz coś jeszcze, mój drogi Zygmuncie?

– Ma się rozumieć! – Stolarczyk zrobił ruch, jakby wznosił w górę kieliszek, i zawołał gromko, aż przechodnie na chodniku odwrócili głowy:

– *Sursum corda*[2]

– Zaprawdę powiadam ci, przodowniku Zygmuncie, że godne to, sprawiedliwe, słuszne i zbawienne! A wracając do tematu, panie szofer, musieliśmy się tędy pchać?

– Tak czy owak byłoby długo, czy przez plac Saski i Królewską, czy tak, jak jedziemy przez Żabią i Graniczną. Jakby w końcu magistrat przestał się cackać z Ogrodem Saskim i puścił Marszałkowską do placu Bankowego...

– Taaa, i jeszcze kolej podziemną! – Stolarczyk parsknął śmiechem. – Już od roku jest Referat do spraw Kolei Podziemnej, ale prędej kaktus mi tu wyrośnie... – Śledczy wskazał palcem na dłoń.

– Zatrudniłbym się tam, to pewna robota, do końca życia albo i dłużej, a do tego nie trzeba babrać się w błocie i brudach.

– Kolej podziemna piękna rzecz, ma biec z placu Muranowskiego na plac Unii i z Woli na Dworzec Wschodni – rozmarzył się Strasburger. – Ten cwaniak Bachrach opowiadał.

Cała trójka pokiwała głowami, bo każdy z nich zgadzał się z tym, że kolej podziemna by się przydała i że aspirant Daniel Bachrach był cwaniakiem. Bachrach miał niebanalną karierę, służył w policji jeszcze za

cara, w czasie wojny pracował w Londynie jako oficer kontraktowy i tam też zachwyił się funkcjonowaniem kolei podziemnej. Po wojnie wrócił do Warszawy i został szefem Brygady Fałszerskiej. W policji nie było go od trzech lat, czyli od czasu, gdy okazało się, że nie tylko kierował tymi, którzy ścigali fałszerzy, ale był również szefem szajki złożonej z kilkudziesięciu przestępców podrabiających dokumenty i pieniądze. Urząd Śledczy opuścił także jego wiceszef, nadkomisarz Ludwik Kurnatowski, który krył Bachracha i sam miał sporo na sumieniu. Być może tak było, na pewno tak było, ale nie ulegało wątpliwości, że kto miał być złapany, ten zostawał złapany. Gdy Kurnatowski i jego prawa ręka Bachrach chcieli, to potrafili przyskrzynić każdego, a ze Słubicą-Popielskim i Wolfem nie było to już takie pewne. Tamci byli cyniczni, ci z kolei byli porządni, ale nie wiedzieli o Warszawie i pracy śledczej tyle co ich poprzednicy. Stolarczyk i Strasburger nie chcieli o tym mówić przy posterunkowym, który prowadził auto, ale ten sam się wypucował. Jerzy Pluta, trąbiąc niemiłosiernie na jakiegoś Żyda, który ciągnął w poprzek ulicy wózek wielki jak dwukołowy wagon, zagadał do śledczych: – A więc przyszła kryśka na Madame Galę! Aż dziwne, że tylko panowie tam jadą. Kiedyś, zanim nastał nadkomisarz Popielski, to by było wydarzenie, no bo wiadoma rzecz, ta stara bladź była wyjątkowo ustosunkowaną osobą. – Szofer uśmiechnął się od ucha do ucha.

Zaśmiali się, choć nie powinni. Nie chodziło o żart z nieboszczki, tylko o uwagę na temat przełożonych. Zachowanie kierowcy było zbyt swobodne i nie mieściło się w regulaminie, ale każdy w urzędzie wiedział, że Strasburger i Stolarczyk nie znoszą sztywniactwa, a omijanie regulaminów było dla nich prawdziwym sportem. Tak, to było śmiechu warte, ale szefowie naprawdę nie wiedzieli, kim była Gołda Ejzenberg. Zadzwonili pewnie do Urzędu Śledczego chłopcy z komisariatu przy Śliskiej 52 i powiedzieli, że zamordowano prostytutkę Gołdę Ejzenberg. Każdy człowiek z urzędu wiedziałby, o kogo chodzi, ale Słubica-Popielski i Wolf dopiero od niedawna poruszali się po Warszawie bez pomocy szofera. Dla Słubicy-Popielskiego i jego asystenta ktoś taki jak Madame Gala nie istniał. Ot, stara zdzira, którą ktoś wykończył, czyli sprawa, jakich dziesiątki. Mylili się, zginęła osoba, która znała tajemnice carskich, niemieckich i polskich oficerów, książąt i hrabiów, bankierów i artystów, policjantów i polityków. Tak mówiła o niej cała Warszawa.

– To może być ciekawa sprawa – ponownie zagaił policyjny kierowca.

– I pewnie taka będzie – uciał Strasburger, który myślał już o śledztwie i chwilowo nie miał nastroju do żartów.

Dojeżdżali na miejsce, już od skrzyżowania z Pańską było widać, że blisko rogu Wielkiej i Śliskiej coś się dzieje. Skręć się przyblokował, a gdyby jeździł tędy tramwaj, to ruch ustałby zupełnie.

Wjechali w Śliską, mijając narożny dom z fikuśną wieżyczką, i od razu zobaczyli, co było powodem zamieszania: ambulans pogotowia, dwa wozy policyjne i obowiązkowo tłumek gapiów.

Edward Giez pędził na dół po trzy stopnie – żeby zdążyć, żeby dotrzeć na czas, żeby dowiedzieć się, czego trzeba, wrócić do redakcji i dać tekst do południowego numeru. Zdyszany wybiegł na dziedziniec i wpadł do auta.

– Czego się pan tak śpieszy, panie Giez? – zapytał szofer Stanisław Brylewski, który palił spokojnie papierosa i strzepywał popiół za okno. – Zdążyliśmy, jeszcze tak się nie zdarzyło, żeby nieboszczyk uciekł z miejsca zbrodni. Podjadziem na Śliskie, a tam Madame Gala będzie czekać na szanownego pana jak kiedyś na klejentów. – Brylewski zaśmiał się, a Gzowi ciarki przeszły po plecach. Nigdy wcześniej nie widział ofiary zbrodni.

Auto ruszyło. Giez już tak się nie rwał, by raz dwa znaleźć się na Śliskiej i patrzeć na trupa. Jak ona wygląda, czy zwłoki są zmasakrowane, czy jest pełno krwi...

– Nic się pan nie martw, będzie wszystko w porządeczku. – Szofer zdawał się czytać w jego myślach. – „Express Warszawski” to „Express Warszawski”, nie ma to tamto, wbijesz się pan jak w masło, sąsiedzi wszystko opowiedzą, a pan to pięknie poskładasz do kupy. Dasz pan radę, Dobosz mówił kiedyś staremu, że pan pięknie piszesz, a to już jest coś!

Faktycznie Giez potrafił napisać wszystko, trzeba było mu tylko powiedzieć o czym albo wynaleźć odpowiednie zdarzenie. Chwalono go za styl, za piękne porównania, za szybkość. Wróźono karierę, ale on nie potrafił wyjść poza poziom zdolnego, obiecującego praktykanta.

– Potrzebujesz pan strzału, panie Edwardzie – słyszał ciągle. – Musisz pan coś przynieść z miasta – powtarzano. – Pora zaskoczyć wszystkich, patrz pan na tego spryciarza Januszewskiego albo na Zulskiego.

Nazywany Januszem Bronisław Januszewski wyglądał tak, że pięciu złotych by się za niego nie dało. Przy nim nawet on, skacowany Giez, był arbitrem elegancji. Janusz był zawsze spocony, przesiąknięty zapachem alkoholu i dymu papierosowego, wymięty, jakby dopiero co wstał z łóżka. Pisał tak, jak wyglądał. Źle. Ale co z tego? Poprawiano go, a z czasem już tylko spisywano jego opowieści. Tak było szybciej i wygodniej dla wszystkich. Często po prostu dzwonił do redakcji i nadawał relację z miejsca zbrodni lub wypadku. Był zawsze tam, gdzie coś się działo, był szybszy od innych, wręcz miało się wrażenie, że to on był sprawcą połowy interesujących spraw, które działy się w mieście. Co innego nazywany Zulusem Piotr Zulski. Wbrew ksywce nie był dzikusiem, lecz dandysem. Lizus z kajecikiem, elegancik jak z żurnala mód, cholerny pracuś z jeszcze cholerniejszą wierszówką. Typ z nosem brązowym od wchodzenia w tyłek, który kręcąc się to tu, to tam, zawsze przynosił do redakcji coś ciekawego. Wolniejszy niż Janusz, za to dobrze pisał. W tej konkurencji Giez sytuował się równo pośrodku. Nie był tak grzeczny jak Zulus i nie był takim bydlęciem jak Janusz, nie osiągał też ich sukcesów. Wciąż czekał na swój złoty strzał. Teraz czuł entuzjazm, ale też lęk, czy da radę, czy nie spieprzy tematu, który może go ustawić w redakcji.

W końcu zobaczył charakterystyczną wieżyczkę kamienicy stojącej na rogu Wielkiej i Śliskiej. Byli już prawie na miejscu. Po paru chwilach samochód zatrzymał się i Giez wysiadł.

– Powodzenia, panie Giez, dałbym na szczęście kopa w tyłek, ale nie mogię wysiąść zza kierownika, siła wyższa – pożegnał go szofer.

Giez wymamrotał jakieś słowa podziękowania i ruszył w tłumek stojący przed kamienicą.

– Pan tu mieszka? – zapytał wąsaty przodownik policji.

– Nie, ale jestem z „Expresjaka”! – niemal wykrzyknął Giez i rozpaczliwie zamachał legitymacją służbową.

– A, to co innego – powiedział policjant. – Wchodź pan! – Po czym na ucho dodał: – Sam czytam, a żonę szlag trafia, jak to robię przy stole. Goni mię cholera jedna, ale sama nie wyobraża sobie niedzieli bez wydania specjalnego i tych wszystkich rozmów Pohulanki. Królowa Salonów Warszawskich i jej gwiazdy, rozumiesz pan? – Cmoknął jak Żyd reklamujący towar. – Niezła sztuka, znasz ją pan?

Giez przytaknął.

– Z bliska też taka laleczka jak na fotografii?

– Jeszcze ładniejsza. – Ale na fotografii nie słyhać, jak sepleni, pomyślał Giez.

– Tak mi się wydawało! – Policjant się rozpromienił. – A tam – wskazał palcem na kamienicę – to niezła rozpierducha, trup jak ta lala, będzie o czym pisać! Jakby tam jaki posterunkowy robił kłopoty, to powiedz pan, że przodownik Maszczyk z ósmego komisariatu wpuścił!

Giez wzdrygnął się na myśl o trupie, ale po chwili zawahania śmiało ruszył naprzód. Zwolennik „Expresjaka” w granatowym mundurze dodał mu pewności siebie. Machając legitymacją, Edward wszedł do bramy, minął kolejnego mundurowego i ruszył w górę klatką schodową.

Od pół godziny śledczy kręcili się po mieszkaniu Gołdy Ejzenberg i nie byli w stanie znaleźć niczego, co dawałoby szansę na szybkie zidentyfikowanie zabójcy. W czteropokojowym eleganckim lokalu, połączeniu buduaru z salonem, śladów nie było zbyt wiele, niemal wcale. Ale to też była wskazówka dla śledczych: żadnych oznak szarpaniny, meble na swoim miejscu i tylko powysuwane szuflady, rozbebeszona pościel na łóżku oraz ubrania w szafie.

– I bądź tu mądry. – Stolarczyk podrapał się po głowie.

– Taaa – mruknął Strasburger. – Rabunek z morderstwem czy morderstwo z upozorowaniem rabunku? Głowa rozbita, szufladki puste, a ktoś taki jak ona musiał mieć świecidełka.

– Znała przestępcę – zauważył Stolarczyk.

– Niekoniecznie – zastopował go Strasburger. – Przecież mógł być tu pierwszy raz. A jak to był po prostu klient?

– Eee tam! – Stary śledczy się skrzywił. – Zwykłych klientów to ma zwykła dziwka, a nie taka matrona jak ta. Poza tym to stało się nad ranem, na pewno go znała, skoro otworzyła drzwi o tej porze, prawda? To pani kierowniczka w dużym interesie, ona już nic nie musi.

– Nie musi, nie musi – zachnął się Strasburger. – W końcu to nie tylko zawód, ale i charakter.

I temperament, a z tego słynęła!

– No i z urody – dodał Stolarczyk.

– Faktycznie, niczego sobie. – Strasburger zreflektował się: takie słowa o kobiecie, której ciało jeszcze dobrze nie ostygło, są chyba nie na miejscu.

Zygmunt Stolarczyk nie był taki delikatny. Chodził wokół nieboszczki i przyglądał się jej z zainteresowaniem.

– Figurka prima sort! Nie ma co, ładniutka była, temperamentna no i wyrachowana – podsumował, obracając w palcach papierosa. – Wyrachowana, mój drogi, przede wszystkim wyrachowana, tak trzeba określić kobietę, która kieruje takim przedsięwzięciem. A zresztą co ja ci będę tłumaczył, jak się pofatyguje do nas ktoś z obyczajówki, to usłyszysz to samo. Wierz mi, ktokolwiek by to był, powie ci to, co ja teraz: miała wciąż paru wyjątkowych klientów, wiesz, o co chodzi, sentymenty i cielesne łąpówki.

– Może i tak. – Strasburger zgodził się niechętnie.

Przodownik Stolarczyk podszedł do okna i otworzył je na oścież.

– Zapaliłbym, a nie wiem, który lekarz przyjedzie, jak Potocki, to będzie się wściekał, że nadymione.

Strasburger ze zrozumieniem kiwnął głową.

– I ja zapalę, poczęstuj, zostawiłem na stoliku.

– No to już przepadły! – zaśmiał się Stolarczyk. – Po odprawie i godzinie smrodzenia tego mądrali koledzy musieli odetchnąć miłym zapachem. Zresztą nam też się należy, trzeba zabić ten smród.

Kornel Strasburger miał dopowiedzieć coś wesołego i zarazem niepochlebnego dla szefa, ale usłyszał skrzypienie podłogi. Rozmowę przerwało pojawienie się w salonie kolejnej osoby. Nie był to lekarz sądowy, na którego czekali, ani policjant, ani tajniak. Młody, niepozorny mężczyzna ubrany w znoszony płaszcz i zdefasonowany kapelusz. Ani chybi reporter. Nie zdążyli zadać pytania, bo nagle osobnik zbladł i zachwiał się.

– Ożeż ty kurtka na wacie! – ryknął Stolarczyk. – Porzyga się!

Stary śledczy zawahał się, wypchnąć go z salonu czy może odskoczyć, by delikwent nie zapoznał go ze swoimi ostatnimi posiłkami. Sytuacja rozwiązała się sama, facet po prostu osunął się na ziemię.

Edward Giez był zdziwiony: do drzwi mieszkania Madame Gali dotarł z łatwością. Legitymacja prasowa robiła na posterunkowych wrażenie, więc nawet nie musiał się powoływać na przodownika Maszczyka, a przed samymi drzwiami dopomogło mu szczęście, pilnujący ich policjant wszedł na chwilę do sąsiedniego mieszkania, by skorzystać z toalety. Reporter niezauważony wsunął się do środka, a pierwsze, co poczuł, to dym papierosowy. Ostrożnie minął przedpokój i zajrzał do salonu. Rozmawiało tam ze sobą dwóch mężczyzn wyglądających na funkcjonariuszy Urzędu Śledczego. Trudno, musi to zrobić, z samego patrzenia na gliniarzy nie będzie notatki. Wszedł do środka, spojrzał w dół i zauważył ciało kobiety w nocnej koszuli. Głowę zasłaniało krzesło, więc lekko się wychylił i wtedy zobaczył, że twarz przypomina krwawą miazgę. Podłoga skrzypnęła, policjanci przyuważyli go, coś mówili, ale ich nie słyszał, upadł na podłogę.

Nie wiedział, ile czasu tak leżał, gdy się ocknął, pierwszym bodźcem, który do niego dotarł, był kloaczny zapach. A więc to prawda, że ofiary katów i zbrodniarzy popuszczają, pomyślał, chciał się poderwać na równe nogi i uciec od tego zaduchu, ale usłyszał głosy. Pierw docierały do niego jak z innego świata, ale powoli słowa stawały się wyraźne i rozumiałe.

–...a więc, pani aspirant, nie ma pani żadnych wątpliwości?-To mówił mężczyzna, młody, ale chyba nieco starszy od niego.

– Tak, to ona, z całą pewnością ona – odpowiedział damski głos. – Mogę o niej opowiedzieć w szczegółach bez zaglądania w dokumenty, zresztą w nich nie ma zbyt wiele. Część wywiało w tysiąc dziewięćset piętnastym, gdy Rosjanie wycofywali się z Warszawy, później ten sam los spotkał papiery niemieckie. Jeśli była gdzieś notowana, to przede wszystkim przez tajne służby, ochronę i Oddział Trzeci b Sztabu Generalnego armii pruskiej[3]. Później też nie było łatwo. Ona zawsze potrafiła znaleźć protektorów, dość powiedzieć, że nigdy nie dorobiła się czarnej książeczki.

Pewnie mówią o zamordowanej, pomyślał Giez. To, co słyszał, było na tyle interesujące, że gotów był udawać omdlałego, jak długo się da. Zapowiada się rewelacyjnie, byleby tylko się nie wypucować i wszystko spamiętać.

– Czyli co najmniej od czterech lat oficjalnie i urzędowo poza zawodem, jeśli można tak powiedzieć? – zapytał męski głos. Ten był zdecydowanie starszy.

– Tak, książeczki dla prostytutek wprowadzono w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym, miała wtedy trzydzieści osiem lat.

– Sporo – zauważył starszy z policjantów.

– Pan uważa, mówiąc takie rzeczy przy kobietach! – zaśmiała się. – Mam tyle lat, ile ona wtedy!

– O pardon, pani kierownik!

– Wybaczam panu, panie przodowniku Stolarczyk, znamy się tyle lat!

To musiała być aspirant Stanisława Paleolog, szefowa Brygady Sanitarno-Obyczajowej zwanej przez wszystkich obyczajówką. Tym sposobem Edward znał już dwie spośród trzech osób, które rozmawiały nad jego głową.

– Pożartowaliśmy, a teraz do rzeczy, bo czeka mnie jeszcze sporo pracy – powiedziała pani aspirant. – Tak poważnie to dla zwykłej prostytutki trzydzieści osiem lat to wiek niemal starczy, większość z nich wygląda wtedy podle, mnóstwo nie dożywa tych lat. Wiedzą panowie doskonale, nędza, alkohol, choroby... Ale nie ona. Była zawsze kosztowna, od samego początku służyła tylko najlepszym klientom. Zaczęła urzędować w wieku siedemnastu lat w tak zwanym pensjonacie Szlimakowskiej przy Towarowej. Pracowało tam podobno pięćdziesiąt prostytutek najlepszego sortu, a gości starannie dobierano. Porucznicy, kapitanowie i majorzy nie mieli tam wstępu, chyba że hrabiowie czy książęta. Szarże od pułkownika wzwyż, najwyżsi urzędnicy, arystokraci, bankierzy i przemysłowcy. Elita. Dziewczyny ubierały się i były uczesane jak Abisynki, Włoszki, Arabki i Hiszpanki. One nie tylko odgrywały rolę egzotycznych dam, potrafiły też recytować i grać na instrumentach. Gołda udawała Hiszpankę i grała na fortepianie. Grała i śpiewała, i to nie tylko w salonie, ale także w specjalnym gabinecie. Była sprytna, bo szybko udało się jej wyjść z tego domu publicznego i wybić na niezależność. Takie informacje o niej zebrałam od ludzi, którzy jeszcze zdążyli popracować w carskiej policji.

– Jak to zrobiła? – zapytał młodszy. – Jak taki skarb wyrwał się spod opieki sutenerki? Przecież prowadząc taki przybytek, ta cała Szlimakowska miała swoich protektorów i pewnie, jak każda taka swołocz, swoje metody.

– Ma pan rację, panie aspirancie. Żeby burdelmama czy alfons puścili zwykłą dziewczynę, muszą się dzieć rzeczy nadzwyczajne, tymczasem Gala była maszynką do zarabiania pieniędzy, prawdziwą perłą w koronie. Gołda Ejzenberg musiała zdobyć tak silnego patrona, że Szlimakowska ani jej łobuzy nie mieli nic do powiedzenia. Starsze prostytutki mówią, że zakochał się w niej jakiś Czerkies, książę, generał, ktoś

taki. Jednak bardziej prawdopodobne, że jej protektorem była ochrona!

– Ochrona? – niemal jednocześnie powtórzyli policjanci.

– Tak, pracowała dla ochrony. Nie ma innej możliwości. Tajna policja zapewniła jej bezpieczeństwo, a ona donosiła. Miała grupę stałych wpływowych klientów z różnych środowisk, na pewno było ich więcej niż jeden czerkieski książe. Każdy z nich miał wiele do ukrycia, każdy więc był dla ochrony obiektem zainteresowania.

– A gdy jej patroni uciekli z Warszawy? – spytał przodownik.

– Niewątpliwie miała to niezłe skalkulowane i przygotowane. Pewno ten i ów chciał ją zabrać ze sobą do Moskwy czy Petersburga. Udało się jej zostać i usamodzielnic. Była już silna, stać ją było na stworzenie własnego gangu, zaczęły na nią pracować inne dziewczęta, kupiła kilku największych bandytów, w tym osławionego Goliata. Podobno jeszcze niedawno dla niej pracował, był jak jej pies. Legendarny pies, bo wielu o nim słyszało, ale od dawna nikt go nie widział, być może jest tylko wytworem wyobraźni, miejską legendą, kimś jak bazyliżek czy Złota Kaczka.

– To nie legenda, Goliat to niedoszły czempion zapasów – powiedział z zadumą Stolarczyk.

– Prawdziwy potwór, nazywał się naprawdę Jakub Fajgenblat, ale nie mówiono o nim inaczej niż Goliat. Widziałem go na arenie w cyrku przy Okólniku. Później był już tylko legendą, mówiło się o nim, ale nikt go nie widział, jakby zapadł się pod ziemię.

– To ciekawe, ale... – kobieta zawiesiła głos – czy stoją za tym jakieś dokumenty?

– Wsiąkł. Po tym jak oskarżono go o zabójstwo, rozpułnął się jak kamfora – z ogromną powagą powiedział Stolarczyk.

– Duchów policja nie ściga. – Giez dałby głowę, że Paleolog się przy tym uśmiechnęła.

Na moment zapadła cisza, słychać było tylko skrzypienie podłogi.

– Pani aspirant słynie ze swej niezależności i nieustępliwości i jednak nie wyfasowała jej czarnej książeczki, to o czymś świadczy – wyraził zdziwienie młodszy z policjantów.

– Była więcej niż sprytna. Zacierała ślady, miała ludzi nadstawiających za nią karku. Płaciła i zastraszała. Zorganizowała się tak, a może nawet lepiej, jak Szpicbródka w świecie kasiarzy. Jak tylko przeniosłam się z Krakowa do Warszawy i objęłam posadę szefowej brygady, to zagięłam na nią parol. Wszędzie o niej słyszałam, jak o jakiej legendzie czy bogini, więc pomyślałam, że muszę się z nią zmierzyć. Oczywiście z miejsca zakładałam, że ktoś ją chroni, ale nic nie mogło mi przeszkodzić: byłam nowa, nie poddawałam się żadnym naciskom towarzyskim czy służbowym, a zresztą nikt na nic nie nalegał. Miałam wszystko w swoich rękach, ale przyznaję, w tej sprawie byłam i jestem bezsilna.

– Albo zabierze wszystkie swoje tajemnice do grobu, albo otworzy się prawdziwa puszka Pandory – orzekł młodszy policjant.

– Nie ukrywam, panie aspirancie, że liczę na to drugie i że panowie mi w tym pomogą, prowadząc swoje dochodzenie. Wiem, co się teraz u panów dzieje, nie będę tego komentować, ale wiem też, że ludzie tacy jak aspirant Kornel Strasburger i przodownik Zygmunt Stolarczyk dadzą sobie radę.

– Z ust pani kierownik to wielki komplement! – odpowiedział Strasburger.

– Ale nie komplementów panowie oczekują, lecz mojej wiedzy.

– Zwłaszcza pani opinii o tym, kto chciał jej śmierci – zagiął Kornel.

– Jak powiem, że sama odczuwam wielką ulgę, to będzie nie po chrześcijańsku i stanę się podejrzaną – zażartowała aspirantka Paleolog. – Madame Gala słynęła z elegancji, ale według mnie była złą i przebiegłą kobietą. Jej śmierci mogło chcieć wielu: zawsze jest jakaś niezadowolona dziewczyna, może szantażowała którąś z nich, gdy ta dobrze wyszła za mąż; rodzice, bracia i narzeczeni pańienek, współnicy, podwładni, no i konkurencja. W grę też wchodzi rabunek. Słynęła z bogactw, ale nie było takiego odważnego, który chciałby zdrzeć z jej ludźmi. Stawiałabym na konkurencję, na jedną z tych band, które handlują żywym

towarem i sprzedają kobiety do lupanarów w Ameryce.

– Zauważmy, że nie było to zwykłe zabójstwo – przerwał Strasburger. – Jej twarz zmasakrowano młotkiem albo innym ciężkim narzędziem.

– Oni mszczą się okrutnie, niejako z urzędu. Ma pan rację, motyw zemsty, osobistej urazy jest w jej przypadku bardzo możliwy. Ja bym zaczęła od znalezienia Goliata, ale nie przesłuchiwałabym go, bo nic nie powie, wysłałabym agentów, którzy wyśledziliby jego powiązania. Może tym razem się uda, bo do tej pory nie mieliśmy szczęścia. To podły bandyta, może i tępny, ale z jakimś zwierzęcym instynktem. Oczywiście o ile w ogóle żyje.

– I jeszcze jedno – wtrącił Strasburger. – Mówiła pani, że Madame Gala grała na pianinie, a do tego dostrzegłem w jej domu wcale dużo książek i niezłych obrazów. Kim ona była?

– Była córką bogatych kupców z Witebska, miała prywatnych nauczycieli, żyli, jakby nie byli tradycyjnymi Żydami, tylko przechrztami. Pewnego dnia rodzice przyprowadzili jej przyszłego męża, sześćdziesięcioletniego fabrykanta. Gołda była sprytna i zdecydowana, działała szybko. Rozkochała w sobie oficera kawalerii, który jechał do Łodzi. Pomógł jej się urządzać, a jak już poczuła się mocna, to uciekła do Warszawy, miała wtedy siedemnaście lat.

Historia jak z powieści, przebój, żyła złota! Dobosz kocha takie rzeczy! Giez aż drgnął na myśl o tym, jak będą wyglądały kolejne dni, dni triumfu, na który tak długo czekał. Usłyszał skrzypienie, policjantka opuszczała chyba salon. Nagle przystanęła.

– Aha, i oczywiście stróż, ale tego panom nie muszę mówić, na pewno już go panowie przesłuchali. Powiedział coś ciekawego?

– Gdyby go jeszcze pani kierownik potrafiła ocucić – westchnął Stolarczyk. – Dostał w łeb, znaleziono go pod schodami. Przeżyje i być może coś ciekawego opowie.

– A już zupełnie na odchodnym chciałabym wiedzieć: żurnalisty nie ruszacie? – zapytała kierowniczką obyczajówki.

– Mieliśmy ważniejsze sprawy, teraz możemy się do niego zabrać, jak tylko lekarz skończy z cieciami. Zresztą chyba się przed chwilą poruszył – zaśmiał się przodownik.

Giez uchylił powiekę – zupełnie niepotrzebnie: pół metra od swojej twarzy zobaczył zmasakrowane oblicze Madame Gali. Poczuł, jak jego organizm się buntuje.

– A jednak się porzygał – usłyszał mimo torsji głos przodownika Stolarczyka – trzeba go było wyciągnąć na korytarz.

Nieszczęsnego reportera wystawiono za drzwi, żeby nie robił fetoru większego niż ten, który panował już w mieszkaniu. Nawet przybyły na miejsce zbrodni doktor Józef Potocki na widok Gza skrzywił się lekko.

– Witam państwa, to ktoś nowy, świeży nabytek Urzędu Śledczego?

– Nowy, ale pismak – zaśmiał się Stolarczyk. – Słaby ma żołądeczek, chłopina.

– Cóż, każdemu się zdarza, a pana pierwszy trup?

– Tak dawno, że nawet nie pamiętam, co zrobiłem. – Stolarczyk zamyślił się. – To był tysiąc dziewięćset piąty rok! Po prostu uciekałem, a kto wymiotował, ten nie uciekł, to nie były przelewki.

– Rewolucja!

– Tak, rewolucja. Byłem dzieciakiem i zanosło mnie na plac Teatralny. Poszła salwa, ruszyli kozacy, napatrzyłem się. Później już wszystko było z góry, choć przyznaję, jak zobaczyłem w tysiąc dziewięćset dwudziestym te ciała rozerwane pociskami...

– To się panu w głowie zakręciło, przodowniku, jak mnie teraz! Mówiłem panom, żeby nie palić na miejscu zbrodni!

– Był taki smród... – Strasburger próbował ratować sytuację.

– I jest-zakaszał doktor-jest smród jak lichy, bo dodatkowo potęgowany przez dym papierosowy!
– Zostawiam panów samych – powiedziała aspirant Paleolog. – Do zobaczenia przy Daniłowiczowskiej.
Lekarz przystąpił do oględzin zwłok.

– Na razie nie powiem chyba nic, czego by panowie nie wiedzieli – oznajmił. – Nie trzeba lekarza sądowego, wystarczy być wprawnym policjantem służby śledczej, by wiedzieć, że zabójstwa dokonano ledwie parę godzin temu.

– Tak też obstawialiśmy, panie doktorze. – Stolarczyk chciał oszczędzić medykowi przemowy.

– Ciało jeszcze dość ciepłe, pewnie o świcie?

– Tak przypuszczam, ale pierw zmierzymy temperaturę.

Lekarz wyciągnął z torby termometr.

– Śmierćgwałtowna, obrażenia czaszkowo-mózgowe w następstwie urazów mechanicznych, prawdopodobnie ustała praca mózgu, ale to będzie pewne po sekcji. Narzędzie... przypuszczalnie młotek. Mniej niż osiem godzin... Plamy opadowe niezbyt duże, ale to zrozumiałe, nieboszczka nieco się wykrawiła. Morderstwo nastąpiło nad ranem, ale nawet jeśliby zebrało się konsylium najlepszych patomorfologów, to i tak nie powiedzą panom, czy nastąpiło to przed otwarciem bramy w kamienicy, czy po otwarciu.

Śledczy zaśmiali się, byli ludźmi dowcipnymi, podobnie jak doktor Potocki.

– Zgwałcona? – zapytał Strasburger.

– Nie. Tu nie było żadnej przemocy, o ile możemy mówić w tym przypadku o przemocy. Stosunku cielesnego także nie było, nawet takiego najkrótszego.

– A więc tak po prostu wszedł i...

– I dobrze trafił. I to nie raz. Wysoki, bił z dużą siłą i precyzją. Każdy z tych razów mógł zabić, więc – doktor Potocki zamyślił się – jeśli wolno mi coś zasugerować, to wydaje mi się, że liczba ciosów i ich siła wskazują na zbrodnię w afekcie, ale z drugiej strony ich precyzja i fachowość budzą skojarzenia z egzekucją. Szukałbym wśród współników i zawiedzionych kochanków, ale wśród takich, którzy nie robili tego pierwszy raz.

– Też tak sędzę, choć wyczyścił szuflady do imentu. Jest trochę cennych rzeczy, ale nic z tego, o czym mówiła dozorczyni i czego spodziewała się pani aspirant Paleolog. Żadnego złota ani brylantów.

– Wiedział, czego szukać – stwierdził doktor. – Czy panowie sprawdzają, czy ja wyniosłem z naszej współpracy przynajmniej tyle samo co panowie?

– Jest pan fachowcem w swojej dziedzinie, myśli pan logicznie, więc może pan wnieść do sprawy coś nowego – odpowiedział doktorowi aspirant. – Zdarza się, że morderstwa popełniają kobiety, a pan to mimochodem wykluczył.

– Ja? – zdziwił się doktor.

– Cały czas mówi pan o mordercy „on”, czyli sądzi pan, że to mężczyzna.

– Raczej tak, oczywiście pewności nie mam, ale nie spotyka się tak wysokich i silnych kobiet.

– Mężczyzn też nie za wielu – dorzucił Stolarczyk.

– A Goliat? – rzucił Strasburger. – To był jej pomagier i sługa.

– Co ty? – zaśmiał się Stolarczyk. – Gdyby on jej przyłożył, to już po pierwszym ciosie nie miałyby w co walić młotkiem. To potwór!

– Opowiadasz... – Strasburger uważał, że Stolarczyk przesadza.

– Bez kitu. Może go wreszcie zobaczysz!

– Bardzo chętnie!

– Obyś nie wypowiedział tego w złą godzinę.

– Wszystko to takie austriackie gadanie, widziałeś go, jak byłeś o taki! – Strasburger wykonał ruch ręką na wysokości metra nad ziemią.

– Przesadzasz! – zaprotestował Stolarczyk. – Miałem wtedy dziewięć lat, ale byłem niewiele niższy niż teraz, zapowiadałem się na wysokiego – powiedział z dumą, po czym dodał z żalem: – Nie urosłem za bardzo, ale mimo wszystko nie rób ze mnie karła!

– Dziewięć lat... Dzieciak w tym wieku ma skłonność do przesady, cyrk, światła, emocje, a do tego minęło parę lat...

– Tak, minęło, to był tysiąc dziewięćset szósty rok, ale ja nie mam sklerozy! To był gigant!

– niemal wykrzyknął Stolarczyk. – To jest gigant – poprawił się po chwili.

Doktor Potocki zainteresował się rozmową.

– Jeśli wciąż żyje, to pewnie i ja prędzej czy później się z nim spotkam, iluż to gierojów, mistrzów pięści, noża i rewolweru miałem na swoim marmurowym stole...

– Ale takiego okazu pan nie miałeś. Chyba że pan uczestniczyłeś w sekcji goryla z cyrku albo zoologu – oświadczył Stolarczyk. – To z pewnością będzie dla szanownego pana doktora niezwykle doświadczenie i jako wredny typ, porządny obywatel i leniwy glina życzę tego panu z całego serca, oby jak najszybciej pan go spotkał, rzecz jasna koniecznie w charakterze pacjenta.

– Faktycznie taka bestia? – zapytał doktor. – A może emerytowana bestia?

– Tacy się nie zmieniają, zwłaszcza jeśli mózg nie nadąza za resztą organizmu. Zmiany przychodzą dopiero po śmierci. Ostatnio zapadł się pod ziemię, ale pewnie żyje, bo wieści o śmierci takiej legendy rozchodzą się po ferajnie.

– Na razie pewne jest tyle, że podziemna Warszawa straciła inną legendę, Madame Galę – włączył się Strasburger. – No więc co możemy powiedzieć o czasie śmierci?

Stolarczyk uśmiechnął się i położył dłoń na ramieniu aspiranta.

– Po co fatygować doktora! Skoro doktor dedukował, to ja mogę przeprowadzić badanie. Kucnął i dotknął dłoni zamordowanej.

– Niespecjalnie zimna, a temperatura spada jakiś stopień na godzinę... – mruknął przodownik.

– A więc... – zastanowił się – czwarta, piąta rano?

– Pan to już specjalista pełną gębą, po co ja tu właściwie przyszedłem? – powiedział doktor z absolutną powagą.

– Dla miłego towarzystwa! – odparł Strasburger tak posępnym tonem, że wszyscy, cała trójka, wybuchnęli śmiechem.

Potem, jak to zwykle bywa z ludźmi przyzwyczajonymi do zbrodni, zwłok i krwi, przeszli na inne tematy, czekając na wynik pomiaru temperatury zmarłej.

– Pan jesteś dowcipniś, zapomniałem, jak nazywają pana koledzy z Urzędu Śledczego, Fertner?

– Nieee – zaśmiał się Strasburger – Dodek!

– Ależ oczywiście, przecież to on jest teraz największym komikiem. A pana przezywają, zdaje się, Sztækker, bo jest pan policyjnym czempionem zapasów – doktor zwrócił się do Zygi Stolarczyka, który lekko się skrzywił na te słowa.

– Tak, ale nie do końca, panie doktorze. Chcieli mnie w ten sposób troszkę ośmieszyć, bo ze mnie żaden mistrz, ja w warszawskiej policji jestem góra trzeci, no bo korona należy do Wielkiego Pytlasa!

Doktor pokiwał głową, fakt, przecież legendarny mistrz zapasów Władysław Pytlasiński był policyjnym instruktorem walki wręcz, miał stopień komisarza Policji Państwowej i mieszkał w dwóch służbowych pokojach w policyjnym gmachu przy Ciepłej.

- Pytłasiński to legenda, on jest poza konkurencją, to rozumiałe, a ten drugi? – zapytał doktor.
- Starszy przodownik Waław Okulicz-Kozaryn z komisariatu rzecznoęo.
- Nie słyszałem.

– To mój rywal z wagi średniej, wtedy ze średniej, bo teraz mi się przytyło i bym chodził w ciężkiej – uśmiechnął się przodownik. – Sześć lat temu Wacek wybił mi z głowy pomysł o wyjeździe na olimpiadę do Paryża. Był bezapelacyjnie najlepszy nie tylko w Warszawie, ale i w całej Polsce, na świecie wziął siódme miejsce. Gdzie mi tam do takiego sportsmena...

- Ale w Urzędzie Śledczym jesteś pan numerem pierwszym!
- Można tak powiedzieć, ale ze mnie mniejszy Sztekker niż z aspiranta Strasburgera Dodek.
- Sam pan sobie wymyśla teksty? – zainteresował się doktor.
- Nie, tylko sam wybieram, jestem aktorem i reżyserem, ale nie scenarzystą.
- A co by pan wybrał na tę smutną okoliczność?

Strasburger pomyślał i ze swojej kartoteki z dowcipami, którą miał w głowie, wybrał coś odpowiedniego.

– Mam! Epitafium dla kobiety nie za ciężkich obyczajów: tak się kończy historia, w której niejedna była orgia!

– Nie wiem, czy to przyzwoite z mojej strony – śmiał się doktor – ale rozbawiło mnie to epitafium jak mało co. Demoralizują mnie panowie!

- Dopiero zaczynamy, szanowny panie – zarechotał Stolarczyk. – Może papieroska?
- A daj pan spokój! – Doktor podskoczył jak oparzony.
- To znaczy, żeśmy pana do końca nie zepsuli – zauważył Strasburger.

Po paru minutach doktor spojrział na zegarek.

– Już czas. – Sięgnął po termometr, spojrział na odczyt i zmarszczył brwi. – Brawo, panie przodowniku, trafił pan idealnie. Zmarła o jakiejś pół do piątej! Gratuluję ręki!

– Raczej głowy! Wiedziałem, że minęło parę godzin, a dokładny czas wydedukowałem. Żona dozorczy powiedziała, że zwykle robi on obchód po czwartej. Zakładam, że wtedy zebrał w głowę od zabójcy, który najpierw zawlókł go pod schody, a następnie poszedł do Madame Gali...

– ...a ona znając napastnika, otworzyła mu i... – Doktor rozłożył ręce. – Resztę mojej opinii panowie znają: silny cios zadany przez wysokiego mężczyznę, chyba że znają panowie kobietę olbrzymkę, a następnie penetracja szuflad wskazująca na dobrą znajomość lokalu.

- Jest pan lepszym detektywem niż my z przodownikami lekarzami – zauważył Strasburger.
- Mówię serio, pięknie pan to podsumował.

– To chyba oczywiste... – skromnie powiedział doktor. – Cieszę się, że moja konsultacja coś wniosła, ale podkreślam, to wszystko jest oczywiste.

– Nie dla każdego – westchnął aspirant, a Stolarczyk potakująco pokiwał głową.

– Chyba rozumiem, o co, a w zasadzie o kogo chodzi. – Medyk się skrzywił. – Nie zamierzam komentować plotek. Mogę tylko współczuć.

– Poradzimy sobie, nie przez takie rzeczy przechodziliśmy – odparł Stolarczyk. – Tak czy owak będziemy wykonywać swoją robotę, w końcu jesteśmy tylko psami gończymi. Gdybym potrafił, tobym teraz zaszczekał.

Ale nie potrafił, zrobił to za niego aspirant Strasburger, który zawył tak przenikliwie, że do mieszkania wbiegł stojący na klatce schodowej mundurowy, a chwilę później w drzwiach stanął niepozorny cywil. Strasburger i Stolarczyk znali go doskonale, był to sędzia śledczy Jan Czechowicz. Policjanci wymienili

porozumiewawcze spojrzenia, oczy Zygi Stolarczyka zdawały się mówić – dobra nasza, jest git! I było git, bo spośród ponad dwustu ludzi, którzy pracowali w kraju na tym stanowisku, ten był jednym z najlepszych, jeśli nie najlepszym, nie tylko w Warszawie, ale i w całej Polsce. Miał trzydzieści osiem lat i nie był ani za stary, ani za młody do tej roboty.

Wielu jego kolegów wstąpiło do służby tylko na chwilę i nie miało do niej drygu za grosz, a chwila trwała tak długo, że tylko emerytura albo śmierć ze starości mogły uwolnić śledczych od takiego nadzorca. Ten gatunek sędziego śledczego był rodzajem żywej skamieliny, którą zżerał kwas wydzielany przez ambitny organizm. Szans na inną robotę nie mieli, choć nie potrafili się z tym pogodzić, nie byli jednak niebezpieczni. Mieli swoje upierdliwości, ale zwykle praca z nimi polegała na tym, że udawali, że rządzą, i jeszcze mocniej, że pracują. Niektórzy wtrącali się do śledztwa mniej, inni bardziej, ale ogólnie szło wytrzymać.

Na drugim biegunie była sędziowska gówniarzerka, ludzie młodzi i niedoświadczeni, żółtodzioby, często asesorzy. Chłopaki bez kwalifikacji, którzy gubili się w śledztwach. Wiadomo było, że niektórzy z nich w końcu wyuczą się fachu, byli konkretni i starali się pomagać, jak umieli. Często polegało to na tym, że wyznaczali sobie i śledczym zadania, o których pięć minut wcześniej od śledczych usłyszeli. Zdarzały się też i młode kanalie, nie było ich wiele, ale były. Ambitne łebki wykorzystujące swą pozycję i traktujące policjantów jak chłopców na posyłki. No i byli doświadczeni, z którymi pracowało się dobrze lub źle, ale takie jest życie. Dzisiaj życie i szefowie Sądu Apelacyjnego zesłali im Czechowicza, to był wspaniały wybór, najlepszy. Przywitali się i szybko wzięli do roboty. Śledztwo rozpoczęło się tak, jak trzeba, elegancko i bajkowo. Nie ma to jak pracować z dobrym, łubianym fachowcem!

Gdy Edward Giez wrócił do redakcji, wyglądał jak nieboskie stworzenie. Nie dość, że nie dane mu było odpocząć po wczorajszych szaleństwach, to na dodatek torsje wyczerpały go do końca.

W życiu tak nie śmierdział, czego nie mógł mu darować szofer, a następnie koledzy w pracy.

Lśniący wciąż nowością i emanujący elegancją Dom Prasy nie gościł jeszcze kogoś w tak opłakanym stanie. Giez nie miał siły iść na piechotę, więc wbił się do windy, płosząc czekających. Nikt nie chciał znajdować się w ciasnym pudełku z kimś takim jak on choćby przez pół piętra. Wjechał samotnie na pierwsze, gdzie była ich redakcja, i wszedł do pokoju, a w zasadzie hali redakcyjnej „Expressu”. Nowoczesność miała dzisiaj same złe strony: podług najnowszej mody redakcja nie była ulokowana w pokojach, lecz mieściła się w jednym pomieszczeniu podzielonym na mniejsze części jedynie szklanymi przepierzeniami. W innym przypadku zapadłby się pod ziemię, ukrył, a przede wszystkim wymył i porządnie wyspał. Ale nie tego dnia, nie teraz! Nie zważał na nic, na złośliwe uwagi, pogardliwe spojrzenia, śmiechy i trzask otwieranych na oścież okien. Był jak kupa gnoju z papierosem w zębach, ale czniał to. Wkręcił papier do maszyny i pisał jak natchniony. Czuł, że Dobosz stanął za nim, czuł, że zastanawia się, co zrobić z tym fantem, ale jeden rzut oka sprawił, że z ust naczelnego padła komenda: – Nie przejmuj się pan niczym. Wywał mi pan wkładkę, będzie dodatek nadzwyczajny! Nie sprzedaj pan wszystkiego, pociągniemy przez dwa, trzy dni – po czym poklepał go po plecach.

Dobry wybór, bo akurat na plecach był względnie czysty. Nim skończył, na biurku leżała zaliczka, a goniec przyniósł mu ze sklepu nową koszulę, krawat i marynarkę. Stare łachy powędrowały na śmietnik. Tak rozpoczął się nowy rozdział.

– Jedź pan się wyspać albo walnąć klina, możesz pan zaordynować sobie dziwkę albo płukanie żołądka, mnie tam wszystko jedno. Chcę mieć tylko artykuł na jutro, zrobimy wokół niego całe wydanie i oczywiście dodatek!

Zrobił jeszcze inaczej, strzelił klina Pod Dwójką, wrócił do redakcji, napisał tekst do dodatku. Postanowił kuć żelazo, póki gorące, bo zbyt długo czekał na taką chwilę. Gdy jechał jak panisko do swojej nory przy Świętokrzyskiej, usłyszał, jak gazeciarze wołają: Expreeeeess Warszaaaaaaaa, doooodatek nadzwyczajny!

Traaaaaagiczny koniec Madame Gali!

Straaaaaaszna zbrodnia na Śliskiej!

Króloooooowa kobiet upadłych i sutenerów nie żyje!

Kuuuuuuupujcie dodatek nadzwyczajny! Expreeeeess Warszaaaaaaa!

To był jego dodatek, jego wygrana!

Strasburger i Stolarczyk przesłuchali sąsiadów oraz ciecica i jego rodzinę.

Na Kazimierza Piecucha liczyli najbardziej, ale oszołomiony wciąż dozorca ze Śliskiej wiele nie powiedział.

– Co się stało? – zapytał Strasburger.

– Przypalantował mnie w głowę...

– Jaki był? – wciął się Stolarczyk.

– Wysoki, wielmożny panie!

– A może niski?

– Tak, niski, wielmożny panie...

– Co wielmożny panie? Nie jesteśmy, do cholery, stójkowymi z cyrkułu, tylko policjantami z Urzędu Śledczego! – Strasburger widział, że stary cięc zaczyna się płatać ze strachu i za chwilę gotów będzie opowiedzieć każdą bajkę, byleby pasowała ona śledczemu. – Mów, człowieku, jak było! Uspokójcie się, nie jestem właścicielem kamienicy ani carskim sądem. Chcę wiedzieć, co się stało, i guzik mnie obchodzi cała reszta.

Cięc odetchnął, jakby się uspokoił.

– Może papieroska? – zaproponował śledczy.

Cięc kiwnął głową, sięgnął po papierosa, zapalił, zaciągnął się i zaczął mówić: – No więc, wielmożny panie...

Ten typ tak ma, pomyślał Strasburger i zagryzł wargi. Może go nazywać nawet *wasze wieliczesstwo*, ale niech mówi!

– Gdy sprzątałem ulicę, usłyszałem kroki, wbiegłem do bramy i zawołałem za nim. Poszłem do klatki schodowej i ledwo wsadziłem łeb do środka, a ten zdzielił mnie i tyle z tego pamiętam.

– Kręcił się ktoś tutaj?

– Znaczy się czy zachodził do Ejzenberg?

– Tak.

– Było paru takich. Panowie z towarzystwa, dorożkami zajeżdżali albo taksówkami, aleganty, ślicznie ubrani...

– Tylko tacy?

– Trochę takich bardziej szemranych też było. Jeden z nich taki więcej postawny był, jak wielka małupa, można by powiedzieć, on najczęściej się tu pojawiał. Solidny gość, jakby taki przyłożył, toby łeb z płucami wyrwał.

– Goliat! – Stolarczyk nie wytrzymał.

– Ja tam nie wiem, czy Oliat mu było, czy kto tam inny, taki starozakonny bardziej.

– No to Goliat! – triumfalnie zakrzyknął przodownik. – W końcu objawił się Goliat.

– Ja tam nie wiem, nie znam się. – Cięc Piecuch znów skulił się w sobie.

– Częściej oni do niej przychodzili czy ona jeździła na spotkania? – zapytał Strasburger.

– Najczęściej to ona, prawie codziennie wyjeżdżała w jakichś interesach, zawsze z pompą.

– Z pompą? – Strasburger zdziwił się.

– Taksówka albo dorożka po nią zajeżdżały. Na piechotę nie chodziła, tramwaje też nie dla niej, no i zawsze pilnował jej ten cały Oliat, ta małupa, ten goryl. Jak ktoś do niej przychodził, to ten małpison też się kręcił, jakby jej pilnował, goryl jeden... – powtórzył, jakby smakował słowo, które wydawało mu się egzotyczne i mądre. – Goryl to jest, bo ja wiem, jak wygląda goryl, jego, znaczy się tę małupę, w zoologu widziałem. – Cięć z dumą wyszczerzył zęby.

– Byli jeszcze jacyś stali interesanci?

– Jeden taki starszy, księgowy, łeb mnie boli, ale moja stara przypomni sobie nazwisko, no i pojawiał się jeszcze taki jeden. Też postawny, duży nawet, ale od tej małupy mniejszy.

– Niższy, ale nie niski?

– No taki bardziej jak wielmożny pan, może nawet ociupinkę niższy.

– Jak się przedstawiał, nazywał się jakoś?

– Pierwszy raz zajechał dorożką z Madame Galą i wtedy ona pokazała na niego i powiedziała, żeby go zawsze wpuszczać. Ważny gość musiał być, ale nie tak ważny, żeby nie było przy nim cały czas tego małupy. Szaconeczek miał i aleancko był ubrany, jakoś tak nie po warszasku.

– Poznałbyś go pan?

– Jak Żyd wyglądał...

– W chałacie był?

– Nie, ale jakoś tak starozakonnie wyglądał i brodę miał. On od niedawna tu zachodził.

– Może na numerek? – wtrącił się Stolarczyk.

– Pięć minut wszystkiego – zaśmiał się cięć. – Jaki to numerek, tak szybko to nawet listonosz nie dałby rady. On tu wparowywał jak jaki drozd.

– Drozd? – Policjanci spojrzeli na niego ze zdumieniem.

– Dudek... – niepewnie powiedział cięć.

– Jaki, cholera, dudek?

Cięć bezradnie rozłożył ręce.

– No ten ptak...

– Szczygieł! – wypalił Stolarczyk.

– No mówię, że szczygieł! – ucieszył się cięć. – No taki ten, w czerwonej czapce!

– Trzeba było mówić, że posłaniec – westchnął poirytowany Strasburger, który sam na moment zapomniał o wymierającej instytucji, jaką byli posłańcy od swoich czerwonych czapecek i wysiadywania na składanych taboretach nazywani drozdami. – Przychodzili tu posłańcy, czyli drozdy...

– No to mówiłem, ale ta łepetyna...

– Dobra, wracamy do gości Madame Gali. Ilu mogła mieć... – Strasburger nie potrafił znaleźć właściwego słowa, tak by nie narzucać Piecuchowi odpowiedzi.

– Klejentów znaczy się? – zaśmiał się dozorca pod wąsem. – Ze dwóch, trzech, nie więcej niż pińciu. Moja stara wie, bo tam sprząta czasem.

Więcej z ciecia nie wyciągnęli, a żona potwierdziła jego obliczenia. Klientów było kilku, eleganckich, grzecznych, bogatych.

– To byli ustosunkowani panowie! – mówiła z wypiekami na twarzy.

– Trudno, żeby było inaczej – nie wytrzymał Stolarczyk. – O to w tym wszystkim chodziło. Po co jeździła, co załatwiała na mieście?

– Czasem zdarzało się wyjeżdżać na dłużej.

– Na wywczas?

- Na wywczasy jeździła co trzy miesiące.
- Taka to pożyła... A te inne wyjazdy?
- Po dwa, trzy dni. Czasem nie wracała na noc.
- Jeździła się puszczać czy w interesach?

– A jak taka się puszcza, to chyba robi to dla interesu, co nie? – Franciszka Piecuch zaskoczyła śledczych swoim pytaniem.

- W sumie racja. Ale można i dla przyjemności. – Przodownik zachichotał lubieżnie.

– Dla przyjemności to ona liczyła pieniądze. Pieniążki i biżuterię. Tyle tego miała poupychane, że strach było u niej sprzątnąć. Pierździonki, naszyjniki, łańcuszki, świecidełka. Skarby, panie, skarby.

Piecuchowa potwierdziła to, co mówił wcześniej jej mąż: że kręciło się tu dwóch wielkich drabów i że wpadał jak po ogień jeden starszy, dobrze zbudowany typ z brodą. I to wszystko, a sąsiedzi także nie dostarczyli żadnych rewelacji, a więc szukaj wiatru w polu. Wrócili jeszcze na moment do mieszkania, tam mieli ważną rzecz do zrobienia.

- Zyga, wyciągaj kredki z tornistra i rysuj schemat oraz plan sytuacyjny! – zaordynował Strasburger.

Stolarczyk westchnął ciężko, ale zabrał się do pracy. Strasburgerowi szkoda go było do tej roboty, bo świetnie radził sobie, przesłuchując i rozpytując. Był w tym mistrzem, ale Kornel skrobał na papierze jak kura pazurem i jego rysunki były do kitu, a przecież w dokumentacji dla sędziego musiało być to wszystko elegancko przedstawione. On mierzył, Zyga rysował, tak sobie radzili. Pogadali jeszcze chwilę z sędzią śledczym Czechowiczem, który sugerował, żeby położyć nacisk na poszukiwania gości i klientów odwiedzających Gołdę Ejzenberg oraz na przesłuchanie księgowego Jakuba Rozenblata. Pięć minut rozmowy i Czechowicz walił do sądu okręgowego. Normalka, czasem policjantom wydawało się, że sędziowie śledczy byli bardziej obciążeni robotą niż ludzie z Daniłowiczowskiej.

Potem wpadli jeszcze chłopcy z Ciepłej poszukać śladów papilarnych, może się co trafi, cóż, cuda się zdarzają. Z miejsca zainteresowali się szklanką, która stała na stoliku, oraz drzwiami szaf.

– Pamiętasz, żeby kiedy to coś pomogło? – zapytał Strasburgera Stolarczyk, gdy po paru godzinach wychodzili z kamienicy przy Śliskiej.

– Były takie przypadki, ale my nigdy nie mieliśmy szczęścia. Ale wiesz, jak mówią – głupi ma zawsze szczęście.

– No to my leżymy – orzekł Stolarczyk – bo mnie się wydaje, że tak zasadniczo to my jesteśmy raczej mądre chłopaki! Zapalisz?

- Zapalę! A poczęstujesz?

Przodownik Zygmunt Stolarczyk z uśmiechem sięgnął do kieszeni. Mina zrzęda mu błyskawicznie.

- A wiesz, że nie do końca takie mądre?

- Ty też nie masz?

- Mam, ale jednego, wiesz co, złamię na pół!

Szli Wielką w kierunku Próżnej, a potem do Ogrodu Saskiego, szli i palili po połówce papierosa, serdecznie się śmiejąc. Na chwilę zapomnieli o poszukiwaniu mordercy, na razie wypatrywali trafiki lub ulicznego sprzedawcy papierosów i cieszyli się z tego, że są na świeżym powietrzu. Ich bez troska nietrwała długo, na placu Teatralnym, niedaleko urzędu, usłyszeli wrzask majdaniarzy: Straaaaaaszna zbrodnia na Śliskiej!

Króloooooowa kobiet upadłych i sutenerów nie żyje!

Kuuuuuuupujcie dodatek nadzwyczajny! Eeeeexpress Popołudniowy!

Kupili dodatek i już po chwili lektury zrozumieli, że reporter, który wyglądał na gamonia, wcale gamoniem nie był.

– Z „Kuriera” wycięty – zaklął Stolarczyk, trzymając gazetę. – Patrzcie no go, o mało płuc nie wyrzygał, stracił przytomność, a ile naskrobał!

– Jak już, to z „Expressu” – zaśmiał się Strasburger.

– Nieważne, ważne, że spryciarz, jakich mało, i trzeba to zapamiętać. Wygląda na to, że wie dużo na temat morderstwa.

– Z tego, co widzę, wie tyle, ile przy nim powiedzieliśmy. Jest o nieprzytomnym cieciu, o tym, że Ejzenberg udawała kiedyś w luksusowym burdelu Hiszpankę, masz ojej wielkich znajomościach, mocnych plecach, masie wrogów, stajni z najlepszymi dziewczynkami, o handlu żywym towarem, nieuchwytności Goliata i wielkich tajemnicach jej alkowy.

– Fiu, fiu – zagwizdał Stolarczyk – faktycznie nam się chłopak rozbrykał.

– No i patrz, jaki cymesik dał na koniec: „Jutro przedstawimy sensacyjne powiązania i znajomości największej warszawskiej burdelmamy, która czterdzieści dwa lata temu urodziła się w rodzinie bogatych kupców z Witebska...”. Nie lubię takiego szumu. – Strasburger pokręcił głową.

– Jest paru, co lubi, zauważyłeś, że ostatnio pan nadkomisarz zrobił się jakiś taki...

– Hop do przodu?

– Dokładnie. Nasz pryncypał zaczął zwracać baczną uwagę na to, co piszą o urzędzie w gazetach, no i jakiś taki się energiczny zrobił. – Stolarczyk zamałpował ruchy nadkomisarza, który miał nadwagę i maszerował dostojnie z wypiętym brzuchem.

– Może i tak. – Strasburger wzruszył ramionami. – W każdym razie musimy zacząć nowy etap śledztwa.

– Czyli?

– Kupmy fajki, bo nie mamy czego palić – zaproponował Strasburger.

I tak zrobili, przynajmniej mieli co palić, a to w życiu i pracy każdego śledczego jest niemal tak samo ważne, jak świadkowie, ślady na miejscu zbrodni i informacje od płatnych donosicieli.

Warszawa, środa 28 maja 1930

Zamiast pięknego słonecznego poranka plucha. To nie był wiosenny deszczyk, tylko wcale porządna ulewa.

– Pada jak psia mać – skwitował przemoknięty do ostatniej nitki Stolarczyk.

– Niechby nawet padał grad, bylebyśmy poszli naprzód w dochodzeniu. – Strasburger westchnął ciężko.

– Święto Wniebowstąpienia szlag trafi, Jadwiga się wścieknie! – Przodownik burczał niezadowolony.

– Wezmę to na siebie, spokojna głowa, na mnie już od roku nikt w domu nie czeka – pocieszył go Strasburger.

– A ojciec?

– Tak jakby go nie było, dłużej przy tych swoich maszynach do pisania, czasem coś razem zjemy. Mrukliwy się zrobił na stare lata, coraz częściej wspomina matkę i mówi, że niedługo się spotkają. Nie ma na to żadnego lekarstwa.

– Szkoda twojego starego, może mu w końcu przejdzie. Tak czy owak nie mieszkasz sam. Moim zdaniem to idealny układ! Coś do jedzenia zawsze się znajdzie, płacicie za mieszkanie na spółkę, a żona nie skrzeczy za uszami. Formalnie cymes. – Stolarczyk cmoknął jak żydowski handlarz, przykładając palce do ust. – Jakkolwiek by teraz było, to w sumie porządny z niego gość! Owszem, są pewne minusy, bo nie zawsze możesz sobie sprowadzić babeczkę i się pięknie zabawić, ale ma to też dobre strony. Wiesz, jak to jest, człowiek cieszy się z kawalerskiego stanu, a tu jakaś lafirynda zaczyna mu się w domu zakorzeniać!

Ku zaskoczeniu Stolarczyka Kornel Strasburger nie zaśmiał się.

– Może i tak, może i nie. – Zasepił się. – Trzecia dyszka na karku, wkraczam powoli w wiek

starokawalerski, pora się ustatkować.

– Dwadzieścia osiem lat, piękny wiek, ileż bym dał, żeby być takim starym kawalerem – rozmarzył się Stolarczyk. – Porządziłbym jak trzeba w szynkach, no i parę panierek bym zapoznał...

– A ileż byś dał, żeby Jadwiga nigdy się o tym nie dowiedziała?

– Ty szpiclu – ryknął stary śledczy. – Ile chcesz za wykupienie się z tego szantażu?

– Daj fajkę! – zaśmiał się Strasburger.

Pałac, zajrzeli do gazety.

– Patrz pan, panie śledczy, dzisiaj pan żurnalista opisał wszystkie pozostałe wątki – powiedział z podziwem Stolarczyk. – Usamodzielnienie się Madame Gali, ochrana, niemiecka żandarmeria połowa, gang nieznany publiczności, a silny jak żaden inny...

– A nie mówiłem, że ocknął się wcześniej, niż się zdawało? Do tego ma skurczybyk niezłą pamięć.

– To dobrze, zamiast zaglądać do notatek, roztwieram gazetkę i mam wszystko jak trzeba.

– Taaak. – Strasburger się zamyślił. – W twoim przypadku to ważne, sadsisz straszne kulfony.

Już parę razy myślałem, że pieszsz po żydowsku albo cyrylicą!

Obaj parsknęli śmiechem. Dobrze im się pracowało i rozumieli się znakomicie, a jak było trzeba, to i bez słów, ale sprawy zabójstwa Madame Gali nie posunęli naprzód nawet o milimetr. Zdjęto ślady ze szklanki – nie należały do żadnego bandyty z kartoteki, a kolejni świadkowie nie wnieśli do sprawy nic nowego. Lotni agenci i płatni informatorzy nie zebrali jeszcze żadnych informacji. Ale na to przyjdzie pora, z szynków, melin czy domów paserów nadejdzie prawdopodobnie cynk, że ktoś puścił w obieg biżuterię po największej burdelmarni Warszawy. Jeśli tak się stanie, to kto będzie próbował upłynnić te świecidełka: Goliat albo jego nieznany z imienia i nazwiska pomagier, może tajemniczy posłaniec, a może jeszcze ktoś inny? Prędzej czy później to się musi stać, Jakub Rozenblat, księgowy Madame Gali, wycenił skarby na sto tysięcy złotych. Dużo była warta ta Ejzenberg, dużo, ale ile naprawdę, tego nie potrafili jeszcze zliczyć, specjalista od podobnych spraw aspirant Marek Gawliński powiedział, że oszacowanie jej majątku i przesłedzenie powiązań finansowych może zająć nawet parę miesięcy.

Edward Giez był w dobrym nastroju i nie psuł go nawet lejący deszcz. Jego akcje poszły w górę, w Domu Prasy zaczęto go traktować poważnie, a co najważniejsze, posada, która wydawała się ze stadium okresu próbnego wchodzić w agonię, powróciła do żywych. Józef Dobosz patrzył na niego życzliwie i chwalił na każdym kroku. Podczas środowego kolegium Edward spodziewał się kolejnej porcji pochwał, tymczasem Dobosz nawet na niego nie spojrział, tylko uderzył jak pięścią w nos.

– Dostałem telefon z Katowic, stamtąd, jakby mierzyć w kilometrach, od Berlina mniej więcej tyle samo co od nas, ale tam się czyta niemiecką prasę jak polską. Posłuchajcie, co za rarytas!

– Dobosz wcisnął na nos okulary.

W sali zapanowała cisza, widać było, że naczelny ma do przekazania coś istotnego.

– „Wampir z Dusseldorfu ujęty! Niespodziewany koniec krwawej serii, która wstrząsnęła Niemcami – zaczął z namaszczeniem Dobosz. – Policja była bezradna wobec morderczego postępowania tajemniczego zbrodniarza, ale funkcjonariuszom przyszedł z pomocą niebywały zbieg okoliczności. Czternastego maja Maria Budlick, kobieta z prowincji, która przyjechała do miasta w poszukiwaniu pracy, została zgwałcona. Nieszczęsna ofiara wyrwała się zwyrodnialcowi, po czym listownie poinformowała o tym dramacie swą przyjaciółkę, a ta z kolei poszła z listem na policję. Dzięki dokładnemu opisowi gwałciciela udało się ustalić, że jest to Peter Kurten (czterdzieści siedem lat). Obława nie powiodła się, gwałciciela nie zastano w domu, ale niespodziewanie Kurten przekazał swej żonie, że chce się oddać w ręce wymiaru sprawiedliwości. Przestępca oddał się w ręce policji dwudziestego czwartego maja, czekając na funkcjonariuszy w kościele Świętego Rochusa. Stróże prawa weszli do świątyni uzbrojeni, ale ich rewolwery nie zostały użyte. Kurten spokojnie oświadczył: nie ma potrzeby się bać. Policjanci byli pewni, że złapali gwałciciela, tymczasem aresztowany wyznał śledczym, że jest poszukiwanym przez całą

niemiecką policję osławionym potworem z Dusseldorfu. Peter Kurten przyznał się do siedemdziesięciu dziewięciu morderstw i gwałtów".

Po sali przeszedł szmer niedowierzania.

– Po Świącie Wniebowstąpienia ruszamy z tym tematem, zaraz podejmiemy decyzję, kto się do tego weźmie, a na razie wyciągamy, co się da, z żyły złota, którą pan Giez nam tak pięknie podrażzył.

Dla Edwarda stało się jasne, że temat zabójstwa Madame Gali zszedł na dalszy plan. Ale nie ma się co załamywać, może to on pociągnie temat, w końcu wskoczył na najwyższą półkę, dając w ostatnich dniach „Expressowi” przewagę zarówno nad gazetami z koncernu, jak i konkurencyjnymi „ikacem”^[4] i „ABC”. Za chwilę zapadnie werdykt, czekał na niego w napięciu wraz z całym zespołem.

– Kto z państwa najlepiej włada niemieckim? – spytał Dobosz.

W górę poszło parę rąk, on też podniósł, ale nieśmiało, bez przekonania, bo wiadomo było, kto w tej dziedzinie jest najmocniejszy.

– Pan Herman! Pan jesteś prawie Niemiec!

Teraz szpalty będą należeć do Michała Hermana, którego właśnie wskazał palcem naczelnicy. To on pojedzie do Berlina, a później do Dusseldorfu i będzie raczył krwawymi doniesieniami warszawską publikę. Giez znał troszeczkę niemiecki, ale przy Hermanie, którego babcia wciąż mówiła w tym języku, i wobec jego częstych wyjazdów do Berlina nie miał żadnych szans. Szkoda, a już było tak pięknie. Znów drugi szereg, znów szarzyzna. Cóż, nie da się, powalczy. Miał jeszcze jeden materiał, który da po Świącie Wniebowstąpienia, a później poszuka czegoś nowego. Musi znaleźć, bardzo spodobało mu się to, że jest na szczycie.

Epoka Edwarda Gza nie trwała nawet tygodnia. Była krótsza niż sto godzin, nie został gwiazdą, zabłysnął tylko jak meteor. Zaraz po Świącie Wniebowstąpienia Józef Dobosz rozwiął wszelkie wątpliwości.

– Szanowni państwo, jak zdążyliście zauważyć, Madame Gala i jej gwałtowne odejście z naszej czołówki, dziękuję panu Gzowi za pierwszorzędne relacje i liczę jeszcze na notatkę sumującą. – Naczelnicy wskazał ręką na Gza niczym cyrkowy konferansjer na tygrysa, po czym gwałtownie odwrócił się w drugą stronę i jakby szukając natchnienia, spojrzął w sufit. – Teraz na tapecie mamy Petera Kurtena i relacje pana Hermana. Pan Giez będzie współredagował te relacje, masz pan do tego dryg, nie da się ukryć. Ale to nie wszystko, porozmawiaj pan jeszcze z doktorami, psychologami, policjantami, z księdzem, z kim pan tam uzna za stosowne, byle temat nam rósł.

Edward Giez kiwnął głową. Z roli samodzielnego reportera wracał do punktu wyjścia. Znów był czyimś asystentem, pomagał pchać cudzy wózek w zamian za parę złotych i inicjały EG pod tekstem. Dobre i to, przynajmniej ma zajęcie, choć nie takie, o jakim marzył. Chciał po prostu pisać, a za tematem trzeba było się nadreptać albo nadłubać w starych papierach, chodzić po ludziach. Zazdrościł Alicji Pohulance tego, jak pracuje. Ech, żeby tak wystarczyło pojechać, zobaczyć, popachnieć, wypić kawkę albo jeszcze lepiej kawkę z koniaczkiem, wrócić, usiąść przy biurku i po prostu napisać.

Narzekania skończyły się szybko, końcówka maja i początek czerwca przeleciały jak z bicza strzelił, najpierw święto Szawuot nazywane żydowskimi Zielonymi Świątkami, a w tydzień później chrześcijańskie Zesłanie Ducha Świętego. Żadnych sensacji, nawet wampir z Dusseldorfu zszedł z tapety. Edward Giez przyjął to z ulgą, uszami mu już wyłaziły spotkania z psychologami, lekarzami z Tworek, księżmi i emerytowanymi policjantami. U tych czynnych miał przekichane po tym, jak udawał na Śliskiej zemdłonego i podsłuchiwał rozmowę śledczych z kierowniczką obyczajówki. Czego mu nie chcieli powiedzieć, wyciągnął od tych, co odeszli ze służby, a czego nie usłyszał, dołożył od siebie. Zełgał, że miał anonimowych informatorów, a Dobosz ochoczo to kupił. Mało tego, zdaniem naczelnego były to najciekawsze fragmenty jego artykułów. Giez nie miał wyrzutów sumienia, bo przecież mogli tak powiedzieć. Ale skoro tym razem nie powiedzieli, to poradził sobie bez nich, pies ich ganiał! To, co go martwiło, to brak ciągu dalszego, a miał jeszcze kilka informacji do sprzedania i pomysłów do rozwinięcia,

dopiero się przecież rozkręcał.

Szykowano się do wakacji i szukano jakiegoś tematu na zamknięcie czerwca. Edward Giez marzył, by jeszcze wrócić do sprawy Madame Gali, postawić kropkę nad i, a potem dostać angaż w „Expressie”. Była szansa, więc tym bardziej nie chciał tego spieprzyć. Bał się tylko, że Józef Dobosz, który się do niego przekonał, wyrzuci mu niedźwiedzią przysługę i wsadzi go na wysokiego konia, z którego on spadnie i złamie sobie kark. Chciał bezpiecznie dojechać do końca czerwca i podpisać umowę, którą miał już prawie w kieszeni, ale, tak jak się obawiał, naczelny nie ułatwiał mu sprawy.

– Panie Edwardzie, ma pan jakiś pomysł? Liczymy na pana – zagadnął go podczas kolegium.

Giez z miejsca uderzył w swoją ulubioną nutę: – Panie redaktorze naczelny – zaczął z namaszczeniem, ale nie takim lizusowskim, miękkim, tylko po wojskowemu, dziarsko, jakby mówił do Marszałka – mam jeszcze mnóstwo niewykorzystanego materiału dotyczącego sprawy Gołdy Ejzenberg...

– Panie kolego, ten temat był głośny – tu Edwardowi zaświtała nadzieja – nawet bardzo głośny, ale niestety sprawa Madame Gali już wybrzmiała. Czytelnik chce kolejnej sensacji, trzeba podążać za nowością, mamy proszę państwa trzydziesty rok dwudziestego wieku! Telegraf, telefon, radio... To istny zalew informacji, a tempo, w jakim do nas spływają, jest zawrotne! Była sprawa morderstwa przy Śliskiej, ciekawa, elektryzująca nawet, ale pojawił się wampir z Dusseldorfu. Cóż znaczyła śmierć jednej, nawet bardzo ważnej kobiety upadłej wobec śmierci siedemdziesięciu paru niewinnych kobiet? Zna pan zasadę Butkiewicza?

Znał ją, wszyscy wiedzieli, co mówił jeden z właścicieli Domu Prasy i zarazem naczelny „Czerwoniaka”: jeden trup na Marszałkowskiej równa się dziesięciu trupom w Paryżu, stu trupom w Nowym Jorku, tysiącom trupów w Brazylii, dziesięciu tysiącom trupów w Chinach. Kiwnął więc pokornie głową, bo tym razem przelicznik zagraniczny górował nad krajową atrakcją.

– Gołda Ejzenberg umarła dwa razy – ciągnął Dobosz – najpierw jako królowa warszawskich lupanarów, a następnie jako temat w prasie. Ale... – zawiesił głos – może się jeszcze coś zdarzyć, a ten temat wróci, życie potrafi płatać figle i zaskakiwać. Tymczasem odkładamy tę sprawę ad acta!

Edward Giez wiedział, że powrotu jego jedyne go własnego tematu nie będzie, chyba że... Ale czy to kiedyś nastąpi?

Naczelny redaktor „Expressu Warszawskiego” Józef Dobosz przemawiał dalej: – Redaktor Kalicki podrzucił mi pewną myśl. Żeby ktoś młody i ciekawy świata, wrażliwy na nieszczęście ludzkie zrobił reportaż o kobietach upadłych. Serię reportaży – uśmiechnął się zachęcająco w kierunku Gza – a punktem wyjścia niech będzie zabójstwo Madame Gali.

Edward Giez siedział jak oniemiały.

– Oczywiście ten wstęp to jakieś dwie, trzy linijki tekstu o zbrodni, a później już właściwy temat. Co się pan tak patrzy, przecież to oczywiste, że pan będzie o tym pisał!

Wszyscy patrzyli się na niego jak nie z podziwem, to z zazdrością, a on był przerażony. Czy da radę? Był cwaniakiem, jak siedział przy maszynie do pisania, ale nie lubił węszenia i dłubaniny. Można by było troszkę popłynąć, ale łatwo się na tym przejechać. Janusz patrzył na niego wzrokiem mordercy, bo to był jego świat, jego tematy. Kurwy, alfonsi, burdelmamy. Znał się na tym i na pewno będzie z uwagą czytał, nie wolno zatem skrewić, nie ma szans na to, by pofantazjować. Noż kurwa, ale go Dobosz urządził, rzucił go na głęboką wodę i będzie patrzył, jak tonie!

Kornel Strasburger siedział przy swoim biurku w Urzędzie Śledczym. Nic mu się nie kleiło, to była policyjna orka na ugorze. Byleby dojechać do kanikuły. Z początkiem lipca Warszawa opustoszeje, wielki świat wyjedzie do Zoppot, Zakopanego, Krynicy i Zaleszczyk, a doliniarze podążą za nim łowić fanty. Mniej zamożni ruszą na letniaki, a złodzieje będą obrabiać puste mieszkania. To nie była jego specjalność, kiedyś tak, ale teraz przydzielano mu grubsze sprawy. Ostatnio trafiły się dwa banały, kompletny amator posunął kosą koleżkę przy piwie, inny zaś nieudacznik napadł na sklep z futrami i machając nożem, dobrał się do kasy, po czym dał nogę. Pierwszy wpadł po przesłuchaniu klienteli baru, dwóch gości pękło, gdy

docisnął ich Stolarczyk, i powiedzieli, kto, co i jak. Z utargiem u kuśnierza żadna filozofia. Dupek się obłowił i zaczął w jednym z szynków na Powiślu popisy, stawiał ferajnie, a panienkom kupował prezenty. Zazdrosny o pannę apasz szepnął komu trzeba na ucho i tak dla cwaniaka od futer zakończył się romans z siksą, która już miała swojego absztyfikanta. Dwa sukcesiki do statystyki, ale takie coś nie mogło ukoić podrażnionej ambicji śledczego, a przede wszystkim zaspokoić jego ciekawości. Kto i dlaczego ukatrupił Madame Galę... Żadnych nowych informacji, zero, nul. Cicho było na mieście, ten, co rozwalił głowę Madame Gali, nie był prostakiem, który po paru dniach puściłby fanty w obieg i zaczął się zabawiać z dziewczynkami i stawiać kumplom, a przy okazji donosicielom.

– Sądysz, że to taki, co szybko nie pęknie? – zapytał Strasburgera Stolarczyk.

– Sądzę, że to taki, który w ogóle nie pęknie. On tam nie przyszedł dla fantów.

– Czyli jesteś na bank pewien, że interesowało go rozwalenie makówki cioci Gali, a biżuteria była tylko tak przy okazji?

– Coś mi podpowiada, że tak właśnie jest.

– *Pożywiom, uwidim* - filozoficznie podsumował Stolarczyk. – Mnie się jednak wydaje, że jak ginie tak bogata dziwka, to chodzi przede wszystkim o pieniądze.

Kornel Strasburger i Zygmunt Stolarczyk przerabiali ten dialog niemal codziennie. Po prawie miesiącu takich gadek aspirant doszedł do wniosku, że chyba cierpi na coś, co nazywają *deja vu*. Postanowił więc przerwać ten zakłęty krąg i zakończyć rozmowę inaczej niż zwykle.

– Założysz się? – zapytał Stolarczyka.

– Założę, ale o co?

– O to, co zawsze – zaśmiał się Kornel.

– Gdzie?

– W Staropolskiej.

– Lubię, jak tam fundujesz! – Przodownik klasnął w dłonie, aż koledzy z urzędu spojrzeli na nich z zaciekawieniem.

– Żebyś się nie zdziwił!

– Założyli się panowie? – zapytał komisarz Teodor Sznuke.

– Tak! – odpowiedzieli niemal natychmiast.

– O co?

– O to, czy w morderstwie na Śliskiej chodziło o rabunek, czy o zemstę.

Komisarz Sznuke przeciął.

– Oczywiście jako świadek zakładu...

– Nie może być inaczej, sekundant też idzie do Staropolskiej! – oświadczył przodownik Stolarczyk z taką powagą w głosie, jakby chodziło o pojedynek na rewolwery, a nie o zakład.

– Napić się z panem to będzie prawdziwa przyjemność, a to, że za pieniądze pana aspiranta, to już dubeltowa przyjemność.

Śledczy zaśmiali się, z Zygi Stolarczyka był zgrywus, jakich mało.

– Nie bądź taki wyrywny, Zyg, Staropolska to nie Oaza, ale wiedz, że wygram zakład i pokażę ci, jak się rujnuje tych, którzy przegrywają zakłady!

I ta riposta została przyjęta z uznaniem.

– Ależ nie ma o czym mówić! I tak ty stawiasz! – Przodownik był pewny swego. – A za pozwoleniem, pan jak uważa, panie komisarzu? – zwrócił się do Teodora Sznuke.

– Ja wynik znam, panowie...

– Co? – zdziwili się przodownik i aspirant.

– Jakkolwiek się to skończy, to ja i tak idę z panami na kolację i nie będę za nią płacił! – Śmiali się już wszyscy, ale powaga szybko wróciła. – A tak całkiem serio to nie mam pojęcia, pół na pół, na dwoje babka wróżyła. Gdyby to była zwykła, choć majątna lampucera, to byłoby jasne, że ktoś przyszedł do niej po skarby. Ale to nie była zwykła dziwka z mająteczkiem, tylko Madame Gala. Ten ktoś musiał być zatem albo skrajnie przebiegły, albo bezdennie głupi. Wszyscy wiedzą, że Szpic ma majątek. My nie potrafiliśmy i nie potrafimy się do niego dostać, a bandyci wiedzą, co i jak, ale się zwyczajnie boją.

Strasburger i Stolarczyk kiwali głowami.

– No tak, kto by śmiał? – Strasburger przyłożył dłoń do podbródka jak starożytny filozof. – Albo skończony, bezmyślny idiota, albo ktoś bardzo silny, albo...

– Może jednak idiota? – przerwał Stolarczyk.

– Idiota już by puścił fanty albo przynajmniej pohulałby akonto. A tu nic... – Kornel Strasburger rozłożył ręce.

– Chyba że przyszedł tam w innym celu, a kosztowności zrabował przy okazji. Połaszczył się lub... – Sznuć zawiesił głos.

– Albo zawinął ten towar, żebyśmy myśleli, że to napad! – wypalił Stolarczyk.

– Żebyś myślał! – zgasił go aspirant. – Ja jestem pewien, że tak jest. Słyszałeś, co mówiła pani kierownik Paleolog? Kapowała dla ochrony, niemieckiej żandarmerii polowej, zabawiała notabli. Wiedziała dużo, może za dużo...

– Szantaż? Zemsta z wyższych sfer? – zastanawiał się Sznuć.

Strasburger wzruszył ramionami.

– Nie róbmy z niej generała Zagórskiego! Moim zdaniem rozwiązanie okaże się banalne, zwykle tak bywa.

– Jest tego tyle, że nie wiadomo, od czego zacząć. – Stolarczyk westchnął.

– Ja zacząłbym od kawy – zaśmiał się Sznuć – a później zabrał się do innych bieżących spraw, pewno coś tam się jeszcze pęta po biurku?

– Aż za wiele – jęknęli Strasburger i Stolarczyk.

– Na razie nie wiem, kto mi funduje kolację, ale wiem na pewno, że będzie prima sort!

– podsumował Sznuć. – Panowie, na mnie czas, sieroty po Szpicu, które obrobiły magazyn jubilerski przy Krakowskim Przedmieściu, same się do mnie nie zgłoszą, a poza tym...

– Na pewno jeszcze się coś pęta na biurku! – dokończył Zyga Stolarczyk.

Pożegnali się, Sznuć wyszedł, a dwójka śledczych zabrała się do pomniejszych spraw; jak nie możesz złapać grubej ryby, zapoluj na płótkę.

Żeby przeczytać gazetę, należy pierw wyjść z domu. Może kiedyś nie trzeba będzie opuszczać pokoju, mieszać się z tłumem na ulicy, tylko znajdzie się prasę od razu u siebie na stole. Nie do końca wyobrażał sobie, jak by to miało wyglądać. Teraz w najbogatszych domach dostarczaniem gazet zajmuje się służba, w nieco biedniejszych gazetę przynosi cięć albo wkłada w drzwi. Wielkim panem nie był, ciociowi trzeba by zapłacić, a z drzwi ktoś by ją na pewno buchnął. Taki dom. Mógł jeszcze zamówić w redakcji, ale kto to słyszał, żeby płacić za doniesienie gazety złoty pięćdziesiąt i tylko w abonamencie, czyli razem siedem pięćdziesiąt. To dawało sto pięćdziesiąt papierosów Sport albo aż pięćset papierosów Wanda. Potarł brodę. Chcąc nie chcąc, włożył koszulę, wciągnął portki i jakąś kapotę, wyszedł z mieszkania i kupił gazetę na ulicy. Kupił i się zdziwił, bo choć gazeciarski sprzedający dodatek specjalny „Expressu Warszawskiego” krzyczał „Wampir – morderca!”, to na pierwszej stronie nie było nic o zabójstwie Madame Gali. Chodziło o Petera Kurtena, jakiegoś Niemca z Dusseldorfu, który zamordował ponad siedemdziesiąt kobiet. Wtedy też pisali, a jakże, zwłaszcza o tej, której rozpruto nożem brzuch, wnętrzności wylały się na zewnątrz,

lekarz opisał to wszystko w protokole i była z tego wielka sensacja. Nikt jednak nie relacjonował, jak do tego doszło, cenzura by nie puściła.

ROZDZIAŁ II

w którym kończą się wakacje, przodownik Stolarczyk tęskni, aspirant Strasburger sprowadza doktora Józefa Potockiego na złą drogę, a reporter Edward Giez dostaje komunikat od Boga: ja istnieje!

Niespełna trzy miesiące później

Madame Gali zawsze udawało się uratować twarz. Wychodziło jej to przez długie lata, aż na koniec straciła ją w jednej chwili. Trach między oczy i nasadę nosa, potem jeszcze ze dwa, trzy razy i ładna buzia poszła w kibinimatrę. Cała Warszawa o tym wie, bo opisali wszystko w gazecie. Inni na razie ocalili facjaty, interesy i skarby, ale to się niedługo zmieni. Aż dziw, że tak się to w czasie odwlekło, ale lepiej późno niż wcale. Ulica przed świtem była pusta, to dobry czas także i dla tej okolicy. Gołda Ejzenberg mieszkała w niezłej kamienicy, była tam solidna zamykana na klucz brama i ciec pilny jak portier. Gorliwość nie popłaca, gazety pisały, że łeb bolał go ze dwa tygodnie. Śliska była prawie przy Wielkiej, a Wielka tuż przy Marszałkowskiej, to wprawdzie nie Ujazdowskie czy Bagatela, ale też nie jakiś marny adres. Teraz trafił pod jeden z tych gorszych. Krochmalna to insza inszość, jej nie da się do niczego porównać. Tu nie ma bram, tu podwórka są otwarte, tu nie ma kogo i z czego okraść. Oczywiście nawet i przy Krochmalnej mieszkają puryce[5], ale nikt ich nie rusza. Dzisiaj jednak się zdziwią, oj, mocno się zdziwią, tak jak zdziwiła się Madame Gala. Była sucz nietykalna, ale do czasu...

Szedł rażno, nie obcyndalając się, bo jego silne kroki, które normalnie dudniłyby na całą okolicę, tłumiło klepisko. W tym żalonym, nędznym rewirze nie bawiono się w brukowanie podwórek, tu wciąż funkcjonowały rynsztoki i dławił kloaczny smród, mimo że do Domu Mody Hersego, przybytku warszawskiej elegancji, do Marszałkowskiej i Saskiego Ogrodu był stąd ledwie kilometr, mniej niż kwadrans nieśpiesznego marszu. Tyle samo, mały kwadransik, było do świtu. Panowały jeszcze cisza i spokój, ale za godzinę zrobi się rejwach, ludzie obudzą się i wyjdą ze swoich nor odetchnąć świeżym powietrzem i nacieszyć się światłem. Dotknął kosa, którą miał w prawej kieszeni spodni, lubił kształt motylka, kochał trzask mechanizmu zwalniającego sprężynę, ale to nie dziś... Sięgnął za pazuchę i oplótł palce wokół trzonka młotka. Robota będzie taka jak u Madame Gali. Pismacy i czytelnicy ich gazet oraz, ma się rozumieć, panowie hinty[6] polubili młotek, więc i dzisiaj też będzie robione młotkiem. Tam przy Śliskiej o mało nie wyszedł duecik, tak przypadkiem, ale dziś nie będzie żadnego przypadku, dwie rozbite kiepeły[7] i mały kipisz na chawirze[8] znów postawią psy i reporterów na nogi. Na pewno marzą o swoim własnym Kubie Rozpruwaczu czy tym szkopie Peterze Kurtenie.

Warszawa, czwartek 28 sierpnia 1930

Wyuczasy minęły jak z bicza strzelił, pomyślał Kornel Strasburger. Nowy rok szkolny za pasem, co jego osobiście nie dotyczyło, ale mocno dotykało Zyge Stolarczyka. Przodownik miał dwójkę dzieci i musiał zarządzić ewakuację rodziny z podmiejskich letniaków na Kaczym Dole. W związku z tym stary śledczy chodził podminowany.

- No to kończy ci się, mój kochany, kawalerskie życie? – zagadnął Strasburger.
- Kończy, choć z drugiej strony zatęskniło mi się za Jadwisią...
- Przecież tam jeździłeś regularnie jak kolej państwowa!
- Z kolei państwowej to było jedno – zachnął się Stolarczyk. – Ciasno jak w przedziale. Jest tam na razie tylko namiot wojskowy, co go kupiłem z demobilu, w nim kanadyjki[9], obok namiotu zbita z desek letnia

kuchnia, w rogu działki wychodek, a pośrodku studnia, z której czerpiemy wodę. Miałem w tym roku zamontować pompę, ale... – Stolarczyk machnął ręką – były pilniejsze rzeczy. Mieszkamy jak na manewrach, gotujemy jak skauci, ale jest natura, przyroda... Prawdziwa wolność, tylko sam rozumiesz, pod tym brezentem śpimy razem, ja, Jadwisia, dzieciaki i...

– Teściówka?

– Jakbyś tam był! I do tego ta cholerna cisza! W lesie wszystko słychać na kilometr, brezent, nawet najgrubszy, to nie ściana w kamienicy.

– To zamiast jeździć do Kaczego Dołu, gdzieś hen za Wawer, lepiej zamelinuj się na letniaki w aleję Trzeciego Maja! – zarechotał aspirant Strasburger. – Najlepiej z oknem na wysokości wiaduktu mostu Księcia Józefa, jak wałą tramwaje, dorożki i automobile, to możesz tam robić sobie na chawirze nawet przegląd wojsk, a i tak nikt nie usłyszy.

– Ale jak raz kupiliśmy plac na Kaczym Dole. – Stolarczyk machnął ręką, po czym się ożywił.

– Dobra cena, piękne miejsce, elegancko przy kolejce karczewskiej, moglibyśmy zostać sąsiadami! Jest tam jeszcze parę parceli na sprzedaż, a poza tym kryzys się rozpęda, ludzie wyzbywają się gruntów, ceny idą w dół!

Strasburger popatrzył na niego z politowaniem.

– Toby się małżonka ucieszyła, jakbym się sprowadził po sąsiedzku, przecież zawsze jak wracasz pod gazem, to tłumaczysz jej, że piłeś ze mną!

– Bo piję tylko z tobą! A tak serio to może być dobra lokata pieniędzy, zobaczysz, zwłaszcza że mają zmienić nazwę z Kaczego Dołu na Międzylesie! Prestiż, mój drogi, za to Międzylesie od razu cena pójdzie o jedną czwartą w górę!

– Lokata może i dobra, ale na razie chodzisz napompowany jak gimnazysta na Poniatówce[10]! Leżysz na brzuchu, podziwiasz skąpo ubrane panie, tylko że nie możesz zejść z kocyka, bo wtedy cała plaża zobaczy, o czym myślisz!

Pośmiali się, po czym Stolarczyk spoważniał.

– Śmieję się, śmieję, ale zobaczysz... To tylko stan przejściowy, odkładam pieniądze i kiedyś pobuduję tam porządny dom, w którym będziemy mogli bez skrępowania robić to i owo. Ale jeszcze muszę trochę poczekać, na razie zbliżenie erotyczne byłoby tam równie intymne, jak na Polu Mokotowskim w czasie Wielkiej Warszawskiej.

– W sumie to czemu nie? – Strasburger uniósł brwi. – Przecież jak konie wypadają na ostatnią prostą, to doliniarze mają największe łowy w roku! Mogą macać, ciągać, wsadzać łapy, gdzie chcą, a publika i tak widzi tylko konie walące do celownika i czuje wyłącznie tętent końskich kopyt.

– Taaa, wszystko wspaniale, tylko wiesz, że ja bym skończył jak ten osiołek?

– W jednym owies, w drugim siano, tak? Faktycznie, ty jesteś zdrowo palnięty na punkcie koników.

– To po pierwsze, a po drugie, to ja raczej romantyk jestem – rozmarzył się przodownik – takie tam rach-ciach-ciach to nie dla mnie. Jak byłem młody i jaja bolały co drugi dzień, to co innego. Ale z wiekiem człowiek robi się stateczny i taki więcej aligancki[11]... Zrozumiesz to, mój młody przyjacielu.

Strasburger się zaśmiał, a stary śledczy pokiwał smętnie głową i wyciągnął z paczki papierosa.

– Trzeba temu jakoś zaradzić... Na początek zapalę.

– A później?

Stolarczyk przyjął pozę szkolnego recytatora i zadeklamował: Słonko świeci, ptaszek kwili, Może byśmy coś wypili?

– Po pracy, drogi Watsonie, po pracy!

Wydawało się, że nastąpi to prędzej niż później, bo w mieście nic się nie działo, sprawy mieli

pokończone, natomiast zabójstwa Gołdy Ejzenberg i tak nie szło ruszyć nawet o milimetr. Sędzia Czechowicz wziął w obroty księgowego Rozenblata, ale ten był kuty na cztery nogi. To był jednak dobry kierunek. Na razie sędzia polecił fachowcom od papierków prześwietlić wszystkie dokumenty związane z Gołdą Ejzenberg. Szło to opornie, bo trafili na łańcuch niekończących się powiązań, ale aspirant Marek Gawliński i jego asystent starszy przodownik Grzegorz Podlacha, którzy ślęczeli nad tymi papierami, byli prawdziwymi mistrzami w swoim fachu. Być może Gawliński już by doszedł do sedna, ale był zawalony robotą. Mówiono o nim, że gdyby mógł wyjechać na wakacje ze wszystkimi dokumentami, które miał do przejrzania, to najpoważniejsi warszawscy przestępcy baliby się oddychać.

Wtem zadzwonił telefon.

– Tu dyżurny, dzwonią z Ciepłej!

– Z Ciepłej, z laboratorium? – zapytał Stolarczyk z nadzieją w głosie. – Mają jakieś dobre wiadomości?! – bardziej stwierdził, niż zapytał.

Może dopasowano odciski, może zawieruszyły się jakieś wyniki badań, może... On i Strasburger wciąż czekali na coś, co pchnęłoby sprawę Madame Gali do przodu, więc nawet telefon z Ciepłej w trzy miesiące od popełnienia zbrodni dawał jakiś cień nadziei.

– Tak, mają mord przy Krochmalnej.

– Co?

– Laborant szedł Krochmalną i zobaczył zamieszanie, a że jest z policji, to się poczuł prawie jak mundurowy i sprawdził, co się dzieje. Okazało się, że jest konkret, a nawet dwa! Na razie są tam chłopacy ze szkoły policyjnej, uczą się!

– Jest szofer?

– No nie...

– Co nie?

– Bo dziś czwartek!

– Gównu mnie obchodzi, że czwartek – wydarł się Stolarczyk, międląc w dłoni papierosa, którego nie zdążył włożyć do ust.

Jego irytacja narastała, nawet na silnie opalonej twarzy widać było coraz mocniejsze wypieki.

– Nie wrzeszcz Zygą, nie pamiętasz? – uspokoił go Strasburger. – W czwartki...

– Ożeż ty kurwa jego mać, przepraszam – rzucił do słuchawki. – Przepraszam, już sobie przypomniałem, walimy tam dorożką albo taryfą – powiedział i odłożył słuchawkę.

Ich nowy szef nie pił i nie palił, ale miał inne słabości – pączki, filharmonię i operę. Dla nadkomisarza Słubicy-Popielskiego każdy czwartek był tłustym czwartkiem, a wszystkie piątkowe wieczory spędzał z rodziną w sali koncertowej przy ulicy Jasnej. Nowym rytuałem stał się więc w Urzędzie Śledczym czwartkowy wyjazd asystenta nadkomisarza po pączki do wolskiej cukierni Zagoździńskiego, a w piątki wyprawy nadkomisarza i jego rodziny do filharmonii. Jak raz tego dnia był czwartek i pora, w której aspirant Fryc Wolf jeździł po pączki ze służbowym kierowcą.

– W dupę niech sobie wsadzą te pączki, drugie śniadania jaśnie panów, kurwa ich mać – zaklął Stolarczyk. – Dymamy na piechotę, raz, że blisko, dwa, nie chcę robić awantury o rozliczenie rachunku. Stoi, szefie?

– Stoi. – Strasburger wyjął papierosa z charakterystycznego czerwono-czarnego pudełka, na którym był biały flaming i napis „20 sztuk, papierosy Nil”. W lewym górnym rogu widniał biały orzełek i napis przypominający, że państwo polskie ma monopol na wyroby tytoniowe.

Zapalił i do razu poczuł się ciutkę lepiej, bo perfumowane nile były ich ukochanymi papierosami.

Edek czuł się jak ten cały Syzyf, który w kółko i na okrągło wpychał głaz pod górę. Przyjęli go na praktykę do nowego tytułu Domu Prasy, bo dobrze pisał, ale chcieli go wyrzucić, bo nie przynosił tematów.

Później niemal go ozłocili, gdy rozbił bank, pisząc o zabójstwie Gołdy Ejzenberg. Miał dodatki nadzwyczajne i wspiał się na szczyty, ale jego temat zszedł z tapety i Edzio został pomagierem niemieckiego korespondenta Michała Hermana. Jakoś się wybronił, ale do podpisania umowy był jeszcze kroczek, z którego Józef Dobosz uczynił skok nad przepaścią. Naczelnny zrobił mu niedźwiedzią przysługę i dał temat o kobietach upadłych.

Pierwsze dwa dni pętał się po ulicy, w końcu usłyszał, że najlepiej, by się dogadał z jakimś cierpiarzem[12].

– Do świata alfonsów i sutenerów szybko się pan nie przebijesz. To wyjątkowo szemrane towarzystwo – doradził mu cwaniak z podwórka – ale gdybyś pan wziął na parę wieczorów taryfę... Wiesz pan, chłopaki, co siedzą za fajera, znają się z dziewczynkami.

Faktycznie znali się. Szwagier koleżki cwaniaka z podwórka dogadał się ze swoim znajomkiem, co jeździ w dzień na taksówce, że ten podpyta swojego zmiennika, który pracował na nocki.

Tamten zgodził się i zaproponował abonament. Ustalili ryczałt za cztery godziny każdej nocy przez najbliższych pięć dni i ruszyli w miasto. Po trzech dniach z szoferem Filipem Skowronkiem rozumiał już wszystko, a po kolejnych dwóch gotów był napisać reportaż zatytułowany *Dochodzi ósma wieczór*. Od kierowcy szybko się dowiedział, że wieczorem rozpoczyna się pierwszy etap polowania na dziwki. Przed ósmą mają one zakaz pętania się po mieście, więc brygada obyczajowa robi na nie naloty. Marszałkowska, Nowy Świat, Jerozolimskie – tam gdzie największy ruch, tam też najbardziej rzucają się w oczy i tam budy zbierają swoje żniwo. Budami prostytutki nazywały kryte plandeką ciężarówki, na których skrzyniach ładunkowych ustawiono ławki. Zgarniano dziewczynki pod brezentowy dach i wieziono je na Daniłowiczowską, gdzie przy Urzędzie Śledczym miała swoją siedzibę Brygada Sanitarno-Obyczajowa.

Gdy patrole agentów po cywilnemu wspierane przez mundurowych rzucały się do akcji, dziewczynki zwiewały i często ich ostatnią deską ratunku były taksówki. Taryfiarze pomagali im, bo czemu mieli nie pomagać. Łączyła ich nocna robota, robienie w rogi klientów – każde na swój sposób – niechęć do glin, a często także miłostki i wspólne interesy. Dziwki potrafiły się odwzajemnić, oferując swym wybawicielom to, co miały najlepszego, bywało też, że owi amanci zza kierownicy naganiali im pracę, a niektórzy łączyli się w stałe pary, zawiązując spółkę często potem kończoną ożenkiem.

Każdego dnia Giez dowiadywał się czegoś nowego o kobietach, które znał tylko z szybkiej płatnej miłości. Wiedział już, że każda z nich ma czarną książeczkę, że zapisywane są w tych książeczkach wyniki badań, którym pod groźbą kary muszą się regularnie poddawać. Te, które nie dały się jeszcze wciągnąć na listę, początkujące lub – co było rzadkością – permanentnie unikające tego obowiązku, nazywano wytyszkami, o tych, które dorabiały do innego etatu, mówiono cichodajki, udające studentki – a była to wcale niemała i mocno tępiona przez policję grupa – obwołano uniwersytutkami. Te najlepsze, wyczekujące po dobrych lokalach, znakomicie ubrane i najlepiej opłacane nazywano kapeluszkowymi. Wyżej od nich były już tylko grandesy, drogie utrzymanki, które, mając kilku kochanków, żyły lepiej niż ich żony. Na dnie były najtańsze, ubrane w łachy, grzejące się żarem papierosów, okutane połatanymi chustkami i od tych chustek właśnie nazywano je chustkowymi. One brały po złoty pięćdziesiąt, więc mówiło się też o nich wilczyce, pewnie dlatego, że rzucały się na każdą okazję, na każdy grosz, a czasem na szklanekę wódki.

Hotele na godziny, „ciocie” prowadzące pensjonaty, alfonsi, sublokatorskie pokoje odnajmowane od cichych współników, pokątne zabawy po bramach, w krzakach i nad Wisłą, a nawet igraszki podczas jazdy taksówką... Działo się po zmroku w Warszawie, oj, działo się! Dziewczyny najczęściej były ze wsi albo z prowincji, ale zdarzały się i z miasta. Połowa była pochodzenia żydowskiego, a starozakonni mieli ważne miejsce w organizacji tego procederu. Motorem dziewczynek była bieda, choć trafiały się i takie, które po prostu tak wybrały, i te właśnie stały na szczycie hierarchii.

Z jedną nawet miał bliższą okoliczność i też od niej się trochę dowiedział. Pomogła mu łapanka w Alejach. Dziewuszka, która przesiadywała w Gastronomii, szła w kierunku lokalu, gdy się zaczęła obława. Zobaczyła dwie dobrzejszą znające policjantki, więc szybko dała dyla do jego taksówki. Siedzieli

koło siebie, była zdenerwowana, więc poczęstował ją papierosem i zrobiła się z tego zwykła rozmowa. Ładna była i, jak to w tym zawodzie, chętna, i do tego ze zniżką za uratowanie nocy. Skowronek zaproponował nawet, że pojedzie w kierunku Grochowa, a oni pobaraszkują sobie na tylnej kanapie jego powozu. Giez wolał jednak dopłacić do pokoju hotelowego. W ten sposób dowiedział się, ile co kosztuje, jakie są układy z portierami i jeszcze paru innych rzeczy. Już w taksówce był napalony, ale się wstydził szofera, więc w hotelu poszło w try miga, ekspresem.

– Widać, że pracujesz w „Expressie” – zaśmiała się panienka.

Numerek potrwał minutkę, mieli zatem blisko godzinę na rozmowę. Pałac papierosy i popijając koniaczek, pogadał ze Stellą – bo tak się panienka przedstawiła – o kulisach jej pracy. Miał więc wiadomości z pierwszej ręki. Usłyszał z pięć, sześć historii o rozmaitych dziewczynkach, ale spokojnie, robi z tych paru dziwek cały tuzin. Teraz brakowało mu jeszcze głosów klientów. Ci jednak nie chcieli gadać. Pies ich trącał, miał przecież własne wspomnienia i historie kolegów, przy wódeczce rozmawiało się o tym i owym, a resztę opowiedział mu taryfiarz.

Później spotkał się z policjantkami z obyczajówki oraz z ojcem Anzelmem, który próbował ratować dusze kobiet upadłych. Nazbierało się tego aż za wiele, całego materiału nie pomieści nawet w paru częściach, mógł więc śmiało zasiąść do pisania. To szło mu najlepiej.

W błyskawicznym tempie zapełniał kartki tekstem o nocnym życiu Warszawy i kobietach ćmach. Cykl reportaży rozgrywający się w ciemnych zaułkach, dobrych knajpach i w tanich szynkach oraz w komisariatach został przyjęty bardzo dobrze.

– Mógłbyś pan dostać posadę w brygadzie obyczajowej – zaśmiał się Dobosz. – Niby każdy coś wie... – puścił oko – ale pan żeś to wszystko pozbierał do kupy. Ładnie, bardzo ładnie. Część czytelników się oburza – zarechotał jeszcze głośniej. – Jakie to listy do nas piszą! Ale czytają wszyscy! Niezła sensacyjka, niezła. Gratuluje. O, ten i ten fragment w szczególności mi się podoba, jak opisuje pan te grzeszne dziewczęta, portrety piękne i straszne zarazem.

Pewnie, że piękne, bo sam te dziewczuchy wymyślił! Śmiał się z tego w duchu, a Dobosz cmokał i zachwycił się niemal tak, jakby czytał historyjki Alicji Pohulanki.

– O ta, ta – ucieszył się Dobosz – to moja ulubiona historyjka, tylko tę toś pan chyba wymyślił!

Ta akurat była prawdziwa! Szofer Skowronek opowiedział mu o koledze, którego żona podejrzewała o nie wiadomo co, więc żeby go nakryć, poszła z koleżanką na przespiegi. Słyszała, że wystawał ze swoją gablotą blisko skrzyżowania Nowika z Alejami, i tam postanowiła się zaczaić. Zakradły się do bramy i patrzyły, a wtedy pojawili się policyjni agenci. Zażądali książeczek. Bidule nie wiedziały, o co chodzi, o jakie czarne książeczki, że niby do nabożeństwa? Agenci pośmiali się, ale później nie było już przyjemnie, buda zgarniała panienki dwie bramy dalej i za parę minut miała zabrać także połowicę taksówkarza i jej psiapsiółkę. Na szczęście taksówka męża stała blisko, a do tego cwana żonka jako alibi miała wałówkę. Chciała mu ją dać do auta, że niby o niego dba, ale żeby też i wiedział, że zawsze w każdej chwili może się pojawić. Tajniacy zaprowadzili je do auta, szofer potwierdził ich dane i sam się wylegitymował.

– Pięknie pan to wymyśliłeś – cieszył się Dobosz, mrugając porozumiewawczo. – Masz pan talent.

W końcu naczelny odłożył gazety i położył mu dłoń na ramieniu.

– Pan do mnie wpadnie, ale tak za chwilę, bo najpierw proszę wziąć z sekretariatu papiery, będziemy podpisywać umowę!

Jak tylko dostał papier do ręki i dołożył swój podpis do zamasztych liter postawionych przez naczelnego, migiem poleciał do baru Pod Dwójką, a tam postawił wszystkim kolejkę. Potem drugą, a potem jeszcze jedną i następną. Spłukał się, ale był szczęśliwy. Było co świętować i z czego się cieszyć. Miał dwadzieścia dwa lata i dobrą pracę! Robił to, co chciał, poczuł, co to znaczy być gwiazdą. Ale szczęście trwało krótko, szybko się okazało, że to, co dla niego było wejściem na szczyt, naczelny uważał leciwie za początek wspinaczki. Józef Dobosz dał mu do zrozumienia, że ma być jego pistoletem, że nie da mu osiąść

na laurach. Robić, robić, robić, przecież nie do tego się urodził? Na szczęście zaczęła się kanikuła i jakoś przetoczył się na luzie do końca sezonu urlopowego. Nie było to trudne, bo klejentela wyjechała na wywczaszy i letniaki, więc pracowała okrojona ekipa dziennikarska, nakład był obniżony, a objętość ograniczona. Tematy jakoś wpadały same, nikt nie gonił, bo szefostwo bawiło się po kurortach...

Aż traaach i skończyło się babci sranie. Z urlopu wrócił Józef Dobosz i podkreślił tempo tak, że aż furczało. W końcu nawet wprost mu uświadomił, że po pierwsze, umowa jest roczna i na jej przedłużenie trzeba sobie zapracować, a po drugie, zawsze można ją rozwiązać wcześniej. Kryzys hulał coraz mocniej, więc Edzio wziął się w garść, tyle tylko że nic z tego nie wynikało. W uszach dźwięczały mu jak memento słowa naczelnego: Wykaż pan inicjatywę. Tak było trzy dni temu. Dziś było mniej przyjemnie.

– Wykaż pan, do jasnej cholery, jakąś inicjatywę! – powtórzył swoją litanię Dobosz, nie tylko dokładając do niej słowa „do jasnej cholery”, ale i podnosząc głos.

Nie ma to tamto, to był czytelny znak, że reporter Giez wrócił w redakcyjnej hierarchii na pozycję, którą zajmował przez zabójstwem Madame Gali. Głowę miał pustą, a z inicjatyw to miałyby tylko jedną, przelecieć w te i nazad Alicję Pohulanę. Już by jej pokazał, jak różnie Edek Giez, zobaczyłaby, kto jest prawdziwą gwiazdą. Tyle że dla Alicji Królowej Warszawskiego Salonu musiałby być kimś z towarzystwa, by dała się zaprosić na kawę, a on na razie tkwił daleko od salonu, on dopiero próbował wpasować się do przedpokoju i to na czworakach, z mocno wypiętym tyłkiem, w który Józef Dobosz mógł w każdej chwili dać kopa wyrzucającego go poza progi redakcji „Expressu” i całego Domu Prasy. Potrzebował jakiegoś impulsu na rozpęd, żeby dobrze wejść w nowy rozdział kariery, no i żeby spłacić długi, które narosły po pijaństwie wydanym Pod Dwójką na okoliczność angażu. Może dobry Bóg się nad nim zlituje, oczywiście jeśli istnieje.

Zaczął się czwartkowe kolegium, kolejne, podczas którego naradzano się, jak uderzyć na początku września, by wygrać wyścig o wracającego z wakacji czytelnika. Ludzie z zapałem proponowali tematy, Zulus i Janusz trafili ze swoimi pomysłami w dychę, a on czekał na swoją kolej jak na ścięcie. W końcu Dobosz zbliżył się do niego jak belfer do ucznia w klasie, stanął nad nim i powiedział: – Nie wiem, co pan ma do zaproponowania, ale sądzę, że to ja mogę panu dzisiaj coś zaproponować. – Uśmiechnął się szeroko. – Jedź pan na Krochmalną, zamordowano tam parę sutenerów, nasz informator z pogotowia ratunkowego mówi, że roztrzaskano im głowy. Chyba zna pan podobną historię, a reportaże o kobietach upadłych też zapewne się przydadzą, mam przynajmniej taką nadzieję.

A jednak Bóg istnieje, pomyślał Edward Giez.

Skłonił się, pożegnał z naczelnym, kiwnął głową pozostałym zgromadzonym w pokoju i poleciał jak na skrzydłach na ulicę szemranej żydowskiej biedoty.

Po kwadransie, w trakcie którego wypalili po papierosie, śledczy minęli Ogród Saski i Hale Mirowskie, po czym doszli w końcu do nędznej piętrowej kamieniczki przy Krochmalnej. Nie potrzebowali adresu, i tak z daleka było widać, o którą posesję się rozchodzi. Pod obdrapanym budynkiem kłębił się tłumek gapiów. Zgromadziła się niemal wyłącznie starozakonna publika, bo inni na tej ulicy nie mieszkali. Panował szum i rwetes jak na bazarze, możliwe zresztą, że większość z nich była przekupniami i klientami Hal Mirowskich oraz pobliskiego targu rybnego Janasza. Nad tłumem ludzi, którzy koniecznie chcieli zajrzeć na podwórko, próbowali zapanować słuchacze kursu policyjnego. Strasburger i Stolarczyk wbili się w tłum i mijając rafy w postaci zbudowanych jak dęby tragarzy z Hal Mirowskich, zbliżali się do celu.

– Stać! – krzyknął dwudziestolatek w mundurze, gdy próbowali wejść do bramy. – Tylko ci, którzy tu mieszkają!

– Nu, tak się składa, panie policmajster, że my tu mieszkamy – powiedział Stolarczyk, komicznie naśladowując żydowski akcent-tu mieszkam od urodzenia, tu mieszkają *tatę* i *mamę*, tu wciąż mieszka moja *bobe*, mój *zajdę* tu mieszka! Każde *bubele*[13] mnie tu zna, panie policjant!

– Dokumenty! – Młodzieniec machnął do kolegów, by mu pomogli. – Co to za porządki, jestem z Policji Państwowej!

– Aj waj! Ja widzę, że pan młody komisarz, co ja mówię komisarz, inspektor jest z Policja Państwowa! – zawołał Stolarczyk. – Ale Gewalt, oj, Gewalt! Ja, panie inspektorze generalny, nie mam u siebie żadna ketuba.

– Jaka ketuba?! – warknął groźnie embrion policjanta.

– Nu ketuba, pan nie *fersztejen*[14], panie inspektor? – Stolarczyk rozłożył ręce. – Nu bumaga, papier. – Mówiąc to, napierał na nieopierzonego mundurowego.

– Panie przodowniku! – krzyknął młody policjant. – Panie przodowniku!

– Słucham? – zapytał Stolarczyk, niemilosiernie przy tym żydłacząc. – Pan mnie rozpoznałeś? Skąd pan wiesz, że ja jestem przodownik?

– Cooo? Ja ci dam, gudłaju!

– Nu, brzydko pan mówisz, nie można tak mówić do żaden Żyd, a już na pewno do żaden przodownik. Pan wołasz przodownik, a ja odpowiadam, czyja nie wyglądam na przodownik?

– Dość tych wygłupów, bo każę zamknąć! – Chłopak w mundurze był coraz bardziej zaniepokojony.

– A masz pan, panie ładny oficer, same piątki w szkole, żebyś mógł zaczynawacz biedny Żyd tułacz, co idzie do swoja chawira? Zapytaj młody pan każdy stary policjant, zapytaj! Każdy zna obecny tu rabin Strasburger i moja skromna osoba, Stolarczyk jestem!

– Panie przodowniku!

W końcu pojawił się przełożony kursantów.

– Stolarczyk, przodownik Stolarczyk! – A po chwili radośnie dodał: – I pan aspirant Strasburger! Czekaliśmy na panów! – Śledczy w osobie rośłego, energicznego policjanta w granatowym mundurze rozpoznał instruktora musztry starszego przodownika Adolfa Jarzębskiego. – A ty co się tak darłeś na panów z Urzędu Śledczego jak na jakich parchów? – zapytał młokosa.

– Ten – powiedział niepewnym głosem, wskazując palcem na Stolarczyka – mówił, że ten drugi to rabin! – Chłopak miał niemal łzy w oczach. – Kłamał, bo to jest przecież aspirant!

– Nu, a może jest tak, jak mówiłem, bo on jest mądry jak rebe?-znów zażydłaczył Zyga Stolarczyk. Mijając młodego kandydata do służby w policji, klepnął go po ramieniu. – Jak się nazywasz?

– Tomasz Jung, panie przodowniku!

– No to, mój Tomaszu, nie gniewaj się na starego kawalarza i żebyś tylko takie problemy miał na służbie. Aha, i bez urazy, bo faktycznie zostaniesz kiedyś inspektorem i mnie wywalisz z policji przed samą emeryturą.

Policyjne towarzystwo zaśmiało się życzliwie, a słuchacz szkoły policyjnej odetchnął z ulgą.

– Aleś pan zdenerwował chłopaka – odezwał się przodownik ze szkoły. – Pojechałeś z nim pan tak, że w końcu nie wiem, którego z panów nazywają Dodkiem.

– Dodkiem jest wciąż pan aspirant, ale ja też potrafię dać do pieca. Mówisz pan, że chłopaka zdenerwowałem, koń by się uśmieł, bo jeśli połowa z tego, co mówią o panu, panie kolego, jest prawdą, to takie nerwy to luksus i wypoczynek sanatoryjny przy tym, co im na co dzień serwujesz!

Mundurowy opiekun ze szkoły uśmiechnął się pod wąsem.

– Ktoś ich musi musztry, moresu i życia nauczyć, prawda?

– Prawda! – zgodził się Stolarczyk.

– A co za specjały na nas czekają? – zapytał Strasburger, gdy już weszli na podwórkę.

– Prawdziwa ciekawostka, ktoś rozwalil głowy miejscowym purycem.

– Pewnie nieboszczycy to nasi stali klejenci – zauważył Stolarczyk. – W tej okolicy może mieszkać tylko szemrany bogacz, każdy inny dawno by stąd nawiał.

- Wiem tylko, że byli przy poważnych pieniądzach i że nazywają się Icek i Ruchełe Rotenschwanzowie.
- Nazywali się – Strasburger poprawił szkolnego specjalistę od musztry.
- Nazywali się i dokazywali za życia niemało – dodał Stolarczyk.

Przepchnęli się przez tłumek stojący na podwórku.

– Sami mieszkańcy, sprawdzaliśmy – wyjaśnił Jarzębski. – Tylu ich tu mieszka, że przechodzi boskie pojęcie, żyją na kupie, niby mała kamienica, ale zaludniona jak Pekin przy Żelaznej.

– Ale smród. – Stolarczyk zatkał nos palcami, gdy weszli do skromnej klatki schodowej. – Przy Krochmalnej nie produkują perfum, ale tu capi wyjątkowo.

– No i od tego się wszystko zaczęło – ucieszył się Jarzębski. – Smród z mieszkania Rotenschwanzów wybił inne smrody i w końcu przyszła tu delegacja lokatorów z samym rabinem na czele, zapukali do drzwi, te były otwarte, a za nimi... Co ja będę opowiadał, zaraz panowie zobaczą.

Ściany były brudne i obdrapane, a schody skrzypiały i jęczały, jakby się miały w każdej chwili zawalić, za to drzwi były solidne i nowiusieńkie.

– Ożeż ty kurdebalans – powiedział z podziwem Stolarczyk. – Chyba do tych wrót od sezamu doczepili resztę tej chatki na kurzej nóżce!

Drzwi strzegł kolejny policyjny uczeń, który siedział na wyniesionym z mieszkania taborecie i najwyraźniej się zdrzemnął, bo usłyszał ich w ostatniej chwili i gwałtownie poderwał się na równe nogi.

– Cóż to, dziecko, do mnie będziesz strzelał? – zapytał Stolarczyk, powtarzając słowa Marszałka, które ów wygłosił podczas zamachu majowego.

Chłopak zapomniał języka w gębie, ale wyłowił z mroku sylwetkę Jarzębskiego.

– Przepraszam, panie przodowniku – ciemno...

Weszli do środka, a tu śmierdziało jeszcze bardziej. Na środku pokoju leżały dwa ciała, to od nich bił charakterystyczny smród znany każdemu, kto był na pobojuwisku.

– Czołem, koledzy. – Z mroku wyłonił się elegancko ubrany człowiek, Leszek Walicki z policyjnego laboratorium. – Mieliliśmy blisko i tym razem byliśmy wcześniej od was. Kolega wyszedł na chwilę, by się przewietrzyć, a doktor w drodze, czujecie...

– Nie da się ukryć, mamy stan rozkładu – dusząc się, powiedział Strasburger.

– Chrzanimy to, czy będzie to normalny doktor, czy ten chory na tytoń Potocki. – Stolarczyk wyjął z kieszeni papierosy.

– Pan przodownik pali? – zapytał specja od musztry Strasburger.

– Pewnie, że palę, ale jesteśmy na służbie i nie mogę tym młokosom dawać złego przykładu, poza tym muszę wracać na ulicę, bo jak przyjdzie prawdziwy rabin, to go zgarną i będzie chryja.

Zaśmiali się z tego żartu, uścisnęli sobie dłonie, a przodownik Adolf Jarzębski jeszcze na koniec elegancko zasalutował do czarnego błyszczącego daszka służbowej czapki.

Zapalili i zbliżyli się do ciał.

– Cie choroba – zajęczał Stolarczyk, pochylając się nad zwłokami.

– Cholera – dodał Strasburger.

Zwłoki kobiety i mężczyzny w średnim wieku leżały na plecach, a wokół ich głów były zakrzepnięte krwawe aureole. Jedno i drugie zginęło od uderzeń w czoło i twarz zadanych najpewniej ciężkim tępym narzędziem.

– Walił mocniej niż w Madame Galę – zauważył Strasburger. – Młotek wybił mózg na zewnątrz.

– Wiąże pan to z zabójstwem przy Śliskiej? – zapytał technik z policyjnego laboratorium.

– To nieomal oczywiste – odparł Strasburger – przynajmniej tak na pierwszy rzut oka.

- I bite było trochę inaczej – wtrącił się Stolarczyk. – Tam bardziej en face, a tu z góry jak kowal.
- Przodownik pokazał, że był nie tylko koneserem zapasów, ale i boksu.
- Panowie jak zwykle palą, a już myślałem, że odbędziemy przyjemne lekarsko-śledcze konsylium – usłyszeli znajomy głos.

W drzwiach stał doktor Potocki.

Śledczy patrzyli na niego, jakby zobaczyli anioła śmierci.

- Straszny tu fetor – dodał doktor, który jako doświadczony medyk sądowy nie powinien być niczym zdziwiony.

Teraz miała nastąpić tyrada o tym, że mieszkanie było niewietrzone, że trupi jad dołożył się do panującego tu wcześniej smrodu, a na koniec powinno paść sakramentalne – i do tego ten dym papierosowy.

Józef Potocki zakrztusił się, odkaslnął i wskazał na Strasburgera.

- Co pan pali, panie aspirancie?

Kornel Strasburger zaczął się rozglądać za jakimś miejscem do spetowania papierosa.

- Nile, doktorze.

- Tak mi się zdawało, czuć ten aromat, nie każdy jest amatorem perfumowanych papierosów, ale tak się składa, że ja owszem. Poczęstuje mnie pan, panie aspirancie?

Strasburger spojrział na Stolarczyka, a Stolarczyk na Strasburgera. Prędzej spodziewaliby się, że kamieniczka odleci z Krochmalnej jak sterowiec albo że pojawi się tu Generalny Inspektor Policji Państwowej, ale nie tego, że doktor Potocki poprosi o papierosa!

- Palenie szkodzi zdrowiu, to trucizna! – Stolarczyk przypomniał doktorowi jego własne słowa.

- Być może, być może, ale wolę umrzeć od dobrego papierosa niż od tego smrodu – odpowiedział doktor.

Ku ich zaskoczeniu medyk fachowo przypalił sobie papierosa i zaciągnął się nim tak, jakby z ukontentowaniem wciągał powietrze w górskim kurorcie.

- Pięć lat nie paliłem... – westchnął, dając do zrozumienia, że przeżywa chwile rozkoszy.

- A więc pan palił? – Strasburger nie wytrzymał.

- Nałogowo!

- I rzucił pan!? – tym razem spytał Stolarczyk.

- Pięć lat temu się ożeniłem – wyjaśnił medyk.

- To po co te wszystkie gadki o zdrowiu?

- Bo to wszystko prawda! – Doktor wzruszył ramionami i zaciągnął się łapczywie jak tonący, który wrywając się ponad taflę wody, napełnia płuca życiodajnym powietrzem. – Nic tak nie smakuje jak nile...

- rozmarzył się. – Wie pan, jak sprowadzać porządnych ludzi na złą drogę – rzucił, po czym, nie wyjmując z kącika ust papierosa, ruszył do pracy.

– Jak się panowie domyślają, morderstwa dokonano co najmniej sześćdziesiąt godzin temu. Sądzę, że raczej osiemdziesiąt, a może i więcej. Nie chcę strzelać, bo jest tu swoisty mikroklimat, brak przewiewu, duchota. Mamy odnę podskórną, ociekliny gnilne, nieboszczykom popłynęło już z ust. Ciało uległo rozdęciu gazami, wewnątrzności rozdęły brzuch. U nieboszczyka widać rozdęcie worka mosznowego. To wszystko dla panów żadna nowość, podobnie jak to, że prawdopodobnie zabito ich młotkiem. Pewnie zaraz panowie spytają, czy tym samym co na Śliskiej, czyż nie tak?

Kiwnęli głowami.

- Zabiorę ich na swój stół, wtedy będę wiedział dokładnie, tutaj są warunki połowę.

- Pan też przypuszcza, że to ciąg dalszy tego, co wydarzyło się na Śliskiej? – spytał Strasburger.
- To chyba oczywiste – zdumiał się doktor.
- Tak, to oczywiste i trochę mnie ta oczywistość zastanawia. – Strasburger zaciągnął się papierosem. – Jak tam, Zyga, mieszkanie splądrowane?
- Z tego, co widzę, to mniejsze fanty musiały wyparować. Futra są, złote świeczniki też, a to wszystko warte z tysiączek, dwa najmarniej. Nie ma za to ani grosika, biżuterii też ani śladu, ale dopiero zacząłem szukać.
- Dotyka pan przez szmatkę... – upewnił się technik z policyjnego laboratorium.
- Tak jest, wszystko ę, ą, bułkę przez bibułkę, Francja elegancja – uspokoił technika przodownik Stolarczyk.
- Zawodowcy tu pracują i zawodowiec sprzątał szuflady – mruknął Strasburger. – A wśród zawodowców ty najlepiej rysujesz. Leć z tym szkicem, póki się jeszcze nie zatrueś.
- Zyga Stolarczyk niechętnie przystąpił do rysowania szkicu miejsca zbrodni, ale nie przestał gadać.
- Byle złodziej buchnąłby futro i kupę innych fantów, tak że z trudem by się zmieścił w tej obszczonej bramie. Widać, że był to fachura. – Stolarczyk niechętnie przyznał Strasburgerowi rację. – Fachurę trudniej będzie dopaść, ale jak już go dopadniemy, to stawiasz w Staropolskiej.
- Być może, ale zakładaliśmy się o Śliską, a nie o Krochmalną.
- A co, nie łączysz tych spraw?
- Jeszcze nie wiem, za wcześniej, Zyga, by mieć stuprocentową pewność.
- Nawet spirytus nie jest stuprocentowy – zaśmiał się Stolarczyk – ale nikt nie ma wątpliwości, że jest spirytusem! Co ci nie pasuje?
- Nie wiem, nie wiem, tak coś czuję... Intuicja?
- Rozumiem, jakby sprawę prowadziła pani kierownik Paleolog, tobym powiedział, że to kobieca intuicja.
- To powiedz sobie, że to instynkt psa – uśmiechnął się krzywo aspirant Strasburger.
- Gończego psa – dodał Stolarczyk.
- Zostawiamy panów samych, musimy porozmawiać z sąsiadami, a to nie jest oficcerski Żoliborz, tylko kopiec kosztownych mrówek, z których spora część żyje ze zgnilizny.
- Pożegnali się z technikami i wyszli z domu na podwórko.
- Współczuję im – powiedział Stolarczyk – można tam uświerknąć.
- Sobie współczuję. Jak to wszystko przesłuchać?
- Mam pomysł! – Na twarzy przodownika Stolarczyka pojawił się uśmiech od ucha do ucha. – Trzeba tylko znaleźć tego tresera młodzieży Jarzębskiego!
- Szybko odszukali instruktora musztry i po paru minutach pluton szkoły policyjnej ganiał z kajecikami po Krochmalnej i rozpytywał gapiów. Byli tacy, co mówili, ale większość po prostu uciekła, wycofując się do Hal Mirowskich i na targ Janasza. Ci, co mieszkali po sąsiedzku, nie nawiali i to właśnie oni byli najcenniejszymi informatorami.
- No i co tam, panie Jung? – Stolarczyk klepnął po ramieniu chłopaka, z którego zgrywał się dwie godziny temu.
- Melduję, panie przodowniku, że przesłuchałem pięć osób i że wszyscy z grubsza mówią to samo!
- Proszę referować!
- Nieboszcza była kiedyś dziwką, później sutenerką, on to złodziej, kombinator i także sutener. Ludzie bali się ich i dalej boją, bez kajecika mówili więcej, a najwięcej mówili na ucho niepytani.

– Co mówili?

– Mówili, panie przodowniku, że tych dwoje znało się z największymi łotrami, mówiło się, że potrafią popełnić największą zbrodnię, że byli handlarzami ludźmi...

– Tak, były takie podejrzenia, ale zawsze się wywijali. Oboje mieli odsiadki, ale za drobiazgi.

– Jedna kobieta mówiła, że przychodził tu potwór, inna, że niepotrzebnie ich w rewolucję lekarze ratowali.

– Ciekawe, ciekawe...

– No i na koniec podeszła starsza kobieta i powiedziała, że jej sąsiadka umarła ze zgryzoty, bo Ruchełę i Icek wysłali jej córkę na zarobek do Argentyny. Córka miała pisać i nie napisała ani razu, a jak chodziła do nich i pytała, to zbywali ją, a na koniec poszczuli potworem.

– Potworem?

– Tak, potworem! On nazywał się... – Młodzieniec spojrział w notatki.

– Goliat?

– Tak, Goliat, panie przodowniku.

– Coś jeszcze?

– Tak, panie przodowniku. – Uczeń szkoły policyjnej przełknął ślinę. – Ja myślę, że tutaj wszyscy się cieszą, że ich śmierć wielu osobom przyniosła ulgę. To byli źli ludzie, bardzo źli i bardzo wpływowi. Mieszkali w ruderze, ale... – tu znowu spojrział w notatki – byli puryce i znali jeszcze silniejszych od siebie. Nie było nikogo, kto by powiedział, że żałuje albo że zmówi...

– Kadisz?

– Tak, kadisz!

– Skąd jesteś?

– Z Mokotowa.

– Synek nie byle jakich rodziców?

– Skąd pan przodownik wie?

– Boś prawdziwych Żydów i prawdziwego języka nie poznał, pewnie Żydzi, co są znajomymi mamy i papy, to panowie mecenasi, finansisci i lekarze?

Chłopak kiwnął głową.

– O biednych gudłajach nie wiesz za dużo... – Stolarczyk zawiesił głos – ale jakżeś taki bywały, to może coś mi więcej opowiesz o tym Goliacie.

Młody policjant uśmiechnął się, po czym spoważniał.

– Że co – zaniepokoił się Zyga – coś do śmiechu powiedziałem?

Chłopak się stropił i widać było, że mu trochę głupio.

– Aaaa – zaśmiał się Stolarczyk – bo ty pewnie pomyślałeś, że ja kompletnie nie wiem, co jest grane.

Po oczach było widać, że chłopakowi dokładnie to przyszło do głowy.

– Z łaciną, jak pan aspirant Strasburger, to ja za pan brat nie jestem, ministrantem byłem dawno, do uczonego mi daleko, ale coś tam, coś tam wiem. Goliat to był niezły zawodnik, ale Dawidek ustrzelił go z procy i... – Zyga zawiesił głos *-finito!* Ja się pytam o coś więcej, co taki chłopak z dobrej rodziny może wiedzieć, czego ja nie wiem.

– Po pierwsze, to jeśli jest Goliat, to może jest i Dawid! – wykrzyknął kandydat na gliniarza.

– Dobrze kombinujesz, królewiczu, a dalej?

– Jeśli jest Dawid, to ten musi być bardziej rozgarnięty... – Młodzieniec w mundurze szukał właściwego

słowa.

– Taki bardziej pan kierownik?

– Dokładnie tak! – ucieszył się Jung.

– Niegłupio, nawet bardzo niegłupio – pochwalił go Zyga. – Więc znakiem tego ten cały Goliat jest po prostu narzędziem!

– Tak jest, może kimś takim jak Golem!

– Kto? – zdziwił się przodownik. – Teraz to już naprawdę nie wiem! Opowiadaj!

– Myślę... – Chłopak się stropił. – A jaki on był?

– Poza tym, że jest wielki, to kompletnie nic o nim nie wiadomo. Ja widziałem go raz jako dzieciak. Pokazali go w cyrku na Okólniku i powiedzieli, że za tydzień ma walczyć z Czarną Maską.

Wszyscy na to czekali, ale on nigdy na arenie nie wystąpił, bo ścigano go za morderstwo. Nigdy nie widziałem kogoś takiego, był ogromny jak góra, prawdziwy potwór!

– Mówił coś?

– Nie, podobno on prawie nie mówi, ma z tym kłopot, taka jest legenda.

– No tak, zatem Dawid jest tu całkiem na miejscu.

– Doszedłeś do sedna – uśmiechnął się Stolarczyk – Tak, on zawsze komuś służy, ktoś trzyma go jak na łańcuchu i wskazuje mu cele.

– Czyli ten Goliat to tak naprawdę Golem, panie przodowniku. Jest taka żydowska legenda o rabinie z Pragi, który dawno, dawno temu ulepił z gliny figurę, a później ją ożywił.

– U nas na Pradze?

– Nie, w tej czeskiej, panie przodowniku. Golem był niemym bezwolnym potworem, który robił, co mu nakazano, ale pewnego razu wpadł w szał i wybił tych, którym służył. Kilka jest tych legend, byłem kiedyś w Pradze z rodzicami i tam to usłyszałem.

– Fiu, fiu! – zagwizdał z podziwem Zyga Stolarczyk, który nigdy nie był za granicą. – Mądrała i obieżyświat z ciebie, królewiczu, jesteś klawy gość, pięknie to poprowadziłeś, umiesz myśleć. Może masz rację, że się z Goliata zrobił Golem... Może po śmierci Madame Gali ten typ szaleje i robi na własną rękę – zadumał się przodownik. – To wszystko zastanawiające, a jeszcze bardziej to, co w tym całym bałaganie robi taki grzeczny chłopak z dobrej rodziny?

– Może, panie przodowniku, chciałem zaznać prawdziwego życia, a może przygody?

– Naczytałeś się książek?

– Owszem.

Stolarczyk popatrzył na chłopaka i pokręcił głową.

– Maturę masz?

– Mam i jestem podchorążym z cenzusem!

– I nie chciałeś być wojskowym?

– Przecież nie ma wojny!

– Świerzbi cię tyłek, co, chłopaku?

– Tak mówił nieboszczyk dziadek. Myślałem o różnych rzeczach, o podróży do Afryki, o marynarce, ale zdawało mi się...

– No to ci się źle zdawało, chłopaku, źle. Wpadłeś w gówno po same uszy, drugi Denhel z ciebie...

– O kim pan mówi, panie przodowniku?

– A o takim jednym paniczyku, którego parę lat temu do nas przywiało. Ty chyba jesteś inny,

przynajmniej mam taką nadzieję. Myślę, że masz łeb na karku, panie kursancie podchorąży, więc jak chcesz przygód i się na nas nie pogniewałeś za tę szopkę, co ją urządziłem, to po okresie kandydackim zgłoś się do Urzędu Śledczego. Szukają tam wariatów od przygód, my z aspirantem Strasburgerem coś niecoś jeszcze możemy.

– Dziękuję, panie przodowniku, i proszę pozdrowić pana rabina Strasburgera!

– Żartowniś z ciebie, lubię takich. Powodzenia, może się jeszcze spotkamy, i pamiętaj, Tomaszku, że jak zostaniesz inspektorem, to nie wypieprzaj starego dziada Stolarczyka na bruk!

Zasalutował chłopakowi do kapelusza, po czym odwrócił się na pięcie. To, co zobaczył, замуrowało go, szybko jednak odzyskał rezon i z krzykiem rzucił się naprzód.

Edward Giez usłyszał ryk: – Tu jesteś, pismaku!

W jego stronę przedzierał się pokrzywionym chodnikiem policjant po cywilu. Niski, krępy, wąsaty trzydziestoparolatek, widział go raz, ale zapamiętał na zawsze. Był to przodownik Stolarczyk! Przegwizdane, pomyślał, przegwizdane. Policjant utknął na moment i zdenerwowany krzyknął: – Panie Jung, panie Jung! Niech pan pogoni tego łachudrę z notesem!

Z lewej strony ruszył w jego kierunku młody policjant w mundurze, który miał jakieś dziwne oznaczenia. To pewnie słuchacz szkoły z Ciepłej. Giez szybko dał nogę. Parę energicznych kroków i wpasował się w tłum płynący w kierunku Hal Mirowskich i targu rybnego. Ludzki nurt porwał go i po kilkunastu sekundach dryfu oddalił od policjantów. W sumie to co mu mogli zrobić? Pewnie nic. A może znaleźliby jakiś pretekst, by go zatrzymać. Gównno by mu zrobili, ale straciłby czas, a czas był cenny. Jak tylko przybył na miejsce, okazało się, tak z wypiekami na twarzach mówili młodzi kandydaci na policjantów, że na piętrze, tam gdzie popełniono zbrodnię, pracowali śledczy, pan aspirant Strasburger i pan przodownik Stolarczyk. Pobite gary, nie miał tam czego szukać. Skupił się więc na ludziach i plotkach.

Najlepszy urodek miał w szynku Izraela Kohna przy Krochmalnej 5. Wydał z piątką, o mało nie przykleił się do bufetu, ale wódka była dobra, a paru gości gadatliwych. Jeszcze na ulicy usłyszał od małego Joska, że jego brata żony młodszej siostry narzeczony był w środku i wszystko widział. Opowiedział o całej rodzinie, o kamienicy, o rabinie i jego domu modlitewnym, o tragarzu Jakubie, co był najsilniejszy w okolicy, swojej *bubele* i jeszcze o milionie niepotrzebnych rzeczy, aż dotarł do dnia, kiedy zrobił się w domu smród, a gdy był już przerażający i duszący, tak że nie szło chodzić po schodach, to otwarto drzwi. Zdał szczegółowy raport, kto i z kim tę decyzję podjął, jak radzono się rabinowi, który nie zdecydował sam, tylko pierw poszedł z zapytaniem do cadyka, i że w końcu sąsiedzi, a wśród nich Jakub, narzeczony Esterki, młodszej siostry Chai, żony jego brata Chaima, weszli do środka. I w tym miejscu mały handełes zrobił przerwę i bezczelnie zażądał pięciu złotych! Potargowali się i gówniarz przemówił za trzy pięćdziesiąt. Małżonkowie Icek i Ruchełe Rotenschwanzowie leżeli na wznak i mieli porozbijane głowy. Wszędzie było pełno zakrzepłej krwi, a z jednej z głów, zdaje się, że pani Rotenschwanzowej, wypłynął na dywan mózg. To już był specjał, to było coś! Inni dopowiedzieli swoje, ale prawdziwy cymes podano mu w szynku. Rotenschwanzowie byli purycami, znaczy się bogaczami. Myślał pierw, że to błaga, że w takiej obsranej, dziadowskiej okolicy bogacz to ktoś, kogo stać na wszystkie posiłki dziennie i na nic więcej, ale okazało się, że mieli pokitrane[15] w wazonach i słoikach świnki[16], a biżuterii walało się tam tyle, że dobry magazyn jubilerski z Nowika mógłby wypełnić swoje gabloty. Oboje byli ciekawymi postaciami, o ile ciekawymi postaciami można nazwać byłą ulicznicę, a potem stręczycielkę oraz jej męża alfonsa, który na dodatek miał tu własną nabojkę i potrafił dłużnikom oraz wrogom rachować kości, nie wychodząc z domu, tylko wydając swoim ludziom odpowiednie dyspozycje.

– A jak trzeba było – staruch z siwą brodą, któremu postawił kolejkę, ściszył głos – to jeszcze sam potrafił dać w mordę. Bił szpadryną, zęby i nosy łamały się pod jego ciosami, a krew tryskała. – Jego podśmiardujący czosnkiem, cebulą i przetrawionym alkoholem interlokutor pokręcił z uznaniem głową.

Usłyszał to od paru osób, chyba się, do kurwy nędzy, nie umówili? Nie wymyślili też chyba historyjki o tym, że w maju 1905 roku Icek wraz ze swoją bandą odbijał z rąk bojowców burdel, w którym pracowała

jego przyszła żona. Zastrany rycerz i jego po wielokroć pokalana dama, pomyślał. Podobno ocalała cudem, a on zabił albo przynajmniej ciężko ranił kilku bojowców, którzy głośno pomstując, obiecywali mu krwawą zemstę. I to było najciekawsze, właśnie to! Może się w końcu podczepić pod pogrom sprzed dwudziestu pięciu lat! Do tego usłyszał jeszcze jedną ciekawostkę – Rotenschwanzowie wysyłali panienki do Argentyny, a to mocna nić łącząca ich z Madame Galą! Alleluja, Bóg istnieje i już po raz drugi dał mu dziś sygnał o swojej obecności.

A teraz musi spieszyć, by uciec z tego brudu i nie dać się zatrzymać mściwym policyjnym psom. Znów ich przechytrzył, znów jest górą, znów będzie numerem jeden w gazecie. Karta się odwróciła, nie dość, że pospłaca długi i jeszcze go będzie stać na opicie sukcesu, to starczy na jakąś dobra dziwkę. Wiedział już nawet, na którą i gdzie jej szukać, jak się dobrze uwinie, to złapie ją pod Gastronomią i zrobi, co trzeba. To klawa dziwka: gdy kochał się z innymi panienkami, to wyobrażał sobie, że jest z Alicją Pohulanką, a Stella była towarem prima sort, nie żadnym erzacem, to była klasa babka! Ale wszystko po kolei, bez pośpiechu, z głową. Nie urznie się dziś za bardzo i choć go kusiło, nie zawinszuje sobie pięknej Stelli na całą noc, bo od rana będzie pracował. Zrobi wszystko, by temat urósł, żeby nic i nikt nie odebrał mu triumfu. Wtedy, w maju, był królem przez dwa dni, teraz będzie nim zdecydowanie dłużej. Miał zapewnioną czołówkę w czwartkowym wydaniu, ale na głowie stanie, by zatrzymać się tam przez tydzień.

Nie przeszkodzi mu żaden Peter Kurten, a rządy padają zbyt często, by nowy gabinet marszałka Piłsudskiego był sensacją większą niż porządna zbrodnia. Jutro wróci na tę zapyziałą Krochmalną i choćby miał brodzić w jej śmierdzących rynsztokach, pić wódkę z niedomytych kieliszków w obskurnych szynkach i wydać na informację resztki zaskórniaków, to wróci stamtąd z informacjami.

Warszawa, sobota 30 sierpnia 1930

Poprzedni zastępcy naczelnika Urzędu Śledczego miasta stołecznego Warszawy nie dbali tak o swój gabinet, jak dbał Wawrzyniec Słubica-Popielski. Nowy kierownik Brygady do spraw Ciężkich Zbrodni oraz zastępca naczelnika stołecznego Urzędu Śledczego w jednej osobie sprawił, że wróciła dawna elegancja, a może nawet i delikatny przepych, który był znakiem rozpoznawczym nadkomisarza Ludwika Mariana Kurnatowskiego herbu Łodzia. Kurnatowski uchodził za prawdziwą gwiazdę, bywał na rautach i przyjęciach, ubierał się jak lord, podkreślał swe szlacheckie pochodzenie, no i w końcu cieszył się opinią warszawskiego Sherlocka Holmesa. To był ktoś, to była postać, przecież to z jego podręcznika uczyły się zastępy śledczych. Był gigantem, ale trzy lata temu stał się bohaterem skandalu i musiał ustąpić. Wywinął się jednak i, podobnie zresztą jak jego prawa ręka Daniel Bachrach, cieszył się wolnością. Czy Słubica-Popielski pójdzie jego drogą?

– zastanawiał się Strasburger. On także był elegancki, ale ze swoją pucułowatą twarzą, łysiną i wielkimi wąsami nie tak przystojny. Przywiązanie do szlacheckiego pochodzenia i używanie przydomka czy też herbu – Strasburger nie znał się na tym – zbliżało go do gustów Kurnatowskiego. Więcej ich jednak dzieliło niż łączyło. Największą różnicę dawało się zauważyć w sposobie prowadzenia śledztwa. Kurnatowski był mistrzem nad mistrze, znał wszystkie szumowiny i największe grube ryby, a Słubica-Popielski nie wychodził z za biurka. Nie chciał czy nie potrafił? A może po prostu wciąż nie miał rozeznania w warszawskim półświatku. To ostatnie wydawało się więcej niż pewne. Z zamyślenia wyrwał aspiranta głos szefa: – Tak więc nie łączy pan tych spraw? – Widząc brak reakcji, dodał: – Tak czy nie, panie aspirancie?

– I tak, i nie, panie nadkomisarzu!

– Słucham?

– Dotyczą tej samej grupy ludzi, ale motyw i zabójca niekoniecznie są wspólne.

– Ciekawe... – ton głosu nadkomisarza wyrażał powątpiewanie – że cała Warszawa uważa inaczej, tylko młody as z Urzędu Śledczego sili się na oryginalność w sprawie, która wydaje się przejrzysta i jasna.

– Moim zdaniem mordercy byli dwaj, ten pierwszy był wyższy, ale słabszy, za to bardziej zacięty, a ten

drugi bił mocniej, lecz z większym rozmysłem i wprawą. Do tego wykorzystywał swoją siłę i jeszcze potężniejszy wzrost, bo ciosy zadawał z góry, co z miejsca zauważył przodownik Stolarczyk. Zresztą to nie tylko nasze spostrzeżenie, ale przede wszystkim doktora Potockiego, a to przecież nie lada jaki fachowiec.

- Wydawało się, że Strasburger skończył, ale coś go podkusiło i postanowił postawić jeszcze kropkę nad i.
- Wiem, że tak mówi cała Warszawa, ale jej wiedza bazuje na artykułach tego całego Gza.

-*Argumentum pessimi turba* - Słubica-Popielski uraczył go łacińską sentencją – zgubnym argumentem jest tłum, ale nie sposób nie zauważyć, że modus operandi pozostaje ten sam! A co myśli na ten temat sędzia śledczy?

Niewiele brakowało, a Strasburger wybuchnąłby śmiechem. Sędzia Sylwester Raczyński, który prowadził tę sprawę, nie kierował nią nawet z tylnego siedzenia śledczego wehikułu. Większość sędziów taka jest, nie rządzą, ale panują. On nawet nie panował, on się tylko przyglądał.

Przyglądał, ale nie komentował, po prostu nadzorował, a w jego przypadku słowo nadzorował oznaczało, że po prostu był. Tak mu wyszło, że zamiast papugą[17] czy sędzią, który orzeka w sądzie, został urzędnikiem Ministerstwa Sprawiedliwości i przesunięto go do takich właśnie obowiązków. Z punktu widzenia śledczych z Daniłowiczowskiej był to typ sędziego niemal idealny: nie przeszkadzał, wierzył na słowo, a sprawdzał wszystko tylko pod kątem paragrafów i przepisów. Na finał pisał piękne pismo i elegancko składał sprawę w sądzie.

- Pan sędzia śledczy Raczyński jeszcze wyrabia sobie zdanie – odpowiedział Strasburger sucho, po czym przeszedł dalej. – W raporcie dla pana sędziego zaznaczyłem, że może to być przypadek, a może celowe działanie. Niewykluczone, że bandyta specjalnie użył młotka, by skierować nas na fałszywy trop...

- Być może, być może. – Zastępca naczelnika Urzędu Śledczego pokiwał głową. – A Goliat, ta tajemnicza postać? Ten człowiek pojawia się w raportach!

- Owszem, szukamy go, ale to tylko jedna z wielu podejrzanych osób. Tych, którzy mieliby interes w zabójstwie Gołdy Ejzenberg, są dziesiątki.

- A wątek pruskiego wywiadu, a wcześniej ochrony?

- Panie nadinspektorze, moim zdaniem minęło zbyt wiele czasu, osobiście skłaniam się ku rozgrywkom między sutenerami i powiązaniom z handlarzami żywym towarem. Do tego skradziono rzeczy o ogromnej wartości.

Nadinspektor sprawiał wrażenie rozczarowanego odpowiedzią, zakręcił węża, wstał, zrobił przy swoim biurku małe kółeczko i podał Strasburgerowi rękę.

- Proszę mnie informować o postępach w śledztwie, proszę też łaskawie poważnie brać pod uwagę tezę, że zabójca ze Śliskiej i zabójca z Krochmalnej to jedna i ta sama osoba. Dziękuję panu, życzę powodzenia i miłej niedzieli.

Aspirant Kornel Strasburger podziękował, skłonił się i wyszedł, by jak najszybciej oddalić się od gabinetu przełożonego. Nie chciał strzelić żadnej gąfy, a sposobów na ich popełnienie było wiele. Świerzbził go język, by zapytać, co mu radzi nadkomisarz, ale bał się, że nie będzie to prośba, lecz atak. To nie był rasowy pies gończy, tylko urzędnik. Dupa, a nie śledczy, Kornel czuł to i nie potrzebował potwierdzenia, bo prawdziwy pies wyczuje psa na kilometr, tak jak wyczuwa złodzieja, kurwę lub alfonsa. Powstrzymał się więc od kłopotliwego pytania, bo jeśli ktoś komuś miałby tu dawać rady, to on nadkomisarzowi, a nie odwrotnie. Udało mu się też nie wygłosić żadnej uwagi na temat prasy, która według Słubicy-Popielskiego była ważniejszym źródłem informacji niż ekspertyza doktora Potockiego. Na koniec odniósł wrażenie, że jego szef, który do tej pory raczej się przyglądał, teraz zapragnął włączyć się w sprawę i nabrał fantazji, jakby naczytał się gazet i powieści. Pewnie też ulega naciskom „całej Warszawy"! Całej, czyli towarzystwa z filharmonii i herbatek, pana radcy, pana mecenasa, pani hrabiny i kogo tam jeszcze. Nie daj Boże jakiegoś dupka z ministerstwa. No i jeszcze te życzenia – miłej niedzieli! Śledczy, który prowadzi sprawę zabójstwa, nie miewa miłych niedziel, praktykujący pies o tym wie, a salonowy piesek nawet się tego nie domyśla. Jak on, do kurwy nędzy, zaszedł tak wysoko, jak prowadził śledztwa i dochodzenia na Kresach? Rozpyta się,

kogo trzeba, ale pewnie odpowiedź jest prosta – zza biurka. Na razie Strasburger szedł w kierunku swojego domu, na Długą, ale nie po to, by „mile spędzić niedzielę”, ale by u Herszfinkla w Pasażu Simonsa przetrząść gęsinę, walnąć kolejejkę pejsachówki i przede wszystkim zdać relację Zydze Stolarczykowi.

Zyga nie marnował czasu, policzki miał już zarumienione, a w oczach błysk. Widząc Kornela Strasburgera, odłożył na bok „Express Warszawski”.

– Rozgrzałeś się? – zaśmiał się Strasburger, bo tego dnia była piękna, słoneczna pogoda.

– Raczej schłodziłem. – Przodownik poprawił nasiąknięty potem kołnierzyk. – Czekaając na ciebie, uderzyłem dwa małe zimne piwka. Nie sztorcuj mnie jak Jadwiga, tylko gadaj, co usłyszałeś.

– Nic, co by cię ucieszyło.

– I nic, co by zaskoczyło?

– Właśnie. Teraz nie mam wątpliwości, że to nie tylko urzędas, ale i facet, który dryfuje z prądem ministerstwa i Komendy Głównej.

Zygmunt Stolarczyk kiwał głową.

– Do tego wydaje mi się, że nakręca go towarzystwo, a towarzystwo nawet jak nie czyta „Expressu Warszawskiego”, to wie o wszystkim od szoferów, gospoś, taryfiarzy i kelnerów. Pytał o watek jej współpracy z ochroną i wywiadem niemieckim. Sam też coś wymyślił, bardzo zainteresował go Goliat.

– Ożeż ty kurwa jego mać! – Przodownik Stolarczyk przywalił pięścią w stół. – No to jesteśmy, panie kolego, w ciężkiej dupie!

Zyga Stolarczyk palnął pięścią tak mocno i wypowiedział swe słowa tak głośno i dobitnie, że mimo wesołego gwaru panującego w lokalu wzbudził zainteresowanie innych klientów.

– Co ty, Zyga, wstawiłeś się? – Strasburger próbował uspokoić przyjaciela i podwładnego w jednej osobie.

– Nieee, kurwa – wysyczał – on niczego nie wymyślił, nie czytałeś „Expressu”? Ten gnojek Giez napisał dziś o tajemniczym Goliacie, postrachu dzielnicy żydowskiej, a w poniedziałek ma rozwinąć temat!

Strasburger schował twarz w dłonie, cicho zaklął, po czym powiedział przez zaciśnięte zęby: – No to faktycznie, kurwa, jesteśmy w dupie, nie lubię szumu!

– Teraz znieawidzisz, bo Goliat rzadko kiedy wypływa na powierzchnię, po tym artykule zaś zanurzy się w głębinach Murdziela!

– Albo wyjedzie z Warszawy?

– Taki potwór, gigant, chyba w skrzyni albo w specjalnym aucie, takim jak więźniarka!

Strasburger popatrzył na Zygę z politowaniem.

– Moim zdaniem ty go sobie zmyśliłeś...

Stolarczyk obrzucił Strasburgera strasznym wzrokiem.

– Zyga, daj spokój, patrzysz na mnie, jakbym ci rodzinę harmonią wybił!

– Bo ten człowiek istnieje! Widziałem go w cyrku, jak byłem mały, wraca co jakiś czas w opowieściach!

– Wraca, wraca – zachnął się Strasburger. – Moim zdaniem dawno go szlag trafił, a dla szemranej bandy, dla najgorszej chewry to taki straszak i alibi. Bójcie się, bo naślemy Goliata! To nie my, to Goliat, panie władzo, jesteśmy niewinni.

Przodownik spojrzał na aspiranta z wyrzutem i pokręcił głową.

– Zobaczysz, zobaczysz, że to nie mit! A na razie póki nam nie poukręcałbów, napijmy się!

Stolarczyk pstryknął palcami, kelner zauważył to w mig i już szedł w ich kierunku. Mieli wpaść na jednego, ale jeden kieliszek nie rozwiąże ich problemów. Ćwiartka na dwóch też nie, ale przynajmniej pozwoli się lekko znieczulić po prztyczku w nos, którego dostali od pismaka z „Expressu”.

Symfonia zmysłów to jeden z jego ulubionych filmów, a od momentu gdy go zobaczył, w swoich marzeniach dotyczących spraw damsko-męskich widział kuszącą Felicitas. Nieziemska kobieta, wamp, boska Greta... Myśli zawsze szły śmieiej i dalej, hen poza granice, które wyznaczał film, a on próbował realizować swe wizje z nielicznymi kochankami i z dziwkami, których było więcej, o ile dopisywała mu flota. Czuł jednak niedosyt, niby było tak, jak trzeba, ale do zupełnego spełnienia daleko. Dziś jednak symfonia zmysłów się pojawiła. Czy to dlatego, że mówił do Stelli Felicitas, a ona przyjęła tę grę i szeptała: Felicitas zrobi wszystko, czego zapragniesz? A może dlatego, że był wypoczęty, pewny siebie i zwycięski? To był prawdziwy triumf, sukces, na który zapracował, który podniósł z brudnego, śmierdzącego bruku Krochmalnej. Pił z podejrzanymi typami, którym cuchnęło z ust jak z kloaki, bratał się z dziwkami, a z jedną z nich nawet się zabawił i nie dość, że jej zapłacił zbyt wiele, to jeszcze dogodził. Oby tylko nie złapał jakiegoś choróbka, ale nawet jeśli... To ona powiedziała mu o Goliacie, o potężnym zbirze, który pojawiał się u Rotenschwanzów. To był trop, to był ślad, za którym poszedł. Gdy wymawiał jego imię, ludzie reagowali nieprzychylnie, jedni wycofywali się, mówiąc, że chcą żyć, inni grozili pobiciem i dodawali, że skończy źle, jak będzie wsadzał nos w nie swoje sprawy. W końcu nastał zmierzch, a sama myśl o ciemności przy Krochmalnej budziła w nim grozę, zwłaszcza szynk Kohna. Im było później, tym twarze robiły się groźniejsze, a ludzie tracili chęć do rozmowy. Miał już wychodzić, gdy zaczął go kulawy pijaczek, który potrzebował ukoić swój alkoholowy głód. Giez położył pieniądz na blat bufetu i postawił mu kolejkę pejsachówki, a ten zamiast podziękować zapytał: – Piękny pan, a pan nie chcesz pić z kulawy Szlomo? Dawno ze mną nikt nie pił...

Zamówił więc kieliszek i dla siebie, wypili parzącą gardło wódkę i Giez pożałował, że to zrobił. Raz, że nie lubił pejsachówki, każdy najmniejszy łyk zatykał go i uderzał do głowy, dwa, że ludzki wrak, z którym stanął przy bufecie, mógł mu się co najwyżej zrzygać na ubranie, a nie powiedzieć coś, co warte będzie floty, którą na niego wydał. Puścił dziś prawie dwadzieścia złotych, więc teraz każdy następny wydany grosz zaczynał go boleć. Okazało się, że był w błędzie, to były najlepiej wydane pieniądze nie tyle na wódkę, ile być może nawet w całym jego dotychczasowym życiu.

– *Harcin dank*[18], panie prezesie – powiedział pijaczek. – *Harcin dank*, biedny Szlomo potrzebował ten mały łyk, by choć na chwilę stać się szczęśliwy! Wasz chrześcijański Bóg to panu wynagrodzi i pan będzie wielki prezes!

– Ja będę kimś, jak usłyszę coś o Goliacie...

– A czemuż by nie? – Oczy pijaczka zabłysnęły. – Ja znam kilka historii, ja się nie boję ich mówić, bo strach mnie opuścił. I strach, i mamona, i zdrowie, i Bóg...

– A czy Szlomo wypiłby jeszcze jeden albo i dwa kieliszeczki? – zapytał Giez.

Może jednak ten ochlapus naprawdę coś słyszał? Był zalany w pestkę, więc niegroźny, może faktycznie nie spęka jak inni, którzy usłyszeli ksywkę Goliat.

– Aj waj, czy ja bym nie wypił? – zaśmiał się, a w zasadzie zacharczał ludzki wrak. – Nikt już nie chce pożyczać mamona, nikt już nie ma żaden szacunek dla biedny Szlomo. – Pijaczek popatrzył na Edwarda Gza przekrwionymi oczyma, które wyrażały bezkresny smutek. – Ja jestem dla wszystkich jak jakiś podły bachor, jak szmieć. A kiedyś... – znów zacharczał, próbując się zaśmiać – kiedyś to ja byłem ktoś. Moja *marne* i moja *bobe* mówiły: Szlomo ty będziesz ważny człowiek! Czemu one tak mówiły? Bo mały Szlomo pięknie czytał Reszit Daat, bo mały Szlomo usłyszał od mełameda, ten *bubele*, ten Szlomo, on będzie się uczyć w jesziwa! Tak o mnie mówili! I ja się uczyłem w jesziwa, a tam mówili mnie, ty będziesz miał semicha, ty będziesz rebe... No i zostałem rebe, ale w chewra! U mnie była taka chucpa, że mnie opanował wielki *miszegas*[19], ja okradłem rebe, ja zabrałem różny fanty z jesziwa! Taki byłem! Ja musiałem uciekać z mój Chełm, z moje mądre miasto Chełm!

– Szlomo zaciągnął się skretem wypełnionym jakimś podłym tytoniem. – Z Chełm ja trafił do Warszawy, najpierw na Murziel, a później tu na Krochmalna. Oj, jakie ja miałem szprawne ręce i szybki nogi, nie było lepszy doliniarz niż ja. Mówili, że Szlomo to najpierwszy pianista, to przez te paluszki i ta nogi. Ja byłem puryc, ja miałem piękna chawira, ja miałem powodzenie, i Żydówki, i sziksy, stare, młode, jakie ja

chciał. Jak ktoś ma mamona, to może wszystko. Aż okradłem nie ten człowiek. Jego ludzie doszli mnie, pobili, a na koniec połamali w drebiezgi moje złote palcy i przetrącili nogę.

Edward Giez zrozumiał, dlaczego Szlomo kuleje i czemu ma krogulcze, pokręcone palce. Myślał, że to artretyzm, ale teraz dowiedział się wszystkiego.

– To był koniec moje życie – powiedziało Szlomo. – Rozumiesz? Bóg powiedział mi *ojf widerzejn* [20], ja sztraciłem wszystko, została tylko wódka.

Giez z obrzydzeniem poczuł, że Szlomo chwycił go swoimi szponiastymi, lepkiemi dłońmi. Do rzeczy, pomyślał, do rzeczy, do konkretów, zanim ten brudny typ go obsłini lub zarzyga. Wskazał bufetowemu, żeby ten nalał wódki.

– No to jak, powiesz coś o Goliacie, zdecydujesz się?

Ludzki wrak spojrział na niego przekrwionymi oczyma.

– Czy ja się zdecydowałem, żeby mówić o ten potwór? – Zaśmiał się przeraźliwie. – Dziś jest ten dzień, kiedy ja się zdecydowałem na wszystko, na wszystko!

– Na co?

– Ja nie chcę czekać na Rosz Haszana i Jom Kippur, ja już jestem przegrany, ja muszę skończyć! Fertik, koniec, *zoy zoy azoj*[21]!

– Co musisz skończyć?

– Moje życie. – W oczach Szloma nie było już smutku, lecz coś na kształt nadziei. – Pomożesz mi?

Edwarda Gza przeszły ciarki, zdawało mu się, że dłoń pijaka lepiąca się do jego dłoni przesyła go prądem.

– Ile ja mam lat?

– Nie wiem.

Nie wiedział, wydawał mu się starcem, pokręconym, zniszczonym, wiekowym. Tylko te oczy... One były jakby z innej parafii, nie pasowały do pokurczonych członków, do pomarszczonej, pełnej bruzd twarzy okolonej długą, skołtunioną brodą.

– Czydzieści cztery... Wasz Chrystus żył czydzieści czy lata. Szlomo żył tyle samo. Rok temu... To było rok temu. On był wasz żydowski król, a ja jestem żebrak z Krochmalna, ja nie muszę żyć dłużej niż on, a ten rok to nie życie, to śmierć, mnie już nie ma, ja tu jestem przez jakieś nieporozumienie. Daj mi na litr pejsachówki, ja się zapiję na szmierć!

– Daj spokój. – Giez z odrazą strząsnął z siebie krogulcze szpony pijaczyny.

– Ja ci mogę dać coś w zamian. Ja mogę zrobić z tobą dobry geszeft, to będzie geszeft twoje i moje życie. Mój na koniec, twój na początek...

Edward Giez nie wiedział, co powiedzieć, wydawało mu się, że to wszystko jakiś żart, kawał, nieporozumienie.

– Szlomo był kiedyś *kibicer*[22], ale Szlomo już się nie śmieje, Szlomo nie jest żartowniś. Ja wiem, że ty jesteś *szajgec*[23], co pisze dla jakaś gazeta, ja wiem, że ty pytasz o Goliat. Ja ci mówię, ty szę sztańd wynoś, bo przyjdą tu ludzie, którym szę to nie podoba. To jest bardzo szemrane miejsce, po zmroku przychodzą tu ludzie, którzy... – Szlomo przejechał sobie kciukiem po grdyce – potrafią zabić bez mrugnienia okiem. Tu się odbywają dintojry[24], sądy złodziejskie, tu się wydaje wyroki szmierci, a parę metrów stąd się je wykonuje. Czy ciebie/erszte/en, rozumiesz to? Po czo ciebie mieć szkręcony kark? Czy ciebie potrzeba mieć koniec w Wisła? Ty chcesz szę dowiedzieć wszystko o Goliat, tak czy nie?

Giez nie wierzył w to, co słyży. Kiwnął głową.

– Jak chcesz, to kup litr pejsachówka, a później zapłać jakaś dżywka. Chcę ostatni raz...

– Ajak mnie oszukasz?

– Ty idź po pejsachówka, ja ci wszystko opowiem, a ty mi dasz na dżywka i dasz flaszkę. Gites?

– Gites.

– Pospiesz się, bo zabiją nas obu. Ty chcesz żyć, a ja chcę się zapać.

Wyszli na ulicę i ruszyli w kierunku Hal Mirowskich.

– Dokąd idziemy?

– Do jakiś chrześcijański sklep albo szynk.

– Dlaczego?

– Ja mam jeszcze jedno życzenie, jeszcze jedno! – Szlomo wbił w Edwarda Gza płomienne, pobudzone alkoholem i myślą o spotkaniu z kurwą spojrzenie.

– Co takiego?

– Ja chciałem spróbować czegoś, czo ja nie znam, czego Żyd nie powinien...

Giez zrobił wielkie oczy. O co mu mogło chodzić?

– Ja nigdy nie jadłem szynkę, ale ja wiem, że Jahwe wpisał mnie do Księgi Śmierci – zaśmiał się przeraźliwie. – Co ja mogę stracić? Jak nic nie stracę, ja posmakuję szynka!

Poszli na Twardą, gdzie pod piętnastym był bar. Szlomo, który wyglądał i śmierdział tak, że poza Krochmalną nie wpuszczono by go do żadnego lokalu, został na zewnątrz, a Giez kupił parę plasterków szynki. Szlomo schował je do kieszeni.

– Czemu nie jesz?

– Zobaczysz... Najpierw czy opowiem.

Poszli na plac Grzybowski, usiedli na stopniach kościoła i Szlomo zaczął opowieść o Goliacie. Naprawdę nazywał się Jakub Fajgenblat i był silny jak tur, chcieli go zatrudnić w cyrku przy Okólniku. Mógł zostać wielkim atletą, ale zanim go przyjęli, złamał kark agentowi ochrony. Było to za japońskiej wojny, szukała go wtedy policja i żandarmi, ale on zaszył się gdzieś. To była jego umiejętność, niezwykły dar, bo mimo że rzucał się w oczy, potrafił zniknąć jak kamfora. Był jak duch, zły duch. Nie miał wielkich wymagań, interesował go dach nad głową, trochę alkoholu, dobre jedzenie i panienki. Służył komuś jak pies łańcuchowy, którego spuszczano ze smyczy od czasu do czasu. Zrobiło się o nim głośno w 1905 roku, miał przy Szpitalnej swój pokój obok burdelu, do którego weszli bojowcy w czasie pogromu dziwek i alfonsów. Uratował wtedy Madame Gałę, a ta dała mu posadę do końca życia, tak został jej wiernym psem i służył jej do śmierci. Podobno zajmował się pilnowaniem i gwałceniem dziewczyn przeznaczonych na sprzedaż do amerykańskich burdeli.

– Czy mógł ją zabić?

– To wie tylko Najwyższy. Ale pamiętaj, pan żurnalista, że Golem, ten, który stworzył rebe Jehuda Lów ben Bezalel z Praga, na koniec się zbuntował i zabił ludzkie rebe Lów.

– Tak mogło być i w Warszawie?

– Ja już ci mówił, to wie tylko Najwyższy.

– Widziałeś go?

– Ja żyję... – uśmiechnął się Szlomo, szczerząc szczerbate zęby – ...a ci, co go widzieli, już o tym nie powiedzą.

Jak się popije, to trzeba zapalić. Giez wyciągnął z kieszeni paczkę kowboi[25] i podstawił ją pod nos przysłemu samobójcy. Zasłużył na tego papierosa jak mało kto. Szlomo chwycił fajkę błyskawicznie, z szybkością i precyzją, o jaką nie podejrzewałoby się człowieka ledwo powłóczącego nogami i mającego powyłamywane palce.

– Jesteś pan zadowolony, spodobało się opowiadanie Szlomo? – zapytał, wachając papierosa.

Spodobało się, bez dwóch zdań spodobało, było tego tyle i takich rzeczy, że nie wszystko mu puszcza.

To o gwałceniu może nie przejść, napisze zniewalał, ludzie sobie dopowiedzą.

– Nie kłamiesz? – zapytał Giez.

– A czy ja mam coś do stracenia? Ja się pytam, czy pan nie kłamiesz, czy pan dasz to, co miałeś dać?

Poszli, a w zasadzie powlekli się w kierunku Starego Miasta, gdzie urzędowały tanie dziwki. Zagłębili się w mroczne zaułki, w których klientów wyczekiwały najmniej wymagające z wilczyc.

– Panienska bez czarnej książeczki, prawie dziewica – zaszeleściła starucha, naganiaczka – i piękny kawaler, i pan koszerny będą zadowoleni.

– Bez książeczki, to znaczy, że ma syfa – zbył ją Giez.

Kuśtykający za nim Szlomo zaśmiał się przeraźliwie.

– A mnie to ganz egal! Mnie już nic nie jest sztraszne – zarechotał raz jeszcze i pociągnął z butelki solidny łyk pejsachówki, który nawet wprawnemu pijakowi odebrałby dech na dobrych parę chwil. Szlomo nawet się nie skrzywił. Z bramy wyszła chuda i obszarpana dziewczyna. Chwiała się i ledwo trzymała na nogach. Wyglądała jak cień, jak żywy trup, a gdy się uśmiechnęła, pokazała szczerby i zepsute zęby. Giez wzdrygnął się i pomyślał, że długo mu porządnie nie stanie, ale Szlomo odwzajemnił się podobnym uśmiechem i pociągnął z butelki raz jeszcze. Edwardowi żołądek podjechał do gardła, nie wiedział jednak, czy to dlatego, że wyobraził sobie, jak ktoś wlewa mu w gardło szklanekę ponad siedemdziesięcioprocentowego alkoholu, czy też z powodu upiornej dziwki. Dziewczyna łyknęła z butelki, po czym wciągnęła byłego doliniarza do bramy. Szlomo poszedł za nią z plasterkiem szynki, który wystawał mu z ust jak zmęczonemu psu język. Takiej perwersji Giez jeszcze nie widział, nawet nie słyszał, nie wyobrażał sobie. Z bramy dochodziły jęki na przemian z mlaskaniem oraz upiornym śmiechem. Wszystko to trwało wieczność, przynajmniej tak mu się wydawało. Wreszcie para wyszła z bramy, twarz dziwki nie wyrażała niczego, natomiast Szlomo promieniał z radości. Starucha skasowała od Gza piątkę, bo Szlomo powiedział, że chce się godnie pożegnać. Może się rozmyśli? Nic z tych rzeczy.

– Straciłbym życie, nie jedząc szynka! Poznałem ten smak, to jest cymes, to jest cymes.

– Cmoknął i pociągnął solidny łyk. Nagle się ożywił.

– Ja jeszcze czegoś chcę, ty mnie obiecaj!

Szynka, dziwka, pejsachówka, czego on jeszcze może chcieć?

-*Jorcajt...*

– Co?

– *Jorcajt*, ty zmów w rocznicę mojej śmierci modlitwa.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Giez.

Czuł się dziwnie, miał wątpliwości, czy robi słusznie, ale przecież to nie jego decyzja, tylko tego ludzkiego wraka. Wybrał tak, jak chciał, tego pragnął, a on dał mu to, czego sobie życzył. Nagle poczuł, że Szlomo nic go już nie obchodzi, że musi gnać do redakcji, zasiąść przy maszynie i pisać, czas go gonił, naglił.

– Zrobisz to?

– Zrobię, ale poczekaj, poczekaj na mnie... Szlomo nie chce sam pić ani umierać.

Jeszcze tego brakowało. Szlomo złapał go lewym szponem za ramię, prawy podniósł w górę, a następnie przechylił butelkę. Pił pejsachówkę, tak jak się pije wodę albo oranżadę. Był już mocno zamroczony i Giez myślał, że ostatecznie po prostu zwali się z nóg i nie będzie w stanie wypić zabójczej dla niego ilości. W końcu osunął się po murze, ale nie wypuścił butelki z rąk.

To koniec, pomyślał Giez, albo zachlał się na śmierć, albo upił się tak, że stracił przytomność. Był już dwa kroki od niego, gdy Szlomo zabełkotał: – Pomóż... Potrzyмай butelkę.

Przytrzymał butelkę, a Szlomo pił łapczywie, wreszcie padł. Czy to już koniec? Nawet jeśli nie, to

człowiek nie ma prawa przeżyć czegoś takiego. Żebrak wypił prawie litr niezwykle mocnego alkoholu, w szynku zaliczył trzy kolejki, a ile wydudlił wcześniej? Giez oddalił się szybko i miał nadzieję, że nikt go nie widział, a zresztą kto się przejmie kolejnym żebrakiem, który się zapił na śmierć. Janusz będzie miał temat, zaśmiał się złośliwie. On będzie pisał na pierwszą kolumnę, a Janusz i Zulus dalej będą wstawiać te swoje małe pierdy. Karta się odwróciła, Giez wskoczył do dorożki i kazał się wieźć do redakcji, a tam zasiadł do maszyny.

Rano naczelny piał z zachwytu, w sobotę dadzą to, co było zaplanowane, i okraszają zapowiedzią poniedziałkowej opowieści o Goliacie. Dobosz klepał go po plecach i zaprosił Pod Dwójkę na sznapsa. Wypili kolejeczkę, a naczelny powiedział: – Wyzwoliłeś się pan na prawdziwego żurnalistę, gratuluję, Edwardzie!

Giez powinien się przespać, jednak zarządził inaczej. Uderzył jeszcze w mały gaz, po czym kupił w sąsiednim sklepie czekoladki i butelkę koniaku, wskoczył do taksówki i kazał się wieźć na Browarną, gdzie mieszkała Stella.

Niespełna godzinę później przeżył coś, czego nie doświadczył nigdy wcześniej. To była zasługa nie tylko urody i wprawy dziwki, ale przede wszystkim tego, że Edward Giez czuł się zwycięzcą.

Warszawa, poniedziałek 1 września 1930

W Warszawie zrobiło się tłoczniej, tramwaje i ulice zapełniły się dzieciakami w mundurkach, które szły do szkoły, był to znak, że wakacje roku 1930 zakończyły się nieodwołalnie.

- No i co, tatuś zaprowadził dzieci do szkoły? – zapytał Strasburger.
- Zaprowadził – roześmiał się Stolarczyk i dał aspirantowi sójkę w bok.
- Rozumiemy się, sztama jest?
- A jakże, rozegramy ten dzień tak, jak to sobie wymarzyłeś.

Przodownik Stolarczyk czuł się szczęśliwy jak małe dziecko, w końcu będą mieli chwilę spokoju. Teściowa pojechała do Milanówka, dzieciaki w szkole, więc... Zyga aż przebierał nogami. Teraz trzeba tylko odsiedzieć swoje na odprawie, a później...

Weszli do sali, w której miała się zacząć odprawa, rozmawiano o nowym roku szkolnym, o wczorajszym dniu na wyścigach oraz o zgodnych wynikach warszawskich drużyn piłkarskich. Warszawianka zremisowała u siebie 2 do 2 z Pogonią Lwów, a Polonia na wyjeździe 1 do 1 z Wisłą. Legia miała wolne, ale tydzień wcześniej też zremisowała 1 do 1 z Czarnymi. W końcu rozmowa zeszała na truposza, którego znaleziono wczoraj na skarpie niedaleko Kamiennych Schodków. Był to znany doskonale przy Daniłowiczowskiej Szlomo Wajberg, który do niedawna należał do najlepszych kieszonkowców w mieście. Rok temu zadarł z kimś, został solidnie pokancerowany i stoczył się na samo dno.

– Od salonów na bruk krótka droga – podsumował Sznuć. – Szemrani mówili, że obrobił działacza związkowego i spotkał go robotniczy gniew.

- Zrobił Łokietka? – zdziwił się Strasburger.
- Nieee – zaśmiał się Sznuć – jakby trafił na Doktora Łokcia, to już by nie żył, a tak...
- Co to za życie dla doliniarza, bez sprawnych palców i z kaleką nogą – dorzucił Stolarczyk.
- Jak zginął? – zapytał Pijanowski.
- Marnie, tak jak ostatnio żył. – Aspirant Weiss uśmiechnął się krzywo.
- Zapił się na śmierć? – Sznuć drążył temat.

– Pewnie by się zapił, gdyby nie to, że pierw uduślił się swoimi wymiocinami. – Weiss rozłożył ręce. – Wypił prawie litr pejsachówki, no, chyba że ktoś mu trochę pomógł, bo butla, która leżała przy nim, była prawie pusta. To na dużego chłopca, który zakąsza, jak należy, ilość zabójcza, co dopiero mówić o gościu, który jest niedożywiony i waży pięćdziesiąt kilo. Po czymś takim nie mógł wyjść żywy.

– Tak zmarniał? – zdziwił się Pijanowski.

– Widziałem go tydzień temu, marność nad marnościami – westchnął Weiss.

– Mieliśmy z nim masę kłopotów, ale to był typ, którego dało się lubić. Szkoda go, widać tylko niektórzy zasługują na fachową śmierć na szubienicy, a już nie każdy na godny pogrzeb – podsumował smętnie Strasburger.

Nie wszyscy uważali, że aspirant Kornel Strasburger naprawdę się przejął.

– Jak cię znam, Kornisiu, to pewnie jest jakaś zgrywa, prawda? – zapytał Weiss.

– Jaka tam zgrywa. – Strasburger zrobił oburzoną minę. – To prawdziwa historia, autentyk! Dawno, dawno temu, za siedmioma górami i siedmioma rzekami leżało miasto, w którym panowała tradycja, że nie wolno pochować nieboszczyka, póki ktoś nie powiedział o nim czego dobrego. Wszystko było cacy, dopóki raz nie powieszono podłego łotra. Wisiał tak z parę dni, ale nikomu nic dobrego się z nim nie kojarzyło, w końcu ktoś powiedział: zobaczcie, jak ładnie dynda!

Wybuch śmiechu gwałtownie powstrzymało pojawienie się nadkomisarza Słubicy-Popielskiego i jego asystenta aspiranta Wolfa.

– Dzień, dobry panowie, *ardua prima via est*- zastępca naczelnika Urzędu Śledczego rozpoczął odprawę w swoim stylu od łacińskiej sentencji.

– Początki są trudne, panowie – Wolf usłużnie wytłumaczył zebranym słowa szefa.

Do czego zmierza? – zastanowił się Strasburger, instynkt podpowiadał mu, że do niczego dobrego. Po dziwnym, niby ojcowskim zagajeniu Słubica-Popielski odpali jakąś petardę. I tak w istocie było.

– Początki są trudne, śledztwo się nie klei... – mówił, spacerując, a Strasburgerowi zdawało się, że widzi belfra krążącego po katedrze. – Ja oczywiście przyjmuję takie uwagi do wiadomości... Przyjmuję, a raczej przyjmowałem. Panie Wolf, niech pan przeczyta!

Wolf rozpostarł kawałek papieru i zaczął czytać.

– Redaktor naczelny „Expressu Warszawskiego” Józef Dobosz, list otwarty do Urzędu Śledczego miasta stołecznego Warszawy.

W sali zapanowało poruszenie.

– „Nasze redakcyjne śledztwo wskazuje niezbicie, że za sprawą morderstw Gołdy Ejzenberg powszechnie znanej jako Madame Gala oraz małżeństwa Rotenschwanzów, sutenerów z Krochmalnej, stoi postać osławionego przestępcy znanego w warszawskim półświatku pod pseudonimem Goliat. Nasz dzisiejszy artykuł zawiera także poszlaki dotyczące wydarzeń, do których doszło dwadzieścia pięć lat temu i znane są jako pogrom dziwek i alfonsów. Czy śledczy biorą takie rozwiązanie pod uwagę, czy znane im jest miejsce pobytu Goliata i wreszcie czy jest coś, o czym nie wie prasa, a wie policja? Proszę o stanowisko w tej sprawie nie tylko jako naczelny gazety, ale także jako zaniepokojony obywatel”. Podpisano...

– Czy śledczy biorą takie rozwiązanie pod uwagę, czy znane im jest miejsce pobytu Goliata i wreszcie czy jest coś, o czym nie wie prasa, a wie policja? – powtórzył jak echo nadkomisarz. – Co panowie mają do powiedzenia?!

Słubica-Popielski był wyraźnie poirytowany, aż stawał na palcach, jak mówił, i miało się wrażenie, że za chwilę wyjmie trzcinkę albo linijkę i zacznie walić po łapach. Bibliotekarz przeistoczył się w belfra, takim Strasburger go jeszcze nie oglądał.

– Prowadzimy poszukiwania Goliata, a co do tego, że miałby to być ciąg dalszy tego, co zdarzyło się podczas pogromu... To fantazje, to fantazje, panie nadkomisarzu! – stanowczo powiedział aspirant.

– A może autor artykułu pan Edward Giez ma fantazję i wyobraźnię, których brakuje Urzędowi Śledczemu? – rzucił oskarżycielskim tonem Słubica-Popielski.

– No to wyskok na chawirę szlag trafił-jęknął Stolarczyk.

I w istocie miał rację. Gdyby był inny sędzia śledczy, taki, który trzyma się swojej wersji albo z którym

ugadało się na blachę kierunku śledztwa, to nadkomisarz mógłby im naskoczyć. Ale to był Raczyński, który czekał na to, co podsuną mu policyjni śledczy, a oni byli w tej chwili zależni od swojego szefa. Strasburger nie zgadzał się z tym, co myślał i mówił nadkomisarz, ale nie zmieniało to faktu, że razem z Zygą musieli przynajmniej pozorować, że robią coś, aby sprawdzić wersję szefa.

Takie kolegia to mogą być codziennie. Gza chwalono, miał swój temat, nie musiał drzeć o przyszłość, a panna Alicja Pohulanka siedziała blisko niego i roztaczała niebiański zapach.

W pewnym momencie zmieniając ułożenie nóg, otarła się łydką o nogę Gza. Przeprosiła i obdarowała go nieziemskim uśmiechem, czy był to przypadek? Przypadkiem nie było to, co działo się w ostatnich dniach, każdego dnia uderzał sobie w gaz, tak nie za bardzo, tylko trochę, i najadał się do syta, a na deser łądował między gościnnymi udami Stelli. To były najpiękniejsze dni jego życia, najlepszy tydzień, jaki mu się trafił. Tak to można żyć! Humor, ale tylko na moment, zepsuła mu informacja, którą przyniósł Janusz: oto życie zakończył znany jeszcze do niedawna mistrz sztuki doliniarskiej Szlomo Wajberg. Nieszczęśnik upił się i zadławił śmiertelnie rzygowinami. A więc nie było happy endu, Szlomo spieprzył sobie ostatnie chwile życia. Jego sprawa, on, Edek Giez, wywiązał się ze swojej części umowy. Była pejsachówka, były fajki, była szynka i była dziwka.

Kolegium się skończyło, materiał do kolejnego numeru miał już gotowy, chciał więc pojechać na Browarną, trochę się zabawić i przespać. Stella miała łóżko duże i wygodne, nie to co jego wyrko z trzeszczącymi sprężynami. Wstał z krzesła, pożegnał się i ruszył do wyjścia. Wtem ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Był to redaktor Bonifacy Kalicki.

– Panie Edwardzie, mam z panem do porozmawiania. Zapraszam Pod Dwójkę, siódma pasuje?

– Jak najbardziej, panie redaktorze, to zaszczyt – chciał dodać „zaszczyt napić się z panem”, ale ugryzł się w język. Nie wypadalo, choć było to oczywiste. Pod Dwójką zawsze uderzało się w gaz.

– Oczywiście będę!

O siódmej wszedł do baru, który zawdzięczał frekwencję i dobrych klientów sąsiedztwu Domu Prasy, a nazwę adresowi – Marszałkowska 2. Przedarł się przez tłumek dziennikarzy ze wszystkich możliwych redakcji. Byli chłopcy z czerwoniaków, z „Przeglądu Sportowego” i „Kina”. Przychodziła nawet konkurencja z innych wydawnictw, bo odbywała się tu swojego rodzaju giełda towarzyska i zawodowa. Po raz pierwszy Giez wchodził tu jako ktoś, kto odniósł sukces. Nie taki przelotny, jak trzy miesiące temu, lecz przytłaczający i bezapelacyjny, był bowiem reporterem, do którego należały ostatnie dni, i nie miał wątpliwości, że to nie koniec passy. Każdy chętnie by z nim wypił i pogadał, a on by nie odmówił, bo po paru dniach kieratu i przy dobrze wypchanej kieszeni z lubością pocieszyłby się sławą. Mijał spojrzenia, nie widział zapraszających gestów, bo szukał starego redaktora. W końcu znalazł Bonifacego Kalickiego siedzącego samotnie przy stoliku.

– Dobry wieczór, dziękuję za zaproszenie – powiedział na powitanie i dosiadł się.

– Chciałem panu pogratulować, panie kolego – zaczął Kalicki, dając jednocześnie znak kelnerowi, by przyniósł to, co wcześniej zamówił. – Jeśli pan pozwoli, wypijemy tyle co nic, czyli ćwiarteczkę na dwóch.

– Z przyjemnością.

– Dla mnie też będzie to przyjemność, lubię patrzeć, jak młodzi ludzie ładnie startują. To tym bardziej miłe, że w pewnym momencie zacząłem w pana wątpić. Dziękuję za to pozytywne zaskoczenie!

– To dzięki panu to wszystko, dziękuję! – wyszeptał Giez.

Kalicki wziął kieliszek i spojrzał Edwardowi w oczy, wznosząc szkło.

– Cieszę się, ale... – przechylił kieliszek, chuchnął, po czym jeszcze na wydechu dokończył zdanie: – ale pamiętaj pan, żeby brać odpowiedzialność za słowa!

– To się samo przez się rozumie. – Cholera, czego on chce, przecież pisał dobrze. – Korekta nie narzeka, styl... Mówią, że nienaganny.

– Nie o styl mi chodzi – zachnął się Kalicki – a o treść.

- Nakład pięknie idzie w górę, a więc...
- No właśnie, chodzi mi o to, żebyś pan zaczął myśleć nie tylko o nakładzie.
- Żeby tak ktoś powiedział to Dołędze Mostowiczowi! – wypalił Giez.
- Ale Dołęga Mostowicz to pisarz, a pan jesteś dziennikarz! – wrzasnął niemal Kalicki. – Ludzie lubią bzdury, ale to nie znaczy, że masz ich pan dostarczać! To bywa dość ryzykowne.
- Ryzykowne?
- Nawet bardzo ryzykowne!
- Czemu?
- Chcesz pan wywołać panikę? Wiem, że pan zamierza nazwać mordercę warszawskim Peterem Kurtenem.
- Chcę pisać zajmujące artykuły.
- To pisz pan, czemu giną dziwki, dlaczego padają ofiarą tylu zbrodni, czemu tyle kobiet się prostytuuje! Napocząłeś pan tylko ten temat. Pojedź pan na prowincję, zobacz, jakie są marzenia tych dziewczyn, porozmawiaj w szynkach w zabitych dechami dziurach z ojcami, którzy gotowi są wysłać córki nawet na koniec świata, bo albo wierzą, że czeka je tam los księżniczek, albo cynicznie chcą się pozbyć gęby do wyżywienia. Zobacz pan piekło biedy i prowincji, zobacz i opisz. Reportaże o kobietach upadłych były dobre, bardzo dobre. Pachniało stylem Wańkowicza, to było mięsiste, efektowne, ale i bardzo głębokie. To też jest zajmujące, to też są tragedie, nie tylko mordy na ludziach z marginesu. Pan stajesz się osobą wpływową, tak, tak, pan zdobywasz renomę i możesz kształtować gust i potrzeby czytelników. Zresztą nawet gdyby tutaj zaczęli narzekać, to być może trafi pan do jakiegoś ambitniejszego periodyku, a może, kto wie, zostanie pan pisarzem?
- Bonifacy Kalicki nieco się uspokoił, zakręcił swojego sarmackiego wąsa, po czym chwycił Gza za przegub. – Mówię poważnie, masz pan dobre pióro i możesz pan zostać wziętym literatem, ale nie spieprz pan tego. Możesz pan być gwiazdą pierwszej wielkości, ale na to trzeba lat. Bądź pan cierpliwy, panie Edwardzie, nie idź na skróty. Owszem, kiedyś mogłeś się pan ścigać z pistoletem takim jak Januszewski czy z tym fircykiem Zulskim. Ale pan już ich łyknął i niech pana nie kusi, by zostać kimś takim jak Alicja Pohulanka. To gwiazdka, królowa paru sezonów, a pan masz szansę stać się kimś wyjątkowym, nie spieprz pan tego, panie Edwardzie! – zakończył dobitnie, patrząc mu cały czas w oczy. Puścił jego rękę, po czym machnął na kelnera. – Panie starszy, panie starszy – znów spojrzał na Gza – przekąsimy paróweczkami!
- Gorące paróweczki z kajzerkami wjechały na stół, a stary redaktor podniósł kieliszek z wódką i wzniosł toast.
- Będziemy pić za pana przyszłość!
- Wypili. Po pejsachówce, którą raczył się ze SzlOMEM, był to nektar. Przypomnił mu się tamten wieczór i ostatnie spojrzenie na byłego doliniarza, który leżał z błogim uśmiechem na twarzy. Wydawało się, że dopiął swego, że zapił się na śmierć, tak jak tego pragnął, tymczasem udławił się własnymi wymiocinami.
- Coś się pan tak zamyślił? – zapytał Kalicki.
- Myślę o kondycji natury ludzkiej – skłamał.
- Bardzo dobrze, znakomicie.
- Pili, zakąszali, palili papierosy, a wszystko to przy akompaniamencie niezliczonych rad Bonifacego Kalickiego. W końcu rozlali dwa ostatnie kieliszki.
- A teraz, panie Edwardzie – powiedział z wesołą miną, ale grobowym głosem weteran warszawskiej prasy – rozchodniaczek.
- Idziemy już, to koniec?

– Pan zostaje, ja odchodzę. Tu Pod Dwójką będzie miał pan z kim dokończyć wieczór, panie kolego, na mnie już czas, kto wie, czy się jeszcze spotkamy.

– Słucham? – O co mu mogło chodzić, to niemożliwe, pomyślał Giez.

– Jest dokładnie tak, jak pan myśli. – Bonifacy Kalicki uśmiechnął się cierpko. – To koniec, przeżyłem Aleksandra Trzeciego i Mikołaja Drugiego, niemieckich gubernatorów, Radę Regencyjną, zaliczyłem rządy Naczelnika Państwa i trzech prezydentów. Premierów nie liczę, straciłem rachubę, podobnie z naczelnymi. Wystarczy, powiedziałem sobie pas, prasa schodzi na psy. Dlatego chciałem z panem porozmawiać, Edwardzie, chciałem się upewnić, czy mogę spokojnie odejść. Wierzę w pana mocno, tylko niech pan pamięta...

– Tak, pamiętam! – gorliwie zapewnił Giez.

– Pamiętaj pan, bądź pan odpowiedzialny...

– ...za słowa – dokończyli razem.

Bonifacy Kalicki wstał i uściśnął reporterowi dłoń.

– Krępuje się pan zapytać, więc odpowiem niepytany: jedziemy z żoną do córki, stęskniliśmy się za nią i wnukami, a do tego mamy już dość wielkomiejskiego życia. Odłożyłem trochę pieniędzy i dorobię jako nauczyciel. Mają wakacje w miejscowej szkole, więc postanowiłem skorzystać z okazji. Nie rozgłaszałem tego, bo po co, pożegnałem się z tymi, którzy dla mnie coś znaczą.

– Daleko pan jedzie?

– Do Brazylii.

– Na koniec świata – westchnął Giez.

– Tak, na koniec świata. A zatem już się nie zobaczymy, dlatego na pożegnanie raz jeszcze pana proszę: niech mnie pan nie zawiedzie.

Redaktor Bonifacy Kalicki uklonił się i wyszedł z baru Pod Dwójką. Giez chciał pójść za nim, ale zanim się ruszył, ktoś złapał go za rękaw.

– Stary nudziarz poszedł, chodź się napić, kolego, chyba że nie pijesz z konkurencją z „Kuriera”

– zaśmiał się piegowaty reporter Madejski.

– Piję, piję – odpowiedział Giez.

Przy kontuarze było wesoło i beztrąsko, no i bezapelacyjnie na niego czekali. Koledzy z innych gazet czuli zapach sukcesu i pieniędzy. Tak, będzie dzisiaj stawiał, bo to on jest górą. Wszyscy o nim mówili, a naczelny wypłacił premię, zaczął więc oddychać pełną piersią i mógł pić tyle, ile chce, a nie tyle, na ile go stać. Skorzysta z tego jeszcze dziś wieczorem!

Mężczyzna rozłożył gazetę. Kolejny dzień z rzędu kazał sobie przynieść „Express Warszawski”, nową bulwarówkę, która szturmem zdobywała stolicę. Wstrzelili się w temat, który porwał ludzi. Ten reporter Edward Giez łączy nieboszczyków z tym, co się stało dwadzieścia pięć lat temu. Ma rację, ma rację! Alfons-pogrom to było wielkie dzieło, choć niedokończone. Poszli jak huragan, ale nie policzyli się ze wszystkimi. Cóż, jak to mówią goje, co się odwlecze, to nie uciecze. Złożył gazetę i żółtymi od tytoniu palcami wydarł zaskakująco równy i foremny pasek papieru. Z pudełka wyciągnął tytoń i nasypał na papier, który zastępował mu bibułkę. Stać go było na bibułkę, ale nie wychodził z domu bez potrzeby, ruszał się tylko wtedy, kiedy go potrzebowali. Tu miał wszystko, co go interesowało, a jak chciał, to miał też i panienki. Nie było to hrabiowskie życie, ale wszystko chodziło jak w zegarku. Gazety mu przynieśli, o bibułce zapomnieli, ale to nie był jakiś wielki *cures* [26], poradził sobie i będzie git.

Potężne palce z wielką wprawą i rzadko spotykaną precyzją skrzyły tytoń w skrawku gazety. Wziął skręta w dwa palce i przyjrzał mu się. Był w sam raz, ani za gruby, ani za chudy. Przypalił i pomyślał sobie, że dobrze byłoby powiększyć listę tych, którzy pasują do drugiego pogromu dziwek i alfonsów. Aż się prosiło, by dołożyć parę nazwisk, bo niektórych rachunków nie wyrównano do dziś. Myślenie o zemście

poprawiało mu nastrój, wizja cierpienia, przedśmiertnego skowytu i trupów skąpanych we krwi wprawiała go w półsen, w miły letarg. Przysypiając, przypomniawszy sobie pierwszego alfonsa, którego dopadł. To było jeszcze w dzielnicy żydowskiej, zanim wszystko wylało się na całe miasto. Podbiegł z kosą, pewny siebie, i nie zauważył, że on miał schowany za pazuchą żelazny pręt. Uderzył nim w nadgarstek i to tak mocno, że nie tylko wytrącił tamtemu z dłoni nóż, ale i złamał mu rękę. Dłoń zwisała, a alfons darł się z bólu. Walnął go jeszcze raz czy dwa razy, wziął jego nóż i pobiegł dalej, tłuc kolejnych alfonsów i szumowiny, a tamten darł się jak stare prześcieradło. Prawie usnął, wspominając te miłe chwile, ale wyrwał go z letargu cichy skowyt. Poderwał się i poszedł szybkim krokiem do drugiego pomieszczenia.

ROZDZIAŁ III

w którym Warszawą wstrząsa skandal, jakiego jeszcze nie było, a zdaniem Zygi Stolarczyka nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski ma więcej racji niż aspirant Strasburger.

Warszawa, niedziela 7 września 1930

To nie jest łatwe pracować nocą i z dziwkami. Trzeba wzbudzać zaufanie lub strach, a najlepiej jedno i drugie. Komu nie ufają, ten musi budzić grozę, dopiero wtedy ma się posłuch. Kimkolwiek w tym świecie jesteś, musisz pamiętać, że od nieba ważniejsze są ognie piekielne. Nie wolno zrobić kroku w tył, trzeba być silnym, zdecydowanym, no i naprawdę jakimś świętym albo samym diabłem, by dać radę. Dziś był tylko diabłem, bo sprawa wymagała diabelskiej przemowy, bo tak musi być, gdy ma się swoje słabości, wtedy skuteczne są już tylko metody z piekła rodem... Gdy w świecie upadku moralnego i nieczystości zawodzi obietnica nieba, trzeba natychmiast ukazać wizję czeluści piekielnych. Tu na wizję było już za późno, tu należało po prostu z całą stanowczością i bezwzględnością połączyć straconą duszę z jej przeznaczeniem. Zrobił to, co musiał, to, czego powinien dokonać jako Abaddon i Samael w jednym. Tak, zrobił to, co musiał i powinien, ale zrobił to aż za dobrze. Stało się tak, jak zawsze się staje, gdy w sprawę wtrąci się ktoś, kto pojawia się na swoją i innych zgubę w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie, ktoś, kto zmienia bieg wydarzeń. Mówią na coś takiego: wejść między wódkę a zakąskę, nikt tego nie lubi, każdy może wtedy wyjść z siebie. Złość, furia, brutalność... Błysk ostrza, krew, krzyk stłumiony gwarem z szynku, osuwające się na ziemię ciała. Wspomniał to, co niedawno zaszło... Powinien doznać ulgi, bo było to spełnienie i oczyszczenie, usunięcie ciernia. Ale czuł, że tym razem będą kłopoty. To, co zrobił, było nieodzowne, konieczne, sprawy zaszły za daleko. Ale będą z tego kłopoty, powtórzył raz jeszcze w myślach. Wielkie kłopoty.

Szedł pustą nocną ulicą, a jego czarne ubranie łopotało na wietrze, który zerwał się nie wiadomo skąd. Stukając obcasami, wybijał rytm dla śpiącej ulicy, ale sam nie potrafił znaleźć kierunku i celu. Szedł przed siebie, nie wiadomo dokąd, bo oddalał się od swojej klitki, a właściwie celi, która była mu domem. Zdawało mu się, że nie idzie, lecz płynie przez mroczne morze, ale czy dotrze do jakiegoś brzegu? W końcu zaświeciło przed nim coś jakby morska latarnia. Tak, to był brzeg, to była przystań, do której musiał choć na chwilę zawinąć. Na rogu znajdował się szynk, najwidoczniej czynny jeszcze, bo paliło się światło, które rozjaśniało ten fragment ulicy. Wszedł do środka, jakby był stałym bywalcem, zbliżył się do bufetu i poprosił o papierosa i angelkę wódki. Właściciel lokalu popatrzył na niego ze zdumieniem, jakby zobaczył ducha, a chłopiec bufetowy aż upuścił kufel z piwem. Uderzył setkę mocnego alkoholu, zapalił papierosa i wyszedł. Zniknął jak czarny duch, a obsługa lokalu oraz goście popatrzyli za nim, bo kogoś takiego widzieli pierwszy raz w życiu.

Warszawa, poniedziałek 8 września 1930

Nie było się z czego cieszyć, ale aspirant Kornel Strasburger zawsze potrafił rozweselić siebie i towarzystwo. Siedząc na skraju stołu, już od kwadransa sypał dowcipami i rozbawiał kolegów śledczych czekających na odprawę.

- A to panowie znają, o facecie, który z bandą bachorów wsiada do pociągu?
- Nie, nie! – Komisarz Sznuke aż klaskał w dłonie, ciesząc się na kolejny kawał Strasburgera.
- Dajesz przedstawienie, nasz Dodku kochany!

– No jdziesz pan, panie Dodek bo za chwilę zaczynają się nasze rekolekcje – zawołał przodownik Grom, a po nim dołączyło się wielu innych. Zrobił się szum jak w prawdziwym teatrze, ktoś nawet zaklaskał.

Kornel Strasburger uciszył kolegów śledczych gestem dłoni, zaciągnął się nilem i zaczął opowiadać.

– Facet idzie przez peron z gromadką niegrzecznych dzieci. Podopieczni drą się, tupią, plują, piszczą, zaczepiają pasażerów. Przepycha się z tą całą hałastrą i wsiada do pociągu. Korytarz pęka w szwach, a bachory dalej rozrabiają i dokazują. Przedzierają się do swojego przedziału jak dzicy przez busz, budząc u pasażerów grozę, no bo kto by chciał siedzieć w przedziale lub choćby przez ścianę z takim tałatajstwem. Przechodzący korytarzem konduktor zajrzał do przedziału, który przypominał małpiarnię w porze podawania bananów, skrzywił się, jakby jadł cytrynę, i zapytał: – To wszystko pana dzieci?

– Nie, panie konduktorze, pracuję w wytwórni prezerwatyw i wiozę reklamacje klientów.

Gruchnął śmiech, Pijanowski ocierał chusteczką płynącą po policzku łzę, a Urbański zakrztusił się herbatą i zalał papiery.

– Jesteś pan Dodek i tyle, panie Strasburger – Sznuć piał z zachwytem.

– Lepszy niż Dodek, lepszy – śmiał się przodownik Grom. – Adolf Dymśa przy aspirancie Strasburgerze to mały pikus! Fertner i Lopek też bez szans, gdybyś pan nie był dobrym śledczym, to najwłaściwszym dla pana miejscem byłaby scena w jakim kabarecie.

– Dla naszego Dodka-Strasburgera to tylko Qui Pro Quo – zakrzyknął Urbański.

– Morskim Okiem też bym nie wzgardził. – Aspirant Strasburger skłonił się nisko, rozkładając przy tym szeroko ręce niczym artysta po udanym występie.

– Bis, bis, bis! – podchwycili koledzy. – Dodek, Dodek, Dodek!

Szykował się kolejny występ aspiranta Strasburgera, niekwestionowanej gwiazdy Urzędu Śledczego.

– Kawał prima sort i nie chciałbym kolegom psuć dobrego nastroju, ale go popsuję, bo muszę. Przykro mi, ale to nieuniknione, panie aspirancie – zwrócił się do Strasburgera aspirant Edmund Rengold z brygady obyczajowej.

– Co się stało? – zaniepokoił się Stolarczyk, bo wszystko, co dotyczyło Strasburgera, tyczyło się także jego.

– W mieszkaniu na rogu Widok i Brackiej, które służyło jako dom schadzek dla pederastów, znaleziono zwłoki dwóch dżentelmenów. Jeden to osobnik spośród stałych, że się tak wyrażę, klientów naszej brygady – Czarny Piotruś, a drugi to doskonale znany wszystkim panom Hubert Luks!

Po sali poszedł szmer. Hubert Luks to był nie byle kto, to był artysta kabaretowy mający zasłużoną opinię człowieka, który może zdetronizować samego Bodo.

– Ten Hubert Luks? – zapytał ktoś z niedowierzaniem.

– Tak, ten sam – odparł Rengold.

– Ale czemu to tak bardzo dotyczy mnie? – Strasburger rozłożył ręce. – Owszem, lubię jego piosenki, oklaskiwałem go raz czy drugi w kabarecie i nie jest mi wesoło na wieść o jego śmierci, ale chyba tak czuje się każdy z nas. Czyż nie tak, panowie?

Śledczy ze zrozumieniem pokiwali głowami.

– Bo morderca zostawił list! – powiedział Rengold nieśpiesznie i zarazem głośno, jakby chciał mieć absolutną pewność, że słowa dotrą do wszystkich uszu.

– List? – powtórzyli niemal wszyscy zebrani.

Nic dziwnego, coś takiego nie zdarza się zbyt często, ba, większość śledczych spotkała się z czymś takim po raz pierwszy.

– Opowiadaj pan! – Stolarczyk nie wytrzymał.

– Oto jego treść – zaczął uroczyście aspirant Rengold i wyjął z kieszeni kartkę. – Oczywiście to odpis, który sporządziłem na miejscu zbrodni, bo oryginał pojechał na Ciepłą.

Wszyscy, a szczególnie Strasburger i Stolarczyk, czekali w napięciu.

– „A wtedy Pan spuścił na Sodomę i Gomorę deszcz siarki i ognia. I tak zniszczył te miasta oraz całą okolicę wraz ze wszystkimi mieszkańcami miast, a także roślinność. Pogrom dziwek i alfonsów jeszcze się nie skończył, grzechy będą ukarane. Tej nocy została pokarana nieczystość, zemsta się jeszcze nie dokonała! Goliat”. Jakby się kto pytał, Księga Rodzaju, rozdział dziewiętnasty – powiedział Rengold. – Przodownik Karaś, zanim wylądował u nas, był w seminarium duchownym, więc jest w tych sprawach oblatany.

Rozległy się przytłumione głosy. Zabójcy o biblijnym zacięciu się nie spodziewano, podobnie jak nawiązania do wydarzeń sprzed ćwierć wieku.

– Ale to nie ma nic wspólnego z tamtym pogromem i z ostatnimi zbrodniami! – wykrzyknął Strasburger.

– Tak się panu wydaje? – zgasił go aspirant Rengold. – Jest przecież jasno napisane, że te trzy sprawy się łączą, czarno na białym stoi, że ktoś się obudził po dwudziestu pięciu latach i robi porządk. Przynajmniej mnie się tak wydaje i sądzę, że dla reszty kolegów też staje się to powoli oczywiste. – Rengold wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: wierzysz pan czy nie, to twoja sprawa, a ludzie i tak wiedzą swoje.

– Mnie się nie wydaje, ja jestem pewien! Jestem pewien, że to z pozoru, tylko na powierzchni jedna całość, ale w środku nic się nie trzyma kupy! – wykrzyczał Strasburger. – Nadkomisarz Słubica-Popielski już wie o liście?

– Tak, sprawa została mu zreferowana, pan nadkomisarz myśli teraz nad planem dalszego postępowania – odparł Rengold.

W tej chwili do sali weszli zastępca naczelnika Wawrzyniec Słubica-Popielski i jego asystent Fryderyk Wolf.

Brygida z domu Szpak, żona Alfreda Koniecznego, właściciela szynku i dwóch lokalików pod wynajem w kamienicy przy Widok, aż się przeżegnała, choć jej życie dalekie było od religijnych uniesień. Nie byli z mężem święci, a ich szynk miał fatalną reputację, która przeszkadzała nawet jego klientom. Paserzy narzekali na kurwy i alfonsów, a kurwy i alfonsi na paserów, bo raz policja przychodziła do jednych, a raz do drugich. Tylko lokalki na piętorku trwały sobie cichutko i bez sensacji. Na początku nie podobało się jej, że mieli u siebie miejsce schadzek dla pederastów.

O Matko Bosko, ależ się o tych pederastów obruszali, kazali mówić na siebie urningi albo homoseksualiści! Francuskie pieski, psia ich mać, pederasta im się nie podoba, a co by na ciotę powiedzieli? W duchu tak ich nazywała, bo denerwowały ją te ich wychuchane ubranka, bużki i głosiki. Było tak że dwa lata, czyli od czasu, jak się sprowadził ten Czarny Piotruś. Zastępy ich tu przychodziły, a oba lokale cały czas miały wzięcie. Można powiedzieć, że ten Piotruś pracował na parę etatów: jako portier, który wydawał klucze, jako wodzirej, sutener i rajfur, bo sprowadzał tu męskie dziwki albo łączył klientów w pary i wreszcie sam się prostytuował. No i miał te strzykawki, ampułki i pigułki. Uzbierał tego tyle, jakby z niego był jaki doktor. A doktorów też u niego widziała, bo mimo że się jego goście przebierali, bywało nawet, że za kobiety, to rozpoznała kilku z nich. Był znany przemysłowiec, aktor, co go widziała w kinematografie, i dwóch księży! Dawno nie było jej w kościele, ale jak zobaczyła, że Piotruś miał gości w sutannach, to aż się za głowę złapała. Ale on tylko zaśmiał się tym swoim słodkim jak sacharynka głosem i zaćwierkał, jak tylko on potrafił, że sutanny były dwie, ale że tylko jeden klecha był prawdziwy. Drugi lubił się tak przebierać. Sodoma i gomora! A ostatnio zaczął tu przychodzić sam Hubert Luks! Jeszcze przed pojawieniem się pana Luksa, a było to z rok temu, wszystko jej się odwiedziało.

Kiedyś oczywiście wołała zwykle stręczycielstwo, interes, na którym się znała i którego była częścią, ale się trafił ten czaruś Piotruś, który okazał się lewy. Wahala się, bo to ona, a nie stary, była od podejmowania decyzji. Przekonał ją ten Czarny Piotruś, że to on będzie wszystko aranżował, i zaproponował za, jak to

powiedział, „apartamenta na prywatne przyjęcia” piękną cenę. Pieniążki nie śmierdzą, nawet takie, no bo co tam, pieniądz jest pieniądz, a geszeft to geszeft, i się jakoś to wszystko toczyło. Nic złego o tej ich klejenteli nie mogła powiedzieć: owszem, dokazywali, ale kurtularnie, bez awantur, bez zaległości w opłatach i z pięknym zyskiem. A do tego jak się pojawił jej ulubiony artysta pan Luks... Ależ to był pieśniarz, wielki aktor i prawdziwy dżentelmen. Jak go zobaczyła, to zdębiała. A tak go lubiła i czasem myślała, że jakby miała dwadzieścia lat, to pewnie by się w nim zakochała. Na pewno by się zakochała, ta figurka, ta piękna buźka z cienkim wąsikiem, zawsze ładnie przyczesany, z wysokim dumnym czołem i orlim nosem... Ale nie miałyby go ona ani żadna inna, więc musiała go lubić dalej, w końcu to klejent, w dodatku miły i kurtularny. No i ten głos, silny, wspaniały, taki jak z płyt gramofonowych, które grali w szynku. Luks sprawił, że zupełnie się przyzwyczaiła do tego towarzystwa, od tego momentu to już nie były cioty, tylko koledzy artysty Luksa. Przychodził zawsze w sobotę późnym wieczorem po kabarecie, a ona czekała, niby tak przypadkiem, że niby trzeba było pomóc w szynku, ale tak naprawdę to chciała spotkać pana Luksa. Warto było czekać, bo zawsze w rączki całował i pięknie się uśmiechał, komplementy prawił. I tak było aż do dzisiaj, bo Huberta Luksa już nie ma! Zaszlachtowali go jak prosię! Jego i Czarnego Piotrusia! Jak stary wszedł w poniedziałek do środka, to go aż zemgłiło. Poszedł do Piotrusia rozliczyć się za lokal, byli umówieni w niedzielę, a Piotruś, zawsze obowiązkowy, wręcz pilny, nigdy nie zawodził. Poszedł więc stary, zapukał i nic. Wrócił w poniedziałek... Czarny Piotruś i artysta Luks leżeli na ziemi, byli w neglizżu, a ich ciała były pocięte, jakby sobie ktoś urządził świniobicie. Od razu zawołał Brygidę, bo wiedział, że ona ma łeb nie od parady. Popatrzyła i zarządziła: bierzmy, co cenne, pójdzie na konto mordercy! A trochę tego było, no i ta karteczka na stole.

A wtedy Pan spuścił na Sodomę i Gomorę deszcz siarki i ognia.

I tak zniszczył te miasta oraz całą okolicę

wraz ze wszystkimi mieszkańcami miast, a także roślinność.

Pogrom dziwek i alfonsów jeszcze się nie skończył, grzechy będą ukarane.

Tej nocy została pokarana nieczystość, zemsta się jeszcze nie dokonała!

Goliat

Jezu, gadka jak w kościele! – pomyślała i przypomniało się jej, co działo się dwadzieścia pięć lat temu. Była jeszcze wtedy na ulicy, ale nic jej nie groziło. Pracowała dla chrześcijańskiego sutenera, a pogrom tyczył się tylko żydowskich burdeli, żydowskich dziwek i żydowskich alfonsów. Ich katami też byli Żydzi, taki pogrom inny niż wszystkie. Żydowscy robotnicy demolowali lokale oraz bili i rznęli nożami swoich pobratymców, nie oszczędzając nawet kobiet. Jednej biedaczce rozpruli brzuch, aż jej wnętrzności wyszły na wierzch. Brygida Konieczna znów przeżegnała się zamasyście, prawie tak, jak robią to prawosławni. I jeszcze raz, i jeszcze raz. Trzy razy się przeżegnała, tyle razy, ile dni trwał pogrom. Na ten czas policjanci, żandarmi i żołnierze zniknęli z ulic, ale w końcu znów się pojawili i nastał spokój. Dzisiaj wszystko stało jej przed oczyma, jakby to było wczoraj, a do tego ten list, ta krew, te okaleczone ciała Czarnego Piotrusia i artysty Luksa. Stało się tak, jak podawał „Express Warszawski”, a było w nim napisane, że tę całą Madame Galę i tych Rotenschwanzów z Krochmalnej zabito, bo chodziło o alfons-pogrom. Tak na to Żydzi mówili, alfons-pogrom. Ale co te biedne cioty miały z tym wszystkim wspólnego? Konieczna otarła łzę. Była z niej twarda baba, ale ten Piotruś to już się zrobił prawie swój, a pan Luks... Trudno, co się stało, to się nie odstanie, w końcu trzeba żyć, żyć i zarabiać pieniądze. Zanim zawezwali policję, to razem z Fredziem zwiskali wszystkie szuflady i kieszenie, no bo przecież byli z Piotrusiem współnikami w interesie, a w dodatku Piotruś zalegał z opłatą za zeszły miesiąc i coś jeszcze od nich pożyczał. Czemu nie mieli mu pożyczyć? Zawsze regulował wszystko dokładnie jak w szwajcarskim zegarku, a do tego dawali mu na procent.

– Tylko nie skub pana Luksa – zawołała do męża Konieczna.

Nie chciała tykać Luksa, bo uważała, że jakiś honor trzeba mieć, a poza tym lubiła artystę. Przeczesanie jego kieszeni dopuszczała jedynie w ostateczności, gdyby się okazało, że Czarny Piotruś nie zwrócił im

pośmiertnie jakiegoś swojego długu i nie odrobił strat z tytułu przyszłego najmu. Nie mogła się tylko powstrzymać i jak Fredzio nie patrzył, zdjęła nieboszczykowi z palca sygnet, nie dla zysku, na pamiątkę, bo chciała coś mieć po panu Luksie.

– Ma się rozumieć – odpowiedział mąż bez entuzjazmu.

Niby taka mądra i sprytna, a jednak głupia jak dzierlatka. Gdyby to nie był pan artysta Luks, to sama by mu opędzlowała kieszenie, zapomniałaby o honorze i takich tam innych pierdołach raz, dwa.

– Ile znalazłeś? – zapytała Alfreda.

– Jakieś pięćset złotych.

– Ja trzysta dwadzieścia, ale to wciąż mało. Czarny Piotruś był nam winien dwieście złotych za ubiegłe miesiące. A ten bieżący, też parę złotych? No i przecież miał tu zamiar siedzieć co najmniej rok, tak planował.

– A ja to nawet liczyłem, że i parę lat, więc szukajmy dalej, rozchodzi się tylko o to, żebyśmy za bardzo stratne na tem wszystkim nie byli!

Alfred nie był wielkim geszefciarzem, ale przy niej się fest podszkolił. Miał rację, ponieśli straty, których policja im nie powetuje, tym bardziej rodzina Piotrusia, o ile ją miał.

Pogrzebali jeszcze i zebrali czterysta złotych i trochę biżuterii.

– Brydzia, to damskie przecież! – Alfred kręcił głową, trzymając w ręku sznur pereł. – Myślisz, że oni to wszystko zakładali na siebie, czy to mająteczek Piotrusia?

– A lichy ich tam wie, przebierali się przecież – odpowiedziała mężowi Konieczna – a poza tem z parę razy i jakieś babki byli i to takie prawdziwe, a nie chłopy w damskich kieckach.

Mówiąc o tym, zastanowiła się przez moment, czemu jej nie zaprosili, przecież nie była taka stara, żeby nie mieć z panem Luksem okoliczności, no, chyba że to nie z jego powodu te panusie tu kilka razy wparowały.

– Idę do apteki i dzwonię na policję – powiedział Konieczny.

– Czekaj jeszcze.

– Czego mam czekać. Niech ich stąd zabiorą! Nie płacą, no to koniec najmu. – Konieczny jak rzadko kiedy popisał się poczuciem humoru.

– Dobra, dobra, wiem, o co idzie, też nie mam przyjemności być tu z nieboszczykami, w końcu nie najęliśmy się na grabarzy. Rozchodzi się, Fredziu, o to, że chcę przepisać to, co jest na karteczce, a trochę niegramotna w pisaniu jestem. A może ty przepiszesz, a ja pójdę?

– Nie będę się paprał z jakimś pisaniem. – Konieczny rzadko kiedy co pisał, wprawę miał tylko do cyferek, no bo przecież trzeba podliczyć wszystko i zrobić, jak to mówią, bilans. Cyferki stawiał porządne, ale nazwiska dłużników i dostawców szły mu jak po grudzie, zwykle pisał tylko inicjały.

– A po jaką ciężką cholerę będziesz to pisała?

– „Express Warszawski” dawał o alfons-pogromie, a ten, co ich zabił, napisał, że to ciąg dalszy.

– To co?

Konieczny stał z rozdziawioną paszczą, gdyby byli na polu albo w lesie, toby mu niechybnie wleciał do środka jakiś owad. Fredek wyglądał jak zawodowy jełop, a przecież jeszcze parę minut temu myślała, że po latach jej mąż stał się w końcu bystrzaczą. Gdzież tam. Dalej z niego drobny cwaniaczek, który robi duże geszefty tylko dlatego, że związał się z obrotną kobietą.

– Głupi jesteś – wypaliła, bo z chłopem to trzeba prosto i na temat. – Przecież dla nich to skarb, jak to dadzą w gazecie, to będzie sensacja, a sensacja to pieniądz. No i to, że zaciukali Luksa...

Słuchając tego, Alfred Konieczny przeszedł metamorfozę, minę jełopa zastąpił na jego twarzy uśmiech zadowolonego z siebie kretyna.

– Ty to masz kiepełę nie od parady – powiedział z podziwem, bo choć uważał się za wielkiego cwaniaka, to po raz kolejny musiał przyznać, że jego stara była kuta na cztery nogi. – Naprawdę myślisz, Brydziu, że coś się da na tym zarobić?

Konieczna prychnęła, złapała się pod boki i zaczęła klarować mężowi, co jest grane.

– Bankowo sprawa tych z „Expressu” zainteresuje, gazet nie czytasz czy co? Myślisz, że jak gazeciarze na okrągło o tern krzyczą, to co to może znaczyć? Ledwie składasz litery, ale jak usłyszałeś, że rozwalili makówkę Madame Gali, to kupiłeś i czytałeś, jakbyś był jakim profesorem.

Trochę przesadziła, bo jej mąż siedział przy stole, na którym sobie rozłożył gazetę, wodził palcem po czytanych tekście i ruszał wargami, niekiedy wydobywając z siebie trudniejsze słowa lub ważniejsze zdania. Tak jak czytał, czyli niegramotnie, tak również myślał.

– Ile za to mogą dać, dwadzieścia, a może pięćdziesiąt złotych? Zawołaj sto, a potem się zobaczy!

Brygida Konieczna popatrzyła na męża z politowaniem.

– Fredzio, ja im krzyknę tysiąc!

Szynkarz Konieczny nie mógł uwierzyć w to, co mówiła żona.

– Bój się Boga, wezmą i wyrzucą, nie przesadzaj, bo nawet stówki nie będziemy mieli.

– Stówkę to niech sobie w tyłek wsadzą. Tak im powiem, jakby co, a jak się będą awanturować, to pójde do „ABC” albo do „Ikaca”! To konkurencja jest – krzyknęła gniewnie Brygida Konieczna.

– A wiesz, że to myśl... – powiedziała trochę do męża i trochę sama do siebie. – Od razu im to powiem, od razu, będą chętne, z ręki mnie będą jeść te żurnalisty!

Nie ma co, obrotna z niej kobitka, pomyślał Alfred Konieczny, ale żeby to wiedzieć, to trzeba było mieć jego kiepełę! Od razu poznał, że to nie jest zwykła dziwka, wybrał ją spośród wielu, postawił na właściwego konia, jak to się mówi, a w zasadzie to na właściwą klacz, poprawił się w myślach. Klacz była z niej kiedyś niezła, a i teraz ruszał go widok żony. Konieczny z miejsca odświeżył sobie w myślach kilka przyjemnych sytuacji i zamarzył, żeby przynajmniej jedna z nich wróciła dziś do ich wyrka.

– Pisz, kochana, pisz, bo w końcu tu trzeba będzie posprzątać, a bez policji nie da rady.

Zanim zajęła policja i pogotowie, Brygida Konieczna przepisała wszystko ołówkiem na kawałek pakowego papieru. Nawet niekiepsko jej to poszło.

Mam ładny charakter pisma, pomyślała z zadowoleniem żona Alfreda Koniecznego.

Była tak pochłonięta pisaniem, że nie zauważyła, jak mąż szybko przejrzał kieszenie Huberta Luksa i nie znalazłszy w nich nic interesującego, zdjął z ręki zamordowanego elegancki pończacany sikor.

Edward Giez miał już ułożony dzień. Pobłyszczec na kolegium, pójść Pod Dwójkę, by przypomnieć, kto rządzi w Warszawie, łyknąć ze dwie pięćdziesiąteczki i pojechać do Stelli. No i oczywiście złożyć kolejną część sensacyjnego raportu poświęconego zabójstwu Madame Gali i Rotenschwanzów. Teraz przypominał sobie dokładnie, o co chodziło w pogromie dziwek i alfonsów, a szczegóły miał podane na talerzu. Różał jak leci ze starych relacji Dobosza. Było w nich wszystko, co potrzeba, włącznie z dramatyczną relacją lekarza próbującego odratować prostytutkę, której ktoś rozpruł brzuch. Opis wnętrzości wypływających z brzucha, pomieszanych z krwią i ekskrementami, był wstrząsający i ohydny, czyli taki, jakie lubią czytelnicy. Brzydzą się, ale z wypiekami na twarzach chłoną jak gąbka takie rzeczy. Oczywiście mocno podkreślał, kto był autorem artykułów sprzed lat, i robił to w formie, która nie mogła nie przypaść do gustu Doboszowi.

Te dramatyczne wydarzenia po mistrzowsku i z narażeniem życia opisywał p. Józef Dobosz, wtedy młody reporter, a dziś uznany dziennikarz, znany warszawskiej publiczności jako szef nowej, pierwszorzędnej gazety - „Expressu Warszawskiego”.

Ładnie to odmalował, nie ma co, lekka wazelinka zaszkodzić nie powinna. I nie zaszkodziła, Dobosz chodził dumny jak paw, odbierając hołdy za młodzieńczą odwagę sprzed lat. Ostatnie dni zbliżyły do siebie

Dobosza i Gza, który coraz częściej dostępował zaszczytu siedzenia Pod Dwójką przy stoliku naczelnego. Szef pojawiał się w drzwiach pokoju redakcyjnego. – A więc pora na kawkę i jednego – mówił, zapraszając tym samym jakiegoś wybrańca na rozpoczęcie dnia i małe, prywatne kolegium, a w zasadzie nadkolegium. Kiedyś chodził z Kalickim, czasem brał kogoś innego, najczęściej oczywiście Alicję Pohulanę, ale ostatnio upodobał sobie Edka Gza. Tak jak przypuszczał, Józef Dobosz i tym razem skinął właśnie na niego, ale jakoś inaczej, tak bardziej z nerwem.

– Panie Edwardzie, pan pozwoli, szybko! – ponaglał go naczelny.

A więc nie chodzi o przedpołudniową kawkę i jednego, co się stało?

– Panie Edwardzie, mamy gościa, chodź, mój młody przyjacielu. – To mówiąc, położył mu rękę na ramieniu i pokierował do wyjścia z redakcji.

– Kto to? – Gza zżerała ciekawość.

– Zobaczy pan, będzie pan wygrany, my wszyscy na tym skorzystamy.

Weszli do gabinetu naczelnego, a tam siedziała odsztafirowana paniusia w średnim wieku, z tlenioną koafiurą, którą na jego widok poprawiła niczym zalotna panienka. Co tu robi to stare pudło z pretensjami, wyglądające jak była lampucera?

– To pan redaktor Giez, który zajmuje się sprawą ostatnich morderstw – Dobosz rozpoczął prezentację – a to pani Brygida Konieczna, żona pana Alfreda Koniecznego, restauratora i...

– Mamy z małżonkiem dwa mieszkanie na wynajem i jak raz odnajdliśmy je pewnemu panu.

O co chodzi? Co to za rewelacja? – zastanawiał się Giez.

– Rozchodzi się o to, że on i jego gość zostali zamordowani, a ja wiem, kto to był, i znam list, co go zostawił morderca!

– Jaki list, jaki zamordowany?

– Zamordowany to z tych, z którymi ta wasza Pochujanka, o pardonsik, Pohulanka mogłaby zwywiadować, a list jest jeszcze bardziej ważny – powiedziała ze słodkim uśmiechem.

Giez dałby głowę, że stara pudernica specjalnie przekręciła nazwisko Królowej Warszawskiego Salonu. Nie było w tym nic dziwnego. Babki jej nie lubiły, bo faceci mieli przy niej głowę na gumce. Proste jak drut, żadna nie lubi, jak jej fagas rozgląda się za innymi facetkami.

– Powie nam pani, jak się ten zamordowany nazywał? – przymilnie zapytał Dobosz.

– Nazywał się dwa tysiące złotych, a list mogę dołożyć w gratisie. W „ABC” i „Ikacu” by się ucieszyli, że w końcu wydrą wam tę sprawę. Taki dodatek nadzwyczajny to chyba ładny pieniądz.

– Pudernica uśmiechnęła się czarująco. – Jak wam mało, to się mogę zobowiązać, że rozmawiam tylko z wami. Jakby co, to nawet na piśmie!

Dobosz aż usiadł, czegoś takiego się nie spodziewał.

Ulica Widok zapełniła się ludźmi, policjantami w mundurach i po cywilu, przyjechał lekarz, był też karawan oraz tłumek gapiów. Jak rzadko kiedy właściciel przybytku, w którym zdarzyła się zbrodnia, pilnował, by nikt nie wszedł do środka, i opieprzał swój personel, gdy ten podejmował próby rozmów z obcymi. Był pilny i skuteczny jak żydowscy konduktorzy na autobusach. Z tymi starozakonnymi nie szło iść na bajer, płacił każdy, inaczej nie jechał autobusem. Konieczny starozakonnym nie był, konduktorem także nie, ale zachowywał podobną czujność i razem z mundurowymi stworzył mur nie do przebycia. To dobrze, bo przecież zdarzali się ciecie i właściciele nieruchomości, którzy w takich sytuacjach robili małe interesiki, puszczając publikę jak do kina za złotego lub dwa. To dobrze, że tym razem trafił się taki gospodarz służbista, bo na miejscu zdarzenia miał się pojawić sam Słubica-Popielski. W panującym chaosie był im potrzebny jak świni kamizel. Gdyby to był ktoś formatu Kurnatowskiego, to insza inszość. Ten stary aferzysta robił swoje geszefty, ale jak już chciał rozwiązać sprawę, to rozwiązywał w try miga. To był zawodowiec, z którym Strasburger lubił pracować i od którego wiele się nauczył. Słubica-Popielski nie

dorastał mu do pięt. Aspirant szybko się zorientował, że ich szef nie jest żadnym asem. Podejrzewał wręcz, że to nie tylko nikt wielki, ale nawet ktoś mniej niż przeciętny, a teraz miał absolutną pewność. Nie przeszkadzało mu to do tej pory, bo szef się do śledztw nie wtrącał, ale po liście Dobosza i artykułach tego zasańca Gza wylazł zza biurka i próbował sterować śledztwem.

– Ten list rozwiewa wszelkie wątpliwości – mówił na odprawie i powtarzał z uporem w aucie, które wiozło ich na Widok.

Strasburger wbrew sobie zdobył się na potakujące kiwnięcie głową.

– Sprawa jest jasna – zastępca naczelnika Urzędu Śledczego nie dawał mu chwili spokoju, klepiąc po raz enty te same prawdy objawione. – To ciąg dalszy, to łańcuch zbrodni, to najniezwyklejsze wyzwanie, przed którym stanęliśmy!

Kornel nie chciał wchodzić w dyskusję, ale w końcu nie dał rady.

– Alfons-pogrom był sprawą żydowską, a to pisał chrześcijanin.

– A przechrzty? – Słubica-Popielski zachowywał niezmaconą pewność siebie.

Upaął się, upaął się, jasna cholera, pomyślał aspirant Strasburger.

– Zamordowani byli w tysiąc dziewięćset piątym roku dziećmi, małymi dziećmi – poszukał kolejnego argumentu mogącego zburzyć hipotezę szefa.

– Ale tu stoi napisane: „tej nocy została pokarana nieczystość, zemsta się jeszcze nie dokonała!” Nieczystość, a więc chodziło o pederastów. – Szef Brygady do spraw Ciężkich Zbrodni mówił to wszystko tak, jakby miał napisane na kartce. Musiał to sobie dokładnie przemyśleć i poukładać w swojej kierowniczej łepetynie.

– Wtedy ich nie mordowano, w statystykach i gazetach nie ma nic o urningach i chrześcijanach. Zabito na miejscu osiem osób, dziwek i alfonsów, z setką ciężko raniono, wiele zmarło w szpitalach, lecz żeby nie psuć efektu, nie dopisano ich do tamtej ósemki. Ale nie było w tym kary za grzech nieczystości! To była polityka.

– Wtedy nie, ale może ktoś uznał, że nie zabito wszystkich, których powinna osiągnąć zemsta i kara boża!

– Boga w tym nie było, bo wtedy żydowscy socjaliści wystąpili przeciwko przestępcom, dziwki były tak przy okazji. Jedną z czterech ofiar spełniającą ten warunek jest Icek Rotenschwanz! Był wtedy alfonsiem, miał kontakty z ochroną i był ranny w alfons-pogromie.

Teraz milczał nadkomisarz Słubica-Popielski. Zabrakło mu argumentów – widać było, że intensywnie myśli. Może zbiera siły i argumenty? Pewnie tak, a może myśli o pączkach, ale nie, to nie dzisiaj, pączki są w czwartek. A może myśli o swojej misji, jaką było szerzenie wśród podwładnych łańcuchowych sentencji? Strasburger postanowił zaatakować.

– To porachunki, porachunki zbirów i przypadkowe zbrodnie, które ułożyły się w całość! Tylko tyle i aż tyle! – Kuł żelazo, póki gorące.

Nic z tego!

– *Certum est, quia impossibile est* – zawołał Słubica-Popielski. – *Certum est, quia impossibile est*, jest pewne, ponieważ jest niemożliwe – powtórzył z gniewem. – To nie może być przypadek!

– *Contra facta non valent argumenta* – usłużnie wsparł szefa lizus Wolf.

– Wobec faktów argumenty muszą ustąpić – nadkomisarz z dumą przetłumaczył słowa swojego asystenta. – Moim zdaniem nasz morderca dołączył wtedy do bojowników, ale realizował własny plan. Był wilkiem w stadzie innych wilków i nie zakończył polowania. Może był fanatykiem religijnym, a może został nim później. Nawet Marszałek był kiedyś socjalistą, choć dzisiaj nikt go tak nie nazwie. Ludzie się zmieniają, ale pewne sprawy ciągną się za nimi przez całe życie, nieprawdaż?

Słubica-Popielski popatrzył na Strasburgera, który najchętniej by zaprzeczył. Nie był przekonany, miał

własną, mglistą, dopiero się wykluwającą wersję wydarzeń, ale nie mógł odmówić swojemu szefowi racji. Aspirant pokiwał głową, a Słubica-Popielski ciągnął dalej: – Wtedy nie dopadł Gołdy Ejzenberg, Rotenschwanzów ani żadnego pederasty. Moim zdaniem wybrał innych, byleby wypełnić swój plan.

– I czekałby dwadzieścia pięć lat, panie nadkomisarzu?

– Tak. – Wawrzyńca Słubicy-Popielskiego nie sposób było zbić z tropu. – Czekał, bo to typ psychopatyczny. Nie sądzi pan chyba, że takie zbrodnie mógłby popełnić normalny człowiek?

Znów trudno było zaprzeczyć.

– Być może to drugi Kuba Rozpruwacz albo Peter Kurten?

– Prasa tylko o tym marzy – Strasburger musiał pójść pod wiatr. – Taki Giez i jego szef Dobosz nie posiadaliby się z radości, gdyby ich Goliat okazał się bandytą seryjnie mordującym przedstawicieli warszawskiego półświatka.

Nadkomisarz wyczuł ironię, ale na ostrą ripostę nie starczyło czasu. Samochód stanął przed kamienicą, gdzie dokonano zbrodni na Hubercie Luksie i Czarnym Piotrusiu. Słubica-Popielski zdążył tylko obrzucić Strasburgera nieprzyjaznym spojrzeniem, po czym cała czwórka wysiadła z auta i ruszyła do feralnego mieszkania. Lokal był nieduży, ale urządzony z pałacowym przepychem. Fotele, sofy, ciężkie kotary i perski dywan, na którym spoczywały ciała Huberta Luksa i Czarnego Piotrusia. Wyglądali zarazem strasznie i groteskowo bez spodni, ale za to w koszulach, które kiedyś były białe, a teraz miały rdzawy kolor zaschniętej krwi. Krwi było pełno, wsiąkła w dywan, jej strugi pozalewały także meble. W eleganckim przybytku rozpusty było jak w rzeźni.

– To jak mord rytualny – wyszeptał Wolf.

– Tak, zupełnie jak po rytualnej rzezi... – uzupełnił słowa swojego asystenta Słubica-Popielski.

Szef i jego przydupas spojrzeli na siebie nieomal z zachwytem. Widać było, że zrozumienie między kierownikiem brygady i jego asystentem było tak mocne, jakby łączyła ich więź mistrza z uczniem. Zupełnie niespodziewanie postanowił dołączyć do tego klubu Zyga Stolarczyk.

– Brakuje tylko rzeźnika albo rzezaka rytualnego – wyrwał się przodownik.

Strasburger sądził, że żartuje, i czekał na reakcję Słubicy-Popielskiego.

– Tak, kogoś takiego szukamy i znajdziemy. – Entuzjazm nadkomisarza świadczył niezbitcie, że nie wyczuł ironii. – Rzezak rytualny, żydowski rzeźnik, alfons-pogrom... – Zamyślił się. – To ma sens, panie przodowniku, to ma sens!

– Po żydowsku rytualny ubój to szechita! – usłużnie podpowiedział Zyga Stolarczyk i wcale nie było w tym ironii.

Czyżby kilka chwil wcześniej też mówił całkiem serio? Gdyby wzrok mógł zabijać, to spojrzenie Kornela ukatrupiłoby przodownika na miejscu. Na moment zostali sami, więc aspirant szepnął Zydze do ucha: – Pokręciło cię?

– Ale to naprawdę ma sens, nie lubisz go, ale to nie znaczy, że nie ma racji. To się całkiem sensownie układa, nie czujesz tego, nie chcesz tego dostrzec?

– Słucham panów – zapytał nagle nadkomisarz – jakiś nowy pomysł, jakaś uwaga?

– Właśnie zastanawialiśmy się, co powie doktor Potocki – przytomnie odpowiedział Strasburger.

– Zanim przyjedzie doktor, porozmawiajmy z tymi... No, jak im tam?

– Koniecznymi, panie nadkomisarzu! – podpowiedział Stolarczyk tak przymilnie, że Strasburger dałby sobie uciąć głowę, że zrobił to specjalnie, żeby mu dokuczyć.

– Panie nadkomisarzu, jest tylko Alfred Konieczny – oznajmił policjant w mundurze.

– Przodownik Szczepan Żelazny – przedstawił się, salutując. – Konieczny to właściciel szynku i drobny cwaniak, nigdy nie siedział, ale obraca się wśród szemranych. Jego żony Brygidy, byłej dziwki, nie ma i nie

było, gdy przybyłem tu po otrzymaniu zgłoszenia. Byłem tu pierwszy, to mój rewir – wyjaśnił przodownik.
– Konieczni to niezłe gagatki, ale nie mieliśmy ich za co wsadzić, skarg na nich nie było, czasem wpadali do szynku ludzie z brygady obyczajowej i agenci lotni, bo zdarzało się, że przesiadywali tu paserzy, sutenerzy i dziwki.

– Dziękuję, panie przodowniku, a teraz proszę nas zaprowadzić do tego artysty.

– Artysty, dobrze powiedziane, panie nadkomisarzu, dobrze powiedziane – podlizął się mundurowy przodownik.

Widać szef ma dzisiaj dzień weny i triumfu, pomyślał Strasburger. Przeszli do drugiego lokalu, w którym siedział na krześle pękaty, łysiejący facet z wąsikami jak szczoteczka. Przodownik Żelazny dokonał krótkiej, dalekiej od wersalu prezentacji i śledczy wzięli Koniecznego w obroty.

– A gdzie żona? – zaczął bez ceregieli Wawrzyniec Słubica-Popielski.

– Ja odkryłem trupy, a żona jest na sprawunkach – odpowiedział ze spokojem typowym dla kogoś, kto ma już wprawę w rozmowach z policją.

– Kiedy wróci? – Słubica-Popielski próbował docisnąć Koniecznego.

– Nie wiem, ile jej to zajmie, nie poszła się przecież bawić, tylko kupować, jest w hali na Koszykach. – Alfred Konieczny mówił spokojnie i z lekkim uśmiechem, widać było, że nadkomisarz nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. – Jeszcze nic nie wie biedaczka, jak wróci, to dopiero będzie.

– Zamordowani to artysta Hubert Luks i Piotr Brudziński znany lepiej jako Czarny Piotruś... Masz pan coś do dodania? – zapytał Słubica-Popielski.

– Pan Piotruś odnajmował ode mnie lokale, bardzo przyzwoity człowiek, nie było na niego skarg...

– I nie masz pan pojęcia, po co mu było takie wielkie mieszkanie, a tak naprawdę dwa?

– To był bardzo sympatyczny człowiek, dusza towarzystwa, dobrego towarzystwa. Zachodzili do niego z odwiedzinami dystyngowani panowie i to nie byle jacy: literaci, przemysłowcy, artyści...

Pan Luks nie był w tym gronie jedynym artystą!

– I co tu robili? Grali w pchełki, recytowali wiersze? – z krzywym uśmiechem zapytał Strasburger.

– Panie inspektorze... – Konieczny rozłożył swe krótkie tłuście ręczki i w błagalnym geście zwrócił się do Strasburgera – panie inspektorze kochany!

– Aspirancie! – warknął Strasburger. – Jestem aspirantem, nie rób cyrku, tylko gadaj mi tutaj raz dwa wszystko, co wiesz o Piotrusiu Brudzińskim, ale już!

– A więc, panie aspirancie, nie wiem, co robili, toż to ich prywatne sprawy, ja nie wnikam w to, co robi mój najemca, to byłoby mało eleganckie. – Konieczny zrobił minę, jakby był jeśli nie autorem, to przynajmniej czytelnikiem kodeksu towarzyskiego. – Nie było skarg, było wszystko akuratnie, pieniądze wpływały w terminie...

Śledczy spojrzeli po sobie. Żaden z nich nie wierzył słowom Alfreda Koniecznego, widać było, że sobie z nimi pogrywa. Pierwszy odezwał się nadkomisarz Słubica-Popielski.

– Duże pieniądze, bo byłeś współnikiem klubu dla homoseksualistów! – Nadkomisarz wyciągnął w kierunku Koniecznego palec w oskarżycielskim geście. – A szafy z damskimi fatalaszkami, a narkotyki, a fakt, że Czarny Piotruś i Luks byli w negliżu!

– Strzykawki, proszki... – zachnął się Konieczny. – Tu lekarze przychodzili, a zresztą nie wiem, ja tu nie wchodziłem, moja żona nie sprzątała, a co do negliżu... – machnął ręką – kompletnie się tego nie spodziewałem, pan Luks to taki amant! Co innego podejrzewałem, bo tu i panie przychodziły, nie byle jakie, takie bardziej porządne panie, nie te z książeczkami, więc i stąd pewnie fatalaszki po tych figlach w szafie się zostali. Bo przecież pofiglować to rzecz ludzka. – Alfred Konieczny uśmiechnął się szczerze i promiennie, jakby swoimi dziurawymi, zmurszałymi zębami chciał reklamować proszek albo pastę do zębów.

Pasta Dentosan czyści zęby z nalotu tytoniowego – Strasburgerowi przyszedł do głowy slogan reklamowy. Co innego pomyślał Zyga Stolarczyk.

– Panie bez książeczek, ale z wąsami i bródkami, ę? – zapytał przodownik. – Panie Fredziu, nie bujaj pan nas, bo dobrze na tym nie wyjdiesz!

Nagle do pomieszczenia wepchnął się jakiś elegancko ubrany człowiek.

– A pan to kto? – rzucił wzburzony Słubica-Popielski.

– No właśnie! Kto? – niemal jak echo powtórzył Wolf.

– Mecenas Karol Kruder – wycedził Strasburger. – Serdecznie witamy, mniemam, że przechodził pan przypadkiem ze swoim wspólnikiem mecenasem Dorfmeisterem?

Zza Krudera wyłonił się drugi, również elegancko ubrany człowiek.

– Jerzy Dorfmeister-przedstawił się, uchylając kapelusza.

– To nie był przypadek. – Mecenas Kruder uśmiechnął się pod cienkim wąsikiem. – Pan Konieczny zadzwonił do mnie z prośbą o poradę prawną. Sprawa jest delikatna i niezbyt dla pana Koniecznego komfortowa...

– Niezbyt komfortowa! – wybuchnął nadkomisarz. – Dwa trupy, a pan mówisz, że sprawa jest niezbyt komfortowa!

– Oczywiście najważniejsi są zamordowani, ale nie zapominajmy o interesach pana Alfreda Koniecznego! Pragnę zauważyć, że pan Konieczny, wynajmując lokale panu Brudzińskiemu, swoją działalność prowadził legalnie i odprowadzał podatki. Śmierć panów Piotra Brudzińskiego oraz Huberta Luksa bije pośrednio także w niego i jego rodzinę!

Strasburger miał już tego dość, ale nie przerywał, Kruder i jego wspólnik należeli do najsukuteczniejszych papug w mieście, łobuzy, które zdecydowały się na współpracę z nimi, nigdy nie żałowały żadnej z wydanych na ten duet złotówki.

– Pan Konieczny miał spisaną umowę najmu i był pewien, że przez długie miesiące może się spodziewać wpływów z lokalu. To wszystko upadło! Wraz z tragicznymi wydarzeniami mój klient został pozbawiony spodziewanych dochodów oraz utracił reputację, bo kto teraz będzie chciał najmować lokal, w którym popełniono zbrodnię?!

– Reputację to chyba utracił już dawno – zaśmiał się Strasburger, podejmując tym samym ryzyko porażki w walce na słowne argumenty.

– To, że mój klient i jego żona byli w młodości na drodze występku, nie znaczy nic, zupełnie nic! To były dawne grzechy, rzekłbym nawet grzeszki, których wyzbyli się w życiu dojrzałym i sprawiedliwym.

– Ja piję do towarzystwa, które wpuścili pod swój dach – powiedział z lekkim uśmiechem Strasburger i kończąc, z pewną siebie miną założył ręce na piersi.

– Nawiązuje pan do przyjaciół tragicznie zmarłego Piotra Brudzińskiego? Tak, wszystko wskazuje na to, że byli urningami! Ale co z tego, czy homoseksualizm jest w Rzeczypospolitej zakazany i karalny? Owszem, pozostaje czymś wstydliwym w towarzystwie, jest tematem, o którym się nie mówi, nie pomaga w osiągnięciu pozycji i zrobieniu kariery, ale nie jest zakazany! – Mecenas Kruder wygłosił mowę, jakby był obrońcą na wielkim procesie toczącym się przed wypełnioną po brzegi największą salą sądu okręgowego przy Miodowej.

– Brawo, brawo, panie mecenasie – aspirant Strasburger zaklaskał w ręce – a czy Czarny Piotruś nie trudnił się czasem nierządem?

– No tak! – przyłączył się nadkomisarz Słubica-Popielski. – Płatny homoseksualizm jest przestępstwem!

– Pan rzucasz oskarżenia na zmarłego – wykrzyknął mecenas – panie... Nie przedstawił się pan...

– Nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski, kierownik Brygady do spraw Ciężkich Zbrodni, zastępca naczelnika stołecznego Urzędu Śledczego – odpowiedział niezbyt miłym głosem – a to mój asystent,

aspirant Fryderyk Wolf.

– Gdyby nie okoliczności – powiedział słodkim głosem mecenas – to powiedziałbym, że jest mi niezwykle miło, panowie. – Kruder skłonił się elegancko, a jego gest powtórzył aplikant Dorfmeister. – Czy mam traktować to jako oficjalne przesłuchanie mojego klienta, czy też jest to tylko rozmowa?

– Traktuj pan, jak chcesz, na razie nie założyliśmy bransoletek i tego pańskiego klienta nie pakujemy do auta i nie wieziemy do ratusza – słowo klienta aspirant Strasburger silnie zaakcentował – na razie mamy pilniejsze sprawy, sprawdzamy ślady, bo wydaje się, że ktoś tu nie tylko dokonał morderstwa, ale i zrobił niezły kipisz.

– Do pana klienta należy wybór, czy zechce z nami współpracować i w miłym nastroju porozmawia o tym, co działo się w jego lokalu, czy też, jak to raczył powiedzieć mój młodszy kolega, pojedzie z nami na Daniłowiczowską – zakończył mowę śledczy nadkomisarz.

– Panie Alfredzie... – zagaił prawnik.

Konieczny wzruszył ramionami.

– Ależ po co ten cały szum, mówię przecież, co wiem, i dalej mogię mówić, ale więcej, niż wiem, to nie powiem, bo kłamać nie chcę i chyba nie mogię, prawda panie mecenasie?

Na te słowa mecenas Kruder z powagą pokiwał głową, a jego współnik Dorfmeister naśladował go z całą gorliwością.

Dalsza rozmowa z Koniecznym nie przyniosła fajerwerków, szedł w zaparte, a obecność mecenasa Krudera dodawała mu pewności. Same ogólniki – eleganckie towarzystwo, żadnych ekscesów, żadnych skarg, a rachunki się zgadzają jak złoto w szwajcarskim banku... Strasburger nie dałby za niego pięciu złotych, ale okazało się, że Konieczny to sprytny, obyty z takimi sytuacjami cwaniaczek. Choć niedawno mówił o towarzystwie, artystach i doktorach, nagle okazało się, że nie zna ich nazwisk.

– Jak Boga kocham, nie wiem! – tłumaczył, bijąc się w piersi jak na spowiedzi. – Formalnie nie wiem, nie to, że pamiętałem i zapomniałem, bo pamięć mam dobrą, ale oni wszyscy nie mówili do siebie po imieniu, tylko się tytułowali: panie doktorze, mecenasie, prezesie, majorze...

– A może i eminencjo? – zaśmiał się Stolarczyk.

– Księża faktycznie byli – rzucił z zadowoleniem Konieczny, po czym ugryzł się w język i szybko naprawił swoją wpadkę – ale podobno to byli przebierańce, tak mówił Czarny Piotruś.

To już było coś, będą musieli podpytać w brygadzie obyczajowej i o Czarnego Piotrusia, i o najbardziej oryginalnych uczestników jego zabaw, zwłaszcza o księży, pomyślał Strasburger. Tymczasem technicy przeszukiwali pomieszczenia i pojawił się doktor Józef Potocki.

– Czołem, doktorze, może papierosa? – Strasburger uśmiechnął się i zaczął kusić doktora, prezentując mu jak sprzedawca drogiej biżuterii metalowe pudełko z nilami. Po czym wyjął jednego z nich i trzymając w dwóch palcach, przesunął sobie przed nozdrzami, pociągnął nosem i zrobił błogą minę. – Pierwszorzędne papierosy, niedościgniony aromat...

– Nie kuś mnie pan! – zakrzyknął doktor Potocki, wykonując teatralny gest.

– A może jednak...

– Nigdy więcej nałogu!

– Ależ kochany panie doktorze, jakby co, to ja panu pomogę, rzuciłem palenie już kilkanaście razy, mam w tym ogromną wprawę!

Obaj wybuchnęli śmiechem, ale okazało się, że nie byli sami, oprócz nich, przodownika Stolarczyka oraz nieboszczyków był jeszcze ktoś.

– Panowie?! – W drzwiach stał nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski, który ze zdziwieniem przyglądał się medykowi i śledczemu. – Teraz już nie mam wątpliwości, dlaczego wśród kolegów ma pan, panie aspirancie, pseudonim Bodo.

– Dodek, nie Bodo – odezwał się Potocki. – Bodo jest amantem, a pan aspirant raczej nie, bo wciąż pozostaje kawalerem. Może dlatego ubarwia sobie smutek życia dowcipami. Ja jestem doktor Józef Potocki – przedstawił się lekarz sądowy.

Nawet zwykle poważny nadkomisarz przez chwilę się uśmiechał.

Gdy zakończono obustronną prezentację, nadkomisarz szybko wyszedł, bo czekało na niego „wiele palących spraw”.

– Delikatesik z tego naszego szefuńcia – zaśmiał się przodownik Stolarczyk – ale jakby trzeba było wtrząchnąć pączki od Zagoździńskiego, to byłby pierwszy, a propos przysmaków, to może coś bardziej męskiego? Ja się nie dziwię, że pan doktor się nie poczęstował. Niele są stanowczo przereklamowane, kto to słyszał płacić dwadzieścia groszy za papieroska? Perfumowany knot, pic na wodę, ja tam wolę coś konkretnego, może życzy pan doktor sporta? – Zyga podsunął doktorowi pod nos zmiętą paczkę. – Bezustnikowe, ale mam przy sobie nieużywaną fikę!

– Panowie! Ani nila, ani sporta! Wtedy sytuacja była wyjątkowa. Nasi dzisiejsi klienci nie dojrzewali jak tamci ponad sześćdziesięciu godzin, więc nie ma potrzeby ryzykować powrotem do nałogu. Dziękuję, ale mam trochę pracy – zakończył z uśmiechem, lecz stanowczo.

– A jak długo te zuchy tutaj leżakują? – zapytał Stolarczyk, jakby był specjalistą od win, który zwiedza piwniczkę z trunkami pierwszego sortu. – Jest tak, jak mówi Konieczny?

– Nie kłamie, musieli zginąć w sobotę wieczorem albo w nocy z soboty na niedzielę, zaczął się już proces gnilny. Jest plama na podżebrzu, ale nie rozeszła się jeszcze poza brzuch.

– Czy... – zaczął Strasburger.

– Teraz nie potrafię panu powiedzieć, czy panowie Luks i Brudziński... Czy znajdowali przyjemność poprzez *coitus per os*, czy *immissio penis in anus*, czy też w akcie wzajemnego onanizmu.

– Ale ja chciałem się zapytać, czym zostali zabici! – wykrzyknął Strasburger.

– Tak przypuszczałem, a zatem udała mi się prowokacja.

– Panie, daj pan spokój! – zawołał Stolarczyk.

– Skoro to panów nie interesuje... – Doktor rozłożył ręce. – Mogę zatem powiedzieć, że nie mieli żadnych szans, kilka ran było śmiertelnych.

– To był atak furii.

– Czyli zemsta... – pomyślał głośno Strasburger.

– Na przykład zemsta, ale to już wykracza poza moje kompetencje. – Oznajmił doktor.

Śledczy wyszli na klatkę schodową, żeby zapalić i porozmawiać o śledztwie.

– Nie sądzisz, że szefuńcio, choć gamoń i pączkożerca, to ma jednak rację? – zagadał Stolarczyk.

– Sądzę, że o mało nie wlałeś mu w tyłek!

– Nelcio... – Zyga zwracał się tak do przyjaciela tylko wtedy, gdy był na niego wściekły.

– Nelcio, Nelcio – prychnął Strasburger, który nienawidził tego zdrobnienia, zresztą każde było nieudane: Kornis, Koko, Koreczek...

– „Brakuje tylko rzeźnika albo rzezaka rytualnego” – ciągnął aspirant. – Po coś się z tym wrywał!? A potem jeszcze to „po żydowsku rytualny ubój to szechita!”, po cholere to było, przecież wiesz, że on ma wyobraźnię jak goście, co piszą kryminały po dziewięćdziesiąt groszy, gdyby nie był zastępcą szefa Urzędu Śledczego, toby siedział zamiast Gza w „Expressie Warszawskim” i pisał pierdoły o tym, że alfons-pogrom jeszcze się nie skończył. – Strasburger machnęła ręką i wyszedł.

– Kornel, Kornel! Nie obrażaj się, inni też mogą mieć rację, nie bądź uparty jak osioł.

– Stolarczyk złapał aspiranta za rękę. – Dokąd gonisz?

– Przede wszystkim nie jestem osłem, tylko psem. Czuję to, czuję jak psia mać! Rozumiesz?

- Rozumiem, ale no żeż kurwa, nie obrażaj się!
- Ty się obraziłeś!
- Stali naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy.
- Zapalisz, Zyga? – Strasburger wyciągnął w kierunku przodownika metalowe pudełko z nilami.
- Znamy się za długo i za bardzo cię lubię, aspirancie, żeby odmówić. Z tobą nie tylko zapalę tego perfumowanego rarytasu, ale napiję się nafty. A ty zapalisz sporta?
- Straszny zajzajer, ale z twojej paczki, więc zapalę – uśmiechnął się Kornel Strasburger.
- Naprawdę odrzucasz hipotezę nadkomisarza?
- Nie odrzucam, ale mam lepszą.
- A jaka jest ta lepsza?
- Że po śmierci Madame Gali nic już nie jesteś takie jak przedtem.
- Co masz na myśli?
- Mam na myśli to, że w świecie alfonsów, sutenerów, dziwek i handlarzy żywym towarem porobiło się tak, jakby ktoś dokonał zamachu na Marszałka.
- Stolarczyk popatrzył na Strasburgera i pokręcił głową.
- Zrobiłby się niezły burdel.
- Dokładnie tak, zrobiłby się niezły burdel, choć bez tego jest już bałagan, nieprawdaż? A do tego weź pod uwagę, że w tym światku trup i tak ściele się gęsto.
- Fakt, śmierć dziwki to nic nadzwyczajnego, a ich opiekunowie też nie założą swojego domu weterana, bo za często młodo wyciągają kopyta. Robi się głośno tylko wtedy, gdy prostytutkę zabiją w wyjątkowo odrażający sposób albo gdy jest to słynna grandesa, albo gdy dziwka jest facetem...
- Nie mówiąc o tym, że był list, a razem z męską dziwką padł znany artysta.
- Na razie nikt o tym nie wie, jedziemy czasem po tym Słubicy-Popielskim, ale przytomnie zarządził, żeby pilnować miejsca zbrodni i odciąć Koniecznego od klienteli, ma nie wychodzić z mieszkania i z nikim nie gadać. Zapowiedział też jego papudze Kruderowi, że jak sprawa wycieknie do prasy z jego winy, to go wsadzimy do aresztu.
- Tak, to dobry pomysł – przyznał Strasburger – ale idę o zakład, że jeszcze dziś cała Warszawa dowie się, że Hubert Luks był pederastą i zakończył życie w sposób gwałtowny i krwawy w przybytku Czarnego Piotrusia.
- Kto przecina?
- Nikt, nie uważasz chyba, że będzie inaczej!
- No tak.
- To po co chciałeś się zakładać?
- Tak z przyzwyczajenia, żeby można było pójść na wódkę – skwitował przodownik.
- Strasburger zaczął się śmiać i położył dłoń na ramieniu Zygi.
- I kto tutaj jest Sztekkerem, a kto Dodkiem?
- No właśnie, wpadnij kiedyś do sali, wejdziemy na matę, poćwiczysz.
- Aspirant zrobił kwaśną minę, przodownik już słyszał, jak się wykręca, znał te wymówki na pamięć.
- Kup sobie trykot, poćwiczymy, weź byle co, nieważne. Komisarz się ucieszy... – Zyga zrobił przymiłną minę. – Spraw mistrzowi radość, bo nikt tak nie cieszy, jak nawrócony grzesznik! Jak nie dla mnie, to zrób to dla Wielkiego Pytlasa!
- Przodownik Stolarczyk miał na myśli komisarza Władysława Pytlasińskiego, dawnego mistrza świata

w zapasach, który na sportowej emeryturze zajmował się szkoleniem policjantów. Kornel Strasburger miał z nim na pieńku, bo nie należał do pilnych kursantów, zawsze wiedział swoje i uważał, że najważniejszy jest rewolwer, a jeśli on zawiedzie, to brudna walka, bo tylko taka może przynieść sukces w starciu z zawodowym bandytą.

– Poćwiczmy, poćwiczmy – skrzywił się Strasburger – poobijasz mnie i tyle z tego będę miał.

– Weź dupę w troki i zajeżdżaj do klubu, nauczę cię tego i owego.

– Ale nie dzisiaj, mój drogi, nie dzisiaj, najpierw trzeba wrócić na Daniłowiczowską i porozmawiać z panią kierownik Paleolog.

– Zawsze znajdziesz jakąś wymówkę, bokser z ciebie przeciętny, zapaśnik żaden... Nie wiem, jakim cudem komisarz Pytłasiński zaliczył ci szkolenie.

– Bo dobrze strzelam i nie dopuszczam do takich sytuacji.

– Kiedyś okaże się, że rewolwer to za mało. Pamiętaj!

– Radzę sobie, jestem spryciarz, zawsze jest coś pod ręką: nóż, taboret, tulipan. Nie miałeś okazji zobaczyć mnie w akcji, bo i tak zawsze pierwszy mam rewolwer w ręku. To lepszy nawyk niż próba odkręcenia komuś szyi i naszczenia do środka, panie Sztekker!

– Jak zwykle żarty się ciebie trzymają.

– Jak zwykle ty bez tych twoich gadek o zapasach nie byłbyś Sztekkerem, a ja bez swoich kawałów i ironii nie zostałam Dodkiem. A teraz rysuj, bo przyjdzie sędzia śledczy i będzie kwękał, że nie ma pełnego raportu.

Śledczy weszli z powrotem do mieszkania.

Pokój mieszkania Koniecznych przylegający do ich szynku wypełniony był dymem jak kotłownia. Na stole stała opróżniona do połowy butelka wódki, a Brygida i Alfred z przyjemnością zaciągali się papierosami.

– Egipskie przednie, wódeczka, meduza i myśliwska na zakąskę, teraz to dla nas nie luksusy, tylko zwyczajność – zamruczał Konieczny z zadowolenia.

– Jeżeli ludzie będą walić do szynku tak jak teraz, to będą z tego piękne pieniądze, może nawet jakiś wariat zechce wynająć mieszkanie, w którym popełniono zbrodnię. – Konieczna się zadumała. – Ludzie dziwne są.

Żona szynkarza zgasiła papierosa w pełnej petów popielniczce i naląła po szczeniaczku wódki.

– Takiego tłumu to dawno u nas nie było – powiedziała, wyglądając przez szparę w drzwiach. Faktycznie, szynk wypełniony był po brzegi, a bufetowy i jego pomocnik nie nadążali z obsługą.

Publiczność była inna niż zwykle, ledwie ze dwie dziwki, jeden alfons, żadnego pasera, pojawili się za to ludzie spragnieni sensacji, sporo reporterów i fotografów, których policjanci odpędzili, więc zasiedli w szynku, popijali piwo i czekali, aż pogotowie będzie wynosiło zwłoki.

– Na trupach da się zarobić. – Konieczny zatarł ręce.

– Tylko trzeba się koło tego zakręcić – zaśmiała się jego żona.

Konieczny położył jej dłoń na pośladku i szepnął lubieżnie: – Ech, i masz na czym usiąść, i czym oddychać-jego ręce powędrowały na obfity biust małżonki – i główkę masz nie od parady.

– Się wie, co byś beze mnie zrobił?! – Prychnęła.

– A ty? – obruszył się Konieczny.

– Dałabym sobie radę!

– Ale chyba nie tak?

– Tak to nie, ale może lepiej... – Złapała go za miejsce, na którym nie spodziewał się jej rączki nawet w najśmielszych marzeniach. – Pięknie dziś zarobiliśmy, powetowaliśmy sobie straty z nawiązką.

– Cztery tysiące, cztery tysiące złotych polskich! – Konieczny nie mógł wyjść z podziwu dla zarobku i dla pieszczot, o których już powoli przestawał pamiętać.

– Dwa tysiące siedemset złotych dla nas, trzysta dla Zenka i szwagierki, no i tysiąc dla Krudera.

– No ma się rozumieć. A nie za dużo im daliśmy? – Głos Koniecznego lekko falował.

– Gdyby nie szwagrowscy, to mielibyśmy tylko półtora tysiąca, a gdyby nie papuga...

– Tak... – Stęknął z zadowolenia, bo żona nie zwolniła ucisku na jego krocze. – Dzięki niemu jesteśmy kryci, hinty mogą nam naskoczyć!

– Pozgarniałeś wszystkie świecidełka?

– No jasne – te słowa wypowiedział bardzo powoli.

– A...

– To też, obtarłem z krwi, będzie miał piękną cenę. – Myśl o dodatkowych pieniądzach przez moment konkurowała z rozkoszną wizją tego, co może stać się za chwilę, bo Brygida rozpięła mu rozporek.

– To dobrze, to dobrze, mój Fredziu – powiedziała Konieczna z uśmiechem, który pojawił się, gdy jej palce dotarły do celu.

Alfred Konieczny nie powiedział już nic, nie dodał nawet, że policja może mu skoczyć, bo przecież miał nie wychodzić z mieszkania, więc tak jak kazali, nie wychodzi. Głina, który go pilnował, siedział przy samych drzwiach i pił oranżadę. Miał już powiedzieć, że drzwi są uchylone, a przecież o parę kroków dalej jest bufet, a za nim szynk. Poczuł się teraz jak za dawnych lat, jak wtedy, gdy młoda dziwka podchodziła go różnymi numerami, by w końcu okręcić go sobie wokół palca, tak jak chciała. Teraz też był cały jej i bał się powiedzieć choć słowo, które mogłoby ją zniechęcić do ciągu dalszego. A ten nastąpił, Alfred Konieczny wsadził palce w tlenione włosy małżonki, po czym przycisnął jej głowę mocniej do swojego krocza.

Nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski był bliski wyrwania sobie resztek włosów z głowy. Miała być wielka tajemnica, sprawa miała nie dotrzeć do gazet, a tymczasem gazeciarze biegali po placu Teatralnym, upłyniali dodatek nadzwyczajny popołudniowego „Expressu” i darli się: Wielki skandal, krwawa zbrodnia, niesłychana sensacja Artysta Luks zamordowany w tajnym klubie dla pederastów!!!

Wielki skandal, krwawa zbrodnia, niesłychana sensacja...

I tak w kółko jak z katarynki! Posłał Wolfa po gazetę, rozpostarł ją i o mało nie dostał apopleksji:

TAJEMNICZA ŚMIERĆ HUBERTA LUKSA

POPULARNY ARTYSTA KOŃCZY ŻYCIE W SPELUNCIE DLA PEDERASTÓW!

DUBELTOWA ZBRODNIA ZNÓW WSTRZĄSA WARSZAWĄ

Jak dowiedzieliśmy się z tajnego, zaufanego źródła, w kamienicy na rogu Brackiej i Widok dokonano ohydnej zbrodni! W mieszkaniu odnajmowanym przez niejakiego Piotra Brudzińskiego, zwanego w światku warszawskich homoseksualistów Czarnym Piotrusiem, znaleziono zwłoki jego oraz artysty teatralnego i kabaretowego, pana Huberta Luksa. Obaj byli w negliżu i okrutnie pocięci nożem jak na jakiej rzezi! A wszystko to stało się na tydzień przed rozpoczęciem zdjęć do pierwszego obrazu filmowego, w którym popularny amant zamierzał wystąpić. Film wytwórni Rubinstein, Kowalski, Drach i spółka miał nosić tytuł Zemsta barona de Bregy. Pan Luks obsadzony był w roli tytułowej, a jego bohater, łamacz serc niewieścich baron Ludwik de Bregy, miał się mścić na zabójcy swojej narzeczonej, contessy de Winter. Jednak zamiast sensacyjnego obrazu kinowego i kolejnej premiery w teatryku Novy Momus nastąpiła tragiczna śmierć, śmierć, której przyczyna leżała w zgubnym nałogu seksualnym pana Huberta Luksa. Droga wiodąca przez osławione miejsca spotkań na placu Napoleona, placu Trzech Krzyży i wreszcie pod kawiarnią Udziółowa zaprowadziła ulubieńca warszawskiej publiczności do spelunki, w której odbywały się odrażające seanse. To nie koniec tragicznej historii, po której został żal po znakomitym artyście, dziesiątki pytań oraz tajemniczy list pozostawiony przez mordercę!

A wtedy Pan spuścił na Sodomę i Gomorę deszcz siarki i ognia...

Cholera, a więc mieli nawet treść listu! Szybko przeskoczył na koniec.

Kim jest tajemniczy Goliat, czemu policja jest bezradna? Czy prędkiej „Express Warszawski” zrobi z nim wywiad niż policja...

Nadkomisarz z wściekłością trzepnął gazetą o biurko.

– Wolf, Wolf!

Wolf pojawił się w drzwiach natychmiast, ale zamiast powiedzieć: „Słucham pana nadkomisarza”, z uśmiechniętą gębą zawołał: – Właśnie dzwoni do pana mecenas Kruder!

Następne minuty były dla nadkomisarza nie do zniesienia. Mecenas uprzedził jego atak, przypominając, że zobowiązał on do milczenia Koniecznego, a ten przecież cały czas był w domu, na co jest dowód, bo pilnuje go policja, a w jego mieszkaniu nie ma aparatu telefonicznego. Dodał także, że reprezentuje również interesy teatryku *Novy Momus*, a jego właściciel, impresario i konferansjer Albin Woyewódzki jest zły, że policja nie potrafi utrzymać tajemnicy. Wściekły dyrektor obarczył Urząd Śledczy winą za to, że gazety są pełne ohydnych plotek o artyście, który był lokomotywą jego przedsięwzięcia.

Szlag by to trafił, jasny szlag. Po zakończeniu rozmowy z mecenasem nadkomisarz nie tylko rzucił słuchawkę na widełki, ale i z wściekłością tłukł pięścią w swe eleganckie biurko zastępcy naczelnika stołecznego Urzędu Śledczego. Biłby jeszcze mocniej, gdyby się dowiedział, ile na tym zarobił mecenas Kruder i że pełnomocnictwo na reprezentowanie *Novego Momusa* dogadał piętnaście minut wcześniej. Karol Kruder nie miał czasu o tym myśleć, bo musiał obdzwonić trzy warszawskie redakcje prasowe. Tej starej lampuczerze Brygidzie Koniecznej starczyło sprytu, żeby co nieco sprzedać gazecie, ale miała go za mało, by to wszystko zorganizować, a na organizacji oraz paragrafach on i jego wspólnik Jerzy Dorfmeister znali się wybornie.

Nie tylko w Urzędzie Śledczym przy Daniłowiczowskiej, ale także w Domu Prasy panowało nie lada zamieszanie, i nie chodziło wyłącznie o interwencję dyrektora kabaretu *Novy Momus*, który dał się, że wplątywanie artysty z jego zespołu w ciemne sprawy pederastów to skandal wymagający spotkania w sądzie. To akurat naczelny „*Expressu Warszawskiego*” miał gdzieś, nie z takich opresji wychodziły tytuły, w których pracował. Telefon od prawnika go zirytował, ale to, co nadciągnęło z ulicy, najpierw wrzask chłopców sprzedających konkurencyjne tytuły, a następnie gazety, które wylądowały na biurku, wyprowadziło go z równowagi jak niewiele spraw w jego blisko pięćdziesięcioletnim życiu.

– To sucz, to stara kurew, to... – Doboszowi brakowało słów: niedawno zapoznał się z treścią popołudniowych wydań dodatków „*ABC*” oraz „*Ikaca*”.

Wbrew wszystkim swoim obyczajom, zakazom przez siebie wprowadzonym i regulaminom wyciągnął cygaretkę i zapalił ją, kopiąc jak parowóz.

– Wyrolowała nas! Tysiąc złotych polskich, taki pieniądz, taki pieniądz! Ale wyrwę jej te pieniądze z gardła!

– Nie do końca, nie do końca – zamruczał pod nosem mecenas Jan Szrot.

– Czemu, mamy przecież umowę!

– Podpisuj pan umowę w obecności prawników – powiedział z wyższością mecenas. – Umowa zawiera jedynie deklarację Brygidy Koniecznej, „*ABC*” cytuje jej szwagierkę, a „*Ilustrowany Kurier Codzienny*” brata Zenona Szpaka.

– Skurwysyny, powyrywam im nogi z dupy, ja ich...

– To groźby karalne, panie redaktorze – zauważył ze spokojem mecenas Szrot. – Gdyby pan mnie potrzebował, jestem do usług. Moja godzina spędzona u państwa plus dojazd...

Józef Dobosz zagryzł wargi i ruszył do sekretariatu. Nie dość, że tysiąc złotych poszło na Konieczną, to jeszcze Szrot wyciągnął blisko stówkę. I to za co, za nic! Popracuje taki pięć dni w tygodniu po dwie godziny i ma tysiąka miesięcznie, a jak wygra tłustą sprawę... Mieszkanie przy Hożej, dom letni w Konstancinie, wyjazdy do kurortów, automobil, to wszystko za pieniądze Domu Prasy... Dobosz poczuł,

jak krew napływa mu do głowy. Tylko spokojnie, nerwy są niepotrzebne, trzeba mu zapłacić i ruszyć Gza, teraz tylko on może odzyskać przewagę nad konkurencją. Inni wymyślają banialuki i dzisiaj mają to samo co oni, ale w końcu to sprawa „Expressu”, jego trupy, jego prowadzenie w wyścigu. Dorwali ich gnojki, ale tylko na moment, to złudzenie, tak jak na Polu Mokotowskim, gdy konie z pozoru doganiają lidera, ale na prostej okazuje się, że to on jest bliżej płotu i wypiera ich na szerszy łuk. Tak, tak, tak, to oni tutaj rządzą. Uspokoił się nieco, po czym pomyślał: ciekawe, na ile naciągnęli „ABC” i „Ikaca”. Myśl o tym, że zapłacili, choć byli drudzy, poprawiła mu nastrój. Zapewne sprzedawali im informacje, gdy ich wydanie szło do druku. Teraz jest na ulicy ich wydanie popołudniowe, które siłą rzeczy zrobili po łebkach. Dali to samo co „Express” w dodatku nadzwyczajnym, tymczasem on za pół godzinki wyśle do trafik majdaniarzy z numerem, w którym będzie to, co u konkurencji pojawi się dopiero w jutrzejszym wydaniu porannym. Frajerzy, ciężcy frajerzy!

Mieszkali razem pod jednym dachem, ale rozmawiali coraz rzadziej. Chciałby czasem zagadać do ojca, znów się z nim pośmiać, poopowiadać. Ale stary zamknął się w sobie i marniał. Tylko praca, czyli dłubanie w mechanizmach maszyn do pisania, jedzenia tyle, by nie paść z głodu. Żadnych nałogów, nie pociągnęło go ani picie, ani papierosy, ani kościół. A kościołów w ich okolicy było wiele, więc gdyby go dopadła dewocja, to wybór miałby pierwszorzędny. Jego ojca, Daniela Strasburgera męczyła jakaś choroba, której nazwy nie znał, choroba, której zacyzmem była śmierć matki. To już dwadzieścia lat, w czasie których stary marniał i stawał się naprawdę stary. Miał dopiero sześćdziesiątkę, ale wyglądał na dwadzieścia więcej i zdawał się stać nad grobem. Kornel Strasburger zauważył, że sam nie ma już siły i ochoty wyciągać ojca z tego letargu, choć bardzo chciał, by stał się jakiś cud.

Wróciwszy do domu po dniu ciężkiej i mało owocnej pracy, marzył tylko o tym, żeby paść na łóżko i obudzić się następnego dnia. Jak zwykle przywitał się z ojcem i jak zwykle sądził, że po odburknięciu powitania ojciec nie powie już nic więcej. Minął go siedzącego w kuchni i gdy zbliżał się do swej wnęki z łóżkiem, usłyszał: – To, co piszą w „Expressie Warszawskim”, to prawda?

Ojciec przemówił, ojciec chce rozmawiać, tylko czemu na taki temat? Miał już tego dość, utarczek z nadkomisarzem, później gadki z Zyga Stolarczykiem, który wyjątkowo się z nim nie zgadzał, i na koniec długiego, wyczerpującego raportu, który złożył sędziemu śledczemu. Jak raz był to Roman Szypniewski, jeszcze niedawno asesor, wyglądający nie na asesora, tylko na chłopaka, który siedząc na trzepaku albo kąpiąc piłkę, dowiedział się właśnie, że jutro, zupełnie zaskakująco i mocno przedwcześnie, ma zdawać maturę. Szypniewski miał piegowatą twarz i włosy w kolorze słomy, niemal zawsze rozczochrane. Wyglądał jak dziecko w świecie dorosłych, dlatego nie mówiono o nim inaczej niż Romek. Był poczciwy i nieszkodliwy. Miał dryg i nie był dupkiem. Nie wywyższał się, no i częstował papierosami. Był ich ulubionym sędzią, oczywiście zaraz po Czechowiczu, uważali, że kiedyś może zostać prawdziwym asem. Miał jednak wadę, jego chłopięcy wygląd i przyjazny charakter sprawiały, że musiał mocniej niż inni pracować na swój autorytet, bo nie z każdym dawało radę po dobroci. Zyga mawiał, że po pierwsze, się zestarzeje, a po drugie, po jakimś czasie każdy zostaje w tej robocie sukinsynem. Strasburger kiwał wtedy głową i dodawał, że z czasem może zmienić także fajki i przeskoczy na nile. Romek palił bowiem sporty, których aspirant nie lubił. Ale nikt nie jest ideałem, na przykład sędzia Czechowicz nie palił wcale. Z takimi jak Czechowicz i Romek chciało się pracować i Strasburger, który wbrew swojemu zachowaniu i wesołkowatości był pilnym i pracowitym śledczym, tyrał przy nich jeszcze ciężiej i z jeszcze większą ochotą, co nie znaczy, że nie potrzebował po całym dniu śledztwa porządnie od niego odpocząć. Tymczasem ojciec ciągnął: – Kornel, czy to prawda, co piszą w „Expressie”?

Aspirant milczał, szukając odpowiedzi, która ucięłaby dyskusję. Marzył o tym, żeby w końcu stary się odezwał, a teraz chce jak najszybciej skończyć?

- Nie masz nic do powiedzenia? – Daniel Strasburger zapytał z wyrzutem.
- Bzdury piszą.
- To wszystko nieprawda?
- Moim zdaniem tak.

- Nie ma to nic wspólnego z alfons-pogromem?
- Nie.
- A ja myślałem, że tak. Widziałem to, Żydzi Żydom zrobili straszną rozpierzuchę.
- Czytałem o tym.
- A mnie się wydaje, że coś takiego jak to, co się wtedy stało, nie może się skończyć ot tak, po prostu.
- Ale się skończyło.
- Wtedy tak, ale dzisiaj do nas wraca. Do wszystkich.
- Do mnie tak, bo przy tym pracuję, ale że do ciebie?
- Kornel Strasburger miałby ochotę pogadać z ojcem, ale to nie był dobry dzień na rozmowy.
- Idę spać, tato, dało mi to wszystko w kość.

Ojciec odburknął coś rozczarowany i rozpostarł przed sobą płachtę „Ekspresiaka”, by raz jeszcze przeczytać o sensacji dnia.

Mężczyzna złożył gazetę z taką samą starannością, z jaką zwijał papierosy. Czytając, zapalił sobie i dumał nad tym, co się dzieje. Sprawy idą dobrze, może nawet aż za dobrze. Nie planował takiego rozmachu, ale wyszło inaczej. Trudno, pogodził się już z tym, że jest głośno, bo przecież musiało tak się stać. Groza powinna obezwładniać i czynić ostatnie tygodnie i dni przyszłych ofiar przekłętymi. Gazety w tym pomagają, coś tam wiedzą ci żurnaliści, nawet sobie nieźle kombinują, ale zdziwiliby się pewnie, słysząc, jaka jest prawda. Czy policja idzie tym samym tropem? Dwadzieścia pięć lat temu mimo cenzury gazety pisały zupełnie coś innego, niż chcieli ruscy. Alfons-pogrom był nakręcony częściowo przez nich. Bandycka swolocz miała stłumić strajk, ale robotnicy postawili się, byli szybsi, lepiej zorganizowani i liczniejsi. I byli skorzy do zemsty. Rewolucja to wszystko podsyciła. Rewolucja i rabini, i wszyscy porządni Żydzi. Bo to, co wyrabiali tamci, przechodziło ludzkie pojęcie. Wystarczyła więc mała iskra i świat zapłonął. Tak było i tym razem. Poszła iskra, od której zaczął się pożar. I dobrze, niech idzie, niech płonie i pochłonie to kurewstwo raz na zawsze.

ROZDZIAŁ IV

w którym dalej mordują, aspirant Strasburger zasięga porad wśród gwiazd oraz w przystani Charonów, a Zyga Stolarczyk odbywa przejażdżkę kolejką górską.

Zabija się z różnych powodów. Dla pieniędzy, kiedy frajer jest głupi i walczy o swój portfel, z musu, gdy frajer albo ktoś z ferajny przyfika i trzeba go naprostować, dla draki, kiedy człowiek napije się wódki i nachodzi go fantazja, i wreszcie z zemsty. W czasie napadu nie zawsze trzeba zabijać głupiego frajera, nie każdego bęcwała trzeba karać w sposób ostateczny i nie każda poważna draka musi się kończyć trupem, ale zemsta to co innego. Jak ci nasrają w rewir, jak ci posuną kumpla kosą, jak wykupują czy zdradzą, to nie ma odwrotu. I teraz też nie było. Rachunki zostały wyrównane, sprawa skończona, wszystko jest fertik[27]. Wtedy wielu pali papierosa albo uderza w gaz. Jemu zemsta przynosiła ulgę, nie musiał się więc odprężyć. To dobre dla amatorów i debutantów, a jego na pewno nie można było tak nazwać.

Warszawa, środa 10 września 1930

Już od wtorku wieczorem coś wisiało w powietrzu. Zmobilizowano całą brygadę zajmującą się przestępstwami politycznymi. Chłopcy nie chcieli nic mówić, a i sami wiele nie wiedzieli. Wiadomo było tylko tyle, że w urzędzie pojawili się ludzie z Referatu Rejestracyjno-Pościgowego Centrali Służby Śledczej.

– Będzie ostro – skwitował to Stolarczyk – coś mi się wydaje, że komuniści nie spędzą kolejnej nocy w domu. Wynośmy się stąd, bo jeszcze załapiemy się do jakiejś roboty.

Następnego dnia okazało się, że Zyga Stolarczyk trafił z tym, że było ostro, ale już co do zatrzymanych intuicją go zawiodła. Na porannej odprawie poinformowano śledczych o nocnych wydarzeniach, odczytując oficjalny komunikat Polskiej Agencji Telegraficznej. Stało w nim napisane, że aresztowano „szereg posłów”, którzy popełnili przestępstwa kryminalne. Dopuścili się ponoć kradzieży, oszustw, przywłaszczeń mienia, a także zamachów na policję, nawoływali do nieposłuszeństwa wobec władz i szykowali wystąpienia antypaństwowe. Nazwisk nie podano, ale wszyscy wiedzieli, że chodziło o byłych posłów PPS i partii chłopskich.

– Niby pucz jakiś organizują, kurdebalans, ale po mojemu to jakaś granda i niezły bajzel – wyszeptał Stolarczyk. – Tfu, a ja kiedyś chciałem pracować w defensywie i ścigać komunistów. Całe szczęście, że trafiłem do tego piekielka, bo łapię prawdziwych bandytów, a nie ludzi z PPS.

Wymówił to w złą godzinę, bo kolejną informacją na odprawie Brygady do spraw Ciężkich Zbrodni, Kradzieży i Włamań było doniesienie z ostatniej chwili: na Kamiennych Schodkach znaleziono ciała dwóch prostytutek, jednej doświadczonej, a drugiej młodej, początkującej. Obie zarżnięto nożem, uprzednio łamiąc im palce ciężkim narzędziem. Młotek i nóż, za chwilę Słubica-Popielski dopisze to do naszej listy, pomyślał Strasburger. I się nie mylił.

– Ten mord wchodzi w serię, którą już od maja rozpracowują panowie Strasburger i Stolarczyk – ogłosił nadkomisarz, po czym zwrócił się bezpośrednio do nich. – Postęp śledztw, w których panowie uczestniczą, jest powolny i niezadowolający. Nie miałem jeszcze żadnego sygnału z Sądu Apelacyjnego, ale spodziewam się krytyki, sądzę też, że wkrótce sprawy te zostaną połączone w jedną. Zostałem zaproszony na spotkanie na plac Krasińskich i na rozmowy o tym problemie. Rozumiem, że każdy tutaj uczestniczy nie w jednej, a w kilku sprawach, ale tylko panowie nie mają żadnych sukcesów. Rozważam zatem poszerzenie zespołu, jednocześnie wyrażając nadzieję, że obecna sprawa przyniesie nowe dowody, które pomogą panom w ujęciu przestępcy terroryzującego Warszawę. Wszystko wskazuje na to, że niedługo pan komisarz

Leon Przygoda z sukcesem zakończy dochodzenie w sprawie napadu na bank oraz mordu wartownika, i jak już schwyta złoczyńców, będzie mógł do was dołączyć.

Strasburger przełknął ślinę i zamiast, jak to on, popisać się ostrą ripostą skłonił pokornie głowę. Nie widział jeszcze miejsca zbrodni, ale czuł, że wchodzi w ślepy zaułek, z którego trudno im wyjść, bo mają zbyt mało argumentów. On był w swych sądach i hipotezach ostrożny, zastępca naczelnika zaś wydawał się absolutnie pewien swoich prawd. Argumenty rozkładały się pół na pół, ale to Słubica-Popielski był szefem. Uwaga o powolnych postępkach i słowa o „poszerzeniu zespołu” i dokooptowaniu im komisarza Przygody to jasny sygnał, że jeśli nadkomisarz nie odsunie ich od tej sprawy, to przynajmniej zostaną zepchnięci na dalszy plan. Leon Przygoda przybył do nich na początku roku. Był doświadczonym gliną, służył w policji niewiele krócej od Zygi Stolarczyka. Sporo już w życiu przeszedł, był komendantem powiatowym policji najpierw w Zamościu, a później kierownikiem ekspozytury śledczej w Siedlcach. Myliłby się jednak ktoś, kto uznałby go za przybysza z prowincji: Leon Przygoda urodził się w Warszawie i spędził w niej pierwsze trzydzieści dwa lata życia, nie zgubiłby się między Dworcem Głównym a Saskim Ogrodem jak byłe gamoń.

W dodatku byłby w ich zespole najstarszy stopniem. Pozostawało zagryźć wargi i robić swoje, do tego szybko, bo komisarz Leon Przygoda był sumiennym gliną i jechał ze swoją sprawą jak walec.

Udali się na Kamienne Schodki, a tam trafili do meliny będącej obrazem nędzy i rozpaczki.

Weszli do bramy, a później do sieni, przebijając się przez smród gotowanej kapusty, stęchlizny i brudu, który skutecznie zacierał zapach zbrodni. Dopiero po wejściu do przybytku, w którym urzędowała nieboszczka dziwka, poczuli w nozdrzach aromat tanich perfum, potu, krwi i moczu. Ludzie, którzy widzą zbrodnie tylko na zdjęciach, nie kojarzą ich z tym ostatnim zapachem, tymczasem jest niemal nieodzownym składnikiem odoru, który towarzyszy gwałtownej śmierci.

W brudnym, biednym pomieszczeniu spoczywały zalane krwią zwłoki dwóch prostytutek. To było typowe mieszkanie tanich panienek. Najczęściej we dwie wynajmowały wspólnie pokój, w którym spały i przyjmowały klientów. Pokancerowane zwłoki w znoszonych ubraniach leżały skrwawione na podłodze i bez doktora ostatniego kontaktu jasne było, że każda z nich dostała tylko po jednym cięciu nożem, cięciu precyzyjnym, jakie mógł zadać wprawny nożownik najpierwszego sortu. Przed śmiercią męczono je, miały połamane palce. Młotek i nóż, to tak jakby połączyć morderstwa na Śliskiej i Krochmalnej z niedawnym mordem na Widok. Aspirant Strasburger był więcej niż pewien, że to zemsta, zemsta i ostrzeżenie. Nie zdążyli się jeszcze naradzić, gdy usłyszeli przeraźliwe skrzywienie schodów. Krawężnik pilnujący posesji wpuścił kogoś, kto ważył ponadprzeciętnie.

– To ktoś ciężki, oby nie Słoń – syknął Zyga Stolarczyk.

Słoniem nazywano młodego, tłustego szczegółarza, który choć jeszcze się uczył, to wymądrzał się i, jak to mówił Zyga, pchał trąbę w nie swoje sprawy. Jego obawy się nie potwierdziły, do środka wszedł opasły, ale niemłody już człowiek.

Patefon, jęknął w myślach Stolarczyk.

Spośród blisko dziewięćdziesięciu sędziów śledczych z okręgu warszawskiego Franciszek Pędzich należał do najstarszych. Nie był to łatwy partner, choć w przeciwieństwie do Słonia w śledztwo się nie wtrącał. Czuł za to potrzebę udowodnienia swojej wyższości i przydatności za pomocą narzędzi, którymi operował na mistrzowskim poziomie. Psiego talentu nie posiadał, ale miał zadatki na dobrego tresera. Szczegółarz, wielbiciel regulaminów, człowiek, dla którego największą wartością było wyuczenie się na pamięć kodeksów, regulek, paragrafów i podręczników policyjnych. Potrafił każdy z nich odtworzyć z pamięci bezbłędnie i bez zająknięcia, tak jakby ktoś wszystko nagrał na płytę gramofonową, dlatego właśnie nazywano go Patefonem.

– Dzień dobry, czy mają panowie wszystko, co trzeba? – Patefon zaczął od puszczenia swojej ulubionej zdartej płyty.

Oczywiście że nie. Sprzęt, który powinni „na wszelki wypadek” mieć ze sobą, zapełniłby kojbrę [28] bazarowej przepukły.

– Mają panowie gips?

Nie mieli, jeszcze nie upadli na głowę, by targać ze sobą każdy po dwa kilogramy białego proszku, tu wszędzie był bruk, jakie niby ślady dałoby się uwiecznić w gipsie? Poza tym nie pracowali w jakiejś wiosce czy powiatowym urzędziku, tylko w Urzędzie Stołecznym, który mógł liczyć na pomoc najlepszych fachowców w kraju.

– Ludzie z laboratorium w drodze, z Ciepłej niedaleko, powinni już być – wyjaśnił Strasburger, choć wiedział, jaka będzie odpowiedź.

– A jak nie dojadą? – zaskrzytał Patefon.

– Panie sędzio – zameldował Strasburger – na razie prowadzimy oględziny miejsca...

– Na razie... Myślałem, że panowie śledczy mają to za sobą, trzeba przesłuchać świadków, rozpytać mieszkańców domu! Czas ucieka!

– Takjest-zupełnie niepotrzebnie przerwał mu aspirant.

– Zdjęcia gotowe? – Patefon z uporem grał swoją płytę.

– Czekamy na fotografa z Ciepłej...

– Czekamy, czekamy! – huknął Pędzich. – Tu nie poczekalnia, nie muszę przypominać, że śledczy powinien mieć aparat fotograficzny i zrobić zdjęcia na miejscu zbrodni niezależnie od tego, czy przyjedzie ktoś z laboratorium, czy nie, to wasz obowiązek!

Było źle, ale Strasburger i Stolarczyk czuli, że to jeszcze nie koniec.

– A czy w ogóle wzięli panowie śledczy z urzędu aparat?

– Nie, panie sędzio – powiedział Stolarczyk.

Na szczęście w drzwi nory przy Kamiennych Schodkach wpasowali się technicy z laboratorium kryminalistycznego i Patefon mógł się czepiać kogo innego. Żeby im nie zawracał głowy, zaczęli rysować plan, robiąc przy tym taki raban, jakby w pokoiku meliny na Starym Mieście Kossak i Styka malowali *Panoramę Raclawicką*. Patefon pokręcił się, udzielił paru regulaminowych rad, po czym się zmył. Znow mogli swobodnie rozmawiać.

– Kto to mógł zrobić? – zapytał Strasburger. – Alfons czy jakiś dewiant?

– Niewykluczone, że to zrobił ktoś, kto lubiał takie rzeczy... – Zygmunt Stolarczyk zamyślił się.

– Są klejenci, co lubią dostawać manto od dziewczynek, i są tacy, co je tłuką. Może ten próbował robić coś takiego, za co żadna z nich nie chciała wystawiać rachunków?

– Jest też paru alfonsów, którzy potrafią mścić się na dziewczynkach.

– Ale to raczej brzytwą po twarzy, a tu... mocno, naprawdę mocno. Jak ja tych skurwysynów nienawidzę.

– A kto ich lubi?

Na to pytanie była krótka odpowiedź: nikt. Złodzieje, farmazoni, kasiarze i kieszonkowcy poważali panienki, bo robiły to samo co oni, czyli skubały frajerów. Okradanie frajerów, oszukiwanie ich, bicie czy nawet zabijanie, a także dawanie tyłka nie było w ferajnie grzechem. Grzechem i to ciężkim, a czasem nawet śmiertelnym było wyrolowanie kogoś z ferajny, opuszczenie w potrzebie i oczywiście donoszenie. Dziwki pruły się z klientką za pieniążki, ale z chłopakami z ferajny robiły to za darmo, dla przyjemności, a często z miłości. Bywało, że złodziej i dziwka tworzyli parę, która nocą udawała się do pracy, a w dzień żyła ze sobą jak przykładne małżeństwo, o ile oczywiście przykładne małżeństwa mogą bawić się i żyć na melinie oraz zarabiać na przestępstwach i nierządzie. W ferajnie nikomu to nie przeszkadzało, tworzyli jedną wielką rodzinę, w której znajdowało się miejsce dla wszystkich zawodów półświatka z wyjątkiem jednego. Alfonsi byli jak trędowaci, z nimi się nie kumplowano i nie bawiono, a jak trzeba, wyrównywało się z nimi rachunki za krzywdy znajomych dziwek. Każda marzyła o tym, żeby mieć swojego bandziora, który by przytulił i, jak trzeba, obronił.

– Obstawiam alfonsa – Zyga wyrwał Strasburgera z zamyślenia.

– Ty też...

– Pół na pół z szaleńcem, który kończy sprawy sprzed dwudziestu pięciu lat.

– Czyli coraz bliżej ci do Słubicy-Popielskiego? – jęknął aspirant.

– Już o tym gadaliśmy, tak samo blisko, jak i daleko. Możliwe, że te sprawy się łączą, możliwe też, że to przypadek, ale nie odrzucam tego jak ty. Jest tyle samo argumentów za, co i przeciw.

Aspirant gwałtownie chwycił przodownika za ramię, szarpnął nim i zduszonym głosem powiedział: – Alfons-pogrom to było polowanie Żydów na Żydów, pierwsze trzy ofiary były Żydami, ale kolejne... Przecież Czarny Piotruś nie był Żydem!

– Ale Hubert Luks tak, przecież to był tylko pseudonim!

– Wiem, ale to był pogrom dziwek i alfonsów, żydowskich dziwek i żydowskich alfonsów.

Piotruś nie był Żydem, a Luks nie był ani dziwką, ani sutenerem! A te dwie, które leżą skąpane we krwi? Marianna Szymańska i Ludwika Dziura! Powiesz mi, że tak się tylko nazywają? Jedna miała na szyi krzyżyk i obie mieszkały i puszczały się w chrześcijańskim kwartale. Przed wyjściem zaszedłem do obyczajówki i sprawdziłem, żadna nie pracowała dla żydowskiego alfonsa!

– Ale jak inaczej wytłumaczysz to wszystko?

– Mówiłem ci, po śmierci Gali wszystko stanęło na głowie!

– Ty stanąłeś na głowie, to, że z naszego szefa jest lamus, nie znaczy, że nie może mieć przez przypadek racji! Jasne, że Kurnatowski to był ktoś, a ten to tylko urzędas, ale uprzedziłeś się do niego i tyle!

– Nigdy nie występowałeś przeciwko mnie!

– Nie pieprz, aspirancie, nie występuję przeciwko tobie, występuję przeciwko twojemu uporowi!

Strasburger poczuł się głupio. Dotąd mówili z Zygą Stolarczykiem jednym głosem, trzymali sztamię, byli jednością. Zawsze tak było, tymczasem starli się po raz drugi w ciągu dwóch dni i po raz kolejny jego podwładny oraz kumpel, z którego zdaniem bardzo się liczył, dał mu kontrę. Najpierw aspirant się wkurzył, a później zrobiło mu się zwyczajnie przykro. A może po prostu sam zagonił się w kozzi róg, może z uporem trzyma się swojej niejasnej wersji, gdy wszyscy wokół widzą, co się dzieje?

– Co robimy? – zapytał Stolarczyk.

– Pójdź po melinach, weź dwóch mundurowych, popytaj, posłuchaj. Obowiązkowo zajdź do starej Matlakowej. Ja poczekam na doktora, później zajrzę do brygady obyczajowej, a wieczorem do Qui Pro Quo!

Wieczór w kabarecie był wyjściem po części prywatnym, po części służbowym. Zamierzał zabrać Zygę, ale w tej sytuacji nie było o tym mowy, chciał iść sam i powiedział o tym, by dokuczyć staremu kumplowi, na którego był wściekły. Samotny wypad do kabaretu tłumaczył sobie dobrem Zygi, no bo co by to było, gdyby jego żona Jadwiga dowiedziała się, że jej mąż poszedł bez niej na Bodo, Ordonkę, Jarosy'ego i Chór Dana?

Zyga Stolarczyk nic nie powiedział, zakręcił się na pięcie i poszedł w dół Kamiennymi Schodkami. Zwykle do melin chodzili we dwójkę, posiłkując się mundurowymi, ale Strasburger chciał się jak najszybciej uwolnić od towarzystwa Zygi, a ten z kolei chciał jak najszybciej się od niego oddalić i zostać sam bez towarzystwa jakichś kołków ze staromiejskiego komisariatu. W tej chwili śledczym doradzała złość.

Aspirant zapalił nila i zamyślił się. Miał nadzieję, że humor poprawią mu technicy lub doktor. Na próżno, chłopcy z Ciepłej rozkładali ręce. A zatem i tym razem cudów nie było. Chodzili na czworakach, zbierali odciski, choć przez te wszystkie lata tylko raz udało się w Warszawie pochwytać złoczyńcę dzięki śladom odcisków palców pozostawionym na miejscu przestępstwa.

Trzy lata temu jakiś dureń ostemplował swoimi paluchami mieszkanie nuncjusza papieskiego. Kozak, który odważył się oskubać papieskiego ambasadora, wpadł, ale od tej pory złodzieje i bandyci wiedzieli, co im grozi, więc byli ostrożni. Doktor Potocki też nie był wylewny, powiedział tylko, że dowie się czegoś więcej, gdy zbada denatki w Zakładzie Medycyny Sądowej przy ulicy Oczki. Medyk żartowniś, żegnając się, zaprosił aspiranta na kawkę i rozmowę o trupach. Kornel Strasburger opuścił norę, w której zakończyły życie prostytutki, i wyszedł na dwór, gdzie świeciło piękne wrześnie słońce. Normalnie poprawiłoby mu to nastrój, ale dziś dalej czuł się samotny i przegrany. Zapalił papierosa i z trudem zmusił się, by zacząć chodzić po sąsiadach i rozpytywać ich na okoliczność morderstwa. Nie będzie łatwo, tu się z policją nie rozmawiało, tu łatwo było dostać łatkę kapusia, a tego nikt w tej okolicy nie chciał. Z Kamiennych Schodków aspirant ruszył niemal biegiem do urzędu, by załatwić swoje sprawy i zdążyć do domu przebrać się przed wieczornym wyjściem. Po drodze kupił „Express Warszawski” i nie zawiódł się, na pierwszej stronie był anons zachęcający do przeczytania artykułu na stronie szóstej. Przerzucił kolumny i dotarł do relacji: *Kolejna śmierć w środowisku prostytutek! Warszawski Kuba Rozpruwacz nie ustaje w swych krwawych morderczych zamachach i w wyścigu z legendarnym londyńskim potworem. Tym razem targnął się na życie dwudziestoczteroletniej Marianny Szymańskiej oraz dziewiętnastoletniej Ludwiki Dziury, kobiet od dawna znanych policji obyczajowej. Urzędującym przy ulicy Kamienne Schodki prostytutkom zwanym Mańką i Landrynką krwawy łotr zadał szereg uderzeń młotkiem, miażdżąc palce, a te ostateczne, śmiertelne poczynił nożem, co dowodzi jego coraz większego rozbewstwienia. Przedtem warszawski Rozpruwacz mordował młotkiem bądź nożem, ale nigdy tymi oboma narzędziami, nigdy też nie mordował z taką zapalczywością. Szczęściem tym razem obyło się bez pożaru. To już piąta i szósta podobna zbrodnia w naszym mieście, do której doszło w ostatnich miesiącach. Stanowczo żądamy, by Urząd Śledczy położył kres zbrodniom, które wydarzają się w tym roku w stolicy! Warszawski Kuba Rozpruwacz, nowy Peter Kurten, zbrodniarz jakiego jeszcze u nas nie było ma być ujęty!*

Jak na ostatnie wybryki gazety, w której brylowała ta cholerna końska mucha Edward Giez, to treść była powściągliwa, jakby to była informacja o sprzedaży obligacji państwowych. W chwili, w której Strasburger uwierzył w możliwości własnego szefa, zaczął równocześnie wątpić w talent reportera Końskiej Muchy. Pies go ganiał, dziś wieczorem będzie oglądał i słuchał bardziej utalentowanych od niego.

Reporter Edward Giez pracował tyle dni bez przerwy, że zarządził sobie wolne. Tak po prawdzie to bardziej zarządziła jego głowa i chęć barłżenia się ze Stellą. Południe przesunęło się do pierwszej, więc uznał, że warto byłoby się troszkę przewietrzyć. Postanowił pójść coś przekąsić i wtedy usłyszał gazeciarzy wrzeszczących, jakby ich obdzierano ze skóry: Zaaaaaabójstwoooo na Starym Mieścieeeee, Pogrom trwa w najlepsze, dwaaaa trupy na meeeelinieeee!

Czytaaaaaajcie „Express Warszawski”, czytaaaaaaaaa „Express Warszaaaaaa”, „Express Warszaaaaaa”

Niedobrze, opuścił dzień, który mu się zresztą zgodnie z umową należał, i właśnie wtedy musiało się wydarzyć kolejne morderstwo. Zaklął, wskoczył do dorożki i kazał się wieźć do Domu Prasy.

Wkroczył do redakcji z szerokim uśmiechem, chcąc powiedzieć: oto jestem, przybywam z odsieczą, odwieszam dzień wolny! Nim jednak zdążył się odezwać, naczelny obsztorcował go jak uczniaka.

– Panie Giez, bądź pan przy temacie, jak pan chcesz robić karierę! – ryknął Dobosz. – Pilnuj pan roboty, a dokładnie to biegaj pan wokół niej, jakby to była dama, którą zamierzasz pan w te i nazad! To trzeba wychodzić, a jak już się wychodzi, to święto trwa chwilę, po której się draży dalej! Zasuwa się wokół, chodzi, węszy i tak aż do usranej śmierci, albo reportera, albo tematu. Masz pan dzień wolny, ale wierszówki w wolne dni nie ma! Dni wolne, niedziele i święta to jest dobre w fabryce marmolady, a my, jeśli szanowny pan nie zauważył, nie jesteśmy fabryką marmolady, tylko gazetą, szybką, nowoczesną i pierwszorzędną. Pierwszorzędną, bo drapiezną, żadnych pierdoł, tylko to, co interesuje klientelę: miłość, skandale, gwiazdy, pieniądze, no i ma się rozumieć katastrofy oraz zbrodnie! Zbrodnie, a zwłaszcza takie jak te, które żeś pan ostatnio opisywał, to dla nas żyła złota, a praca przy takim temacie to nie jakiś kierat, cholera jasna, tylko przywilej! – Dobosz przywalił pięścią w stół. – Przywilej, przywilej!!! Rozumiesz pan to? Jesteś pan dziennikarz, reporter, gość z jajami czy tylko ślizgacz?

Giez milczał, bojąc się, że cokolwiek powie, i tak nie spodoba się to naczelnemu, spuścił więc głowę i czekał, aż Józef Dobosz skończy swoją tyradę. Stary był jednak nie lada spryciarzem i psychologiem.

– Spuściłeś pan łepetynę i czekasz, aż skończę? W dupie masz pan to wszystko, ścieka po panu jak woda po kaczkę, więc ja już kończę. Może to panu przemówi do wyobraźni, pamiętasz pan sesję, jaką zrobiliśmy?

Kiwnął głową, takich rzeczy się nie zapomina. W jednym z sobotnio-niedzielných wydań miała się ukazać rozmowa z nową warszawską gwiazdą, reporterem kryminalnym Edwardem Gzem.

Sama Pohulanka miała z nim zrobić ten wywiad, a fotograf już przygotował zdjęcia. Facet znał się na swojej robocie, a ciuchy, których mu użyczył Dom Braci Jabłkowskich, były istic królewskie.

Tylko Jabłkowscy, ale wyglądał jak od Hersego albo Zaremby. Nie ma co, pięknie prezentował się w nowiutkim garniturze i lśniących butach, na które tak jak u bogaczy i amerykańskich gangsterów naciągnięte były getry. Było też zdjęcie w sportowej marynarce, w smokingu oraz w czapce, pelerynce i z fajką, na którym wyglądał niczym Sherlock Holmes. Do tego różne pozy, z policyjnym nagantem, z małą gangsterską maszynką z bębnowym magazynkiem, z lupą detektywa oraz przy maszynie do pisania. No i ten tytuł – *Człowiek, który tropi tajemnice*. Pięknie. I nie mógł się doczekać na *tete-a-tete* z Królową Salonów, teraz to ona będzie miała do niego interes, a on będzie jej kolejną gwiazdą, która być może zaliczy pełen program, czyli wywiad z kolacją i śniadaniem.

– Pamięta pan? – zaskrzeczał Dobosz, wyciągając go brutalnie ze świata marzeń. – To dobrze, że pan pamięta, bo na razie wstrzymuję ten artykuł. Miało być na przyszły tydzień, ale musisz pan udowodnić, że zależy panu na ciężkiej pracy i prawdziwym sukcesie. Czytałeś pan nasz artykuł, a teraz trzeba to rozwinąć, skleić do kupy z resztą, dałbym to komuś, ale w końcu to pana historia. Zapieprzaj pan, panie Giez, ale już!

Posłusznie strzelił obcasami i niemal pobiegł do maszyny do pisania. Zrobi wszystko, co w jego mocy, by nie oddać tego, co ma i tego, co mu obiecano. Miał stanąć w jednym szeregu z Ordonką, Norą Ney, Bodo, Dymszą i Sztekkerem. I stanie, stanie choćby po trupach! Giez zaciągnął się papierosem, stać go teraz było na najlepsze fajki i najlepsze dziwki, stać go będzie i na więcej, kto wie, może nawet na automobil. Czy miałby to, gdyby się posłuchał Bonifacego Kalickiego? Guzik z pętelką. Trzeba robić swoje, a jego robotą było straszenie Warszawy. Dopiero teraz postraszy na całego, dopiero teraz wszystkim pójdzie w pięty!

Są ludzie, których trudno przstraszyć, a do nich należał na pewno przodownik Zygmunt Stolarczyk.

– Nie wyjdiesz stąd żywy, frajerze – powiedział apasz z nożem i splunął pod nogi Stolarczyka.

W służbie od 1915 roku, ochotnik w policyjnym pułku podczas wojny z bolszewikami, zapaśnik i człowiek, któremu nigdy nie drgnęła ręka. Z różnych opresji wychodził, ale teraz było kiepsko, naprawdę kiepsko. Przodownik myślał o tym, ścierając krew z rozbitego nosa i pękniętej wargi.

– To gorzej niż frajer, to hint, pies, menda – rzucił drugi, uderzając ołowianą kulką paragrafu[29] o otwartą dłoń. – Pojadę cię tym cackiem na sprężynce w środek twojego psiego łba, aż pęknie na pół!

– Hola, hola, szajgce – uciszył ich wielki typ wyglądający na przywódcę – najpierw z nim troszkie porozmawiamy, *fersztejen?* - Szeł mówił z wyraźnym żydowskim akcentem.

Stolarczyk cofał się wzdłuż ściany w bramie kamienicy, w której była melina starej babki Matlakowej. Zrobił błąd, nie powinien iść sam, ale poszedł, bo się poprzytkali z Kornelem i każdy chciał od drugiego odpocząć. Nie wziął mundurowych, no bo co go mogło spotkać u Matlakowej? Nic, czyli dokładnie tyle, ile tam zwojował, bo czym można zaskoczyć starą, osiemdziesięcioletnią babę, która przeżyła ośmiu mężów bandytów i trzy razy uniknęła stryczka. Nigdy nic nie wiedziała, a najmniej o tym, że trzymała na melinie poszukiwanych listami gończymi. Teraz też było piękne towarzystwo, które piło wódkę i kotłowało się z dziewczkami. Mieli go gdzieś i wiedzieli, że przyjdzie, bo poszedł cynk, że zabito dwie panienki i na Kamiennych Schodkach płaczą się hinty, a tutaj wiadomości rozchodziły się szybko. Z mieszkania zniknęły więc trefne towary i poszukiwani ludzie. Babka Matlakowa sepleniała, że Mańka i tak by już długo nie pociągnęła, a ta młoda i tak by zdechła, bo była głupia i chciała jechać do Argentyny. Na te słowa ferajna

śmiała się do rozpuku, nie było mu wtedy do śmiechu, bo drażniły go te ludzkie śmiecie robiące sobie z zabitych panienek i z niego pośmiewisko. Po paru minutach było mu jeszcze mniej do śmiechu. Informacje o wizycie samotnego psa jednych zmusiły do ucieczki, a innych zachęciły do czegoś zupełnie innego. Czekali na niego w bramie: dwóch niezbyt postawnych, ale i tak wyższych od niego i ten trzeci, wyglądający na niezłego mocarza.

Zaskoczyli go, dostał fangę w nos i, zanim zdążył zareagować, drugi cios prosto w usta. Zdążył tylko zrobić mały ruch i zacisnąć zęby, ale nie zdołał ustać w miejscu. Poleciał na ścianę, przywarł do niej i czekał na ciąg dalszy, mając tuż przed twarzą ostrze noża.

– Tylko nie próbuj sięgać po klamkę, bo cię posunę kosą – zarechotał typek, który trzymał ostry jak brzytwa sprężynowiec o centymetry od jego gardła, drugi miał w ręku paragraf, a trzeci, ten, który żyłdłaczył, szykował się, żeby mu porachować kości.

– Rozłóż łapy, psie, z dala od kieszeni, sami wyciągniemy ci broń – zaśmiał się łobuz z paragrafem.

Przemysłili to sobie, ten z nożem go szachował, a ten z ołowianą kulką na sprężynie miał mu wyciągnąć browninga. Gdy łapy bandyty dotykały już kolby pistoletu, Zyga wierzgnął nogami i pchnął gościa wprost na ostrze noża. Bandzior jęknął, a ten trzymający nóż zaklął. Refleks, siła i szybkość wyniesione z zapaśniczej maty przydały się i tego dnia miały dla Stolarczyka wartość jego życia. Przodownik przetoczył się i bez namysłu wyszarpnął z kieszeni pistolet, nie strzelił jednak w dwóch stojących najbliżej, bo ci runęli na ziemię. Wycelował w trzeciego, który się rozpedził i swoją masą oraz impetem starał się wbić przodownika w ścianę. Huk wystrzału w ciasnej bramie był niczym odpalenie armaty. Potężny bandyta zachwiał się i zamiast skoczyć na Zygę z wytrzeszczonymi oczyma zwałił się na swoich kompanów. Cała trójka leżała na bruku i Stolarczyk postarał się, by tak pozostało. Rannego nożem z miejsca ogłuszył kolbą, drugiego, który gramolił się z ziemi, najpierw poczęstował kopniakiem w twarz, a następnie wycelował w nią lufę browninga. Gdy łobuz starł krew z twarzy, a jego oczy znów zaczęły widzieć normalnie, a nie przez mgłę, zobaczył lufę policyjnego pistoletu.

– Słuchaj, łajzo, trafiłem twojego kumpla, to i tobie zrobię dziurkę. Mam jeszcze sześć kulek, z tej odległości nie chybię – przemówił policjant.

Stolarczyk zauważył, że wokół zbierają się okoliczne łobuzy, w tym momencie sześć kulek to nie było już tak wiele. Atmosfera gęstniała, a gramolący się z ziemi typ dalej miał nóż w ręku i patrzył z nadzieją na staromiejskich apaszy.

– Jak jesteście charakterni, to zatańczcie z tym psem – zachęcał łobuzerkę, która nabrała śmiałości i zrobiła krok w jego stronę. Zyga szybko przeanalizował sytuację. Przez ten czas, gdy rozpytywał sąsiadów i był na melinie Matlakowej, zdążyło się ściemnić, na pewno zabrano zwłoki dziwek i zwinięto policyjny kram. Był tu zupełnie sam, więc musiał narzucić swoje warunki gry. Przodownik nie mógł czekać, wycelował w nogę nożownika i pociągnął za spust. Huk zmieszał się z przeraźliwym rykiem bandziora.

– Kto następny?! – wrzasnął Zygmunt Stolarczyk. – No kto? Bujać się stąd, chyba że chcecie mi pomóc w wykończeniu gnojników, którzy posunęli majchrem Szymańską i Dziurę! Wybierajcie, kto was bardziej uwiera, pies, który chce zagryźć mordercę waszych sąsiadek, czy obce łobuzy?

Nie było chętnych, chłopaki ze Starego Miasta poszemrały, a jeden z nich splunął w kierunku leżących bandytów. Ślina trafiła w czoło zabitego i rozlała mu się po twarzy. Nieboszczyk nie odda. Psom się nie pomaga, z psami się nie dyskutuje, ale sytuacja była wyjątkowa. Nie dość, że po tym, co pokazał Zyga Stolarczyk, złapali cykora, to na dodatek zrozumieli, że bliżej im do niego niż do leżących w bramie typów. Na koniec przysła Matlakowa i rozgoniła towarzystwo. Dodatkowe zamieszanie wokół jej meliny to ostatnie, czego jej było trzeba. Tymczasem Stolarczyk wyszedł na Kamienne Schodki, pozostawiając w bramie trzech łobuzów, z których żaden nie mógł już ani zaszkodzić, ani uciec. Stanął w wąskiej uliczce, wyciągnął służbowy gwizdek i wzywał pomoc, a potem wdrapował się schodami pod górę w kierunku rynku, gwizdząc jak parowóz. Na pewno U Fukiera mieli telefon, podążył więc w tamtą stronę, czując, jak puchnie mu gęba. Fanga, którą dostał na dzień dobry, była niczego sobie. Gdyby wtedy stracił

przytomność, już by nie żył. Trzeba było bić mocniej, skurwysyny, zaśmiał się pod nosem. Wygramolił się na rynek i szedł wzdłuż strony Dekerta. Dotarł na wysokość kamienicy Baryczków, gdy zobaczył, jak z Wąskiego Dunaju wybiega patrol policji. Odetchnął z ulgą, po czym wylegitymował się mundurowym kolegom i kazał im biec do bramy. Nie bał się, że tamci uciekną, tylko tego, że miejscowi mogą ich zlinczować.

Po chwili był z powrotem w bramie i mógł spokojnie spojrzeć na pobojuwisko. Największy padł trupem, bo Zyga trafił go w samo gardło, ten ranny nożem i zgłuszony kolbą dalej leżał bez tchu, tylko ranny w nogę przesunął się bliżej wyjścia na ulicę. Widać próbował wypełznąć na zewnątrz i nawiać.

– Zachciało ci się uciekać, kulawy śmieciu – zaśmiał się Zyga. – Próbuj, łajzo, dalej, a przestrzelę ci drugiego kulasa!

– Ty psie, ty skurwysynu, trafiłeś mnie w kolano, będę kaleką – złorzeczył człowiek, który nie dalej niż dziesięć minut temu straszyl go nożem.

– Kto was nasłał, czego tu chcieliście?

– Gównu cię to obchodzi! – warknął ranny bandzior.

Na oczach mundurowych Stolarczyk sprzedał mu kopa w bok.

– Widzieli koledzy, próbował mnie drań zaatakować, sięgał po nóż!

Posterunkowi potakująco kiwnęli głowami.

– To było za karę, łajzo, a teraz na zachętę, żebyś zaczął wreszcie gadać!

Tym razem przodownik Stolarczyk kopnął go w ranną nogę. Wycie przestępcy wypełniło bramę.

– Niech panowie posterunkowi staną u wylotów bram, proszę nikogo nie wpuszczać, ja mam tu do pogadania z tym cwaniakiem i nie chcę, żeby mi ktoś przeszkadzał. Za chwilę znów najdzie się ludzi, więc wybierzcie kogoś rozsądnego, niech pójdzie zadzwonić i powie, że są tu ranni przestępcy postrzeleni przez hinta, dla nich to nawet pobiegną po pogotowie, a pogotowie ściągnie policję.

Mundurowi posłusznie rozeszli się każdy w swoją stronę, bo mieszkańcy okolicznych domów wylegli na podwórko i ulice zwabieni najpierw strzałami, a teraz okrutnym wyciem rannego zbira.

– Słuchaj no, skurwysynu, bo to ty jesteś kurwim synem, a nie ja, a jeśli tak nie uważasz, to cię szybko naprostuję. Życzysz sobie kopa w żeberka?

Wielkie od bólu oczy mówiły wszystko, bandzior zrozumiał błyskawicznie, z kim ma do czynienia.

– A teraz słuchaj. W żebra bolało, w nogę jeszcze bardziej, ale po tym zesrasz się z bólu.

Zyga Stolarczyk kucnął przy rannym i trzymając browninga za lufę, wymachiwał nim tak, by kolba o centymetry mijała ranne kolano. Łobuz patrzył z przerażeniem, a na czoło wystąpiły mu krople potu.

– Prawda, że się zesrasz, jeśli się mnie omsknie ręka?

Typ próbował grać twardziela, ale gdy Zyga lekko trącił go rewolwerem w roztrzaskane kolano, o mało nie zemdlął z bólu.

– To jak, kolego? – Zyga Stolarczyk uśmiechnął się przymilnie. – Pośpiewasz czy powyjesz? Jak się nazywasz i kim są twoi koledzy?

– Jestem Zygmunt Kwaśny...

– Ależ mi miło, mój imiennik! A koledzy?

– Srul Morel i Zdzisław Śmietański.

– Który jest który?

– Żyda zabiłeś.

– No tak, pięknie żydłaczył chłopina, więc cholernie mi przykro z tego powodu. Na szczęście ty poprawiasz mi nastrój, od razu czuję się lepiej, bo bardzo dobrze mi się z tobą rozmawia. To fajno, jak

Zyga z Zyga może się dogadać, byłoby dobrze, gdybyś tego nie spieprzył. A więc, przyjacielu, kto jest waszym szefem i po co tu przyszliście?

– Wal się psie, nie jestem twoim przyjacielem!

Kwaśny szybko tego pożałował, tym razem lufa służbowej broni przodownika Stolarczyka lepiej zapoznała się z jego kolanem.

– Kurwa, on mnie zabije! – zawył.

– Ależ ja cię nie zabiję, tylko zajebię i to w try miga! – Stolarczyk znów zgrywał słodziaka. – Albo nie! – poprawił się. – Nie będę się śpieszył, bo jakbyś zemdłał albo bym cię zatłukł, to skończyłaby się zabawa.

Łobuz popatrzył na niego przerażonymi oczyma.

– Sprawdź, czy ten ogłuszony nie słyszy – poprosił. – Jakby Zdzisiek usłyszał, to jestem przegrany.

Tak czy owak jesteś przegrany, pomyślał Stolarczyk, po czym zgodnie z życzeniem sprawdził, czy Zdzisiek Śmietański dalej leży nieprzytomny.

– Zdzichu nic nie słyszy, nie doniesie szefuńciowi. – Przodownik po raz kolejny obdarzył swego imiennika promiennym uśmiechem. – A więc, łajzo, mów, jak się nazywa wasz szef!

– Włazło, Franciszek Włazło. Nie wiem, jak się teraz nazywa, ja go pamiętam jeszcze z Czerniakowa. Trochę się ukrywał, więc zaciągnął się do wojska, a później zmienił nazwisko. Na pewno był przez chwilę Paprockim, a później znowu zwiął. Teraz też siedzi tu jedną nogą, bo w jego imieniu zarządzał ten, którego ustrześliłeś.

Kwaśny zawahał się, ale Zyga znów delikatnie trącił go w czułe miejsce.

– Tak ładnie mówiłeś, że ta historia o starozakonnym bardzo mnie zainteresowała...

– Morel był kimś więcej, to był jego pośrednik, bo Franio robił interesy ze Zvi Migdal. Wiesz, psie, o czym mówię?

Zyga wiedział, więc zaniemówił, Zvi Migdal to był potężny gang z Argentyny kupujący z Polski i innych krajów dziewczyny do zamorskich burdeli. Parę razy ogłaszano jego koniec, ale był zbyt potężny.

Handel kobietami, które zniewalano i z których robiono dziwki, kwitł, a że zajmowali się nim niemal wyłącznie starozakonni, policja miała kłopot z rozgryzieniem sprawy.

– Łziesz! – ryknął w końcu Stolarczyk. – Kurwa, łziesz! Goje pracujący dla Zvi Migdal?

– Geszeft jest geszeft – zajęczał Kwaśny. – Liczy się to, co może Franio Włazło i jego ferajna, a możemy wiele. Białe niewolnice są w cenie, a te z jasnymi włosami najbardziej.

– Ty chyba mogłeś... – Łobuz szarpnął się, ale Zyga szybko przywołał go do porządku.

– Co tu robiliście?

– Włazło ma tu także swoje dziwki, które dla niego pracują. On ma masę różnych interesów – zajęczał Kwaśny.

Żeby mi tu tylko ten skurwysyn nie zemdłał, pomyślał Stolarczyk i trącił go jak najostrożniej, by zachęcić do dalszego mówienia.

– Co tu robiliście, pytam.

– Sprawdzaliśmy, czy kurwy ze Starego Miasta czują mores po tym, co się stało wczoraj – wystękał ranny bandzior.

– Kto to zrobił?

Typ milczał.

– Gadaj, bo zaboli!

Bandzior był przerażony. Widać było, że rozważa, co gorsze, powiedzieć prawdę czy poczuć niehumanitarny ból.

– No! – zasyczał Zyga, zbliżając czubek trzewika do kolana Kwaśnego.

Przerażone oczy były wielkie jak spodki, w końcu gdy Zyga brał zamach, bandzior krzyknął rozpaczliwie: – Goliat! On, to znaczy się Franio, mu to zlecił! My nie mieliśmy z tym nic wspólnego, podrywanie gardeł, łamanie palców to nie moja działka, ja to co najwyżej lekki oklep, taki ojcowski...

Nie dokończył, bo dostał od Stolarczyka w mordę.

– Słuchaj no, to mnie nie interesuje, na swój temat możesz sobie łągać, twoje zasrane prawo. Wiedz tylko, że jak cię przyłapię na kłamstwie...

Zyga znów szturchnął go boleśnie.

– Pięć minut temu też byłeś tu po to, żeby dać psu ojcowskiego klapsa? W takim razie ja ci zapodam delikatnego synowskiego szturchańca! Wymyśliłeś tego Goliata czy tak się umówiliście, jakby co?

Mówiąc to, przodownik sprzedał łobuzowi blaszkę na czoło.

– Wiedz tylko, że nienawidzę alfonsów i ich pomagierów, którzy tłuką dziwki! Czemu zginęły i kto to zrobił?

– Goliat, jak Boga kocham – załkał Zygmunt Kwaśny.

– No to teraz, kochany, powiedz mi jeszcze jedno, gdzie go szukać!

– Nie wiem.

– Wiesz.

– Nie wiem!

– Wiesz, sukinsynu! – ryknął Zyga i nacisnął strzaskane kolano.

– Ooo!

Rozległ się nieludzki ryk, po czym krzyk dobiegający z wejścia do bramy: – Co się tutaj dzieje, jestem lekarzem! Proszę zostawić rannego! Jestem doktor Walenty Jodłowski, doniosę pana przełożonym, co funkcjonariusz wyrabia z rannym!

U wylotu bramy stał korpulentny, elegancko ubrany jegomość z charakterystyczną torbą lekarską.

– Ależ ja mu chciałem pomóc wstać, panie doktorze, ale zrobiłem to niewprawnie.

– Ty skurwysynu, dopadnę cię kiedyś – zasyczał Kwaśny.

– Ty się módl, żebym nie powiedział twoim koleżkom spod celi, jak pięknie śpiewałeś.

Na dalszą wymianę zdań nie pozwolił lekarz, który znalazł się tu przez przypadek. Przybył jeszcze przed pogotowiem, bo był na wizycie domowej niedaleko Kamiennych Schodków. Pojawił się za wcześnie, jeszcze parę minut i Zyga miałby wszystko...

– Podwieźć pana, panie przodowniku? – zapytał z troską policjant z komisariatu przy Kapucyńskiej.

– Nie, dziękuję, przejdę się, muszę ochłonać, w końcu nie co dzień zabija się człowieka, nawet jeśli to bandzior.

Młody policjant patrzył z przejęciem.

– Za pozwoleniem, panie przodowniku, a jak często to się zdarza w służbie śledczej?

– Rzadko kiedy, młody kolego, na pewno nie codziennie. Ja wysyłam łotrów na tamten świat góra raz, dwa razy w tygodniu.

Mundurowy popatrzył na niego wielkimi oczyma.

– Żartowałem, chłopaku, a teraz pozwól, że pójde. Muszę jeszcze poprzerzucać papierki, napisać raport i takie tam.

Klepnął młodego mundurowego w ramię i ruszył w kierunku Daniłowiczowskiej, w końcu to były dwa kroki stąd. Idąc, pomyślał, że niewiele brakowało, by koniec jego życia zbiegł się z końcem przedstawienia, na które poszedł Strasburger.

To był piękny spektakl, bo program Qui Pro Quo był zawsze bez pudła, najlepsi artyści, największe szlagiery no i Chór Dana, a w nim wspaniały Fogg. Teraz Fogg, Mieczysław Fogg, a kiedyś Mietek Fogiel, kolega z ulicy, z tych lepszych pięt, z widniejszego i ładniejszego mieszkania, ale z tej samej Długiej. Toczenie fajerki, Indianie i kowboje, policjanci i złodzieje, gonitwa z chłopakami z Podwala, potem szkoła i wojsko, ile to już lat? Czy pamięta? Na pewno pamięta, choć już na starcie dzieliło ich sporo, a teraz to prawdziwa przepaść. Mietek Fogiel jest teraz gwiazdą, a on... On jak zawsze, pyskаты błazen, który na wieczne czasy zakotwiczył na stanowisku aspiranta. Zawsze był do tyłu, kiedyś Strasburgerowie ledwie wiązali koniec z końcem, a rodzina Foglów... Im niczego nie brakowało. Ojciec Mietka, pan Antoni pracował na kolei, a matka, pani Anna prowadziła sklep na rogu Długiej i Freta. Pan maszynista i pani sklepowa za własną ładą, nie to, co samotny rzemieślnik, który postanowił wyedukować syna. Po spektaklu Kornel poszedł do drzwi dla artystów, przepchnął się tam dzięki policyjnej legitymacji, przedstawił się i powiedział, że chce rozmawiać z panem Foggiem i że jego nazwisko będzie coś panu Foggowi mówiło. Inspicjent migiem pobiegł do garderoby, a za chwilę przyszedł też ktoś z dyrekcji teatru. Nazywał się chyba Boczkowski[30] i prosił go o dyskrecję. Strasburger uspokoił go i powiedział, że prowadzi śledztwo w sprawie Luksa, a Fogg to jego kolega z młodości. Boczkowski natychmiast zmienił ton.

– Niech pan złapie tego łotra, Hubert Luks był porządnym, lubianym przez wszystkich artystą. Odszedł do Novego Momusa, ale płacili wyśmienicie. Nie możemy utrzymać Ordonki, Bodo i jeszcze jednej gwiazdy, rozumie pan...

Rozmowę przerwał inspicjent, który zakomunikował, że artysta Fogg się ucieszył i że czeka na niego w pokoju dyrekcji. Aspirant pożegnał się z dyrektorem i miał odejść, ale obrócił się na pięcie i zapytał: – Panie dyrektorze, czy Hubert Luks nosił biżuterię?

Dyrektor uśmiechnął się lekko.

– Podobno miał do tego słabość...

– Czy nosił coś charakterystycznego, coś, co bez pudła pan lub każdy, kto go znał, by rozpoznał?

Szef kabaretu szukał czegoś w pamięci.

– Na pewno miał sygnet z rubinem. Tak! – Dyrektor ożywił się. – Było na nim nawet coś wygrawerowane i to coś wspólnego z jego nazwiskiem!

– Pamięta pan co?

– Niestety, ale jeśli sobie przypomnę... Rozpytam cały personel, jeśli coś, ktoś..., to zadzwonię albo osobiście przyjdę do urzędu. Z Galerii Luxenburga na Daniłowiczowską są przecież dwa kroki!

Kornel Strasburger podziękował i wszedł do pokoju. Mietek Fogiel siedział wciąż w swoim scenicznym ubraniu, czyli we wspaniałym fraku, w którego butonierce tkwił śnieżnobiały goździk.

– Kornel?

– Tak, to ja.

– Dawno cię nie widziałem!

– Aja, wyobraź sobie, ciebie oglądam dość często.

– Nie widziałem cię w teatrze, choć zawsze wypatruję znajomych.

– Nie siadam w pierwszych rzędach, nie stać mnie na bilet za piętnaście, dwadzieścia złotych, zajmuję miejsca z tyłu, po tanioci – Strasburger uśmiechnął się kwaśno – poza tym chodzę rzadko, ale za to ty jesteś teraz wszędzie, okładki płyt, plakaty...

– Zgłoś się do mnie, jak następnym razem będziesz szedł do teatru, znajdzie się dla ciebie coś ekstra, a jak złapiesz tego od Luksa, to myślę, że każdy teatr chętnie będzie cię gościł na honorowym miejscu. A swoją drogą, to ciekawe, że zostałeś policjantem! Jak byliśmy małymi chłopakami, to zawsze byłeś Indianinem albo złodziejem. Nigdy kowbojem czy policjantem – zaśmiał się artysta. – A później te twoje wojaże i awanturnicze życie...

– Wszystko przez kobiety. – Kornel rozłożył ręce.

– Wielu o takim temperamencie skończyłoby jako szefowie gangu, po to tylko, by zaimponować paniom.

– No widzisz, Mięciu – z udawanym smutkiem odpowiedział Kornel – mnie się nic w życiu nie udaje, miałem być bandytą, a zostałem gliną. Za to ty...

– Co ja, co ja? – Śpiewak skromnie spuścił wzrok.

– Ty zawsze chciałeś śpiewać!

– Bo nic innego nie umiem!

– Umieć coś tak, jak ty śpiewasz, to jak umieć wszystko inne. Poza tym coś tam umiałeś, bez tego nie zdobyłyś posady na kolei.

– No i dwa lata temu ją rzuciłem.

– Najwyższy czas, wozileś się z tym, przyjacielu, za długo!

– Rozumiesz, jak to jest, chleb artysty niepewny, a państwowa posada...

Kornel Strasburger uśmiechnął się i pokiwał głową.

– No, chyba że listonosz!

– Albo posterunkowy. – Fogg klepnął go po plecach. – Ale ty nie jesteś posterunkowym. Tyś oficer!

– Ale wciąż aspirant. Aspirant z kłopotami.

Fogg popatrzył na niego uważnie.

– Tak, tak, Mięciu. – Strasburger spojrział na kolegę z dawnych lat szelmowskim wzrokiem.

– Byłem i jestem pyskaty.

– Ja bym powiedział, że dowcipny. O kabarecie nie myślałeś?

Strasburger się zaśmiał.

– Ja nie żartuję, zawsze miałeś dryg do wesołych historyjek.

– Ale od tego wcale wesoło mi nie jest. Jestem taki smutny, policyjny błazen.

Strasburger dalej się śmiał, ale Fogg zauważył w jego oczach smutek i bezradność.

– Minę masz nietęgą, ale ty się nigdy nie poddajesz. Jak ci mogę pomóc, mam dla kogoś zaśpiewać?

– Z ciebie też niezły żartowniś! – Strasburgerowi wrócił na chwilę prawdziwy, nie teatralny uśmiech. – Zaśpiewaj mi jak na przesłuchaniu. Wiesz, że zabito Huberta Luksa.

– Wiem. Wszystkimi to wstrząsnęło.

– Palisz?

– Nie wolno. – Fogg rozłożył ręce. – Muszę dbać o gardło, ale mogę, a nawet powinienem napić się kawy. Zamówić dwie?

Strasburger kiwnął głową, a śpiewak poprosił inspicjenta o kawę. Czekali parę minut, wspominając szkolne czasy, Długą i wojsko. W końcu wjechała podana przez bufetową mała czarna i chwycili filiżanki w dłonie. Aromat dobrej, mocnej kawy roznosił się po gabinecie, policjant posmakował jej i pomyślał, że zarobki artysty mają taką samą przewagę nad jego apanażami, jaką kawa serwowana w teatrze nad tą, którą podają w Urzędzie Śledczym. Pił ją małymi łyżkami, ale na tyle szybko, by nie dać ostygnąć.

– Czy Luks miał wrogów? – zapytał Fogg.

– Luks nie miał wrogów, to był dusza człowiek – odpowiedział śpiewak. – Piął się w górę, ale nie po trupach. No wiesz, tak po prostu stawał się coraz ważniejszy i popularniejszy. Pracowitość, talent, cierpliwość... Do tego ujmował wszystkich charakterem.

– Długi, hazard, alkohol...

– Nic z tych rzeczy. Był sportsmenem, dbał o siebie, on nie tylko nie pił za dużo alkoholu, wyobraź sobie, że nawet kawy unikał. Do tego starał się nie objadać, o hazardzie nie było mowy, to nie ten trop, Kornelu.

– To może skoro sam nie pożyczał, to pożyczał innym, to bardzo częsty motyw.

– Był bardzo ostrożny pod tym względem, raz nawet słyszałem, jak powiedział, że nie pożyczają się pieniądze, bo to rodzi problemy. Jego znajomy, który pożyczał pieniądze, później miał kłopoty z ich odzyskaniem, do tego wierzyciele i ich przyjaciele się na niego poobrażali.

Strasburger uznał, że pytania wstępne ma za sobą i że trzeba przejść do cięższego kalibru.

– A jego orientacja?

– Przecież nie był jedyny – zaśmiał się Fogg. – Żebyś wiedział, ilu amantów tylko fotografuje się z paniami albo ma wykreowane przez prasę romanse!

– Kto na przykład? – Strasburger zaciekawiał się jak czytelniczka rubryk plotkarskich.

– Kornelu, nie będę o tym mówił, to ich prywatne sprawy!

– Właśnie te prywatne sprawy mogły zaprowadzić Luksa na tamten świat.

– Nie utrzymywał takich przyjaźni w naszym środowisku, kto wiedział, ten wiedział, ale nie mówiło się, że on i... – tu Fogg rozłożył ręce – wybac mi!

– To rozumiałe, to rozumiałe... – Strasburger poklepał kolegę po ramieniu. – A swoją drogą nie mogę tego pojąć, tyle kobiet, pięknych kobiet się w nim kochało. Mógł mieć ich na pęczki: młodych, starych, bogatych, biednych!

– Między innymi dlatego była to tak wielka tajemnica!

– Tych tajemnic jest więcej?

– Pijesz do śpiewających i tańczących kawalerów? – zaśmiał się Mieczysław Fogg. – Ci, którzy mają tradycyjne podejście do miłości, muszą się pilnować jeszcze bardziej. Nie rozumiesz?

– roześmiał się znowu, patrząc na zdziwioną twarz policjanta. – To proste, wyobraź sobie rozczarowanie tysięcy kobiet, które nagle się dowiadują, że ich bożyszcze, ich przedmiot uwielbienia ma kochankę albo nie daj Boże żonę! Nie ma lepszego amanta ponad takiego, który jest kawalerem do wzięcia!

Strasburger pokiwał głową, nigdy o tym nie pomyślał, a przecież to takie logiczne!

– A ty? Masz żonę i kariery ci to nie złamało.

– Ależ ja nie jestem amantem. – Fogg był wyraźnie rozbawiony. – Owszem, wyglądam chyba niczego sobie, ale moim atutem jest głos! Głos, ja muszę dbać o głos, a nie o to, czy panie obrażą się na mnie za moją kochaną Irenę i Andrzejka. Andrzejek to mój synek, ma już trzy latka – wyjaśnił. – Wielbicielek nie kochają mnie, tylko mój głos i moje piosenki. Co innego amanci, którzy występują w filmach, każdy z nich jest potencjalnym kochankiem, a może nawet mężem. Niektórzy wcale dobrze nie śpiewają, wcale nie najlepiej tańczą, ale się podobają.

– A jakim cudem podoba się Bodo?

– Kornelu, zapytaj którąś z moich koleżanek!

– A nie sądzisz, że Luks mógł się podobać bardziej niż Bodo?

– Do czego zmierzasz?

– Chyba źle mnie zrozumiałeś! Nie podejrzewam pana Eugeniusza, tylko zastanawiam się, czy Luks nie mógł paść ofiarą którejś z wielbicielek. Był dość wylewny wobec płci pięknej.

– To prawda, całował rączki, prawil nieprawdopodobne komplementy, nawet czasem głaskał, co wielu uznawało za zbyt bezpośrednie, a nawet gorszące. Miał wręcz opinię notorycznego podrywacza, ale nie konsumenta!

– A może rozpalil jakąś damę, a ta...

- Uważasz, że tak mogło być? – zdziwił się Fogg.
- Jak najbardziej. Zbrodnie z miłości są bardzo częste, ale... – Mieczysław Fogg zamienił się w słuch – mam inne podejrzenia.
- Jakie?
- Prowadzę śledztwo, ale tobie mogę powiedzieć.
- Fogg nie dał mu dokończyć.
- Czyli to, o czym pisze prasa? Ciąg dalszy pogromu z tysiąc dziewięćset piątego roku? Można się było tego spodziewać!
- Strasburger zaśmiał się i pokręcił głową.
- Także ty połknąłeś ten haczyk!
- A uważasz, że tak nie jest? – zachnął się Fogg. – To rozgrywa się niemal wśród samych starozakonnych! Ta osławiona Madame Gala, to małżeństwo z Krochmalnej, wreszcie Luks! On także, naprawdę nazywał się Chaim Luksman.
- Tak, wiem, ale to chyba oczywiste, Tom, Petersburski, Ford, Włast, Jurandot, Gold, Wars, Znicz, Harris, Aston... Jakbym się rozpędził, tobym wymieniał z godzinę. Aż się dziwię, że ty nie jesteś starozakonny, Mięciu!
- Zawsze byłeś zgrywusem, ale może właśnie o to chodziło, przecież alfons-pogrom to była żydowska zemsta na Żydach.
- Nie! – stanowczo zaprzeczył Strasburger. – Zdecydowanie nie, wiesz lepiej niż ja, że Hubert Luks nie był ani sutenerem, ani dziwką. To był mord na tle rabunkowym albo chodziło o zazdrość. Pomnij, że ten drugi zamordowany był chrześcijaninem, a dziś mamy nowy mord, na dwóch panienkach z Kamiennych Schodków. Zaręczam ci, że żadna z nich nie była Żydówką. To trop efektowny, ale chybiony!
- A więc sądzisz, że... – rozczarowany Fogg nie dawał za wygraną. – No tak, przecież to dzisiejsze morderstwo nie ma nic wspólnego z Żydami!
- Dla mnie nie ma, dla ciebie także, bo cię przekonałem, ale dla ludzi karmionych kurierkami i ekspresiakami będzie miało! Im wszystko ułoży się w jedną całość, bo tak jest straszniej i ciekawiej! Gorzej, że układa się to także politykom i moim przełożonym.
- Tyle że to i tak nie wyklucza, że pierwsze trzy mordy to nowy alfons-pogrom! – śpiewak rozwijał swoją wersję. – Chciano zabić Luksa, a przez przypadek zginął także ten nieszczęśnik!
- Watsonie... – Aspirant poklepał artystę po ramieniu. – Dobrze rozumujesz, bo i ja wśród wielu wersji także i tę biorę pod uwagę. Luks mógł być celem numer jeden, a ten cały Czarny Piotruś trafił się przez przypadek!
- A jednak!
- Ale zabito go nie dlatego, że był Żydem – wyszeptał łagodnie aspirant – ale dlatego, że kogoś rozczarował! Ja stawiam na zdradzonego kochanka! Mógł też zginąć przy okazji, bo ktoś zasadził się na Piotrusia, mogło chodzić o rabunek, długi, szantaż!
- Luks kogoś szantażował?! – wybuchnął Fogg. – To niemożliwe!
- Oczywiście, że nie, mój przyjacielu. Znamy się długo, więc ci powiem, w jakim kierunku będę prowadził śledztwo. Ten Piotruś był nie tylko rajfurem i mistrzem ceremonii, on się także wynajmował za pieniądze, a jak wiesz lub nie, homoseksualizm i prostytutka nie są karalne, ale prostytutka homoseksualna tak! Ja myślę, że on mógł kogoś szantażować, może nawet planował szantażować Luksa. Mówiło się o nim, że był gotów na wszystko, byleby zarobić pieniądze.
- Rozumiem, że twoim zdaniem ktoś przyszedł zamordować tego Czarnego Piotrusia, a Luks był tylko pechowym świadkiem?

– Tak sędzę! Ale oczywiście nie zamykam się w jednej hipotezie, nie odrzucam nawet tego, że mogła go zamordować rozczarowana dama, a wtedy to Piotruś byłby przypadkową ofiarą. Niczego nie wykluczam, ale alfons-pogrom jest u mnie na szarym końcu, prędzej kobieta niż nowy rozdział dopisany do wydarzeń sprzed dwudziestu pięciu lat!

Fogg zasępił się i podparł brodę dłonią, jakby nad czymś dumał albo czegoś szukał w pamięci.

– Coś sobie przypomniałeś?

– A żebyś wiedział. Nie chcę powtarzać plotek...

– To teraz bardzo ważne, bo w każdej plotce jest ziarno prawdy.

– Widzisz, Kornelu, parę razy słyszałem, że Luks także od czasu do czasu z paniami...

– Na parę i na wiatr?

– Jeśli chcesz to tak po marynarsku nazwać...

– To ciekawe, to by wyjaśniło pewną sprawę.

– Jaką? – zaciekawił się Fogg, po czym rozłożył ręce. – Ale pewnie ty nie możesz o tym mówić.

– W tym domu schadzek znaleźliśmy też damskie fatałaszki. Bywa, że urningowie się w nie przebijają, ale właściciel lokalu zaklinał się, że przychodziły czasem także panie. Może jednak nie kłamał? To nie jest najbardziej przekonujący wariant w tej rozgrywce, ale... – Strasburger się zadumał. – Ale rozpisując sobie różne możliwości, muszę zostawić procencik i na taki ruch.

– Wariant, rozgrywka, ruch... – powtórzył śpiewak. – To jak jakaś gra, układanka?

– Tak, warianty i możliwości jak w szachach czy brydżu, układanka, a raczej kalejdoskop, mój Mięciu, kalejdoskop! Wystarczy drobny ruch i cała mozaika zmienia kształt. Jeden mały ruch, drobna informacja...

– A list? To chyba bardzo ważne!

– List miał odwrócić naszą uwagę. Nic więcej.

– Uważasz, że to taka kreacja niczym na scenie albo w kinematografie?

– Tak, Mięciu, dokładnie tak. Śledczy pisze różne scenariusze, rozważa rozmaite motywy, bo za każdą zbrodnią kryje się jakiś motyw. Moje życie jest grą z przestępcami, grą, która mnie męczy, wypruwa z sił, aleja to lubię, do tego stopnia, że po pracy najchętniej gram w brydża. Niestety zdarza mi się to coraz rzadziej. Od dawna nie usiadłem do stolika, służba ma pierwszeństwo, bo gra śledcza to gra o życie.

Fogg spojrział na swojego kolegę z dzieciństwa z podziwem, jakim zwykle ludzie darzyli jego samego, gdy śpiewał ze sceny. Pieśniarz chwycił Kornela za ramiona i mocnym głosem powiedział: – Ciekawe to, co mówisz, bardzo ciekawe. Masz interesującą i niezwykle odpowiedzialną pracę! Jestem pełen uznania dla wysiłku, który podejmujesz.

Strasburger się uśmiechnął.

– Bardzo to miłe, co przed chwilą powiedziałaś. Ty, gwiazda sceny, o mnie, skromnym policjancie.

– Nie ujmuj sobie zasług, Kornelu, powinno się doceniać taką odpowiedzialną, poważną służbę.

– Uśmiełbyś się, Mięciu, ale to nie jest robota taka jak w filmie, czasem jest niezwykle banalna, a czasem wręcz śmieszna. Taka mrówcza praca, więc w filmie muszą trochę zmyślać, żeby im widzowie nie posnęli.

– a propos kina i filmu, to osiemnastego października będzie premiera *Niebezpiecznego romansu*. To obraz Michała Waszyńskiego, scenariusz Sterna podług powieści Struga. Mamy tam epizod z Chórem Dana! A grają pierwszorzędną gwiazdy, Bodo, Dodek... Sukces gwarantowany!

– A wiesz, że mnie w urzędzie nazywają Dodek?

– Może cię kiedyś poznam z Dymszą. Wiesz co, zaproszeń na premierę nie załatwię, chyba żebyś...

– Żebym co, żebym został milionerem albo Generalnym Inspektorem Policji Państwowej?

– Nie, wystarczy, że znajdziesz zabójcę Luksa, wtedy każdy cię będzie gościł, ale i bez tego dzwoń do mnie, jak będziesz potrzebował biletów do teatru! Od drugiego października mamy nowy program *Zjazd Centrośmiechu*, musisz wpaść z jakąś kobitką, przystojniak z ciebie, a z dwoma biletami na premierę w Qui Pro Quo jeszcze większy!

– Lepiej mi powiedz, co Luks miał wygrawerowane na sygnecie.

– To proste – zaśmiał się Fogg. – *Post tenebras Lux!*

- Po ciemności światło?

– Właśnie! Luks nie był skromny. Oczywiście słowo światło było wypisane po łacinie jak trzeba, ale za to wielką literą, żeby chodziło także o jego nazwisko. Mam nadzieję, że to coś pomoże.

I pamiętaj, będziesz królem, jeśli znajdziesz zabójcę!

Fogg skreślił mu na kartce swój numer telefonu, pożegnali się i Strasburger wyszedł z teatru.

W końcu znalazł jakiś punkt zaczepienia, sygnet z łacińską sentencją i rubinem. Luks nie miał na palcach sygnetu, a więc... Przeszukano mieszkanie Koniecznych i nie było tam niczego takiego. Charakterystyczne świecidełko, może więc gdzieś kiedyś wypłynie...

Ruszył na Długą i myślał sobie, że dobrze byłoby pójść na premierę z jakąś fajną babką. Dobrze by było, westchnął i zapalił ostatniego nila. Cztery złote poszło z dymem, musi palić mniej albo przerzucić się na tańsze papierosy. W takim tempie wydałby na papierosy ponad stówkę miesięcznie. A może rzucić palenie w diabły? Doktor Potocki rzucił, bo się ożenił, jemu to nie grozi. Qui Pro Quo mieściło się w Galerii Luxenburga przy Bielańskiej, szedł więc do domu Kapucyńską w kierunku Miodowej. Gdy mijał skrzyżowanie z Daniłowiczowską i Hipoteczną, zobaczył znajomą sylwetkę.

– Zyga? – ucieszył się na widok przyjaciela.

– Kornel? – On również miał radość w głosie.

– I jak było u Matlakowej i po innych melinach?

– Całkiem klawo, wrywałem jednego chwasta, a dwa pokiereszowałem – zawołał Stolarczyk.

Z każdym krokiem Strasburger dowiadywał się o wieczorze Zygi coraz więcej, a w świetle ulicznych latarni dostrzegł też sińce na jego twarzy i krwawiącą wargę.

– Wszystko ci opowiem, najchętniej przy wódce, ale najpierw idę do urzędu, muszę powojować z raportem. Ty zasuwasz na maszynie jak złoto, pomożesz?

– Pomogę.

Gdy Zyga zaczął dyktować, aspirant zaklął.

– Goliat...

– Tak, Goliat, przynajmniej tak mówił ten bandzior, ale niekoniecznie mówił prawdę, chciałem go docisnąć mocniej, ale nie zdążyłem, więc pozostaje to, co powiedział.

– Zvi Migdał, Wlazło i Goliat... – Strasburger się zamyślił. – Niezłe trio.

– Mocne – podsumował Zyga – bardzo mocne.

– O ile prawdziwe.

– Tak czy owak mamy poważną zagwozdkę[31].

– Mamy.

– O ile Goliat istnieje. – Strasburger spojrzał na Zygę uważnie.

– Istnieje, nawet jeśli go nie widział komisarz Pytlasiński – zaśmiał się przodownik. – Wiem, że jeszcze z nim nie rozmawiałeś, ale zamierzasz. Ociągasz się, bo masz zaległości z gimnastyki i walk, więc omijasz Ciepłą szerokim łukiem. – Zyga Stolarczyk spojrzał na Kornela Strasburgera wzrokiem rodzica, który jednocześnie karci i ujawnia tajemnicę dziecka. – Korci cię, ale wiesz, że Pytlas zapytałby cię o kondycję.

Ja w przeciwieństwie do ciebie bywam tam regularnie, dlatego poradziłem sobie w bramie na Kamiennych Schodkach. Zagadnąłem komisarza Pytłasińskiego i powiedział mi, że nie widział go, ale o nim słyszał, a słyszał od ludzi, którym ufał.

– Ufał? – powtórzył Strasburger.

– Ufał, bo już nie żyją.

– Goliat też może nie żyć.

– Moim zdaniem żyje!

– Ważne, że ty żyjesz, mam wyrzuty sumienia. – Strasburger ścisnął Zygę za jego potężne ramię. – Od teraz nawet gdybyś mi powiedział, że jestem fiutem, to nie puszcę cię samego, stary łobuzie!

– I wice Wersal – zaśmiał się Stolarczyk. – Psy powinny chodzić na polowania parami.

– I pić razem wódkę z miski – dodał Strasburger – ale nie tym razem, gęba ci napuchnie jeszcze bardziej, poza tym ty masz dzień chorobowego i jako starszy stopniem daję ci polecenie, żebyś został w domu. Z kolei ja robię jutro od samego rana i wiem, że nie będzie łatwo.

To nie był żaden bajer, bo nigdy nie było łatwo, gdy aspirant Kornel Strasburger musiał składać wizytę w Zakładzie Medycyny Sądowej.

Warszawa, czwartek 11 września 1930

Aspirant Strasburger wszedł do zakładu i jak zwykle wydało mu się, że przekracza wrota do innego świata. W siedzibie zmarłych i ich Charonów przy ulicy Wojciecha Oczki panowały chłód i cisza, a światło było jakieś obce, choć przez okno wpadały te same co wszędzie promienie słońca. Tu wszystko było niby takie samo, ale równocześnie zupełnie inne. Za tymi drzwiami Strasburger czuł, że obcowanie ze zmarłymi zmienia go i czyni przynajmniej przez pierwsze minuty zupełnie innym człowiekiem. Tu żarty przychodziły mu z trudem, tu tracił swą elokwencję, tu po prostu myślał inaczej, tak jakby jego umysł poruszał się po innych torach. Oswajał się z tym miejscem, ale bardzo powoli, bo choć nie czuł już strachu czy wręcz paniki, jakie towarzyszyły mu na początku, to jednak cały czas nie mógł się wyzbyć niepokoju.

A przychodził tu i w inne miejsca, gdzie robiono sądowe sekcje, od dawna. Zanim po wielu latach budowy otwarto nową siedzibę zakładu, lekarze sądowi pracowali w nieodległym Szpitalu Dzieciątka Jezus. Tam panowały najlepsze warunki, bo wszystko perfekcyjnie urządził profesor Wiktor Grzywo-Dąbrowski, obecny kierownik zakładu przy Oczki. Przeprowadzkę z prowizorycznej siedziby zakładu i organizowanie nowej przyjęli z ulgą i pracujący tam lekarze, i ich goście. Poprzednia, wieczne tymczasowa przystań Charonów funkcjonowała w parterowym budyńeczku mieszczącym niegdyś zwierzyniec. Lekarze sądowi, personel oraz zmarli tłoczyli się w czterech pokojach. Dwa największe pomieszczenia zajmowały trupiarnia i sala, a w zasadzie salka sekcyjna. Lekarze pracowali w niej przy dwóch stołach i musieli uważać, by przy wizycie policjantów czy studentów w czasie sekcji zwłok nie uderzać się łokciami. Trzeci pokój był prawdziwą wieżą Babel, mieściła się tam kancelaria, biurko kierownika i laboratorium, w czwartym zaś mieszkał woźny.

Dawne czasy, minęło parę lat, więc Strasburgerowi uzbierało się tych wizyt kilkanaście. Pewno będzie i drugie tyle, a może nawet dobieje kiedyś do setki, ale nie wątpił, że nawet po tysięcznych odwiedzinach w przystani Charonów wciąż będzie mu towarzyszył ten dziwny stan ducha.

Doskonale wiedział, że nigdy nie przekroczy pewnej granicy, że nie zostanie przyjacielem tego miejsca, domownikiem takim jak doktorzy i ich asystenci. Dla nich prosektorium było miejscem, w którym się zwyczajnie dowcipkowało, piło herbatę i wcinało drugie śniadanie. Aspiranta Strasburgera apetyt opuszczał na jakąś godzinę przed wyruszeniem na ulicę Oczki, a wracał mu następnego dnia. Z dowcipem, ważną częścią jego wariackiej osobowości, było nieco lepiej. Słownej brawury wyzbywał się tuż przed drzwiami, a odzyskiwał ją już przy wyjściu, chyba że zapraszającym na swój pokaz był doktor Potocki. Znali się od niedawna, ale nadawali na tych samych falach. Śmieli się, że ich stacja to Warszawa Druga. Pierwsza

i jedyna stacja radiowa Polskiego Radia nadawała rzeczy różne, a dowcip stanowił ich uzupełnienie, tymczasem dla nich był sprawą równie ważną, jak życiodajny tlen znajdujący się w powietrzu. Strasburger i Potocki docierali się powoli, bo widywali się tylko wtedy, gdy łączyły ich zbrodnia, śledztwo i sekcja zwłok. Aspirant czuł, że gdyby współpracował z nim tak intensywnie jak z Zygą Stolarczykiem, to szybko utworzyliby zgrany zawodowy i towarzyski duet. A w zasadzie tercet, bo pracy w urzędzie bez przodownika nijak sobie nie wyobrażał.

– Dzień dobry – powitał doktora, wchodząc do jego królestwa, którego centrum zajmowały marmurowe stoły z leżącymi na nich zwłokami.

– Dzień dobry – odparł doktor – a może inaczej mniej zły, panie aspirancie, bo jak pamiętam, nie jest pan pasjonatem naszego przybytku.

– Jeśli mogę powiedzieć szczerze, panie doktorze, to wolę jednak Wróbla: nie ma tam tak znakomitego kierownika sali jak tu – to mówiąc, Strasburger skłonił się nisko doktorowi Potockiemu – nie ma tam także równie jak u pana doskonałej wentylacji, blaty nie są marmurowe, ale za to stoły zastawione znacznie lepiej. Wolę flaczki wołowe niż ludzkie, bliższe mi siekane kotlety niż siekani ludzie, a do dam przysiadam się bez skalpela w rękę.

– W tym przypadku wystarczyły dobre kauczukowe rękawiczki, panie Kornelu.

– Co mamy w menu? – Strasburger starał się trzymać biesiadnego sznytu, który sam sobie narzucił.

– W przypadku dwóch ostatnich morderstw, dubeltowych morderstw – dodał doktor – mamy dwa różne pokazy bandyckiej sprawności. – Nie będę pana męczył demonstrowaniem zwłok panów Luksa i...

– Czarnego Piotrusia – Strasburger odpowiedział doktorowi, a ten ukłonił się z galanterią.

– Właśnie, a swoją drogą co za duet, Czarny Piotruś i Luks. Jak para sceniczna – uśmiechnął się Potocki. – Ale do rzeczy. To były dwie pozornie identyczne zbrodnie, dwa zabójstwa nożem, ale poza tym dzieli je wszystko i nie chodzi mi tylko o to, że pierw zamordowano mężczyzn, a później kobiety.

– Dwa różne pokazy... – aspirant powtórzył słowa doktora.

– Tak, drogi panie, bo moim zdaniem to niemożliwe, by obu zbrodni dokonała ta sama osoba.

A już na pewno nie zrobiła tego tym samym narzędziem. W pierwszym przypadku mieliśmy do czynienia z absolutnym amatorstwem, a w drugim z zawodowstwem, jeśli mogę się tak wyrazić. Ten drugi osobnik wiedział, jak dokonać cięcia, wiedział, że potrzeba do tego dobrego noża.

– Rzeźnickiego?

– Tak, być może rzeźnickiego.

– Chalef?

– Drogi panie, takiej pewności nie mam i niech pan mnie nie zmusza do zbyt pochopnych deklaracji. To mógł być rzeźnicki nóż, a jak już pan chce, to może i chalef, ale nie taki do szlachtowania bydła, lecz mniejszy, poręczniejszy, którym się zarzyna drób. To mogła być brzytwa, bardzo ostry nóż, a wreszcie ulubiona broń bandytów, w tym także sutenerów dyscyplinujących swe dziwki.

– Czyli nóż sprężynowy?

– O, właśnie!

– Gdyby kolejność była odwrotna, to mógłbym przypuszczać, że mamy do czynienia z nieudolnym naśladownictwem, bo ten pierwszy przypadek to nie była szechita, tego nie mógł zrobić szojchet.

– Przede wszystkim kwestia narzędzia, efekt był przerażający podobnie jak i za drugim razem, ale te detale... Użyto przypadkowego narzędzia, zwykłego noża, może nawet scyzoryka, na pewno nie chalefu czy innego zabójczego instrumentu, których listę przedstawiłem panu wcześniej. Dzięki temu, że rzeźak, rzeźnik czy zawodowy bandyta używają ostrej, dobrze przygotowanej broni, nie muszą używać wielkiej siły, nie muszą szarpać, mocować się. Podczas szechity taka szarpanina to jest poważny, absolutnie niedozwolony błąd, nazywa się derasa. Najczęściej wynika z małej wprawy, co skutkuje zbyt powolnymi

ruchami – szechija i zbyt częstym wbijaniem noża – chalada. Zdarza się, że niewprawnemu rzezakowi ześlizgnie się nóż i rozedrze tkanę, a przecież powinno się ją przeciąć. Z bandytami jest podobnie, z miejsca można odczytać, czy zabił zestrachany amator, czy zawodowiec z doświadczeniem.

– Na to też są nazwy?

– Ależ oczywiście: hagrama i ikkur – Potocki mówił teraz z takim dostojeństwem, jakby był rabinem. – Wszystkie te błędy popełnił morderca urningów z Widoku. Z kolei ten drugi...

– Czyli to drugie zabójstwo wygląda jak...

– Szechita? – Doktor się uśmiechnął. – Tylko do pewnego stopnia. Ciął doskonałym narzędziem i miał wprawę, upuścił krew, tak że lała się wiadrami, ale to wszystko. Jak już mówiłem, podobieństwo spore, ale tylko do pewnego stopnia.

– Co pan przez to rozumie, panie doktorze?

– Te połamane palce, tortury... – Józef Potocki się zasepił. – I pobicie. Zwierzęcia nie wolno ogłuszyć, by mięso było koszerne, podczas upuszczania krwi musi być przytomne. To, co łączyło ofiary z Widok i z Kamiennych Schodków, to rozbite głowy. Tego nie było widać, bo trupy leżały na wznak i były skąpane we krwi. Obaj przestępcy, czy może grupy przestępców, bo jak było, to chyba panowie śledczy nie mają pewności, najpierw ogłuszyli swe ofiary.

– Mord ze znieczuleniem?

– Być może tak, a być może początkowo morderca czy mordercy zamierzali jedynie pobić czy ogłuszyć ofiary, a później poszli na całość. Nie wiem i jeśli ich pan nie pochwyti, to nigdy się tego nie dowiemy. Tak czy owak taka rzeź była absolutnie niekoszerna, bo jak mówiłem, ofiara ma być przytomna. Poza tym Talmud zabrania męczenia zwierząt. Żydzi, religijni Żydzi – dodał natychmiast – nie pasjonują się barbarzyńskimi rozrywkami w rodzaju walk byków, psów czy kogutów.

– Ale to byli ludzie, a nie zwierzęta!

– Co tym bardziej sprawia, że muszę się trzymać swojego „do pewnego stopnia”. – Józef Potocki się uśmiechnął. – Szechita to ubój zwierząt, a tu mamy do czynienia z morderstwami dwóch mężczyzn i dwóch kobiet.

– Ale technika!

Aspirant Kornel Strasburger pokiwał głową. To był wspaniały wykład znakomitego lekarza sądowego i w dodatku kogoś, kto się znał na żydowskich obyczajach. W zasadzie nie miał już więcej pytań. Coś go jednak zastanawiało, w końcu po dłuższej chwili odezwał się: – Panie doktorze...

– Tak, słucham.

– Czy pan...

– Tak – przerwał mu Potocki – jestem Żydem, a co, nie wyglądam?

Słowa te mówił blondyn, który bardziej przypominał Niemca z pochodzenia niż on sam, no i to nazwisko.

– Może jestem po prostu słabym śledczym?

– Jest pan dobrym śledczym, nie takim pilnym i nie takim szczegółarzem jak ten komisarz Przygoda, ale potrafi pan zrobić z głowy użytek. Zadał pan pytanie, znaczy się miał pan wątpliwości. To dobrze, w pańskim fachu trzeba je mieć.

– Zdaje się, że ostatnio ich nie miewam... – Strasburger zdał sobie sprawę, że hipotezę nadkomisarza odrzucił absolutnie i niepodważalnie przekonany, że szuka całej galerii przypadkowych zbrodniarzy. – Dzisiejsze spotkanie przypomina mi o tym, że pozory mylą i że często coś, czego jesteśmy pewni, nie jest wcale tym, czym się wydaje.

– Słusznie, pozory mylą, panie aspirancie, nie każdy Żyd musi mieć czarne lub rude włosy, nie każdy musi się nazywać Goldberg albo Rapaport. Ja nazywam się Potocki i nie jest to jakaś rzadkość. Całe sztetle

tak się nazywały, a to dlatego, że jaśnie pan Pac miał jakiś spór z Potockimi, więc odwdzieczył im się, nadając wszystkim Żydom ze swoich majątków nazwisko Potocki. Jakby się wtedy kłócił z Radziwiłłami albo z Zamoyskimi... – zaśmiał się doktor. – Wszystko to kwestia przypadku, czasem myślę, że Józef Sapieha albo Branicki też by mi dobrze pasowało.

– A jeszcze lepiej Rotschild! – palnął Strasburger.

– A żebyś pan wiedział! – Józef Potocki miał poczucie humoru. – Następnym razem opowiem panu wyśmienity szmonces o Rotschildach.

– Lubię pana słuchać. – Aspirant grzecznie się uklonił.

– Z wzajemnością. – Potocki odklonił się z galanterią.

– Żarty żartami, ale ja mam jeszcze jedno pytanie. Z pana badań wynika, że zbrodni na Madame Gali, sutenerach z Krochmalnej, na urningach z Chmielnej oraz dziewczynach z Kamiennych Schodków nie mogła dokonać jedna i ta sama osoba, ale czy gdzieś sprawca mógł się powtórzyć?

– Jeśli zmienił narzędzie, to w drugim i ostatnim przypadku morderca działał z tą samą siłą i precyzją. – Doktor się zamyślił. – W zasadzie powinienem powiedzieć: to samo zdecydowanie, precyzja i siła. To zrobił ktoś, kto potrafił mordować, żaden debiutant, bez wątpliwości ktoś, kto mając narzędzie, nie potrzebował nadużywać siły. Oczywiście pozostaje pytanie, czemu na Krochmalnej po prostu zabił, a na Kamiennych Schodkach także torturował. Z kolei ten pierwszy był mściwy, tłukł bez opamiętania.

– Zdaniem pana to nie mógł być ten sam co na Kamiennych Schodkach?

– Był okrutny, ale to było działanie w afekcie, a ten drugi choć zadawał rany, działał nie w afekcie, a z wyrachowaniem. Jeszcze kto inny zabił na Widok, amator, ale tak jak ten, który zabił Madame Galę, działał w porwywie złości. Dwa morderstwa popełnione z zimną krwią i dwa w afekcie lub w porwywie zemsty, tak to widzę. Jedyne, co je może łączyć, to zleceniodawca lub...

– Lub?

– Nie wiem. – Doktor rozłożył ręce. – Nie jestem detektywem, ale może zмова, jedna wspólna sprawa, jakieś postanowienie, a może interes?

Strasburgerowi myśli kłębiły się w głowie, nie bardzo wiedział, o co by tu jeszcze doktora zapytać. W końcu musiał rozwiązać tę sprawę wspólnie z Zygą Stolarczykiem i sędziami śledczymi, a nie opierając się wyłącznie na opinii doktora. Jej medyczna część bardzo mu odpowiadała, bo potwierdzała jego przypuszczenia o kilku mordercach, ale na koniec Potocki, tak jak i nadkomisarz oraz pismacy, podjął trop jakiejś zмовы czy spisku. Wszyscy to łączą, wszyscy tego chcą, tylko nie on...

– Coś jeszcze, panie aspirancie? – zapytał doktor Potocki. – Lubię, wręcz uwielbiam z panem rozmawiać, ale trochę się dziś zagadaliśmy, a ja już jestem spóźniony na spotkanie z profesorem Grzywo-Dąbrowskim. Taki człowiek nie powinien czekać na nikogo, a zwłaszcza na swojego byłego ucznia.

– To do kolejnego spotkania, ciekaw jestem tego numeru o Rotschildach i na pewno wprowadzę go do swojego repertuaru, bo wie pan, panie doktorze, ja jestem...

– Wiem, wiem – przerwał mu Potocki, wyciągając rękę na pożegnanie – wszyscy wiedzą, że jest pan w urzędzie nazywany Dodkiem! No i oczywiście, że doskonale gra pan w brydża!

– Pan doktor też? – zainteresował się aspirant.

– Pasjami!

– To świetnie, a więc do następnego razu, może przy stoliku!

– Do następnego razu! – powiedział doktor Potocki pogodnym tonem nijak niepasującym do atmosfery miejsca, w którym pracował.

Strasburger także się uśmiechnął. Oby ten następny raz zdarzył się gdzieś indziej... Wybiegł z budynku. Powinien jak najszybciej dotrzeć do Urzędu Śledczego, ale postanowił iść piechotą. Zajmie mu to aż trzy kwadransy marszu, trudno, nie skorzysta z tramwaju ani nawet dorożki, choć ta druga zapewniała

wentylację niezbędną po wizycie w domu dla trupów. By nieco ochłoniąć, potrzebował nie tylko świeżego powietrza, ale i czasu. Chciał także jeszcze raz przemyśleć to, co usłyszał, bo przecież dostał do ręki argumenty, które przemawiają za jego hipotezą. Trzeba je tylko dobrze sprzedać, bo inaczej szef nie przestanie się upierać przy swoich pomysłach. Może w końcu ten biuralista i organizator zrozumie, że nie jest żadnym Sherlockiem Holmesem!

W redakcji „Expressu Warszawskiego” znów panowała radosna ekscytacja, przynajmniej tak to czuł Edward Giez. Reporter siedział i z zadowoleniem wsłuchiwał się w tyradę swojego szefa.

– Trzeba czasem upaść, żeby wstać, wyjechać, by powrócić w wielkim stylu, zawalić coś po to, by tę ruinę pięknie naprawić. – Józef Dobosz poczuł w sobie jakieś filozoficzne ciągoty, co Edward Giez znosił nie tylko z cierpliwością, ale i upodobaniem.

Naczelny nudził i smędził, ale Giez wprost spiął słowa z jego warg i upajał się tą, pozał się Boże, retoryką, bo w końcu w swoich koślawych popisach naczelny sławił jego zawodowe przymioty.

– Pięknieś pan to wszystko pospinał – powiedział na koniec.

Giez kiwał głową i myślał sobie, że nie byłoby jego oszałamiającego sukcesu, gdyby zastępujący go wczoraj redaktor postawił na właściwego konia. Marcin Borówka pisał pośpiesznie, Dobosza zawiódł tego dnia instynkt, a być może po prostu wyszedł z nerwów, stwierdziwszy absencję Gza. Stało się więc tak, że ogłoszenie przez Borówkę, iż seria zbrodniczych zdarzeń jest dziełem warszawskiego Kuby Rozpruwacza, wypadło efektownie, ale nie tak, jak to wymyślił Edward Giez. Tytuł krzyczący wielkimi czerwonymi literami napawał go dumą, ale jeszcze bardziej cieszyło go to, co stało napisane poniżej: *Edward Giez, reporter śledczy „Expressu Warszawskiego”, pisze odważnie o tym, o czym inni boją się pomyśleć.*

Reporter śledczy, tak się zatytułował i tak także mówił do siebie Alicji Pohulance w czasie wywiadu do sobotniego dodatku. To jego patent, jego miejsce! Raz jeszcze spojrzął w próbny wydruk i przeczytał z zadowoleniem swój tekst. Z każdej litery, każdego przecinka, a nawet każdej pauzy biła groza. Warszawa ma się czego obawiać, Warszawa ma się czym interesować, tu fatalizm, tajemnica i sensacja od zawsze są w cenie. Początkowo Dobosz miał pewne obiekcje i zadał nawet pytanie: czy weźmiemy na siebie odpowiedzialność za panikę, która wybuchnie w mieście? Giez odpowiedział wtedy: – To biorę na siebie, panie redaktorze naczelny, panu pozostawiam, o ile pozwoli panu na to sumienie, wzięcie na siebie pełnej odpowiedzialności za panikę i grozę, jaką wywołam w „Ikacu” i „ABC”.

Nigdy wcześniej nie pozwolił sobie na podobny żart, na taką bezpośredniość w rozmowie z szefem, ale teraz znał, że to właściwy moment. Widział bowiem, jak naczelny chłonął jego artykuł, jak mlaskał, jak się cieszył, jak podnosił w górę brwi. Giez znów był wygrany, a teraz zagrał *va banque*. Reakcja Józefa Dobosza przeszła najśmielsze oczekiwania, naczelny zaniósł się od śmiechu, klepał po udach i niemal krzyczał: – Tak, tak, panika w „Ikacu” i „ABC”, panika u konkurencji, psia jej mać!

Potem zrobił coś, o co Edek Giez ani chyba nikt inny w gazecie go nie podejrzewał. Naczelny przedfilował przez redakcyjny pokój, rozdając reporterom i redaktorom próbne numery i drąc się jak gazeciarz: Paaaaaanika w „ABC” i „Ikacu”, paaaaaanikaaaaaaa Konkuuuuuurenci „Eeeeeexpressu Warszawskiegooooo” w trwodze po artykule Edwarda Gza!

Paaaaaanika w „ABC” i „Ikacu”, paaaaaanikaaaaaaa Teraz już nikt nie miał wątpliwości, że po jednym przegrany popołudniu Edward Giez nie tylko wrócił na swoje pozycje, ale i umocnił się na nich tak, że tylko Alicja Pohulanka nie musiała mu zazdrościć.

Mecenas Michał Jur-Muszyński nie musiał nikomu zazdrościć, bo to jemu zazdrozczono. A było czego: sprytu, przebiegłości, mistrzowskiego zonglowania kruczkami prawnymi i na koniec pieniędzy. Dzięki nim był przystojniejszy niż inni, lepiej ubrany, mocniej oddziałujący na kobiety. Wielu mu tego zazdrościło, ale dzisiaj zapewne nikt nie chciałby się z nim zamienić. Żaden z kolegów po fachu nie życzyłby sobie wysiadać teraz z taksówki, która zajechała pod areszt śledczy przy Daniłowiczowskiej. Nikt nie chciałby się spotkać z jego klientami, którzy tam właśnie siedzieli. Siedzieli nie było najlepszym określeniem, oni tak naprawdę leżeli, nie tylko dlatego, że sprytny glina o mało ich nie pozabijał. Także dlatego, że mieli marne

szanse wyjść z tej hecy bez porządnych wyroków, które zepchną ich na długie lata, a może nawet i dziesiątki lat do dalekich od sanatoryjnych warunków pensjonatów we Wronkach lub w Wiśniczu, gdzie najprzedejszą rozrywką była praca w kamieniołomach. To jeszcze byłby pewien luksus, bo najprawdopodobniej trafią jednak na Święty Krzyż, do najcięższego więzienia w całej Polsce.

To zresztą ich problem, do końca nie byli jego klientami, tak naprawdę chronił interesy ich szefa, który domagał się jednego: by w protokołach nie znalazło się nic, co mogłoby go obciążać. Nie byłoby dobrze, gdyby człowiek, którego interesy przynosiły mecenasowi tak piękny dochód, nagle zniknął w więziennej celi albo poszedł na spotkanie z katem Maciejowskim. To właśnie miał im do przekazania, poczynając od zachęty w postaci odsiadkowego, które im oraz ich rodzinom będzie wypłacane, a kończąc na groźbach, z tą najpoważniejszą włącznie: że ktoś zamknie im usta jeszcze przed procesem. Ale to była ostateczność. Trzeba ich było z tego jakoś wyciągnąć, w końcu obiecana gaża była kusząca, a potrzeby żony i kolejnych kochanek kosztowne. Już dawno sprzedał duszę diabłu, więc było mu wszystko jedno, dla kogo pracuje, ważne było, za ile. Nie był jedyny, przecież pismacy, którzy zmyślali niestworzone historie i karmili nimi Warszawę, byli ulepieni z tej samej gliny. On też potrafi składać zmyślne, dobrze na siebie pracujące historyjki.

Ciekawe, o czym myślą więźniowie na spacerunku, zastanawiał się kiedyś aspirant Strasburger. Jakie historie układają sobie w głowach – plan ucieczki czy też może powtarzają to, czego ich wyuczył papuga. Albo myślą o kobietach, bo w każdej sytuacji dobrze się myśli o kobietach. Przede wszystkim jednak wdychają świeże powietrze. Dziś znów o tym pomyślał, o zaduchu w celi, zagrożonej ładowni statku, ciasnej kajucie, o jakimś cuchnącym pomieszczeniu, o wychodku, z którego człowiek wychodzi i od razu wciąga w płuca świeże powietrze. Albo o prosektorium. Jak zwykle po wizycie na Oczki czuł się jak zaczadzony. Tradycyjnie nie miał apetytu i nawet nie chciało mu się palić, miał za to pragnienie. Dotarł Alejami do Dworca Głównego, a tam czekała na niego oaza dla spragnionych wędrowców. Róg Alej i Marszałkowskiej numer sto i bar zawdzięczający numerowi swą nazwę, a lokalizacji klientów o każdej porze dnia i nocy. Zaszedł z przyzwyczajenia, bo wpadało się tu przede wszystkim na szybkie przekąski i jeszcze szybsze kolejki wódki. On jednak nie miał apetytu, a wódczany zapach hamowała perspektywa rozmowy z przełożonym, zamówił więc kawę i szklanekę wody sodowej. Chciał się jakoś pobudzić, poza tym dojrzał już do tego, by zapalić papierosa. Ale do niczego więcej. Na sugestię bufetowego, by coś przekąsić, zrobił taką minę, że ten wolał mu już niczego więcej nie proponować. Łyk kawy i świeże powietrze, które przetoczyły jego płuca na trasie Oczki – róg Alej i Marszałkowskiej, sprawiły, że mógł luźne myśli przelać na papier. Zapalił, zaciągnął się i wyjął z kieszeni kajecik śledczego i ołówkę. Był gotowy, aby punkt po punkcie napisać plan raportu, w którym przekona szefa do swoich racji. Żeby było wygodniej, położył notatnik na gazecie, która spoczywała na twardym blacie. O dziwo, była dzisiejsza, spojrzął na tytuł i poczuł, że zaczyna się w nim gotować. Zanim zaczął czytać artykuł, usłyszał przez otwarte drzwi, jak jego treść reklamują gazeciarze.

Edward Giez lubił jechać rozparty jak lord w dorożce i wsłuchiwać się we wrzask majdaniarzy, którzy wykrzykiwali to, co niedawno wystukał na maszynie.

Peter Kurten znalazł naśladowcęeeeeeee!

Poooooooootwór z Warszawy i jego pińc zbrodni!!!!

Czy stooooolycaaaa się obroni przed tajemniczym Goliatem?!

Czytajcie „Express Popołudniowy”, „Eeeeeeeeeexpresses”!

Po przerwie gazeciarz wziął oddech i ryknął na całe swoje młode gardło: Tylko dziesięć groszy za pełną grozy prawdę, dzieeeeeesieć groszy! Kupujcie „Expreeeeeees”!

Kto dziesiątki pożałuje, ten sensacji nie poczuje!

Kupujcie „Expreeeeeees”!

Kilka słów, w tym imię i nazwisko niemieckiego zbrodniarza oraz ksywka tajemniczego bandyty nazywanego Goliatem, wykrzyczane przez gazeciarzy działały jak magnes i kazały bez wahania wyciągać

z kieszeni i portmonetek dziesięciogroszówki. Peter Kurten rozpałał wyobraźnię, powtórzenie tego, co się działo w Dusseldorfie, plastyczne opisy kilkudziesięciu zbrodni były niczym spotkanie z Nosferatu i jego *Symfonii grozy*. Osiem lat temu święcił triumfy przerażający film o hrabim Orloku, który był obrzydliwym wampirem, teraz przyszedł czas, by ludzie bali się Goliata. Ten tytuł robił wrażenie, ten tytuł to był młot na konkurencję, ale paraliżujący strach budziła dopiero lektura jego artykułu. Raz jeszcze rozpostarł gazetę i patrzył na wielkie czerwone litery.

W czasie gdy Giez delektował się swoim sukcesem, w Urzędzie Śledczym gwiazdą był przodownik Zygmunt Stolarczyk. Zastrzelenie przez niego groźnego recydywisty, który w dodatku porwał się z dwójką współników na jego życie, było prawdziwym świętem.

– Ten skurwysyn nie skrzywdzi już żadnego z nas! – cieszył się Pijanowski.

– A dwaj pozostali zgniją w więzieniu. – Urbański aż klaskał z zadowolenia.

– Mam nadzieję, że trafią tam, gdzie ich miejsce, czyli na Święty Krzyż – przyłączył się Sznuć.

– To poprawi nasze smutne statystyki – zauważył komisarz Przygoda, który lubował się w szczegółach, zestawieniach i liczbach. – Dwa lata temu poległo podczas służby aż dwudziestu funkcjonariuszy, przed rokiem osiemnastu.

Zgromadzeni kiwali głowami, nie było miesiąca, by ktoś nie zginął na służbie. Praca w policji nie była już tak niebezpieczna jak na początku niepodległej Polski, ale nadal zawód gliniarza należał do najniebezpieczniejszych i najbardziej ryzykownych zajęć.

– Mieli przewagę, ale dałeś pan radę – komplementował Stolarczyka Sznuć. – I pięknie to kolega przodownik wymyślił, eliminując herszta jako pierwszego. Było ich trzech, ale ten wart był dwóch pozostałych!

– Faktycznie drobny nie był. Tak żeby go uczciwie opisać, to był jak trzydrzwiowa szafa gdańska z lustrem. – Stolarczyk mówił o starciu z potężnym Morelem ze stoickim spokojem. – Lubię takich – kontynuował, przyglądając się czarnym obwódkom za paznokciami. – Starzeję się i wzrok już nie ten. Jakby sukinsyn był kurduplem, to mógłbym nie trafić. Był największy w tej zasranej, bandyckiej ferajnie, więc wybrałem właśnie jego. Trudno było chybić, a jak raz kulka trafiła go w gardło i z miejsca wyciągnął kopyta. Po prostu taktyka, zmysł praktyczny i trochę szczęścia, moi panowie!

Rozległ się śmiech rozbawionych gliniarzy. Na Stolarczyka zawsze można było liczyć, miał skurczybyk gadane.

– I z tego wszystkiego wystarczył tylko jeden strzał!

Zyga Stolarczyk rozłożył ręce.

– Mierzyłem w kolano, ale, jak już mówiłem, panowie, wzrok nie ten co dawniej. A później... Wiadomo co i jak, przecież nie ja sam dałem sobie ksywkę Sztekker!

Koledzy śmiali się do rozpuku i klepali go po plecach. Nagle wszyscy spoważnieli: do pokoju wszedł naczelnik Urzędu Śledczego podinspektor Antoni Sitkowski. Naczelnik podszedł do Stolarczyka i wyciągnął w jego kierunku rękę, mocno ucisnął przodownikowi dłoń i uśmiechnął się. Wydawało się, że teraz nastąpią gratulacje, ale twarz Sitkowskiego stężała i znów stała się oficjalna.

– Zgłosiłbym pana przodownika do nagrody, ale ten bandyta, któremu przestrześlił pan kolano, odwołał w szpitalu wszystkie swoje zeznania. Powiedział za to, że pan go torturował, a świadek doktor Walenty Jodłowski potwierdził jego wersję. Mamy zatem kłopoty, poważne kłopoty.

Jeszcze parę minut temu wszystko wyglądało dobrze, a teraz totalna kicha...

Mecenas Michał Jur-Muszyński z zadowoleniem opuszczał budynek aresztu śledczego przy Daniłowiczowskiej, chociaż godzinę wcześniej przekraczając jego progi, mocno nadrabiał miną. Obrona kryminalistów, tych najgorszych z najgorszych, nigdy nie była łatwa, ale w tym przypadku karta odwróciła się bardzo szybko, zbawienne okazały się szczegóły policyjnej akcji podane przez oprychów. Zaczęło się od tego, że bardziej przytomny z dwójki opisał sposób, w jaki gliniarz wymuszał na nim zeznania. To jasne,

że teraz linią obrony będzie twierdzenie, że przodownik usłyszał to, co chciał usłyszeć, bo używając przemocy, tak naprawdę dyktował swej ofierze treść zeznania. Wszystko potwierdził rzecz jasna drugi bandzior, który, jak zarządził podczas spotkań ze swoimi klientami, tylko udawał zamroczonego. Jur-Muszyński wyuczył obu treści zeznań i musiał jeszcze postawić kropkę nad i, a było nią zeznanie świadka spoza ferajny i policji, czyli lekarza, który pierwszy przybył na miejsce zdarzenia. Ustalenie, że był to Walenty Jodłowski, zajęło mu pięć minut i parę groszy wydanych na telefony do stacji Pogotowia Ratunkowego przy Lesznie i Hożej. Spotkanie okazało się owocne, bo doktor Jodłowski był idealistą, a hojny datek złożony organizacji działającej na rzecz pomocy medycznej dla najbardziej potrzebujących mieszkańców stolicy utwierdził go w przekonaniu, że adwokat ma szczerą intencję. Jur-Muszyński nie wyprowadzał go z błędu, opowiadając o nieszczęśliwych, zagubionych w odmętach życia ludziach, których na domiar wszystkiego gnębią niekompetentni policjanci sadyści. Doktor co prawda składał ustną skargę u dowódcy patrolu, ale mecenas delikatnie dał mu do zrozumienia, że sprawiedliwości należy szukać, pisząc pismo do komendanta stołecznego. Sam pomógł lekarzowi, który nie do końca wiedział, jak się do tego zabrać, więc efekt musiał być murowany!

Józef Dobosz spodziewał się tego telefonu i był na rozmowę przygotowany. Dzwonił podinspektor Juliusz Jagielski z Komendy Głównej Policji Państwowej. Policjant z miejsca, bez słowa powitania przeszedł do rzeczy: – Ziutek, co wy tam, do jasnej cholery, na tej waszej Marszałkowskiej wyczyniacie?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi, Juliuszu. – Dobosz zgrywał idiotę.

– Ty nie rozumiesz, ty?! – Głos w słuchawce grzmiał przenikliwie jak dzwonek wozu strażackiego. – Czy wiesz, co to znaczy?

– Czy to nie znaczy czasem, że poinformowaliśmy obywateli o grożącym im niebezpieczeństwie?

– Nie odpowiadaj mi pytaniem na pytanie jak żydowski handlarz czy sprytny mecenas, tylko natychmiast mi tu tłumacz, czemuście rozniecili panikę!

– Paniki jeszcze nie ma, jest zainteresowanie – odpowiedział spokojnym głosem Dobosz.

– Skoro tak uważasz i, jak sądzę, mocno się przy tym upierasz, to bezzwłocznie musimy się spotkać, żebym ci wszystko wyjaśnił – wysyczał Jagielski. – Za pół godziny u Bliklego, adres Nowy Świat trzydzieści pięć, chyba że wiesz o spotkaniu na tej samej ulicy, ale pod numerem sześćdziesiątym dziewiątym.

To nie była żadna koleżeńska propozycja, żarty skończyły się na dobre, bo pod sześćdziesiątym dziewiątym mieściła się Komenda Główna Policji Państwowej. Ciąg dalszy nie zapowiadał się ciekawie, ale przecież nie było takiej sytuacji, której Dobosz nie potrafiłby rozegrać na swoją korzyść. Lata pracy w roli reportera, a potem redaktora i naczelnego nauczyły go, jak sobie radzić z groźbami i pogroźkami nie tylko zwykłych zbirów, ale także władzy. Zresztą co to była za władza, to byli nasi, a nie carscy siepacze czy ludzie pruskiego gubernatora. Okazało się jednak, że Dobosz zapomniał, jak twardym graczem jest jego znajomy.

– Uprzedzam tylko, mój drogi, że jeśli zlekceważyłbyś pierwszą propozycję – ciągnął podinspektor Jagielski – a na drugą nie raczyłbyś odpowiedzieć, tłumacząc się, dajmy na to, brakiem czasu, to ja wszystko zorganizuję. Jeden telefon do brygady pościgowej i wiozą cię limuzyną, szybko, dyskretnie i bezapelacyjnie. Doceń, że to byłoby po starej znajomości, bo przecież mógłbym po ciebie posłać zwykłych chłopców w mundurach, którzy narobili by niezłego rabanu. Wiem, o czym myślisz. Tak czy owak, czekaliby twoi reporterzy i fotografowie, a ty zrobiłbyś z tego czołówkę.

W rzeczy samej taka myśl przeszła Doboszowi przez głowę.

– Jeśli tak, to omyliłeś się... Zatrzymano by cię zupełnie gdzie indziej, może w domu, a może na ulicy? W domu nad ranem, to byłoby najlepsze, tak żeby wiedziała cała kamienica. O rozgłos się nie martw, bo dziwnym zbiegiem okoliczności przechodziliby tamtędy chłopcy z „Ikaca” i „ABC”. Gramy dalej w grę, którą zaproponowałeś, czy spotykamy się u Bliklego?

– Spotykamy się – rzucił Dobosz beznamiętnym głosem.

To wszystko, na co go było stać. Skończyło się babci sranie, pomyślał. Za dobrze znał podinspektora Jagielskiego, by nie wiedzieć, że jest rozjuszony. Trzeba go będzie udobruchać, przyjąć opieprz jak uczeń w szkole, obiecać, że to się więcej nie powtórzy, a na koniec odwołać się do wieloletniej znajomości i wspólnie przeżytych bankietów i nocnych wypraw po Warszawie. Naczelnym „Expressu Warszawskiego” zgasił w popielniczce papierosa i pomyślał sobie, że w końcu za to także płaci mu Dom Prasy, głównie jednak premiją go za nakład, a ten może nie być tak wielki, jak by sobie zamarzył. Ostatni tytuł wybił ich w górę, ale najwyraźniej nie dane im będzie go powtórzyć.

Mieli pić dzisiaj za zdrowie Zygi i na zgodę po ich małej awanturze, wyszło jednak, że będzie na smutno. Zamiast triumfu groźba zawieszenia Zygi Stolarczyka i stanowczy opór nadkomisarza Słubicy-Popielskiego, który zaprotestował przeciwko wyciągnięciu jakichkolwiek wniosków z zeznań Kwaśnego. Strasburger i Stolarczyk przyznali, że metody były dość podłe, ale wcale nie najgorsze, za to przesłuchiwany zaprezentował szczerą niczym Dziewica Orleańska. Gdy szef wierzy jakiemuś nawiedzonemu doktorce, a nie gliniarzowi, który nieco docisnął łobuza, to nic, tylko się upić. Nie dość, że nadkomisarz dał wiarę świadectwu lekarza, który doniósł na Zygę, to na dodatek kompletnie nie przejął się opiniami doktora Potockiego.

– Ostatnie słowo i tak należy do sędziego śledczego – pocieszał się Strasburger.

– Być może, ale sędziowie i ich przełożeni też czytają gazety. – Zyga jak nikt potrafił znaleźć dziurę w całym.

– Myślisz, że uwierzą w te bzdury?

– Ważne, że uwierzą w nie ludzie, że zrobi się pierw sensacja, a później panika, a wtedy zacznie się szopka z politykami i urzędnikami.

– Sędziowie są niezależni! – wybuchnął Strasburger.

– I nietykalni, dlatego w łeb zawsze biorą policjanci – uciął Stolarczyk.

– Na razie zajmują się polityką – zaczął z nadzieją w głosie aspirant, ale natychmiast sam sobie dopowiedział – tyle że za chwilę temat się skończy, znajdą nowy i narobią rabanu.

– Zatem sam widzisz: smutek wielki i szelki – orzekł przodownik z filozoficznym wyrazem twarzy. – Nic, tylko się upić.

– No to trzeba to zrobić dla zdrowia i higieny, pijemy czy się tylko sobie przyglądamy?

– Niekoniecznie pijemy, bo ostatnio to mnie od picia krew z nosa leci... – Przodownik się skrzywił.

– Byłeś u lekarza? – zaniepokoił się nie na żarty Strasburger.

– Konował nic nie pomoże. – Stolarczyk uśmiechnął się szeroko. – Bo widzisz, kochany, ja mam cholerycznie nerwową żonę. Jadwiga zapowiedziała, że następnym razem wyjedzie mi w japę, a mnie przecież jeszcze nie zesła opuchlizna po tej drace na Kamiennych.

– No to zwijamy się – powiedział smętnie Strasburger.

– Zwijamy się – przytaknął Stolarczyk – ale po rozchodniaczkę. Panie starszy! – zawołał na kelnera. – Daj pan dwie angelki wódki!

– Za co będziemy pić? Jesteś starszy wiekiem, to powinieneś wiedzieć – zażartował aspirant.

– Za to, żeby temu pajacowi z „Expressu” łapy sparszywiały! – zdecydował Zyga. – Może wtedy przestanie wypisywać te cholerne bzdury.

Mężczyzna przechylił kieliszek wódki, chuchnął i raz jeszcze spojrzął na leżącą obok butelki gazetę. Nie było sensu czytać jej po raz kolejny, to, co najważniejsze w piątkowym numerze, znał już niemal na pamięć. A więc oni już wszystko wiedzą, no, może poskładali sobie wszystko do kupy i zasiali panikę w mieście. Warszawa była w pogotowiu, czekali na kolejną zbrodnię, szukano nowego Kurtena, bano się ciągu dalszego alfons-pogromu. Niech się boją, wtedy, w 1905 też sytuacja wymknęła się spod kontroli. Prowokatorzy podsycili słuszny gniew, bo ochrona liczyła na solidny pogrom, taki pogrom jak te z Ukrainy,

gdzie goje mordowali Żydów. Dlatego żandarmeria, policja i wojsko, wszystkie te mundurowe ścierwa, ulotniły się jak kamfora. Zapraszały wręcz Polaków do porachunków, ale nic z tego, robotnicy rządili miastem i do niczego takiego nie doszło. To była żydowska sprawa i goje się w to nie mieszały, więc zamiast zwykłego pogromu, który kierował niezadowolenie gojów na Żydów, była masakra popleczników ochrony, policji i żandarmerii. Wojsko też na tym nie skorzystało, urzędnicy także, bo to oni byli główną klientelą najlepszych burdeli. Przeliczyli się, o, jakże się wtedy przeliczyli! Dobrze mu się wspominało tamte chwile, aż z drugiego pokoju usłyszał słaby jęk, podniósł się więc i poszedł tam szybkim krokiem.

ROZDZIAŁ V

w którym aspirant Strasburger i przodownik Stolarczyk mają huśtawkę nastrojów, sprawa staje się międzynarodowa, a policja państwowa dorabia się prawdziwego bohatera.

Trzeba oddzielić jedno od drugiego. Bo dziwkami można gardzić, trzeba nimi rządzić, a jak im się nabiera i sobie na to zasłużą, to i stłuc. Czasem, jak trzeba, zatłuc na śmierć. Przede wszystkim jednak dziwka powinna dawać przyjemność, dogadzać. A ta mu nie dogodziła. Nie dogodziła, tak jak kilka przed nią, ale tamte się starały, coś próbowały, a ta? Ta słonica była tak pijana, że usnęła. Słyszał, że to jej się zdarzało, ale nie wierzył. Leniwa dziwka ocknęła się, gdy ją strzelił w policzek, i zapijaczonym głosem spytała: kiedy ci w końcu stanie? Zaśmiała się, a w zasadzie zarzęziła, wydobywając z siebie odór alkoholu. Sam był podпиты, ale to było aż nadto. Ich matek niczego nie nauczył alfons-pogrom, a ich nie nauczyło to, co spotyka je ostatnio. Mają być ochocze i grzeczne, bo jak nie... Trzeba je tresować i karcić, zatem sieknął ją na odlew, bo jej się należało. Jak raz głowę miała lekko uniesioną, a rant łóżka był metalowy... Pościel zalała się krwią, a dziwka bez tchu padła na łóżku. Szarpnął ją raz i drugi, a ta nic. Głowa zwisała z łóżka na bok. Jak mogła to zrobić, jak śmiała, głupia kurwa! Dostał szału, rzucił się na nią...

Warszawa, wtorek 16 września 1930

Panowie wykładowcy Głównej Szkoły Policji Państwowej podinspektor Piątkiewicz, nadkomisarz doktor Lax oraz komisarz Jakubiec, którzy napisali dwa lata temu najnowszy podręcznik dla śledczych, podkreślali, i to już od pierwszego punktu, że skuteczność Urzędu Śledczego zależy od sprawnej służby łączności. Koń by się uśmieł! Gdyby nie wiedział, że cała trójka urzędowała w budynku przy Ciepłej, toby pomyślał, że to jakieś zagraniczniki wykładające we francuskiej albo angielskiej szkole policyjnej. Tam normą jest nie tylko telefon na posterunku, ale także w ulicznych policyjnych budkach i, ma się rozumieć, w mieszkaniach oficerów i podoficerów. W Warszawie dobrze, jak oficer miał porządne mieszkanie z wygodami, a telefon... Telefon był marzeniem ściętej głowy, więc często aparat telefoniczny, centralę i drut zastępowali mundurowi gońcy. Chwała Bogu, że były telefony w komisariatach, za to obiecanych dawno temu skrzynek z aparatami policyjnymi jak nie było, tak nie ma. Łączność telefoniczna urywała się na komisariatach, więc na koniec wszystko było w nogach policyjnego posłańca, którego wysyłano do śledczego mieszkającego najbliżej komisariatu i miejsca zbrodni.

Najlepiej więc było mieszkać gdzieś daleko, by nie traktowali człowieka jak jednoosobowe pogotowie i nie budzili w środku nocy lub co gorsza nad ranem. Mieszkać daleko i jednocześnie na tyle blisko, by nie tracić czasu na codzienne dojazdy oraz żeby zgodę na taki meldunek wydał szef jednostki. Zasadą było, że śledczy mieszkali w granicach Warszawy, a na mieszkanie pod miastem musieli dać zgodę szefowie. Pewnie dostałby ją, gdyby się pobudował w którejś z miejscowości leżącej wzdłuż linii ciuchci lub ekadki[32]. Pięknie byłoby mieszkać w Podkowie Leśnej albo tam gdzie ma działkę Zyga. Oczywiście wtedy, gdy skończą dłużyć przy tunelu średnicowym i pociąg będzie dojeżdżał na Marszałkowską. Za parę lat tak się stanie i wtedy ten cały Kaczy Dół zrobi się atrakcyjny.

Jednak przy jego farcie od razu zaczęliby w okolicy mordować, pruć kasy albo napadać na pociągi. Takie miał zakichane szczęście, przynajmniej przez ostatnich parę lat, gdy w jego stronach cały czas się coś działo. Jak zamordowano kogoś na Starym Mieście albo w okolicach Nalewek, to właśnie on miał najbliżej, więc dyżurni z komisariatów przy Karmelickiej, Niskiej i Daniłowiczowskiej, dzwoniąc do Urzędu Śledczego, wysyłali jednocześnie posterunkowego na Długą. Tym razem pobudka była nawet mało

uciążliwa i przy okazji pożyteczna. Posterunkowy zjawił się ledwie półgodziny przed dzwonkiem budzika, a że ojciec był już na nogach, to Strasburger nie musiał lecieć do drzwi w samych gaciach. Stary majster wpuścił posterunkowego do środka, a po pięciu minutach aspirant wyszedł do mundurowego umyty, uczesany i ubrany, jak należy.

Kornel Strasburger pstryknął do ronda kapelusza, odpowiadając na salut wyciągniętego jak struna młodego posterunkowego.

– Dokąd idziemy? – rzucił na dzień dobry.

– Melduję, że na Niską niedaleko Dzikiej, prawie jak do nas do komisariatu.

– Co się tam stało?

– Dubeltowe morderstwo.

– Znowu...

– Znowu prostytutka, panie aspirancie, nazywa się Berta Preiss.

– I znowu alfons czy może tym razem klient?

– Nie, panie aspirancie, to jeden z naszych. – Młody posterunkowy, mówiąc te słowa, był jakby skrępowany.

– Kto, do cholery?

– Policjant z naszego komisariatu, starszy przodownik Konrad Spychalski.

– Starszy, z wąsikami, ostry służbista?

– Właśnie ten.

Wyszli na ulicę i ruszyli do placu Krasińskich. Na piechotę szło się mniej niż dwadzieścia minut, a to był dobry czas, by zacząć dzień od jednego albo dwóch papierosów. Aspirant wyciągnął z kieszeni pudełko z nilami, otworzył i skrzywił się, bo na dzień spoczywało ledwie pięć papierosów. Słabo. Słabo i drogo. Nie może jednej czwartej pensji wydawać na fajki, trzeba albo ograniczyć, albo wręcz rzucić palenie, a może po prostu przerzucić się na tańsze papierosy. Na razie jeszcze ma parę sztuk, więc będzie decydował, co i jak, gdy zapas stopnieje do końca. Wyciągnął papierosa i wsadził go sobie do ust, nim jednak zapalił, westchnął w myślach: ech, najgorzej, jak człowiek nie jest chytry.

Bo nie był chytry i z miejsca pomyślał o młodym policjancie.

– Zapalisz? – zapytał chłopaka w mundurze, podsuwając mu pod nos pudełko z nilami.

Było to niezgodne z regulaminem, ale aspirant Strasburger uważał, że skoro sprawna łączność była tylko teorią, to za teorię można uznać także przepisy regulaminu dotyczące kontaktów policjantów podczas służby. W myśl regulaminu ich rozmowy miały się dotyczyć wyłącznie służby, żadne tam sprawy osobiste ani pogaduszki nie wchodziły w grę.

– Nie palę – stanowczym głosem odpowiedział młody policjant, który nawet nie popatrzył w stronę podsuwanych mu pod nos papierosów.

– Farciarz z ciebie, to zgubny nałóg. – Aspirant pomyślał z ulgą, że w ten sposób oszczędził papierosa.

– Nie palę na służbie – wyjaśnił młokos w mundurze.

Te słowa były dla Strasburgera jak wyzwanie.

– Ze mną palisz, nie będę przecież palił sam tylko dlatego, że masz się trzymać regulaminu.

Chłopak nie dał się dwa razy prosić i sięgnął po papierosa.

– Nile – powiedział z podziwem i uśmiechnął się szeroko. – Dziękuję bardzo, panie aspirancie, mnie nie stać na takie dobre papierosy!

Mnie też, chciał powiedzieć Strasburger, ale tylko tak sobie pomyślał i machnął po wielkopańsku ręką, tak jakby był milionerem, który potrafi ściąć z dymem sporą część swoich zarobków.

– Jaksię nazywasz?

– Melduję, panie aspirancie, że jestem posterunkowy Wincenty Rybski. – Młody policjant wyprężył się w marszu, jakby szedł obok Marszałka albo przynajmniej Generalnego Inspektora Policji Państwowej. – Przedstawiałem się, panie aspirancie – dodał, jakby tłumaczył się z jakiegoś grzechu.

– Tak, tak – aspirant machnął ręką – pamiętam, że się przedstawiałeś, ale ja jeszcze spałem. Teraz zapamiętam. Posterunkowy Rybski! Zapaliłem papierosa, zażyłem rzeńskiego powietrza, więc głowa pracuje już jak trzeba.

Gdyby to było parę dni temu, to potrzebna byłaby jeszcze mocna kawa i kolejny papieros. Zapijali wtedy porażkę Zygi Stolarczyka, który przez lekarza Walentego Jodłowskiego i bandytów z Kamiennych Schodków został oskarżony o brutalne wydobywanie zeznań. Jeszcze trochę i ten parszywiec Jur-Muszyński gotów by był wszczynać sprawę o napaść przodownika Stolarczyka na trzech spokojnych obywateli, zastrzelenie jednego z nich, ogłuszenie drugiego i uczynienie trzeciego z tych aniołów kaleką. Kto wie, może ten bezczelny typek tak zrobi, bo po tej gadzinie w drogim garniturze i z lśniąca teczką wartą tyle, ile wyjściowe ubranie całkiem zasobnego warszawiaka, można się było spodziewać wszystkiego. To był człowiek zdolny do bronienia Judasza, posła Sicińskiego albo samego diabła, jeśli oczywiście każdy z nich byłby odpowiednio zaopatrzony w gotówkę. Kogo nie przyjmie święta ziemia, tego i tak przyjmie w swojej kancelarii Jur-Muszyński, to tylko kwestia pieniędzy. Mecenas był typem bezwzględny, znany był przypadek wdowy, którą odesłał z kwitkiem, bo jej sprawa przeciwko nieuczciwemu pracodawcy kompletnie go nie interesowała jako zbyt mało dochodowa. Tymczasem często bronił niewypłacalnych łachudrów, tłumacząc się walką o uczciwy wyrok dla biednego obywatela. Nikt nie miał wątpliwości, że te wielkoduszne gesty miały swoje drugie dno, bo delikwenci płacili grosze, ale ich szefowie przekazywali mecenasowi pod stołem piękną gotówkę. Próbowano go na tym złapać, ale jak złapać kogoś, kto potrafi wywieźć przez zaufanych ludzi pieniądze z kraju, a następnie ulokować je w szwajcarskich bankach? Gdyby można było założyć mu obserwację... Ale tego nie dało się zrobić, zwłaszcza teraz, gdy Zyga zaliczył wpadkę. W tej sytuacji taka inicjatywa groziłaby konsekwencjami poważniejszymi niż zwykle.

– Panie aspirancie! – Głos młodego mundurowego wkroczył w jego myśli.

– Słucham.

– Za niedługo tam będziemy, panie aspirancie...

– Tak, to już parę minut, jesteśmy już na placu Muranowskim.

Z początku zlekceważył ten prosty i dość oczywisty komunikat, niemal każdy odczytałby go jako zwykłą informację. Ale Kornel Strasburger nie był każdym, tylko śledczym, który potrafił czytać między wierszami. To „za niedługo” to nie był zwykły komunikat, lecz wstęp do czegoś poważniejszego. To, co powiedział młody mundurowy, tworzyło całość z intonacją i jego wyrazem twarzy, chłopak dawał mu do zrozumienia, że mają mało czasu. Mało czasu na co? – zastanowił się śledczy. Wydawało mu się, że chłopak duma nad jakąś decyzją, tak jakby zastanawiał się, czy skoczyć w toń, czy też pozostać na brzegu. Kornel Strasburger wyczuł, że posterunkowy Wincenty Rybski chce mu coś powiedzieć, ale nie jest ostatecznie zdecydowany, waha się. Trzeba było działać. Łagodnie i rozważnie. Strasburger zwolnił i po bratersku położył Rybskiemu rękę na ramieniu.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – zapytał najłagodniej, jak tylko mógł, starając się nie wywierać na rozmówcy choćby cienia presji.

Posterunkowy jakby żałował, że podjął złą decyzję, jakby się przestraszył odpowiedzialności i chciał cofnąć ryzykowny krok.

– Pogadajmy nieoficjalnie, tak po prostu... O co chodzi, czy dzieje się coś, czego nie ma i nie będzie w raportach? Coś, o czym się nie mówi w służbowych rozmowach?

Mundurowy dalej milczał, wciąż nie był pewien, czy powinien.

Strasburger wiedział, że temat rozmowy może być tylko jeden, zdziwiłby się, gdyby było inaczej, zagrał więc w otwarte karty. Westchnął ciężko, jakby sam żałował, że porusza drażliwy, trudny temat, i przemówił: – Nie mówi się źle o zmarłych, nie mówi się źle o kolegach, ale to było morderstwo, a ty jesteś policjantem. Wiem, że każdy ma kolegów i że ty masz ich na razie mniej od przodownika Spsychalskiego...

Mundurowy ze smutną miną pokiwał głową.

– Fakt, nie mam jeszcze znajomości, żadnych przyjaźni. Jest na to za wcześnie, ale upływający czas chyba niewiele zmieni. Zwykle po dwóch miesiącach ma się choćby jednego kolegę...

Rybski uśmiechnął się, jakby lizał cytrynę.

– Trudno będzie o znajomość wykraczającą poza stosunki służbowe. Nie sądzę, bym znalazł w tym komisariacie kolegów, ale on też nie miał ich wcale aż tak wielu, zaryzykuję, że nie miał żadnego.

– Ostry był, to słyszałem.

– Nie tylko dla nas.

– Dla dziwek też?

– Tak mówiono, dowcipkowano coś na ten temat.

– Lubił wypić?

– Zdarzało się.

– Rodzina?

– Współczuli jej.

Strasburger zaciągnął się papierosem i wypuszczając dym, podsumował: – Po śmierci zawsze się współczuje, tak wypada.

– Jej współczuli, jeszcze gdy żył.

– Co jeszcze wiesz?

– Niewiele, niedawno zacząłem służbę, to ledwie dwa miesiące...

Chłopak zawiesił głos, aspirant nie chciał go jednak poganiać. Doświadczenie podpowiadało mu, że lepiej cierpliwie poczekać. Przeszli parę kroków, ale młody posterunkowy dalej milczał, Strasburger postanowił więc, że nieco mu pomoże.

– Pamiętam ten czas, pierwsze dni w policji, ten entuzjazm, wielkie nadzieje... – zaczął aspirant. – Potem się okazało, że nie wszystko jest tak, jak to sobie wyobrażałem, ale przecież nic nie jest idealne.

– Nie wszystko... – odpowiedział, a w zasadzie prychnął jak młody kot posterunkowy Rybski. – Już podczas szkolenia wiedziałem, że idealnie nie będzie, ale paru spraw sobie nie wyobrażałem.

Wydawało się, że polecą lawina słów, ale młody policjant znów się zaciął. I tym razem aspirant dał mu czas, po czym postanowił sprowokować go do mówienia swoim własnym wyznaniem.

– I ja sobie nie wyobrażałem, że można tak daleko odchodzić od regulaminów, ale w końcu są one po to, by je omijać. Przyzwyczaiałem się do tego z czasem, ale nie pogodziłem się z nadużywaniem władzy. Padłem kiedyś ofiarą nieprzychylnego mi przełożonego, który stale robił wbrew i dokuczał, ale jakoś to przeżyłem i teraz jako oficer walczę z takimi sytuacjami. Zmarły nadużywał swojej pozycji służbowej?

– Lubił to robić.

– Także poza komisariatem?

– Zwłaszcza poza. Tak mówiono, ale szczegółów nie znam. Panowało milczenie i nadal tak będzie. Wie pan, jak to jest. Solidarność zawodowa, lekarze nie kapują na lekarzy, mecenas na mecenasów, a policjanci na policjantów. Nikt nie powie, nikt się nie przyzna, że wiedział o różnych sprawkach Spsychalskiego, tym bardziej że niektórzy mieli z nim dobrze.

Strasburger uznał, że chłopak przeszedł już przez swój Rubikon i można wypalić z grubej rury.

– Czy on był stręczycielem?

– Raczej nie, ale czerpał z tego korzyści. Głowy nie dam, ale jeśli dziwki mu nie płaciły, to na pewno musiały mu się jakoś odwdzięczać. To wszystko przypuszczenia oparte na plotkach i strzępkach rozmów.

– Oraz na własnym doświadczeniu?

– Tak. To nie był dobry człowiek ani dobry policjant. Nie zginął w przypadkowym miejscu i nie zginął zwyczajnie.

– Jak go zabito?

– Wiem tylko, że w mieszkaniu prostytutki Berty Preiss. Na miejscu jeszcze nie byłem, ale starszy posterunkowy z patrolu, który to oglądał, był zielony na twarzy i tylko kręcił głową. Zatkąło go to, co widział, a to nie jest jakiś delikates.

Ich czas się skończył, byli już blisko miejsca zbrodni. Weszli w ulicę Niską, gdzie niemal wszystko było małe i ciasne. Większość budynków nie wychodziła ponad wysokość pierwszego piętra, sklepiki i knajpy były jakby pokurczone, o wiele mniejsze niż te na placu Muranowskim. Zabudowania na Niskiej i sąsiedniej Muranowskiej były o wiele mniejsze niż na okolicznych ulicach, nawet Miła i Stawki wyglądały przy nich jak starsze rodzeństwo. Niska miała podłą opinię, a biedni albo bardzo biedni mieszkańcy gnieździłi się w małych klitkach, które jak ulał pasowały do mikroskopijnych szynków, sklepików i warsztatików. Strasburger z Rybskim weszli do bramy, przed którą mimo wczesnej pory gromadził się tłumek gapiów. Jak to w tej okolicy, jedynymi chrześcijanami byli policjanci i ekipa z pogotowia, która próbowała przepchnąć się do środka. Wbiegli po schodach na stryszek, idący przed nimi sanitariusz minął stojącego w drzwiach posterunkowego, wszedł, stanął jak wryty i strasznym głosem wyjął: – O kurwa, o cholera, Jezu Chryste...

Strasburger wszedł za nim i zobaczył coś, czego nie spodziewał się ujrzeć nawet w najgorszych snach. Z belki zwisały powieszony za nogi zwłoki w policyjnych spodniach. Obnażony tors i twarz ociekały krwią, ale najgorszy był widok głowy, która zwisała jak u szmacianej lalki. Aspirant nie był wielkim specjalistą w zakresie ortopedii, ale nawet dziecko powiedziało, że powieszony u powały człowiek miał złamany kark. Widział już takie rzeczy przy wypadkach drogowych, widział na wojnie, ale nigdy na miejscu zabójstwa. Ktoś, kto to zrobił, musiał być siłaczem.

Z kieszeni trupa wisiał wielki jak busola pozłacany zegarek. Łańcuszek był gruby i złoty, przyczepiony do kieszeni solidną agrafką. Wart był parę groszy, ale mimo to został przy zmarłym. Wyglądało to wszystko groteskowo, bo łańcuszek był tak długi, a cebula tak wielka, że wisząc, zasłaniała trupowi usta.

– Mój Boże, cholera, jak w rzeźni, kurwa, co to jest? – wyszeptał sanitariusz.

– Dużo widziałem, ale to... – dołączył się doktor.

– Nie ma tu chyba dla panów wiele roboty, proszę stwierdzić zgon i nie zostawić śladów. Aspirant Kornel Strasburger z Urzędu Śledczego – przedstawił się medykom.

– Za łóżkiem leży ten drugi trup – powiedział posterunkowy pilnujący drzwi.

Strasburger zajrzał, nie spodziewając się, że coś go jeszcze zaskoczy, a jednak! Berta Preiss nie była zwykłą prostytutką, była bowiem monstrualnych rozmiarów. Nie służył w Brygadzie Sanitarno-Obyczajowej, ale w życiu i w pracy naoglądał się trochę pańienek. Takiej jak ta jeszcze nie spotkał! Ogromne ciało skąpane było we krwi, która wylała się z rozbitej głowy i z ran na całym ciele.

Podobnie jak zamordowany policjant i ona była skatowana jakimś dziwnym narzędziem. Nigdy przedtem nie widział takiej kobiety, nigdy nie widział takiej zbrodni. Powieszony za nogi, zmasakrowany policjant i prostytutka, także zmalretowana i do tego wyglądająca jak wyrzucony na brzeg wieloryb. Co tu się wydarzyło, co to za nadzwyczajna historia? W mieszkaniu przy Niskiej dokonano szczególnie zuchwałego mordu nie tylko na kobiecie lekkich obyczajów, ale i na funkcjonariuszu Policji Państwowej. Tak, oto sensacja, która tylko lekko przyfastrygowana będzie się trzymała całej wcześniejszej reszty tak

mocno, jakby ją przyszyto dratwą i potraktowano przy okazji szewskim klejem.

Musiał zacząć od ustalenia, jak to możliwe, że to, co się wydarzyło tu na stryszku, nie postawiło na nogi tego domu i sąsiednich? Nie mieszkali tu wyłącznie szemrani, a przecież nawet oni wtrącają się w takie sprawy. Krzyk musiał być straszny, bito ich okrutnie, chyba że tłuczono ich, gdy byli nieprzytomni, ale to już działka doktora. Oby trafił na Józefa Potockiego, bo to był fachura i dobrze mu się z nim współpracowało. Rozejrzał się jeszcze, ale jednego był pewien: morderców musiało być co najmniej dwóch. Powieszenie na belce postawnego mężczyzny, jakim był przodownik, wymagało ogromnej, nadludzkiej niemal siły i niezwykajnego wzrostu. Nikt w pojedynkę by temu nie sprostał, chyba że ten Goliat nie był legendą. Skoro mówił o nim Zyga, to chyba ten potwór w ludzkiej skórze istniał naprawdę. Aspirant wyszedł z mieszkania i zaczął rozpytywać mieszkańców o zamordowaną dziwkę, która wyglądała jak słoń albo wieloryb, o gliniarza i o olbrzyma. Czuł się teraz tak, jakby prowadził dochodzenie w cyrku albo w gabinecie osobliwości. Wyszedł przed budynek, pałac papierosa, tłumek się powiększył, a w jego pierwszych rzędach stali mali żydowscy apasze. Tacy dużo wiedzą, ale mało mówią.

– Wiecie, kogo zabito? – zapytał.

– Zabili pszodownik Szpychalski z komisariatu na ulica Nizka – rzucił któryś z gagatków.

– Czy ktoś go mógł zabić przez omyłkę?

Przez tłumek przeszedł szmer delikatnie zabarwiony melodiami śmiechu i zdziwienia.

– Nu, jego każdy znał – śpiewnie odpowiedział ktoś z tłumu.

– Aj waj, panie policjant – zaśpiewał inny głos – nu każdy wie, kto to jest!

– Każdy tu by poznał po jego wielki wąs... – wyjaśnił żydowski wyrostek stojący w pierwszym rzędzie.

– Nu i po ta wspaniała cebula, aj waj, jak on lubiał sprawdzać czas – dodał inny.

Kornel Strasburger przypomniał sobie krwawą miazgę. W istocie, ta krwawa maska miała wąsiska, wielkie jak z sarmackiego portretu i nieregulaminowe jak złoty łańcuszek od cebuli, który wisiał z mundurowych spodni denata.

– A kto go mógł zabić?

Na tę odpowiedź nie było chętnych. Wyczuł, że oficjalnie nikt nic nie powie, że nawet po śmierci osoba przodownika Konrada Spychalskiego budziła strach. To, co powiedział wcześniej młody policjant, reakcje ludzi i sposób, w jaki popełniono morderstwo, kazały się zastanowić, kim był ekscentryk z komisariatu na Niskiej. Sarmata ze złotym zegarkiem, którego nie tknęli bandyci, musiał zabrać ze sobą na tamten świat parę tajemnic. Czemu go nie lubiano, czemu się go bano, co dokładnie łączyło go z dziwkami, dlaczego bandyci nie zabrali mu cebuli? Czy dlatego, że mieli mało czasu, czy też dlatego, że każdy na Murdzielu rozpoznałby charakterystyczny zegarek? Czy ścigał morderców lub mordercę tej nieszczęsnej dziwki, czy też przypadkiem wszedł im w drogę? Strasburger coraz bardziej był przekonany, że to sprawa dla Wydziału III Komendy Głównej, wydziału, który zajmował się sprawami personalno-dyscyplinarnymi.

Tak czy owak musiał robić swoje, zaczął od przesłuchania właścicieli domu, sąsiadów oraz ciecia. Dwie godziny stracone na opowiadanie o dupie Maryni. Wszyscy głusi, ślepi, dotknięci sklerozą, alfonsi, dziwki i złodzieje, czyli lokatorzy, którzy wiedzą, jak mówić z policją, by jej prawie nic nie powiedzieć, by gadać dużo, ale nie dać ani krzty informacji. Jeden nie powiedział nic, bo go nie było w domu. Właścicielka tego bałaganu Rachela Gutman była typową „ciocią”, starą zdzirą, która po zakończeniu kariery zajęła się sutenerstwem połączonym z wynajmowaniem pokoi. Zwykle takie ciocie miały po kilka panienek, ale Rachela Gutman zadowalała się tą jedną. „Opieka” nad Słonicą z pewnością przynosiła jej dobre dochody, a prawdopodobnie dorabiała także na paserstwie i wynajmowaniu drugiego pokoju szemranym. Strasburger koniecznie chciał przesłuchać sąsiada zamordowanej, ale ciocia Gutman usilnie przekonywała go, że w pokoju obok nikt nie urzęduje, jest pusty i czeka na najemcę. Uparł się jednak i postanowił zajrzeć do środka. Pomieszczenie faktycznie było puste, ale pościel w ogromnym łóżku wyglądała na używaną, a ślady podeszew wskazywały, że lokatorem musiał być wielkolud.

- Kto tu mieszkał? – zapytał.
- Nikt.
- Ktoś tu mieszkał i raczej wczoraj niż parę miesięcy temu.
- Nikt tu nie mieszkał – Rachela Gutman łgała w żywe oczy. Jej świńskie oczka w tłustej twarzy biegały w panice.
- Idziesz w zaparte – uznał, że koniec z wersalem – więc wylądujesz w areszcie.
- Nieraz siedziałam za niewinność-odpowiedziała, jakby recytowała wyuczoną, przygotowaną formułkę. To był koniec negocjacji, jak przyjdzie sędzia śledczy, to z miejsca aresztuje ją za mataczenie.

Bez dwóch zdań właścicielkę przybytku, w którym popełniono zbrodnię i w którym mieszkał tajemniczy olbrzym, czekała odsiadka. Jak długa, to zależało nie tylko od sędziego, ale i jej sądowej przeszłości. Parę lat za milczenie to wysoka cena, tu jednak wychodziło na to, że było to parę lat w zamian za życie, a to już nie był wygórowany koszt. Olbrzym budzący grozę, olbrzym mieszkający obok miejsca zbrodni, olbrzym, który skrzyknął kark Spychalskiemu, olbrzym, który potem powiesił pod sufitem postawnego gościa... Goliat? Czy to znaczy, że on istnieje, że Zyga i inni nie karmili go legendą? Jak to możliwe, żeby kryminalista poszukiwany listem gończym jeszcze za cara, człowiek, którego sylwetka rzuca się w oczy jak latarnia morska w nocnych ciemnościach, żył sobie gdzieś na Murdzielu? Aspirant pobiegł do pokoju, w którym popełniono zbrodnię, tam była już ekipa z Ciepłej. Zamiast się przywitać, na czworakach zaczął oglądać podłogę. Przypatrywał się jej dokładnie, przez lupę badał centymetr po centymetrze. Wtem zobaczył coś, czego wcześniej nie dostrzegł: odcisk stopy obutej w but rozmiaru czternaście albo i więcej. Olbrzym, prawdziwy olbrzym.

- Serwus, panie aspirancie, czego pan szuka? – usłyszał na dzień dobry.
- Zadarł głowę. W wejściu stał Aleksander Połec z laboratorium przy Ciepłej.
- Śladów podeszew, panie Olku.
- Takich, jakby słoń kupił kamasze? – zaśmiał się policyjny technik.
- Macie takie?
- Mamy! Łatwo będzie dopasować do kartoteki, numer koniec tabeli plus!
- A więc to on. Strasburger podniósł się, bo to, czego szukał, zostało znalezione.
- A odciski palców?
- Całe mnóstwo, nie dbał o to, ale mając takie stopy, uznał widocznie, że nie ma się już z czym kryć. Palce nie musiałyby nawet mieć linii papilarnych, wystarczy rozmiar, jakiego nie spotkasz u żadnego rękawicznika.

Gdzie jest Zyga? – pomyślał Strasburger. Sam był tu już dwie godziny, może trzy, a przodownik jeszcze nie dotarł, tymczasem roboty jest na dwóch. Chcąc nie chcąc, wyciągnął notes i zaczął szkicować plan dla sędziego śledczego. Nie lubił tego robić, wolał nawet nie zastanawiać się, o ile szybciej i dokładniej zrobiłby to Stolarczyk. Już kończył, kiedy poczuł, że ktoś podchodzi do niego od tyłu. Nim się odwrócił, usłyszał: – Panie aspirancie, przodownik Sławomir Kotlas melduje się na rozkaz!

- Dzień dobry, a co pan tu robisz?
- Choć bardzo się starał, żeby zabrzmiało to normalnie, Kotlas musiał wyczuć, że Strasburger jest rozczarowany.
- Melduję, panie aspirancie, że przodownik Stolarczyk jest na urlopie!
- W pierwszej chwili zdziwił się, przecież Zyga nic nie mówił, że wybiera się na urlop, czyżby jakaś sprawa rodzinna? Od razu jednak pojął, o co chodzi, i miejsce zdziwienia zajęła złość.
- Co?! – ryknął, po czym usłyszał odpowiedź, której się spodziewał, ale której słyszeć nie chciał.
- Przodownik Zygmunt Stolarczyk został odsunięty od śledztw i urlopowany po tym donosie, że niby

pobił bandziora.

Kornel Strasburger pokiwał głową i nagle poczuł, że traci zainteresowanie śledztwem, bardziej myślał o kłopotach Zygi i o tym, że jeśli jest jakaś seria, to będzie to seria nierozwiązanych przez nich spraw. Musiał zapalić, ochłoniąć, dojść do siebie, ale wcześniej powinien jakoś zagospodarować chłopaka, który, jak miał nadzieję, chwilowo tylko zastępował Zyge.

– Obejrzyj sobie miejsce zbrodni, tylko nie potrąć kolegi policjanta, który dynda, ani nie rozdepcz kolegi z Ciepłej, który zbiera ślady.

– Czemu on wciąż wisi?

– Bo fotografowi zepsuł się aparat i pojechał po drugi. Gdyby to trafiło na sędziego śledczego Pędzicha, to dostałby apopleksji.

– Fakt, Patefon by nie wytrzymał. – Sławomir Kotlas nieregulaminowo parsknął śmiechem, wykazując całkowity brak szacunku dla osoby sędziego Franciszka Pędzicha. Wiedział jednak, że ze Strasburgerem nie takie numery przechodziły.

– Tylko nie przeocz damy, która już nie zabawi żadnego klienta.

– O właśnie, gdzie ona jest? – zainteresował się Kotlas.

– Wejdz głębiej.

Przodownik Kotlas wszedł do drugiej części pomieszczenia i aż jęknął.

– Ożeż... Trzech takich jak ja by się w niej zgubiło!

Przodownik obszedł zwłoki prostytutki i nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Jedno okrążenie tego okazu to jak zrobienie rundy na Polu Mokotowskim.

– Podobnież dwóch klientów mogło ją obrabiać, a i tak na siebie nie wpadli – zaśmiał się technik Połec.

– Wychodzę zapalić, zaraz wrócę i powiem, co i jak, a skoro pan przodownik zapoznał się z tym bałaganem, to może spokojnie skończyć za mnie szkic – zaordynował Strasburger i opuścił mieszkanie.

Kotlas przyjął słowa aspiranta ze zrozumieniem, ale do stołu, na którym leżały notes i ołówek, zasiadł niechętnie. On też nie lubił szkicować i on także uważał, że nikt nie robi tego lepiej niż przodownik Zygmunt Stolarczyk.

Edward Giez siedział w redakcji i bawił się notesem. W sumie nie wiadomo po co przyszedł, ot tak, dla świętego spokoju. Swoje sprawozdania-powiastrki mógł przerabiać w domu. Był wściekły, że Dobosz nałożył wewnętrzną cenzurę, co odbiło się z miejsca na nakładzie. Naczelnny nie zrobił tego dla swojego widzimisię, nacisnęła go policja i to mocno. Wychodziło na to, że będzie trzeba szukać nowego tematu, a Giez nie rwał się do ganiań po mieście jak kot z pęcherzem. Niech Zulus z Januszem to robią, on miał swoją działkę, tylko wpakowała mu się w nią policja. Co takiego powiedzieli, czym nastraszyli Dobosza, że tak zmiękł? Ech, żeby tak znaleźć jakiegoś haka na psy! Siedział i bezmyślnie kreślił ołówkiem esy-floresy, a rysowane kółka i ósemki kojarzyły mu się z niezbyt dużymi, ale okrągłymi i mile sterczącymi piersiami Alicji Pohulanki. Poczuł nawet narastającą twardość i błogość, ale w tym momencie usłyszał głos naczelnego Dobosza, który zawarczał niczym werbel: – Panie Giez, koniec postu, zdarzają się rzeczy, o których policja pisać nie zabroni.

Giez poczuł, jak nagle zwrotnica życia ustawia go na zupełnie inne tory.

To było znacznie bardziej podniecające niż erotyczne wizje związane z redakcyjną koleżanką, czuł się podekscytowany niczym hiena, która wyczuwa trupi zapach.

– Co się stało?

– Trupy na Murdzielu. Pojechali tam fotograf i młodszy reporter, żeby zbierać dla pana materiały, a pan dojedziesz do nich, pokierujesz jak trzeba, a później ładnie to opiszesz. Jedziesz pan po starej znajomości – zaśmiał się Dobosz – bo dobry artykuł o zabójstwie najgrubszej dziwki w Warszawie oraz przodownika z sąsiedniego komisariatu wysmaruje każdy reporter, chyba żeby zatrudnił analfabetę.

Takie żarciki to możesz sobie w tyłek wsadzić albo w bęben, pomyślał Giez, śmiejąc się przy tym serdecznie, jakby reklamował środek wybielający zęby. Oczywiście, że wysyła właśnie jego, bo on potrafi sprzedać to najlepiej!

– Ależ dziękuję za pamięć, panie redaktorze. – Giez zgiął się w ukłonie. – Postaram się nie zawieść pana redaktora naczelnego.

– Nie odstawiaj tu pan Japończyka, bo się pan bólu pleców nabawisz, a pisanie będzie dzisiaj dość!

Dobosz poużywał sobie na nim, jakby chciał się odkuć za burę, którą dostał na policji. Ciekawe, kto i gdzie go tak przeczłogał, czy w Urzędzie Śledczym przy Daniłowiczowskiej, czy może na Senatorskiej w Komendzie Stołecznej, a kto wie, może i na Nowiku w Głównej? Ktoś mu tam musiał dać popalić, bo chodził struty i mocno go pilnował, by coś, co nie było koszerne, nie poszło na ulicę z nowym wydaniem. Kiedyś Edward by pobiegł, teraz tylko szybko zszedł po schodach, by naczelny widział jego zainteresowanie, a potem ruszył wolno, nie chciał się spocić, miał przecież nową elegancką koszulę i gustowny gajer. Dostojnym krokiem opuścił Dom Prasy i udał się na postój dorożek. Rysio Muckenbrunn, lebek, który tam pojechał, jest sprawny, więc mu wszystko pozbiera, taki miał teraz luksus! O konkurencję się nie bał, bo Rysiovi Bozia dała spryt, ale na pisanie zostało tylko tyle, by chłopaczyna umiał poskładać alfabet. No cóż, nie wszyscy mogą mieć wszystko, pomyślał, ładując się do dorożki, on akurat miał albo mógłby mieć. Gdyby chciał, to też by się wszystkiego dowiadywał, ale on był bystry i szybciej kojarzył fakty, do tego miał wyobraźnię. Poza tym zyskał teraz pomagiera, który miał szybkie nogi, lubił się babrać w gnoju i nie nadawał się do niczego innego. Życie, po prostu życie, pomyślał Edward Giez, po czym wydał sałacie dyspozycję: – Na Niską!

Sałata zaciął batem i ruszyli.

Kornel Strasburger ślęczał na Niskiej do późnego popołudnia. W końcu pojawił się sędzia śledczy, którym okazał się Jan Czechowicz, co wobec wcześniejszych niepowodzeń i rozczarowań znacznie poprawiło aspirantowi humor. Przez telefon, który znalazł u lekarza na placu Muranowskim, zadzwonił do archiwum, by poszukali w fiskach przestępcy o monstualnej stopie. Gryzło go, że nie zrobił tego wcześniej, ale dotąd nie wierzył w tę całą historię z Goliatem. Był zdziwiony, gdy zaraz po zadaniu pytania otrzymał odpowiedź.

– Żyjącego nie ma.

– A skąd to wiadomo?

– Bo przodownik Stolarczyk pytał. Był tak zdziwiony, że nie znaleźliśmy, że przyszedł i sam tu zrobił niezły kłopot. Nic nie znalazł, tak oto się skończyła legenda o Goliacie – zaśmiał się policyjny archiwista.

Nic się nie skończyło, wprost przeciwnie, dopiero się zaczęło i to na dobre! – pomyślał Strasburger.

Aspirant podziękował i rozłączył się. A więc Zyga niewzruszenie wierzył w to, że za zabójstwami stoi olbrzym! Nawet brak śladów w kartotece go nie zniechęcił. Zrobiło mu się żal przyjaciela, najchętniej poszedłby do niego do domu, ale nie chciał wpaść na żonę. Po pierwsze, jej nie znał, po drugie, bał się trochę, bo wszystkie pijackie wybryki szły na jego konto, poza tym stale byli zajęci, a więc mogła sobie pomyśleć, że mąż się przepracowywał nie przez Urząd Śledczy, a przez jego osobiste fanaberie. Do tego baby mają dodatkowy zmysł i skoro nigdy u nich na Skierniewickiej nie bywał, a teraz pojawiłby się tak zupełnie zniecka, to pewnie coś by wyczuła. Możliwe, że Zyga nic jej nie powiedział o przymusowym urlopie i po prostu wyszedł z domu jak zwykle. W takim razie gdzie był, gdzie się podziewał? Dochodził już do bramy domu, w którym popełniono zbrodnię, gdy nagle ktoś wynurzył się z cienia.

– Hu!

Aspirant podskoczył ze strachu, ale w tej samej chwili zorientował się, że doskonale zna ten głos.

– Zyga?

– Nie, kurtka na wacie, cesarz chiński na wywczasach na Murdzielu. Szukam pagody, w której mógłbym łyknąć słynnego piwa od Haberbuscha!

– Co z tobą?

– Chińskim cesarzem nie jestem, ale fakt, jestem na wywczasach. Urlop mnie troszkę zaskoczył, więc wybrałem się w podróż po Warszawie.

– W podróż?

– No przecież jak mówię, że w podróż, to w podróż. Wyszedłem z domu, tak jakbym szedł do urzędu, po co miałem denerwować Jadwigę.

A więc było tak, jak przypuszczał Strasburger.

– Z rana ciężko wymyślić coś z sensem, więc zamelinowałem się na pętli w piątce, to dwa kroki ode mnie, róg Skierniewickiej i Dworskiej, tak jakbym jechał na Daniłowiczowską, z tym że tą razą nie wysiadłem na placu Teatralnym, tylko pojechałem do samego końca, przez most Kierbedzia i Pragę do Dworca Wschodniego. Tam wysiadłem, wypaliłem papieroska, kupiłem gazetkę i wsiałem do dwunastki. Czytając gazetę, dojechałem przez Poniatoszczaka z powrotem na lewy brzeg, a potem...

– Przejechałeś przez cały Mokotów i wysiadłeś na Wierzbnie?

– No co ty? Wypisałem się z tego rejsu na placu Unii, kupiłem kolejne czasopismo, wypaliłem papieroska i wsiałem do czternastki. Ona ma tam stację krańcową, więc wybrałem sobie wygodne miejsce...

– I na Żoliborz?

– Taki miałem zamiar, ale wysiadłem na Marszałkowskiej i poszedłem do kina. Najpierw do Apolla na *Gwiazdzistą Eskadrę*.

– Już byłeś dwa razy!

– Trzeci raz nie zaszkodzi, a później udałem się do Stylowego na składankę komedii. Wybawiłem się setnie i zgłodniałem, więc poszedłem coś przetrącić i abarot[33] w tramwaj. Znudziło mi się i zadzwoniłem do urzędu, chciałem z tobą pogadać, ale jak wiesz... Powiedzieli mi, gdzie jesteś, więc postanowiłem cię odwiedzić! Musisz mieć w huk roboty!

– I jeszcze będę miał.

– Widziałem, że zasuwa tu ten młody przodownik, eee – szukał w pamięci – Sławuś...

– Kotlas, Sławomir Kotlas.

– No mówię przecież, Sławuś Kotlas. Chyba mnie chce wygryźć, bo bardzo się stara, latał jak kot z pęcherzem, ale na pewno rysować jak stary Zyga nie potrafi!

– Tylko ty umiesz narysować, jak należy, plan sytuacyjny miejsca przestępstwa.

– No ba! To chyba jasne – naciął się Stolarczyk. – Idź i puść go do domu. Doktor był, ale się szybko zmył. Myślę, że chce przebadać nieboszczyków na Oczki. Nie najlepsze rzeczy słyshałem o tym Spychalskim, niby o zmarłych tylko dobrze, ale policja przymierzała się już do niego.

– Do ciebie też.

Stolarczyk zaśmiał się tylko.

– No ale ja to insza inszość, ja to jestem chodzący anioł, łapówek nie biorę, a jak przysoliłem, to niezłej francy i do tego w słusznej sprawie. Idź zwolnić tego Sławusia, skończ na dzisiaj i towarzyszyć mi w smutku. Musimy się napić.

– Tak zrobimy. Tylko powiedz mi, ten Kotlas naprawdę tak się spisał? Bo coś mu muszę na do widzenia powiedzieć.

– Pochwal go, bo się starał, ale oczywiście powiedz, że nie rysuje tak jak mistrz Stolarczyk. No i jeszcze coś: ten chłopaczyna nie wie, kto to Giez. Widać gazet nie czyta, a może po prostu Giez w tym dodatku był tak obrobiony do fotek, że się zrobił nie do poznania. Ale ja tego mendę zawsze rozpoznam, a jak bym tu był formalnie i służbowo, to z miejsca bym pajaca pogonił. Płatał się tu ten, kurwa go mać, reporter śledczy

i to nie sam, tylko z fotografem i jakimś pomagierem. Ja mu się kiedyś dobioreę do tyłka, jeszcze nie wiem jak, ale się dobioreę!

Na zakończenie przemowy Zyga rzucił na ziemię niedopałek i wprawnym ruchem rozmaślił go o bruk obcasem. Patrząc na ślad, jaki zostawiła podeszwa, Strasburger powiedział: – Małe masz stopki, nie to co Goliat...

– Co? – Zygmuntowi oczy o mało nie wyszły z orbit.

– To. On żyje.

Strasburger opowiedział o opuszczonym mieszkaniu, sposobie, w jaki zabito przodownika policji, i niezwykłych śladach.

W górę i w dół, istna huśtawka. Z jednej strony znów sukcesik, z drugiej ciężka robota. Asystent spisał się dobrze, rozpytał Żydków, co i jak, zaczął też sanitariusza, więc wiadomo było, co pojawi się dziś po południu. Giez szybko skreślił parę zdań na kartce i poszukał telefonu. Zadzwoił do redakcji, żeby to włożyli do numeru, i poszedł kombinować dalej. Siedział w podłym szynku, słuchał, pisał i dokładał do artykułu coraz to nowsze informacje przynieszone przez Rysia Muckenbrunna. Chłopak był pilny, bo liczył na stałą posadę, więc idealnie uzupełniał jego pisarski geniusz. To, co przynosił Rysio i czego dowiedział się sam, układało się we wcale interesujący obraz. Zamordowana była największą znaną wszystkim prostytutką i chodziło nie o urodę czy sprawność, lecz o gabaryty. W związku z tym Bertę Preiss nazywano Słonicą albo panną Elefant. Nie udało mu się jej zobaczyć, bo jak wynoszono jej zwłoki, była cała przykryta, ale i bez tego zorientował się, że jej tusza była niewiarygodna. Sanitariusze, rosłe chłopcy, ledwie dali radę.

Drugie zwłoki, tego policjanta, też były wcale niemałe, ale tu pojawiły się inne sensacje. Przede wszystkim ten cały Spychalski kojarzył się miejscowym jak najgorzej. Przodownik był prawdziwą bestią, siał popłoch, lubił dać po pysku, miał dziwki za darmo, a kupcy i szynkarze musieli mu się opłacać. Za chińskiego boga by się do tego nie przyznali, ale Rysio... Rysio był jednym z nich, choć wcale na takiego nie wyglądał! Jego asystent podsłuchiwał rozmowy w jidysz i dzięki temu dowiedział się wszystkiego włącznie z pikantnymi szczegółami. Także tego, że policja nie wyciągnęła z przesłuchiwanym na ten temat nic a nic, bo wszyscy prześladowani przez przodownika Spychalskiego mieli dość za paznokciami, by wypełnić cały Pawiak. Szkoda tylko, że policja odebrała ostatnio naczelnemu zamiłowanie do odważnych, bezkompromisowych tekstów. Tak czy owak Dobosz musiał się o tym dowiedzieć, a poza tym był już najwyższy czas, by się stąd zwijać. Nie było to miejsce jego marzeń, dał więc Rysiovi dyspozycje, a sam razem z fotografem poszedł na plac Muranowski łapać dorożkę.

Chętnie wzięliby dorożkę, ale ze względu na sytuację Zygi postanowili oszczędzać, zwłaszcza że flota miała tego wieczoru popłynąć szerokim strumieniem. Zamierzali popić, a jak się popije, to wiadomo, że najlepiej wracać do domu dorożką, wtedy jest dobry luft i człowiek może nieco ochłonąć. Poza tym wybrali lokal, który pijanym spacerowiczom dawał w kość. W dzień chodziły Dobrą tramwaje linii „P” i „Z”, ale już nocą trzeba się było gramolić znad samej Wisły na skarpe, na której szczycie było Krakowskie Przedmieście. Kursowały tylko dwie nocne linie, dziesiątka i dwudziestka, i pijak nie miał wyboru: musiał dmuchać pod górę, bo tam były przystanki. Trzeba było więc mieć mocne nogi i głowę albo gotówkę odłożoną na dorożkę lub taksówkę. Można też było wybrać inny lokal, ale zdecydowali się na prowadzony przez Władysława Kalinowskiego bar Kierbedzianka przy Bednarskiej, bo tam nigdy nie spotkali ludzi z urzędu. Wierzyli, że będzie tak i tym razem.

– No to po maluchu! – Stolarczyk podniósł w górę kieliszek.

– Po maluchu! – odpowiedział mu smętnym głosem Strasburger.

– Złap humorek, jutro będzie lepiej – zalecił przodownik Stolarczyk po przełknięciu wódki. Strasburger o mało się nie zakrztusił, przecież to on, Zyga Stolarczyk miał poważne kłopoty, przecież to on był w tym duecie pesymistą, który non stop mantykował[34]. Teraz, gdy Kornel, sam w kiepskim humorze, zamierzał na siłę podjąć się odbudowy nastroju swego przyjaciela, ten zaskoczył go słowami: jutro będzie lepiej.

– Tak myślisz? – Aspirant liczył więc, że Zyga wieje w niego ciutkę optymizmu.

– Gównu będzie, a nie lepiej – Zyga z miejsca wrócił do swego sprawdzonego stylu – ale pocujemy się lepiej i uwierzymy w to, jak obrócimy ćwiarteczkę.

– W takim razie obracajmy – zarządził aspirant.

– Skoro tak, to tak – skwitował Zyga. – Panie Władziu, Kalinosiu kochany, nie będziemy się bawić w detal. Podaj nam pan połóweczkę i coś do zjedzenia.

– Aaa, więc to tak!

– Co tak?

– Ćwiarteczkę na twarz!

– Kornelu drogi, przecież my nie dzieci – obruszył się Stolarczyk.

Szef już pędził z tacą, na której były butelka wódki, syfon i szkło.

– Panie władzo – rozpromienił się właściciel Kierbedzianki – w to mi graj, panowie nie biorą na krechę, bo zawsze przy pieniążkach, wiadoma rzecz: pewna państwowa posada, a poza tern...

– Władysław Kalinowski nachylił się nad policjantami – z wami zawsze spokojnie, ferajna czuje mores przed panami z Urzędu Śledczego.

– No to niedobrze, mój drogi panie Kalinowski – powiedział ze skwaszoną miną Stolarczyk – bo my po cywilu.

– Ale starzy zawodowi złodzieje i tak znają każdego, rozchmurz się, Zyga, mało mamy kłopotów? Cholerny doktorek, przełożeni, śledztwa, które leżą, i do tego Goliat gratis.

– Strasburger klepnął przodownika po plecach. – Poza tym nie jesteśmy wywiadowcami, a najważniejsze, że nie ma tu naszych.

– No nie ma, panowie tylko do mnie zachodzą. Na dobry humor do połóweczki piwo w gratisie. – Władysław Kalinowski wrócił za kontuar i zaczął nalewać piwa do kształtnych kufli.

– No to po paróweczce pan podaj i może mnie przejdzie – z wymuszonym uśmiechem powiedział Stolarczyk.

– Koniecznie z musztardą – wtrącił Strasburger.

Kropnęli po maluchu, przekąsili i pijąc piwo, wrócili do tego, co działo się w Urzędzie Śledczym.

– To jest zupełnie nowa sytuacja, chociaż, jak wiesz, w moim policyjnym kalejdoskopie miałem najrozmaitszych zdarzeń niemało – zaczął Stolarczyk nieuchronną rozmowę o swoich kłopotach.

Stolarczyk faktycznie należał do najbardziej doświadczonych policjantów. Zaciągnął się jeszcze w czasie wielkiej wojny do Straży Obywatelskiej, a później w 1918 wstąpił do regularnej policji. Niewiele było z takim stażem i pewnie gdyby Stolarczyk miał maturę, to już dawno byłby kierownikiem jakiejś brygady. Policję znał od podszewki, ale nie na każde pytanie znał odpowiedź, a teraz w swojej sprawie kompletnie nie miał pomysłu.

Wypili po kieliszku, ale alkohol wcale nie rozjaśnił im w głowach, co gorsza, nie poprawił im humorów.

– I jak, lepiej? – zapytał Strasburger.

– Będzie lepiej, jak powtórzymy – zaśmiał się Zyga.

– To mnie się podoba!

Powtórzyli, przechylając się tak, jak to robią hejnaliści. Policzki rumieniły im się, uśmiechy wracały na usta.

– Jedni po wódeczce chcą sobie ciąć żyły albo rozpoczynają mordobicie, a my jak raz z tych, co łapią dobry humor, ale żeby do końca było morowo, opowiedz, drogi Dodku, co wesołego – poprosił Zyga Stolarczyk.

– A z której półki? – Strasburger uniósł palec. – Opowiadam każdy kawał na zawołanie, byleby nie policyjny!

– Właśnie taki chciałem sobie zawinszować, ale skoro nie chcesz, to o pijakach, bo teraz jesteśmy także pijakami!

Strasburger chwilę myślał, aż w końcu zakrzyknął: – Mam!

– To dawaj, złociutki, dawaj!

– Siedzi w szynku takim jak ten dwóch pijaczków. Walą kieliszek za kieliszkiem, aż robi się późno i zaczynają zamykać lokal. Starszy mówi: – Widzisz, kolego, musimy się zbierać.

– Musimy, a w którą stronę idziesz?

– Mieszkam przy Tamce.

– Ja też!

– A pod którym?

– Pod ósmym!

– To zupełnie tak jak ja!

– A numer mieszkania?

– Dwudziesty drugi, czwarte piętro!

– Popatrz pan, ale zbieg okoliczności, boja też!

– Wicuś?

– Tata?

Przodownik Zygmunt Stolarczyk śmiał się jak szalony, ten kawał już kiedyś słyszał, ale nikt nie opowiadał dowcipów jak Kornel Strasburger. Tym razem jednak aspirant zakręcił kurek z dobrym nastrojem.

– Pośmialiśmy się, a teraz przejdźmy do konkretów.

– Goliat?

– Nie.

– Jak nie on, to kto? – zdziwił się Stolarczyk.

– Ty!

– Ja?

– Zaczniemy od porządkowania twoich spraw, od przywrócenia cię do służby. Musimy jakoś dopaść tych ładnie ubranych łobuzów.

– Doktorek i mecenas... – zasyczał Zyga Stolarczyk.

Snucie planów zepsuło im dwóch typów, którzy nagle stanęli nad nimi. Obaj nijacy, jakby wtopieni w lokal, ubrani i wyglądający tak, że w każdych warunkach nie zwróciliby na siebie uwagi.

Jeden, niższy i w kaszkiecie, żuł zapałkę, wyższy, starszy od niego, w meloniku na głowie, skubał wąsa.

– Panowie sobie życzą... – Strasburger przeczuwał, że mogą być z tego kłopoty.

– My to w sumie nic konkretnego – zaśmiał się krzywo ten niższy, przesuwając językiem zapałkę z lewego w prawy kącik ust.

– My to nie, ale nasi szefowie, a i owszem – dopowiedział wysoki w dęciaku.

Te słowa zabrzmiały jak groźba.

Parę dni wcześniej policja w osobie nadkomisarza Juliusza Jagielskiego pogroziła mu palcem i prosiła po dobroci o stonowanie treści artykułów. Żadnej paniki, a bez paniki, psia mać, nie ma sensacji, a bez sensacji nie ma sprzedaży. Owszem, było dobrze, ale mogło być wprost fantastycznie. Giez miał potencjał

i zgrabnie nakręcał sprężynę w zegarze, który wyznaczał rytm życia miasta. Szkoda, wielka szkoda, ale karta się odwraca!

Edward Giez stał, Józef Dobosz szybkim krokiem chodził po gabinecie, choć o tej porze powinien spoczywać w swoim domowym fotelu. Był poruszony najnowszymi doniesieniami, więc wyglądał jak łysy, niezbyt wyrosnięty lew, który miota się po klatce, a stojący jak słup soli Edward Giez przypominał bezradnego, oszołomionego tresera.

– Ciekawe, bardzo ciekawe – mruzczał pod nosem Bębenek. – A więc powiadasz pan, że ten zamordowany policjant nie miał najlepszej opinii?

– Tak to można nazwać najłagodniej, panie redaktorze.

– Szczegóły, szczegóły!

– Był chyba łapówkarzem, interesował się dziwkami, przymykał oko na ich pracę. – To zdanie zabrzmiało kiepsko, Giez szybko się poprawił i dodał: – Łączyły go z nimi jakieś interesiki, był bywalcem burdeli i lubił wypić. Wdowa chyba odetchnęła, dzieci też, bo w domu nie był dobrym tatusiem.

Dobosz dalej krążył.

– Ale poległ na służbie, bohater. No i jak tu bić w bohatera? – wykrzyknął redaktor. – Jak można zdeprecjonować śmierć na służbie? Zdarzają się grzechy, wpadki, problemy, nikt nie jest święty, więc nie zrobimy sensacji z tego, że ktoś w momencie próby, próby najwyższej oddał życie na służbie?!

Redaktor naczelny uznał, że w ten sposób rozwiał wątpliwości co do dalszego kierunku pracy nad artykułem. Na wszelki wypadek dodał jeszcze kilka słów.

– Opisywaliśmy już policyjne afery... – Zawiesił głos, bo uświadomił sobie, że tylko te, co do których dogadał się ze swoim znajomym z Komendy Stołecznej. Ale to wiedział tylko on, Giez nie miał o tym zielonego pojęcia, naczelny ciągnął więc dalej silnym, pewnym głosem: – Mamy teraz krążące nad miastem widmo najgorszego zbrodniarza, jaki nam się kiedykolwiek trafił, mamy kogoś, przy kim Krwawy Wiktor jest tylko miniaturką bandyty!

Naczelny z ukontentowaniem przypomniał sobie, jak pięknie jechały wszystkie warszawskie gazety na zbrodniach Wiktora Zielińskiego i jaką sensację budziła obława na tego bandziora. To było cztery lata temu... Ile lat miał wtedy Giez? Ze dwadzieścia, więc powinien pamiętać.

– Pamięta pan, co się wtedy działo? – spytał na wszelki wypadek, a Giez potwierdził kiwnięciem głowy. – Ludzie lubią się bać, ale w prasie jak w dobrej powieści trzeba zmieniać tempo i nastroje. Strach strachem, należy też jednak dawać nadzieję, ludzie kochają łotrów, choć pożądamy także historii o bohaterach, a zwłaszcza o takich, którzy oddają życie na służbie!

Jak wielu szefów redaktor naczelny Dobosz lubił przemawiać, a jeszcze bardziej lubił nie pozostawiać żadnych, najmniejszych wątpliwości, ze zdumieniem jednak zobaczył na twarzy reportera coś niby ślad uśmiechu. Czyżby nie zrozumiał? Najwyraźniej nie, bo ten pętał, który mu tyle zawdzięczał, uśmiechnął się bezczelnie i zaczął mówić.

– O ile był na służbie. – Uśmiech Gza nie był już taki bezczelny, raczej tajemniczy.

Dobosza zamurowało.

– Co? Co pan opowiadasz?

– Był w mundurze, ale nie miał wtedy służby. – Edward Giez spoważniał, wiedział, że nie powinien przeginać. – Panie redaktorze, on nie miał nocnego dyżuru, a burdel nie znajdował się po drodze do jego domu, nie trafił tam przypadkiem, idąc po służbie do żony oraz dzieciaków...

Józef Dobosz przysiadł na krześle, które stało za jego biurkiem, i sięgnął po pudełko z cygaretkami. Wyciągnął jedną, zapalił, nad gabinetem uniosła się chmura dymu.

– Mam w policji zbyt wielu przyjaciół. – Podniósł dłoń, trzymając między palcami dymiącego papierosa. – Mamy – dodał dobitnie. – Mamy, ja, pan, gazeta. Trzeba to szanować. Rozumie pan?

– Ale policja tego nie rozumie, to oni nas nie szanują, niweczą nasz wysiłek, stają na drodze naszej misji.
– Giez postanowił przypomnieć, komu gazeta zawdzięcza niższy nakład i kto stoi za fatalnym nastrojem redaktora naczelnego. – Oni mają swoją rację, a my swoją, prawo stoi za nami, prawo i... – Chciał coś dodać, ale bał się użyć słów, których będzie żałował. Wiedział, że Józef Dobosz z pewnością ma jakieś konszachty z policyjnymi władzami i że zobowiązania są obustronne.

– Dobrze pan to ujął, panie kolego, bardzo dobrze. – Dobosz uśmiechnął się i pomyślał, że Giez bardzo pięknie się wyrabia. – Sądzę, że to jest temat, o którym trzeba rozmawiać, to jest coś, co stanie się piękną platformą do odzyskania wzajemnego zaufania i odbudowy naszych dobrych stosunków.

Dobosz zakończył mowę i uznał, że o ile Giez może w krótkim czasie zostać samodzielnym redaktorem, o tyle on sam spokojnie mógłby być jeśli nie ministrem, to przynajmniej posłem. Był wprawdzie naczelnym gazety i lubił swoją pracę, ale dzisiaj odegra rolę ministra spraw wewnętrznych i zagranicznych zarazem. Wiedział, jak przy użyciu metod dyplomatycznych wpłynąć na policję, a przynajmniej na pewnego wysoko postawionego funkcjonariusza. Kluczowym narzędziem jego dyplomacji będą gazeta oraz Edward Giez.

– Proszę rozpocząć pracę nad artykułem, tak aby wszedł do jutrzejszego numeru – zwrócił się do Gza, czekając na reakcję reportera.

– A co piszemy, panie redaktorze naczelny? – zapytał Giez.

Nie „co mam napisać”, tylko „co piszemy”. Spryciarz! – pomyślał Dobosz.

– A co pan proponuje? Przecież to pan jesteś naszym asem! – Naczelnny uśmiechnął się pod swoim wąsikiem. – To pan jesteś, jak to pan pięknie powiedział w wywiadzie, „reporterem śledczym”. Ja tylko redaguję, ja dbam o jakość, ale tematy znajdują ludzie tacy jak pan. Słucham!

– Proponuję piękny artykuł o policyjnym bohaterze. Skoro chcemy zainteresować publiczność czymś nowym i poprawić stosunki z policją, to trzeba dać coś na zachętę.

Edek Giez faktycznie się wyrobił! Inny przypieprzyłby glinom, a ten okazuje się niezłym graczem.

– Brawo, jest z pana dyplomata, dobrze mieć pana w zespole, bierz pan się do roboty, a ja... Ja muszę podzwonić tu i tam.

Dobosz poczekał, aż reporter Giez wyjdzie z gabinetu, dopiero wtedy podszedł do aparatu telefonicznego. Po kilkunastu sekundach powiedział do słuchawki: – Dzień dobry, mówi Józef Dobosz, czy mogę prosić do aparatu pana podinspektora Jagielskiego?... Nie, nie byliśmy umówieni na rozmowę. – To, co usłyszał, nie spodobało mu się, ale też go i nie zdziwiło. W końcu był wieczór. – Tak, pan inspektor nie oczekiwał telefonu ode mnie, więc rozumiem, że mógł wyjść do domu. Proszę zatem zadzwonić na jego prywatny numer i powiedzieć, że dzwonił naczelny „Expressu Warszawskiego” i ma do przekazania sprawę niecierpiącą zwłoki. Wiem, że to poza procedurą, lecz to sprawa nadzwyczajna. Jestem w redakcji, numer jest w stopce gazety lub w książce telefonicznej. Proszę przekazać, że będę czekał do późna w nocy, bo wymaga tego bezpieczeństwo publiczne!

Dobosz odłożył słuchawkę i otarł pot z czoła. Zagrał mocno, ale sytuacja tego wymagała, zresztą było to także w interesie policji.

Sytuacja była napięta, Strasburger i Stolarczyk siedzieli, mając w rękach kieliszki z wódką, a tamtych dwóch stało nad nimi jak kat nad dobrą duszą.

– Będziemy tak sterczeć i robić sensację czy też panowie śledczy dopuszczają nas do swojego stolika?

Robiło się coraz ciekawiej. Strasburger wykonał zapraszający ruch ręką, wtedy tamci usiedli i przedstawili się.

– Aspirant Waldemar Lipko – powiedział ten młodszy i niższy.

– Starszy przodownik Waclaw Kordaszewski – powiedział ten wyższy z wąsem i w dęciaku.

– Panowie nie muszą się przedstawiać, w końcu wiemy, kogo śledzimy.

Strasburger i Stolarczyk popatrzyli na siebie zdumieni.

– A kolegę Stolarczyka pamiętam z wojny, dwieście trzynasty policyjny pułk piechoty, czyż nie tak?

W pułku służyło prawie półtora tysiąca chłopów, więc nie każdego się znało, Kordaszewski szybko jednak wyjaśnił: – Byłem na zawodach zapaśniczych, takich walczaków się nie zapomina!

– Nie jesteśmy z wydziału personalnego, choć ten się panami interesuje, a w szczególności panem przodownikiem. – Aspirant Lipko uśmiechnął się do Zygi. – Na górze sądzą, że pójdziesz pan do tego doktora i poprosisz o zmianę zeznań: żeby facio powiedział, że mu się przewidziało i tak dalej.

– Nie powiem, że nie mam na to ochoty... – wycodził przez zęby Stolarczyk.

– I my dokładnie pana kolegę rozumiemy-wyszczrzył się starszy przodownik Kordaszewski – bo jesteśmy psami jak wy, a nie fagasami z za biurek.

– Łódzkimi psami – dodał Waldemar Lipko.

– Wysłano nas, bo tu nas nikt nie zna.

– Ale my znamy was, panowie, i to już całkiem dobrze – zakomunikował Lipko. – Śledzenie kolegów po fachu to trefna sprawa, więc zrobiliśmy rozeznanie.

– Tutaj nikt nie chce, by panom kolegom stała się krzywda, poza tym bandziorem należy się od czasu do czasu wycisk. – Kordaszewski przy słowie wycisk zrobił rozanieloną minę.

– A zatem... – zaczął Stolarczyk.

– A zatem nic takiego się nie stało, ale może się stać co innego – powiedział tajemniczym głosem Lipko.

– Przypadki chodzą po ludziach, a przypadkiem pan mecenas i pan doktor są w Łodzi znani.

– Aż mi zaschło w gardle, a panom? – zagaił Zyga.

– Bardzo chętnie się z kolegami napijemy. – Lipko wyszczrzył w uśmiechu potężne zęby, zdjął kaszkiet i okazało się, że ma rude, niemal czerwone włosy.

To był bardzo miły wieczór, wypili półtora litra na czterech i podjedli. Oczywiście stawiali warszawiacy, bo wkład łodzian i tak był bezcenny.

Okazało się, że nie tylko warszawska policja, ale także i ta z Łodzi nie lubiła Jura-Muszyńskiego, bo perfekcyjnie wykorzystywał najdrobniejsze błędy w procedurach i jednym celnym ruchem niweczył wysiłki sędziów śledczych i policjantów. W ten sposób rzutki prawnik wyciągnął z pierdła niejednego łotra, z kolei filantrop i społecznik doktor Walenty Jodłowski był zaplątany w sprawę z nieletnią dziewczynką.

– To taki ścichapęk – wyjaśnił Wacław Kordaszewski – miłośnik nietypowych rozrywek, który raczej nie chce się afiszować ze swoimi słabościami, ale kto by tam lubił je rozgłaszać, co nie?

– Jasna sprawa, ale wiesz co, Wacek – policjanci byli już po ekspresowo rozlanych trzech połówkach na i po wypiciu brudzia – ja rozpoznaję takie gadziny. Wiedziałem, że on ma jakiś feler, ale tego nigdy bym się nie domyślił. – Zyga Stolarczyk pokręcił głową. – Taki, cholera go mać, hrabia w porządnym ancugu i z siwą bródką.

– Bo czy starszy człowiek z bródką może zostać prostytutką? – zapytał nagle Lipko. – Ależ proszę, czemu nie, jemu też należy się! – po czym zarzycał przeraźliwym śmiechem.

Cała policyjna ferajna zaniosła się chichotem, aż właściciel budy Władysław Kalinowski wyskoczył z bufetu.

Stuknęli się szkłem, bo przyszedł czas na rozchodniaczka, nie było późno, godzina jeszcze młoda, ale jutro czekał ich ciężki dzień, trzeba było poszukać haka na doktora, mocnego haka, takiego, żeby ten szybciutko zrozumiał swoją pomyłkę.

Dziewiąta wieczorem to w kawiarni Semadeniego pora na ostatnie ciastko, likierek i kawkę. To już był czas na nieodległą Oazę albo Qui Pro Quo, więc lokal pod filarami Teatru Wielkiego, który za dnia pękał w szwach od eleganckiej publiczności, teraz był puściusieńki. O tej porze nawet słynna kawa, w której lubował się już dawno temu Bolesław Prus, nie była wystarczającym magnesem. Redaktor naczelny

„Expressu Warszawskiego” Józef Dobosz, podobnie jak Bolesław Prus, cenił sobie kawę od Semadeniego, ale jeszcze bardziej słodczy, a już najbardziej lubił, jak mu stawiano. Nie był biedny, przecież mówiono, że to umysł godny samego Butkiewicza. Zresztą sam Henryk Butkiewicz osobiście namówił go do secesji i objęcia posady szefa konkurencyjnego dziennika. Przedtem jako wiodący redaktor „Czerwoniaka” zarabiał tysiąc złotych, czyli tyle co generał brygady, a teraz miał blisko półtora, zrównał się więc zarobkami z generałem dywizji. Śmiał się, że jego redakcja to jak Wojsko Polskie, bo zarobki były porównywalne z tymi w armii. Zaczął stawiać willę na coraz modniejszej Saskiej Kępie, miał na swe rozkazy auto z szoferem, wakacje spędzał, gdzie chciał, ale lubił wyszarpać każdy grosz. Sprawiało mu nie lada jaką satysfakcję, że mówiono o nim „goj, ale targuje się lepiej niż większość starozakonnych”. Cieszyła go każda dodatkowa złotówka, a zwłaszcza taka, która oznaczała jego wygraną w zakładzie, sporze lub jakiegokolwiek innej rywalizacji. Był łasy na proszone obiady, na stawiane mu kolacje oraz poczęstunki i koniaczki. I choć okazji było mnóstwo, to każda go cieszyła. Ostatnio oszczędzał się, bo brzuch rozsadał ubrania, a to oznaczało konieczność zakupu nowego sortu. Zwykł ubierać się dobrze, więc wydatki czekałyby go spore, a nie lubił niepotrzebnie trwonić pieniędzy.

Tym razem jednak jadł i pił, dyskretnie popuszczając pasek spodni. Nic to, można przecież przesunąć guzik i wrócić do szelek! Są rzeczy ważne i ważniejsze, a słodczy u Semadeniego to jak trofea z wygranej wojny, więc to one stanęły na szczycie jego prywatnej hierarchii. Zjadł z tuzin małych ciasteczek i kilka babeczek migdałowych. Gdy już mu się wydawało, że to koniec, wewnętrzny głos kazał dopchnąć się jeszcze owocami w cukrze. Zwykle słodził kawę, ale teraz nie miał takiej potrzeby. Z kolei podinspektor Juliusz Jagielski nie zjadł niemal nic. Przez gardło przeszło mu tylko kilka sucharków, z których słyneła kawiarnia od ponad stu lat działająca w Warszawie, z czego większą część pod filarami Teatru Wielkiego. Kilka dni temu upokorzył Dobosza, być może wykazując przy tym zbyt wielką pychę i pewność siebie, więc dzisiaj, gdy karta się odwróciła, jego klęska była podwójnie bolesna. Może nie klęska, a przegrana, klęska byłaby wtedy, gdyby na łamach „Expressu” ukazał się artykuł mówiący o prawdziwym obliczu policjanta, który zginął w burdelu przy Niskiej. Wciąż wychodził z oszołomienia, powtarzając jak zaklęcie słowa, które poprawią wizerunek Policji Państwowej.

– A więc jutro piękny artykuł o policyjnym bohaterze... – Jagielski wyszeptał słowa swojej nowej litanii.

– Natychmiast wstrzymałem tę niewygodną prawdę – Dobosz powtarzał swoją rolę także już po raz kolejny – potrzebna nam jest silna policja, a jeden łotr nie powinien wpływać na jej obraz. Społeczeństwo musi wiedzieć, jakie są zagrożenia, i być ostrożne, czujne. Oczywiście o panice nie może być mowy, skoro czuwają doskonali Stróże prawa... Liczę także na przychylność Policji Państwowej w pozyskiwaniu wiadomości, które mogłyby stworzyć obraz pracy policjanta.

Podinspektor Juliusz Jagielski skinął głową, to była uczciwa cena za przedstawienie korzystnego wizerunku policji. Aresztowania posłów nie poprawiły notowań służby, a ministerstwu bardzo zależało na tym, co piszą i mówią o policji. Paranoja, pomyślał, przecież to nie policja wpadła na ten pomysł, ale to na nią spadały gromy.

Dobosz uściśnął Jagielskiemu rękę i nisko skłonił głowę, mógł triumfować, ale odpuścił sobie, *business is business*, tak mówią Anglicy. A on zrobił tego dnia dobry interes, bo przywrócił status quo i zrobił to tak, że wyjdzie z tego podwójnie wygrany. Jednego dnia będzie mowa o dzielnym policjancie, drugiego o łotrze, który zagraża Warszawie. Szkoda, że ten pierwszy jest już nieżywy, legendy sprzedają się dobrze, ale żywi bohaterowie jeszcze lepiej. Skoro ich nie ma, to trzeba ich będzie stworzyć.

Ulica Bednarska była stroma, czego doświadczyli tego wieczoru śledczy Strasburger i Stolarczyk. Szli z mozołem, rozprawiając zawzięcie, a mieli o czym – gdy człowiek jest pod gazem i ma humor, to język napędza jakąś szaloną siłą. A oni mieli humor, alkohol radośnie krążył w żyłach, bo spotkanie z łódzkimi psami dało im nadzieję na wyjście z trudnej sytuacji, planowali z zapalem, co będzie jutro, jak zagrają ze świadkiem i aparatem policyjnym, by wygrać powrót Zygi Stolarczyka z urlopu.

Warszawa, środa 17 września 1930

Kornel Strasburger i Zygmunt Stolarczyk spotkali się w restauracji Orłowskiego przy Wolskiej pod dziewiętnastym. Zamówili coś do przegryzienia oraz piwo, żeby się postawić na nogi po wczorajszym. Aspirant nie musiał iść do urzędu, bo sędzia śledczy Czechowicz zapewnił mu alibi. Zgłosił, że Strasburger będzie pracował dla niego cały dzień, i sprawa była załatwiona. Spotkali się tutaj ze względu na niedalekie sąsiedztwo firmy pogrzebowej Władysława Pietrasa, którego przestępcy i gliniarze nazywali Szczurkiem. Jego zakład przy Wolskiej Anielskie Chóry nawet nie próbował robić konkurencji Michałowi Majewskiemu, który miał swoje przedsiębiorstwo niemal po sąsiedzku, bo Majewski zajmował się wyłącznie usługami pogrzebowymi, a Pietras był w rzeczywistości sutenerem i paserem. Owszem, organizował pogrzeby, i to całkiem drogie, ale jego klientela pochodziła wyłącznie z jednego środowiska. Myszowaty był ulubionym grabarzem szemranych i dziwek, oczywiście tylko tych, których rodzina bądź wspólnicy mieli fortunę, żeby za ten luksus zapłacić. Tylko u niego była możliwość zastąpienia karawaniarzy, tak by cały kondukt składał się z porządnych szemranych, a nie z frajerów. Zresztą jego pracownicy wywodzili się z półświatka, ale wiadomo, któż by nie chciał fumflowi ponieść trumny w szamerowanym ubraniu? Porządnemu bandycie należała się na ostatniej drodze obstawa złożona nie tylko z prawdziwych szemranych, ale także tych, z którymi za życia łączyły go wspólne geszefty. Było to zwyczajem od czterech lat, kiedy policja zastrzeliła podczas obławy przy Przyokopowej Krwawego Wiktora. Jak raz jednym z tych, którzy oddali do Zielińskiego śmiertelne strzały, był Kornel Strasburger. Dostał wtedy nagrodę i pochwałę, ale awans diabli wzięli. Awansował tylko jego kolega Karol Denhel, choć był to awans zupełnie niechciany: Lolek dostał przeniesienie do Stanisławowa.

Przed niezapowiedzianą wizytą u Myszowatego śledczy mieli omówić, co i jak, żeby sprawnie załatwić sprawę, ale najpierw rozmowa zeszła na to, co przyniosło poranne wydanie „Expressu Warszawskiego”.

– Zaskoczył mnie ten typek – powiedział Zyga Stolarczyk, dopijając kufelek piwa.

– Kto, co? – zainteresował się Strasburger.

– A któż by inny, jak nie ta hiena, ten detektyw z bożej, gazetowej łaski.

– Edward Giez? Ten owad na gównie chowany?

– Dokładnie, choć nie na gównie. Na bydle. Giez to nie jest zwykła mucha, to mucha końska!

– To dobrze, że my psy – zaśmiał się Strasburger – choć czasem czuję, że mnie coś gryzie w dupę, i wtedy myślę sobie, że ten Giez to zwykła menda jest.

Znów się zaśmiali.

– Posłuchaj, co tym razem napisał. – Przodownik odchrząknął i wyprostował szpalę gazety.

– „*DUBELTOWA ZBRODNIA. ŚMIERĆ POLICYJNEGO BOHATERA I KOBIETY UPADŁEJ. PRZODOWNIK ZABITY PODCZAS POŚCIGU ZA MORDERCĄ PROSTYTUTKI*”.

– Zaczyna się dobrze – zauważył Strasburger.

– Słuchaj dalej! – Stolarczyk usadowił się wygodniej, szykując do dłuższej lektury. – „Przodownik Konrad Spsychalski (lat czterdzieści osiem) z czwartego komisariatu na Niskiej został zabity w starciu z mordercami prostytutki”.

– No proszę, ale wydedukował – parsknął śmiechem Strasburger. – Był tam kilka godzin, a jeszcze dłużej ten jego pomagier. Poczęstowali paru uliczników papierosami, postawili parę wódeczek i może powciskali do kieszeni trochę złotych, więc powinni wiedzieć, jakim bohaterem był Spsychalski. Żadnym, gównianym!

– A tu nie gówno, tylko pomnik z brązu: „Przodownik Konrad Spsychalski, który osierocił dwójkę dzieci i zostawił nieutuloną w żalu małżonkę Józefinę (czterdzieści cztery lata), był wzorem służbisty, cichym bohaterem swej ciężkiej i niewdzięcznej służby”.

– No popatrz, popatrz! Myślałem, że będą robić nakład na skandalu – zdziwił się aspirant.

– Otóż nie, mój drogi Holmesie! Piszą powiastkę o świętym.

– Święci to piękny temat, ale na świętych nie zarabia się tak dobrze jak na grzesznikach.

W kościołach nie wpada na tace tyle, ile inkasują dziwki i alfonsi, a jak się nawet coś uzbiera, i tak buchną to złodzieje.

– Dlatego spodziewam się czegoś interesującego w głównym, popołudniowym numerze.

– Stolarczyk uderzył dłonią w stół.

– Skąd ta pewność?

– Bo przeczytałem komentarz redaktora naczelnego.

– Dawaj!

– „Śmierć bohatera w mundurze, który próbował pochwycić sprawcę lub sprawców ohydnej zbrodni na upadłej kobiecie, to dla naszej gazety wyzwanie, zawołanie do wzięcia udziału w misji ratowania obywateli miasta stołecznego Warszawy. Będziemy zatem nie tylko opisywać kolejne odsłony morderczej walki, jaka odbywa się w naszym mieście, ale i mobilizować naszą wierną Publiczność. Pora to powiedzieć jasno i zdecydowanie, Warszawa staje się miastem zbrodni, miastem, na które spadła plaga każąca nam wzmóc czujność, a stróżom prawa zakasać rękawy. To nie żarty, jesteśmy na wojnie, w której Warszawa staje się oblężoną twierdzą. Będziemy o batalii ze złem informować szanownych państwa Czytelników. Żądajcie »Expressu Warszawskiego« w trafikach i u gazeciarzy już od trzeciej po południu oraz od siódmej rano!"

– Niech piszą, co chcą, byleby nie napisali o tym, co będzie się działo za parę minut – zaśmiał się Strasburger.

Miał rację, to, co planowali, nie nadawało się z całą pewnością ani do gazety, ani do raportu dla ich przełożonych. Wstali i wyszli z lokalu, a za nimi jak cienie ruszyli agenci z Łodzi. Dzięki nim czuli się bezpieczniej, choć nie taka była intencja ich przełożonych.

I wilk syty, i owca cała. Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek, pokorne cielę dwie matki ssie. Opłaciło się i teraz znów będzie otwierać puszkę Pandory.

– Pisz pan, pisz pan! – Bęberek zatarł ręce. – Ludzie czekają jak na powieść, musisz im pan to dać, bezapelacyjnie i bezwzględnie! Bądź pan jak Sienkiewicz! Może pan nie wiesz, ale wielki mistrz pisał *Trylogię* do gazety. Przez cztery lata publiczność dzień w dzień kupowała „Słowo", żeby się dowiedzieć, co ze Skrzetuskim, Kmicicem i Wołodyjowskim. Pójdź pan tą drogą, koniecznie, masz pan dar! Ludzie czekają na ciekawe historie, chcą emocji, a nie nudnej relacji, podrasuj pan to i owo, no, śmiało, na to czekają tysiące, a jak się doczekają, to staniesz się pan sławny. Przyjemnie było, jakżeś pan, panie Edwardzie, napisał pierwszy trafiony artykuł?

Tak, było przyjemnie. Bardzo przyjemnie. Pieniążki, szacunek, wódeczka, panienki, no i te łaskawe spojrzenia Alicji Pohulanki. Tak, to z pewnością ciekawsze od pierdoł opowiadanych przez Bonifacego Kalickiego: nie zawieź mnie pan, bądź pan odpowiedzialny za słowa... Śmierć frajerom, pomyślał Giez. Miał już wszystko w głowie, siadł do maszyny i rozpoczął kolejny koncert muzyki opartej na tym, co mówiła ulica, oraz na jego wyobraźni, czuł się jak Chopin grający etiudę, klawisze stukwały, kartka zapełniała się literami, słowami i zdaniami.

Do parterowego domu przy Wolskiej, w którym sutener i paser miał swoje Anielskie Chóry, było już tylko kilkanaście metrów. Strasburger przystanął i wyciągnął z kieszeni zapisaną drobnym drukiem kartkę, rozpostarł ją i zaczął uważnie czytać.

– Już to trzy razy przeglądaaliśmy, trochę tego jest – powiedział Zyga Stolarczyk.

– Tak – sucho odrzekł Strasburger – trochę tego jest.

– Trochę i ciut, ciut – zaśmiał się Zyga Stolarczyk. – Na zwykłej loterii wygrywa szczęściarz, ale na tej prawie każdy. To jak losowanie fantów na balu charytatywnym.

– Tak, tutaj trzeba by było mieć nieziemskiego pecha, żeby nie trafić – przyznał aspirant Strasburger – Dobrześ to ujął, kochany, loteryjka na opak, teraz my wykładamy trzy karty, ale znając naszego pecha...

– Wycofujesz się?

– W życiu, pędź ty. Ja już mam przesrane, a ty tylko przekichane, ale gdybyśmy skrewili, to obaj ładujemy w gównie po uszy.

– Zyga, albo obaj, albo żaden. – Strasburger wyciągnął dłoń i przybił ją w mocnym uścisku do łapy Stolarczyka, jakby byli zapaśnikami po walce. – Idziemy, do odważnych świat należy! Zresztą o wpadce nie ma mowy, mamy eskortę.

Przodownik Kordaszewski i aspirant Lipko, którzy ich mieli śledzić, ubezpieczali ich, idąc w stosownej odległości.

Weszli do zakładu Pietrasa, właściciel stał za ladą i wyglądał tak, jak trzeba, czyli jak krzyżówka karawaniarza z alfonssem: wąsik, dęciak, czarne ubranie, ponure oblicze. Szybko jednak rozpromienił się i zagwizdał.

– Kogo moje piękne oczy widzą! Panowie po sosnowe jesioneczki dla siebie czy dla kolegów?

Dla mundurowych zniżki dwajścia pińć procent, panów z Urzędu Śledczego kładę za darmo, a paniom i panom z brygady obyczajowej jestem nawet w stanie wypłacić premię.

– Humorek dopisuje? – zapytał Stolarczyk.

– A czemuż by nie! Panowie nie z obyczajówki. A co to za bumażka? – zapytał już mniej pewnym głosem. – Mają panowie jakiś nakazik, a jak tak, to na co?

– Na jajco – warknął Stolarczyk i żelaznym chwytem zapaśnika niemal wyciągnął Myszowatego zza kontuaru.

– Czytaj i się módl!

Żadnego stempla, nic oficjalnego, psy wpadły tylko pogadać albo co najwyżej poszczekać!

– Myszowaty był pewny siebie.

Zyga szarpnął go za kołnierz tak, że chudy spiczasty nos Myszowatego zapoznał się z blatem. Przodownik miał wprawę, bolało, ale krew się nie polała.

– Ja też organizuję promocję, specjalną dla alfonsów. Mogłem ci złamać kichawę, a tylko trochę zapoznałem ją z pięknie polituowanym drewnem.

Faktycznie, blat lśnił, jakby był częścią recepcji w najlepszym hotelu.

– To napaść! Nie macie prawa! – krzyknął Myszowaty.

– Nie! – zawołał radośnie Zyga Stolarczyk i złapał Myszowatego Pietrasa za ucho.

Szef zakładu pogrzebowego zapiszczał z bólu, a Stolarczyk, wcale tym nie zniechęcony, ciągnął go na zaplecze. Pietras próbował się wyswobodzić, ale otrzymał sójkę w bok.

– Bądź grzeczny, to ostatnie ostrzeżenie! – Zyga pogroził mu palcem.

– Jestem aż za bardzo, bo rozmawiam z dwoma typami, co się nie wylegitymowali, nie mają nakazów i pewnie nie rozmawiali o mnie ze sędzią śledczym. A może to tylko dwóch farmazonów [35] albo bandyci podobni do śledczych? Może powinienem wezwać stójkowych, żeby to sprawdzili?

Myszowaty nie żartował, nabrał powietrza w płuca, ale z jego gardła zamiast przeraźliwego wrzasku dobyło się pocieszne bulgotanie. Dłonie Zygmunta Stolarczyka były jak imadła, a z ust, które blokuje żelazny uchwyt dłoni silnej jak imadło, nie wydobydzie się nawet mysy pisk.

– Trudno nie odmówić ci racji – zatroskanym głosem odpowiedział Zyga-ale ja bym był grzeczniejszy. Srebra skradzione tydzień temu przy Senatorskiej są tam czy postanowiłeś uzupełnić zastawę na chawirze?

Twarz Pietrasa zamieniła się w maskę.

– Nie macie dowodów!

– Pięć minut i je mamy. A jak nie znajdziemy sreber, to mamy tu długą listę co lepszych fantów

z ostatniego miesiąca. Znany alfons z ciebie, ale twoje talenta handlowe są stanowczo zbyt słabo doceniane.

Jakby dla wzmocnienia słów aspiranta Strasburgera przodownik Stolarczyk przypomniał Szczurkowi, jak czułym miejscem są nerki. Ten zapiszczał, usiłując coś powiedzieć.

– Wiem, co ci chodzi po tym łbie cwane go alfonsa – Zyga uśmiechnął się od ucha do ucha – ale załóżmy, że zupełnie niepotrzebnie uderzysz teraz pana aspiranta, a ja ci oddam...

Myszowaty Pietras zrobił wielkie oczy.

– A dlaczego mnie? – zaniepokoił się Strasburger.

– Bo to ja wpadłem na ten pomysł.

Przodownik zamknął dłoń w pięść i spoglądał raz na nią, a raz na twarz aspiranta.

– Nie bój się – uspokoił go – będę walił z plaskacza, tak żeby ci tylko opalić policzek, nie chcę ci złamać nosa, bo byś kiepsko wyglądał, poza tym nasz Myszowaty za uszkodzenie policjanta posiedziałyby długo i ciężko, a mam do niego słabość. – To mówiąc, Zyga zwolnił żelazny uchwyt.

– Pokaż fanty! – rozkazał Strasburger.

Poszli na zaplecze, Myszowaty otworzył trumnę, w której były schowane srebra.

– Rozczarowałeś mnie! – wybuchnął Stolarczyk. – Ja bym od razu szukał w trumnie!

– Nie jestem taki głupi, towar był spakowany do transportu, wparowaliście tu w ostatniej chwili.

– A to pech – zaśmiał się Strasburger. – Pewnie już zaliczkowany?

Myszowaty kiwnął głową.

– Mówi się trudno i żyje się dalej! – radośnie wykrzyknął Zyga. – A teraz słuchaj i nie oddychaj, bo pan aspirant robi ci zdjęcie z tymi fantami. Stań tu, żeby było widać, co leży, tę paterę weź przed siebie, żeby było widać herb, i uśmiechnij się!

Myszowaty próbował, ale wyglądał jak skazaniec. Strasburger wyciągnął z kieszeni aparat i zrobił zdjęcie.

– Jeszcze jedno, dla pewności – zarządził Stolarczyk.

– Coś jeszcze? – zapytał zrezygnowanym głosem Myszowaty.

– Tak, masz te srebra elegancko podrzucić i twoja w tym głowa, kiedy i jak. I jeszcze jedno, szukamy ulubionych miejsc doktora Walentego Jodłowskiego.

– Zara, zara – wtrącił Strasburger. – To było zupełnie w stylu dwa lata jak dla brata, a my nie jesteśmy rodziną!

– Co mam zrobić? – wystękał szef Anielskich Chórów.

– Masz tylko powiedzieć, kto mieszkał w sąsiedztwie Słonicy, kim był ten olbrzym i gdzie go szukać. No i w gratisie poszukaj mi w swoim notesie takich, co lubili nietypowe fiki-miki, no, rozumiesz, z panną, co ma protezę albo z kobietą słoniem. Zrobi się po starej znajomości?

– Zrobi się... – Pietras odetchnął z ulgą.

– Czekaj, jeszcze nie skończyłem!

– Co takiego?

– Byłoby dobrze, gdyby takim klientem był doktor Walenty Jodłowski.

Myszowaty pokiwał głową.

– To żadna filozofia, on żyje z dziwek, bada i leczy te bez książeczek, spędza płody i tak dalej.

– No pięknie, jak chcesz, to potrafisz – ucieszył się Stolarczyk.

– A gdzie go znajdziemy? Nie chcemy nachodzić go w gabinecie.

– Tak się składa, że dzisiaj wieczorem będzie u mnie na Smoczej, przychodzi po premię.

– Wpadniemy jutro, pojutrze. Pa! – rzucił Zyga i opuścili lokal Myszwatego Pietrasa.

Sutener po ich wyjściu przysiadł i otarł pot z czoła. Będzie musiał oddać fanty. Straci mnóstwo mamony, ale lepsze to niż wylądować w ulu. Zbyt lubił wygody i swoje szykowne życie karawaniarza, by zamieniać dobre ciuchy, ciepły lokalik i wódeczkę w burdelach na zimną celę i drelich.

Policjanci szli ulicą, oglądając aparat fotograficzny.

– Nie wiedziałem, że z ciebie taki fotograf, ta poza, mina – powiedział z podziwem w głosie Zyga Stolarczyk. – Prawdziwy fachura!

– Ja też nie wiedziałem – odparł Kornel Strasburger. – Dobrze, że wymiękł, bo nie jestem pewien, czy zrobiłem mu zdjęcie, które do czegokolwiek się nadaje.

– Nie sądzę, mój królewiczu, nie sądzę – zaśmiał się przodownik. – Nie zdjęłeś nawet tego kapturka z obiektywu.

Obaj wybuchnęli śmiechem, ale szybko się opanowali, przed nimi był ciężki wieczór. Weszli do bramy, z której obserwowali ich Kordaszewski i Lipko.

– Jak poszło? – zapytał przodownik Kordaszewski. – Twarze kolegów zadowolone, wnoszę z tego, że koncertowo?

– Na tyle koncertowo, że czeka nas jeszcze jedna robota... Pomożecie? – poprosił Strasburger.

– Się wie! – Waldemar Lipko zgodził się bez wahania. – Nie możemy położyć paru dni pracy, śledzimy was, notujemy, w kajecikach nie ma żadnych zdronnych notatek, a wszyscy chcemy, by tak pozostało aż do samego końca.

Zyga wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, zapalili i zaczęli rozmawiać o szczegółach wieczornej akcji. W takim towarzystwie papierosy smakowały znakomicie i Kornel Strasburger pomyślał sobie, że jest to ostateczny argument, by rzucić nile i przejść na coś tańszego.

Edward Giez miał się coraz lepiej i lepiej. Zarabiał więcej, przestał wynajmować sublokatorski kącik, stać go już było na mieszkanie z wygodami. Ciuchy miał takie, o jakich wcześniej nie marzył, pił i jadł, nie ograniczając się wcale a wcale. No i więcej wydawał na panienki, a w zasadzie na jedną, na Stellę, która dawała mu rozkosz i pewność siebie. Zauważył, że stał się o nią zazdrosny i gdyby go było stać, to trzymałby ją w domu wyłącznie dla siebie. Niechętnie przyjmował do wiadomości, że używają jej inni faceci, ale ona zapewniała go każdej nocy, że innym nie daje tyle, ile jemu. Pewnie tak było, bo był zawsze w siódmym niebie. Nie spotkał się nigdy z taką obsługą i tęsknił do następnego razu. Piękna prostytutka nie zawróciła mu jednak w głowie do końca, jego marzeniem wciąż pozostawała koleżanka z pracy, nawet teraz, gdy stał, trzymając się ręką metalowej ramy łóżka, a Stella klęczała przed nim, wyobrażał sobie, że chwile rozkoszy zawdzięcza pannie Alicji. Ta wizja przyśpieszyła koniec, szarpnęła nim miłosny spazm, niemal zaryczał z zachwytu, wbijając palce we włosy Stelli.

Aspirant Strasburger ostrożnie uchylił drzwi lewą ręką, w prawej trzymając rewolwer, po czym zajrzał do środka. Jego oczom ukazał się najpierw blady, tłusty tyłek upstrzony pryszczami i rytmicznie podrygujący. Tłuszcz drgał jak galareta, a jego właściciel, spocony jak mysz doktor Walenty Jodłowski, miał spodnie opuszczone do kolan, przeraźliwie dyszał i sapał, próbując zagłębić się jak najmocniej we wnętrze dziwki, która oparta była o przeraźliwie trzeszczącą komodę. Kurwa, której twarz widział z profilu w lustrze, zdawała się wyrażać kompletny brak zainteresowania tym, co dzieje się na jej zpleczu. Koncentrowała się na tym, by utrzymać równowagę, a jeśli jej oblicze wyrażało jakieś emocje, to była to troska o coraz mocniej rozchwianą komodę. Wprawa i doświadczenie, które posiadała, uprawiając najstarszy zawód świata, pozwalały jej jednak na podzielność uwagi, więc namiętym głosem jęczała słowa, które miały nie tylko przekonać klienta o niezwykłych rozmiarach jego męskości, ale także spowodować, by jak najszybciej zakończył pobieranie usługi, za którą zapłacono jej wizytą lekarską. Lekarz poświęcił jej pięć minut, nie widziała więc powodu, by on sam miał teraz dłuższy seans.

– Ach mój koteczku, mocniej, mocniej! – błagała. – Rób mi tak jeszcze, tygrysie, ale uważaj, żeby mnie

nie przerznąć na pół!

Odgłosy wydawane przez Jodłowskiego, a następnie rytm, w jakim komoda zaczęła uderzać o ścianę, wskazywały, że dodatkowa słowna stymulacja trafiła w sedno.

– Różnij Walenty! – jęknęła kurwa.

Grubas Jodłowski wręcz zawył z zachwyty, a aspirant miał ochotę splatać mu teraz jakiegoś psikusą i przerwać ten odrażający seans. Pohamował się jednak, bo pomyślał, że gdyby to zrobił, to pewnie zaraz padłby trupem jako ofiara wieprza w furii, chyba że zatrzymałby go ołowiową kulką z rewolweru. W takiej sytuacji nie trzeba było być notorycznym mordercą lub choćby raptusem, by popełnić zbrodnię. Istniała także inna możliwość, serce nie kondom i może pęknąć Jodłowskiemu jak mydlana bańka. Strasburger wycofał się więc z pokoju i ze wstrętem słuchał dźwięków, czekając na ten, który oznaczać będzie spełnienie. Wtedy ponownie wejdzie do środka i obezwładni grubasa. Odgłos, który dobiegł ze środka, dobitnie świadczył o udanym finiszu, doktor Jodłowski zawył z radości, w tej samej chwili z hukiem rozleciała się komoda, a kurew wrzasnęła: – Zapłacisz za to! To był całkiem nowy mebel!

– Wchodzimy, Zyga! – krzyknął Strasburger do Stolarczyka, który siedział w korytarzu na chybotliwym krześle. Przodownik zdawał się spać, ale nagle wyskoczył jak na sprężynie i wpadł z impetem do pokoju. Szybko dopadł doktora, który nie zdołał jeszcze ochłonąć po tym, co się stało kilka chwil temu. Jego wędnący koniec wciąż jeszcze tkwił w dziwce, która przestała się wydzierać i liczyć go za komodę, tylko warknęła: – A co to znowu jest!

– Policja Państwowa! – Strasburger pokazał legitymację.

Dziwka wzruszyła ramionami, obciągnęła spódnice i chwyciła się pod boki.

– Książeczkę mam w porządku!

– Ale to on jest nie w porządku! – odpowiedział Stolarczyk. – Zmiataj stąd!

Panienska prychnęła i szybko wyszła z pokoju. Na widok Stolarczyka Jodłowski najpierw zbladł, a chwilę później spurpurowiał, rycząc: – To napaść, to twój koniec w policji!!! Zaraz zawezwę porządných funkcjonariuszy!

Ci najbardziej porządni i zaufani stali w bramie na dole i pilnowali, by żaden patrol nie wpadł przez przypadek do burdelu, w którym Stolarczyk i Strasburger rozliczali się z Jodłowskim.

– Może i tak – zaśmiał się Stolarczyk. – Nie mówię wcale, że nie, ale także twój koniec na chawirze, tłusty ogierze! Co wolisz, żebyśmy pani Jodłowskiej Irenie z domu Zawadzka powiedzieli, gdzie cię znaleźliśmy, czy może palnę cię w łeb i przywieziemy ją tutaj, żeby cię ocuciła, wieprzu jeden?

Walenty Jodłowski był jak kameleon, bo po raz kolejny jego twarz zmieniła kolor, z purpurowej stając się błądą.

– A więc... – powiedział szeptem.

– A więc kłopot, poważny kłopot. Małżonka siedzi ci na dochodach, ale nie wie, co robisz w ramach pomocy biednym i jakie sprawy załatwiasz w mieście Łodzi. Taki z ciebie, kurwa, filantrop jak z koziej dupy trąba. Teścia, pana Leona Zawadzkiego, też by to rozczarowało.

Jodłowski otarł chusteczką pot z czoła. Ręka mu wyraźnie drżała, a po jego pewności siebie nie było już najmniejszego śladu.

– Czego chcecie? – zapytał roztrzęsiony.

– Nie dość, że kłamczuszek i rozpustnik, to jeszcze głupi – zarżał Zyga Stolarczyk.

Doktor wybałuszył na nich oczy i uśmiechnął się głupekowato.

– Mam wycofać oskarżenie?

– A czego się spodziewałeś, doktoru? – do rozmowy włączył się Strasburger.

Doktor Walenty Jodłowski stał zdezorientowany, a jego drżące ze zdenerwowania ręce nie były w stanie

zapiąć rozporka.

– Ale on... – wysapał.

– Kto on? – naciskał Strasburger.

– Mecenasa – odpowiedział doktor niepewnym głosem.

– Mecenasa? – powtórzyli chórem policjanci i niemal równocześnie sami sobie odpowiedzieli: – Jur-Muszyński ci zapłacił?!

Jodłowski milczał i wyglądał jak chłopak przyłapany na niestosownej zabawie pod kołderką.

– Nnnieeee – zajęczał.

– Dostałeś od niego pieniądze! Nie kręć, bo to jasne jak słońce! – Zyga klepał się po udach z ukontentowania. – Kupił cię, tusta łajzo!

– A ty katowałeś rannego! – Jodłowski nagle nabrał energii. – Wymuszałeś zeznania jak jaki bandyta. – Doktor uznał widocznie, że najlepszą obroną jest atak.

– Po pierwsze, przyznaj się, tłusty knurze, do tego, że dostałeś pieniądze, a po drugie, wiedz, że rozchodzi się o rzeczy gorsze, niż widziałeś wtedy w bramie. Ten skurwysyn krył mordercę, a poza tym sam o mało nim nie został. – Stolarczyk złapał Jodłowskiego za kłapy i przyciągnął go do siebie. Spojrzał mu w twarz z odległości paru centymetrów i wycedził: – Czy ktoś próbował cię kiedyś zabić? Zapewne nie i nikt nie próbował cię jeszcze porządnie obić, a ja się nie zawaham, bo musimy dostarczyć w ręce kata najniebezpieczniejszego człowieka w mieście! Obicie ciebie czy jakiegoś bandziora nie jest ceną, której nie warto byłoby za to zapłacić!

Doktor Jodłowski spuścił wzrok.

– Nie robię tego dla przyjemności – ciągnął Zyga – tylko z poczucia obowiązku. Najchętniej bym cię stłukł do nieprzytomności i zawołał pogotowie. – Przodownik podstawił Jodłowskiemu pięść pod nos. – Ale to nie byłby koniec zabawy, bo przedtem zadzwoniłbym do twojej żonki i teścia.

Doktor Walenty Jodłowski znów wytarł spocone czoło.

– A pieniądze? – zasapał.

– Pieniądze? – wtrącił Strasburger.

– No, pieniądze od mecenasa...

– Już ich nie masz? – zdziwił się Stolarczyk.

– Rozeszły się... – Jodłowski niemal zachlipał.

– Ale czemu on ma się o tym dowiedzieć?

– A to się nie rozejdzie? – zdziwił się Jodłowski.

– Nie wiem, ale na pewno rozejdzie się o twoich wizytach w burdelu, jeśli jutro podczas rozmowy z funkcjonariuszami z wydziału dyscyplinarno-personalnego nie powiesz pan, jak było naprawdę! – przemówił łagodnym głosem aspirant Strasburger.

Walenty Jodłowski był zdezorientowany, zapytał więc: – Ajak było?

– A było tak, że łobuz próbował mi wyrwać broń, więc oberwał. Rozumiemy się? – Zyga Stolarczyk się uśmiechnął.

Doktor pokiwał głową.

– Powiesz pan, że to się nie mieści w głowie, żeby policjant bronił się tak agresywnie, że nadużyłem władzy, że przecież mogłem go poprosić, żeby się nie rzucał... – Z twarzy Stolarczyka nie schodził dobrotliwy uśmiech, jaki miewają dentyści tuż przed wyrwaniem pacjentowi zęba.

– Wyjdę na idiotę! – obruszył się doktor.

– Lepiej na idiotę niż na kłamczucha, który musi odwołać zeznania... – przymilnie powiedział

Strasburger.

– A może nawet kłamczucha i dziwkarza! – dodał także z niezwykle miłą miną Zyga Stolarczyk.

– Lepiej chyba być doktorem, który nie zna się na prawie i który pod naciskiem policji przypomina sobie nowe szczegóły. Po prostu ignorant! Ignorant, a nie idiota. – Przodownik wytarosił doktora po policzku.

Doktor westchnął ciężko i machnął bezradnie ręką.

– Dobrze, już dobrze... – powiedział zrezygnowany.

– Pięknie pan doktor wybrał, bardzo rozsądnie – pochwalił Jodłowskiego Kornel Strasburger, klepiąc go na odchodne po plecach.

Doktor Jodłowski nic już nie mówił, tylko drżącymi rękoma dopinał rozporek, nie dana mu była jednak chwila ciszy, bo do pokoju wróciła dziwka, która zaryczała: – Komoda, to była całkiem nowa komoda!

Schodzący po schodach burdelu policjanci zaśmieli się głośno, ale doktorowi Walentemu Jodłowskiemu wcale nie było do śmiechu.

Życie lubi płatać figle. Nadkomisarz Słubica-Popielski wrócił właśnie z Senatorskiej 12, gdzie mieściło się Biuro Komendanta Policji Państwowej miasta stołecznego Warszawy. Spodziewał się, że znacznie dzień, mając w szeregach śledczych wakacje, ale w szczegółowej rozmowie z doktorem Jodłowskim i po precyzyjnych pytaniach okazało się, że sytuacja nie wyglądała do końca tak, jak to wcześniej doktor opisał. Nadkomisarz z przerażeniem pomyślał, że być może Stolarczyk zmusił doktora do zmiany stanowiska, ale okazało się, że był on pod stałą obserwacją dwóch agentów, których sprowadził z Łodzi wydział personalno-dyscyplinarny. Słubica-Popielski ucieszył się, bo choć przodownik Stolarczyk nie do końca okazywał mu właściwy szacunek, to jednak był to dobry policjant, któremu dawno już na pagonach wyjściowego munduru powinna pojawić się nie tylko obwódka mówiąca o tym, że jest przodownikiem, ale i lamówka oznaczająca stopień starszego przodownika. Wystąpiłby o awans po tym, co się stało na Kamiennych Schodkach, ale późniejsza awantura i podejrzenia nie tworzyły dobrej atmosfery dla takiego przedsięwzięcia. Na razie musi sobie poradzić ze sprawą zabójstw. Niestety przodownik, podobnie jak jego szef aspirant Strasburger, uważał, że nie ma związku między morderstwami. A on uważał, że taki związek jest, i dowiedzie tego. Musi. Po ostatniej zbrodni miał już w ręku klucz do rozwikłania zagadki. To także jego szansa, wielka szansa, aby nie tylko pokazać niedowiarkom, że jest doskonałym śledczym, ale i ugrać coś znacznie większego. Nadkomisarz podniósł słuchawkę telefonu: da Wolfowi dyspozycje, by przekazał przodownikowi Stolarczykowi, że jego przymusowy urlop dobiegł końca, a później poinformował całą resztę, że w poniedziałek odbędzie się nadzwyczajna odprawa. I jeszcze jedno, musi polecić Wolfowi, by ten sprowadził na kwadrans przed odprawą aspiranta Strasburgera oraz zaprosił specjalnych gości spoza ich brygady.

Ostatnie dni były ciężkie, lecz miały dobre zakończenie. Zaryzykowali, ale opłaciło się, bo najście na zakład Myszowatego i wizyta w burdelu na Smoczej przyniosły Zydze przywrócenie do służby. Prawo prawem, przepisy przepisami, a wciąż pięścią i szantażem można było zwojować więcej niż przy użyciu metod naukowych i odwoływania się do obywatelskich obowiązków i odpowiedzialności. Zyga potrafił docisnąć, nie ma co! Gdyby tak wziąć w obroty tego mecenasa Jura-Muszyńskiego, gdyby przynajmniej dać mu ogon... Tak, to był trop, to była jedyna pewna szansa, chyba że w końcu agenci z brygady lotnej albo informatorzy przyniosą jakieś informacje.

No i był jeszcze doktor Józef Potocki, który skończył sekcję zwłok Słonicy i starszego przodownika Spsychalskiego. Kornel wzdygnął się na myśl, co czeka go za parę minut, i żeby wizyta w przystani Charonów nie była taka okropna, pomyślał o poniedziałku i o nadzwyczajnej odprawie oraz zaplanowanym na ten sam dzień spotkaniu z szefem. Podskórnie czuł, że nie będzie to miła rozmowa, że nadkomisarz Słubica-Popielski nie będzie go chwalił, bo i za co? W tramwaju usiadł na samym końcu i dyskretnie przeglądał fotografie z miejsc zbrodni. Madame Gala, małżeństwo sutenerów z Krochmalnej, artysta Luks i Czarny Piotruś, dziwki z Kamiennych Schodków, panna Elefant i policjant. Dziewięć trupów i żadnych konkretnych dowodów bezrybie, smutek i bezradność. Wobec takich problemów wizyta w prosektorium

jawiała się jak spacer po parku zdrojowym.

Zapukał i usłyszał – wejść! Wszedł zatem do środka. Panna Elefant spoczywała na jednym, a policjant na drugim stole, na szczęście obydwójce byli przykryci. W środku unosił się słodkawy zapach śmierci zmieszany z aromatem kawy. Strasburger już wiedział, że przez najbliższych kilka dni nawet się do kawy nie zbliży. Doktor Józef Potocki stał z parującym kubkiem i uśmiechał się, jakby był żywą reklamą czarnego jak smoła napoju.

– Dobrze, że pan jest – powiedział na powitanie. – W samą porę, właśnie miałem ich chować do chłodni!

– A to wielka szkoda, że się nie spóźniłem. – Strasburger nie krył, że grzebanie w trupach, a już w szczególności ekshumacje nie były jego żywiołem.

– To potrwa sekundę!

Doktor wprawnym ruchem odsłonił przykryte prześcieradłami zwłoki.

– Widzi pan, że zarówno jedno, jak i drugie ciało jest pokancerowane w identyczny sposób? Teraz, gdy oczyściłem rany z krwi, widać to doskonale.

– Tak, widać – westchnął aspirant. – Czym ich bito i czy były to rany śmiertelne?

– Śmiertelne były inne obrażenia, ona ma pękniętą podstawę czaszki. Obrażenia oraz ślady na poręczy łóżka wskazują, że zginęła, uderzając głową o metal. On z kolei, co zapewne pana nie zaskoczy, miał złamany kark. Przestępca tłukł ludzi już umierających lub wręcz nieżywych.

– Czym bił?

– Służbowym pasem Spychalskiego. I nie bił, lecz bili... – Potocki zawiesił głos.

– Technicy uważają, że była tam tylko jedna osoba, ten olbrzym! – żywo zaprotestował Strasburger.

– Ale na spodniach i koszuli policjanta oraz za paznokciami była krew Berty Preiss! – Doktor mówiąc te słowa, wyglądał jak ktoś, kto wyciągnął asa z rękawa.

– Czyli... – zastanowił się Strasburger.

– To pan jest detektywem! – Doktor Józef Potocki wypowiedział te słowa z żydowskim akcentem, jakiego Strasburger jeszcze u niego nie słyszał. Śledczy zrobił kółko w małej sali, obchodząc stoły, na których leżały ciała. Więcej nie trzeba było mówić, nie trzeba było. Opowiadanie młodego posterunkowego, niechęć, wręcz strach mieszkańców... Zbrodnię dokonaną na przodowniku Spychalskim poprzedziło morderstwo dokonane przez niego samego. Musiał ochłonąć, gdyby nie to, że tego się tutaj nie robiło, toby zapalił. Nigdy wzięcie papierosa do ust i palenie, wciąganie dymu tytoniowego wraz z powietrzem z tego przybytku nie przyszłoby mu do głowy, ale dzisiaj chciał zapalić.

– Był pijany? – zapytał doktora.

– Mocno, badania krwi nie kłamią.

– No to przodownik Spychalski narobił nam zamieszania. Już go ogłoszono policyjnym bohaterem...

Strasburger dalej nerwowo kręcił się po salce, krążąc między marmurowymi łóżkami, na których leżały zwłoki Berty Preiss i przodownika Konrada Spychalskiego.

– To pasuje do mojej układanki, a raczej do rozbitej mozaiki, jaką jest ta sprawa, ale wobec tego, jaki jest udział w niej policjanta, z którego zdążono już zrobić nie tylko ofiarę, ale i wzór dzielnego funkcjonariusza, robi się nie lada jaki kłopot. Po pierwsze, przełożeni nie lubią takich odkryć, po drugie, do czego tam doszło, co się stało?

– Masz pan problem, ja już nic nie pomogę – strapiionym głosem i znów z żydowskim akcentem powiedział doktor Potocki, ale za chwilę uśmiechnął się i po swojemu zażartował: – Bo to pechowe imię jest.

– Kornel? – zapytał Strasburger.

– Nie, Konrad. Interesuję się trochę historią i dla mnie to imię księcia cymbała, co sprowadził nam na

głowę Krzyżaków!

– Nam? – zaśmiał się Strasburger – panu i mnie?

– Ma się rozumieć, nam obywatelom Rzeczypospolitej, a jakby inaczej, no bo chyba nie naszym przodkom?

– Moi przodkowie siedzieli jeszcze wtedy w Niemczech, a pańscy, doktorze Potocki...

– Moi zapewne przybijali wtedy Jezusa Chrystusa do krzyża. Ja wiem oczywiście, że to nie było wtedy, tylko tysiąc dwieście z groszami lat wcześniej, ale zdaniem wielu my cały czas przybijamy do krzyża waszego Zbawiciela, a jak nie, to upuszczamy krew niemowlętom, a propos, nie poczęstuje się pan macą? Doprawdy wyborna.

Strasburger zaśmiał się serdecznie, bo lubił dobre żarty, a jeszcze bardziej lubił żartami na żarty odpowiadać i to nawet w tak nie komfortowej sytuacji jak ta. Nie dość, że był w prosektorium, to jeszcze śledztwa leżały, a on cały czas myślał o poniedziałkowym spotkaniu z nadkomisarzem. Nie powstrzymało to jednak śledczego od podjęcia błazeńskiej rękawicy i wygłoszenia riposty: – Nie, dziękuję, mam kanapki z szynką – uśmiechnął się kusząco – mogę się z panem doktorem podzielić!

– Ależ bardzo chętnie – odparował niespodziewanie doktor – ale nie lubię jeść sam...

Obaj parsknęli śmiechem, jakby oglądali film z Fertnerem albo z Chaplinem czy prawdziwym Dodkiem.

– Dziękuję za chwilę radości, doktorze, pewnie ostatnią w dzisiejszym dniu.

– Aż tak źle? Przecież za chwilę opuszcza pan prosektorium, do którego pan nie lubi przychodzić.

– Ma pan rację, doktorze, ale poza tym budynkiem czekają mnie większe nieprzyjemności. Nie lubię nieboszczyków, to fakt. Zapach też mi nie leży, ale lubię z panem rozmawiać. Nie znoszę za to rozmów ze swoim przełożonym, a już zwłaszcza wtedy, gdy wzywa mnie przed odprawą.

– Ładny dzień się panu kroi, nie ma co...

– To nie dzisiaj, tylko w poniedziałek, ale nie spodziewam się niczego dobrego, bo ostatnie miesiące są najgorsze w mojej karierze. Trup ściele się gęsto, niemal jak na froncie, a ja nie wiem, kto morduje i dlaczego. Ani jedno z moich śledztw nie posunęło się do przodu. Nie mam żadnego pomysłu, żadnej idei. Ani ja, ani przodownik Stolarczyk, ani żaden z sędziów śledczych. Jedyni, których aż roznosi od nadmiaru pomysłów, to nadkomisarz Słubica-Popielski i ten dziennikarzyna z „Expressu”.

– Edward Giez... – raczej stwierdził, niż zapytał Józef Potocki. – Zrobiła się z niego prawdziwa gwiazda! Nie chcę nic mówić, ale to on najbardziej na tych zbrodniach skorzystał.

Strasburger spojrzał na doktora z wyrzutem.

– Ależ panie aspirancie, ja tylko żartowałem!

– Ale mój szef nie żartuje! – odburknął Strasburger. – On daje sobie wcisnąć każdy kit, a zwłaszcza ten, który wciska Giez albo któryś z jego kolegów. Niechby tylko „Ikac” czy „ABC” puściły taką rewelację!

– Albo sam Giez, żeby podnieść nakład – zaśmiał się doktor, po czym spoważniał. – Uważa pan, że to takie nieprawdopodobne?

– Pan znów żartuje, doktorze?!

– I tak, i nie.

– Niech pan to łaskawie wyjaśni, przecież skoro to przodownik zabił pannę Elefant, to nici z całej układanki.

– Ale masz pan Goliata, znali się z Madame Galą i był zaplątany w tę ostatnią zbrodnię.

– Ale nie w pozostałe!

– A mnie coś mówi, że jednak tak, że zarówno to, co się stało na Krochmalnej, jak i zabójstwo pana Luksa i jego szemranego przyjaciela oraz tych dwóch panienek z Kamiennych Schodków to jedna całość!

– Udowodnij to pan!

Doktor rozłożył ręce.

– Tak czuję, tak mi coś podpowiada, ale nie wiem, jak to się łączy! Wiem tylko, że nie jest tak, jak chce ten cały reporter Giez. On to łączy podług życzeń, a nie dlatego, że ma twarde dowody.

– To jest już was trzech, a w zasadzie czterech! – wybuchnął Strasburger. – Pan, mój szef, Giez, a nawet przodownik Stolarczyk. Nic, tylko strzelić sobie w łeb!

– Lepiej nie, bo tylko pan będzie potrafił to rozwikłać – uśmiechnął się doktor.

Pożegnali się i aspirant Strasburger ruszył w kierunku Urzędu Śledczego. Nie śpieszył się, bo i do czego, więc jak zwykle pozwolił sobie na oczyszczający spacer. Szedł szybko, jakby chciał, by powietrze związało z niego to wszystko, co osadziło się na nim i jego ubraniu podczas wizyty w prosektorium. Gdyby Chałubińskiego szła dalej w kierunku dzielnicy żydowskiej, to raz-dwa znalazłby się przy Twardej, która biegnąc z południowego zachodu na północy wschód, cięła na ukos od torów kolejowych w Alejach Jerozolimskich przez Chmielną, Żelazną, Żółtą, Sienną, Śliską, Pańską i Mariańską aż od placu Grzybowskiego. Ulicę Chałubińskiego kończyły jednak tory, a jej przedłużenie było wyłącznie w planach, podobnie jak podziemna kolej czy Port Lotniczy na Okęciu. Ruszył więc w kierunku Ogrodu Pomologicznego, który wypełniał potężny kwadrat między ulicami Chałubińskiego, Hożą, Emilii Plater i Nowogrodzką. Kawał ziemi w pięknym miejscu, pięć hektarów, które kiedyś ktoś komuś sprzeda za fortunę, pomyślał Strasburger. Doszedł do Dworca Głównego i zaczął się zastanawiać, kiedy go skończą i jak będzie funkcjonował tunel linii średnicowej, bo przecież tylko kolej dojazdowa była, podobnie jak tramwaje, na prąd. Lokomotywy wypełniające dymem tunel uczynią z tego miejsca piekło, pomyślał, zapalając ostatniego papierosa. Może kupi sobie sporty? Są pięć razy tańsze, a wtedy na Wolskiej, gdy Zyga poczęstował jego oraz chłopaków z Łodzi, smakowały całkiem, całkiem...

Zapalił i o mało nie zakrztusił się dymem, bo zdał sobie sprawę, że od ponad kwadransa myśli wyłącznie o jakichś pierdołach. Powinien zastanowić się nad tym, co należy zrobić z nieudanymi śledztwami, co w poniedziałek powiedzieć nadkomisarzowi. Problem polegał jednak na tym, że jedyne, o co mógł prosić szefa, to o cierpliwość. Nie lubił prosić, ale to nie był problem, bo teraz gotów był na wiele, by nie stracić tych spraw. Wiedział, że to nie będzie rozmowa, lecz przemówienie. Nadkomisarz Słubica-Popielski będzie mówił, a on będzie musiał cierpliwie i pokornie słuchać. O ile potrafił poprosić albo przyznać się do błędów, o tyle pokorne słuchanie i cierpliwość nie były jego mocnymi stronami. Miał jeszcze dwa dni, może zdarzy się cud. Byłby to cud naukowy, niemal zupełnie jak z trzeciego punktu podręcznika Służby Śledczej. Posługiwanie się metodami naukowymi, daktyloskopią nie przynosiło na razie w Polsce pożądanego efektów, ale za granicą... Niedawno powstała metoda wyszukiwania odcisków palców na odległość! Zadzwoił na Ciepłą, dostał opis odcisków, które udało się zebrać, sporządził odpowiedni raport, a ludzie z wydziału rejestracyjnego zadzwonili do swych odpowiedników w Stanach Zjednoczonych, Paryżu, Berlinie, Londynie i Buenos Aires. Nie liczył na cuda, a już na pewno nie na to, że wydarzy się coś, co poprawi jego pozycję przed poniedziałkowym spotkaniem z nadkomisarzem. Dwa dni to za mało na zwykły, nawet podparty metodą naukową cud. To musiałby być cud superekspresowy, a o takich jeszcze nie słyszał.

Zyga Stolarczyk znów był w grze. W oficjalnej grze, bo nieoficjalnie nie zszedł z areny nawet na chwilę, walczył, grał, kombinował. Oczywiście nie sam, lecz wspólnie ze Strasburgerem oraz z chłopakami z Łodzi. Gdyby nie oni, to byłaby kiła mogiła. Zdecydowały upór oraz śmiałość i zawodowa solidarność połączone z działaniami dalekimi od regulaminowych. I to jest to, i właśnie tego powinni się trzymać. W głowie miał już plan, który doprowadzi ich do celu, wszystko sobie poukładał i co najważniejsze, wiedział, z kim to robić. Jednego poznał osobiście, drugiego znał z opowiadań. Obaj oczywiście mogli się na jego propozycję wypiąć, ale coś mu podpowiadało, że tak się nie stanie. Stworzą zespół, którego nie będzie w żadnej oficjalnej notatce, dojdą po nitce do kłębka, zrobią to! Wiedział, że Kornel na to pójdzie, i wierzył, że tamtych dwóch do nich dołączy. Miał trochę czasu i rozpierała go energia, więc wybiegł z Urzędu Śledczego. Zdąży, musi zdążyć, bo Niska i Ciepła nie były zbyt daleko, jak dopisze mu szczęście, to będzie ich czterech. Dzięki pomocy łódzkich psów ugrali wiele, a to wsparcie powinno im dać

przynajmniej tyle samo. Wskoczył do tramwaju i rozpostarł gazetę, na pierwszej stronie krzyczał tytuł: *TAJEMNICZE ODNALEZIENIE SREBER HRABIEGO KOŁTUBAJA!* Tajemnicze, uśmiechnął się pod wąsem Zyga Stolarczyk, oj, niedługo jeszcze napiszecie o paru sensacjach, moi chłopcy, i to większych niż śmierć najtłustszej panienki w mieście i starszego przodownika z Niskiej.

Taki pies nie powinien żyć. Miejsce takiego psa powinno być między innymi kanałiami, takimi jak ci, których rozwalali w czasie rewolucji. Żandarmi, stójkowi, tajniacy i szpicle. Waliło się do nich aż miło. Do nich, a jak trzeba było, to do alfonsów i ich dziwek. Gdy uciekli, to rozprawili się z ich kurewskim majątkiem. Wywalali przez okna meble, tłukli szyby, pruli poduszki i kołdry. W ciepły wiosenny dzień ulice wyglądały jak zimą, tyle białego puchu latało w powietrzu. Czasem też poleciał jakiś alfons, słyszał o takich rzeczach, ale sam nie miał okazji. A na koniec polewało się dywan naftą i podpalało. Wtedy dopiero pojawiali się mundurowi, ale nie żandarmi, policjanci czy wojskowi, lecz straż ogniowa. Tylko strażacy i pogotowie: gasili pożary, zbierali rannych i trupy, ale nie przeszkadzali. Były miejsca, gdzie krew płynęła strumieniami. Widoki z przeszłości były tak plastyczne, tak realne, jakby znów się tam znalazł. Widział to, słyszał jęki pobitych i okaleczonych, teraz też to usłyszał, nie wiedział, czy jęk i stłumiony krzyk, który do niego dochodził, brzmiał naprawdę, czy tylko w jego głowie, ale ten, który doskonale wyławiał spośród innych odgłosów, był prawdziwy. Zanim wstał, wypił kieliszek wódki. Nie powinien tyle pić, ale co mu zostało? Prowadził teraz podły interes, interes pachnący śmiercią i cierpieniem. Interes jak każdy inny. Tak to traktował, więc doprowadzi rzecz do końca, bo zawsze poważnie podchodził do roboty.

ROZDZIAŁ VI

w którym pożar w burdelu wcale nie jest najciekawszym przedstawieniem w mieście, nadkomisarz Słubica-Popielski daje wielki pokaz, a w grze pojawiają się nowe figury.

Zapiął spodnie, otarł skrwawione ręce w sukienkę i zaczął szukać po kieszeniach zapalek. Dłonie po spełnieniu, którego zaznał kilka minut temu, nie przestały drżeć, a z niego wcale nie zeszło napięcie. Stosunki cielesne przynoszą ulgę, ale nie wtedy, gdy są częścią egzekucji, a to przecież była egzekucja i zemsta w jednym. Położył zapalnik na stoliczku, a wziął z niego lampę. Polał zwłoki naftą, nzbierał gazet i papierów, podsunął je pod łóżko, a resztkę łatwopalnego płynu wylał na makatkę wiszącą na ścianie. Powinno wystarczyć, to był drewniany strych, łóżko, kołdra i ściany zajmą się jak nic, później ogień strawi belki, a te albo przekażą ogień na dach, albo spalą się, załamią i pogrzebią wszystko w kibinimaty. Uderzył zapalnik o draskę, ogień wesoło załopotał, a on przyłożył zapalnik do nasączonego naftą ubrania. Kolejną przytknął do pościeli, ogień buchnął tak, że aż osmalił mu rzęsy. Pięknie płonie, zanim kto się zorientuje, będzie za późno. Może nawet pójdzie z dymem reszta kurew i tałatajstwa, które mieszka w tym podłym domu. Leżą zmożeni snem, dziwki, alfonsi, ich dzieci oraz klienci. A i sąsiedzi też nie są nic warci. Niech się stanie! To myśląc, rozbił o ścianę butelkę z tanim winem, którym dziwka raczyła klientów. Szkło rozprysło się po pokoju, a czerwona plama wina zaczęła spływać po brudnej tapecie. Nerwowo poruszył szyją niczym bokser rozluźniający się przed walką, po czym stanął spokojnie, odchylił głowę ku niebu i rozłożywszy ręce na boki, zaczął recytować pod nosem słowa modlitwy. Zmarły to zmarły, nawet jeśli dziwka i to z tych najpodlejszych. Podszedł do miski, nalał z dzbanka wody i obmył ręce, bo na stare lata zrobił się religijny.

Wytań ręce i rzucił ręcznik w płonący ogień, znów nerwowo poruszył szyją, a na jego twarzy pojawił się grymas, który można by uznać za uśmiech. W końcu poczuł coś na kształt zadowolenia, a przynajmniej małą ulgę. To jeszcze nie koniec, ale blisko finału, jeszcze tylko jedna osoba, jedna franca, od której trzeba uwolnić świat.

Czuł się jak wędrowiec, który po marszu w szalejącej zamieci wkracza do ciepłego pomieszczenia i przy płomieniach paleniska odzyskuje czucie w członkach. Ogień wystrzelił wysoko, prawie dochodził do twarzy, nie musiał się już wspomagać cytatami z Pisma, sam wiedział, co myśleć o tym, czego był nie tylko świadkiem, ale i sprawcą – koniec tej sodomy i gomory, tych nowych plag egipskich, wszechobecnej rozwiązłości, wyuzdania i kurewstwa. Ogień bił mu niemal w twarz, spojrzał jeszcze raz na swoje dzieło, obrócił się i wyszedł, pozostawiając otwarte drzwi. Podmuchał powietrza sprawił, że pokój zmienił się w prawdziwe piekło. Spokojnie zszedł po schodach, gdy wychodził z bramy, usłyszał krzyk: – *Hilf, hilf! Naoun, pali się!*

W tym samym momencie rozległy się dzwony w koszarach mirowskich, gdzie urzędowała jednostka straży ogniowej, widocznie obserwator czuwający na wysokiej czatowni dostrzegł już dym unoszący się ponad ulicą Smoczą.

Warszawa, poniedziałek 22 września 1930

O pożarze wiedzieli wszyscy, bo nie było takiego wybuchu ognia od kwietnia, gdy palił się Dom Mody Hersego. Tak jak parę miesięcy temu, strażacy długo dogaszali zgliszczca, wyrabując fragmenty poddasza i dachu. Gazety miały używanie, były dodatki, notki, ale temat szybko zszedł ze szpalt, bo brakowało najważniejszego: ofiar. Edward Giez od początku uważał, że nie jest to interesujący temat dla kogoś takiego jak on. Czuł się gwiazdą i nie bił się o takie byle co, to już nie te czasy, gdy sierpniowy upadek

bregueta[36] był dla niego nie lada jaką atrakcją. Temat dostał wtedy Janusz, niech więc i teraz się wykaże. Parę miesięcy temu to był rarytas, cymesik, bo Giez nie miał jeszcze swojego polskiego Kurtena, warszawskiego Kuby Rozpruwacza. Giez nie był jeszcze reporterem śledczym, a poza tym gdzieś tam pożarowi na Murdzielu do samolotu, który zaczepił skrzydłem o dom przy Kopińskiej pod numerem siódmym. Samolot przeleciał przez budynek, zawadził o druty elektryczne i wybuchł na środku ulicy. Eksplozja była tak silna, że z dymem poszedł drewniak stojący pod numerem dziewiątym. Jedna chwila i żywcem spłonęły trzy osoby, dwóch pilotów i mieszkańiec drewniaka, a dziewięć, które miały więcej szczęścia, trafiło do szpitala. To było coś, a nie jakaś sfajczona rudera przy Smocznej. A kogo to interesuje, paru lekko rannych, co innego, jakby były trupy! Na razie jednak nie ugaszono pożaru, będzie coś wiadomo jutro, pojutrze, jak zaczną przeszukiwać pogorzelnisko, teraz nie było się czym ekscytować. Na miejscu był Rysio Muckenbrunn, który jak trzeba, powie mu o wszystkim. Po pierwsze, da chłopakowi parę złotych, a po drugie, Rysio to nie gapa i wie, z kim trzeba trzymać.

W Urzędzie Śledczym nie rozmawiano o pożarze ani więcej, ani mniej niż gdzie indziej. To nie było ich zmartwienie, przynajmniej na razie. Teraz uwijali się tam strażacy z remizy w koszarach mirowskich oraz mundurowi policjanci. Jak znajdą jakieś zwłoki, to będzie robota dla Brygady do spraw Ciężkich Zbrodni. Na razie trwało gaszenie, a u nich przy Daniłowiczowskiej szykowano się do odprawy. Nadzwyczajnej odprawy, tak zaanonsował ją asystent kierownika brygady aspirant Fryderyk Wolf. Pytany, czy coś wie, Wolf wymawiał się tajemnicą, ale puszczał oko, że będą się działy rzeczy ważne. Spotkanie miało się zacząć kwadrans po dziewiątej, po tym jak swoją sesję z szefem odbędzie aspirant Kornel Strasburger.

Równo o czasie, niemal co do sekundy, drzwi pokoju nadkomisarza Wawrzyńca Słubicy-Popielskiego otworzyły się i wyszedł z nich aspirant Wolf.

– Panie kolego, nadkomisarz oczekuje pana – zakomunikował Strasburgerowi.

Strasburger wszedł do środka, Słubica-Popielski podał mu rękę i wskazał na krzesło stojące przed jego biurkiem.

– Zapewne pan aspirant domyśla się, o czym będziemy teraz rozmawiać – nadkomisarz powitał swojego podwładnego.

Strasburger kiwnął głową.

– Zacznę od miłej sprawy, ale później już nie będzie tak miło – westchnął ciężko zastępca szefa Urzędu Śledczego. – Już pan zapewne wie, że przodownik Zygmunt Stolarczyk został uwolniony od zarzutów i wrócił do służby? Zapewniam pana, że ja także przyjąłem decyzję komisji dyscyplinarnej z dużą ulgą, cenię pana przodownika, podobnie zresztą jak i pana, panie aspirancie.

Strasburger nie zdążył nawet podziękować, bo Słubica-Popielski ciągnął dalej: – Tyle miłych kwestii. Zdaje pan sobie sprawę, że ze śledztwem jesteście panowie... Hm, jak to się mówi? – zastanowił się nadkomisarz – W lesie! W głębokim lesie. Wszyscy, cała kompania, panowie i zarazem moi podwładni oraz sędziowie śledczy, nie zrobiliście kroku w kierunku rozwikłania zbrodni, które niepokoją wszystkich. To już nie tylko sprawa żurnalistów, tych brukowych hien, które rozgrzewają warszawian, ale także coraz silniejsze zainteresowanie ze strony naszych przełożonych, i to tych najwyższych przełożonych! Najdalej za kilka dni sprawę obejmie nowy sędzia śledczy, tak zakomunikowali mi wysocy urzędnicy z ministerstw Spraw Wewnętrznych i Sprawiedliwości. Jeśli w panów ktoś wierzy, to już tylko ja i nasz wspólny przełożony pan naczelnik Sitkowski. A zatem... – to zawieszenie głosu nie zwiastowało niczego dobrego. – A zatem i ja muszę wykonać jakiś ruch! Wobec tego, że pan komisarz Przygoda jest na finiszu innej sprawy, którą interesują się najważniejsi ludzie w państwie, to ja przejmę i scalę to śledztwo. Załatwię tę sprawę *ab ovo usque ad mala*. Rozumie pan?

Co tu było do rozumienia. Strasburger nie był orłem z łaciny, ale znał sentencje. Interesowały go tylko one oraz historia starożytna, a cała reszta, słówka, gramatyka, te wszystkie zaimki i przyimki, hiki i huiki były jego utrapieniem. Nie miał do tego serca, ale zgrabne powiedzonka znał, więc kiwnął głową i powiedział: – Od jajka do jabłka, czyli od początku do końca...

– W rzeczy samej! – zdziwił się Słubica-Popielski. – Nie wiedziałem, że pan zna łacinę.

– Jest w szkole obowiązkowa, ale ja jej nie znam. Lubię za to sentencje.

Rozczarowany nadkomisarz machnął ręką.

– Szkoda, wobec tego ad rem! Nie odsuwam pana od sprawy, przejmuję kierownictwo, ale chcę, by pan pracował przy tym śledztwie. Oczywiście może pan odmówić, co z żalem musiałbym zaakceptować. Mógłbym panu wydać rozkaz, ale po co?

Strasburger wyciągnął asa z rękawa.

– Zakłada pan, że morderca jest jeden albo że jest to jakaś sekta? Otóż nie! Mordercą panny Elefant był przodownik Konrad Spychalski!

Aspirant spodziewał się jakiegoś gwałtownego zachowania ze strony przełożonego, lecz ten zareagował całkiem spokojnie.

– Wiem.

Zaskoczony aspirant Strasburger musiał chyba zrobić głupią minę, bo usłyszał: – Nie docenia mnie pan! Ma mnie pan za administratora, za kogoś, komu brakuje zmysłu i instynktu, by poprowadzić śledztwo?

W istocie tak było, ale Kornel Strasburger nie był samobójcą, by to potwierdzić. Nie był też gotowy na to, by przyznać szefowi, że go zaskoczył, za to całkiem szczerze wypalił: – Nie śmiałbym panu ujmować kompetencji i doświadczenia, panie nadkomisarzu, ale to przeczy pańskiej teorii! – W ten sposób Strasburger postanowił wybrnąć z niezręcznej sytuacji i postawić na swoim.

I bez tego nadkomisarz triumfował. Strasburger nie był jasnowidzem, by wiedzieć, że to nie instynkt i nie umiejętności, lecz informacja od podinspektora Juliusza Jagielskiego dostarczyła mu tej wiedzy. Zastępca naczelnika Urzędu Śledczego miał jeszcze coś w zanadru.

– Ale czy zarazem to nie pan znalazł coś, co jest dla mojej koncepcji kropką na i? Czy nie odkrył pan jeszcze czegoś? – zapytał, spoglądając znad okularów.

Strasburger milczał, bo domyślał się, o czym nadkomisarz mówi. Ale skąd i jak?

– Niedocenywanie ludzi, a zwłaszcza przełożonych, to wielka słabość i przyznam, że nie podejrzewałem pana o nią. – Wawrzyniec Słubica-Popielski uśmiechnął się triumfująco.

– Wiedziałem, że jest pan w prosektorium, a byłem ciekaw, co mogłoby się znaleźć w pana raporcie, gdyby oczywiście napisał go pan na czas. Dlatego zadzwoniłem na Ciepłą, a po tym, co usłyszałem, zawezwałem przodownika Połcia i przeprowadziłem jeszcze jedną konsultację. Szef Strasburgera zrobił zagadkową minę. – Teraz nie mam wątpliwości, że Goliat to klucz do naszej sprawy!

Strasburger czekał, aż nadkomisarz skończy przemowę, by zadać pytanie, które mogło zburzyć jego triumf, ale to nie był koniec, tylko pauza.

– W tym przypadku Goliat był tylko czyścicielem, kimś, kto ucisza jednego z uczestników tego procederu. To szajka, gang, stowarzyszenie, w którym Goliat jest głównym, ale nie jedynym egzekutorem, nie wiem nawet, czy Spychalski nie był jedynie narzędziem w jego rękach, narzędziem, które po użyciu należało wyrzucić na śmietnik. Wracając do przodownika Konrada Spychalskiego, to nie chce pan chyba niepotrzebnie polemizować z prasą, kompromitować policji i odbierać wdowie pięknej renty. Tej kobiecie i jej dzieciom należy się coś od życia, czyż nie? Gdyby żył i gdybyśmy wiedzieli na jego temat to, co wiemy teraz, to inaczej byśmy z nim zatańczyli, zostałyby przykładowie ukarany, a tak...

Strasburgera nieomal zatkąło, ale z ostatnim punktem argumentacji nadkomisarza nie było sensu dyskutować – współczuli jej, tak powiedział o rodzinie przodownika Spychalskiego młody posterunkowy Rybski.

– Ma pan absolutną rację, panie nadkomisarzu, teraz ukaralibyśmy tylko tę nieszczęsną kobietę i dzieci – przytaknął Strasburger. – Jest jeszcze jedna sprawa, o której pan zapewne wie po przeczytaniu raportów daktyloskopijnych. W żadnym z miejsc poza Niską nie było odcisków Goliata. To znaczy domniemyanych

odcisków, bo nie ma go w kartotece, ale tak je nazwaliśmy, bo są niecodziennych rozmiarów. Jeśli chodzi o pozostałe odciski, to jest niezwykle bałagan, wprost chaos. Mamy dziesiątki śladów, które nie należą do osób notowanych. Być może popełniali przestępstwa gdzie indziej, dlatego zaordynowałem, by laboranci z Ciepłej wysłali opisy drogą telefoniczną do swoich kolegów ze Stanów Zjednoczonych, Paryża, Berlina, Londynu i Buenos Aires. Niestety liczba była tak wielka, że w każdym przypadku poproszono o korespondencję listowną. Jutro koperty zostaną wysłane.

– To bardzo dobra decyzja, ale... – Słubica-Popielski wstał zza biurka. – Zdaje pan sobie sprawę, że czas nagli. Odpowiedź przyjdzie zapewne za dwa tygodnie, a my nie mamy tyle czasu. Nawet teraz nie możemy tracić ani chwili. Powołuję do życia Brygadę Specjalną Goliat, która będzie miała wsparcie we wszystkich brygadach Urzędu Śledczego, pan naczelnik Sitkowski przychylił się do mojej prośby, ten pomysł został przez niego zatwierdzony i parafowany.

– A jak, jeśli wolno zapytać, chce pan przeprowadzić to śledztwo?

– Pan pozwoli za mną, czekają na nas, za pół minuty powinna się zacząć odprawa, na niej przedstawię linię mojego śledztwa, zrobię to wobec kworum naszych funkcjonariuszy, by dwa razy wszystkiego nie powtarzać.

Nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski spojrział na zegarek, bo punktualność była dla niego sprawą świętą, a zegarek był tej świętości świątynią. Zanim weszli do sali, nadkomisarz zapytał jeszcze Wolfa: – Czy nasi goście już są?

Fryderyk Wolf skinął głową, a nadkomisarz uśmiechnął się i powiedział: – A więc wszystko zapięte na ostatni guzik!

Zyga Stolarczyk nie doczekał się na Kornela Strasburgera, zasiadł więc w sali z innymi. Wyjął z kieszeni cebulę i spojrzął na cyferblat. Duża wskazówka wskoczyła na XII, a mała stała już na IX, a więc za chwilę otworzą się drzwi i zgodnie z nową tradycją odzwiercieli Fryc Wolf wprowadzi swego szefa. Tak było za każdym razem, niemal co do sekundy, z punktualnością godną kolei państwowych albo szkoły, w której sumienny woźny daje dzwonkiem sygnał do rozpoczęcia lekcji. Nadkomisarz Słubica-Popielski był wzorem perfekcyjnej organizacji, dokładności i upierdliwości, przez co Żydze Stolarczykowi kojarzył się nie z księgarzem czy bibliotekarzem, lecz z belfrem, a jego przyboczny Wolf był wypisz, wymaluj jak klasowy lizus. Nie były to dobre skojarzenia, bo przodownik nie za miło wspominał swoje szkolne przygody. Ledwie sobie o tym wszystkim pomyślał, zaskrzypiały drzwi i aspirant Fryderyk Wolf wprowadził do sali szefa Brygady do spraw Ciężkich Zbrodni Wawrzyńca Słubicę-Popielskiego. A więc wszystko jak zwykle, akuratnie jak w zegarku, ale po chwili w drzwiach pojawiła się kolejna osoba. Stolarczyk zdębiał, bo mały orszak zastępcy naczelnika Urzędu Śledczego zamykał Kornel Strasburger! Aspirant stanął obok Wolfa, tuż za plecami Słubicy-Popielskiego, i wyraźnie próbował niezbyt zgrabnie odnaleźć się w tym towarzystwie.

Nadkomisarz przywitał zebranych i przeszedł do rzeczy.

– Plaga morderstw to problem dla nas wszystkich, to cień strachu rzucony na miasto i ziarno niepewności zasiane wśród tych, których powinniśmy bronić, oraz naszych przełożonych. Społeczeństwo, komenda Policji Państwowej, ta stołeczna oraz główna, a także Ministerstwo Spraw Wewnętrznych żądają od nas efektów. Tych nie ma, bo sprawa jest niezwykle złożona i trudna, zatem postanowiłem wspomóc panów Strasburgera oraz Stolarczyka i stanąć na czele zespołu specjalnego!

Przodownik Zygmunt Stolarczyk nie mógł uwierzyć w to, co słyszy, ale to był dopiero początek niespodzianek.

Nadkomisarz podszedł do tablicy i stanął przed śledczymi niczym profesor przed uczniami, a przodownik Stolarczyk miał wrażenie, jakby znów wrócił do szkoły.

– Panowie – zaczął dziarsko Słubica-Popielski – od maja mamy w Warszawie serię zbrodni związaną ze światem sutenerów i prostytutek. Mówiłem wielokrotnie, że te morderstwa się łączą, i miałem nadzieję, że prowadzący śledztwa pan aspirant Strasburger oraz pozostali panowie śledczy potwierdzą moje przypuszczenia. Stało się to dzisiaj!

Twarze Słubicy-Popielskiego i Wolfa wyrażały entuzjazm, ale oblicze Kornela Strasburgera było od jakichkolwiek uniesień bardzo dalekie. Aspirant sprawiał wrażenie wyraźnie zdezorientowanego.

– To proste, to banalnie proste dla każdego, kto otrzymał staranne wykształcenie – ciągnął nadkomisarz.

Teraz już nie był profesorem przed studentami, teraz był profesorem lustrującym gimnazjalistów. Dystyngowane, nieśpieszne ruchy podkreślały jego przewagi nad resztą policjantów. Nikt nie wiedział, jak wielkie one będą, ale tajemniczość i zapowiadana przez ruchy i minę nieuchronność triumfu komisarza emanowała tak mocno, że nawet stare wygi straciły pewność siebie.

Zrobił z tego skurczybyk ceremonię, pomyślał Zyga. I tak istotnie było.

– Panie aspirancie Wolf. – Nadinspektor kiwnął ręką do swojego współpracownika. – Niech pan podeszcie do tablicy, ma pan wyborny charakter pisma. Niech pan pisze podane słowa jedno pod drugim i pisz pan od dołu, ale tak, żeby zostawić na spodzie trochę wolnego miejsca! – zarządził.

– *Gula* – przełożony wydał kolejną komendę.

Wolf schylił się i starannie skreślił zadane słowo.

Gula to mi zaraz skoczy, bo to coś musi znaczyć, pomyślał Stolarczyk. Tylko co?

– *Invidia*... – Słubica-Popielski zawiesił głos.

Kreda zaskrzypiała po tablicy, ale Wolf jak pilny uczeń lub bezwzględny nauczyciel nie przerywał pisania. Obejrzał się tylko przez ramię, szukając aprobaty w oczach nadkomisarza. Czyżby skubany wiedział, w czym rzecz?

Stolarczyk nie wiedział, ale zauważył, że Strasburger drgnął. Do tego na jego twarzy pokazał się grymas, czyli zrozumiał. *Gula* to *gula*, ale *invidia*... Cholerne łacińskie słówka, pomyślał Zyga, co się za tym kryje? Coś mu to mówiło, ale tak jak się nie przykładał do obowiązków szkolnych, tak samo lekceważył swą ministrancką posługę.

Tymczasem nadkomisarz dyktował dalej.

– *Luxuria* – padło kolejne słowo, a Wolf wyraźnie wiedział, o co chodzi, tylko Zyga nadal nie chwycił, co jest grane. Dzwon bił, ale nadal nie wiedział, w którym kościele. Rozejrzał się po kolegach, niektórzy wiedzieli, inni siedzieli jak na tureckim kazaniu.

Nadkomisarz sycił się tym widokiem i odwlekał kolejną komendę, tak by napięcie rosło.

– Teraz pisz pan na dole! – nakazał Wolfowi. – *Ira*.

Frycowi wymknęło się ciche westchnienie, bał się, że aby skończyć to osobliwe dyktando, będzie musiał wchodzić na taboret, tymczasem stało się zgoła inaczej, bo następne słowa miał napisać zgięty w paragraf.

Z kuriera wycięty, burzył się Stolarczyk, najchętniej by jeszcze zaordynował „orkiestra tusz” i trzasnął biczem.

W końcu nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski triumfalnie wymówił ostatnie słowo.

– ...i wreszcie, moi panowie, *acedia*.

Wolf naskrobał, a Zyga Stolarczyk wyteżał pamięć.

– To nie koniec, panowie, bo oto mamy niepełną listę. – Słubica-Popielski wypowiedział to zdanie z wyraźną satysfakcją i nabrał powietrza. – A może ktoś z zebranych tutaj panów śledczych podyktuje panu aspirantowi Wolfowi?

Przodownik Zygmunt Stolarczyk znów poczuł się jak w szkole. Nauczyciele lubili takie numery: czy ktoś wie, a może ktoś, mamy tutaj kogoś na ochotnika...?

Wśród śledczych zapanowało małe poruszenie, a Zyga Stolarczyk pomyślał, że kiedyś byłaby to pewnie chwila triumfu aspiranta Denhela. Loluś, studencik i prymus, nie doczekał jednak tej chwili, bo parę lat temu dostał swój niechciany awans i rozpoczął służbę na głębokiej prowincji. Ten paniczyk na pewno wyrwałby się do odpowiedzi. Okazało się, że inni także orientowali się w tym łacińskim rebusie.

– To są grzechy główne, pięć z siedmiu – prychnął Pijanowski.
– To jasne – wsparł go Sznuć – byłem ministrantem.
– Brakuje pychy i chciwości – wyrwał się na swoją zgubę Strasburger – superbi i avaritii!
– No, brawo, panie kolego! – Słubica-Popielski klasnął w ręce. – Brawo! Wspólnymi siłami doszliśmy do tego! Panie Wolf, niech pan na górze dopisze *superbia* i *avaritia*

Sapiąc i stając na palcach, Fryc Wolf zakończył swe dzieło i na tablicy widniało siedem słów:

Superbia

Avaritia

Luxuria

Invidia

Gula

Ira

Acedia

– *Voilà!* I oto mamy! – wykrzyknął nadkomisarz z entuzjazmem i mocą cyrkowego prestidigitatora. – Panie Strasburger, niech pan teraz zetrze wszystko, pozostawiając tylko pierwsze litery, a dwie ostatnie odkreśli linią!

Aspirant wykonał polecenie.

S

A

L

I

G

I

A

– *Saligio* - triumfalnie huknął Wolf.

– Siedem grzechów głównych – dodał jakiś lizus. – To genialne, panie podinspektorze, genialne.

Saligia, psia mać, przecież słyszałem to nie raz! – myślał przodownik Zygmunt Stolarczyk.

Ktoś zaklaskał, ktoś krzyknął z zachwytu i w oka mgnieniu w sali odpraw zrobiło się jak w teatrze po wielkim przedstawieniu, klaskali i pokrzykiwali wszyscy, brakowało tylko, żeby ktoś krzyknął bis! Strasburger też klaskał, podziwiając zmyślność Wawrzyńca Słubicy-Popielskiego, ale z zaciśniętymi zębami. Nadkomisarz triumfował i nie sposób było się z tym nie zgodzić, ale on i tak wiedział swoje. I to go właśnie bolało, bo nic nie boli tak jak bezsilność. Tymczasem nadkomisarz Słubica-Popielski ciągnął swoje przedstawienie.

– Wielu z panów było sumiennymi uczniami na lekcjach łaciny, inni służyli do mszy, kto wie, może nawet mamy między nami niedoszłych kapłanów? – Nadkomisarz wyraźnie rozluźniony pozwolił sobie na żart. – Ci z panów pojęli ten szyfr, ale chciałbym, aby to było jasne dla wszystkich. Pan aspirant Kornel Strasburger nie wygląda mi na kogoś, kto uciekł z seminarium duchownego, wiem za to, że lubi łacińskie słówka i sentencje.

Strasburger pojął, że nie stanął obok Słubicy-Popielskiego i Wolfa tylko po to, by zetrzeć tablicę, i wcale mu się to nie podobało. Teraz z pocałowaniem ręki wzięłyby robotę dyżurnego, a najchętniej wyszedłby z pokoju, by zmoczyć ścierkę, ale nic z tego. Nadkomisarz wywołał go do tablicy po to, by jego największy oponent i jednocześnie śledczy, który nie udźwignął sprawy, przyznał mu teraz rację. Ból był coraz większy.

– Panie aspirancie, proszę o zaznajomienie kolegów z moim odkryciem! Jest pan człowiekiem inteligentnym, dobrym śledczym i jak się dziś dowiedziałem, także miłośnikiem łacińskich sentencji.

Nie było wyjścia, musiał zostać heroldem triumfu swojego szefa.

-*Saligio* to siedem grzechów głównych – zaczął bez entuzjazmu. – S to *superbia*, czyli pycha, *avaritia*, która w tym rebusie daje literę a, oznacza chciwość lub skąpstwo, *luxuria* to pożądlivość lub nieczystość, *invidia* - zawiść, *gula* - obżarstwo. To nad kreską, a pod nią jest jeszcze *ira*, to znaczy gniew, i niedokonana kara za grzech o łacińskiej nazwie *acedia*, czyli gnuśność.

– Strasburger wziął kredę i do litery G dopisał te, które starł wcześniej. – Moim zdaniem pan nadkomisarz wpadł na to wszystko po piątej zbrodni, po tym, jak znaleziono przy Niskiej Bertę Preiss oraz przodownika Spychalskiego. Nabrał pan wtedy jeśli nie pewności, to przynajmniej podejrzeń, że to seria ułożona jak rebus albo łamigłówka.

Aspirant spojrział na nadkomisarza, który stojąc z założonymi do tyłu rękoma, bujał się delikatnie, przenosząc ciężar ciała z pięt na palce i z powrotem.

– Uważa pan, że zabicie Słoniczy było piątą z serii zbrodni układającą się w literowy kod, ale nie włącza pan do tego morderstwa przodownika Spychalskiego.

Wawrzyniec Słubica-Popielski przymknął oczy, delikatnie dając do zrozumienia, że aspirant trafił.

– Ją zabito, bo taki był plan, a policjant zginął przez przypadek. – Kornel Strasburger starał się nie powiedzieć, że zdaniem jego szefa Spychalski zginął, bo to też przewidywał szalony plan. – Zamordowaną nazywano panną Elefant, bo była niewiarygodnie gruba, a więc mamy do czynienia z grzechem obżarstwa.

– *Gula* - wyrwał się Wolf, jak przystało na klasowego lizusa. – *Gula*, czyli nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu!

Słubica-Popielski spojrział na niego z aprobującym uśmiechem i przyłożył palec do ust. Ta część spektaklu należała do Strasburgera.

– To była ostatnia, piąta zbrodnia. Pierwsza, zabójstwo Madame Gali, to kara za grzech pychy, po łacinie *superbia*. – Aspirant Strasburger mówił płynnie, ale przodownik Stolarczyk miał wrażenie, że każde zdanie sprawia mu wewnętrzny ból. – Gołda Ejzenberg była niewątpliwie osobą pyszną i próżną. Po niej zabito parę sutenerów z Krochmalnej, tu mamy do czynienia z avaritią, czyli chciwością. Bez dwóch zdań Icek i Ruchełe Rotenschwanzowie oprócz wielu innych grzechów mieli i ten na sumieniu. Mord trzeci popełniono na dwóch pederastach, Czarnym Piotrusiu i artyście Luksie, karząc ich za luxurię, to znaczy nieczystość. Numer czwarty to Marianna Szymańska i Ludwika Dziura, panienki z Kamiennych Schodków. Tu nie ma jasnego związku z listą grzechów głównych...

Nadkomisarz zmarszczył brwi, jakby usłyszał w perfekcyjnie granej melodii jakiś fałsz. Podniósł do góry brwi i badawczo spojrział na Kornela Strasburgera.

– Oczywiście Szymańska, nazywana w zależności od koloru włosów Rudą bądź Czarną Mańką, była kiedyś piękna i młoda, więc mogła dzisiaj czuć zawiść... – zastanowił się Strasburger – ale czy rzeczywiście to miał jej do zarzucenia morderca? Czy rzeczywiście chodziło o inwidię?

Wawrzyniec Słubica-Popielski poruszył się nerwowo.

– Panie kolego, w środowisku prostytutek zawiść i zazdrość są tak samo popularne jak inne grzechy!

– Tak, to możliwe... – z niechęcią przyznał Strasburger. – Ale żadna z nich nie była Żydówką, a w tej części miasta wątpliwe, by miały żydowskiego alfonsa.

– Tego nie wiemy na pewno, panie kolego, to po pierwsze, a po drugie, szef tej bandy, która później napadła przodownika Stolarczyka, był Żydem! – Nadkomisarz panował przy tablicy jak profesor.

– Morel i tych dwóch pozostałych działali na zlecenie niejakiego Wlazły, a to goj jak się patrzy! – Strasburger nie ustępował.

– Ale to chrześcijanin uwikłany w interesy ze Zvi Migdal, czyż nie tak, panie przodowniku?

– Słubica-Popielski wywołał do odpowiedzi Stolarczyka.

– Tak – niechętnie przyznał Zyga. – Zygmunt Kwaśny powiedział, że ten cały Wlazło alias Paprocki współpracował z żydowskim gangiem, a Srul Morel był kimś w rodzaju łącznika, a może nawet nadzorcy w tym całym interesie.

Taka była prawda i wiedział to Kornel Strasburger, który zaciskał teraz wargi. Aspirant zdawał sobie sprawę, że w rozgrywce z nadkomisarzem traci atuty i nie został mu już żaden as w zanadrzu. Wyciągnąłby go choćby z rękawa, ale nic z tego. Nie miał ochoty mówić, ale nadkomisarz widział to inaczej.

– Na pewno ma pan jeszcze wiele do powiedzenia, panie aspirancie, i dostanie pan szansę podzielenia się z nami swoimi spostrzeżeniami. Ale to za kilka minut! W sprawie Zvi Migdal poprosiłem o konsultację osobę najlepiej z tym tematem zaznajomioną.

Strasburger wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale Słubica-Popielski mu nie pozwolił.

Aspirant Fryderyk Wolf czekał w pogotowiu i natychmiast po tych słowach otworzył drzwi. Do sali weszła kierowniczka Brygady Sanitarno-Obyczajowej aspirant Stanisława Paleolog.

– Witam panią kierownik. – Wawrzyniec Słubica-Popielski skłonił się z galanterią. – Nikt lepiej od pani nie opowie, czym jest Zvi Migdal. Każdy z panów słyszał o tej organizacji, ale przyda się nam wszystkim małe repetytorium!

Znów gada jak belfer, pomyślał Zyga Stolarczyk, tymczasem kierownik Paleolog zaczęła swój wykład.

– Dziękuję za zaproszenie i docenienie powagi sytuacji. Zvi Migdal to jedna z najpotężniejszych grup przestępczych. Ośławiona wileńska Bruderferajn to przy niej dziecięce zabawy z ochronki. Zvi Migdal to, jeśli można się tak wyrazić, czterdzieści lat tradycji, to siła, jakich niewiele w całym przestępczym świecie. Jej główną siedzibą jest argentyńskie Buenos Aires, a pierwszą nazwą było Warszawskie Towarzystwo Wzajemnej Pomocy i Akuratnego Grzebania. To była taka argentyńska Chewra Kadisza i tak jak ona poprzedziła w Warszawie i innych polskich miastach narodziny żydowskich gangów, tak ta w Buenos Aires była od podstaw zbudowana przez przestępców. Sutenerzy, handlarze kobietami i bandyci, którzy osiedli w Argentynie, zorganizowali się w legalne stowarzyszenie, grając wszystkim na nosie. Bruderferajn była tajną organizacją z księgowością, kasą zapomogową, sądami i kierownictwem. W dalekim Buenos Aires również zbudowano działające oficjalnie towarzystwo, które było przykrywką dla okrutnego procederu. Przybysze z Warszawy stali się potentatami na rynku domów schadzek, rozwijając interes jak wielką fabrykę. Kto chciał dalej prowadzić swą przestępczą działalność, ten musiał do nich przystać. Było dokładnie tak, jak później w Wilnie: kto nie był z Bruderferajn, ten musiał się wynosić z miasta.

Aspirant Paleolog zrobiła pauzę, a Wolf usłużnym gestem wskazał jej stojącą na stole szklanę wody.

– Było im mało miejscowych prostytutek, więc zaczęli sprowadzać dziewczyny z Europy. Tysiące dziewczyn bałamuconych, porywanych i kupowanych głównie w biednych sztetlach zostawało niewolnicami. Większość z nich pochodziła z Polski, stąd na prostytutki mówi się w Buenos Aires Polki.

To była nowość, ta ostatnia informacja w szczególności sposób poruszyła zebranych.

– Wraz z otwarciem polskiego poselstwa wymuszono usunięcie z nazwy słowa „warszawskie”. Bandyci nazwali się zatem Zvi Migdal, oddając w ten sposób hołd Luisowi Migdałowi, jednemu ze swoich hersztów i założycieli tego piekielnego związku. Rząd argentyński walczy z nimi i ma pewne sukcesy, ale oni są jak pajęcza sieć. Bardzo szybko przenieśli część interesów do Brazylii, a współpracowników i swoje faktorie mają wszędzie: i w Stanach Zjednoczonych, i w Anglii, Francji, Niemczech, a nawet w Azji, na Bliskim Wschodzie i w Południowej Afryce. Handlują kobietami wielu narodowości – Niemkami, Hiszpankami, Francuzkami, Rumunkami, Greczynkami i Turczynkami.

Kto wie, czy nie są potężniejsi od ośławionego Ala Capone! Być może razem z nim upadną, bo Al Capone doszedł chyba swego kresu, a w maju tego roku przeprowadzono w Buenos Aires liczne aresztowania. Nie obcięto jednak wszystkich głów tej hydry, bo tylko w samej argentyńskiej stolicy jest ich około pół tysiąca. Pół tysiąca, nie licząc tych, którzy dla nich pracują! Pan komisarz Julio Alsogaray

z argentyńskiej policji federalnej wsadził do więzień dziesiątki łotrów, ale to nie koniec. Nowy prezydent, który objął urząd na początku września, pan Jose Felix Uriburu ogłosił, że w duchu odnowy moralności z nimi skończy. To dobra wiadomość, ale jednocześnie musimy sobie zdawać sprawę z tego, że rozjuszony śmiertelnie ranny tygrys potrafi zabijać. Przed nami, panowie, poważne wyzwanie, kto wie, czy nie najpoważniejsze w naszym życiu. Sądzę, że ta seria zbrodni może być powiązana ze Zvi Migdal i że czeka nas wiele pracy.

Przemowa pani aspirant zrobiła na wszystkich wrażenie, nadkomisarz osiągnął zamierzony efekt. Nie był to jednak koniec jego występu. Pani aspirant została i zajęła miejsce w sali, a Słubica-Popielski wskazał na Kornela Strasburgera.

– Tak, czeka nas ciężka, wytężona praca. Te zbrodnie układają się w całość, morderczy ciąg... Panie aspirancie... – Wawrzyńc Słubica-Popielski wyrwał Strasburgera z letargu – proszę kontynuować.

– Na liście mamy jeszcze dwa brakujące grzechy, to *ira*, gniew, i *acedia*, co znaczy lenistwo, gnuśność. – Chciał skończyć, lecz wymowne spojrzenie przełożonego kazało mu ciągnąć kwestię dalej. – Z siedmiu grzechów głównych ukarano pięć, a zatem, trzymając się teorii pana nadkomisarza, przed nami jeszcze dwa mordy.

– Znakomicie, panie aspirancie, znakomicie! Wiedziałem, że wystarczy panu jedna mała podpowiedź, by wpadł pan na właściwy trop, w końcu jest pan wybornym śledczym, nigdy w pana nie wątpiłem. – Słubica-Popielski niby go pochwalił, ale Strasburger znów poczuł się trafiony, znów był jak uczeń, któremu pan profesor udowadnia jego ignorancję.-Tak jest, mamy przed sobą co najmniej dwie zbrodnie lub w najlepszym razie ich usiłowanie! Tuszę, że teraz panowie, w tym także pan aspirant Strasburger, ostatecznie pojęli, z czym mamy do czynienia!

Zyga Stolarczyk pojął, jego przyjaciel i szef chyba także, choć widać było po minie Strasburgera, że nie pogodził się ze swoją klęską. Sam Strasburger pojął natomiast, że ta rozgrywka jeszcze się nie skończyła. Jako wytrawny brydżysta przeliczył karty, które zeszły, i wiedział, co jego rywal ma z zanadru. Grali bez atu, a nadkomisarz Słubica-Popielski miał jeszcze na ręku asa pik.

– Osią tej sprawy jest siedem grzechów głównych – ciągnął nadkomisarz. – Za pięć z nich już ukarano okrutnymi zbrodniami. Być może morderca chce nam coś przekazać. Co? Tego jeszcze nie wiemy, ale niewątpliwie coś chce nam udowodnić. Czemu? Dlaczego taką formę przekazu wybrał, czemu swój gniew, a może troskę, wyraża poprzez szaleńcze mordercze czyny? Tego do końca nie jestem pewien, wiem za to, że to nie jest tak, jak się do tej pory zdawało... – Słuchacze wiedzieli już, że pauza oznacza kolejny zwrot w jego oracji, zatem zamarli, czekając, co będzie dalej. – Ten morderca to szczególnie niebezpieczny człowiek, to legenda podziemnego świata, zapaśnik Goliat!

Po sali poszedł szum, policjanci byli wyraźnie poruszeni słowami Wawrzyńca Słubicy-Popielskiego. Zyga sądził, że Kornel Strasburger trzymał tę informację tylko dla siebie, więc niemal podskoczył i spojrzał na przyjaciela. Ten był nad wyraz spokojny, może właściwiej byłoby powiedzieć: zrezygnowany. Czy powie o policjancie mordercy? Nie, on milczał, za to nadkomisarz mówił dalej: – Goliat nie jest legendą, nazywa się Jakub Fajgenblat, żyje, jest z krwi i kości, popełnia mordy, ale nie wiemy, czy działa sam, czy może jest na usługach jakiejś bandy albo sekty. Ja stawiam na to drugie, bo rozmiary tego, co się dzieje, jasno wskazują, że mamy do czynienia ze zjawiskiem absolutnie nieznanym, morderczą Bruderferajn, zbrodniczą spółdzielnią, czymś, co nie powinno jednak zaskakiwać tych, którzy wiedzą, że w tym mieście doszło przed ćwierć wiekiem do krwawej jatki sutenerów i prostytutek. Panowie, nie ma już żadnych wątpliwości, że stoimy przed wyzwaniem, któremu na imię nowy alfons-pogrom! Wtedy dokonał tego Bund, a teraz...

Zyga spojrzał na Kornela Strasburgera, który był błąd jak ściana. Stolarczyk nie wiedział o efektach rozmowy w prosektorium, ale i bez tego koronnym kontrargumentem aspiranta przeciwko teoriom nadkomisarza była mnogość sprawców. Teraz nie miało to znaczenia, bo Słubica-Popielski ogłosił, że linią śledztwa będzie wykrycie gangu lub morderczego spisku, w którym Goliat stał się tylko jedną z postaci. To trzymało się kupy, trzymało się jak psia mać, nadkomisarz wiedział o tym i ciągnął swą zwycięską orację.

– Jakub Fajgenblat alias Goliat zniknął z policyjnych oczu jeszcze w czasach carskich, nie zachowały się jego zdjęcia, ale jest opis sprawy sprzed ponad dwudziestu lat. Nasz poszukiwany powinien być nieco po czterdziestce, mieć około dwóch metrów wzrostu i ważyć ponad sto trzydzieści kilogramów, ale jak się teraz nazywa, tego nie wie nikt! Wiemy tylko tyle, ile znaleziono w starych aktach...

Nie wiadomo, co wywołało większe poruszenie, fakt, że Goliat wciąż żyje, czy też jego wzrost i waga.

– On jest większy od mistrza!

– Nawet Pytlas mu nie dorówna!

– To gigant!

– To nowy Mastodont!

Zyga nie był tym specjalnie poruszony, bo go widział. Przez moment i wiele lat temu, ale jednak. Koledzy mieli rację, wielokrotny czempion, a dziś komisarz policji Władysław Pytłasiński ważył nieco ponad sto kilogramów i mierzył metr osiemdziesiąt pięć, ale nie znaczyło to, że nie dałby rady Polskiemu Mastodontowi. Takim mianem obwołano zapaśnika Leona Pineckiego, który był potężny jak Goliat.

– Poprośmy o radę pana komisarza Pytłasińskiego! – krzyknął ktoś.

– Proszę bardzo – uśmiechnął się Słubica-Popielski. – Panie Wolf!

Fryc Wolf wyszedł i po chwili wrócił w towarzystwie mężczyzny, którego nie trzeba było nikomu przedstawiać. Sylwetka mocarza, wyprostowany, dumny, o szlachetnych rysach twarzy przyozdobionej wielkim wąsem.

– Witam panów, z panią aspirant już się dzisiaj widziałem. – Mistrz Pytłasiński skłonił głowę w kierunku Stanisławy Paleolog. – Chyba nie muszę się przedstawiać, skoro tu pracujecie, to znaczy, że byliście moimi kursantami.

– Tak jest, panie komisarzu! – odpowiedział zgodny chór, bo sława Pytłasińskiego równała się wciąż popularności największych gwiazd kina i kabaretu.

– Pan nadkomisarz zaprosił mnie, abym opowiedział coś o Goliacie. Nie powiem zbyt wiele na jego temat, ale zajmę panom trochę czasu. Goliata nigdy nie widziałem, słyszałem tylko o nim, miałem nawet przyjechać do Warszawy na jego walkę... Popełnił zbrodnię i uciekł. Wiem tylko, że szybkość nie była jego atutem, był silny, ale...

– Ale nie tak jak pan! – wyrwał się Zyga Stolarczyk.

– Dziękuję, panie przodowniku Stolarczyk. – Mistrz Pytłasiński się uśmiechnął. – Pan zresztą jako jedyny z zebranych widział Goliata i jako jedyny mógłby mu dać odpór – Pytłasiński zawiesił głos – niestety tylko chwilowy odpór. – Nie muszę też nikomu przypominać, że przodownik Zygmunt Stolarczyk jest wśród panów prawdziwym asem i to, że nazywacie go Sztekkerem, jest całkowicie zasłużone.

Zapadła cisza, Stolarczyk poczuł się nie tylko wyróżniony, ale i wywołany do odpowiedzi.

– Widziałem go przez moment, gdy anonsowano jego niedoszły debiut. Zapamiętałem tylko tyle, że był największym zapaśnikiem, jakiego spotkałem, a gdy szedł na środek areny, by się ukłonić, był sztywny i jakby kanciasty. Ale nie zmienia to faktu, że na własną prośbę nie stanąłbym z tym monstrem do walki!

Znów poszedł szmerek, bo kto w sali gimnastycznej miał okoliczność zmierzyć się ze Stolarczykiem, ten wiedział, że dzieli go od niego przepaść.

– Jedyny sposób, jeśli nie daj Boże, czy raczej daj Boże, bo przecież go ścigamy, będą go chcieli panowie unieszkodliwić, to strzał z rewolweru. I to celny, kończący strzał! Można przedłużyć swe szanse, stosując brudne chwytaki. Nie wiem jednak, czy zdołaliby panowie odgryźć, jeśli zdarzyłaby się taka okazja, takiemu olbrzymowi palec lub wyłupić oko. Cennych sekund dodałby wam jeszcze kopniak w przyrodzenie...

Śledczy zamarli. Wielki dżentelmen maty dawał im rady, jakich się po nim nie spodziewali.

– Paradoksalnie największe szanse miałby pan aspirant Strasburger. – Nie był pan pilnym kursantem, ale wie pan, co znaczy uliczna walka, wie pan, że można użyć narzędzia, no i świetnie bije pan z rewolweru. Najmniejsze szanse dawałbym, to kolejny paradoks, panu przodownikowi Stolarczykowi. Pan jesteś dzielny człowiek i podjąłbyś pan próbę walki zapaśniczej, ale jeśli wolno mi coś doradzić, to przede wszystkim ucieczkę. Skoro chcą go panowie pokonać lub obezwładnić siłą fizyczną, to tylko przy przewadze pięciu na jednego. No, może czterech, pod warunkiem że w tej czwórce będzie przodownik Stolarczyk.

– Dziękuję, panie komisarzu. – Wawrzyniec Słubica-Popielski skłonił się i podał na pożegnanie rękę, którą mistrz Pytlasiński uściskał z właściwą sobie energią i siłą.

– Dziękuję, panie nadkomisarzu, dziękuję panom! – Po czym mistrz dodał: – Przepraszam za bolesną szczerość, ale czułem się w obowiązku, by to panom zakomunikować. Oczywiście trzeba podjąć każdą próbę, nawet jeśli jest beznadziejna, a na pewno zwiększą panowie szanse, częściej pojawiając się w sali na Ciepłej. Zapraszamy!

To powiedziawszy, sławny na cały świat czempion zapasów opuścił salę. Wydawało się, że starannie przygotowane i wyreżyserowane przez nadkomisarza Słubicę-Popielskiego przedstawienie dobiegło końca. Okazało się jednak, że najciekawsze zostawił na koniec.

– Jak panowie widzą, sytuacja jest trudna, ale nie beznadziejna, przed nami jeszcze szósta i siódma zbrodnia odpowiadająca szóstemu i siódmemu grzechowi głównemu. Saligia... – zawiesił głos – a więc jeszcze i jak *ira* i a jak *acedia*. To daje bandycie nieograniczone możliwości interpretacji, a nam nieograniczony obszar poszukiwań. Będzie ciężko, ale powalczymy o uratowanie kolejnych ofiar, dlatego przedstawiłem panu naczelnikowi Sitkowskiemu projekt powołania Brygady Specjalnej Goliat, która będzie miała wsparcie wszystkich brygad Urzędu Śledczego. Pan podinspektor Antoni Sitkowski uznał, że to dobry pomysł, i go zatwierdził. Wkrótce zdecyduję o tym, kto jeszcze wzmocni nasz zespół, panów Strasburgera i Stolarczyka proszę do siebie, a reszta jest wolna.

Przeszli do gabinetu Słubicy-Popielskiego, gdzie dla Zygi Stolarczyka zaczęła się druga, a dla Kornela Strasburgera już trzecia część maratonu z nadkomisarzem. Usiedli, a rozluźniony sukcesem szef poprosił swojego asystenta, by zaordynował przyniesienie im herbaty.

– Mam nadzieję, że panowie są przekonani do mojej koncepcji tak samo jak ja do panów. Zmiany zaszły, bo były nieodzowne, nacisk z góry jest coraz większy, podobnie jak wzburzenie opinii publicznej. Stałem na czele zespołu jako kierownik brygady i uwiarygodniłem tym samym nasze działania. Nie odsunąłem panów, choć na pewno prasa i niektórzy przełożeni przyjęliby to z radością, najczęściej bowiem zaspokajają się żądze, ścinając głowy. Ja taki nie jestem, jestem szefem, który szanuje podwładnych, i nie wydam ich na żer inspektorów, dyrektorów, redaktorów i ulicy! Mam nadzieję, że panowie odpłacą się lojalnością.

Kolejne rozdanie było dla niego.

– Co będzie dalej, panie nadkomisarzu? – zaczął Strasburger.

– To samo, ciężka robota.

– A moi zatrzymani, te bandziory z Kamiennych Schodków? – wyrwał się Stolarczyk.

Nadkomisarz, który był w doskonałym nastroju, stracił na moment rezon.

– Niestety, obaj dołączyli do Sruła Morela.

– Jak to? – krzyknął Zyga.

– Ten, który dostał nożem w plecy, zmarł, a ten drugi...

– Ten drugi był w dobrym stanie, przestrzeliłem mu nogę, a nie płuco czy nerkę! Okazało się nawet, że kolano ma całe, że nie zrobiłem z niego inwalidy, tylko zadałem trochę bólu, więc co się stało?!

– Pana imiennikowi Zygmunutowi Kwaśnemu ktoś pomógł uniknąć sprawiedliwości.

– Zdarzały się takie przypadki w więzieniach, ale nie tu, w Areszcie Śledczym... – Stolarczyk wprost nie

dowierzał.

- Zginął, zabili go? – Strasburger też nie wytrzymał.
- Otrzymałem tę wiadomość pół godziny temu.
- A sprawcy to kto i jak to w ogóle możliwe? – Stolarczyk gwałtownie wstał, a Strasburger uderzył pięścią w stół, aż filiżanki z herbatą podskoczyły do góry.
- Spokój, panowie! – Fryc Wolf uciszył zebranych.
- Gdy odbywał pierwszy spacer, zaatakowało go kilku więźniów.
- Starozakonni?
- Nie tylko, w archiwum wertują, czy mieli w przeszłości coś wspólnego z Morelem. Sprawa bardzo trudna, nie sposób ustalić, kto wbił mu widelce w brzuch. Wszyscy zeznają, że to on rzucił się na nich i sam groził widelcem, zrobiło się zamieszanie i...
- Pięknie zagrana sprawa – mruknął Stolarczyk.
- Można tak powiedzieć, to zresztą potwierdza, że za tą sprawą stoi ktoś potężny: gang, organizacja albo sekta.
- A może Zvi Migdal? – zapytał Zyga.
- Tego też nie wykluczam. – Słubica-Popielski wstał zza biurka. – Na dzisiaj to koniec, spotykamy się jutro na porannej odprawie, a z panami z Brygady Goliat godzinę wcześniej.

Podinspektor Juliusz Jagielski stuknął palcami o biurko. Na blacie stał aparat telefoniczny, przez który jeszcze przed chwilą prowadził rozmowę, obok zaś leżał numer „Expressu Warszawskiego”.

W gazecie kolejny dzień pisali o dzielnym przodowniku Konradzie Spychalskim. Zamiast kompromitacji miał swojego policyjnego bohatera, którego z pompą się pochowa, uprzednio awansując i dając wdowie zapomogę. Był sukces, ale były też zobowiązania. Do tej pory nie handlował informacjami, nie było wcześniej żadnej spółki czy choćby doraźnych sojuszy z Doboszem, po prostu niezobowiązujące rozmowy. Byli kolegami i pewnych granic nie przekraczali, ale teraz Jagielski pomyślał, że skoro powiedziało się a, to można powiedzieć i b. Trzeba drażyć, trzeba, by o paru ludziach z policji zrobiło się głośno, bo to jest czas awansów i przetasowań. Minister Sławoj Składkowski może pójść wyżej, podobnie jak jakiego zastępcę, a tak naprawdę faktycznie kierujący resortem wiceminister Bronisław Pieracki. Plotki głosiły, że wmontował go na pozycję numeru drugiego sam Marszałek, tłumacząc swą decyzję słowami: „Musicie iść do Sławoja i podtrzymać go, bo chłopak zupełnie mi się wykoleił – nic nie robi, tylko autem jeździ”. Czy tak faktycznie było? Niewykluczone: choć Sławoj Składkowski dalej podróżował swą limuzyną, jego resort funkcjonował, bo miał pilnego kontrolera i organizatora. Bronisław Pieracki wiedział, co to prasa, bo był także przewodniczącym komitetu redakcyjnego „Gazety Administracji i Policji Państwowej”.

Na razie jednak wiceminister Pieracki robił porządki gdzie indziej, wykonywał robotę niezwykle poważną i odpowiedzialną: od połowy września pacyfikował Ukraińców we wschodniej Małopolsce. To była największa akcja policyjno-wojskowa od czasów wojny, większa nawet od tego, co działo się w maju 1926 roku. Wtedy wszystko odbyło się z przytupem, ale tylko w Warszawie, a teraz pułkownik Bronisław Pieracki musiał prowadzić prawdziwą kampanię, której front rozciągał się na prawie pół tysiąca wsi leżących w szesnastu powiatach. Tysiące ludzi po obu stronach, jak na prawdziwej wojnie! Jeśli Pieracki tę wojenkę wygra, to z pewnością awansuje, bo będzie musiał dostać jakąś nagrodę. Trzeba trzymać rękę na pulsie, bo mówią, że w grudniu będą jakieś przetasowania, albo przebijac się dalej tutaj. W Komendzie Głównej było tak jak w ministerstwie, komendant Jagrym-Maleszewski podobnie jak minister był rzadkim gościem w swoim gabinecie. Wpadał jak meteor do komendy na dwie godziny i tyle go widzieli. Wszyscy zauważyli, że nie miał serca do policji. Ono zostało w wojsku przy szwoleżerach i w Sztapie Generalnym. Serce ważne, ale najważniejsze, gdzie jest tyłek, pomyślał Jagielski. Jego tyłek jak raz siedział wysoko i wygodnie w policji, co nie znaczyło, że nie mógł i nie powinien pofrunąć wyżej, znacznie wyżej. Odnowa

państwa, o której mówił Marszałek, odnowa moralna polityki to tylko krok do tego, by zarządzić także odnowę obyczajową. Jedno drugiego nie wyklucza, o nie... Trzeba być czujnym i trzeba umiejętnie wykorzystać prasę. Do tej pory brał udział w gabinetowo-telefonicznej rozgrywce, która czasem tylko przenosiła się do modnej kawiarni. Teraz musi utworzyć nowy, gazetowy front. Wojsko ma, ale czas pokaże, przeciwko komu albo dla kogo go użyć.

Nowy układ, nowa sytuacja. Dziś nadkomisarz miał serię spotkań w Komendzie Głównej i w Stołecznej, ale jutro weźmie ich do galopu. To nie była dobra wiadomość, choć nie tak zła, jak fakt, że nadkomisarz pokonał Strasburgera niczym arcy mistrz, który daje sztubakowi szewskiego mata.

– Tak mnie załatwił... – Strasburger łkał niemal nad kieliszkiem wódki. – A ja go miałem za gamonia. Dalej zresztą za takiego go uważam, więc boli mnie podwójnie.

– Jak pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści – pocieszył go Stolarczyk. – Tak to bywa, królewiczu, że raz się jest na wozie, a raz pod wozem, ale pamiętaj! Wygrywa ten, który jest pierwszy na finiszu, a nie w połowie dystansu.

– Fajny z ciebie kumpel, Zyga, ale chyba widzisz, że jestem w ciężkiej dupie. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę!

– Uwierz, że tak jest dziś, ale nie na zawsze, i przyjmij do wiadomości, że nie wiesz, jak będzie jutro, a może być malinowo! Kończmy, mój ty królewiczu, musimy być świeżutcy i pachnący, żeby od rana dłużyć przy sprawie, poza tym... wracam do treningów, żonka powiedziała, że się upasłem, a do tego...

– A do tego jesteś łasy na komplementy od Pytłasińskiego.

– To miłe, że taki czempion o mnie pamięta – powiedział z dumą Zyga – ale jednak najważniejsze jest śledztwo.

Kornel Strasburger miał ochotę się spić, ale przyjął do wiadomości komunikat Zygi. Odstawił nalany już kieliszek, wstał, położył na blacie pieniądze i nasadził na głowę kapelusz. To koniec pewnego rozdziału, ale być może jutro otworzy się nowy, pomyślał, choć bez większych nadziei. Zyga poszedł jego śladem, a gdy byli już za drzwiami, klepnął aspiranta w ramię i powiedział: – Kochany szefie, stoimy po kolana w gównie, więc nie jest źle, bo parę dni temu zalewało nas prawie pod brodę, a poza tym...

– Poza tym co?

– Poza tym mam pewien pomysł, co więcej, nawet wprowadziłem go w życie.

Ruszyli ciemną ulicą, Stolarczyk rozejrzał się i gdy upewnił się, że nikogo w pobliżu nie ma, zaczął szeptać aspirantowi do ucha.

Warszawa, wtorek 23 września 1930

Zaczęli wszystko od nowa, od dłuhaniny w archiwach, od grzebania w rachunkach i ponownego rozpytania informatorów. Jedynym tropem, jaki mieli, był tajemniczy herszt bandy z Kamiennych Schodków. Srul Morel zginął na miejscu, Śmietański też nie zdążył złożyć zeznań, ale Kwaśny, zanim zadżgano go widelcem w areszcie, napomknął o Franciszku Właźle, znanym z policyjnych kronik.

– Co my tam mamy na jego temat, panowie? – zapytał nadkomisarz Słubica-Popielski.

– Najwięcej do powiedzenia miałby podkomisarz Karol Denhel – uśmiechnął się Zyga Stolarczyk.

Strasburger także się uśmiechnął, Słubica-Popielski i Wolf spojrzeli na nich badawczo.

– Czy mogliby panowie wyjaśnić, o co chodzi? – odezwał się nadkomisarz.

– Ależ oczywiście – powiedział Zyga Stolarczyk. – To była niezwykła historia. Otóż pan Denhel, gdy był jeszcze aspirantem, zagiął parol na pewnego chłopaka z Woli. To był taki cwaniak i bawidamek, nazywał się Henryk Wcisło i niespecjalnie komuś wadził, ale smalił cholewki do niewłaściwej panny. Pech chciał, że była to ta sama osoba, którą pragnął poślubić pan aspirant.

– Co to ma wspólnego z naszą sprawą? – nie wytrzymał Wolf, a mina Słubicy-Popielskiego wskazywała,

że i on chętnie zadałby to pytanie.

– To mianowicie, że pan aspirant postanowił zamknąć konkurenta!

– Słucham?! – teraz obruszył się Słubica-Popielski.

– To pomówienie – dodał na wszelki wypadek Wolf – pomówienie oficera Policji Państwowej!

– To szczerza prawda, panowie – włączył się Strasburger. – Karol Denhel ścigał tego człowieka z własnej inicjatywy, sam byłem świadkiem dwóch wypadków, w których brał go na muszkę rewolweru, może dlatego Wlazło zrobił z niego głupca.

– Proszę jaśniej! – Słubica-Popielski był wyraźnie zaciekawiony.

– Parę lat temu Wlazło wpadł w czasie nalotu na nielegalne kasyno. Był tam nie jako gracz, lecz jako sutener i pewnie nic by mu się nie stało, gdyby nie to, że w areszcie rozpoznał go jakiś typek, który chciał się jakoś wykupić z kłopotu. Los sprawił, że trafił na Denhela. To był paser, który nie przeskrobał nic wielkiego, ale przekręcił licznik...

Słubica-Popielski i Wolf popatrzyli ze zdziwieniem, więc Stolarczyk wytłumaczył: – To znaczy, że podpadł pod recydywę. To był paser nazwiskiem Rutowicz. Ale mówiono o nim Szczurek, bo taki niewyglądny.

Słubica-Popielski i Wolf pokiwali głowami, a Strasburger kontynuował.

– Otóż Szczurek miał do ugrania dwie sprawy. Po pierwsze, współpraca uwalniała go od recydywy, po drugie, miał z Wlazłą rachunki do wyrównania. Kiedy byli w wojsku, to z nim zadarł i Wlazło skatował go tak, że o mało nie zabił. Szybko więc rozpoznał w zatrzymanym Paprockim Wlazłą i postanowił upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Przy okazji, bo to był gaduła, opowiedział taką dykteryjkę o śmiesznych nazwiskach Wlazło i Wcisło. Okazało się bowiem, że nasz poszukiwany Szczurek i ten cały Wcisło razem poszli na Kijów. Aspirant wyczuł swoją szansę, nagrodził Szczurka, a Frania Wlazłą wziął w obroty, żeby powiedział, co wie na temat Henryka Wcisły. Wlazło był ścigany za wiele przestępstw, więc złapał wenę jak Dołęga-Mostowicz i wciskał aspirantowi kit szuflą, jak tylko umiał, a kiedy się zorientował, że śledczego nie interesuje on, tylko koleżka z wojska, to napisał o nim prawdziwy poemat kryminalny. Przypisał wszystkie swoje przestępstwa Heńkowi Wcisłe, bo on Henryk miał na imię, i zbałamucił Karola Denhela.

– Co było dalej? – niemal równocześnie zapytali nadkomisarz i jego asystent.

– Dalej to był niezły cyrk – zaśmiał się Stolarczyk. – Aspirant Denhel chciał zaaresztować Wcisłę w Zakopanem. Wybrał się tam, ale Henio dał nogę w góry, później zeszła lawina i zginął w niej pewien japoński turysta, a Wcisły nie odnaleziono. Denhel ledwie przeżył, ale kiedy był w szpitalu, to papuga wyciągnął z aresztu Wlazłą, a ten rozpląnął się w powietrzu jak kamfora. Bałagan sprzątno parę lat, dopiero niedawno ten cały Wcisło wrócił do Polski, bo jak się okazało, przeżył wtedy i uciekł za granicę.

– Zupełnie niepotrzebnie – parsknął Słubica-Popielski. – Wykazał brak zaufania nie tylko do Policji Państwowej, ale i do wymiaru sprawiedliwości!

– Źle na tym nie wyszedł, był trzy lata w Ameryce i przywiózł stamtąd niezły mająteczek, tak między nami mówiąc, to człowiek o bogatej przeszłości i poważnych znajomościach, POW, „dwójka”, powstanie śląskie, maj dwudziestego szóstego, i wreszcie to przyjaciel Taty Tasiemki. Mocny facet z plecami i Krzyżem Walecznych. Poradził więc sobie w Ameryce, zarobił, zmienił nazwisko, wrócił i teraz jako Henry Haas bawi się jak hrabia.

– A aspirant Denhel?

– Trzeba było coś z nim zrobić, a że był do tej pory pilny, miał dobrą opinię, koneksje i czekał na awans, to dano mu podkomisarza i wysłano do urzędu w Stanisławowie.

Słubica-Popielski i Wolf pokiwali głowami, dobrze wiedzieli, czym dla ludzi z dużych miast – Warszawy czy Poznania – było zesłanie do takiej dziury jak Stanisławów. Oni też przeszli swoje, zażywając światowego życia w Łucku, mieście ze trzydzieści razy mniejszym od Warszawy. Nawet

sześćdziesiątych tysięcy Stanisławów, w którym służbą nagrodzono podkomisarza Denhela, wydawał się przy nim metropolią, gorzej mogło być już tylko w Tarnopolu. Nadkomisarz spojrzął na Strasburgera. On nie miał na koncie takich wpadek, ale nie miał też takiego wykształcenia, ogłady i pleców jak Karol Denhel.

– Zastanawia się pan, jak to wszystko możliwe? – uśmiechnął się Strasburger.

Trafił, nadkomisarz dał znak, żeby mówić dalej.

– To był najszybszy sposób, żeby się go stąd pozbyć. Był wakat w Stanisławowie, więc poszło migiem, rach-ciach i po wszystkim. Nazywamy to w Warszawie kopem w górę, a w Poznaniu?

Tym razem też trafił, ale było to dla duetu Słubica-Popielski-Wolf trafienie bolesne. Mruknęli coś tylko pod nosem. No tak, Poznań, a później Łuck... Oni również dostali takiego kopniaka, ciekawe za co? Do tej pory myślał, że wynieśli się z Poznania, by zrobić krok w karierze, dla awansu, pieniędzy, że tak to sobie wykombinowali. Wygląda jednak na to, że i oni coś kiedyś nabroili...

– Co jeszcze wiadomo o tym Wlazle alias Paprockim? – Wawrzyniec Słubica-Popielski wrócił do tematu.

– Nożownik, zabójca, brutalny i groźny typ, w przeszłości sutener, a także członek bandy Kopeckich, a nade wszystko uczestnik szajki, która jeszcze w czasie wojny zabiła, a następnie poćwiartowała kupca Łabędzia. Teraz trzeba dorzucić koneksje ze Zvi Migdał i mamy obraz przestępcy niemal doskonałego i śmiertelnie niebezpiecznego. Sposób, w jaki poradził sobie z Kwaśnym, pokazał, jak daleko sięgają jego ręce – podsumował Kornel Strasburger.

– Wszystko to wiem, panie aspirancie – westchnął nadkomisarz. – Ja się pytam, gdzie go szukać.

– Obawiam się, że może być wszędzie i nigdzie. Skoro Goliat, który tak się rzuca w oczy, wsiąkł w którejś z niezliczonych melin... Franciszek Wlazło niczym się nie wyróżnia, jest jak tysiące innych. Mówiono, że przez tych parę lat widziano go we Lwowie, Wilnie, a nawet... Łucku!

W ich równaniu z nieskończoną liczbą niewiadomych przybył jeszcze jeden problem, miny kierownika Brygady do spraw Ciężkich Zbrodni oraz jego asystenta wskazywały, że spodziewali się więcej konkretów.

– Mamy z Wlazłą-Paprockim oraz tym całym Goliatem niezłą zagwozdkę – palnął Zyga, uśmiechając się do nadkomisarza.

Przymilny ton i styl wypowiedzi okazały się nie na miejscu.

– Proszę mi nie używać rusycyzmów! – Ostatnie minuty wyraźnie poirytowały Słubicę-Popielskiego, więc wypalił niczym upierdliwy psor z gimnazjum, którego jakiś łobuz ugodził ziarenkiem ryżu wypuszczonym z rurki. – Nie po to pracujemy razem, nie dlatego panów nie odsunąłem, tylko dałem szansę wykazania się i rehabilitacji! Liczę na coś więcej niż uwagi rzucane jakimś narzeczem! Ja żądam efektów, ja chcę usłyszeć coś do rzeczy, a nie gładzenie bezradnego śledczego!

Strasburger miał pewien pomysł, ale z góry go odrzucił, w przeciwieństwie do Zygi, który chciał się wykazać inicjatywą.

– A może by tak założyć mecenasowi Muszyńskiemu obserwację? – Zyga czekał na pozytywną reakcję, ale się jej nie doczekał, więc po chwili dodał: – Wiem, że to niezgodne z procedurą, ale...

Dopiero teraz nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski wybuchnął.

– To kryminał! To skandal! Pan chcesz śledzić adwokata, pan... – Zabrakło mu słów, więc przyłożył z całych sił pięścią w stół. – Proszę natychmiast wyjść i ochłonać, wróć panowie dopiero wtedy, gdy będą mieli coś do powiedzenia! I żebym więcej nie słyszał o podobnych pomysłach.

Śledczy chcieli jak najszybciej mieć to z głowy, ale połajance nie było końca.

– I jeszcze jedno, patrzą nam teraz na ręce nie tylko w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, ale i w Ministerstwie Sprawiedliwości. W pałacu Raczyńskich też mają tę sprawę pod lupą i naciskają jak lawina. Nie są zadowoleni z postępów w śledztwie i zwalają to na panów indolencję. Tak, tak – Słubica-Popielski

uniósł palec wskazujący – użyli słowa indolencja! To między innymi przez nich musieliśmy dokonać zmian, bo sami je przeprowadzają. Sprawa przechodzi z sądu rejonowego do Sądu Apelacyjnego i weźmie ją jeden z sędziów śledczych do spraw nadzwyczajnych. To już wszystko, co miałem do powiedzenia, mam nadzieję, że teraz panowie nie tylko się zmobilizują, ale wyleczą z pomysłów takich jak śledzenie adwokatów. Żegnam panów!

Strasburger i Stolarczyk skłonili się i opuścili gabinet, a wychodząc, spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Co cię podkusiło? – syknął Strasburger.

Zyga Stolarczyk wzruszył ramionami.

– A nie pamiętasz tej przemowy, jak tylko przyszedł do urzędu?

Fakt, na dzień dobry nadkomisarz stanął przed nimi i prawie zaśpiewał jak sam Kiepura: „Pamiętajcie panowie, *audaces fortuna iuvat timidusque repellit!*”.

– Bądźmy śmiali, naprzód panowie! – Strasburger powtórzył po polsku wypowiedź Słubicy-Popielskiego. – Pamiętam, co wtedy powiedziałeś: stanął jak Napoleon albo jak jaki belfer, chciał zapaść jak Kiepura, ale on z Poznania, cholera jasna, a nie z Sosnowca, wyszło mu jak słowikowi, cieniutkie tirlitirli, bez mocy.

– Wtedy darł się o odwadze, ale spuścił dziad z tonu. Przynajmniej wiemy, jak bardzo mu się ten pomysł podoba – podsumował Stolarczyk.

Przodownik powiedział to w tak rozbrajający sposób, że mimo iż aspirantowi nie było do śmiechu, to jednak trochę humor mu się poprawił. Szybko jednak skrzywił się na powrót. Co dalej? Co zrobią sędziowie śledczy, jak postąpi Sąd Apelacyjny, jakie decyzje zapadną w gmachu na placu Krasieńskich? Trzeba zająć do Czechowicza, zapytać, a jakby co, poprosić o radę.

Spotkanie z ulubionym sędzią śledczym nie dodało im otuchy.

– Możecie trafić dobrze, ale może też być źle albo bardzo źle – poinformował ich sędzia Czechowicz. – Bardzo źle będzie, jak traficie na sędziego Patryka Jakowicza. Młody, uparty, ustosunkowany, człowiek, z którym się nie dyskutuje.

– Kiła mogiła – podsumował to po swojemu Stolarczyk.

– Albo i gorzej – przytaknął mu Kornel Strasburger, który zwykle bywał większym optymistą od Zygi.

– Mieliśmy już dość pecha przy tej sprawie, by trafić na tego typka. W końcu musi się do nas uśmiechnąć szczęście. – Stolarczyk wyszczerzył się jak aktor reklamujący jakieś ohydne środki na przeczyszczenie.

– Nie bluźnij, Zyga – parsknął Strasburger. – Gdyby nie łódzkie psy, Lipko i Kordaszewski, to bylibyśmy już poza grą.

– Masz rację, ale teraz też mamy na kogo liczyć – odpowiedział przodownik, patrząc koledze głęboko w oczy.

I to była ich nadzieja, nadzieja i utrapienie, bo Kornel Strasburger wiedział, że od kilku dni znów ryzykują i znów nie robią tego sami. Nie bał się o siebie i Zyge, bał się o ludzi, których wciągnęli do gry – Mecenaz Jur-Muszyński wyszedł ze swojej kancelarii przy ulicy Mokotowskiej i wskoczył do dorożki. Młody człowiek w pumpach i sportowej marynarce machnął ręką i zza rogu wyjechała kolejna dorożka. Oprócz sałaty siedział w niej młodzieniec w kaszkiecie i kraciastej marynarce. Ruszyli w ślad za dryndą, którą podróżował obrońca największych łotrów w mieście. Sałata szybko nadrobił stracony dystans i znalazł się tuż za dorożką z mecenasem.

– Stryjek uważa, bo nas dostrzeże – syknął ten w kraciastej marynarce i kaszkiecie.

– Nie będziesz mnie, gówniarzu, uczył, jak mam powozić! – Sałata z obliczem przyzobionym potężnymi sumiastymi wąsami groźnie spojrział na pasażerów. – Wiem, co mam robić, poza tym robię to za

pół darmo.

Młodzieńcy głębiej usiedli na kanapie i zamilkli, tymczasem dorożki, ta z adwokatem i ta z nimi, podążały w kierunku Marszałkowskiej.

Gdy Jur-Muszyński jechał dorożką. Kornel Strasburger wchodził do katedry przy Świętojańskiej. Chciał zobaczyć, kto przyjdzie na pogrzeb Mańki, czasem takie uroczystości przynosiły zaskakujące odkrycia. Tak było i tym razem, pośród żałobników znajdował się osobnik, którego znał doskonale. Był to Mieczysław Kosiorek, były szofer Szpicbródki. Kiedyś go przesłuchiwał i nie było to dla niego miłe spotkanie. Kosiorek był cwaniakiem kutym na cztery nogi, a do tego sprawa okazała się wielką pomyłką policji. Kosiorek został zatrzymany wraz ze swoim pryncypałem, bo Szpicbródkę podejrzewano o zorganizowanie napadu na zakład jubilerski Gwiazda Polski. Urząd Śledczy się skompromitował, bo choć świadkowie zeznawali, że widziano tam Szpica, to jednak on i jego ludzie mieli murowane alibi. W czasie gdy okradano salon jubilerski przy Marszałkowskiej, ferajna Szpicbródki była pod opieką krakowskiej policji. Było to pięć lat temu i Strasburgerowi przeszła złość na Kosiorka, który potraktował go wtedy jak gówniarza. Większą pretensję miał do swoich przełożonych oraz do kolegów z Krakowa, bo to oni wsadzili śledczych z Warszawy na tego konia.

– Witam szanownego pana komisarza Strasburgera. – Kosiorek uchylił kapelusza.

– Aspiranta, panie Mieczysławie, aspiranta.

– Zawsze mówiłem, że policja jest niesprawiedliwa, ale że aż tak, to nie miałem pojęcia!

– zażartował, po czym spoważniał. – To są dobre strony mieszkania na Starym Mieście, nie za bogato, ale parafia ma fest kościół!

– Jesteś pan znajomym panny Marianny Szymańskiej? – zapytał Strasburger.

– Czy pyta pan oficjalnie, czy też nie?

– Nieoficjalnie, troszkę się zmieniłem przez tych pięć lat.

– To ja panu nieoficjalnie powiem, że śmierć Mańki i jej koleżanki wkurzyła ferajnę. Dobrze, że pan przyszedł, bo nikt z nas nie pójdzie na komisariat, ale skoro już pan tu jesteś...

– Z psami się raczej nie rozmawia, a już na pewno się nie donosi.

– Szanowny panie, ja nie donoszę, ja nie kapuję, ja informuję, że jest taki skurwysyn, który się nazywa Franciszek Wlazło, a jak ma humor, to i Franciszek Paprocki. Akuratnie sobie kutasina imię dobrał, Franciszek, bo to dobrze do francy pasuje, a on to franca i chwast, który trzeba wyrwać. Wiesz pan, że w naszym świecie panienci się szanuje. Sporo kiziorów ma żony, które kiedyś obsługiwały frajerstwo. Zawód jak zawód i co innego być kurwą z zawodu, a co innego z charakteru. Często jaśniepaństwo piszpany, tacy ę, ą, są większymi kurwami niż panienka, co sprzedaje się pod latarnią. Zapalisz pan?

– Chętnie – odpowiedział Strasburger, choć to, co leżało w pięknej papierośnicy Kosiorka, z pewnością nie było nilami.

Zapalili i nad ich głowami pojawiła się chmurka tytoniowego dymu.

– Bo widzisz pan, ja do świętych nie należę i nie będę pana bajerował, że jest inaczej, choć kartotekę mam czystą. Pewne zasady jednak mam. Ludzie z ferajny mają szaconeczek dla panienek, ale nie mają dla alfonsów. To najgorsze łajzy, bo żyją z dziewczynek. Łajzę jakoś można trawić, ale nie takiego, co bije panienki. A Wlazło bił i do tego donosił u was na swoich koleżków, a to grzechy ciężkie...

– Śmiertelne?

– To pan powiedziałeś, a nie ja. – Kosiorek uśmiechnął się szeroko.

Pomilczeli chwilę, bo karawan z trumną Mańki ruszył spod katedry.

– Na Bródno ją wieżę – poinformował Strasburgera Kosiorek. – Jadziesz pan?

– Nie.

– W takim razie raz-dwa panu powiem, co i jak. Nikt Wlazły nie lubi. Nikt z ferajny nie poważa handlu dziewczynami, a on w tern bierze udział.

– Zvi Migdal?

– O, widzę, żeś pan poinformowany!

– W końcu taki mam zawód, ale nie wiem wszystkiego, nie wiem, gdzie go szukać.

– Wszędzie i nigdzie. – Kosiorek rozłożył ręce.

– Tyle to i ja wiem – zaśmiał się Strasburger. – Piękne konie, piękny karawan, msza z muzyką, ferajna się postarała.

– No masz, to honorne ludzie! Ale kiedyś to tu były pogrzeby! Wiesz pan, że tu sam Fogg śpiewał!

– Wiem, ja z Długiej, Mietek Fogiel to mój kolega z ulicy.

– No to szaconeczek, to pierwszorzędny warszawski artysta, nasz chłopak, żaden frajer.

– Rozumiem, że jak byłyby jakieś wiadomości o tym typku...

– To nieoficjalnie dowie się pan, gdzie go szukać. Do widzenia.

Mieczysław Kosiorek uchylił kapelusza i ruszył do dorożki. Siedzieli w niej ludzie, którym Strasburger nie powierzyłby opieki nad kluczami do mieszkania. Niczego nowego się nie dowiedział, ale teraz miał pewność, że zeznania, które Zyga wymusił na Kwaśnym, odpowiadały prawdzie, Wlazło miał swoją bandę i były to skończone skurwysyny, groźne, okrutne i bezwzględne. Szumowiny najgorszego sortu, ludzie tak źli i niebezpieczni, że człowiek z ferajny zdecydował się mówić o tym z policją.

Dorożka z dwoma młodzieńcami minęła tę, w której jechał mecenas. Przed chwilą drynda z Jurem-Muszyńskim stanęła na ulicy Widok pod numerem dziewiątym.

– Stryjek, co robisz?! – niemal wykrzyknął chłopak w kaszkiecie.

– Tacy z was detektywi, jak z koziej dupy trąba – warknął sąłata. – Może miałem stanąć za nim, a wy siedlibyście i poszli razem z nim do burdelu cioci Jadzi Bitnerowej?

– Co? – niemal wykrzyknęli młodzieńcy zajmujący tylną kanapę.

– A zobaczcie, gdzie wchodzi!

Mecenas Jur-Muszyński wysiadł, odwrócił się i poszedł do bramy domu pod numerem jedenastym. Gdyby stanęli za nim, toby się na nich nadział. Młodzieńcy z podziwem spojrzeli na dorożkarza.

– No co, kawalerka? – zaśmiał się. – Ma się ten dryg, co nie?

– Ale skąd stryjek...

– Wożę od czasu do czasu prywatnego detektywa. A teraz uwaga, zakładamy się, że poszedł do burdelu?

– A skąd pan wie?

– Po nic innego się do kamienicy Lewenfisza nie przyjeżdża. Panie ładny – zwrócił się do tego ubranego w elegancki sportowy strój z pumpami – dymaj pan za nim, to się przekonasz!

– Ale on już zniknął w bramie!

– Grzejesz, młodzieńcze, do oficyny, do tej lepszej klatki i idziesz na trzecie piętro, a tam masz tabliczkę „Madame Jadwiga Bitner pokoje do wynajęcia”, no już, bo go nie dogonisz!

– Jakby co, to spotykamy się w Kierbedziance – rzucił za nim bratanek dorożkarza.

Chłopak wyskoczył z dryndy i śmignął do bramy, przebiegł przez nią i skierował się do klatki schodowej w oficynie.

– Ale cię przypiliło, młodziaku – zaśmiał się dozorca, który pojawił się z miotłą jak duch.

– Powoli, powoli, jak ktoś ma pieniądze, to zawsze zdąży – powiedział do siebie i wykonał dwa zamaszyste ruchy miotłą. – Jakbym miał, to sam bym skorzystał – mruknął na koniec sam do siebie.

– Co tam margasz pod nosem? – Z klatki schodowej wyłoniła się tęga kobieta w fartuchu.

– A nic tam takiego – odpowiedział cięć. – Się śmieję z tego młodziaka, co galopem pobiegł do ciotki Bitnerowej. Nie każdy na miejscu ma takie rarytasy jak ja. – Uśmiechnął się przymilnie.

– Już ja ci dam rarytasy! – Kobieta odwróciła się na pięcie i zniknęła w bramie, a cięć smętnie wykonał parę ruchów miotłą.

Czasem gdy ma się kłopoty, to trzeba prosić o pomoc samego diabła. Tak właśnie było tym razem, upadły anioł, ksiązę policyjnych ciemności, urzędował u Lourse'a, dlatego zaraz po pogrzebie Mańki Strasburger poszedł do Hotelu Europejskiego. Spotkanie z upadłym aniołem to było kolejne wyzwanie, do którego się nie palił. Miał się spotkać z człowiekiem, który budził u niego sprzeczne odczucia. Strasburger jednocześnie podziwiał go i gardził nim, chciał być taki jak on, ale i brzydził się tym, do czego wykorzystywał swoje umiejętności. Do tego miejsce, w którym mógł go znaleźć, nie było wprawdzie straszne, wprost przeciwnie, ale aspirant zdawał sobie sprawę, że pasuje tam jak pięść do nosa. Kornel Strasburger nie mógł narzekać na uposażenie, zarabiał ze wszystkimi dodatkami cztery stówki miesięcznie. To był piękny pieniądz i nieosiągalny dla większości warszawiaków, ale i tak mnóstwo rzeczy było poza jego zasięgiem. Lepsze miejsca w kabaretach, kto to słyszał, żeby przepłacać za pierwsze rzędy! Taksówki – korzystał z nich tylko wtedy, kiedy bardzo musiał, mieszkanie – jego lokal daleki był od wykwintów, no i w końcu wywczasy – o kurortach mowy nie było, chyba że dostanie miejsce w policyjnym sanatorium w Zakopanem. Jadał, rzecz jasna, po barach, nie dla niego były najlepsze lokale i najlepsze sklepy, więc chodził ubrany solidnie, ale na modne ciuchy stać go nie było. Zazdrościł wojskowym, oni mogli zainwestować w mundur i chodzić w nim na okrągło, a i tak mieli branie! Kawiarni w Bristolu oraz Bliklego i Semadeniego też nie odwiedzał zbyt często.

Wszedł do wnętrza kawiarni, która znajdowała się w narożniku gmachu u zbiegu Ossolińskich i Krakowskiego Przedmieścia. Mimo że było popołudnie, czuł się mniej pewnie, niż gdyby przekraczał nocą progi spelunki przy Stawkach lub na Czerniakowie. Świat szemranych interesów, kurew i bandytów znał dobrze. Umiał rozmawiać z ludźmi z półświatka, a naganta zawsze miał pod ręką i potrafił go właściwie użyć. Tu nagant na nic mu się nie przyda, tu nie warknie „Policja” i nie użyje służbowej broni. Tu był bardziej obcy niż w bandyckim lokalu, co więcej, tam bywał kimś, a tu był nikim. Nie był ubrany jak trzeba, nie miał znajomych, nie potrafił się zachować. Czuł się niepewnie, a gdy przemówił do niego kierownik sali, wręcz bezradnie.

– Czego szanowny pan winszuje? Na początek polecam lampkę wyśmienitego szampana, może coś z naszych wybornych słodkości? Proponuję filiżankę znakomitej kawy, może z kieliszeczkim likieru? – Po czym dodał konfidencjonalnie: – Mamy przepyszny specyfik z Włoch, likier orzechowy, a dziś dowieziono pierwszorzędne porto!

Najlepiej jak najmniejszą kawę i wodę mineralną, pomyślał Strasburger, ale nic nie powiedział.

– Niech szanowny pan się zastanowi, proszę usiąść przy stoliku, a ja przyniosę menu. Winszuje pan sobie stolik dla siebie czy też będzie pan kogoś u nas oczekiwał?

Pytania, pytania, pytania... a to zwykle on pytał. Pytał i szukał, odpowiedzieć nie potrafił. Na szczęście dostrzegł znajomą postać.

– Dziękuję, dosiądę się do tego pana. – Wskazał na stolik w rogu, przy którym tyłem do wejścia siedział jego diabeł.

– Aaa, pan do pana nadkomisarza Ludwika Kurnatowskiego! – W oczach kierownika sali, który już wcześniej badawczo zlustrował jego garderobę, pojawił się błysk triumfu. – Tak przypuszczałem, tak przypuszczałem.

Ciekawe, za kogo mnie wziął, pomyślał Strasburger, czy rozpoznał we mnie policjanta? A może uważa, że jestem szemranym gościem, który ma z byłym zastępcą naczelnika Urzędu Śledczego jakieś interesy? Albo zdaje mu się, że jestem prywatnym detektywem, który prosi o poradę?

Był kilka kroków od pleców Kurnatowskiego, gdy ten niespodziewanie odwrócił się do niego i z

uśmiechem przemówił: – Witam pana aspiranta, witam serdecznie. – Ze swoją elegancko przyciętą bródką i wąsami wyglądał znakomicie, widać, że policyjna emerytura mu służyła, a pieniądze go nie opuściły. – Miło pana spotkać – powiedział, podnosząc się z fotela i podając mu rękę. – A już się obawiałem, że mam do czynienia z szemranym gościem, który proponuje mi jakiś interesik, albo z prywatnym detektywem, który poprosi o poradę, kombinując przy tym, jak ją otrzymać za darmo. Nikogo z byłych podwładnych się nie spodziewałem, bo panowie z Urzędu Śledczego boją się afiszować w towarzystwie przekłętego Kurnatowskiego, jestem symbolem zła, szatanem, nieprawdą?

– zaśmiał się nadkomisarz.

– Witam pana nadkomisarza, już myślałem, że faktycznie jest pan szatanem, bo mnie pan wyczuł na odległość, ale teraz doszło do mnie, że choć siedzi pan tyłem do sali, to jednak spogląda pan w lustro.

– Zawsze wiedziałem, że z pana bystry chłopak, panie aspirancie! Wtedy tak myślałem: chłopak, teraz oczywiście myślę: mężczyzna – poprawił się były zastępca naczelnika Urzędu Śledczego.

– Minęły trzy lata, panie Kornelu...

– Zawsze pan tak o mnie myślał? A nie uważał mnie pan czasem za błazna?

– Bardzo się pan starał, ale nie dałem się oszukać. Od kradzieży w składzie kolonialnym przy Świętojerskiej wiedziałem, na kogo stawiać. Karol Denhel prezentował się znakomicie, ale to było tylko dobre wrażenie. Gdy trzeba było zabrać się do pracy, czar pryskał. Pan mówiłeś mądrze nawet wtedy, gdy opowiadałeś jakiś kawał. Pamiętam, jakieś się pan, panie Dodek, popisał opowiadką o kasiarzach, tam chyba szło o jakąś żarówkę?

– Dokładnie tak.

– To mów pan jeszcze raz, tak samo jak pięć lat temu!

– Postanowiono sprawdzić, skąd są najlepsi kasiarze, i urządzono dla nich igrzyska. Przyjechali sami najlepsi, w tym ma się rozumieć także drużyna z Polski. Chłopaki obrotne, ale żadne asy, bo ci mieli konkretniejszą robotę. Czempionat zorganizowano w nowoczesnym banku, tam w zabezpieczonym przez rozmaite systemy alarmowe pomieszczeniu postawiono kasę, do której nikt się jeszcze nie włamał. Dodatkowo wyłączano na określony czas światło. Dżentelmeńska umowa była taka, że ten, kto pokona system alarmowy i kasę, zanim się zapali światło, zgarnia gotówkę – sto tysięcy dolarów! Francuzi nawet nie weszli do środka, Amerykanie weszli, ale nie dali rady kasie, inni też się guzdrali za długo i za każdym razem zapalenie światła kończyło ich męki. Nasi się wpakowali w okamgnieniu. Są w środku, zabierają się po ciemku do kasy i jadą. Czas jednak mija i kierownik zawodów włącza światło. Włącza i nic, dalej ciemno. Tymczasem z ciemności dochodzą głosy po polsku: Felek, kurtka na wacie! Zakosiliśmy sto tysięcy dolarów, więc po jaką ciężką cholerę musiałeś jeszcze skroić żarówkę za parę groszy?

– Ha, ha, ha – zaśmiał się Kurnatowski. – Drugi raz to słyszę i dalej mnie bawi.

– Wtedy pana nie bawiło.

– Bo czekałem na jakąś radę i nawet ja nie zrozumiałem w pierwszej chwili, że masz pan na myśli popełnienie przez kasiarzy niepotrzebnej kradzieży. Ci z kawału połasili się na żarówkę, a ci ze składu kolonialnego skradli chałwę i po tej chałwie, która była w innych niż wszystkie puszkach, doszliśmy do nich i wyłapaliśmy ich co do jednego.

– Pamiętam, jakieśmy wyciągali tego basałyka z knajpy na Wolskiej!

– Tak, Pod Kogutem, a w środku był sam Tata Tasiemka – wspominał z rozrzewnieniem Kurnatowski. – Było, minęło... – westchnął. – Teraz wiodę wygodne życie, mam dobrą emeryturę, prowadzę konsultacje w zakresie ochrony przed kradzieżami i piszę wspomnienia, są już chętni na moje memuary i powieści – pochwalił się były as policji śledczej – ale nie ma co ukrywać, trochę mi brakuje tamtych szalonych czasów!

Kurnatowski pstryknął palcami na kelnera i zamówił dwa koniaczki i kawę.

– Gdyby nie to zatrzymanie Pod Kogutem i ten pański kawał, to pewnie zapomniałbym o tej sprawie,

a tak zapadła mi w pamięć. To wtedy poczułem, że masz pan talent, tylko że...

– Tylko że nie każdy ma poczucie humoru i nie każdy lubi mieć pyskatego śledczego w urzędzie.

– Trafił pan w sedno, moim zdaniem powinieneś być pan dawno awansować, miałeś pan pecha, że odszedłem.

– Powinienem dawno, straciłem właściwy moment, bo teraz...

– Bo teraz macie dyletanta. Że też aspirant Denhel tego nie doczekał! Dobrze jest, gdy urzędem kieruje dobry organizator, urzędnik i teoretyk. Taki był podinspektor Maurycy Sonnenberg, ale on miał mnie, doświadczonego praktyka, śledczego z krwi i kości. Teraz naczelnikiem jest podinspektor Antoni Sitkowski, który jest wypisz wymaluj takim samym typem jak pan Sonnenberg, z tym że on nie ma mnie! Ma za zastępcę Słubicę-Popielskiego, czyli młodszą wersję siebie samego. Szkoda, że to Popielski z Poznania, a nie ten ze Lwowa. Edward albo Edmund, jakoś tak ma na imię, wszystko jedno, ważne, że to doskonały śledczy, ale podobnie jak pan, też niesforny, zdaje się, że jest już poza policją.

– Pan także.

– Nie rozumiano moich metod – uśmiechnął się Kurnatowski. – Patrzono na drobiazgi, a ja utrzymywałem spokój w mieście.

Drobiazgi, pomyślał Strasburger, łapownictwo, którego nauczył się w carskiej policji kryminalnej, przemykanie oczu na sprawki swojego pupila Daniela Bachracha, który stanął na czele szajki fałszerzy. Drobiazgi... – powtórzył raz jeszcze w myślach.

– Sądzi pan, że wszystko musi być idealne... – Kurnatowski chyba odgadł jego myśli. Rozparł się w fotelu i wyciągnął elegancką srebrną papierośnicę, w której były cygaretki. – Nic nie jest czarne albo białe, życie śledczego to świat szarości, z których trzeba wyłowić najważniejsze wątki. Sądzi pan – zawiesił głos, bo przypalał cygaretkę – o pardon, zapali pan? – Były nadkomisarz podstawił aspirantowi papierośnicę pod nos, a ten przytaknął i wziął cygaretkę w palce. – Sądzi pan – ciągnął Kurnatowski – że utrzymywanie informatorów jest eleganckie i zgodne z prawem. Jak świat światem śledczy i bandyci zawsze oddawali sobie wzajemne przysługi.

– Tak jest, ale pan Bachrach...

– Aspirant Daniel Bachrach – były nadkomisarz położył na słowo aspirant tak mocny nacisk, jakby chciał powiedzieć, że Bachrach nadal jest w jego mniemaniu policjantem. – On nieco przesadził. Miał pewną grupę pod kontrolą, a innych zamykał.

– Pod kontrolą! – zachnął się Strasburger. – On był jej hersztem!

– Faktycznie jest pan pyskаты, panie kolego. – Kurnatowski uśmiechnął się, zaciągając się mocnym dymem cygaretki. – Ale nie spotkaliśmy się tu po to, bym uczył pana strategii życia. Chce mnie pan zapytać o sprawę alfons – pogromu?

Były naczelnik Urzędu Śledczego powiedział to z taką pewnością siebie, z taką wyższością, że Strasburger miał ochotę spłatać mu psikusa.

– Nie, a czemu pan tak sądzi?

– Pan żartuje, aspirancie! – Kurnatowski uznał, że to dowcip, i nie polubił go wcale a wcale.

– Oczywiście, że żartuję. – Strasburger uśmiechnął się, ale robił dobrą minę do złej gry. Nie ma co ukrywać, stary lis był górą, zaskoczył go, patrząc w lustro, dał ostrą ripostę na niepotrzebne wspomnienie o okolicznościach, w jakich pożegnał się z Urzędem Śledczym, a na koniec z miejsca wyczuł, jaki aspirant ma do niego interes.

– Tak, chciałem poprosić o pana opinię w tej sprawie.

W ten oto sposób z przyjacielskiej rozmowy, niezobowiązującego spotkania śledczych zrobiło się niemal oficjalne zebranie. Tak jak trzy lata temu aspirant Strasburger znów czuł się jak podwładny nadkomisarza Kurnatowskiego.

– A jak uważa Urząd Śledczy, czy ma takie samo zdanie, jak pan aspirant Strasburger?

– Kurnatowski zaczął od pytania, które zadał z lekkim przekąsem.

– Sądzę, że pan wie, panie nadkomisarzu, ma pan wciąż wielu przyjaciół przy Daniłowiczowskiej. Jak pan zauważył, nikt się nie chce z panem afiszować, ale nie sądzą, by w mniej eksponowanych miejscach nie spotykał się pan z tymi, którzy wciąż mają pana za swojego szefa. Ale skoro pan sobie życzy, zrobię małe resume.

– To zawsze pomaga, mój panie! – Ludwik Kurnatowski uśmiechnął się zyczliwie i wykonał gest ręką, by aspirant mówił dalej. Teraz był już panem sytuacji.

– Od początku zastępca naczelnika nadkomisarz Słubica-Popielski widział w tym sprawstwo jednego człowieka i jakiś cykl, serię. Uwierzył w ten list znaleziony przy Luksie i Czarnym Piotrusiu. O ile wtedy jeszcze się z niego podśmiewano, o tyle teraz, po zabójstwie tej wielkiej jak słonica prostytutki koledezy przychylają się do koncepcji szefa. I to nie tylko po to, by mu się podlizać.

– Taaak... – Ludwik Kurnatowski wypuścił z ust kłęb dymu. – Słyszałem o siedmiu grzechach głównych, trzeba mieć głowę nie lada, by to wymyślić! Przyzna pan, że nie spodziewał się pan po swoim szefie takiej zmyślności i wyobraźni?

Strasburger skinął głową.

– Tak, panie nadkomisarzu, nie spodziewałem się – powiedział niechętnie.

– I ja się także nie spodziewałem, przyznam, że zrobiło to na mnie wrażenie i to nawet duże. Ale pan twardo stoi przy swojej wersji, bo tak panu podpowiada policyjny nos... I słusznie, i słusznie, a co jeszcze?

– Uważam, że te zabójstwa nie są ze sobą powiązane, a jeśli tak, to zupełnie inaczej, niż wszyscy uważają. To może być coś zupełnie innego, na przykład wojna sutenerskich gangów.

– Bravo! Ma pan otwartą głowę i nie chwytą tego, co leży na wierzchu, umie pan jak prawdziwy gończy pies podjąć właściwy trop. – Kurnatowski klasnął na koniec w dłoń.

– Wydaje mi się, że to nie jedyna możliwość...

– Ja też tak sądzą, bo takich wojen gangów nie ma nawet w tym amerykańskim Chicago. A ma pan jakiś pomysł?

– Mam przecucie, że to działanie żywiołowe, które zostało zapoczątkowane przez zamordowanie Madame Gali.

Kurnatowski zaciągnął się cygaretką i zadumał.

– Przypuszczam, że ma pan rację, że to coś, czego nikt nie ogarnia, a przełom w tej sprawie może być kwestią przypadku i możemy na niego długo czekać. – Były policjant, który jeszcze przed chwilą zdawał się graczem i cynikiem, mówił teraz z troską i przejęciem, tak jakby wciąż kierował śledczymi. – To może trwać długo, a presja będzie coraz większa: nie tylko ze strony szefów urzędu, ale i dowództwa okręgu, Komendy Głównej i wreszcie ministerstwa. Zrobi się nerwowo.

– Już się robi.

Kurnatowski machnął ręką, jakby odganiał muchę.

– Nie wie pan, co znaczy nerwowo.

– A sprawa Gwiazdy Polski? – Strasburger nawiązał do sprawy sprzed pięciu lat, był wtedy początkującym śledczym i była to pierwsza wielka porażka policji, jaką oglądał z bliska.

Pięć lat temu z salonu jubilerskiego Gwiazda Polski przy Marszałkowskiej skradziono cenną biżuterię i zrobiono to w stylu Szpicbródki: był podkop, wyłączenie alarmu i sforsowanie kasy pancernejskiej. Do tego cięć widział Szpica na miejscu akcji, więc wydział pościgowy i wszyscy policjanci w mieście ruszyli na dworce kolejowe oraz w miejsca, w których bywał nazywany Szpicbródką Stanisław Cichocki. Sukces był przygniatający, ale w swej komiczności i rozmiarach porażki, bo aresztowano kilku Szpiców! Wszyscy okazali się doskonale przebranymi oraz zrobionymi na obraz i podobieństwo Cichockiego pijaczkami

i drobnymi złodziejaskami. Wkrótce zatrzymano prawdziwego Szpica, ale okazało się, że dopiero ten moment był absolutną klęską policji, bo kasiarz miał niepodważalne alibi. Gdy na Marszałkowskiej finalizowano skok, on i jego kompania złożona z księgowego, prawnika i kierowcy siedziała w krakowskim areszcie, bo miejscowi dostali cynk o jego obecności w mieście i wymyślili sobie, że zamierza pod Wawelem porwać się na skarbiec królewski lub przynajmniej *Damę z łasiczką*. Tymczasem, co potwierdzały dokumenty, słynny przestępca był umówiony z przedstawicielem wiedeńskiej firmy produkującej kasy pancerne. Czemu tam? Bo, jak powiedział, w Warszawie jego osoba kupująca kasę pancerną wywołałaby niezdrową sensację. Było to potrójne „k” – kłapa, klęska i kompromitacja.

– Jeden okradziony sklep i do tego ubezpieczony, a teraz mamy serię morderstw. Trupy działają na wyobraźnię, a prasa w swych dociekaniach jest coraz śmielsza. Sprawa z przerwami ciągnie się od maja jak powieść w odcinkach. Od czasu tych pisanych przez Sienkiewicza nie było poczynniejszej serii. Pięć lat temu był tydzień wstydu, a teraz mamy tygodnie grozy, a najlepsze pewno dopiero przed nami. Pan sobie wyobrazi, panie aspirancie, że ginie kolejna dziwka. Nawet jeśli przejedzie ją auto albo gdy jakiś alfons zatnie się przy goleniu czy zapije na śmierć, to będzie jak wybuch bomby. Wszystko zaczną doszywać do siebie grubą nicią, bo wszyscy tego chcą, i prasa, i spragniony sensacji naród, i... pański przełożony!

Strasburger był zaskoczony i nie potrafił tego ukryć.

– Dziwi się pan? – zaśmiał się Kurnatowski. – W tyłu miejscach na świecie byli seryjni mordercy, tylko Warszawa nie może się tego luksusu i sławy dorobić. Prasa już jest zachwycona, że jest nasz Kuba Rozpruwacz, nasz Peter Kurten, nasz upiór, który pięknie powiększa nakład. Gazety się sprzedają jak złoto, a reporter, ten cały Giez, robi wielką karierę. Inni próbują się z nim ścigać, każdy chce na tym skorzystać, pański szef także.

– Pismacy, to rozumiem, ale nadkomisarz Słubica-Popielski?

– On gra va banque i do tego o swoją karierę.

Strasburger znów pokręcił głową.

– Czego pan nie rozumie? To proste, on gra o fotel, o kolejny awans!

– W Urzędzie Śledczym?

– Gdzież tam? Poznałem ostatnio kilka osób, z którymi pracował w Poznaniu i Łucku. Jego dawni podwładni i koledzy wyjawili mi jego słabość, on chce być inspektorem i zająć dobry fotel w Komendzie Głównej Policji! Nie uwierzysz pan, ale podobno nawet wymyślił sobie stanowisko!

– Inspektorska pensja i dodatki funkcyjne – rozmarzył się Strasburger – to będzie nie mniej niż siedem stówek.

– Nawet około tysiąca. Mieszkanie służbowe, wywczas, delegacje... Jest o co grać.

– A jeśliby dalej utrzymał się w służbie śledczej, to mógłby liczyć na dodatek nawet czterystuzłotowy! O tak, jest o co grać! – Aspirant uśmiechnął się i potarł palcem wskazującym o kciuk, tak jakby liczył pieniądze. – Kto wie, może gdyby złodzieje zarabiali taki pieniądz, to przestaliby kraść!

Kurnatowski uśmiechnął się na te słowa, ale z wyraźnym politowaniem.

– Jest pan jednak idealistą, gdyby złodziej zarabiał siedemset, a nawet tysiąc złotych miesięcznie, to już następnego dnia chciałby mieć dwa razy tyle. Pan chyba nie zna ludzkiej natury, panie kolego?

– Może faktycznie jestem idealistą?

– Może. Ale szkoda by było, by nim pan pozostał. I pan może na tej sprawie ugrać swoje.

– I wiele stracić.

– Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana! Panie Bogusławie!

Ludwik Kurnatowski pstryknął palcami na kelnera i po chwili wychylił łyk perlistego płynu ze smukłego kieliszka. Chwilę delectował się szampanem, po czym ciągnął dalej: – Pan nadkomisarz Słubica-Popielski zaryzykował, bo przejął osobisty nadzór nad śledztwem.

Czy pana stać na podobne ryzyko?

– Zdziwiłby się pan.

– Zobaczmy, zobaczymy. – Ludwik Kurnatowski odstawił kieliszek i wziął kolejną cygaretkę. Zaciągnął się i badawczo spojrzął na Kornela Strasburgera. – A tak w ogóle to belfer, były belfer, wie pan o tym?

Aspirant skinął głową.

– Domyślałem się.

– A wiesz pan, czego on uczył? Na pewno się pan domyślasz.

– Łaciny?

– Brawo! – zaśmiał się Kurnatowski. – Ale to nie była chyba trudna zagadka, prawda? Aspirantowi nie było do śmiechu. Siedział i czekał, co będzie dalej, ale wyglądało na to, że rozmowa jest zakończona. Nie wiedział, co zrobić, o co zapytać, by nie rozdrażnić starego tygrysa, który dał mu do zrozumienia, że jest na zakręcie. I bez tego wiedział, że sytuacja jest i będzie ciężka.

– Czy mogę jeszcze panu jakoś pomóc? – Były nadkomisarz dał wyraźnie znać, że audyencja się kończy.

– Tak. Nie prowadziłem jeszcze dochodzenia pod nadzorem sędziego śledczego do spraw nadzwyczajnych.

– A kto nim jest?

– Jeszcze go nie wyznaczono, ale to kwestia czasu.

– A zatem bierze pan udział w prawdziwym hazardzie! Są różni sędziowie śledczy, lepsi, gorsi, tacy, z którymi się dobrze pracuje, i tacy, którym możesz pan wejść na głowę. Są i tacy, którzy tylko udają, że są. Poznał ich pan wszystkich, wie pan, jak jest, ale sędziowie śledczy do spraw nadzwyczajnych zwykle dominują w śledztwie, to ludzie, którzy panują nawet nad inspektorami.

I oni dzielą się na lepszych i gorszych, na ludzkich i takich, których lepiej nie spotkać. Jak pan będzie wiedział, o kogo chodzi, to proszę do mnie przyjść. Dobrym śledczym, ludziom, którzy mnie nie zawiedli, zawsze służę pomocą.

Strasburger wiedział, że nie ma po co pytać dalej, że Kurnatowski bawi się trochę jego kosztem. W co on gra? – zastanawiał się.

– Dziękuję, że mnie pan odwiedził – powiedział Ludwik Kurnatowski.

Wizyta u upadłego anioła Policji Państwowej była zakończona, Strasburger ruszył do drzwi, a Kurnatowski zgasił cygaretkę. Sytuacja robi się ciekawa, bardzo ciekawa, pomyślał. Ciekawe, co obstawią najwytrawniejsi gracze. Mogą sobie obstawiać, co chcą, wygra i tak on, bo nic ważnego w mieście nie działo się bez jego wiedzy.

Z szynku Kalinowskiego przy Bednarskiej wyszło dwóch młodych ludzi.

– No i co? – zapytał ten w kaszkiecie i kraciastej marynarce. – Chyba było fest, jest zadowolony? Znasz go lepiej niż ja.

– Ja go znam? – zdziwił się ten drugi, ubrany w gustowną ciemną marynarkę i sportowe pumpy. – Spotkałem go raz jeden więcej niż ty! Ale chyba jest zadowolony, na pewno tak, skoro zgodził się dać pieniądze na kolejny kurs z twoim stryjkiem, no i zwrócił, no wiesz za co... – Chłopak był skrzepowany, ale też rozpierała go duma.

– Farciarz! Że też ja nie pobiegłem za tym mecenasem!

– To twój stryj tak zarządził, do niego miej pretensje!

– Hej, kawalerka, długo będę czekał? – ryknął z wysokości kozła sałata. – Miałem po drodze, więc wam zrobiłem darmową uprzejmość. Ładujecie się na dryndę czy nie?

Załadowali się. Dorożka ruszyła, a wtedy z bramy domu stojącego kilka numerów dalej wyszedł

mężczyzna w płaszczu z podniesionym kołnierzem i w kapeluszu tak mocno wbitym na głowę, że rondo zasłaniało oczy. Gdy dorożka była już kilkadziesiąt metrów dalej, on wchodził do Kierbedzianki.

Kornel Strasburger wszedł do środka. Nie musiał rozglądać się po zadymionym pomieszczeniu, by wiedzieć, gdzie siedzi Zyga. Tak jak Kurnatowski w Loursie, tak on w Kierbedziance wybrał miejsce w rogu. Siedział jednak przodem do wejścia, bo przy stoliku nie było lustra, które pozwalałoby na dyskretne śledzenie wydarzeń w sali. Aspirant zdjął kapelusz i opuścił kołnierza.

– Niepotrzebna ta cała konspira – rzucił do Zygi, który siedział przed kuflem piwa.

– To ryzyko, w razie wpadki lecę tylko ja. Parę dni temu pomogłeś mi, ryzykując całą karierą, więc teraz ja wszystko biorę na siebie.

– A oni?

– Oni wiedzą, co robią.

– Jak się spisali?

– Na medal. Wyobraź sobie, że pan mecenas ma rozległe życie towarzyskie. Najpierw zajechał wprost do przybytku cioci Bitnerowej na Widok.

– Taki as, właśnie tam?

– To nie jest zły bajzel!

– Ale i nie najlepszy.

– Nasz wywiadowca spisał się i dla sprawy śledztwa przestał być prawiczką!

Policjanci zaśmiali się, a Zyga upił łyk piwa.

– A co dla nas z tego wynika? – zapytał aspirant Strasburger.

– Że widział, z kim się spotkał mecenas. Nie był tam na ksiutach, tylko rozmawiał z jakimś młodym fagasem.

– I co dalej?

– Chłopak poszedł za tym typkiem, żeby ustalić, kto to jest, i wyobraź sobie, że ten pozeźlował pod Zodiak. Widać było, że na kogoś czeka, patrzył na zegarek i w końcu postanowił czekać w środku. Kogo on tam nie znał!

– Pisarzy, aktorów?

– A skąd! Najpierw przysiadł się do stolika urningów, przywitał się ze wszystkimi, a ostatniego nie znał, więc jak ich sobie przedstawiali, to włożył palec do dziurki w klapie marynarki!

– Proszę, proszę.

– Chłopak nie wiedział, co to znaczy, więc mu wytłumaczyłem, że w ten sposób pokazał nieznanemu, że jest jednym z nich. Później pogadał z kobitką, która wyglądała jak grandesa, potem z alfonsiem i jego dziwkami. Na koniec spojrzął na zegarek i wyszedł na zewnątrz, punktualnie o szóstej podjechała taksówka, wsiadł do niej i odjechał.

– To jakiś szemrany goniec z rozległymi koneksjami. Bywalec każdego świata!

– I mnie się tak wydaje.

– A co z mecenasem?

– On z kolei pojechał do kolejnego burdelu i tym razem chyba dla przyjemności, bo wysiadł niedaleko stąd, na Dobrej pod czterdziestym drugim.

– Tam gdzie mają te doborowe dziwki?

– Dokładnie tam.

– Obiecująco to wygląda, choć szybko po tych nitkach do kłębka nie dojdziemy. Widać, że pan mecenas ma znajomości w szemranym świecie, ale jest ostrożny i załatwia sprawy przez pośrednika.

- Kiedyś musi popełnić błąd!
- W tej sprawie cały czas na coś czekamy i cały czas nie mamy się czego ucześcić.
- A Kurnatowski, spotkałeś się z nim?
- Tak. I wiele dobrego nie usłyszałem. O sędzim śledczym do spraw nadzwyczajnych powiedział tyle, ile sami wiedzieliśmy, że może nam się trafić ktoś fajny, a może być też ktoś, kto nam utrudni życie. Powiedział za to niezłą rewelację o naszym kierowniku.
- O Słubicy-Popielskim? Co takiego? – zaciekał się Zyga.
- Że pan nadkomisarz to były nauczyciel łaciny!
- No co ty? – zaśmiał się Stolarczyk. – Nasz Bibliotekarz to belfer? Belfer od łaciny? A wiesz, że mi się tak wydawało? Czuję to!
- Jemu się pali pod tyłkiem tak jak nam, my od lat czekamy na awanse i stoimy w miejscu, a on ma podobno coś nagrane w Komendzie Głównej. Miał tak po prostu wślizgnąć się po odbębnieniu służby u nas, ale te morderstwa mu zaszkodziły, więc gra teraz va banque, chce rozwiązać głośną sprawę i odbić się w górę. Wóz albo przewóz.
- Zapadła cisza, Strasburger postanowił rozluźnić atmosferę.
- Tak czy owak, Zyga, trzeba zamówić ciwartkę!
- O nie, nie, nie! Jadwiga czeka na mnie z późnym obiadem. Nie chcę, żeby mnie prześwięciła.
- Idź, idź pantoflarzu! – Zwykle Strasburger żartował, teraz jednak powiedział to na poważnie.
- Może i pantoflarz, ale dobrze najedzony i coś mi się wydaje, że po obiadku będzie jakies fiki-miki! Teściówka pojechała do kuzynów w Milanówku!
- No to jest jakiś konkretny argument!
- Wychodzisz czy będziesz tu sterczał jak kołek?
- Posiedzę jeszcze.
- To siedź – zaśmiał się Stolarczyk – a ja idę na wyzerkę z premią za wierność i punktualność!
- Nie miał się z kim napić. Nie miał aż tak wielkiej ochoty, by pić samotnie w knajpie lub walić do lustra. Nie był przecież alkoholikiem, był po prostu wesołym pijakiem. Nie pił po to, żeby pić, tylko po to, żeby było wesoło.
- Pies to jebał, pies to jebał – zaklął pod nosem i zaczął jeszcze raz przebierać w papierach związanych ze śledztwem. A może coś przeoczył, może belfer Słubica-Popielski miał rację?

Warszawa, środa 24 września 1930

Płaszcz był piękny, ale kieszenie puste. Edward Giez obkupił się ostatnio w szykowne ciuchy, więc w portmonetce zrobiło się cieniutko. Musi coś trafić, jaką nową bombę, by pieniądze za premie wypełniły kieszenie. Spodobał mu się tekst „pieniężki za premie wypełnią mi kieszenie”.

Toż to szlagier! Ma się ten talent, pomyślał, kto wie, może kiedyś będzie pisał piosenki? Na razie miał melodię na to, żeby zrobić coś, co potwierdzi jego pozycję. Tu trzeba pokazywać się tydzień w tydzień i to po parę razy. Tylko ona może sobie tak wyskakiwać i wyskakiwać, od premiery do premiery oraz dużych tekstów do kolorowego sobotniego dodatku. Wyciągnął się na krzesło i pofantazjował sobie, ciekawe, jaka ona jest w łóżku...

– Panie Giez – z miłego letargu wyrwał go naczelny – jedziesz pan na Smoczą!

Poderwał się, ale nie dlatego, że był taki wrywny: poczuł się wręcz oburzony tą propozycją. Nie mógł jednak tego po sobie pokazać, z Doboszem nie warto zadzierać.

– Ale przecież są tam Rysio i Janusz?

– Ale przecież znaleziono tam spalone ciało i to jak raz tam, gdzie przed pożarem był burdel!

– Dobosz przedrzeźniając Gza, zrobił głupkowatą minę.

Reporter zerwał się na równe nogi. A więc uderzył, szósta zbrodnia, dziesiąty trup!

Nowy sędzia śledczy, ten cały ktoś od spraw nadzwyczajnych, jeszcze się nie pojawił na ich chybotliwym pokładzie, a przybył nowy problem. W zgłiszczach domu przy Smoczej znaleziono niemal całkiem zwęglone ciało. W miejscu straszliwego znaleziska było kiedyś mieszkanie zajmowane przez prostytutkę Ryfkę Burską. Nadkomisarza Słubicy-Popielskiego nie było w urzędzie, ale nikt nie miał wątpliwości, co by powiedział.

– Szóste z siedmiu morderstw, a więc *ira*, gniew! – Kornel Strasburger imitował głos i postawę swojego szefa. – Zamordowana jest Żydówką i prostytutką, a więc nowy alfons—pogrom trwa!

Zyga pokręcił głową.

– Mój drogi pryncypale, że jest inaczej, uważasz tylko ty i jeszcze jeden facet. – Przodownik wyprostował się i wskazał kciukiem na siebie. – Ten gość to ja, bo cię lubię i wierzę w twojego nosa. Gdyby to mówił kto inny, to byłby sam, bo tak na zdrowy rozum to się wszystko układa.

– Dziękuję ci, Zyga. – Aspirant nie wiedział, czy się cieszyć, czy wprost przeciwnie. Przodownik Stolarczyk był znakomitym śledczym, z którego opinią się liczył, Cieszył się, że Zyga był z nim solidarny, ale było mu głupio, że robi to wbrew sobie i być może nawet nie z koleżeńskiej potrzeby, lecz z litości.

Na miejscu zbrodni mogli tylko przesłuchać miejscowych i zebrać od mundurowych wcześniejsze zeznania złożone przez poszkodowanych. Ogniomistrz straży pożarnej, który był na miejscu, orzekł, że to musiało być podpalenie. Oficer strażaków wskazał na pokręcone resztki ofiary. Nie dotykali się do nich. Nie chcieli zepsuć pracy lekarzowi sądowemu, a ponadto z tak przerażającym widokiem nawet oni rzadko kiedy mieli do czynienia. Czekaając na lekarza i sędziego śledczego, usiedli na nadpalonej belce i zapalili po papierosie.

– Moim zdaniem większość tych zbrodni ma coś wspólnego z alfonsami – zagaił Zyga.

– Na pewno druga, trzecia i czwarta – przyznał aspirant. – Na Krochmalnej zginęli stręczyciele, Czarny Piotruś też nim był, a na Kamiennych Schodkach...

– Tacy jak ten Wlazło to największe zakały-wycedził Stolarczyk.

Aspirant Kornel Strasburger wiedział, że Zyga nie lubił namolnych kurew, ale alfonsów wprost nienawidził. Burdelmam także, ale jednak alfonsów zdecydowanie bardziej. Przypomniało mu się, jak kiedyś zrobili obławę, a Stolarczyk na widok sutenerów syczał pod nosem: „Cwaniaczki pizdą karmione, darmozjady i łobuzy, krwiopijcy”. Mordercy i alfonsi to był dla niego najgorszy element, który przebijała tylko jedna kategoria: alfons morderca albo pedofil. Teraz też o tym myślał, bo między jednym a drugim zaciągnięciem się papierosem wyszeptał: – Takich i tych, co krzywdzą dzieci, bym... – W tym miejscu Zyga Stolarczyk pokazał wymowny gest podrzynania gardła.

Tej pantomimie przyglądał się młody posterunkowy z komisariatu przy Nowolipiu oddelegowany do pilnowania miejsca zbrodni.

– Coś nie tak? – zagadnął go Stolarczyk.

– Chyba najpierw sąd, panie przodowniku – odparł chłopak w mundurze.

– Sąd, sąd, weźmie taki dobrego papugę, a sędzia będzie łamaga i co? Zbrodniarz zamiast w ręce kata trafi do więzienia albo do domu wariatów, a wszystko to za państwowe pieniądze! – zasyczał przodownik. – Ja najchętniej bym takich...

– Ja tam wierzę w sądy, a poza tym jest na to rada – wtrącił się Strasburger.

– Na co?

– Na to, żeby legalnie wymierzyć sprawiedliwość.

– Jaka? – zaciekawił się Stolarczyk.

– Jest posada do wzięcia. Kat Maciejowski podobno chce sobie zrobić fajrant, a pan minister sprawiedliwości będzie szukał odpowiedniego człowieka.

Stolarczyk wzdrygnął się, jakby go polectano dawką elektryczności.

– Gdzież tam, brzydę się takich. Mógłbym kierować plutonem egzekucyjnym, a potem dobić taką gnidę strzałem w łeb albo zatłuc pałką czy kijem do palanta. Wieszanie to kontakt z klientem.

– Dają rękawiczki... – nęcił Strasburger.

– Oj, przestań już!

– Sam zacząłeś! Po za tym stówka od łebka!

– Dobra, zacząłem i chcę skończyć. Razem to skończmy, znajźmy zabójcę tej nieszczęsnej panienki i wyślijmy go na szafot. Może załapiemy się na egzekucję.

Przybili dłońmi jak na końskim targu, po czym wyciągnęli nowe papierosy. Młody mundurowy wybałuszył na nich oczy: chłopak jeszcze niewiele widział, a tu masz-trup i dwóch śledczych, którzy zachowują się jak Fertner i Dymsha.

– No co się tak posterunkowy patrzy? – rzucił w jego kierunku Stolarczyk. – Palisz? Jak się nazywasz? Bo zapomniałem.

– Stopczyk – wyjąkał, stukając obcasami – posterunkowy Witold Stopczyk! – poprawił się już całkiem dziarsko.

– No to jak, posterunkowy Stopczyk, palicie czy nie?

– Pałę, ale...

– Ale uczono was w ochronce i szkole powszechnej, że można zaproszyć ogień...

– Melduję, że nie chodziłem do ochronki!

– Wiciu, dziecko drogie... – Stolarczyk bezradnie opuścił ręce. – Masz, do cholery, ogień czy nie? Speszony chłopak zaczął szukać po kieszeniach munduru, aż w końcu znalazł.

– A teraz z łaski swojej podaj ognia panu aspirantowi, bo nie wypada, żeby starszy stopniem prosił się posterunkowego.

– Ale...

– Co ale?

– Ale nie powinniśmy tu palić!

– Bo co, bo będzie pożar? – zarechotał Stolarczyk. – Co się miało spalić, to już poszło z dymem! – Ale regulamin!

– Ten, co pisał regulamin, nie przewidywał takiej sytuacji.

Stopczyk spojrział błagalnym wzrokiem na Strasburgera.

– Przodownik Stolarczyk ma rację, regulamin nie przewiduje takiej sytuacji. Bo gdzie stoi napisane, by nie palić tytoniu na pogorzelsku, w dodatku w towarzystwie spalonych zwłok?

– No, nie przypominam sobie... – wyjąkał Stopczyk.

Stolarczyk klasnął w dłonie i wskazał na papierosa, posterunkowy potarł zapałkę o draskę i przystawił płomień do papierosa aspiranta Strasburgera. Ten zaciągnął się zadowolony i spojrział na policjanta.

– A co wy palicie, Stopczyk?

– Melduję, że skręcam sobie tytoń kresowy.

– Żaden delikates, ale cóż, kwestia gustu. – Strasburger uniósł brwi. – A może nila?

– Bardzo chętnie – wyrwał się posterunkowy, po czym zmarkotniał.

– Stopczyk, przestańcie trząść tyłkiem, czy któryś z nas wygląda na twojego szefa z Nowolipia?

– Nie, ale...

– Ale co?

– No bo... No bo, za pozwoleniem, pan przodownik jest bardzo podobny do pana ministra Sławoja Składkowskiego i ja się tak trochę czuję... – szukał właściwego słowa – no, nieswojo się czuję. Tak jakby nasz szef wszystkich szefów na mnie patrzył.

Stolarczyka i Strasburgera najpierw zatkało, a później o mało nie zważyło z nóg. Śmiali się jak na dobrym filmie w kinie. Tak jak niedawno sami byli dla Stopczyka jak Fertner z Dymszą, tak teraz on dla nich był jak wszyscy komicy w jednym.

– Zyga, zawsze wiedziałem, że mi kogoś przypominasz – śmiał się Strasburger – to wysokie czoło, ta fryzura, wąs i przenikliwe spojrzenie – wyliczał cechy podobieństwa i na koniec skłonił się. – Panie ministrze...

– Niech pan aspirant się uspokoi – syknął Zyga Stolarczyk-jestem tu incognito.

Posterunkowy patrzył na to wszystko w coraz większym osłupieniu.

– To w końcu palicie czy nie, Stopczyk? – zwrócił się do niego Strasburger. – Mieliście dostać nila, ale zapalicie sobie wiarusa.

– Wiarusa?

– Pan minister pali wiarusy, a przecież jak już palić, to nawet byle co, byleby przyszło z ręki ministra. Ekscelencjo, ma pan papierośnicę?

– Chwilowo nieobecna. – Stolarczyk wyciągnął z kieszeni zmiętą paczkę wiarusów. – Palcie, Stopczyk, ku chwale ojczyzny!

– Tak jest-wyrwał się posterunkowy i odruchowo zasalutował.

Zapadła cisza, którą przerwał Stolarczyk.

– Dobra, żarty żartami, ale stańcie na czatach, niektórzy z Daniłowiczowskiej nie pochwalają palenia, a już na pewno nie pochwali was szef z komisariatu. Pilnujcie, czy nikt nie idzie, a jak będzie szedł, to skiepujcie papierosa przed drzwiami. Tu niczego nie rzucamy, tu jest miejsce zbrodni.

Stopczyk zasalutował i stanął w progu.

Zrobił to w samą porę.

– Lampen, puc! – syknął złodziejskim slangiem.

Cała trójka wyrzuciła papierosy, Strasburger poczuł się jak uczeń popalający w szkolnej toalecie.

Gieź migiem zajechał pod nadpalony budynek przy Smocznej. Tam utknął przed policyjnym kordonem.

– Nie da rady, kolego! – rzucił w jego kierunku Janusz, który stał wraz z innymi reporterami. Palili papierosy i na coś czekali. On nie czekał, machnął tylko ręką i ruszył tam, gdzie stał przodownik Maszczyk z VIII komisariatu.

– Co pan tu robisz? – zapytał przymilnie policjanta.

– Gościnne występy, panie redaktorze, miejscowe chłopaki nie dają rady ogarnąć wszystkiego, to przyjechaliśmy ze wsparciem z ósmego komisariatu.

– Pamiętasz mnie pan!

– Mowa, pierwszy raz tośmy się spotkali pod kamienicą Madame Gali! Wtedy się to wszystko zaczęło. Wtedy to był pan nieznany ciećwierz, a teraz nie musisz pan nawet wyciągać legitymacji, i tak wiadomo, kto idzie. Pięknie żeś pan poszedł w górę. Ja ciągle w tym samym mundurze i z pagonem bez zmian, a pan ubrany jak lord, nie to, co wtedy – powiedział z uznaniem Maszczyk.

– Miło było spotkać. – Gzowi się śpieszyło. – A teraz muszę zobaczyć ten cały bałagan.

Ku zaskoczeniu reportera Maszczyk usztywnił się i spojrzał na niego wzrokiem służbisty.

– Nie da rady – wyjaśnił dowodzący akcją przodownik. – Po pierwsze, mówią, że grozi zawałaniem, po drugie, kierownik komisariatu dostał cynk, że przyjeżdża tu jakiś waśniak, co nie lubi bałaganu.

– Kto to?

– Nie wiem, ja mam pilnować, żeby był porządek. Cofnij się pan! – Przodownik faktycznie był przejęty.

Wtem pod nadpaloną kamienicę zajechało auto, z którego wysiadł młody, znakomicie ubrany facet. Niewątpliwie nie było w promieniu kilometra ludzi lepiej ubranych niż Giez i tajemniczy przybysz. Był strzelisty, głowę nosił podniesioną wysoko, jakby robił przegląd wojsk, a eleganckie ubranie uzupełniała fantazyjna kolorowa chustka wsadzona do kieszeni marynarki. Pierwszy napotkany policjant po dwóch słowach wyprężył się jak struna i zasalutował. To musiał być on, ten waśniak, o którym mówił Maszczyk. Giez podbiegł i usiłował razem z nim przekroczyć kordon.

– Edward Giez, reporter śledczy „Expressu Warszawskiego”, kiedy prasa uzyska dostęp do miejsca zbrodni?

Mężczyzna nawet na niego nie spojrział, tylko rzucił do policjantów: – Żeby mi nikt nie pętał się tu pod nogami!

Z taką impertynencją Edek Giez jeszcze się nie spotkał. Podeszedł do policjanta, któremu ów jegomość się przedstawił, i zapytał: – Kim jest ten facet?

– To Patryk Jakowicz, sędzia śledczy do spraw wyjątkowego znaczenia!

A więc cwaniak z Sądu Apelacyjnego, należało się spodziewać, że sprawy zajdą tak wysoko. Giez zacisnął wargi i podeszedł do reporterów, których po swojej klęsce łaskawie zauważył.

– Widzieli koledzy, jaki dupek? Jeszcze z nim zatańczę!

Towarzystwo się zaśmiało, a Giez dla przypomnienia o swojej pozycji w tym światku wyciągnął z kieszeni srebrną papierośnicę z egipskimi.

Wszyscy wyrzucili papierosy, a po chwili zza nadpalonej ściany wyłonił się elegancko ubrany mężczyzna. Wszedł bez słowa, podnieśli się, mundurowy zasalutował, a śledczy patrzyli na przybysza.

– Śmierdzi tu dymem tytoniowym – oświadczył. – Kto palił na miejscu zbrodni, kto palił na służbie?

– Śmierdzi tu spalenizną – sprostował Strasburger, który domyślał się, z kim ma do czynienia, ale wobec impertynencji elegancika dodał: – To po pierwsze, mój panie, a po drugie, kto pyta?

Tamten wyprężył się i poruszył szczęką. Strasburger miał wrażenie, że za chwilę usłyszy zgrzytanie zębami.

– Ja tu jestem szefem... – wycedził przybyły. – Sędzia śledczy do spraw nadzwyczajnych z Sądu Apelacyjnego Patryk Jakowicz.

– Gdyby nie okoliczności, tobym powiedział, że mi bardzo miło – odparł Strasburger z filmowym uśmiechem na twarzy. – Aspirant Kornel Strasburger z Brygady do spraw Ciężkich Zbrodni i Kradzieży.

– Przodownik Zygmunt Stolarczyk z Brygady do spraw Ciężkich Zbrodni i Kradzieży Urzędu Śledczego.

– Posterunkowy Witold Stopczyk z...

Jakowicz machnął ręką, by przestał.

– A gdzie nadkomisarz Słubica-Popielski, kiedy się go mogę spodziewać?

– To śledztwo nie jest jego jedynym obowiązkiem, oddelegował nas – wyjaśnił Strasburger. Sędzia Jakowicz pokręcił się po pogorzelsku, wyraźnie mu się tu nie spodobało, brudno, smród i trup, któremu się pobieżnie przyjrzał. Wszystko to napawało go wyraźnym obrzydzeniem, poobnosił się chwilę ze zde gustowaną miną i wymachując palcem, zaczął przemowę: – Jutro czekam na raport, odwiedzę panów osobiście, w samo południe. To po drodze, bo mam spotkanie na Zamku. Do widzenia.

Nie podawszy ręki ani nie czekając na odpowiedź policjantów, sędzia opuścił pogorzelsko i nadpaloną

klatką schodową zszedł na dół.

Podinspektor Juliusz Jagielski nie miał zwyczaju przywiązywać się do jednej koncepcji i jednego sojuszu. Nie był zwykłą chorągiewką na dachu, był wytrawnym graczem, który przewidywał dwa, trzy ruchy do przodu. Umiał zainwestować w osoby, które typował na zwycięzców, nawet jeśli inni uważali ich za przegranych albo niegotowych na wyścig. Ale on miał nosa, miał rzadką umiejętność wchodzenia w sojusze i alianse, dryg, którego nie powstydziliby się najbieglejszy w intrygach dworzanin z Wersalu. Ktoś kiedyś powiedział o nim z przekąsem, że gdyby Polska znów była królestwem, to on doskonale poradziłby sobie na dworze. To był przytyk, to była pochwała, która miała zabołeć, ale po nim to spłynęło i zamiast ukłuć napełniło satysfakcją i dodało pewności siebie. Tak, był mistrzem intryg, gier gabinetowych, a teraz, gdy zaprzągnął prasę do swojego rydwanu, który miał go zawieźć na nowe, lepsze stanowisko, wiedział już, że może podjąć każdą grę. A czemu by nie zmienić ministerstwa? W końcu jest oficerem i może zrobić to, o czym marzy komendant Policji Państwowej. Pułkownik Jagrym-Maleszewski dałby wszystko, żeby znów zasiąść w siodle i włożyć okrągłą szwoleżerską czapkę, wciąż marzył o kawalerii i Sztapie Generalnym! Podinspektor Jagielski pokaże mu, jak się to robi! W mig zrozumiał, że telefon, który otrzymał, może zacząć zupełnie nowy rozdział w jego życiu. Zgasił papierosa i sięgnął po słuchawkę, teraz jego ruch!

Od tych jęków bolała go głowa, ale może teraz będzie trochę spokoju. Usiadł przy stoliku i dla uspokojenia nerwów zażył pięćdziesiątkę wódki. Wzrok padł na gazetę, wszystko już przeczytał i nadawała się tylko na rozpałkę do pieca albo do wyłożenia kubła na śmieci, ale tytuł znów przykuł jego uwagę:

POŻAR W BURDELU

Jaki tam burdel, żaden burdel, tylko mieszkanko dziwki. Burdelu nie widzieli! Wtedy to były burdele, prawdziwe pałace na kilkanaście albo kilkadziesiąt dziwek. Rosyjscy oficerowie urozmaicali sobie służbę i wydawali na dziwki swój niemały żołd. Bywało, że się zadłużali, nawet od tego zaczynali pobyt w Warszawie. Jak młody, nieopierzony oficer po szkole dostawał tu przydział, to dawali mu zamiast adresu koszar czy kwatery adres burdelu. Kazał się tam wieźć z Dworca Petersburskiego, wchodził do środka, a tam już czekali koledzy. I zaczynała się zabawa, na którą szedł co najmniej miesięczny żołd. Bywało, że w dwa dni po przyjeździe do miasta młody oficer miał zapisane w książce i u kolegów trzy miesięczne pensje. Oj, bawili się, bawili, a alfonsi opływali w dostatek.

Złożył gazetę i raz jeszcze nalał sobie alkoholu. To nie pejsachówka, więc może, a w zasadzie powinien jeszcze wypić.

ROZDZIAŁ VII

w którym sędzia Patryk Jakowicz pokazuje, kto tu rządzi, śledczym pomagają wódka i kieszonkowcy, reporter Edward Giez doświadcza rozczarowania i ekstazy, a potem walczy o swoją pozycję.

To miał być ekscytujący, miły wieczór, na który nie szczędził pieniędzy. Po ciężkiej orce, po babraniu się w brutalnej rzeczywistości, która go otaczała, liczył, że się odpręży i przeżyje niezwykle rozkosze. Nie żałował mamony, same róże kosztowały go dwadzieścia złotych. Najdroższe róże w mieście, ale warte swojej ceny, róże rozkoszy, tajemnicy i niebiańskich doznań. Teraz po tych wspaniałych chwilach nie zostało ani śladu, ani drobin, ani cząsteczki, pojawiła się za to panika. A przecież on nigdy nie panikował, zawsze był twardy, zawsze wiedział, jak postąpić.

Usiadł w fotelu i zaczął dumać. Zapalił papierosa, uspokoił drzenie rąk. Samodyscyplina, opanowanie, wewnętrzna siła... Kilka chwil i już wiedział, co zrobić, to było proste i oczywiste, ale trzeba było mieć jego umysł, spokój i spryt!

Warszawa, czwartek 25 września 1930

Szykowali się na to spotkanie od rana. Naczelnik Urzędu Śledczego podinspektor Antoni Sitkowski powiedział, że mają jego zaufanie, i zapewnił, że odbył już rozmowy w Komendzie Głównej, by nie było niepotrzebnych nacisków. Podziękowali, ale wiedzieli, jak jest naprawdę. Ustalili we czwórkę, a w zasadzie we trójkę wspólne stanowisko. Wolf się nie odzywał, tylko notował, był w tym zespole jak sekretarz. Oczywiście Strasburger niechętnie przyjął koncepcję, że było to morderstwo, które odpowiadało szóstemu grzechowi głównemu.

– *Ira*, gniew – powiedział, patrząc uważnie na wszystkich. – Nie wydaje mi się. Zebraliśmy informacje o zmarłej i na razie nic nie wskazuje, by można ją było za to ukarać. Jeśli forsujemy linię siedmiu grzechów głównych, to ja to widzę zupełnie inaczej.

Zyga Stolarczyk nie mógł uwierzyć, Kornel Strasburger w końcu się przekonał do teorii szefa!

– Alfons-pogrom może być dla niego, a raczej dla nich jakąś inspiracją i niewykluczone, że chodzi nawet o siedem grzechów głównych, ale klucz nie jest taki oczywisty. Zakładam, że część ofiar zginęła za swoje grzechy, ale część odpokutowała za winy rodziców, sióstr lub braci. Proponuję przyjrzeć się także rodzinom. Na razie nie ustaliliśmy, kim byli rodzice zamordowanej, czekamy na znalezienie wszystkich dokumentów i opinię aspirant Paleolog.

– Może nasze mniszki dostarczą jakichś informacji.

Zyga uśmiechnął się na te słowa: policjantki z Brygady Sanitarno-Obyczajowej podlegały bardzo surowym zasadom. Regulamin określał, że muszą być stanu wolnego, a najchętniej przyjmowano wdowy. Zgodę na ślub otrzymywało się po co najmniej siedmiu latach służby, funkcjonariuszki miały zakaz stosowania szminek, pudru, kredek do powiek i tuszu do rzęs, musiały nosić włosy upięte podług regulaminu.

– Ma pan rację, poproszę o dodatkowych ludzi i o prześwietlenie zamordowanych do drugiego pokolenia. Czy były jakieś telefony z zagranicy?

– Niestety nie, wciąż czekamy.

Nie czekanie było jednak najgorsze. Wkrótce w Urzędzie Śledczym miał się pojawić sędzia śledczy do spraw nadzwyczajnego znaczenia Patryk Jakowicz.

Edward Giez czuł, że naczelny jest jakiś nieobecny, że jakby coś przed nim ukrywał, unikał go. Znowu wiele czasu poświęcał Alicji Pohulance, zamykali się w pokoju, rozmawiali o czymś dłużej.

Z reguły było wiadomo, o co chodzi, bo oboje pęczniali z dumy, chwając się, jaka to znowuż wielka gwiazda zagości w sobotę w warszawskich domach. Giez czuł się niepewnie, miał wrażenie, że coś się kroi, a najdziwniejsze, że Alicja patrzyła na niego, wciąż mu się przyglądała. W końcu ośmielił się i podszedł do niej.

– Może się umówimy na kawę albo do kina?

Zapytał tak pro forma, bez większych nadziei, zapytał, bo go do tego prowokowała.

– *Niebezpieczny romans* - powiedziała, lekko sepleniąc i szeroko otwierając oczy. – Na ten film bym poszła, ale premiera dopiero za kilka tygodni, więc może *Uroda życia*...

Ona nie pytała, ona prosiła!

– Nora Ney, Brodzisz, Bodo, Jaracz... – Znowu te oczy! – Doborowa obsada, piękny film, tak chcę pójść.

– Oczywiście, tak... – Poczuł, że mu zaschło w gardle. – Na którą godzinę, jakiś popołudniowy seans, a później do Bliklego?

– Nie, wieczorem, tak żeby można było zacząć u Semadeniego, później pójść do Splendidu, a na koniec do Oazy!

Oniemiał. Alicja Pohulanka sama wchodziła mu w ręce, co się dzieje, jaka się za tym kryje tajemnica?

– To jak, możemy tak zrobić? Szykuję bombowy materiał na sobotę, tip-top, absolutny przebój, będziemy to musieli uczcić.

Tak, uczczą to, ale czemu z nim, czemu zawdzięcza te awanse?

Spóźnił się pół godziny, nie przeprosił, tylko spadł na nich jak zły duch. Z odrazą wziął do ręki najnowszy raport, przewertował go, bezczelnie rozsiadłszy się za biurkiem nadkomisarza, po czym rąbnął papierami o blat i wycedził bez owijania w bawełnę: – Awanse... Słyszałem, że panowie chcieliby dostać awanse!

Kątem oka Strasburger spojrział na nadkomisarza Słubicę-Popielskiego. Widać było, że na co dzień spokojny i akuratywny gość walczy sam ze sobą, by nie podejść i nie wyrznąć Jakowicza w pysk. Kierownik Brygady do spraw Ciężkich Zbrodni trzymał się jednak w ryzach. Dostać w mordę to nic miłego, ale młody sędzia zachowywał się tak, jakby o tym marzył, jakby chciał, by któryś z gliniarzy w akcie desperacji rzucił się na niego albo przynajmniej zrugął go za cynizm i bezczelność. Tylko spokojnie, powtarzał sobie Strasburger, tylko spokojnie...

– Tu nie będzie awansów, niezależnie od tego, jak mocne plecy mają panowie śledczy! Tu będą piękne podróże! Stanisławów na ten przykład – zaśmiał się Patryk Jakowicz. – Stanisławów to metropolia, więc ja bym szanownych panów widział raczej w Kołomyi, Tłumaczu, Stryju albo Horodence!

Strasburger zacisnął pięści, czuł, jak kropla potu ścieka mu po skroni. Warszawa, tylko Warszawa, niedaleko niej się urodził, nie pamięta innego miejsca, w którym by mieszkał, tu miał nielicznych przyjaciół. AZyga? Co by powiedziała na takie przeniesienie jego Jadwiga, a dzieci?

Zacisnął nie tylko pięści, ale i wargi, starał się nie mówić, a nawet nie myśleć, ale przy Patryku Jakowiczu było to niemożliwe.

– Panie aspirancie, myśli pan, że pomysłem, by obdzwonić pół świata za służbowe pieniądze, zamydli mi pan oczy? – parsknął sędzia śledczy. – Szukanie odcisków palców na odległość, kpina i nic więcej! Telefonicznie znaczy się szybko, a pan piszesz, że i tak trzeba było dosyłać zdjęcia i że ta analiza może potrwać z dziesięć dni! Alfons-pogrom, siedem grzechów głównych i Goliat! To są fantazje i bajki bez konkretów, to nie jest śledztwo, to jest parodia śledztwa!

Wstał zza biurka, założył ręce w tył i przez chwilę krążył po gabinecie. Na koniec prychnął: – Brygada Specjalna Goliat! – uśmiechnął się lekceważąco. – Też mi coś!

Oberwali wszyscy, zbeształ ich, wyżył się i wyszedł. Słubica-Popielski rzucił tylko z tym samym cierpkim uśmiechem, z jakim słuchał tyrady prokuratora: – *Stat crux dum volvitur orbis*, krzyż stoi, podczas gdy świat się obraca. Nie będą po nas płakać, życie nie znosi próżni. A swoją drogą to był dobry pomysł z tym obdzwonieniem policji na całym świecie... Jak nie my, to może ktoś inny na tym skorzysta. Dziękuję za wasz wysiłek w tej trudnej i niewdzięcznej sprawie.

Nadkomisarz, który tryskał optymizmem, kiedy kilka dni temu brawurowo ogłaszał swoją koncepcję śledztwa, wyglądał jak zbity pies.

Pocziwy Wawrzyniec Słubica-Popielski! Strasburger pierwszy raz pomyślał o nim ciepło. Pocziwy i bez ikry, bez daru bożego. Uścisnęli sobie ręce, rozumieli się wszyscy czterej bez słów. Byli przegrani, ale jeszcze nie wiedzieli, jak bardzo.

– Panowie, wyteżmy siły, pokażmy mu klasę! – Nadkomisarz próbował zmobilizować śledczych.

Podziałało zaledwie na moment, aspirant szybko popadł w marazm, bo przecież stali w miejscu i nie mieli szansy tego zmienić. Tylko przypadek, tylko nowy ślad mógł poprawić sytuację, ale było więcej niż pewne, że nie mają za dużo czasu. Nie było już woli walki, pozostało tylko czekanie na egzekucję.

Warszawa, piątek 26 września 1930

Mówi się o ciszy przed burzą, a przecież po burzy też bywa spokojnie. Czasami zresztą trudno dociec, czy cisza jest przed burzą, czy po niej. To, czego doświadczali ostatnio funkcjonariusze z Brygady Specjalnej Goliat, było ciągiem burz z krótkimi tylko przerwami. W czwartek zostali zbesztani i zmieszani z błotem przez sędziego Jakowicza, ale liczyli na święty spokój do końca tygodnia. O ile można nazwać świętym spokojem niekończące się rozmowy z ludźmi z półświatka, czytanie raportów informatorów i grzebanie w papierach. Byli jak auto, które wpadło w błoto lub piasek. Ciśnięto na gaz, silnik wył i pracował na najwyższych obrotach, a pojazd stał w miejscu. Żeby tylko stał. Oni czuli, że się zakopują coraz głębiej. Potrzebowali czasu, cudu i odrobiny spokoju, ale nic z tego. Dobrze chociaż, że nie było w pobliżu sędziego Jakowicza, który o swojej pozycji i możliwościach przypominał w sposób bezpardonowy i wyjątkowo bezczelny. Zdarzały się podobno takie przypadki na prowincji, ale nie w Warszawie. Owszem, sędzia śledczy stał ponad funkcjonariuszem policji, owszem, były typy upierdliwe i nieznośne, ale istniały jakieś nieprzekraczalne granice. Patryk Jakowicz wszystkie granice przekroczył. Słubica-Popielski myślał nawet nad napisaniem skargi do Ministerstwa Sprawiedliwości, a Strasburger dumał, czy nie podpytać o sędziego nadkomisarza Kurnatowskiego. Wawrzyniec Słubica-Popielski uznał, że jego pomysł jest bez sensu, bo mają w ręku za mało argumentów, a Kornel Strasburger doszedł do wniosku, że lepiej nie zawracać głowy byłemu zastępcy naczelnika Urzędu Śledczego. Jak dotąd wiele się od niego nie dowiedział, za to poczuł jego siłę i wyższość, a takich sytuacji nie lubił.

Przysługa za przysługę, ręka rękę myje, ty mnie, ja tobie. Tak to działa! Trzeba tylko mieć co zaoferować, a Józef Dobosz miał. Łamy poczytnej gazety w zamian za informacje, których nikt inny nie posiadał? Toż to czysty interes! On kogoś pokaże, zareklamuje, podpicuje, a od drugiej strony otrzyma tematy. Piękna sprawa, bo i samo picowanie przyniesie mu to, co najważniejsze: czytelników i większy nakład. A o to przecież chodziło, bo o cóż innego chodzi w tworzeniu gazety, jak nie o sprzedaż? Misja, informacja, prestiż... Największy prestiż dają nakład i pieniądze, możesz sobie odkryć nie wiadomo co i opisać to jak Homer z Sienkiewiczem, ale kogo to zainteresuje? Temat, musi być temat! To on jest podstawą, a najlepszy jest taki, w którym są sensacja, zbrodnia, miłość albo sukces. Ludzie lubią poczuć zbrodnię i sukces, a najlepiej, jak stoi za tym sztywnie ubrany, elegancki i przystojny pan, zbawca, bohater i dzentelmen na dobrym stanowisku. Panie takich uwielbiają, a to panie przecież coraz częściej sięgają po gazety.

Znów Oczuki i znów ten budynek grozy. To już było rutyną, nieprzyjemną, taką jak w dzieciństwie picie tranu, a w wojsku musztra i sprzątanie koszar. Czymś uciążliwym, stale się powtarzającym, od czego się nie da uciec i z czym trzeba żyć. Tak jak kiedyś niekończąca się msza, suma z długim, nudnym kazaniem.

Z tym jakoś sobie radził. Teraz jednak szedł jak na ścięcie. Spalony trup. Przyglądał mu się na pogorzelnisku, ale z pewnej odległości, a teraz będzie musiał spojrzeć z bliska.

Doktor Potocki powitał go jak zwykle wylewnie.

– Witam pana aspiranta! Nie mam dzisiaj dla pana jakichś szczególnie miłych doznań estetycznych, ale za to mam kilka informacji, które, jak sądzę, wpłyną na panów śledztwo!

Strasburger spojrział na stół, na którym leżały zwłoki.

– Nie będę pana męczył pokazywaniem całości, to niepotrzebne, zresztą niemal całe ciało jest kompletnie zwęglone, ale za to czaszka...

Potocki zrobił to, czego się Strasburger obawiał i na co czekał: uniósł prześcieradło i wskazał na czaszkę.

– Widzi pan?

Doktor wskazywał na dziurę wybitą w czole i twarzy.

– Tak.

– To jak znak firmowy! – powiedział Józef Potocki, z powrotem zasłaniając nieszczęsne szczątki.

– To ten pierwszy?

– Tak, dokładnie tak! Madame Gala i Ryfa Burska były niemal tego samego wzrostu, zatem łatwo porównać obie serie uderzeń. Jestem niemal pewien, bo oczywiście stuprocentowych dowodów nie mam, że był to ten sam morderca i to samo narzędzie. Mężczyzna silny i postawny, mściciel, ale nie amator. Sześć śmiertelnych napaści, dziesięć trupów, narzędzia zbrodni młotek, nóż i ręce, nie wiadomo ilu sprawców, ale jak dla mnie co najmniej czterech. Ten od pierwszej zbrodni z dużym prawdopodobieństwem popełnił także ostatnią, ten od drugiej na Krochmalnej mógł być też tym z Niskiej, który skrzył kark policjantowi, a każdy z nich mógł być także autorem zabójstwa na Kamiennych Schodkach. Co innego zbrodnia numer trzy z Widok, ją popełnił ktoś mało wprawny.

Doktor zdjął kauczukowe rękawice i spojrział na Strasburgera. Ten kręcił głową, wszystko to nijak nie chciało mu się ułożyć. Z jednej strony przypadek, z drugiej zaś seria tak niebywała, jakby ktoś ją reżyserował.

– Jestem bezradny. Czy mogę zapalić?

– Wyjdźmy na korytarz – zaproponował doktor. – Poczęstuje mnie pan? Bardzo lubię nile...

– Jest pan niekonsekwentny.

– Być może, ale za to podążam za logiką, a to narzuca pewne postępowanie. Będziemy rozmawiać w ciasnym korytarzyku, więc chcąc nie chcąc, będę w pana paleniu współnikiem, i tak nawdycham się dymu, a skoro tak, to postanowiłem mieć z tego jakąś przyjemność – uśmiechnął się doktor.

– Proszę bardzo – powiedział aspirant, wyciągając pudełko nilów.

Przez chwilę milczeli, delektując się dymem.

– Zwykle pan nie pali...

– Tak, zawsze staram się wyjść od pana jak najszybciej, na ulicy chwytam w płuca czyste powietrze, a później uruchamiam na powrót głowę, paląc papierosa.

– A dzisiaj?

– Dzisiaj jest mi wszystko jedno. Nie mam pojęcia, co robić dalej, w dodatku trafiłem między żarna. Ta sprawa wyzwoliła wielkie ambicje, a w takich sytuacjach głowy toczą się po szafocie.

Moja może się potoczyć daleko od Warszawy. – Strasburger zaciągnął się głęboko, jakby chciał nabrać dymu na zapas. – Wie pan, panie doktorze, ja zwiedziłem kawałek świata, ale tu mi najlepiej. To miejsce ze wszech miar niedoskonałe, ale moje, własne. Mam tu ojca, który się starzeje, mam przyjaciół, przodownika Zygę Stolarczyka oraz innych z Urzędu Śledczego, jest tu pan, którego, jeśli pan pozwoli, także włączę

w ten poczet – doktor skinął twierdząco głową – mam tu kilka ważnych dla mnie grobów.

– Nie będzie tak źle, zobaczy pan! – powiedział stanowczym głosem doktor.

– Dziękuję, że pozwolił mi pan nazwać się przyjacielem, i dziękuję za słowa otuchy, był pan bardzo przekonujący, ale myślę, że po prostu jest pan dobrym aktorem.

– Statystyka, panie Kornelu, statystyka! – Doktor położył aspirantowi dłoń na ramieniu. – Ta seria, zła seria trwa tak długo, że musi się skończyć. Zobaczy pan, w końcu ktoś popełni błąd, może znajdzie się coś lub ktoś...

– Chciałbym, by tak było, i tak się zapewne stanie, ale ja będę wtedy w Borszczowie, Sarnach albo w Głębokiem. Jest wiele miejsc, do których można skierować policjanta, kiedy powinien mu się noga. A jak trafię tam, gdzie w końcu będę miał więcej czasu, ale nie znajdę czwartego do brydża?

– Świetnie, że pan o tym wspomniał! – rozpromienił się Potocki. – Zapraszam pana na brydża, mamy się spotkać w gronie przyjaciół w najbliższą niedzielę.

– Bardzo dziękuję, gdzie, o której, w jakimś klubie brydżowym?

– Nie – uśmiechnął się doktor – u pani prezesowej Leszczyckiej przy Bagateli. To nieformalny klub brydżowy, którego moja żona i ja jesteśmy przyjaciółmi. Pan prezes jest w ciągłych rozjazdach, więc pani Leszczycka sama organizuje sobie życie, to wielka pasjonatka awiacji, automobilizmu i brydża. Niezmiernie bogata i inteligentna kobieta, ciekawa życia i nowych ludzi. Opowiadałem kiedyś, że znam świetnego śledczego, który jest brydżystą. Niedziela o piątej, brydżowa herbatka, no i rzecz jasna koniaczek, bo przy brydżu musi być koniaczek. Proszę, oto adres. – Józef Potocki podał Strasburgerowi kartkę.

– Bardzo dziękuję, nie wiem, jak się panu odwdzięczyć!

– Opowiedz pan któryś ze swoich dowcipów, w końcu jesteś pan Dodek, a nie Buster Keaton!

Jeszcze kilka chwil temu nie miały na to ochoty, był osowiały i przegrany, jak człowiek z kamienną twarzą, którego kreował w swych filmach Buster Keaton. Już jakiś czas temu zapomniano w Urzędzie Śledczym, że jest Dodkiem. Nie miał ochoty żartować i bawić kolegów, opuściła go błazeńska wena. Zatarł dłonie, odchrząknął i ruszył z opowiadaniem.

– Ksiądz z pastorem spotykają się w saloniku domu schadzek. Pastor wychodzi z pokoiku, a ksiądz wchodzi. Katolicki duchowny pyta protestanta: – No i jak, panie kolego, warto było z nią pogrześcić, będę zadowolony?

– Jak najbardziej, ta panienka jest lepsza od mojej żony! Poczekam na koleżę, weźmiemy razem dorożkę.

Ksiądz wchodzi do środka i w dziesięć minut załatwia sprawę. Wychodzi, pastor czeka.

– No i co, księżę, jak było?

– Z całym szacunkiem do twojej żony, miałeś rację, pastorze!

Potocki wybuchnął śmiechem.

– Bardzo zręczne, bardzo. – Doktor otarł łzę płynącą mu po policzku. – Faktycznie, w żadnym teatryku tego nie zagrają.

– A jakby zamiast pastora był rabin albo pop?

Znów się zaśmiali.

– Lubię pana wizyty – ciągnął doktor – i uważam, że powinieneś pan spróbować sił w jakim kabarecie!

– Na razie to ja sobie nie mogę poradzić w profesji, którą wykonuję.

– Dasz pan radę! Coś wyskoczy, coś się stanie!

– Dziękuję, że pan doktor mnie podtrzymuje na duchu i bawi. Lubię z panem pracować, jest z pana fachowiec pełną gębą, a do tego człowiek porządny i dowcipny. To pan doktor raczej powinien spróbować

sił w kabarecie...

Doktor Józef Potocki spojrział na Strasburgera z uwagą, uśmiechając się coraz szerzej...

– Mówię poważnie, pana dowcipy są prima sort! – zapewniał Strasburger. – Ja nie robię sobie z pana żartów, gdzieżbym śmiał!

– Dziękuję panu najuprzejmiej, tylko... tylko ja już piszę do kabaretów.

– Niemożliwe!

– Ale prawdziwe!

– Jak to?

– Wiesz pan, jak to jest, na przedstawieniu musi być strażak...

– ...i lekarz!

– Tak jest – zaśmiał się Potocki. – Złapałem kiedyś, panie aspirancie, taką, jak to się mówi...

– Fuchę?

– Tak, fuchę, i dwa, trzy razy w tygodniu, w zależności od tego, jak z innymi kolegami lekarzami się tymi dyżurami dzieliliśmy, towarzyszyłem widzom i artystom. Zabawa przednia, a do tego płatna. Niedużo, ale czyż to nie piękne siedzieć w teatrzyku, spoglądać z bliska na artystów, dyskretnie, zza kulis zerkać na twarze publiczności i dostawać jeszcze za to wynagrodzenie?

– Sam bym został takim doktorem – ucieszył się Strasburger.

– Pan wybaczy, panie aspirancie, ale przy takim doktorze jak pan to trzeba byłoby mieć zdrowie, żeby chorować!

Stary dowcip ubawił ich obu.

– A tak całkiem serio, to zdarzało się, że musiałem wkraczać do akcji.

– Opowiadasz pan! – zdziwił się Strasburger.

– Raz jedna pani została ukąszona w język przez pszczołę, spuchła, zaczęła się dusić i musiałem robić tracheotomię!

Kornel Strasburger wybałuszył oczy.

– Musiałem szybko o tu – lekarz pokazał miejsce pod grdyką – zrobić dziurkę, inaczej pacjentka by się udusiła!

– Niemożliwe!

– Możliwe, możliwe...

Aspirant kręcił głową.

– Cóż to też może się zdarzyć w teatrze...

– A może, może. – Potocki zrobił tajemniczą minę. – Można nawet połknąć własny język, jeden dżentelmen tak się zanosił śmiechem...

Tego dla Strasburgera było już za wiele.

– Chyba ozór wołowy, jak kto głodny!

– Zdarza się, oj, zdarza, panie aspirancie! Jak się kogoś bardzo mocno uderzy w twarz albo ktoś się przewróci i upadnie, albo zanosi się od śmiechu i machnie głową, to język wpada do gardła, a wtedy... Pacjent sinieje i zaczyna schodzić.

– I co się wtedy robi?

– Wyciąga się język palcami, o tak. – Doktor lewą ręką zamarkował rozwarte usta pacjenta, a prawą wyciągnął chusteczkę, która w tym małym przedstawieniu grała rolę języka. – Więc widzi pan, że za darmo tam pieniędzy nie brałem.

– Tego się domyślam, ale jak pan zaczął pisać?

Doktor zaśmiał się, wspominając ten dzień.

– Po przedstawieniu, w którym był skecz z lekarzem w roli głównej, artysta grający mojego kolegę po fachu zapytał się, czy dobrze się spisał. Odparłem, że tak, ale jakby powiedział lepszy dowcip, toby było jeszcze lepiej. Wszyscy się zaśmiali i wtedy ktoś zapytał, czy znam jakiś dowcip naprawdę pierwszorzędny. Zacząłem zatem sypać swoimi kawałami.

Kornel Strasburger uwielbiał dowcipy, więc zamienił się w słuch.

– Otóż jest taka sytuacja: pacjent poszedł do słynnego specjalisty i jak to pacjent, cały w nerwach czeka, jaki wyrok wyda doktor. Ten zastanawia się, myśli i w końcu pyta: – Au kogo szanowny pan był, zanim trafił pan do mnie?

– U znachora.

– U znachora?! – Lekarz złapał się za głowę. – To strata czasu! To... Pan wybaczy, ale to czysty kretynizm! I cóż ten hochsztapler panu doradził? Jakiej beżużytecznej rady panu udzielił?

– Poradził, żebym koniecznie przyszedł do pana.

– Przedni dowcip, przedni! – śmiał się Strasburger.

– Ludzie z kabaretu też tak uznali i poprosili, żebym im napisał nową scenkę z udziałem lekarza i pacjenta. I tak to się zaczęło.

– Pośmialiśmy się – westchnął Strasburger – a mordercy dalej są na wolności. Miło się rozmawiało, ale idę szukać szczęścia i zabójców.

– Pamięta pan o niedzieli?

– Oczywiście!

W całej tej beznadziei perspektywa wieczoru brydżowego ucieszyła go i na moment poprawiła nastrój. Aby do niedzieli, pomyślał Strasburger, wychodząc z prosektorium.

Handel. Kurewski handel. Został sprzedany i w nagrodę dostał kasek. Nie najgorszy, ale czemu właśnie tak? To do niego powinna należeć tamta czołówka, ten cholerny sobotni magazyn. Ale tam rozsiadła się ona. Ona miała wszystko, ona dostała wywiad, zdjęcia i człowieka. Można przy czymś zaiwaniać, namęczyć się, a i tak wywiad dostanie ta, która o niczym nie wie. Panienska miała po prostu pofikać nóżkami, poszczebiotać i zadać pytania, takie jak wszystkim innym swoim rozmówcom. O auta, hobby, wywczasy, podróże, przyjaciółki, modę i plany na przyszłość. Jeśli tym razem zrobiłaby coś ekstra, to tylko dlatego, że wcześniej zajrzała do jego artykułów.

– Coś pan taki biedny, panie Giez? – śmiał się naczelny. – Artykuł o tym, że policja powołała Brygadę Specjalną Goliat, to dla pana nie cymesik?

Uśmiechnął się, bo nie chciał zadzierać z szefem, ale po prostu zazdrościł Alicji Pohulance i czuł się przez nią wykołegowany. Jak już coś masz, to nie chcesz się tym dzielić z nikim, nawet jeśli ta połówka jest większa niż wczorajsza całość.

– Ale jak pan byłeś z fotkami i wielkim wywiadem, to wszystko było w porządku?

Znów zrobił dobrą minę do złej gry. Pewnie, że było dobrze, więc pokiwał potakująco głową.

– No, nie słyszę pana. – Dobosz przekrzywił głowę. – Nie słyszę?!

Giez przełknął ślinę i wydusił z siebie: – Tak jest, panie redaktorze naczelny!

Dobosz z zadowoleniem klasnął w dłonie i klepnął go po plecach.

– A jakże by inaczej, przecież ja panu nieba przychyliłem! – Naczelny spojrział na Gza po ojcowsku. – Trzymaj pan rękę na pulsie, no i skończ pan pisać o tym policyjnym Goliacie! Przecież wszystko dostałeś pan jak na talerzu.

Tak było, dostał wszystko jak na talerzu i to go najbardziej bolało. Był częścią jakiejś układanki, tylko

nie wiedział jakiej. Może Alicja Pohulanka mu powie, o ile nie wycofa się z tego wyjścia do kina. Powiedziała do kina, a nie na film, przypadek?

Warszawa, sobota 27 września 1930

Nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski siedział w fotelu i pił herbatę. I myślał, a miał o czym myśleć. Czuł, że wysadzają go z siodła i to dubeltowo. Praca zastępcy naczelnika stołecznego Urzędu Śledczego i kierownika Brygady do spraw Ciężkich Zbrodni, Kradzieży i Włamań była tylko przystankiem, postojem. Teraz jego cel się oddalał, a co więcej, wychodziło na to, że porażka w sprawie serii morderstw doprowadzi go także do utraty obecnej pozycji. Zamiast trampoliny, zamiast wybicia się – skok w dół z dobrego stołka na jakieś prowincjonalne klepisko.

W Łucku już był, teraz pewnie Tarnopol albo Borysław. Borysław, polski Teksas, miasto spływające ropą naftową, zabłocone, wciąż w budowie, gdzie zamiast chodników są rozłożone drewniane pomosty. Albo Gdynia... Portowe miasto szumowin i slumsów, ważne, ale to taki Żoliborz i jego baraki bezrobotnych oraz Marymont, tylko proporcje jeszcze gorsze. Z Żoliborza jeździ się „do miasta”, a tam miasto jest gettem luksusu w budowie otoczonym przez straszne przedmieścia. Opera, filharmonia? Zapomnij! Cywilizacja dopiero za granicą, nie po to walczył w powstaniu wielkopolskim, żeby jeździć do Niemców z Danzig i Zoppot! Tego nie zniesie ani on, ani Tekla. Warszawa jawiła im się, tak jak wielu Wielkopolanom, jako Azja, ale byli mile zaskoczeni. Musiał to z bólem przyznać, że teatry, filharmonia i opera stały tu na niedościgłym dla Poznania poziomie. Nawet do ludzi, rzecz jasna tych z socjety, szło się przyzwyczaić. Nawiązali znajomości, weszli w towarzystwo, były spektakle i rauty, brakowało trochę porządku i denerwujący był tutejszy plebs, ale summa summarum... Tutaj Przemysław i Julia trafili do pierwszorzędných szkół, które lada moment mieli skończyć i pójść na studia. Wszystko od nowa, tak po niespełna roku!

Postanowił uspokoić się, czytając gazety. Przemo jak zwykle ułożył je ojcu na stoliku, a Julcia przyniosła herbatę. Siedział, czytał, szybko przeskoczył przez artykuły, które traktowały o polityce, kulturze i ciekawostkach, aż dotarł do kryminałków. Sama drobnica, jakieś oszustwa, ktoś komuś dał w mordę. Przekładał strony dalej, aż na koniec sięgnął po sobotnio-niedzielne wydanie „Expressu Warszawskiego”. To był szmatławiec, ale w soboty było tam najwięcej o filmach i przedstawieniach, a czasem trafiały się całkiem dobre wywiady tej całej Alicji Pohulanki, którą obwołano Królową Warszawskiego Salonu. Sięgnął po kolorową gazetę i zdębiał. Na okładce widniało zdjęcie sędziego Jakowicza. Wystudiowana poza, piękne ciemne ubranie, pełna powaga i na dodatek figurka Temidy stojąca na stoliczku. *Człowiek, który ocali Warszawę. Patryk Jakowicz, sędzia śledczy do spraw wyjątkowego znaczenia*, krzyczał tytuł wypisany modną czcionką. Nadkomisarz poczuł, że pot występuje mu na czoło. Sędzia śledczy bohaterem kolorowego dodatku, to niesłychane! – pomyślał Wawrzyniec Słubica-Popielski i zagłębił się w lekturze. Co za bezczelny gnojek, co za tupet, co za niezachwiana pewność siebie! – myślał, czytając. Z każdym kolejnym wierszem jego wzburzenie rosło, już przed połową tekstu połuźnił sobie kołnierzyk, gdy jednak doszedł do ostatniego akapitu, miał wrażenie, że zaleje do nagła krew.

Alicja Pohulanka: Czy pan sędzia ma już wyjaśnienie tej zagadki, czy może pan coś powiedzieć, by uspokoić opinię publiczną?

Pan Sędzia Patryk Jakowicz: Tak. Mogę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że uporządkowałem zebrany materiał dowodowy i mam swoją teorię, teorię, która doprowadzi mnie do prawdy. Ta prawda może być straszna i niewygodna, wręcz okrutna, ale nie zawahamy się jej ujawnić. Jestem coraz bliżej tej tajemnicy i z każdym dniem będę bliżej morderców!

Alicja Pohulanka: Czy wini pan Policję Państwową za opieszałość?

Pan Sędzia Patryk Jakowicz: Ja nie mam pretensji do policji. Policja jest po prostu jedną z tych instytucji, która także wymaga sanacji. Nie ma wątpliwości, że jej kierownictwo stara się, ale wielu funkcjonariuszy reprezentuje pokolenie policjantów i śledczych wierne starym schematom

i przyzwyczajeniom. Trzeba to zmienić i robią to Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oraz pan Komendant Główny. Weźmy na przykład toruński Urząd Śledczy, pracują tam bardzo młodzi ludzie, którzy nie boją się przeciwstawić układowi. Bo układ istnieje i to jest jasna sprawa, ale są ludzie, którzy nie lękają się iść pod prąd. Polski policjant, polski sędzia śledczy musi wiedzieć, że wieloletnie przyzwyczajenia i zasiedzenie na stanowiskach ludzi ze starego, często carskiego układu stanowi o nieciekawej specyfice naszej służby. Aby iść naprzód, aby bezwzględnie walczyć o prawdę i sprawiedliwość, trzeba się przeciwstawiać wszystkim starym siłom i umieć to nerwowo oraz moralnie wytrzymać. Jeśli człowiek nie ma na to dość energii i moralnej spójności wewnętrznej, to lepiej się tym nie zajmować! Nadludzkim wysiłkiem tysięcy funkcjonariuszy nasze organy śledcze w dużym stopniu upodobniły się do tych z zachodu Europy, a nawet je przegoniły, ale nie możemy się tym zadowalać, bo w środku jest mnóstwo niedoskonałości i nasza służba nie jest jeszcze służbą naszych marzeń, naszych to znaczy prawdziwych Polaków chcących sanacji Rzeczypospolitej!

Wawrzyniec Słubica-Popielski nie wytrzymał.

– Jemu się służba śledcza i urząd sędziego z polityką popierdoliły! – huknął na cały głos.

Do saloniku wbiegła jego żona.

– Wawrzyńcu! Masz wypieki na twarzy, co się stało?

– Nic. Nic, kochana Teklo, nic poza tym, że jeden skurwysyn robi karierę moim kosztem!

Tekla Słubica-Popielska, z domu Ostrowska, była żoną Wawrzyńca od osiemnastu lat, ale takim nie widziała go nigdy. Nie kłął, nie bił pięścią w stół. Nie wiedziała, co zrobić, po prostu wyszła z pokoju.

Także dla aspiranta Strasburgera była to porażająca lektura. Rzucił wszystko, choć miał wolne i obiecał ojcu, że wyjdą razem na rodzinny obiad. Stary coś złorzeczył pod nosem, ale on pognął na Daniłowiczowską. Zyga zaśmiał się na jego widok. A więc nie czytał, jeszcze nie wie!

– Witam, panie Romeo! – zawołał. – Bo ty już nie jesteś Dodek, od teraz Romeo, jakby inaczej, skoro takie telefony dostajesz?

Kornel już miał mu opowiedzieć o artykule, ale zadzwonił telefon. Stolarczyk rzucił się do aparatu.

– To na pewno ona! – krzyknął z szelmowską miną i podniósł słuchawkę. – Przy aparacie przodownik Zygmunt Stolarczyk! – wykrzyknął dziarskim głosem.

Po chwili puścił oko do aspiranta i zaszeptał, zasłaniając dłonią słuchawkę: – Tak, to ta młoda babka, sądząc po głosie, piękna, dzwoni tu już trzeci raz!

– Piękna – prychnął aspirant – przez telefon połowa piękna, tak jak ty wysoki!

– Jeszcze będziesz dziękował!

– Aspirant Kornel Strasburger, słucham.

– Moje nazwisko nic panu nie powie – zaszczębiotał piękny, młody damski głos. – Dzwonię z polecenia pana Ludwika Kurnatowskiego, pan nadkomisarz oczekuje pana w Loursie. Proszę przyjść, natychmiast! – Po czym odłożyła słuchawkę.

– Krótki romans – zaśmiał się Zyga.

– Tak, krótki. – Strasburger energicznie ruszył do drzwi. – Wracam za trzy kwadransy!

– Domagam się fotografii tej damy! – pożegnał go Zyga. – Dobrej zabawy, Romeo!

– Zabawa się skończyła, przeczytaj dzisiejszą gazetę.

To mówiąc, niemal wybiegł z pokoju. Już w drzwiach zatrzymał się, odwrócił i zawołał: – A skoro nie czytałeś, to nie jesteś Sztekker, tylko dupa i analfabeta. Teodor Sztekker czyta, dużo czyta i dobrze na tym wychodzi.

Zygmuntowi się ta uwaga nie spodobała, ale spojrzął na pierwszą stronę i stracił ochotę do żartów, a wraz z lekturą utwierdzał się w przekonaniu, że znów zaczęły się poważne kłopoty.

Edward Giez osiągnął wiele. O wiele więcej, niż się spodziewał i w znacznie krótszym czasie, niż planował. A planował zdobyć solidną pozycję, dobrą posadkę ze stałym zleceniem, a na końcu etat. Miał etat, miał płacone dwa razy więcej, niż to sobie wymarzył, i był gwiazdą. W pewnym momencie nawet taką jak Alicja Pohulanka. Ten moment trwał krótko i skończył się dzisiaj. To był jego temat, to była jego działka, to powinien być jego triumf! Tymczasem jego artykuł *Brygada Specjalna Goliat* spadł z sobotnio-niedzielnego wydania, bo szef uznał, że i tak będzie dużo sensacji. Bolało, a jeszcze bardziej artykuł Pohulanki. Spoglądał na niego z wysokości łóżka, na którym klęczeli razem ze Stellą. Ten widok odbierał mu wigor, sprawiał, że jego męskość zamiast stawać się coraz mocniejsza – więdła. Myślał o tym, że poniósł dubeltową porażkę. W jego działkę wszedł mały Muckenbrunn, a jemu samemu nie tylko nie udało się załapać w magazynie, w którym królowała Pohulanka, ale i na dodatek zabrała mu temat.

– Edziu, mój słodki, coś nie tak?

Głos Stelli dotarł do niego jak z zaświatów. Kochali się tak, jak lubił, ona klęczała na łóżku, a on wszedł w nią z tyłu. Zwykle było koncertowo i upojnie, ale nie dziś i ona czuła to coraz dosadniej.

– Edziu, może ci pomogę? – Głos Stelli był słodki i ponętny, ale jego członek okazał się zupełnie na to niepodatny. – Są inne pozycje, które lubisz? A może...

Nigdy nie odmawiał mu posłuszeństwa, zawsze był gotowy, wręcz wyrwany, ale dziś nie pomagały ani słodkie słowa, ani wdzięki Stelli. Wszedł, w zasadzie jego więdnący członek po prostu się z niej wyslizgnął. Edward usiadł ciężko na brzegu łóżka i zapalił. Stella objęła go ramionami i przytuliła się mocno.

– Edziu...

Strząsnął ją z siebie i bez słowa zaczął się ubierać.

Sobotnie przedpołudnie, ludzie są jeszcze w pracy, dopiero wieczorem oraz następnego dnia, w niedzielę, kawiarnie będą przeżywać obłęd. O tej porze były jeszcze w letargu, Lourse także. Kornel Strasburger niemal biegł, więc niecały kilometr, który dzielił Urząd Śledczy od północno-zachodniego narożnika Hotelu Europejskiego, pokonał w kilka minut. Zziębnięty wpadł do środka. Kierownik sali był ten sam, co poprzednim razem, więc rozpoznał go i wskazał miejsce, gdzie siedział Kurnatowski. Niezmiennie był to stolik w rogu i fotel ustawiony tyłem do sali, ale za to naprzeciw lustra.

– Czytał pan? – powiedział nadinspektor na powitanie, trzymając w ręku płachtę kolorowej gazety.

Kornel Strasburger kiwnął głową.

– Niech pan siada, panie aspirancie – zaordynował były zastępca naczelnika Urzędu Śledczego. – Jakowicz... – Kurnatowski uśmiechnął się i zaciągnął mocnym dymem z cygaretki. Wyraz twarzy miał tak błogi, że mógłby się zaciągać nawet cygarem, a uśmiech i tak nie zniknąłby mu z oblicza. Nagle jednak twarz mu stężała. – Sędzia śledczy do spraw wyjątkowego znaczenia Patryk Jakowicz. Gdy mówiłem, że mogą mieć panowie kłopoty, to myślałem właśnie o nim. – Zaciągnął się, popił koniaku, po czym zgasił cygaretkę w popielniczkę. – Jakowicz to kanalia...

– Wiem o tym – wciął się Strasburger.

Kurnatowski uciszył go gestem ręki.

– Teraz mówię ja – powiedział z lekkim uśmiechem, tak jakby był dobrym wujkiem dającym życiową radę. – Pomagam, więc wysłuchaj mnie pan. Tam, w drugim rogu sali czekają na mnie dżentelmeni, których wspieram w pewnej gardłowej sprawie.

Strasburger rzucił szybko okiem we wskazanym przez Kurnatowskiego kierunku. Tymczasem przy stoliku stojącym niedaleko drzwi usiadło trzech starozakonnych, dwóch wyglądało na solidnych kupców, trzeci na majątnego oprycha.

– Otóż ci panowie otrzymają ode mnie poradę, za którą dostanę tysiąc złotych. To tylko rada, jeśli zdecyduję się na coś więcej niż konsultacja, to zarobię dziesięć razy tyle. – Kurnatowski nie uśmiechał się już dobrotliwie, wbił w Strasburgera wzrok, jakby go chciał przewiercić na wylot.

– Płacą przyzwoicie, przyzna pan?

Kornel Strasburger kiwnął potakująco głową.

– Za takie pieniądze ci panowie będą mogli mówić, oczywiście zachowując pewien umiar.

Ludwik Kurnatowski wyciągnął ze srebrnej papierośnicy kolejną cygaretkę, ale tym razem nie poczęstował aspiranta. Wyraźnie za to oczekiwał ognia, aspirant złapał w lot i szybko wyciągnął zapalniczkę. Kurnatowski zaciągnął się i rozparł w fotelu.

– Oni płacą, więc mogą wymagać, mogą nawet mnie pozanudzać swoimi pomysłami, ale pan jesteś moim byłym podwładnym, a teraz osobą, której po znajomości, za darmo udzielam rady, ja więc mówię, a pan niepytany nie mówisz. Oprócz tego, że Jakowicz jest kanalią, to jest także...

– Kurnatowski zrobił pauzę – karierowiczem.

Słowo karierowicz Kornel Strasburger miał na końcu języka, ale w porę się powstrzymał. Były as Urzędu Śledczego mówił nieśpiesznie, aspirant zastanawiał się, z czego to wynika, czy chce dalej coś udowodniać swemu byłemu podwładnemu, czy raczej sącząc słowa, próbuje przetrzymać żydowską delegację. Chodziło zapewne o to drugie, bo tamci siedzieli jak na szpilkach.

– Nie muszę zbyt wiele mówić o jego wadach, powiem więc o zaletach. Otóż pan sędzia Jakowicz ma znakomite koneksje w Ministerstwie Sprawiedliwości, jest kuzynem, chrześniakiem i tak dalej, mówi się nawet, że jego znajomości może nie sięgają bezpośrednio pana prezydenta, ale na pewno ma kogoś na Zamku. Młody, ambitny, zaufany, zna języki, ale na sędziego w sądzie się nie nadaje, a z kolei sędzia śledczy to taka sama kariera, jak bycie śledczym w policji – zaśmiał się ze swojego żartu Kurnatowski. – To coś dla pasjonatów, a on i owszem, jest pasjonatem, ale dużych pieniędzy, drogich ubrań, kosztownych dam i tak dalej. Ja też to lubię...

Ludwik Kurnatowski uśmiechnął się, jakby chciał pokazać Strasburgerowi, że czyta w jego myślach. Tak w istocie było, aspirant z miejsca pomyślał o luksusach, z których słynął jego były szef.

– ...nie widzę w tym nic nagannego – ciągnął Kurnatowski – ale wie pan o tym doskonale, że był to tylko dodatek do mojej prawdziwej pasji, czyli prowadzenia śledztw. Ja to kochałem, a on... On to cznia, on tylko myśli, jak przeskoczyć z pałacu Badenich do pałacu Raczyńskich[37]. Ileż to jest, ile się idzie z placu Krasińskich na Długą siedem? Pięć minut, a może krócej, ale jakaż różnica! Apanaże, wygoda i, rzecz jasna, możliwość awansów. Chciałby pan takiej trampoliny? Pewnie że nie, pan jesteś idealista, być śledczym, służyć i nie mieć szans na dostęp do wybornych konfitur. Ja łączyłem jedno i drugie. – Kurnatowski wyglądał teraz jak stary czort. – Żeby osiągnąć przedsięwzięcie tego raję, nie wystarcza protekcja, bo chętnych jest wielu, tu trzeba się także czymś wykazać, a pan Jakowicz, który gotów byłby służyć samemu diabłu, gotów jest także zrobić wszystko, by stać się bohaterem najgłośniejszego śledztwa w Warszawie. Sprawa nowego alfons-pogromu, rozbicie spisku, sekty i czego tam sobie jeszcze lud i salon zawinszują, uchyli mu drzwi do pałacu Raczyńskich, a wtedy jego pociotki wciągną go do środka i umieszczą przy pięknym, lśniącym biurku. Imponujący skok z sądu, do którego się nie nadaje, do ministerstwa, do którego również nie pasuje. Ale tam dostanie biurko i telefon oraz ludzi i jeśli będzie spełniał życzenia przełożonych, kompetencje będą mu niepotrzebne! W listopadzie wybory, po porządkach zrobionych z Centrolewem BBWR wygra w cuglach, a on jak raz jest rodzinie pod to podwieszony. Przejdzie po urzędach kolejna uzdrowicielska fala, wymiecie parę osób, uwolni stołki i gabinety, zatem pan sędzia wyszarpie swoje. Pan Jakowicz dojdzie do swego celu po trupach, to pewne, nie wiadomo tylko, jak wielu. Z tego wywiadu wynika, że panowie będą pierwszymi, którzy oddadzą głowy za jego sukces. Spodziewam się, pan zapewne także, bo jest pan osobą inteligentną, że w poniedziałek zostanieie odsunięci od sprawy en bloc. Nie chodzi nawet o panów, ale o Słubicę-Popielskiego. Funkcjonariusz z takim stażem, w dodatku z przeszłością w Narodowej Demokracji... To Wielkopolanin, więc nie miał innej drogi, ale kogo to teraz interesuje – westchnął Kurnatowski. – To idealny cel, idealny człowiek, od którego może się odbić pan Patryk Jakowicz. Nikt nie będzie go żałował, nikt nie zapłacze za upierdliwym szerzycielem kultury policyjnej! Panów sytuacja jest ciężka, bardzo ciężka, pomogę na tyle, na ile będę

potrafił.

Ludwik Kurnatowski rozparł się w fotelu i palił cygaretkę, spoglądając przy tym w drugi koniec sali. Jego poza mówiła wszystko, audyencja zakończona. Aspirant dowiedział się sporo, ale nie było to nic, czego by się nie domyślał. Miał dziwne wrażenie, że Kurnatowski bawił się sytuacją, że sprowadził go do Lourse'a po to, by nastraszyć, by pokazać, że jest ostatnią instancją, do której może się zgłosić czy odwoływać. Ale cóż on pomoże, jaką interwencję jest w stanie przeprowadzić? Po co go tutaj wzywał, co jest grane?

– Dziękuję, że pan mnie odwiedził, a teraz... – Kurnatowski machnął ręką w kierunku grupy Żydów oczekujących na spotkanie – muszę rozpocząć spotkanie o charakterze komercyjnym.

Kornel Strasburger wstał, bąknął do widzenia i wtedy wstał także Kurnatowski. Były nadkomisarz podał mu rękę na pożegnanie i powiedział: – Jeszcze się spotkamy, jak trzeba będzie, to pana znajdę, do widzenia.

Aspirant minął żydowską delegację, wyszedł z Lourse'a i podążył do Urzędu Śledczego. Co teraz powie Żydzie? Że wydawało mu się, że jest źle, a jest bardzo źle? Wyciągnął papierosnicę i wziął w palce ostatniego nila, potarł zapałką o draszkę, ale nie chciała się zapalić. Wszystko było przeciwko niemu.

Podinspektor Juliusz Jagielski szykował się właśnie na wieczorne wyjście, żona poprawiała toaletę, a on siedział w salonie i raz jeszcze spojrzął na dzisiejszy numer „Expressu Warszawskiego”. Wszystko szło, jak należy, nowym bohaterem stolicy staje się sędzia śledczy do spraw nadzwyczajnych Patryk Jakowicz, as w talii Sądu Apelacyjnego, chluba Ministerstwa Sprawiedliwości! Piękny wywiad, w końcu to on go napisał, ta reporterka została odpowiednio poinstruowana przez naczelnego Dobosza, a z kolei sędzia Jakowicz dostał od niego wskazania, jak odpowiadać. Nie mogło być pudła, skoro znał pytania. Jagielski uśmiechnął się z satysfakcją, bo to był prawdziwy majstersztyk. Maszyna ruszyła, zabawa w komórki do wynajęcia, a w zasadzie gra w krzesła wchodziła w decydującą fazę, ktoś na górze kłaśnie, wtedy gdy Jakowicz i on będą przy krzesłach, na których się wygodnie rozsiądą. Oczywiście jeśli Jakowicz doprowadzi sprawę do końca, ale jakby co, to on już zrobi, co należy. Był w doskonałym nastroju, przecież miał przed sobą sobotni wieczór i koktajl wydany przez jednego z przemysłowców, który wspiera słuszną sprawę sanacji. Tam spotka, kogo trzeba i odnowi jakże potrzebne w karierze kontakty.

„Express Warszawski” sprzedawał się dobrze, a nawet bardzo dobrze. Poranne wydanie zeszło na pniu, więc wielu czekało na popołudniowe. Przy małym majdaniarzu z miejsca ustawił się ogonek, w jego karierze ulicznego sprzedawcy gazet pamiętał niewiele takich dni. Gazety szły mu jak złoto. Ci, którzy jechali tramwajem, nie dbali przesadnie o resztę, więc kieszeń chłopaka napełniała się w zawrotnym tempie, a lewa ręka, na której trzymał gazety, czuła coraz większą ulgę. Papierowa sterta topniała w okamgnieniu. Przyglądali się temu Kornel Strasburger i Zygmunt Stolarczyk, którzy siedzieli przy oknie w jadalni Cafe Nouveaute. Wbrew nazwie lokal przy Senatorskiej 34 nie był kawiarnią i nie serwował też kuchni francuskiej. Właścicielem położonego blisko Urzędu Śledczego zakładu był Jasek Igalson, więc jego specjalnością były flaki, które znakomicie wchodziły pod pejsachówkę. Smacznie, niedrogo i w miłej atmosferze, ale nie tym razem, a wszystko przez to, co reklamowali gazeciarze. Wywiad z sędzią Jakowiczem nie pozostawiał złudzeń, a jeśli nawet, to ich resztki odebrał Ludwik Kurnatowski.

– Czego on może chcieć? – zastanawiał się Zyga, wznosząc szczeniaczka z pejsachówką.

– Nie wiem, czy czegoś chce, tak mi się wydaje. Mnie się różne rzeczy ostatnio wydawały, ale okazało się, że strzelałem swoimi myślami panu Bogu w okno – odparł Strasburger.

– Człowiek kombinuje, pan Bóg myśli nosi! – zaśmiał się gorzko Stolarczyk. – Widocznie czymś zgrzeszyliśmy!

Nagle Zyga niemal wyfrunął zza stolika.

– A ten łajza to raczej nie odmawia różańca, a patrz, z jaką sztuką ciągnie po chodniku!

– Kto, gdzie? – zaciekawiał się Strasburger.

– Za późno, już zniknęli z pola widzenia, to był ten cały Giez z jakąś niezłą lafiryndą. Ładna była, nie

powiem, ale jak dla mnie trochę za chuda, ciekawe, dokąd szli?

Zyga zamyślił się, bo w tej okolicy było wiele miejsc, do których można było w sobotę pójść z kobietą.

Para szła drugą stroną ulicy. Byli już u Semadeniego, gdzie Giez wykosztował się na kawę i ciasteczka, a teraz zmierzali do Galerii Luxenburga. Giez myślał nawet o Qui Pro Quo, ale to chyba bez sensu, przecież tam Alicja Pohulanka wszystkich znała, niemal każdy z artystów tego teatryku był już bohaterem jej wywiadów. Kino to co innego, z ekranu nie przemówią, nie podejną w przerwie, a poza tym... Poza tym w kinie jest ciemno. Karcił się za te myśli, bo na co liczył, jakie miał szanse? Nie był artystą, nie był bogaczem, a tacy mężczyźni kręcili się wokół koleżanki z redakcji, w dodatku na razie było drętwo, zanosilo się na stratę pieniędzy i czasu.

Dwie godziny później Kornel Strasburger i Zyga Stolarczyk jechali dziewiętnastką i choć mieli miejsca siedzące, to przodownik narzekał: – Niby wygodnie, ale jakby nas było stać na dorożkę, tobyśmy sobie zapalili...

– Nie mantykuj, Zyga, dobrze, że bilety mamy służbowe, zaraz będziemy na miejscu i sobie zapalisz, poza tym to ty wymyśliłeś, żeby porzucić doskonałą kuchnię i wódeczkę przy Senatorskiej i grzać aż na Marszałkowską!

– Bo Jasek Igalson to porządny chłop, ale koszerny, a pod same flaczki i katolika[38] pić nie będę. Mam melodię na wieprzowinę, więc jedziemy Pod Ryja! Skoro jesteśmy przegrani, to należy nam się ostatnia wieszera!

Zyga Stolarczyk pamiętał czasy, gdy słynny lokal nosił jeszcze nazwę Pod Ryjem, publika nazywała go jednak pieszczotliwie Pod Ryjkiem i taka nazwa pojawiła się także na szyldzie. Był to sklep masarski połączony z szynkiem, niby nic, żaden delikates, lecz na wódeczkę wpadali tu nie tylko zwykli klienci, ale i sławy. Jedną z największych stała za ladą, niejaki Oliveira, który pracował tu niemal od zawsze. Był ulubieńcem Zygi, bo swój przydomek zawdzięczał uderzającemu podobieństwu do dawnej gwiazdy zapasów.

– Witam, panie Oliveira! – krzyknął od drzwi Stolarczyk.

– Witam pana, panie Sztekker! – Bufetowy skłonił się nisko.

– Ilu mamy dzisiaj Dodków na pokładzie? – zapytał Zyga.

– Jednego. – Oliveira spojrzał na aspiranta. – Pan Dymusza jeszcze gra, a poza tym nie wpada do nas aż tak często.

Zajęli miejsce na stojaka przy jednym z wysokich marmurowych stolików, nakrytych jak zwykle papierem pakowym. Bo nie elegancja się tu liczyła, lecz jakość wędlin i zimna wódka.

– I jak twoja królowa Jadwiga? – zapytał Strasburger. – Jak ten ostatni obiadek, na który się śpieszyłeś, trafił ci się jakiś ochłapek?

Zyga zrobił minorową minę.

– Ochłapek, ochłapek... – zaśmiał się Strasburger. – Co ja mówię ochłapek, czuję, że miałeś ucztę nie lada, skazańcu!

– Uczta, cholera jasna, uczta! – zagrział Zyga. – A i owszem, objadłem się jak bąk, ale...

– pokręcił głową – deseru nie było. Jadwiga... No wiesz, sprawy kobiece i tak dalej...

Śledztwo leży, a zatem ich kariera wisi na włosku, a do tego jeszcze kobita nawaliła, same nieszczęścia, takich rzeczy się nie opija, takie rzeczy należy zapisać.

Strasburger poklepał Zyge po ramieniu.

– Zatem jest więcej powodów, by pójść w tango?

– Idziemy, ale...

– Co ale?

– Tak delikatnie, no wiesz, co Jadwisia winna? – Stolarczyk niemal zakwilił. – Sama czekała na ten wieczór.

– Będzie delikatnie – kusił Strasburger, bo na frasunek dobry trunek!

Do stolika, przy którym stali śledczy, pijacki dryf przyprowadził zwanego gościa.

– Przepraszam najuprzejmiej szanownych panów – wybełkotał z gracją.

– Czego pan sobie życzysz? – zapytał Stolarczyk jak najgrzeczniej.

Choć nie lubił pijaczyn, którzy przeszkadzali mu w konsumpcji, to wiedział, że teraz cały szynk patrzy, jak się glina zachowa. Akurat w tym miejscu niemal wszyscy wiedzieli, kim są Strasburger i Stolarczyk.

– Alfons Jedwabnik, jestem pracownikiem banku...

– Gratuluję, piękna posada.

– Interesują mnie zasoby obywateli, ich majątność, powodzenie...

Strasburger machnął dłonią, by mówić dalej.

– Więc jeśli można zapytać, tak z zawodowej ciekawości... – uśmiechnął się przymilnie – czy są panowie zadowoleni ze swojej sytuacji finansowej? Czy pensja starcza panom na życie?

Stolarczyk najchętniej pogoniłby go w kibinimaty i jak każdy powiedziała, że mu notorycznie brakuje gotówki, ale postanowił trzymać fason.

– Jestem zadowolony! – odpowiedział z uśmiechem.

Nakrochmalony bankowiec aż klasnął w dłonie.

– Królu złoty, znakiem tego udzielimy ci małej pożyczki, niedużej, na jedną, dwie kolejczki!

– zawołał z entuzjazmem.

Bywalcy w napięciu czekali, co będzie dalej, więc Stolarczyk zamiast nasłać mu jobów delikatnie przysunął się do ucha Jedwabnika.

– Słuchaj pan, panie Jedwabnik. Słuchaj uważnie, bo nie będę dwa razy powtarzał. Dzisiaj panu nie udzielimy pożyczki, ale jutro jak najbardziej. – Alfons Jedwabnik zastrzygł uszami. – Daję szanownemu panu adres, słuchaj pan, jutro o pół do ósmej rano, Daniłowiczowska trzy, taki budynek obok Aresztu Śledczego, z tyłu za ratuszem. Wejdiesz pan do środka i zapytasz pan o przodownika Zygmunta Stolarczyka.

Jedwabnik odskoczył jak oparzony, a sala buchnęła śmiechem.

– Widzę, żeś się pan zorientował, że to wcześniej rano i musisz pan dymać do domu, żeby się nie spóźnić. Nie lubię, jak się kto spóźnia na przesłuchanie!

Ku uciesze zgromadzonej w szynku publiki Jedwabnik niemal wybiegł z lokalu.

– My to mamy pecha do tych owadów, a to Giez, a to Jedwabnik – śmiał się Strasburger, zanurzając usta w piwnej pianie.

Pił spokojnie, gdy Stolarczyk zawołał kelnera i szybko zaordynował: – Panie starszy, przedstaw się panu aspirantowi.

– Jerzy Chrząszcz, szanowny panie!

Strasburger wystrzelił pianą, aż obejrzała się za nim połowa sali.

Odzyskali humor, znów się śmieli, choć był to śmiech skazańców. Jakkolwiek by ich pocieszał doktor Potocki i jakiego tajemniczego wsparcia udzieliłby im Ludwik Kurnatowski, to byli przegrani. Gazety często kłamały, ale nie tym razem.

Jeszcze parę godzin temu Edward Giez był uosobieniem porażki. Nie dość, że spadł artykuł o brygadzie specjalnej, to na dodatek na jego działce kokosiła się Alicja Pohulanka. Zastanawiał się, po co się umówiła, czemu poszli do kawiarni, a później do kina. Gdy puszczono film i zgasły światła, zrozumiał. Gdy położyła mu dłoń na kolanie, poczuł miły dreszcz, a nie był to koniec...

Nie dosiedzieli do końca seansu. Jego mieszkanie nie wyglądało zbyt reprezentacyjnie, najbliższym było do hotelu Grand, nie musieli nawet opuszczać Galerii Luxenburga, by wynająć dobry pokój i dać się pochłonąć niepohamowanej żądzy. Alicja rządziła, pchnęła go na łóżko i dosiadła. Nie była tak biegła w sztuce miłosnej jak Stella, a jej biust go nieco rozczarował. Tu i ówdzie było jej za mało, ale nie o to chodziło, lecz przede wszystkim o zaspokojenie ambicji. Miał wszystko, poczytne artykuły, wywiad ze zdjęciami, a teraz najpopularniejszą dziennikarkę. Był królem Warszawy, do pełni szczęścia brakowało mu tylko tego, żeby pokazać się z nią Pod Dwójką albo w barze Malinowskiej, tak żeby wszyscy widzieli, co upolował.

Pili. Pili, bo jak pili, to nie pamiętali tego, co złe, tylko cieszyli się chwilą. W pewnym momencie Kornel Strasburger poczuł w głowie szum, Zyga Stolarczyk musiał dostrzec wprawnym okiem, że ma już z górki. Ten stary upierdliwiec łapał czasem ojcowsko-nauczycielskie nastroje, teraz uniósł palec i aspirant poczuł się tak, jakby profesor łaciny złapał go na tym, że nie nauczył się odmiany zaimków. Strasburger nie zdziwiłby się, gdyby Zyga powiedział teraz: *nominativus; qui, quae, quod*, *genetivus: cuius*, *dativus: cui*, *accusatibus*? Nie, *accusativus*! *Accusativus* – chyba *quem, quam, quod*. No i jeszcze *ablativus*, nieee, tego sobie za cholere nie przypomni. Czy on to wszystko w myślach, czy tak na głos? Spojrzał na Stolarczyka, a ten nie wyglądał już jak belfer, raczej jak widz, który zobaczył w cyrku kobietę z brodą.

– Ty znów te swoje huiusy i huiki? – zapytał przodownik.

Wtedy nadeszło olśnienie.

– *Quo, qua, quo* – wypalił Strasburger zachwycony, jakby te trzy słowa dawały mu przejście do wyższej klasy klasycznej w liceum.

– Co? – zdziwienie Zygi Stolarczyka przypomniło mu, że tu idzie nie o ocenę z łaciny, lecz o zabójstwo dziwki z Kamiennych Schodków. – Co ty wygadujesz? Jak nie hujusy, ipsy i ega, to ucapiłeś się teraz jakichś kwików.

– Zamyśliłem się, ale tak w ogóle to chciałem coś powiedzieć.

– Co takiego?

– Taaa, chciałem powiedzieć, przyjacielu, że dawno w siebie tyle nie wlałem. – Strasburger smętnie zwiesił głowę.

– Ja też zrobiłem się na perlowo, ale dobrych pomysłów od tego nie przybyło, wjechaliśmy, przyjacielu, w ślepy zaułek – przytaknęła Stolarczyk.

– Ale wiesz, bywają gorsze rzeczy. – Strasburger z trudem uniósł głowę.

– A co na ten przykład?

– Odpytywanie z łaciny!

Co mu na tej łacinie kiedyś zrobili, pomyślał Stolarczyk, jak się urźnie, to gada jak ksiądz. To zawsze znak, że koniec picia, bo po tym może tylko zasnąć gdzieś w bramie albo wdać się w bijatykę.

Aspirant Strasburger czknął i podnosząc się z krzesła, zaczął recytować:

*Muzo! Męża wyśpiewaj, co święty gród Troi
Zburzywszy, długo błgdził i w tułaczce swojej
Siła różnych miast widział, poznał tylu ludów
Zwyczaj, a co przygód doświadczył i trudów!*

Cholerna *Odyseja*, na szczęście jeszcze po polsku, ale grecka gadka zbliżała się wielkimi krokami, trzeba się ewakuować i nie wolno dopuszczać aspiranta do następnej kolejki. Jak zaczyna nawijać po grecku, to ludzie patrzą jak na wariata, a bycie wariatem funkcjonariuszom Urzędu Śledczego nie przystoi.

– Kochanieńki, idziemy, zwijamy żagle!

– Kiedy je właśnie trzeba rozwinąć, co z ciebie za Posejdon, jak nie wiesz takich rzeczy! Kelner, dwie angelki!

- Kelner zajęty, ale ja znam szynk, gdzie uwijają się jak w ukropie.
- Popłynemy tam, mój wierny towarzyszu, bo tu mogą nas zamienić w wieprze!
- Płyniemy, płyniemy.

Znów się udało, we właściwym momencie wyszli z baru. Stolarczyk szybko wtarabanił Strasburgera do dorożki.

- Dokąd jedziemy? – zapytał sałata.
- Do nimfy Kalipso, wskaż mi drogę, mój Terezaszu!
- Że jak? – zaniepokoił się dorożkarz i zlustrował wzrokiem aspiranta. – Żeby mnie tylko derożki nie zarzygał!
- Spokojna głowa, on z tych gadatliwych, ale żołądek ma mocny – uspokoił sałacińskiego Stolarczyk.
- Znakiem tego dokąd jedziemy, do jakiegoś lokalu, Kalypso czy jak?
- Do żadnego lokalu, przecież on ma już dość, na Długą.

Kornel Strasburger był tym faktem rozczarowany, próbował jeszcze negocjować bełkotliwym głosem, ale Stolarczyk usadził go w miejscu. Sałata zaciął batem i dorożka szarpnęła, aspirant opadł na oparcie kanapy, a kołysanie resorów i miarowy odgłos kopyt uspił go w okamgnieniu. Przynajmniej przez parę minut będzie z nim spokój, pomyślał Zyga.

Warszawa, niedziela 28 września 1930

Edward Giez obudził się w hotelu sam. Alicja wyszła bez pożegnania, żadnego całusa na do widzenia, żadnego liściku... Przeciągnął się w łóżku i pomyślał, że to i tak mało ważne. Wyśpi się porządnie i wróci do mieszkania, a tam będzie czekała Stella. Ale nie będzie się śpieszył, zje śniadanie w hotelu jak panisko, ale nie zaraz, przecież musi się jeszcze wyspać. Nakrył się kołdrą na głowę i zasnął.

Kornela Strasburgera obudził terkot budzika, niby jak co dzień, ale kompletnie go tym razem ta pobudka zaskoczyła, bo nie bardzo pamiętał, jak wrócił do domu i położył się do łóżka. Wrócił, bo zadbał o to Zyga Stolarczyk. Przodownik był jak starszy brat i miał ma niego baczenie. Teraz też by się przydał, bo na pewno doradziłby coś mądrego na ból głowy. W domu nie było proszków z kogutkiem, był za to zrządzający ojciec, którego gadanie o mało nie wywierciło mu dziury w głowie. Dobrze, że budzik dzwonił, a ojciec zrzędził, bo to wypchnęło go z domu, w końcu miał pracę. To był właśnie ten gówniany urok służby w Urzędzie Śledczym: nienormowane godziny pracy, zasuwanie w piątki i świątki. Może jak go wywałą z policji, bo zadba o to ten elegancik Jakowicz, to poszuka sobie jakiejś rozsądnej roboty. Zaśmiał się w duchu, przecież nie dość, że jest kryzys, to na dodatek on nic innego nie potrafi. Nie potrafi, bo nie chce. Praca śledczego mu odpowiadała i tyle, wiedział, że od niej nie ucieknie, tylko tak czasami się oszukiwał. Na ostatnich nogach dowlókl się na Daniłowiczowską, a tam czekał już na niego Zyga Stolarczyk. Zyga na jego widok uśmiechnął się szeroko.

- Toś mię, szefie, popłynąłeś jak transatlantyk!
 - Odmieniałem łacińskie zaimki? – zapytał niepewnie Strasburger.
- Stolarczyk przytaknął w milczeniu.
- Deklamowałem *Odyseję*...
 - Yhy – tym razem stary śledczy wydał z siebie dźwięk.
 - Po grecku?
 - Nie, po polsku.
 - No, to znaczy, że jeszcze mogliśmy pić! – zaśmiał się aspirant.

Zyga odpowiedział mu uśmiechem, po czym zakomunikował: – Kilku chłopaków pojechało nad Wisłę do topielca, któremu się przytrafiło coś więcej niż tylko odleżenie paru dni w wodzie. Mamy więc zbrodnię,

a to znaczy, że repertuar na dzisiaj się wyczerpał, chyba że buchną komuś jakiś poważny fant. – Zyga rozłożył ręce. – Na razie jednak jest święty spokój.

Starszy posterunkowy Zdzisław Pasięka z dworca kolejowego Warszawa Wileńska widział różne rzeczy, ale coś takiego trafiło mu się po raz pierwszy. Wśród pasażerów w poczekalni się zakotłowało, wprawnym okiem posterunkowy dostrzegł, jak korpulentny mężczyzna chwytając za rękę faceta w eleganckim ubraniu i szczy: – Chciałeś mi rąbnąć portfel, kurwi synu?!

Posterunkowy ruszył, bo sądził, że biją tego w lepszym ubraniu, owszem, na to się zanosilo, ale byle jaki, wyświechtany, za to wypchany jak stodoła portfel nijak nie pasował do jego smukłej dłoni i lordowskiego emploi, a jeszcze mniej towarzystwo, które mu przyszło z pomocą. Na jego wrzask: – Ferajna! – ruszyło trzech typków. Pasięka natychmiast jedną ręką chwycił pałkę, a drugą gwizdek i nie miał już wątpliwości, że ten w dobrym ubraniu był kieszonkowcem, a biegnący mu z pomocą jego konikami. Nim użył swej pałki i krzyknął: – Policja!, jeden z napastników dostał fangę w nos od rosnącego gościa stojącego obok okradanego. Zanim drugi i trzeci dobiegli do swego szefa, ten leżał już na ziemi. Wywróciła go pękata baba z blond koafiurą, która teraz zawzięcie go kopała, tymczasem człowiek, który jeszcze przed chwilą był ofiarą kradzieży, schował na powrót portfel do kieszeni i wywijając paragrafem, biegł na kolegów kieszonkowca. Sprawy poszły szybko, bo tamci, gdy zobaczyli, z jak zaciekłym oporem się spotkali i że od strony peronu biegną kolejni policjanci, czmychnęli na ulicę. Ku osłupieniu posterunkowego Pasięki wiać zaczęli także poszkodowani. Po krótkim pościgu udało się wszystkim złapać.

To była rzadka chwila, gdy był za biurkiem i jak raz zaterkotał telefon. Widząc, że dzwonek sprawia aspirantowi ból, Zyga szybko sięgnął po słuchawkę.

– Przodownik Zygmunt Stolarczyk, Brygada do spraw Ciężkich Zbrodni.

– Aspirant Walczak, zastępca kierownika komisariatu kolejowego na Dworcu Wileńskim. Mieliśmy tu ciekawe zdarzenie, kieszonkowcy próbowali zrobić człowieka, który czekał na pociąg. Niezła szopka, bo poszkodowani o mało nie zatłukli złodziei, a potem na widok funkcjonariuszy zaczęli wiać, jakby to oni byli doliniarzami. Dopadliśmy ich, bo mieli walizy, jeśli się nie mylę, ich nazwiska coś powinny panu mówić: to Alfred Konieczny, jego żona Brygida oraz szwagier Zenon Szpak. Ta dwójka małżonków...

– Prowadzi szynk przy ulicy Widok? – nie wytrzymał Stolarczyk.

– Tak, są zameldowani przy Widoku i widzi mi się, że to ci od sprawy Luksa. Dlatego od razu dzwonię do Brygady Ciężkich Zbrodni.

– Dziękuję, jadziemy do was – niemal wykrzyknął w słuchawkę przodownik.

Wileńska nie była daleko, pobiegli na plac Zamkowy i wskoczyli w pierwszy lepszy tramwaj jadący wiaduktem Pancera, a potem mostem Kierbedzia na róg Zygmuntońskiej i Targowej.

W parę minut byli na miejscu, ale po drodze zdążyli na tylnym pomoście tramwaju pogadać o sprawie.

– Czy to będzie przełom? – zastanawiał się głośno Strasburger. – Konieczni są sutenerami i cwaniakami, może nawet złodziejami i oszustami, ale nie specjalistami od mokrej roboty. Czy to możliwe?

– Że zabili Luksa i Piotrusia? – zapytał Zyga i zaraz sam sobie odpowiedział: – Okazja czyni złodzieja, to częste, ale rzadziej czyni zbrodniarza.

– A może nie chcieli ich okraść, tylko zaszło coś, o czym nie wiemy? – zadumał się aspirant. – To zawodowi przestępcy, ale nie wielkie bandziory. Geszefciarze, sutenerzy, cwaniaczki, złodzieje. Nawet gdyby zamordowali, to na pewno bardziej przez przypadek, i nie zrobiliby tego sześć razy – zaśmiał się Zyga.

– O tym to ja nawet nie pomyślałem. Oni kompletnie nie pasują do szalonego gangu ani tym bardziej do sekty, a już na pewno nie do żydowskiej.

– Najpierw musimy ich przesłuchać i przede wszystkim wystąpić o przeszukanie mieszkania – podsumował Stolarczyk.

– A co z obserwacją mecenasa?

- Nic nowego, nie miałem żadnego cynku.
- No to módlmy się, żeby ci nas dokądś doprowadzili.

Minutę po wejściu do komisariatu Strasburger już wiedział, że Konieczni nieźle się wpakowali. Zanim poszedł ich przesłuchać, obejrzał znalezione przy nich fanty. Z miejsca rzucił mu się w oczy sygnet z rubinowym oczkiem i wygrawerowanym napisem *Post tenebras Lux*. Po ciemności światło... W końcu coś mają, po miesiącach mroku zapaliło się jakieś światełko, ale zupełnie nie tego się spodziewał, rodzinka z ulicy Widok kompletnie mu do tej bajki nie pasowała.

Edward Giez był już niemal człowiekiem światowym. Siedział teraz u Bliklego i przyglądał się garderobie innych gości. To i owo trzeba będzie zmienić, doszlifować i jego strój stanie się akuratny. Te obserwacje poczynił już wczoraj w Semadenim, wywołała je zresztą Alicja, która jak przystało na Królową Warszawskiego Salonu, udzieliła mu kilku fachowych porad. Najpierw były porady, a później miłe chwile... Ma się ten zwierzęcy magnetyzm, pomyślał z zadowoleniem, pijąc kawę i spoglądając na panie z towarzystwa. Tę mógłby mieć, i tę, tamtą blondyneczkę także, no i może żonkę oficera lotnictwa też. Pokazałby jej, jak się lata... Tego kwiatu pół świata, zwłaszcza w takich eleganckich miejscach, do których przychodzą szykownie ubrane panie. I do tego dojdzie, a w zasadzie już doszedł, tylko musi jeszcze nieco rozwinąć skrzydła. Był drapieźnikiem, który wleciał na nowe terytorium, i po Stasiach, Władziach i Felach, służących, praczkach i urzędniczkach niższego szczebla przyszedł czas na panie prezesowe i prezesówny. Raz jeszcze zlustrował wzrokiem salę kawiarni przy Nowym Świecie, tak jakby był panem haremu, raz jeszcze urządził paniom konkurs piękności. W sumie mnóstwo było kobiet o wiele atrakcyjniejszych od Alicji Pohulanki i pewnie wiele było lepszymi kochankami, ale żadna nie potrafiła tego, co Stella i żadna nie była taka zgrabna... Szybko odrzucił tę myśl precz. Stella, Stella, to było, ale chyba już nie jest, kto wie, czy to nieudane sobotnie podejście nie było ostatnim. Na pewno trzeba rozluźnić związki, bo stać go na coś więcej, przecież można o nim powiedzieć, że jest już niemal kimś z towarzystwa!

Strasburger i Stolarczyk zasiedli naprzeciwko Koniecznego.

- Co to jest? – zapytał przodownik, wskazując na sygnet w rękę aspiranta.

Alfred Konieczny patrzył, jakby zobaczył go pierwszy raz. Dobry aktor z tego szemranego geszefciarza, pomyślał Strasburger.

- Sygnet? – powiedział pytającym tonem Konieczny.

Zyga Stolarczyk ciężko westchnął.

- Taaak? – zdziwił się, pocierając swe potężne dłonie. – Naprawdę to jest sygnet?
- Nooo, tak – odpowiedział Alfred Konieczny.
- Taaak?-jeszcze raz się zdziwił Stolarczyk, robiąc przy tym minę notorycznego mordercy.

Konieczny wyglądał na przestraszonego.

- Co jest grane, jak rany, co jest grane?

– A to jest, kurwa, grane, że nie rozpoznajesz swojego fantu! – ryknął Zyga. – To jest, kurwa, grane, fajfusie. Zabiliście dla tego fingla? Zarzneliście dwie osoby, żeby je oskubać? Nie wierzę, nie wierzę! O co naprawdę chodziło, złoto, diamenty, zemsta?

Występ Zygi Stolarczyka wystraszył Koniecznego, ale i zdziwił.

– Ależ tam jest tylko jeden trup i to nie my, to nie my ją zabiliśmy – zapiszczał Alfred Konieczny falsetem.

– To nie my ją zabiliśmy? – Strasburger skrzywił się, potężny kac przypomniawszy mu o wczorajszym wieczorze.

- On ma na myśli ją, czyli ciotę – podpowiedział Zyga.

– Wiem, co to znaczy, ale się nie zgadza, cioty były dwie, zabiliście Luksa i Piotrusia, więc jak jeden trup? Niejeden, tylko dwa! Dlaczego daliście nogę? – dziwił się aspirant.

– Ale ja nie mam na myśli tych dwóch, tylko fordanserkę – wystękał Alfred Konieczny.

Kornel Strasburger i Zygmunt Stolarczyk nie potrafili ukryć zdumienia, popatrzyli na siebie, a potem na przerażonego szynkarza z ulicy Widok.

Nadkomisarz Słubica-Popielski był sumiennym policjantem, ale pracę w służbie śledczej traktował tak, jakby to była normalna etatowa praca. Jako że był szefem, to udawało mu się przez lata godzić dwie sprzeczności, kierowanie urzędami śledczymi i uporządkowany grafik. Ten w Warszawie składał się z pięciu pełnych dni pracy i mocno skróconej soboty oraz obowiązkowej niedzieli, do tego cotygodniowe tłuste czwartki i pączusie, regularnie spożywane obiady oraz piątkowa filharmonia lub opera z rodziną. Ale najświętsza była niedziela. Niedziela była jego rodzinnym misterium, z mszą, obiadek, spacerem i kawiarnią. Wszystko funkcjonowało jak w zegarku aż do dziś. Jedli właśnie całą rodziną obiad, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Nikt nie poderwał się, by podnieść słuchawkę, choć za chwilę dzwonek znów brzęczał jak szalony. Za trzecim razem pani nadkomisarzowa uniosła brwi i powiedziała: – Kto się tak do nas dobija? Przecież jest niedziela, o tej porze wszyscy jedzą obiad.

Dzwonek zabrzmiał po raz kolejny. Słubica-Popielski wstał od stołu i ruszył do aparatu.

– Przy aparacie nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski, słucham!

Po chwili twarz mu stężała i ku zaskoczeniu żony i dzieci zamiast wrócić do stołu poszedł do przedpokoju.

– Wawrzyńcu! – zawołała żona – Wawrzyńcu, jest obiad!

– Nie wiem, kiedy wrócę – odpowiedział, wkładając płaszcz, i opuścił mieszkanie.

Tekla osłupiała, coś takiego nie zdarzyło się od kilku lat! Kto śmiał zniweczyć ich cotygodniowe rodzinne święto?

Po trzech tygodniach znów trafili do szynku przy ulicy Widok. Tym razem nie było już tłumów, bo nikt nie pisał o tym, co się wydarzyło w lokalu Koniecznych. Nie tylko nikt nic nie napisał, ale i nikt nic nie wiedział. Barman był zaskoczony, że otworzył przybytek, a Konieczni ani razu do niego nie zajrzeli. Pukał do nich, ale ani widu, ani słyhu, czuł tylko fetorek dochodzący z mieszkań.

Alfred Konieczny otworzył drzwi i weszli do części mieszkalnej, a fetor stawał się coraz silniejszy. Gdy dotarli do drzwi mieszkania, które wynajmował kiedyś Luks, nikt już nie miał wątpliwości, co się stało. Konieczni i szwagier powiedzieli zresztą wszystko. Ich obecna lokatorka panna Karolina Zalewska, znana bardziej jako fordanserka Lola, nie wróciła na noc, ale przecież to nie bursa, a dziewczyna wyglądała na taką, która potrafiła zawierać znajomości, o czym świadczyło paru mężczyzn, którzy zdążyli się przewinać przez jej lokum. Do tego, jak mówił szynkarz, panna Lola nie była kulawa.

– Panowie oficerowie – mówił jeszcze w dworcowym komisariacie – figurka prima sort, nóżki tip-top aż do samej ziemi, miała na czym usiąść i czym oddychać, twarz może troszkę gorsza, ale też możliwa, nikt by nie musiał kłaść gazety czy zakładać worka. – Wyszczerył w uśmiechu zęby, po czym zmarkotniał. – No ale jak zaczęło waniać, tośmy weszli i okazało się, że panienska Lola jest sztywne i cała we krwi. Tragedia, po prostu tragedia, pal licha, że jej się noga powinęła, ale co my winne? – zapytał z rozbijającą szczerością. – Najpierw Czarny Piotruś i pan Luks, tera Lola, formalnie czerwona oberża, noż kurka, kto uwierzy, że to nie my? No kto? Zwłaszcza że znów nóż, lyst i tyle krwi. – Rozłożył bezradnie ręce. – Co robić, trzeba było zarządzić ewakuację, my i ten mój szwagier, Zenuś. Wziął się i z nami zabrał, bo choć jebnięcie zapsiadujemy, to jednak niemota z niego i bez nasz by sobie nijak nie poradził.

– I oskubaliście nieboszczkę? – zapytał Strasburger.

– A dlaczego nie? – Konieczny był zdziwiony pytaniem. – Jak i tak wsio szło na nasze konto, to jaka różnica, a my przecież potrzebowaliśmy pieniążków, bo przecież musieliśmy zacząć wszystko od nowa, co nie?

To samo zeznał jego niegramotny szwagier i żona. Ta trochę pyskowała, ale w końcu przyznała z płaczem, że opędzlowali i tę Lolę, i wcześniej Luksa z Czarnym Piotrusiem. Paniusia przyznała się, że to

ona wpadła na pomysł, by zdjąć Luksowi z palca sygnet.

– Ja go lubiałam, ja wszystkie jego piosenki znałam na pamięć i miałam płyty z panem Luksem. Ja nie jestem ostatnia szmata, żeby nieboszczyka okradać, na pamiątkę chciałam wzionć!

– A jak skubałaś Lolę i Czarnego Piotrusia, to już ci ich sztywność nie przeszkadzała? – naskoczył na nią Stolarczyk. – Są trupy lepsze i gorsze?

– A to co innego – obruszyła się. – Z tamtymi to mieliśmy geszeft, na którym źle wyszliśmy, i musieliśmy wyrównać straty. Komornik jak ktoś skrewi, to żywych ludzi z dziećkami na bruk wywala, a tu nieboszczyki z zaległościami, nie dość, że nam się należało, to na dodatek nie zabiorą tego na Bródno, co nie?

W mieszkaniu, które fordanserka Lola przejęła po Czarnym Piotrusiu, wyglądało niemal identycznie, jak trzy tygodnie temu. Na podłodze była wielka kałuża krwi, która wypłynęła z rozciętego gardła nieszczęsnej dziewczyny.

– Jakbym wiedziała, że znów się tak napaskudzi, tobym nie zmieniała dywana na nowy – biadoliła Brygida Konieczna. – Takiego persika, prawie nowego, sprowadziłam...

– A co, do kryminału byś go zabrała? – zaśmiał się Zyga.

– Kiedyś wyjdę, szybko wyjdę, przecież nikogo nie zabiłam. – Konieczna wyraźnie odzyskiwała rezon. – Dobrze, że lustro całe, tylko je pomadką zapaskudził ten Goliat jeden.

Na lustrze ktoś wypisał koślawymi literami:

Kolejna dziwka szczeła za swoje grzechy.

Pogrom dziwek i alfonsów jeszcze się nie skończył,

grzechy będą ukarane! Drżycie, zemsta się jeszcze nie dokonała!

Goliat

Do pokoju wszedł nadkomisarz Słubica-Popielski, który od razu spojrział na lustro.

– Goliat, Goliat panowie! – To odkrycie warte było wyjścia z rodzinnego obiadu.

– Nie sądzę, panie nadkomisarzu – spokojnym głosem odpowiedział aspirant Strasburger.

– Ty to nabazgrałaś? – Zyga wskazał palcem na Brygidę Konieczną. – A może ty? – Tym razem wskazał na Zenona Szpaka. – Albo ty? – Został mu już tylko Alfred Konieczny. – Które z was?

A może wszyscy?

Strasburgerowi żadne z nich nie wyglądało na Goliata, ale też i nie Goliat dokonał jego zdaniem tej zbrodni. Ktoś się pod niego podszył, raczej wątpliwe, by byli to Konieczni i Zenek Szpak. Wszystko jednak było możliwe, a z braku innych śladów to oni byli jedynymi podejrzanymi. Aspirant uświadomił sobie, że czeka go dziwaczne śledztwo, w którym będzie się musiał skupić na tym, by trójka tych drobnych przestępców nie dała gardła za cudze zbrodnie. O ile Słubica-Popielski wahał się, czy obarczyć ich trzema zabójstwami, o tyle był w stu procentach pewien, że sędzia Jakowicz skorzysta z okazji, by ogłosić swój triumf. Spojrział na zegarek, cholera, już po szóstej, a przecież od godziny miał być na brydżu u prezesowej. Wystawił do wiatru doktora Potockiego, stracił szansę na nowe znajomości. Jebał to pies, mówi się trudno, takie życie, taka praca.

Warszawa, poniedziałek 29 września 1930

Rzadko się zdarza, by policja była pierwsza na miejscu zbrodni i by wszystko załatwiono dyskretnie i bez rozgłosu. Tak zdarzyło się tym razem. Lokal zamknięto i nie otworzono go w poniedziałek, a zwłoki dyskretnie wywieziono na Oczki. Żadnej prasy, szumu, sensacji.

W mieszkaniu urzędowali laboranci z Ciepłej, a miejscowi widzieli tylko, jak więzienna karetka wywoziła trójkę przestępców. O tym, że Konieczni i Zenon Szpak trudnili się tym i owym, było wiadomo

nie od wczoraj, więc jeśli się czemuś dziwiono, to temu, że kryśka przyszła na nich dopiero teraz. Ktoś jednak puścił wiadomość, że zamknięto ich w związku z morderstwem sprzed tygodni, i na Daniłowiczowską zaczęło się dobijać coraz więcej reporterów. Informowano ich, zgodnie zresztą z prawdą, że trafili do aresztu za kradzież.

O dziewiątej przybył do Urzędu Śledczego sędzia Jakowicz i jak zwykle nie była to miła okoliczność.

– Dlaczego mnie o tym nie poinformowano?! – grzmiał. – Przecież powinienem być na miejscu zbrodni jako jeden z pierwszych. Co to za policja, co to za śledczy, którzy nie potrafią znaleźć osoby prowadzącej śledztwo!

To rozjuszyło nadkomisarza.

– Pan sobie da spokój z takimi uwagami, nie będziemy zdejmować ludzi z ulicy, żeby szukać pana po restauracjach i kabaretach, chyba zupełnie opacznie rozumie pan obowiązki Policji Państwowej!

Strasburger zastanawiał się, czy tak ostry Słubica-Popielski bywał tylko wobec uczniów, czy potrafił także pojechać z dyrektorem albo wizytatorem. Wizytator to była pewnie zbyt wysoka ranga, ale pozycja Jakowicza była wyższa niż policjantów, aspirant uznał więc, że ich urzędas potrafił się także postawić dyrekcji.

Patryk Jakowicz poczerwieniał na twarzy.

– Ja sobie wypraszam, ja tu rządzę!

– To akurat wiem – spokojnie, aczkolwiek stanowczo odpowiedział nadkomisarz – ale i nam należy się szacunek, a pan sędzia niech nie myli zależności między Sądem Apelacyjnym i Urzędem Śledczym z tym, co łączyło ekonomów z chłopami pańszczyźnianymi.

Sędziego zatkało, widać było, że się wprost gotuje. Na Słubicy-Popielskim nie robiło to większego wrażenia.

– Mamy siódmą zbrodnię i jedenastego trupa. Po raz trzeci jest jedna ofiara, cztery razy mieliśmy mord dubeltowy. Po raz trzeci narzędziem zbrodni był nóż lub jakieś inne ostre narzędzie, trzy razy mieliśmy do czynienia z młotkiem, raz dokonano mordów gołymi rękoma i przy użyciu pasa służbowego. Teraz tylko zakładamy, że i tym razem doszło do użycia noża, bo pewnośc będziemy mieć po sekcji, która odbędzie się jutro, zapraszam pana sędziego na ulicę Oczki, w samo południe. Pan doktor Józef Potocki wszystko nam objaśni, to doskonały fachowiec. Mam taką nadzieję, bo zawsze może się okazać, że i on będzie potrzebował więcej czasu, no cóż, *medicus homo est*[39]!

– A co nam takiego powie lekarz, co nowego usłyszymy? – Sędzia znów się ożywił. – Mamy trójkę przestępców – byłego sutenera i pasera, była dziwkę i człowieka, który siedział za pobicie, a cała trójka kradnie, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Trafiliśmy na jakąś czerwoną oberżę, która działała nie gdzieś w Waliszewie czy innym wygwizdowie, ale w centrum stolicy Polski!

– Czerwona oberża, nie na wygwizdowie, lecz w centrum stolicy, powiada pan. – Słubica-Popielski patrzył na sędziego jakoś dziwnie.

– Tak, jest tak, jak mówiłem, i powiem więcej, działała tu czerwona oberża, a do tego Goliat chodzi na wolności! Trzeba przycisnąć tę trójkę, bo to jasne jak słońce, że są z nim w zмовie.

– Tak pan uważa? – Słubica-Popielski się uśmiechnął.

– A pan nie? To pan mówił o siedmiu grzechach głównych, alfons-pogromie i Goliacie. Tu się wszystko zbiega, to pewne, to jasne jak słońce, powtarzam! Zresztą to ja składam wnioski do sądu, a pan i pana ludzie tylko zbierają dla mnie dowody.

Wawrzyniec Słubica-Popielski zacisnął wargi, po czym znów się uśmiechnął.

– *Non intellecti nulla est curatio morbi.*

Słowa *non intellecti* nie zostały chyba zrozumiane przez sędziego we właściwy sposób. Teraz on zacisnął wargi i patrzył na nadkomisarza, który wciąż się uśmiechał.

– Pan nadkomisarz nie mówił o braku intelektu, lecz przytoczył łacińską sentencję – życzliwie, o ile można być zarazem złośliwym i życzliwym, powiedział Strasburger. – Pan Wawrzyniec Słubica-Popielski powiedział *non intellecti nulla est curatio morbi*, co znaczy: o leczeniu choroby nierozpoznanej nie ma mowy.

Dopiero teraz Jakowicz naprawdę poczerwieniał na twarzy.

– Panie Wolf, niech pan poda panu sędziemu Jakowiczowi szklanę zimnej wody – z przymilnym uśmiechem polecił nadkomisarz.

– Śmieje się pan? Myśli pan, że to wszystko śmiechu warte? To śledztwo to kpina, panowie robią jakąś parodię, ta cała Brygada Specjalna Goliat to kabaret!

Patryk Jakowicz ruszył do drzwi, był już przy nich, gdy dorzucił jeszcze zamiast słów pożegnania: – Zobaczmy we wtorek, kto się będzie śmiał, kto ma lepsze znajomości i kompetencje, chyba że panowie dokonają czegoś, co jest dla was niemożliwe, i udowodnią tym bandytom udział w zbrodni!

Sędzia opuścił gabinet, a Zyga Stolarczyk nie wytrzymał i zagwizdał.

– Fiu, fiu, nie wiedziałem, że pan nadkomisarz potrafi tak pojechać. – Pokręcił głową.

– Szacunek! – Ukłonił się głęboko, w japońskim stylu.

– Ja też jestem pod wrażeniem i dziękuję za niewzruszoną postawę – dołączył się Strasburger.

Nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski pęczniał z dumy, w końcu zyskał szacunek śledczych, został przez nich zaakceptowany.

– Bo widzą panowie, ja uważam moją koncepcję za najprawdopodobniejszą, ale nie jedyną, a pan sędzia zna już koniec, a tak się śledztwa nie prowadzi. Ponadto pochodzę spod Gniezna i akurat także pod Gniezmem leży Waliszewo, które słynie z legendy o czerwonej oberży. Jak się zapewne panowie zorientowali, jestem lokalnym patriotą i nie znoszę, kiedy się moje rodzinne strony traktuje obcesowo.

Cała trójka: Strasburger, Stolarczyk i Wolf, ze zrozumieniem pokiwała głowami.

Zwłaszcza jeśli te słowa wypowiada Azjata zza Koła – ale tego już komisarz nie powiedział, tylko dodał w myślach, bo nie chciał obrażać swoich podwładnych z Warszawy.

Burza minęła, nie mieli się z czego cieszyć, ale pierwszy raz czuli się tacy silni i zjednoczeni, mimo przewagi sędziego Jakowicza widzieli w sobie zwycięzców tego starcia, przynajmniej tak im się wydawało.

Nagle drzwi do gabinetu nadkomisarza otworzyły się gwałtownie, a osobą, która bez pukania wkroczyła do środka, był Patryk Jakowicz. Stojąc w progu z wyciągniętą ręką, wskazując na nich palcem i wpatrując się bazyliżkowym wzrokiem, wyszczał: – I jeszcze jedna sprawa na koniec, przeciek! Kto sprzedaje prasie informacje, kto rozmawiał z „Expressem Warszawskim”, ile zapłacono za artykuł o Brygadzie Specjalnej Goliat, jakie jeszcze tajemnice się stąd wydostaną? Jeśli coś takiego się powtórzy, to wyślę pisma nie tylko do naczelnika Urzędu Śledczego, ale i do moich przełożonych oraz do Komendy Głównej i odpowiednich ministerstw!

Sędzia trzasnął drzwiami i tyle go widzieli. Ta runda nie była jednak wygrana i wszystko wskazywało na to, że nie mają argumentów w walce z tym człowiekiem. Gdy Strasburger i Stolarczyk pożegnali się ze Słubicą-Popielskim i Wolfem, aspirant wziął przodownika na stronę.

– Słuchaj, Zyga – szepnęła mu do ucha – czy nie uważasz, że te twoje asy powinny skończyć ze śledzeniem Jura-Muszyńskiego i zająć się inną robotą?

Stolarczyk, który właśnie włożył do ust papierosa, uśmiechnął się i odpowiedział: – Właśnie miałem się ciebie spytać o to samo! Gazu, może jeszcze zdążą, czekają na dole z raportem.

– Czyś ty oszalał? – wybuchnął Strasburger.

– Czekają na dole, ale nie w Urzędzie Śledczym i nie przy wejściu, tylko w dorożce. Nie ma chwili do stracenia, gazu!

Edward Giez nie do końca był zadowolony, bo choć jego artykuł o Brygadzie Specjalnej Goliat cieszył

się popularnością, to jednak musiał konkurować ze świeżym trupem. Trup to zawsze trup, zwłaszcza taki jak ten, którego wyłowiono w niedzielę. Raz jeszcze spojrzął na notatkę Rysia Muckenbrunna.

Kolejne ponure znalezisko w szuwarach nad Wisią! Harcerze ćwiczący przed regatami zboczyli nieco ze szlaku i chcąc odpocząć, próbowali podpłynąć do brzegu. Prąd zepchnął ich jednak w szuwały i tam dokonali przerażającego odkrycia: w wodzie pływał trup! Policja rzeczna zaalarmowana przez dzielnych wodniaków wyловиła ciało. Bardzo szybko rozpoznano w nieboszczyku znanego policjantom z Czerniakowa i Sielc Teodora Wątorskiego, miejscowego apasza i rozrabiakę. Śledztwo w tej sprawie podjął już Urząd Śledczy.

Wyrabia się ten Rysio, taki ścichapęk, cholera jasna, pomyślał z niechęcią. Do tej pory musiał uważać na Zulusa i Janusza, a teraz ni stąd, ni zowąd wyrosła mu groźna konkurencja.

– Ryszard Muckenbrunn – usłyszał głos naczelnego – to moje najnowsze odkrycie!

Szef uśmiechał się zadowolony, stojąc nad Gzem ze splecionymi na brzuchu dłońmi. Józef Dobosz był zachwycony, wprost rozanielony, czego nie można było powiedzieć o Gzie. Naczelnemu miał chyba jakiś szósty zmysł, który dawał mu możliwość czytania w myślach.

– Boisz się pan, panie Giez, że przestanieś być numerem jeden? – Zaśmiał się. – To dla pana dobra, panie Edku, konkurencja to cenna sprawa, konkurencja nie pozwala osiąść na laurach, coś takiego per saldo opłaci się nam wszystkim z panem na czele!

Gównu prawda, pomyślał Giez, ale powiedział co innego: – Oczywiście, panie redaktorze naczelnego – zełgał w żywe oczy.

Józefa Dobosza wyraźnie to rozbawiło, ale nagle spowaźniał.

– Jeszcze pan to kiedyś doceni, a na razie mamy pilną robótkę. Skocz pan na jednej nodze do Bristolu, czeka tam na pana interesujący rozmówca.

– Oczywiście!

Giez ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się w pół drogi i zapytał: – Ale z kim, i na jaki temat mam rozmawiać?

– Jak się pan nie spóźnisz, to już pan się domyślisz, z kim i o czym będziesz pan rozmawiać – zaśmiał się Dobosz.

Pognał na dół, gdzie czekał szofer szefa Stanisław Brylewski. Ruch nie był duży, a Brylewski był jednym z lepszych kierowców w mieście, więc w try miga byli w Bristolu.

Gdy tylko Giez uchylił drzwi i spojrzął do środka, wiedział, co jest grane. Dalej był w „Expressie” numerem jeden! Gdyby był uważniejszym obserwatorem, gdyby nie wciągnęła go rozmowa, zauważyłby, że w rogu sali siedziało przy stoliku dwóch młodych ludzi, z których jeden, ten w kraciatej marynarce, absolutnie nie pasował do eleganckiego wnętrza kawiarni.

Stało się. Musiało się stać. Szeptał słowa modlitwy, zaciskał dłonie. Stanął wyprostowany i wyciągnął ręce ku niebu, teraz czas na zemstę ostateczną, zakończenie tej gry, na finał. Uporządkuje sprawy. Uporządkuje do końca i na zawsze, ostatecznie, a wtedy, jak dwadzieścia pięć lat temu, może przyjąć policja. Trzy dni byli bezkarni, bili, zabijali, demolowali i palili, aż carscy się zorientowali, że prowokacja się nie udała, że Polacy nie poszli na Żydów, tylko Żydzi sami wyrównali rachunki z Żydami, którzy nie zasługiwali na to, żeby być ich braćmi. Teraz też są tacy, ale teraz wykreśli wszystkich ze swojej listy i wtedy niech sobie policja przychodzi.

ROZDZIAŁ VIII

w którym na ulicę Daniłowiczowską przybywają fordanserki, Ikar lata nad placem pięciu rogów, sędzia śledczy do spraw nadzwyczajnych wydaje wyrok, kobieta bije rekord prędkości, a finał jest wstrząsający.

Warszawa, wtorek 30 września 1930

Siedem grzechów głównych, czyli nowy alfons-pogrom stał się faktem!

To się dzieje naprawdę, tylko u nas reporter śledczy Edward Giez relacjonuje tajemnicze szczegóły niebywałej intrygi!

- krzyczał tytuł porannego wydania „Expressu Warszawskiego”. Mężczyzna drgnął na ten widok i zaczął czytać dalej.

Goliat uderzył po raz siódmy! Czy to już koniec? Policja tropi zbrodniczy gang, który chce karać za wszystkie grzechy główne!

A dalej to, co zwykle – ble, ble, ble, a na końcu obowiązkowe: *Zapytany przez nas naczelnik Urzędu Śledczego p. podinspektor A. Sitkowski nie odpowiedział, sprawę prowadzi Brygada Specjalna Goliat, a tam w ogóle nie chciano z nami rozmawiać! Do tej pory policja bez żadnych sukcesów, ale jest nadzieja, bo sprawą zajął się sędzia śledczy do spraw nadzwyczajnych p. Patryk Jakowicz, prawdziwy as, wielki umysł i nadzieja nie tylko Sądu Apelacyjnego, ale i całej Warszawy.*

Złożył gazetę i poszedł w kierunku drzwi do pokoju, bo wydawało mu się, że usłyszał błagalny jęk, uświadomił sobie jednak, że przecież w końcu stało się to, co nieuniknione. Teraz nie pozostaje mu już nic innego, jak zwieńczyć zaczęte w maju dzieło.

Do Urzędu Śledczego przywieziono Waclawa Drozda, kierownika sali z restauracji Bałtyk z ulicy Bielańskiej, nowego śródmiejskiego lokalu, który miał aspiracje stania się Oazą dla nieco mniej zamożnej publiczności. Było prawie tak samo, jak w słynnej knajpie przy Wierzbowej. Prawie oznaczało, że była modna muzyka, ale nie przygrywała tam słynna orkiestra jazzowa Golda i Petersburskiego, że jedzenie serwowano dobre, ale nie tak wykwintne jak w Oazie, że towarzystwo pojawiała się nie najgorsze, ale nie gościli tam ludzie z pierwszych stron gazet. Było za to zdecydowanie taniej. Taniej, co nie znaczy tanio, bo to był wcale przyzwoity lokal. Nawet jednak w najprzyzwoitszych lokalach zdarzali się kierownicy, którzy dorabiali na fordanserkach. Do nich należał Drozd, który zatrudniał pannę Lolę.

– Panna Lola? – zdziwił się kierownik Drozd. – Pierwsze słyszę!

– Karolina Zalewska – zaczął Strasburger. – Byłeś pan jej przełożonym, jakie interesa was łączyły?

– Jak to jakie? – zaperzył się Drozd, poruszając przy okazji chaplinowskim wąsikiem oraz nerwowo poprawiając wybrylantynowane włosy. – Takie jak kierownika sali z fordanserką! Tańczyła z klientami, zachęcała ich do zjadania frykasów, picia szampana... Wywiązywała się ze swoich obowiązków akuratnie, dobrze zarabiała, bo miała od tego procent, tak jak wszystkie dziewczyny.

– W Bałtyku są także gabinety, czy z nich z kolei to pan dostawał procent?

Stary łgarz grał jak z nut. Strasburger przeskoczył na drugą, ciemną stronę działalności kierowników restauracji i sal dansingowych.

– Wypraszam sobie! – Waclaw Drozd był święcie oburzony.

– Możesz pan sobie wypraszać, raporty brygady obyczajowej mówią co innego.

– Nie wiem, co mówią raporty, nie wnिकam, co robią nasze panny po godzinach, tym bardziej co robią u siebie w domu.

Kierownik Drozd nie był skłonny do współpracy, stawiał się, a oni nie mieli na niego nic, by zachęcić go do szczerości, zatem rozmowa była oczywistą stratą czasu.

Edward Giez znów był z siebie zadowolony i znów był gwiazdą. Nie przeszkadzało mu, że za tym sukcesem stał Józef Dobosz i jego znajomości. O tym nie wiedział nikt z redakcji, a tym bardziej żaden z czytelników, więc wszystko szło na jego konto. Kompletnie go nie obchodziło, czemu udostępniano tajne informacje na temat policyjnego śledztwa, ważne, że jego legenda, legenda reportera śledczego, nieustannie rosła. Nie wnikał w pomysły redaktora Dobosza, zajmowało go teraz coś innego. Zastanawiał się, jak rozegrać sprawę ze Stellą, która czuła chyba pismo nosem. Trudno, żeby nie czuła, bo unikał jej, wymawiając się pracą. Był w zawieszeniu, nie wiedział, jak skończyć, może po prostu zniknie i tyle, a jak Stella się gdzieś napatoczy albo do niego przyjedzie, to jakoś jej to powie. W drugą stronę też nie było łatwo: Alicja Pohulanka była na urlopie, w końcu z niego wróci i wtedy coś z tym fantem będzie musiał zrobić.

Wacław Drozd nie okazał się pomocny, ale przecież były jeszcze koleżanki panny Loli, a miała ich pięć, sprowadzono je więc do urzędu wszystkie. Przesłuchania prostytutek to nie to samo, co fordanserek. prostytutki nie muszą być ładne, a zdarzało się, że były mocno zapuszczone, za to panienki, które tańczą i swoimi figurkami zdobią lokale, wyciągając pieniądze na alkohol i przekąski, muszą być prima sort. Fordanserki siedziały w poczekalni i robiły straszny raban. Zyga Stolarczyk chodził po pokoju i zacierał ręce.

– No, jak patrzę, mój drogi, na tych świadków do przesłuchania, to mi się jeden wierszyk Krasickiego przypomina.

– No jaki, mów – poprosił Strasburger.

Stolarczyk stanął na baczność jak uczeń w klasie, splótł ręce przed sobą i przemówił:

Śniło mi się żem wóz,

Że natura figle stroi.

Budzę się – wozu nie ma,

ale dyszel stoi.

- Aż takie atrakcje nas czekają? – zaśmiał się Strasburger.

– Takie, a może i jeszcze lepsze. Żadne tam luksusy, ale młode, zgrabne i wypachnione tancerczki. Przy takich od razu człowiek czuje, że z hydrauliką wszystko w porządku!

Strasburger wyjrzał przez uchylone drzwi.

– Nie przesadzasz?

– Jakbyś żył pod jednym dachem z tą samą kobietą od kilkunastu lat i z teściową aniołem stróżem oraz dwójką dzieciaków, tobyś dostrzegł w tej poczekalni kwiat młodzieży żeńskiej i listę niespełnionych marzeń – zaśmiał się Zyga, po czym podszedł do drzwi i otwartwszy je, zawołał: – Panna Anastazja Rozłucka!

Z krzesła podniosła się piękna długonoga dziewczyna i kołysząc biodrami, ruszyła do pokoju śledczych.

Tym razem wizyta w Zakładzie Medycyny Sądowej Uniwersytetu Warszawskiego miała być dla aspiranta Kornela Strasburgera szczególnie trudna. Oprócz tego, że nie lubił obcować z trupami, musiał jeszcze przeprosić za swoją nieobecność na niedzielnym brydżu. Wiedział, że doktor Potocki zrozumie, że nie pozwoliły mu na to obowiązki, chodziło mu raczej o rozgrzebywanie tej straty w swojej głowie. Bardzo liczył na ten wieczór, nie tylko dlatego, że lubił grać w brydża, ale i z powodu ludzi. Był ciekaw wyższych sfer, innych osób, nowego towarzystwa. Widocznie wszystko miało zostać po staremu i żadne zmiany nie były mu pisane.

Doktor powitał go serdecznie, tak serdecznie, jak wita się człowieka, który przychodzi do trupiarni.

– Szkoda, że pana nie było, rozumiem, taka służba, ale nic straconego.

– Jeszcze dostanę u państwa szansę?

– Panie aspirancie, towarzystwo było rozczarowane, że pana nie było, i zażądano ode mnie, bym pana doprowadził na kolejne spotkanie!

– Znow niedziela?

– Nie, tym razem poniedziałek wieczorem. Najbliższy poniedziałek, szóstego października, miejsce to samo.

– Ulżyło mi, panie doktorze, ale boję się, że nie sprostam oczekiwaniom tych państwa, przedstawił mnie pan jako nie wiadomo kogo!

– Mówiłem samą prawdę i tylko prawdę: młody, zdolny, przystojny, inteligentny, do tego as Urzędu Śledczego i znakomity brydżysta.

– A więc pan nakłamał! – zaśmiał się Strasburger. – A tak całkiem poważnie, to mamy coraz większe kłopoty.

– Może tym razem powiem coś, co panom pomoże?

Doktor lekko uchylił prześcieradło, tak że aspirant zobaczył głowę i szyję zmarłej.

– Przyczyna śmierci oczywista? – zapytał doktor.

Strasburger przecząco poruszył głową.

– A czemu nie?

– Bo jest tak oczywista, że gdyby nie było w tym jakiegoś drugiego dna, toby pan nie pytał. Jeśli to nie poderżnięcie gardła, to co? Jak zginęła?

– Nie mogę się doczekać wspólnego brydża. – Doktor uśmiechnął się. – Panna Lola przedawkowała opium, a ta rana to próba odwrócenia naszej uwagi, ktoś dopisuje zbrodnię do listy Goliata!

Niemal wybiegł z budynku przy Oczki i pognął w kierunku Alej Jeruzolimskich i przystanku tramwajowego. Był więcej niż pewien, że nie była to robota Koniecznych. Teraz musiał tylko znaleźć właściwą osobę, osobę, która da mu bezcenną wskazówkę. Nie będzie to trudne, ten człowiek się nie ukrywał, choć nie każdy mógł z nim rozmawiać, on także nie, ale już nadkomisarz Słubica-Popielski tak. W końcu belfer i jego znajomości na coś się przydadzą.

Zygę Stolarczyka nosiło jak psa na łańcuchu, krążył po pokoju, nie mogąc się doczekać powrotu Strasburgera. Pół godziny temu przodownik Leszek Śrutwa, wywiadowca z brygady lotnej, zaszedł do niego i oznajmił: – Jeden z naszych informatorów przekazał niezłą ciekawostkę, w tę noc, w którą zamordowano tych dwóch... – Policyjny wywiadowca szukał właściwego słowa.

– Tych urningów, Czarnego Piotrusia i Luksa?

– Właśnie – ucieszył się, bo nie musiał wybierać z katalogu określeń obelżywych lub trudnych do wymówienia. – Tej nocy w szynku gdzieś przy placu Grzybowskiem widziano coś niezwykłego.

Stolarczyk zamienił się w słuch.

– Koło północy wparował tam... ksiądz!

– Ksiądz?

– Tak, ksiądz!

– Może przechodził... Ksiądz też człowiek, musi się kiedyś napić – zażartował Zyga, jak to miał w zwyczaju, ale tak naprawdę informacja, którą usłyszał, wyrwała go z letargu. Przez głowę przeszedł mu błysk – ksiądz, ksiądz w noc zamordowania Piotrusia i Luksa, to się układało, to mogło mieć sens.

– Może i tak, ale był ubabrany, miał strużki krwi na sutannie. Zamówił wódkę, strzelił ją jak stary pijak

i wyfrunął jak jakiś demon.

– To by się kleiło... – zamyślił się Stolarczyk. – Do tej meliny przy Widok przychodziło dwóch księży; jeden przebieraniec i jeden prawdziwy, tak mówił właściciel spelunki.

Wywiadowca uprzedził pytanie.

– Ten był prawdziwy, przynajmniej tak wyglądał. Trzydziestoparoletni chudy blondyn z zakolami, wysoki, z haczykowatym nosem i wysokim czołem. To musi być ten cały ksiądz Anzelm, kaznodzieja upadłych ludzi ulicy.

– Pamiętam, w tym reportażu o dziwkach, który napisał Giez, wypowiadał się jakiś ksiądz. Jak myślisz, pracuje w jakiejś parafii?

– To misjonarz...

– Misjonarz?

– Podobnież tak.

Stolarczyk popatrzył na przodownika Śrutwę i nie był w stanie ukryć zdumienia.

– Gdzie go szukać?

– Ja już wiem gdzie – uśmiechnął się Leszek Śrutwa. – Goliata nie potrafimy dorwać, bo to chyba duch, ale adres księżulka znamy! To akurat było proste, my go już nawet obserwujemy... Mieszka przy placu pięciu rogów, na Brackiej pod dwudziestym trzecim, ma na poddaszu pokój. Jak będziecie gotowi, to wybierzemy się z nim pogadać. – Śrutwa zaśmiał się złowieszczo.

Ten ton nie raził Zygi Stolarczyka, wprost przeciwnie, uśmiechnął się szeroko i prawie rozmarzonym głosem powiedział: – Porozmawiamy, porozmawiamy, niech tylko wróci aspirant Strasburger.

Stolarczyk przestał krążyć, stanął w oknie i wypatrywał aspiranta.

Słońce zaczęło zachodzić, a przodownik coraz mocniej się denerwował, w końcu zobaczył znajomą sylwetkę zbliżającą się od strony placu Teatralnego.

– Jest, idzie! – krzyknął, gdy już nie miał wątpliwości, że to Kornel Strasburger. Dwie minuty później siedzieli już w aucie i pędzili w kierunku Brackiej.

Kornel Strasburger czuł, że urosły mu skrzydła, w końcu coś się zaczęło dziać, był trop, podejrzani oraz materiały dowodowe. W aucie opowiedział wszystko Żydze, ten także odżył, nie było jeszcze klawo, ale szło ku lepszemu!

Wywiadowca od Leszka Śrutwy czekał pod bramą na Brackiej, na placu pięciu rogów, czyli w miejscu, gdzie zbiegały się Chmielna, Szpitalna, Bracka, Zgoda i Widok. Przywitali się i przystąpili do działania.

– To obok, w kamienicy herbaciarzy[40], czwarte piętro, mansarda. Jest sam, drzwi dość solidne.

Ruszyli, gdy byli między drugim a trzecim piętrem, zobaczyli, że z góry schodzi ciemno ubrana postać.

– To chyba on – szepnął wywiadowca, zwalniając kroku.

Ksiądz przystanął i zlustrował ich wzrokiem. Stał chwilę, wpatrując się w czwórkę mężczyzn idących z dołu, nagle odwrócił się i zaczął biec na górę. Popędzili za nim.

– Stać, policja, stać! – krzyczeli śledczy i wywiadowcy. – Stać!

Byli na półpiętrze, gdy zaczął mocować się z zamkiem, wsadził klucz, przekręcił, Śrutwa, który był najszybszy, skoczył i zawisł na klamce. O ułamek sekundy za późno.

– Cholera, zdążył-zawył tajniak.

Załomotali w drzwi. Z mieszkań wychylali się sąsiedzi.

– Czego chcecie od ojca Anzelma? – zapiszczała kobieta z trzeciego piętra.

– Policja Państwowa! – krzyknął Strasburger. – Proszę nie robić sensacji.

Drzwi zaskrzypiały, ale nie domknęły się do końca. Ze szpary między drzwiami a futryną widać było

ciekawskie oczy, wyzierały one zresztą z niemal wszystkich lokali na klatce schodowej.

– Maniek – zakomenderował Śrutwa – leć po ciecia, może ma zapasowe klucze. A jak nie, to niech przyniesie łom!

– Łom nie będzie potrzebny. – Zyga Stolarczyk natarł na drzwi.

Huknął z całych sił, ale nie puszczały. Powtórzył to raz i drugi, bez efektu. Zyga sapał i rozcierał obite ramię.

– Mówiłem, że solidne – powiedział z satysfakcją Śrutwa.

– Otwierać, policja! – Strasburger raz jeszcze próbował po dobroci.

Nic z tego. Czekali pod drzwiami, policjant z lotnej brygady przyłożył ucho do drzwi.

– Coś skrzypi, jakby okno! – zawołał.

– Cholera! – Zyga był pełen złych przeczuć.

Tymczasem załomotały szybkie kroki, to z dołu biegli wywiadowca Maniek i cięć, który trzymał łom.

– On stoi w oknie! – krzyknął wywiadowca. – Nie weźmiemy go!

– Co robimy? – zapytał Śrutwa.

Strasburger też nie wiedział, pierwszy raz był w takiej sytuacji.

– Dzwon pan po straż pożarną, pogotowie i policję, powiedz, że wzywa aspirant Strasburger z Brygady Specjalnej Goliat! Gdzie jest najbliższy telefon?

– Na drugim piętrze u doktora Koziatulskiego, myślę, że wie, co się kroi, i że już zadzwonił, gdzie trzeba.

– Może tak, a może nie. Grzej pan!

Cięć pobiegł, a oni dalej stali pod drzwiami.

– Spróbujemy u sąsiadów! – postanowił Strasburger.

Zapukali do drzwi, nikogo nie było.

– Wyważamy! – zakomenderował aspirant.

– Które? – Zyga przejął łom.

– Wszystko jedno, byle nie te od księdza. Nie chcę, żeby się rzucił.

Drzwi puściły, wbiegli do mieszkania i od razu ruszyli w kierunku okna. Strasburger otworzył je i wychylił się. Na gzymsie przed sąsiednim oknem stał mężczyzna w sutannie. Poruszył się nerwowo i o mało nie spadł.

– Odejdź! – krzyknął. – Odejdź, bo się rzucę!

– A jak odejdę, to co, będziesz tak stał? – zapytał aspirant.

Tamten nic nie odpowiedział, tylko poruszył się nerwowo, po czym zamarł. W oddali słyhać było dzwonki wozu straży ogniowej. Mieli blisko, remiza i czatownia III Oddziału mieściła się na Nowym Świecie 6, tuż przy placu Trzech Krzyży. Po twarzy księdza Anzelma ciekł pot.

– Po co to wszystko, czemu?

Nic nie odpowiadał.

– Co się stało tam na Widok?

– Odejdź – zaskowytał Anzelm.

Za plecami Strasburgera zaskrzypiała podłoga.

– Przyszedł doktor – usłyszał głos Zygi.

Odwrócił się i zobaczył idącego przez pokój starszego siwego mężczyznę.

– Dzień dobry, jestem doktor Stanisław Koziętulski. Jak usłyszałem, co się dzieje, od razu zadzwoniłem, gdzie trzeba...

– Dziękuję, panie doktorze, straż ogniowa będzie za chwilę. Czy dobrze pan zna księdza?

– Mieszka tu od paru miesięcy, trochę się dziwiłem, że tutaj, nie w parafii czy przy klasztorze... Tłumaczył, że pracuje z siostrami skrytkami, z pasterzankami[41], które opiekują się ludźmi ulicy.

– Może pan z nim porozmawiać? Jestem policjantem, więc jest wobec mnie nieufny.

– Oczywiście, a co on takiego zrobił?

– Na razie chcieliśmy go przesłuchać jako świadka.

Doktor kiwnął głową, po czym podszedł do okna i wychylił się.

– Ojcie Anzelmie, to ja, sąsiad z drugiego, doktor Koziętulski. Proszę wrócić do mieszkania, to niebezpieczne. Panowie z policji chcą ojca przesłuchać jako świadka.

Rysio Muckenbrunn nie był z tych, co się strasznie przejmują i ekscytują. Choć miał ledwie dziewiętnaście lat, to kalkulował chłodno i zbytnio się nie podniecał. Od brata się tego nauczył, a brat ma łeb jak sklep, bo zresztą sklep, i to z powodzeniem, prowadzi. Podniecały go dziewczyny z sąsiedztwa, a i sziksy od gojów też. Lubił je wszystkie i z nimi się zatracił, ale tak poza tym kalkulował. Teraz też nie dał się porwać emocjom, cały tłum szumiał, a on spokojnie wsłuchiwał się w to, co mówią sąsiedzi, i patrzył w okno, w którym stał ubrany na czarno mężczyzna. Wiedział już, że to ksiądz, że zajmuje się upadłymi ludźmi ulicy, że nazywa się Anzelm i że pukała do niego policja. A więc bomba, pierwsza samodzielna bomba w reporterskim życiu! Bomba, ten topielec z niedzieli to przy tym był tylko kapiszon, byleby się nie za bardzo zagrzać! Patrzył na mężczyznę, widział, jak wiatr rozwiewa jego jasne włosy, jak z sąsiedniego okna wyglądają inni mężczyźni. Rozmawiają z nim. Nagle podjechała straż, sylwetki w hełmach rozbiegły się, wprawnymi ruchami rozwijały brezent, na który miał spaść nieszczęśnik stojący w oknie. Czy płachta wytrzyma?

– zastanawiał się. To się okaże, tymczasem notował imiona i stopnie strażaków, robił to szybko jak maszyna, starając się spoglądać w notes i jednocześnie patrzeć na to, co się dzieje wokół. Patrzył na strażaków, którzy przybliżali się z płachtą pod okno, zaczynali już ją napinać, a ludzie robili im miejsce, wtem usłyszał krzyk z wielu gardeł. Błyskawicznie spojrział w górę i zobaczył, jak czarna sylwetka odrywa się od gzymsu. Leciał jak czarny ptak, nie, on nie leciał, lecz spadał. Rysio Muckenbrunn miał już tytuł: *Lot Ikara z Brackiej*. Po namyśle stwierdził, że taka sensacja powinna mieć dłuższy tytuł i jeśli dadzą mu miejsca tyle, na ile zasługiwał temat, to w tytule powinno stać napisane *Lot Ikara nad placem pięciu rogów*.

Strasburger usłyszał jęk lekarza, chwilę później rozległ się krzyk z dziesiątek gardeł, podskoczył do okna, wyjrzał i zdążył zobaczyć tylko ostatnie chwile lotu księdza. Ciało zetknęło się z trotuarem i wydało nieprzyjemny trzask. Wokół czarnego zarysu ciała księdza Anzelma błyskawicznie pojawiła się kałuża krwi. Obok stali strażacy, którzy rozwijali płachtę ratunkową.

– Zobaczył strażaków, którzy rozwijali płachtę, i od razu skoczył – powiedział roztrzęsionym głosem doktor. – Co za tragedia...

Na Brackiej pod dwudziestym trzecim zaroilo się jeszcze bardziej. Strażacy, pogotowie, policja i z setka gapiów. Przyjechał również komendant Warszawskiej Straży Ogniowej podpułkownik Izydor Mikołaj Prokop[42], wyciągnięto nawet z filharmonii nadkomisarza Słubicę-Popielskiego. Na miejsce przyjechał sędzia Czechowicz, bo sprawa podlegała na razie sądowi rejonowemu.

– Dobrze pana widzieć – przywitał go Strasburger.

– Chce pan, bym skomentował teraz współpracę panów z kolegą z Sądu Apelacyjnego?

– uśmiechnął się Czechowicz. – Nie naciągnie mnie pan ma to. Ale tym razem, mimo że trafił pan na mnie, nie będzie lekko. Sądzę nawet, że będzie to prawdziwy koszmar.

– Słucham?

– Chyba sam pan rozumie, samobójstwo księdza, z tego, co pan mówi, domniemany współudział w zabójstwie Luksa i Czarnego Piotrusia... Skandal, w który włączą się wszyscy i wszyscy będą chcieli go wyciszyć. Nie zazdroszczę...

– A pan?

– Ja? To sprawa dla najlepszych, poza tym skoro ma to coś wspólnego ze sprawą z ulicy Widok, to najdalej jutro śledztwo przejmie mój znakomity kolega z Sądu Apelacyjnego. – Uśmiechnął się szeroko. – Co pan robi, przecież od tego są laboranci z Ciepłej? – zdziwił się sędzia, widząc, że aspirant bierze się do zdejmowania odcisków palców księdza.

– Tak na wszelki wypadek. – Pokazał sędziemu kartkę, którą wyjął z kieszeni przez chusteczkę. – Znalazłem to na stole, pan czyta!

Sędzia śledczy Jan Czechowicz przybliżył twarz do kartki i z trudem czytał zapisane drżącą ręką słowa.

Biada, biada, biada! To, co się działo przez ostatnie lata w tym mieście, to, co się dzieje, a nade wszystko to, co się wydarzy. Biada, po trzykroć biada, przeto oddaję się w ofierze, byście to zrozumieli, byście się przebudzili, byście otworzyli swe serca, uszy i nade wszystko dusze na Chrystusa i Matkę Przenajświętszą. Sługa Boża z Krakowa Rozalia Celakówna apeluje, by intronizować na władcę Polski Jezusa Króla, na kolanach błagając, by ją wysłuchać, bo tylko Pan Jezus i Jego Matka chcą ratować Polskę przed upadkiem. Tymczasem Warszawa zamiast wsłuchać się w słowa Sługi Bożej pogrąża się w grzechu niczym biblijna Sodom i Gomora. Rozpusta, nienawiść, aborcje i inne niezliczone zbrodnie to odpowiedź tego miasta. Gniew Boży będzie przeokrutny, krew popłynie rynsztokami i nie pozostanie kamień na kamieniu, ja pierwszy ponoszę winę za grzechy nasze. Wybacz mi, Boże, lecz niegodnym, by żyć.

Przepraszam i żałuję za wszystkie grzechy, módlcie się za mą biedną, przegraną i potępioną duszę.

Niegodny Sługa Boży Anzełm Janicki.

– Masz pan rację – westchnął Czechowicz. – Samobójca w sutannie, sprawa zbrodni z alfons-pogromem w tle, homoseksualiści, kościół, sanacja i sędzia Jakowicz. Musi pan się zabezpieczać i nie wolno panu niczego wypuszczać z rąk.

– Domyślam się, że materiał dowodowy trafi i tak w ręce Jakowicza, bo to on przejmie sprawę, dlatego sfotografujemy ten list. Chcę mieć także własne odciski palców, coś mi mówi, że faktycznie nie będzie lekko.

Rozeszli się do swoich obowiązków, których było co niemiara. Nie zauważyli, że młodziutki reporter, który stał zbyt daleko, by usłyszeć ich rozmowę, widział jednak list samobójcy. Rysio zanotował coś w swoim kapowniczku, pokręcił się jeszcze w tłumie i ruszył do redakcji.

Instruktorzy ze szkoły policyjnej trąbili, że o szybkości i skuteczności służby śledczej decyduje prosta organizacja wewnętrzna. W sytuacji kryzysowej należy powołać sztab, który ułatwi funkcjonowanie ekipie śledczej. Nadkomisarz Słubica-Popielski uznał, że na placu pięciu rogów najlepszym miejscem jest Kawiarnia Szwajcarska. Zajął stolik, z którego kontrolował to, co działo się na placu, tu także dzięki uprzejmości obsługi lokalu przyprowadzono osoby, które przepytawał w sprawie księdza Anzełma. Po trzech godzinach było już po wszystkim. Przy stoliku, który jeszcze do niedawna służył jako centrum dowodzenia, siedzieli już tylko aspirant Strasburger i przodownik Stolarczyk. Trupa odwieziono na Oczki, gapie się rozeszli, a strażacy już dawno wrócili do bazy. Zebrany materiał był satysfakcjonujący, tak się Strasburgerowi i Stolarczykowi przynajmniej wydawało, ale o tym zdecyduje jeden człowiek. Sprawę miał załatwić nadkomisarz, bo nie tylko był najstarszy stopniem, ale i znał go osobiście, dlatego wraz z Wolfem zmyli się wcześniej.

Tuż po nich wyszedł z sali Kornel Strasburger, ale tylko na chwilę, po to by skorzystać z toalety. Gdy wrócił, nad Zygą czytającym gazetę i popijającym kawkę z koniackiem, którą postawił im na pożegnanie kierownik sali, sterczał sędzia Patryk Jakowicz. Co za cholerny zbieg okoliczności!

– Co pan robi? – elegancik z miejsca przyczepił się do przodownika.

– Stosuję się do instrukcji z kursów służby śledczej – odparł najzupełniej spokojnie Zyga Stolarczyk, składając powoli gazetę. – Zalecano na nich, by policjant stale się kształcił i wzbogacał swą wiedzę, między innymi czytając dzienniki, by orientować się w aktualnej sytuacji politycznej, gospodarczej i kulturalnej.

– To bezczelność – huknął sędzia – bezczelność i niesubordynacja!

– Proszę zachować ciszę – syknął Zyga.

– Pan pije, a jest pan na służbie!

– Prowadzę obserwację, proszę mnie nie zdradzać – odpowiedział Stolarczyk i znów szeroko rozpostarł gazetę.

Patryk Jakowicz pochylił się do ucha przodownika.

– To zostanie zapamiętane.

– Taką mam nadzieję. – Zyga uśmiechnął się spod wąsa. – Liczę też na raport, bo to już osiemnasta godzina pracy bez przerwy, a czasem biuraliści kwestionują to, jaki wysiłek wkładamy w naszą pracę.

Sędzia spojrzął na Stolarczyka piorunującym wzrokiem, odwrócił się i wpadł na aspiranta.

– Proszę nie robić sensacji, panie sędzio, niech nas pan nie wsypie – konfidencjonalnym tonem powiedział Kornel Strasburger, po czym huknął na pół sali: – Miło było pana widzieć, panie prezesie, winszujemy sukcesów i cieszymy się na kolejne spotkanie.

Skołowany Jakowicz opuścił Szwajcarską jak niepyszny.

– No to pojechaliśmy z nim jak z burą suką. – Zyga wyszczerzył zęby.

– Za to on pojedzie z nami jutro jak Herod z niewiniątkami – westchnął Strasburger.

– Ale to będzie jutro – parsknął Zyga. – Chwilowo, przynajmniej do rana, jesteśmy wygrani. Cieszymy się chwilą, najlepiej w domu!

Aspirant klepnął przodownika w plecy i wyszli z kawiarni.

Warszawa, środa 1 października 1930

Dwa złe duchy krążyły nad Urzędem Śledczym, a dokładnie nad aspirantem Strasburgerem i przodownikiem Stolarczykiem. Pierwszy był jak prawdziwy duch, niewidzialny i nieuchwytny, kpiący sobie z nich i zdający się rechotać z mgły unoszącej się nad miastem. To był Goliat, tajemniczy morderca o nadludzkiej sile, o którym krążyły plotki i legendy, ale którego niewielu widziało. Zyga akurat widział, ale było to dawno temu, za to sędziego śledczego do spraw nadzwyczajnych Patryka Jakowicza oglądał ostatnio aż za często. Był to duch, który się zmaterializował, prawdziwy upiór, którego tak jak wampira należało przebić osikowym kołkiem. Niestety takie działania nie wchodziły jeszcze w zakres regulaminu funkcjonariuszy służby śledczej Policji Państwowej.

Zgodnie z obietnicą sędzia dorwał ich i urządził niemiłą pogadankę. Podwójnie niemiłą, bo elegancik z koneksjami i ambicjami czuł się zupełnie bezkarnie, poza tym musiał się odegrać za wczorajszą scysję w Szwajcarskiej. Nadkomisarz Słubica-Popielski pojechał wraz z aspirantem Wolfem na ważne spotkanie, więc teraz to Strasburger był najwyższy szarżą. Sędzia nie robił sobie wiele ze stopnia aspiranta i po wczorajszym spotkaniu urządził im dubeltowe piekło, śledczy nie pozostali mu jednak dłużni.

– Dlaczego wczoraj nie zostałem poinformowany o samobójstwie ojca Anzelma?

– Jakoś się nie zeszło, prowadziliśmy obserwację...

– Czyją, przecież od tego jest brygada lotna! Żądam w tej sprawie raportu!!!

– Raport jest już złożony, gdyby był pan w swoim biurze... – powiedział spokojnie Strasburger.

– To bezczelność!

– Czyżby? – Aspirant uniósł brwi. – Bezczelnością jest zakładać, że nie było pana w biurze, byłem pewny, że zaczyna pan pracę zgodnie z regulaminem.

– Bezcelnością jest cała wasza postawa, teraz się to skończy, po tej publikacji miarka się przebrała! – Dla dodania efektu sędzia Jakowicz tłukł „Expressem Warszawskim” o oparcie krzesła. – To skandal, to skandal! – krzyczał.

– Faktycznie, to skandal, panie sędzio – wycedził Zyga. – To skandal, że ktoś na pana donosi. Przeciekam jak stara łajba, nabieramy wody przez każdą szparę – zaśmiał się. – Dziwnym trafem te przecieki służą tylko jednej osobie!

– Jesteście skończeni! – Sędzia zacisnął pięści. – Całkowicie skoń-cze-ni! – wyskandował.

– Trudno, co zrobić-Zyga wzruszył ramionami.

– Jesteście skończeni, wy i wasz szef!

– Czyżby? – hardo odparował Strasburger, stojąc przed sędzią z założonymi rękoma. – Wskoczył pan na wysokiego konia, zachciało się panu, panie sędzio, znaleźć Kubę Rozpruwacza, naszego Kurtena zwanego Goliatem... Na razie pnieś się pan w górę, ale bez żadnej spektakularnej sprawy, a wszystko, co pan osiągnął, zawdzięcza pan znajomościom i współpracownikom. Bądź pan porządnym człowiekiem, traktuj pan śledczych po ludzku, miej pan odrobinę szacunku, bo zostaniesz pan sam!

Po tych słowach sędziemu drgnęła twarz, ale opanował się, po czym spojrzał lodowatym wzrokiem na aspiranta i zasypał go gradem słów, rezygnując tym razem ze swojego spokojnego i wyniosłego tonu: – Ja, ja mam być grzeczny dla nieudaczników?! – ryknął. – To niech pan czegoś dokona, na razie pan tylko podważał to, co powiedział pana przełożony i inni koledzy z Urzędu Śledczego. Pan tylko potrafi podważać! Jak panu nie miła praca ze mną, jak panu śmierdzi ciężka robota, to droga wolna! Policja drogowa, konna, obyczajowa albo służba w jakim komisariacie... – Patryk Jakowicz patrzył na aspiranta z rosnącą nienawiścią. – Droga wolna, możesz się pan, a raczej musisz się pan realizować w policji na wiele sposobów, ale już nie tu, już nie w Urzędzie Śledczym, a jak nie tu w Warszawie, to gdzie indziej: Żyrardów, Siedlce, Płock, Radom... Masz pan za wysoką szarżę, bo może dobrze by panu zrobił jakiś wiejski posterunek!

– Ja sobie dam radę, spokojna głowa! – Strasburger nie spuścił z tonu.

– Taaak? No to zobaczymy, no to zobaczymy! Pan, pana współpracownik – Jakowicz z uśmiechem spojrzał na Stolarczyka – oraz panów przełożony i jego przyboczny już możecie się pakować! Są poważniejsze zarzuty niż te prasowe duperele, wyście zaszczuli człowieka, to przez was popełnił samobójstwo ojciec Anzelm! Jutro was nie będzie, koniec, *finito*, szlus... Parę telefonów i pism pokończy te żalotne kariery!

Sędzia Patryk Jakowicz stał jak zwycięzca na szeroko rozstawionych nogach i z wyższością zaglądał Strasburgerowi w oczy, spodziewając się zobaczyć w nich strach. Nie zobaczył, w oczach aspiranta była obojętność, a później pojawił się zimny błysk.

– Nie radzę. – Strasburger wbił w Jakowicza wzrok, jakiego nie powstydziałaby się jadowita żmija. – Nie radzę...

– Pan mi grozisz?!

– A skąd! – zaśmiał się Strasburger. – Ja panu tylko dobrze radzę... Jak pan będziesz grzeczny, to możemy usiąść do stołu i pogadać jak ludzie. Jak się pan uspokoisz, to pan zadzwoni, napisz, wyślij gońca albo wpadnij do nas, bo z takim raptusem, jakim pan jesteś teraz, rozmawiać nie będziemy. Jak pan dojrzejesz do tego, by porozmawiać z nami bez niepotrzebnej złości i wywyższania się, to wiadomo, gdzie nas szukać. Będzie pan nas traktował poważnie, to odkryjemy swoje karty. Pan się tych figur domyślasz, ale pańscy przełożeni nie mają o nich zielonego pojęcia. Nie będziemy do nich lecieć jak skarżypyty, my nie jesteśmy donosicielami, dajemy panu szansę, ale musisz pan się opamiętać. Do widzenia, panie... – aspirant zawiesił głos – nie wiem, jak pana nazwać, od czego zacząć, jak pana określić. – Kornel Strasburger grzecznie się skłonił i wraz z Zygą opuścił pokój, pozostawiając w nim osłupiałego sędziego śledczego do spraw nadzwyczajnych.

Patryk Jakowicz nie był w stanie wydusić słowa. Chciał krzyknąć, gdyby miał pod ręką porcelanową zastawę, to bez wahania cisnąłby nią o ścianę. Udusiłby tych gnojków gołymi rękoma albo jeszcze lepiej wysłałby w miejsce przez siebie wybrane lub po prostu wydalil ze służby. Niestety, jego znajomości i kompetencje tak daleko nie sięgały, otarł więc pot z czoła, wstrząsnął głową, jakby wynurzył się z wody, i rozprostował palce, tak że aż strzeliły chrząstki. Trzeba do tego podejść racjonalnie, pomyślał. Czyżby mieli na niego jakiegoś haka? Jak, skąd?! A może blefują, ale jeśli tak, to grają na dużym ryzyku. Czy są aż tak bezczelni? Co takiego miał na myśli Strasburger, mówiąc „nie radzę, nie radzę...”? Ten drugi, Stolarczyk, też był pewny siebie. Co to za karty, co o nim wiedzą, czego nie powinni wiedzieć szefowie? A jeśli... Nie, to niemożliwe, gdyby tak, to byłby skończony, matka, stryjek, znajomi, nikt by go z tego nie wyciągnął, wprost przeciwnie, z wyjątkiem matki i może ojca, ale tylko może, nikt nie tylko nie podałby mu ręki i nie dał mu szansy, ale wprost przeciwnie, wszyscy zepchnęliby go na dno. Miałyby wszystkich przeciwko sobie. Błyskawicznie wziął słuchawkę i po uzyskaniu połączenia powiedział: – Z podinspektorem Jagielskim proszę!

Kornel Strasburger wprowadził ich pociąg na ryzykowne tory, ale nie zrobiłby tego, gdyby nie to, co usłyszał od Zygi Stolarczyka.

– Chyba przesadziłem – zaczął ostrożnie.

– Ani trochę – zapewnił go Zyga. – Zrobiłeś to ty, więc poszło łagodnie, ja bym się tak nie cackał. Dziękuję ci, boja narobiłbym bigosu.

Aspirant Strasburger uśmiechnął się, specjalnie nie dopuszczał Zygi do głosu, znał go i wiedział, że mógłby się zagotować, rozegrał więc pojedynek z Jakowiczem solo.

– Ale teraz wóz albo przewóz...

– Chyba nic z tych rzeczy, ten gamoń się wystraszył, zatkało go i stawiam stówkę, że ma pełne gacie, ale nie z powodu tego, co my o nim wiemy. Myślę, że ma jeszcze parę innych grzeszków na koncie. Może jednak trzeba było walnąć z grubej rury i wyłożyć karty na stół? – zastanowił się Zyga.

– Od kart to ja tu jestem – usadził go Strasburger. – Wszystko jedno, *alea iacta est*, przekroczyliśmy Rubikon!

– Bez tych łańskich wygłupów – skrzywił się przodownik.

– Nie znasz tego? – oburzył się Kornel Strasburger. – Kostka została rzucona, czyli gra zaczęta, tak powiedział Cezar, przekraczając Rubikon, a oznaczało to rozpoczęcie wojny domowej.

Zyga pokiwał głową.

– Idziemy? – raczej zarządził, niż zapytał aspirant Strasburger.

– Dokąd? – Stolarczyk zdziwił się, jakby otrzymał propozycję rejsu do Pernambuco.

– Przecież wiesz dokąd! – Pytanie „Idziesz?” znaczyło dotąd zawsze propozycję wyskoczenia na jednego.

– Poszedłbym... – Przodownik machnął ręką.

– To znaczy, że nie idziesz? – W głosie aspiranta brzmiał zawód. – Przecież jest młoda godzina, mam ochotę pójść do Baru Wstępnego i coś mi się wydaje, że ty też!

– Nie mówię, że nie chcę, tylko że nie mogę. – Stolarczyk sprawiał wrażenie poirytowanego.

– Ja tylko pytam – Strasburger próbował ostudzić nastroje.

– A ja odpowiadam. – Stary śledczy nadal był nabuzowany.

– Ja tylko pytam.

– Jadwiga jest wściekła za ostatnie występy.

– Ale tylko na jednego... – Kornel Strasburger błagalnie złożył dłonie.

– Wiesz, że my nie mamy pojęcia, co będzie jutro – uciął Zygmunt Stolarczyk.

– No to tym bardziej trzeba się napić dla uspokojenia.

Stolarczyk skrzywił się, jakby zatopił zęby w cytrynie.

– Co cię ugryzło? Na jednego i szlus. – Ton głosu aspiranta był przymilny, wręcz aksamitny. Postanowił być cierpliwy i miły, choć na końcu języka miał: „przecież to przeważnie ty mówisz – na drugą nóżkę!”.

– A był kiedyś jeden? – odburknął przodownik.

Strasburger pokiwał głową.

– Kiwaj, kiwaj – cedził Stolarczyk. – Kawaler żonatego nie zrozumie.

– Rozumiem. – Strasburger nie był już tak miły jak kilka chwil temu.

– Gówno rozumiesz! – wybuchnął Stolarczyk.

– Nie unoś się, Zyga!

– Nie unoszę się, po prostu drążysz...

– Jak Jadwiga?

– Tak, kurwa, drążysz jak moja żona!

Tak, miał ochotę drążyć, drążyć jak jasna cholera, bo nie lubił pić sam. Od paru lat zawsze mógł liczyć na Zygę, tak jak Zyga za każdym razem znajdował oparcie w jego osobie. Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy, zrozumiał, że dyskusja nie ma sensu. Zaciągnął się raz jeszcze swoim nilem i rzucił niedopałkiem o ziemię. Rozgniół go obcasem i burknął: – Pies to jebał, wracaj do domu, idę pić do lustra, a jakbyś się namyślił i coś cię oświeciło, to będę w Barze Wstępnym.

– Ja tu jeszcze posiedzę, nie obrażaj się, mam ochotę, ale... Sam kiedyś będziesz żonaty.

Napięcie opadło, pożegnali się serdecznie, Zyga został w Urzędzie Śledczym, a Kornel Strasburger powlókł się do wyjścia.

Nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski wracał z Komendy Głównej, gdzie odbył dwa nieoficjalne spotkania. Każde z nich przyniosło inny efekt, po pierwszym był prawie w euforii, po drugim był w kropce. Miał nadzieję, że spotka przy Daniłowiczowskiej Strasburgera i Stolarczyka, muszą wspólnie ustalić strategię, bo sytuacja wydawała się skomplikowana.

Nie było późno, wczesny wrześnieowy wieczór. Aspirant Strasburger ruszył przed siebie, chciał się przewietrzyć po duchocie Urzędu Śledczego i emocjach spotkania. Ciął najpierw przez plac Teatralny, później Wierzbową, a następnie placem Piłsudskiego aż do Zachęty. Po drodze wstąpił do Wróbla, przekąsił tataraką i zapił dwoma szczeniaczkami. Po tym przystanku poszedł dalej i wszedł w Marszałkowską. Światła, witryny, lokale, do wyboru, do koloru... Wybór był ogromny, ale on był zdecydowany, w końcu powiedział Zydze, że będzie we Wstępnym. Był już przy Chmielnej. Pod Cegiełki nie chodził nigdy, bo przesiadywali tu szemrani i prawie zamieszkał w tym lokalu ten pijaczyna kat Maciejowski. Wielu chadzało Pod Cegiełki, żeby zobaczyć tę słynną personę, ale dla Kornela nie była to żadna atrakcja. Mistrz stryczka zwyczajnie go irytował. Skreślił w Chmielną i poszedł w kierunku Nowika, tu było prawdziwe wódczane zagłębienie. Jedna z większych atrakcji mieściła się pod numerem czterdziestym siódmym A, był to bar Malinowskiej. Lubił ten lokal, ale u pani Jadwigi przesiadywali ostatnio pismacy. Przyśpieszył kroku, bo zbliżała się siódma, a przecież obok szynku Jadwigi Malinowskiej była cukiernia Gajewskiego. Czasem, jak mu nie szło, to poprawiał sobie humor bajaderką, a u Gajewskiego były one najlepsze w całej Warszawie. Wpadł za minutę siódma, tuż przed zamknięciem. Kupił dwie, co młoda, ładna ekspedientka skwitowała uśmiechem. Zalotnym uśmiechem. Normalnie by się koło niej zakreślił, zwłaszcza że za chwilę miała fajrant, ale dzisiaj to nie ona miała być jego królową, lecz wódka. Odwzajemnił się uśmiechem i ku wyraźnemu rozczarowaniu panny zza lady wyszedł, po czym pociągnął w kierunku Wstępnego. Nie śpieszył się, spałaszował po drodze bajaderki, po czym wszedł do baru. Panował tu półmrok, w oszczędnym świetle papierosowy dym wydawał się jeszcze gęstszy. Strasburger nie tracił czasu, z miejsca poszedł do bufetu i zamówił wódkę, błyskawicznie dostał, co chciał. Przechylił kieliszek wprawnym ruchem, płyn wpłynął strużką do gardła, a resztki słodczy, którą pozostawiała po

sobie bajaderka, zmieszały się ze zmrożonym alkoholem. Poczul ulgę. Teraz sobie zapali i rozejrzy się, może jest ktoś znajomy. Na dwoje babka wróżyła, mógł to być dobry kompan albo ktoś, kogo wolałby dziś nie spotykać. Nim omiótł wzrokiem cały lokal, poczuł, że ktoś stoi tuż za nim. Usłyszał znajomy głos, choć brzmiący nieco inaczej niż zwykle.

– Panie Strasburger! – odezwał się nadkomisarz Słubica-Popielski.

– Co pan tu robi?

– Czekam na pana, panie Strasburger!

Aspirant był zdziwiony – Słubica-Popielski, ten stary belfer, przywiązywał wagę do szczegółów i regulaminu, zawsze wymieniał wszystkie tytuły i stopnie, a teraz zrobił wyjątek.

– Panie Kornelu... – Aspirant zdziwił się jeszcze bardziej, tak osobiście, bezpośrednio nadkomisarz nie zwracał się do nikogo. – Masz mnie pan za durnia? – wypalił nagle, a Strasburger poczuł od niego mocny zapach alkoholu, jego przełożony musiał strzelić co najmniej dwie, trzy kolejki. – Jestem dla pana i pana kolegów śmieszny, groteskowy, tak?

Aspirant Kornel Strasburger milczał, bo tak w istocie było. Nadkomisarz i jego przyboczny, aspirant Wolf byli do niedawna przedmiotem drwin. Słowa szefa zbiły go z tropu. Był zwykle wygadany i dość bezczelny, ale teraz zapomniał języka w gębie.

– Panie nadkomisarzu... – zaczął niepewnie, nie po swojemu. – Eee... – I nie po swojemu nie potrafił porządnie skończyć.

– Niech się pan nie sili na grzeczność i elegancję!

Tak, to faktycznie nie miało sensu.

– Zagrajmy w otwarte karty, z jednej strony Dodek i Sztekker, z drugiej Bibliotekarze i Księgarze, Gebethner i Wolff!

– A więc pan wie?

– Wiem, nie jestem psem takim jak wy, nie jestem idealnym śledczym, nie poważacie mnie i pana Wolfa, ale... – Słubica-Popielski uśmiechnął się cierpko – tym przewiskiem zrobiliście mi wielką przyjemność, choć nie taki był panów zamiar. Czyż nie tak?

– Skoro gramy w otwarte karty, to nie będę owijał w bawełnę. – Strasburger odwzajemnił się równie cierpkim uśmiechem. – To był wygłup. Przyjechali panowie z Kresów jako Bibliotekarze, ktoś przekreślił to na Księgarzy, pan aspirant ma na nazwisko Wolf...

– To sam potrafię wydedukować – uciął nadkomisarz. – Nie jestem dobrym śledczym, zdaję sobie sprawę ze swoich ograniczeń, ale tę zagadkę rozwiązałem. – Tym razem uśmiechnął się jakby z ulgą, jak ktoś, kto wyznał grzech, zrzucił z siebie ciężące mu brzemię.

– Panie starszy, dwie wódki! – zaordynował zastępca naczelnika.

Widząc zdziwienie Strasburgera, zaśmiał się.

– Co się pan tak dziwi? Przyszedłem napić się i porozmawiać, bo mamy o czym. Piję tu już od pół godziny, bo się pośpieszyłem, zajechałem taksówką. A skąd wiedziałem, gdzie pana szukać? Niedługo po pana wyjściu wróciłem na Daniłowiczowską, pan przodownik Stolarczyk powiedział mi, gdzie miał pan zamiar spędzić wieczór.

Barman podał kieliszki z wódką, wypili, a nadkomisarz mówił dalej.

– Dziwi pana, że przełożony, i to taki sztywniak jak ja, chciał się z panem napić?

– Bo jedziemy na tym samym wózku?

– Na tym samym, na tym samym. Zapali pan cygaretkę?

Nie przepadał za cygaretkami, ale uważał, że nie wypada odmówić.

– Ależ z przyjemnością, panie nadkomisarzu!

Zapalili. Cygaretką nie wydała się aspirantowi aż taka zła, a może po prostu jego gardło i zmysł smaku uznały, że tak trzeba. Ale przecież nie przyszedł tu palić, przyszedł tu pić. Chwilę palili w milczeniu, aż Strasburger pokazał barmanowi dwa palce. Ten szybko, bez słów nalał dwa kieliszki, które po chwili wychylili, mamrocząc pod nosem jakieś swoje toasty. Otarli usta, zamówili jeszcze wodę sodową i przekąski. Nadkomisarz wrócił do swojej opowieści.

– Wydarzyły się dziś dwie sprawy, zacznę od tej dobrej. Otóż spotkałem się z panem profesorem Rafałem Schermanem!

Profesor Scherman, słynny psychografolog, był cenionym w całym świecie specjalistą, który nie dość, że nie mieszkał w Warszawie, tylko we Lwowie, to na dodatek był przeważnie w rozjazdach, wygłaszając liczne wykłady i wykonując ekspertyzy. Teraz jednak bawił w stolicy, gdzie miał niezwykle napięty program, ale nadkomisarz znalazł do niego dojścia. A zatem udało się!

– I co, co powiedział? – Strasburger niemal krzyknął i ich sąsiedzi z baru spojrzeli zaciekawieni.

– Napis na lustrze po zabójstwie fordanserki Loli, list pozostawiony po rzezi Czarnego Piotrusia i Luksa oraz pożegnalny list ojca Anzelma wyglądały zupełnie inaczej, ale tylko dla laika, Scherman zaś uważa, że dwa z nich pisała ta sama osoba!

– Które?!

– Oba listy, natomiast napis na lustrze nie był autorstwa Koniecznych i Szpaka, a więc sprawa prosta: ojciec Anzelm zabił umińców, później spisał list pożegnalny, a następnie rzucił się z okna.

Strasburger odetchnął, nikt nie zarzucił im, że zaszczuli niewinnego duchownego, który ze strachu oszalał i skoczył z okna. Jeden z koronnych argumentów Jakowicza został utracony.

– A ta druga, zła informacja?

– Sędzia zaczął kopać pod nami dołki...

– To wiem, żadna nowość – prychnął Strasburger.

– Panie Kornelu, on chce nas odsunąć i sprowadzić swoją ekipę z Torunia. Uważa, że kryjemy Koniecznych, bo jego zdaniem to oni stoją za wszystkim.

– To proste, to jedyny trop, a dokładnie to był jedyny trop!

– Ale on o tym nie wie – zaśmiał się nadkomisarz.

– Mamy go w ręku – powiedział Strasburger i na tym skończył.

Nie rozwinął swojej myśli, uznał, że jeszcze nie czas wszystko tłumaczyć, zresztą Słubica-Popielski wszedł mu w słowo.

– Sprawa jest bardziej złożona. To jest gra, skomplikowana gra, żeby wszystko wytłumaczyć, muszę pierw opowiedzieć panu o sobie.

Zanim nadkomisarz zaczął opowieść, wychylili po mikadce wódki.

– Pochodzę z Poznania – zaczął Wawrzyniec Słubica-Popielski. – Wiem, tu w Warszawie uważacie, że mamy się za lepszych, że u nas jest większy porządek, pruski dryl. Niech mnie pan źle nie zrozumie, ale muszę to powiedzieć. U nas nie ma analfabetów... Nie ma, zero, nul! Tu, w Warszawie są, zdaje pan sobie z tego sprawę.

Strasburger potakująco kiwnął głową.

– Wiem, że na podwarszawskich posterunkach zdarzają się policjanci analfabeci – westchnął Słubica-Popielski.

– Jest nawet jeden na Starym Mieście – uśmiechnął się Strasburger – może nie całkowity, ale z pisaniem u niego krucho i nie czyta, a duka.

– To półanalfabeta, pisze z trudem, duka... A więc inteligent pełną gębą! – wykrzyknął nadkomisarz profesor. – Na Kresach materiał na kierownika posterunku.

Strasburger nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić, nadkomisarz kpił czy się pieklił, o co mu chodziło?

– Wiesz pan, ilu takich jest na Kresach? – Nadkomisarz popatrzył na Strasburgera, jakby go chciał przewiercić wzrokiem. – Wiesz pan? Po kilkuset w województwie! Posterunkowi, którzy nie powinni trafić do służby, rozumiesz pan? A-nal-fa-be-ci! Jak Zulusi, dzicy, co ja mówię Zulusi, jak małpy!!! Rozumiesz pan teraz, co tam we mnie wstąpiło? Rozumiesz pan? Tak, zostałem tam bibliotekarzem, księgarzem, łapaczem analfabetów... Wróciłem do pierwszego zawodu, bo widzi pan, ja kończyłem seminarium nauczycielskie, ale... Wie pan, jak to było w tysiąc dziewięćset osiemnastym, dziewiętnastym i dwudziestym...

Strasburger pokiwał głową nie tylko po to, by się nie zdradzić, że wie, co kiedyś robił nadkomisarz, ale i dlatego, że przypominało to jego własne życie. Miał zdać maturę i pójść na studia, ale po cichu marzył o tym, by być artystą. Artystami zostali dekownicy, a studentami ci, którzy potrafili wrócić z wojny do normalnego życia. To była złośliwość losu, że nazywali go Dodek. Nie lubił Dymusy, Bodo i innych, którzy urządzili się, kiedy on i jemu podobni byli na wojnie. Oczywiście nie wszyscy artyści byli tacy, Mietek Fogiel, jego sąsiad z Długiej, zrobił, co do niego należało i po powrocie z wojny poradził sobie ze wszystkim, zdał maturę, objął ciepłą posadę, został śpiewakiem. A on... Nauka nie była jego przyjaciółką, szkoły nie skończył, na estradę się nie wkręcił, załapał się za to w Gdańsku na statek. Podróż naokoło świata, trzy lata na morzu i powrót do Warszawy z głową pełną wrażeń i pustą kieszenią. Bez roboty, bez pomysłu, cholera wie, czemu wyszła ta policja. Przypadek. Tak to bywa, rozbitek, którego morze wyrzuciło na brzeg, został Sherlockiem Holmesem. Prawie ukończył średnią szkołę, więc uznali, że nadaje się do służby śledczej, a jak nadrobił zaległości i zdał maturę, to został aspirantem.

– Wiem, jak to było – powiedział Strasburger – bardzo dobrze to wiem.

– Zamiast nauczycielem zostałem policjantem, tak to się potoczyło.

– Szybko pan awansował, panie nadkomisarzu, tak mówią...

– Szybko się mnie pozbyto, taka jest prawda. Nie byłem dobrym śledczym i nadal nim nie jestem, ale miałem w Poznaniu pewien sukces, sukces, za który musiałem zapłacić. Zalażem za skórę pewnej szajce i nastąpiłem jej na odcisk.

– Zabolało ich?

– Tak. Tak mocno, że mnie awansowano i wysłano na wschód. Nadkomisarz i kierownik w Urzędzie Śledczym, piękne mieszkanko, różne dodatki. Pięćset złotych z okładem, żyć nie umierać, prawda?

– Tam podobno tanio jest?

– Tanio? – zaśmiał się Wawrzyniec Słubica-Popielski. – Za półdarmo tam się żyje. I jaka pozycja, a jaka robota! To nie Warszawa, Wilno, Gdynia, Poznań, Lwów, Katowice czy Łódź. To nawet nie Kraków, tam złodzieje i bandyci nie dorastają nawet do pięt tym, których pan poznałeś.

– Wystarczy zarzucić sieć i rybki same wpadają?

– Właśnie! Niektórzy wpadali, zanim skończyli robotę.

– Tutaj też tacy są.

– Ale tam niemal wyłącznie tacy. Porządny kasiarz na gościnnych występach, taki zaszczyt zdarzał się raz na jakiś czas, a na co dzień sąsiad zarznął nożem sąsiada, matka dzieciobójczyni, kradzież worka mąki, uprowadzenie konia z rzędem, kradzieże we dworze. Świat bez wielkich dworców, tramwajów i zatłoczonych ulic, więc i bez kieszonkowców. Niewielu zawodowych złodziei, za to wielu recydywistów, którzy zaraz po wyjściu z więzienia organizowali kolejną głupią kradzież.

– Sukces za sukcesem... – podsumował Strasburger.

– Tak. A każdy łatwy, oczywiście z drobnymi wyjątkami. Ale wie pan, ja nie lubię łatwych sukcesów, ja zacząłem pracować społecznie. Żona mnie do tego namówiła.

– Stąd te książki, biblioteka...

– Tak. To zresztą spójne z polityką rządu. Każdy komisariat i posterunek Policji Państwowej, każda strażnica Korpusu Ochrony Pogranicza to w tym dzikim kraju wysunięta placówka cywilizacji. Nie pojmie pan tego, póki pan tam nie trafi na dłużej. To jest Polska, ale nie wygląda jak Polska. To inny kraj, to nawet nie jest Europa!

– Wie pan, ja lepiej znam Azję niż Kresy.

– Co pan opowiadasz?

– Kanał Sueski widziałem, a Dniestru nie. Byłem w Bombaju, a Lwowa w ogóle nie znam, Hamburg, Nowy Jork, Jokohama...

– Byłeś pan podróżnikiem?

– W pewnym sensie tak. Pływałem.

– I nie poszedłeś pan do Marynarki Wojennej?

– Znudziło mi się!

– Wielki świat?

– Bałtyk to nie wielki świat, z Marynarką Wojenną daleko bym nie popłynął, poza tym parę spraw ciągnęło mnie do Warszawy...

– Rozumiem.

– Przepraszam, przerwałem panu opowieść.

– To już prawie koniec. Sukces bywa zgubny. W Poznaniu zaszedłem za skórę, jak wy to mówicie w Warszawie?

– Sitwie?

– Tak, sitwie, co to za słowo?

– To po żydowsku.

– Mogłem się tego domyślić. – Westchnął. – Wie pan, w Wielkopolsce nie ma takiej mieszaniny językowej, to znaczy u nas dużo z niemieckiego, a jidysz... U nas nie ma tylu Żydów, a tu! Tu i na Kresach jest ich zatrzęsienie, ale tam nie powstała taka mieszanka, w Warszawie jidysz wpycha się wszędzie, mówią nim uczniaki, łobuzy, a na koniec i policjanci. Napijmy się!

Wychodził z niego belfer, który lubi akuratną mowę bez żadnych powiedzonek i zapożyczeń. Wypili.

– A czego pan uczył? – Strasburger zgrywał głupiego, bo wiedział o przeszłości nadkomisarza od Kurnatowskiego.

Słubica-Popielski uśmiechnął się i spojrzał na Strasburgera z politowaniem.

– Pan sobie żarty stroi? Z pana głową, dedukcją, sprytem...

– Łaciny? – Aspirant grał dalej.

– Oczywiście! – Uśmiechnął się szeroko. – Ale ad rem! W Łucku miałem za dobre wyniki, zaproponowano mi, a w zasadzie podjęto za mnie decyzję, bym objął posadę w Warszawie. Opinia pana wojewody, komendanta wojewódzkiego, księdza biskupa, a do tego ta wielka mistyfikacja, jaką były moje statystyki!

– Nie lubi pan pracy tutaj?

– Nie. Sam pan wiesz, że to nie mój żywioł, muszę od tego uciekać, a w mojej sytuacji mogę uciekać tylko do przodu.

– Komenda Główna?

– Skąd pan wie?

– Tak mówią.

– Tak im się wydaje – zaśmiał się nadkomisarz.

- A więc?
- Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.
- No proszę! Jest tam parę gabinetów i biurek...
- Ja mierzę w dyrektora departamentu.
- Tysiąc złotych jak nic!

– Mnie nie chodzi o pieniądze! – Słubica-Popielski walnął pięścią w blat tak, że Paweł Kępa, dzierżawca lokalu, podszedł do nich z groźną miną. Strasburger, o którym wiedział, że jest policjantem, uspokoił go gestem.

– Przepraszam za te słowa, panie nadkomisarzu! – Na dźwięk szarży mężczyzny, który przed chwilą bił w blat bufetu, Kępa dyskretnie się wycofał. – Przepraszam raz jeszcze, ale wie pan, ludzie gonią za pieniędzmi... Panie Kępa – zawołał Strasburger – kolejkę poprosimy i coś na ząb!

- Może zawinszują sobie panowie serdelki, do tego po świeżutkiej bułeczce... – zaproponował Kępa.
- Może być.

Kępa i bufetowy na chwilę zniknęli, a po chwili przerwy kierownik Brygady do spraw Ciężkich Zbrodni wrócił do swojej opowieści.

– Chcę dalej robić to, co robiłem w Łucku i na Kresach, chcę uczynić Policję Państwową bardziej kulturalną, chcę wyplenić analfabetyzm, prostactwo, brud i prostackie maniery. Znalazłem bratnią duszę w osobie samego ministra! Pan Felicjan Sławoj Składkowski to znakomity polityk, to wspaniały żołnierz, ale przede wszystkim to człowiek wykształcony, medyk. On widzi brud, nędzę, prymitywnych ludzi, on myśli dokładnie tak samo jak ja! Policja ma nieść kaganek oświaty, zwłaszcza na prowincji. Czyści, kulturalni funkcjonariusze, widne komisariaty i posterunki z bibliotekami, orkiestry policyjne i filmy instruktażowe. A zacząć trzeba od latryn. Ludzie tam srają w polu, policjanci często także, albo załatwiają swe potrzeby w byle jakich budach. Smród, brak higieny, dzicz. Trzeba z tym skończyć, rozumie pan?

Strasburger kiwnął głową.

- Co pan sądzi?
- To ambitny plan...
- Pomoże mi pan w tym. Prawda?

– Ale jak? – Strasburger z przerażeniem wyobraził sobie, jak jeździ po wsiach z filmami, gra na bębnie w orkiestrze policyjnej albo kieruje brygadą do spraw stawiania latryn i wychodków.

– Musisz mi pan dać awans! Ta sprawa o mało mnie nie zabiła, ten cały szum, że jest nowy Kuba Rozpruwacz, polski Peter Kurten, alfons-pogrom... Nie potrzebowałem takiego rozgłosu, ale stało się, wszyscy się tym interesowali, a dochodzenie szło powoli, więc moje akcje poleciały na łeb na szyję. Zagrałem va banque, stanąłem na czele zespołu, ale go nie zmieniłem, bo ja panów mam za dobrych śledczych! Postawiłem się na świeczniku, bo domagano się zmian, więc dostali je! Jak się nie uda, to się nie uda, i tak byłem przegrany, ale jeśli śledztwo zostanie pomyślnie zakończone...

Strasburger nie wiedział, co powiedzieć, ale w końcu przemówił: – Czyli my mamy rozwiązać sprawę, a pan w nagrodę trafi do ministerstwa!

– Tak, właśnie tak, musisz pan go znaleźć, to konieczność, rozumiesz pan? Łapiecie bestię, ja dostaję awans, ale wytyż! Przodownik Stolarczyk zostanie starszym przodownikiem, a pan podkomisarzem. Podkomisarzem i kierownikiem.

- Kierownikiem?
- Tak, kierownikiem brygady specjalnej!
- Brygady specjalnej?
- Jeśli wszystko zakończy się sukcesem, to będzie to argument na to, by pozostawić brygadę

w strukturach urzędu, ja odejdę do ministerstwa, a pan zostanie szefem!

Zatkało go, znów nie mógł nic powiedzieć, bo liczył teraz swoje nowe uposażenie: za podkomisarza trzy dychy podwyżki uposażenia i tyle samo z tytułu dodatku służbowego, głowy nie urywa, ale funkcyjne dla kierownika to może być nawet więcej niż dwieście złotych. To daje razem jakieś... Nim się doliczył, nadkomisarz dokonał ostatniego aktu licytacji: – Szare Domy!

– Słucham?

– Oprócz tego, co mówiłem, do wygrania jest jeszcze wejście do spółdzielni mieszkaniowej ministerstwa na Mokotowie.

Stras burgerowi zakręciło się w głowie. Piękne mieszkania, niedostępne zwykłym glinom.

– Dla mnie i dla Stolarczyka?

– Tak! – krzyknął zrezygnowany Słubica-Popielski.

– I jak trzeba przydzielili pan więcej ludzi?

– Jednego, pięciu dziesięciu, nie interesuje mnie, bylebyśmy złapali tego drania! Mamy mało czasu, bo swoją grę prowadzi też sędzia Jakowicz! Grasz pan o wszystko, o pełną pulę. Ja zresztą też. Obiecałem to panu ministrowi Sławojowi Składkowskiemu!

– Wszystkie chwytaki dozwolone?

– Na przykład?

– Na przykład śledzenie niektórych osób...

– Kogo? Mecenasa Jura-Muszyńskiego?

– Też...

– I kogo jeszcze?

– I sędziego Jakowicza.

Nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski ukrył twarz w dłoniach i zapytał: – A kto to robi?

– Lepiej, żeby pan nie wiedział...

Słubica-Popielski nadal zakrywał twarz.

– Musimy tak zrobić, to wojna, wojna na śmierć i życie. – Strasburger próbował wyrwać swojego szefa z letargu.

Nagle Słubica-Popielski podniósł głowę i uśmiechnął się.

– A zatem powiadasz pan, *inter arma silent leges*[43]?

– Tak, panie nadkomisarzu, uważam, że trzymając się sztywno litery prawa i regulaminu, nie damy tym ludziom rady.

– *Inter arma silent leges* – powtórzył Wawrzyniec Słubica-Popielski. – W czasie wojny milczą prawa! Skoro starożytni to wiedzieli, to nam nie pozostaje nic innego, jak pójść w ich ślady.

– Ja uszczęśliwię pana, a pan mnie i przez to obaj staniemy się szczęśliwi!

Słubica-Popielski pstryknął palcami na chłopca bufetowego.

– Powiedz szefowi, że chcemy butelkę wódki.

– Ile panowie sobie winszują? – spytał chłopak.

– Pół litra.

No, no, zapowiada się długi wieczór, pomyślał aspirant, ale chwilę później usłyszał kolejną dyspozycję: – I o anielki proszę!

Nie będą saczyć wódki, tylko pić... Walną po dwie setki na twarz, a resztę rozleją na dwie pięćdziesiąteczki, pójdzie migiem. Kolejne zaskoczenie tego wieczoru, a zapowiada się, że będzie ich

więcej.

– Syfon wody i dwie meduzy – Słubica-Popielski zakończył składanie zamówienia.

– Ho, ho, mówi pan jak stary warszawiak!

– Jestem w końcu łacinnikiem, nauka języków nie jest mi obca. – Nadkomisarz wzniosł szklaneczkę wypełnioną setką wódki. – Za owocne śledztwo!

– Za to zawsze się napiję!

Wypili, Strasburger poczuł, jak czerwienieją mu policzki. Po tak solidnej dawce alkoholu wypieki pojawiły się także na pucułowatej twarzy nadkomisarza.

– *Bonum vinum laetificat cor hominis*[44] I – nawet w tej sytuacji belfer nie potrafił odpuścić sobie łacińskiej sentencji.

– Z tym że, panie nadkomisarzu, my tu raczej wódkę, a nie wino pijemy – uśmiechnął się Strasburger.

– Cieszy mnie ta pańska łacina! – Podpity nadkomisarz był rozanielony.

– Jako profesor byłby pan moim prześladowcą, bo jednocześnie lubię ją i jej nienawidzę. Nie znam jej, choć znam sentencje. To przez łacinę miałem kłopoty ze skończeniem gimnazjum, ale wszystkie powiedzonka znam i Cezara *O wojnie galijskiej* także.

– No proszę!

– No, nie w oryginale, na szczęście było po polsku!

Przekąsili i popili wodą.

Aspirant myślał, że nadkomisarz będzie kontynuował rozmowę, tymczasem rozlał po pół szklaneczki i zapytał: – Więc co pan teraz proponuje, panie aspirancie?

– *Sursum corda?*

Tą propozycją Strasburger rozbawił poważnego na ogół Słubicę-Popielskiego.

– To tak bardziej religijnie, a coś skrajnie pijackiego?

– *Tangomenas faciamus?* No to cyk?

– Znakomicie, to z *Ucztu Trymalchiona* - zakrzyknął nadkomisarz i opróżnił kieliszek, chuchnął i przytłumionym głosem dodał: -Za pamięć Gajusza Petroniusza!

– Nie znam człowieka!

Słubica-Popielski spojrział na Strasburgera z wyrzutem.

– Petroniusz!

– Aaa, ten z *Quo Vadis?*, a to znam! – zaśmiał się Strasburger. – Przesłuchiwałem go w sprawie przeinaczeń historycznych w dziele pana Sienkiewicza. Zupełnie zresztą niepotrzebnie, bo sprawa się przedawniła.

– Pan mnie zadziwia, bez przerwy pan żartuje, a jest dobrym policjantem, zna pan starożytność i sentencje jak mało kto, a z łaciny jest pan noga.

– Pocieszę pana, panie nadkomisarzu, ja sam tego nie rozumiem!

– Nieważne. – Nadkomisarz machnął ręką, widać było, że dobra data, pod którą się już znajdował, robiła się jeszcze lepsza. – Zupełnie nieważne, przejdźmy do naszych interesów. *Comedamus et bibamus cras enim moriemur*, jedzmy, pijmy, wszak jutro pomrzemy.

– Nie jest pan optymistą, panie nadkomisarzu.

– A pan jest?

– Jestem, choć przyznaję, że bardzo sceptycznie nastawionym do życia. Rozchodniaczka?

Warszawa, czwartek 2 października 1930

Czwartek był dniem, który mógł przynieść burzę. Obawiali się tego Strasburger i Słubica-Popielski, którzy po poprzednim wieczorze leczyli kaca. Leczył go również Patryk Jakowicz, o czym Stolarczyk dowiedział się od swoich informatorów. Sędzia zaczął od Oazy, ale nie chodziło mu o zabawę. Zwiedził jeszcze parę przybytków i zdecydowanie pił na smutno.

– A jak dobrze pójdzie, to my będziemy pić na wesoło! – Strasburger poklepał Zygę po ramieniu, po czym powiedział mu o tym, do czego się zobowiązał nadkomisarz.

To wprawiło Zygę w euforię, ale zaraz posmutniał.

– Wiesz co, mój drogi szefie, ja przez moment poczułem, że mam ten awans, że wprowadzam się z rodzinką na Mokotów, że mamy widne, piękne mieszkanie z wygodami... A przecież to wszystko jest patykiem na wodzie pisane, my jesteśmy bliżej wylotu z Warszawy na jakąś wieś niż wielkiego sukcesu. Taka jest prawda, a ja już zobaczyłem się w wyjściowym mundurze z nowymi pagonami, policzyłem pieniądze za awans, przyzwyczałem się do pięknego mieszka... Ja już to wszystko straciłem!

Strasburger pokiwał głową.

– Ale za to wróciłeś przykładowo do domu, nie masz kaca i...

– No tak, Jadwisia była wniebowzięta, a potem i ja też. – Zyga się rozpromienił. – Lubię popić, ale są lepsze specjały – śmiejąc się, dał Strasburgerowi sójkę w bok – i nie boli od nich głowa!

– a propos, zobaczę, czy naszemu belfrowi nie urwało głowy, pił wczoraj jak maturzysta, a nie jak stary przyk!

Słubica-Popielski leczył się kawą, którą także zaoferował Strasburgerowi.

Wyglądał słabo i raczej nie był gotów na ewentualne starcie z sędzią śledczym. Aspirant z miejsca go uspokoił.

– Nie pokaże się dziś w urzędzie, choruje i myśli, co zrobić z pewnym śmierdzącym fantem – powiedział, popijając kawę, która miała go postawić na nogi.

Nadkomisarz uniósł pytająco brwi.

– Otóż oprócz tego, o czym panu mówiłem, zrobiliśmy jeszcze jedno...

Wawrzyniec Słubica-Popielski przygotowywał się na kolejną skandaliczną rewelację.

– Śledzą panowie za pośrednictwem jakichś ludzi adwokata i sędziego śledczego, a zatem co gorszego mogło się jeszcze przytrafić?

– Postraszyliśmy go – poinformował ze stoickim spokojem aspirant.

– Cool?

– Daliśmy mu ultimatum: albo się uspokoi i będzie grzeczny, albo...

– Co albo?

– Albo my coś zrobimy. Musi mieć wiele na sumieniu, bo osłupiał, gdy mu to zakomunikowałem.

– Zagrał pan va banque?

Kornel Strasburger odpowiedział swojemu przełożonemu rozbrajającym uśmiechem.

– Podjąłem ryzyko, ale nie aż takie wielkie, po prostu wiemy o co najmniej jednym poważnym grzeszku pana sędziego.

– Co takiego przeszkrobał?

– To on jest informatorem „Expressu Warszawskiego”!

Nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski potarł brodę i zmarszczył brwi.

– No tak, to oczywiste! – wykrzyknął zadowolony. – Wywiad w sobotnim dodatku, a także powtarzający się w każdym artykule motyw słodzenia mu, jakby był samym Marszałkiem!

– Sam pan nadkomisarz widzi, że nie mamy do czynienia z aniołem.

– O tym to już wiem od dawna, ale informacja, że panowie go śledzą, zmroziła mnie.

– Ale teraz nie jest już panu tak zimno? – Aspirant uznał, że jego szef sprawia wrażenie, jakby sobie coś poukładał.

– Jest nawet przyjemnie ciepło, poza tym już wiem, co stoi za jego ostatnią decyzją. Dostałem telefon od kolegi z Komendy Głównej, sędzia Jakowicz zrezygnował na razie ze sprowadzenia śledczych z Torunia. Pan pozwoli, że teraz pana opuszczę, muszę się przewietrzyć, nie tknąłem dziś pączków, oddałem je Wolfowi, ale teraz zgłodniałem i pojedę po nie osobiście.

Czwartek to czwartek, pomyślał Strasburger, dla nadkomisarza zawsze tłusty z obowiązkowym pączkiem, nawet wtedy, gdy musiał walczyć z kacem.

Po pięciu minutach o wszystkim wiedział Zyga.

– Zmiękła rura temu elegancikowi, ciekawe, co nowego wymyśli, ale jeszcze bardziej ciekawi mnie, czy nie dostarczył nam nowych argumentów.

– Cały czas jest pod obserwacją?

– Może nie cały czas, ale wieczorem śledził go jeden z naszych asów, a dziś od rana robi to drugi. O piątej umówiłem się z obydwojema, przez telefon dali mi do zrozumienia, że coś wykombinowali.

Dalszą rozmowę przerwali im aspirant Marek Gawliński i jego asystent starszy przodownik Grzegorz Podlacha.

– Pozwólcie na chwilę, panowie, mamy pewną ciekawostkę. – Gawliński był wyraźnie podekscytowany. – Udało mi się chyba definitywnie obliczyć majątek Gołdy Ejzenberg, oczywiście nie cały, bo na pewno jak Szpicbródka zatrudniała ludzi, którzy przepisywali na siebie jej nieruchomości, ale można powiedzieć, że szacunkowo jest to jakieś dwieście, dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych.

– Ćwierć miliona! – jęknął Stolarczyk.

– To bardzo, ale to bardzo ostrożne szacunki. – Podlacha uniósł w górę palec.

– W sumie można się było tego spodziewać – skwitował te rewelacje Strasburger.

Wydawało się, że to koniec sensacji, ale wtedy raz jeszcze zabrał głos aspirant Gawliński.

– Ale, jak już mówiłem, jest pewna ciekawostka. – Gawliński z zadowoleniem zmrużył oczy.

– Otóż Madame Gala ma nieruchomość na Saskiej Kępie, to jest parcela na końcu Saskiej, praktycznie w polu. Ta Saska to jest główna droga, co ma być wkrótce ulicą. Do Madame Gali należał ogromny plac z willą, a w zasadzie niedokończonym domem, budowa się wlecze, a jej przecież środków nie brakowało...

– Może będzie to największy bajzel w Warszawie – zaśmiał się Stolarczyk – a skoro burdele są nielegalne, to może elegancki hotel z pokojami na godziny albo pensjonat dla dziwek? Tyle pańienek nie ma gdzie mieszkać, zwłaszcza te z prowincji.

– Jutro tam pojedziemy! – postanowił Strasburger, który nie miał ochoty nigdzie się ruszać, bo wciąż nie mógł dojść do siebie po wczorajszym.

Nie podejrzewał, że po wieczorze spędzonym z nadkomisarzem Słubicą-Popielskim zamiast mieć głowę pełną łacińskich sentencji będzie ją miał spuchniętą od alkoholu. Z trudem sporządził nowy raport, w którym miał uwzględnić informacje dotyczące ojca Anzelma i Koniecznych. To będzie ich kolejny atut w starciu z sędzią śledczym.

Po nastraszeniu Patryka Jakowicza sytuacja była patowa, sędzia czuł mores, a ci, którzy dostali do ręki nowe karty, mieli kaca. Gdyby wszystko opisywał ktoś zaprzyjaźniony z uczestnikami zamieszania, to nazwałby to przegrupowaniem wojsk albo ciszą przed burzą, postronny obserwator uznałby to jednak za stracony czas. Cały ten dzień był leniwy, jakby nie tylko wszyscy śledczy, ale i złodzieje i bandyci zarwali ubiegłą noc.

Minęła czwarta i Strasburger doszedł do wniosku, że czas kończyć te męki, ale nim podniósł się krzesła, zobaczył, że Zyga wkłada płaszcz.

– A ty dokąd? – zapytał aspirant.

– A ja? Do domu – zaśmiał się przodownik. – Nie bój się, jeszcze posiedzę, a ty idź i się wyśpij. Mamy dzisiaj pustki, bo podinspektor Sitkowski jest w Komendzie Głównej, a nasz nadkomisarz leczy się w jakiejś kawiarni. Ja na jego miejscu uderzyłbym piwko i zapił jeszcze flaczkami, a Belfer pewnie strzeli koniaczek i popchnie go pączkiem. Został tylko Wolf, ale jak mamy sztamę z jego szefem, to nie będzie robił scen, więc zjeżdżaj na Długą, ojciec zrobi ci herbatkę.

– A tak serio, to dokąd się wybierasz? – drążył problem Strasburger.

– Idę odebrać najnowszy raport, umówiliśmy się na rogu Senatorskiej i Daniłowiczowskiej.

– Przejdę się z tobą, muszę się im w końcu pokazać, poza tym chcę ich lepiej poznać.

– Jaktam chcesz.

Doszli do zbiegu Daniłowiczowskiej z Senatorską i placem Teatralnym, ale nie zauważyli tam ludzi, z którymi byli umówieni. Zapalili więc po papierosie, a później przeszli się wzdłuż pałacu Blanka i ratusza.

– Już kwadrans po, a ich nie ma. – Strasburger spojrzał na zegarek. – To solidne chłopaki, skoro nie przyszli, to znaczy, że mieli poważny powód.

Pokręcili się jeszcze parę minut. W końcu zobaczyli, jak w stronę narożnika placu Teatralnego, przy którym krzyżowały się Daniłowiczowska i Senatorska, zmierza dwóch młodych ludzi. Jeden ubrany był prawie jak apasz, drugi jak elegancik, który jedzie się sportować.

– Panowie, oto pan aspirant Kornel Strasburger, panie aspirancie, a to panowie kursant Tomasz Jung i posterunkowy Wincenty Rybski – dokonał prezentacji Stolarczyk.

– Z panem posterunkowym to my już się znamy i nawet mieliśmy okazję porozmawiać, a pana Junga widziałem, jak męczył się z panem przodownikiem, który załapał melodię, by grać starozakonnego przechodnia – przypomniał Strasburger, ściskając dłonie chłopakom. – Odwalacie kawał dobrej roboty, dlaczego ryzykujecie?

– A panowie nie ryzykują? – Jung sprawiał wrażenie bardzo rezolutnego. – Toż to skandal, że aspirant i przodownik z Urzędu Śledczego zatrudniają do nielegalnych działań młodego posterunkowego i słuchacza szkoły policyjnej!

Kornel Strasburger uśmiechnął się i pokiwał głową, chłopak miał rację.

– Pan wie dlaczego – odpowiedział Rybski. – Praca ze Spychalskim sprawiła, że chciałem się wyrwać z komisariatu. Ja nie poszedłem do policji tylko dla kaski i pewnej posady, ja myślałem, że w tym zawodzie jest się takim szeryfem, no a pan przodownik powiedział, że panowie są przy Daniłowiczowskiej znaczne figury i że pomogą przejść z pracy w komisariacie do służby śledczej, rozumie pan?

Rozumiał, sam kiedyś też chciał być szeryfem, a teraz wolał być podkomisarzem, mieć dodatek funkcyjny i dobre mieszkanie. Fakt, policja śledcza szukała takich jak te chłopaki, a oni ze Stolarczykiem mogliby co nieco pomóc, ale pod warunkiem, że ich samych wcześniej nie wyrzucą.

– Co nowego? – zapytał Zyga?

– Pan sędzia nie spotkał się już z tym reporterem, ale za to dwa razy był w burdelu, dzisiaj także – wyliczył Jung.

– Burdel to i pustelnikowi może się zdarzyć – podsumował Zyga.

– Pustelnik może skolko ugodno – zaśmiał się Wicek Rybski – bo zasadniczo jak się jest takim pustelnikiem, to się nie ma żony ani narzeczonej, a sędzia narzeczoną ma!

– I to nie byle jaką! – dodał Tomasz Jung. – To panna, której ojciec jest wysokim urzędnikiem na Zamku.

– Ale nie nazywa się Mościcki? – zażartował Strasburger.

– Nie, ale pan Jan Terlecki naprawdę dużo może!

– No, to ładny teść! – zapał Zyga, słysząc nazwisko znanego prezydenckiego urzędnika.

– Takiego teścia stracić to awanse stracić – filozoficznie zagadał Rybski.

– I to jest jego kolejna słaba strona! – ucieszył się Strasburger. – A jak do tego doszliście?

– Przyuważyłem ich parę razy, i tę panienkę także, ale nie wiedziałem, kto to jest, więc dzisiaj filowaliśmy na niego i jak raz wychodził z Zamku, a Tomek to chyba zna wszystkich w mieście, więc od razu rozpoznał gościa! – powiedział z lekkim przekąsem Wicek Rybski.

– Ja nie, ale moi rodzice i siostra tak! – odpowiedział Jung.

– No i dowiedzieliśmy się, kto to jest, dlatego się spóźniliśmy.

Strasburger pomyślał, że tacy jak oni mogą być przyszłością policji śledczej, oczywiście jeśli wszyscy razem nie wpadną na tym, co robią. Nazwać ten proceder pozaregulaminowym to nie powiedzieć nic. W tym momencie zorientował się, że są obserwowani. Nie mógł uwierzyć, zza gazety przyglądał im się Ludwik Kurnatowski!

– Co pan tu robi?

– Spaceruję! – niemal wykrzyknął Kurnatowski. – Mam cynk, który może zakończyć wasze śledztwo.

– Co?! – Strasburger i Stolarczyk zawołali zgodnym chórem.

– Cholera jasna, zabierajmy się stąd, parę kroków dalej jest urząd, a pracują tu jeszcze ludzie, którzy mnie znają, nikomu, ani panom, ani mnie, takie afiszowanie się nie jest potrzebne. Idziemy do opery! – zarządził Ludwik Kurnatowski i ruszyli energicznym krokiem.

– Nie mógł pan przez kogoś dać znać tak jak ostatnio? – zapytał Strasburger. – A swoją drogą, jeśli sądzić po głosie, to była bardzo przyjemna młoda osoba...

– Teraz nie miejsce na żarty – fuknął Kurnatowski. – Jasne, że ktoś do panów dzwonił, ale żadnego z was nie było, więc udałem się osobiście!

To fakt, od ponad godziny nie było ich w urzędzie.

– Panowie, sprawa jest poważna, tu się rozchodzi o handel żywym towarem, o wywóz kobiet do Argentyny! – Kurnatowski mówił, nie zważając na obecność Junga i Rybskiego.

– Tego się domyślaliśmy-wtrącił Strasburger, ale od razu pożałował, bo Kurnatowski zrobił minę taką jak wtedy u Lourse'a. Teraz mówił on, a oni mieli tylko słuchać.

– Ale wiem, gdzie to dokładnie jest i kto ten proceder prowadzi, to rzecz jasna interes Madame Gali, który przejęli teraz jej byli wspólnicy. Poszedł cynk, że jutro rano wywożą kolejne dziewczyny. Trzeba poszukać placu lub domu na przedmieściach należącego do Gołdy Ejzenberg, musicie wycisnąć to z jej księgowego, adwokata, powiedzcie nadkomisarzowi, niech rzuci wszystkich ludzi!

Strasburger spojrział na Stolarczyka, a Stolarczyk na Strasburgera, zrozumieli się bez słów, dla nich było jasne, dokąd trzeba jechać.

– Auto! – wykrzyknęli aspirant i przodownik, po czym szybko, także chórem, sobie odpowiedzieli: – Nic z tego, bo nadkomisarz pojechał na pączusie!

– Brygada lotna! – wrzasnął Strasburger.

– Guzik, mają dziś jakąś akcję, chyba razem z obyczajówką łapią panienki i sutenerów albo mają jakiś interes do doliniarzy. Pojechali tam wszyscy ludzie, zabrali wszystkie automobile-jęknął Stolarczyk.

– Taksówka, dorożka, cokolwiek! – ryknął Stolarczyk. – Gdzie ten wasz stryjek sałaciński?!

– zawołał do Rybskiego i Junga.

– Dawno pojechał, przecież wydalibyśmy fortunę, gdyby cały czas na nas czekał – odpowiedział z rozpaczą w głosie Wicek Rybski.

Policjanci ruszyli biegiem, zostawiając na środku ulicy osłupiałego Kurnatowskiego.

– Dokąd mamy jechać? – zapytał Rybski.

– Szukamy budowy przy ulicy Saskiej, gdzieś na końcu, między polami – wyjaśnił Strasburger. – To znaczy my jedziemy, a wy nawet nie ważcie się tam pokazywać. Biegnijcie do Urzędu Śledczego, powiedzcie, że pojechaliśmy na koniec Saskiej, że możemy potrzebować pomocy. Zaczepiłem was na ulicy i poprosiłem o pomoc, rozumiemy się?

– Jest! – krzyknął Stolarczyk. – Przed aresztem stoi dorożka!

Nie czekając, co zrobi Strasburger, pobiegł w kierunku dryndy.

– Dorożką na drugi koniec miasta? – zawołał aspirant, ale pobiegł za przodownikiem.

Po krótkim biegu zdyszani dopadli pojazdu.

– Urząd Śledczy, rekwirujemy tę dryndę! – ryknął Stolarczyk.

– Aleja czekam na pasażera! – odparł niewzruszony sałata. – To mecenas Herring!

– Gównu mnie obchodzi twój śledź, mógłby nawet być sam marszałek! – Strasburger chwycił dorożkarza za kłapy.

– Panie władzo, co pan, co pan! – krzyknął sałata, którego Stolarczyk zwałił z kozła.

Dorożkarz fiknął i spadł na tylną kanapę.

– Pilnuj sałacińskiego, ja powożę – zakomenderował przodownik Stolarczyk, a aspirant Strasburger bez szemrania wykonał rozkaz.

– Panowieee – zapłakał dorożkarz, któremu aspirant założył podwójnego nelsona.

Nie zdołał się wyswobodzić, po lekcjach u Sztekkera-Stolarczyka Strasburger trzymał fachowo, przodownik zaciął batem i koń ruszył gwałtownie naprzód, szarpiąc dorożkę. Strasburger i dorożkarz polecili w tył.

– Tylko nas nie pozabijaj, Zyga! – krzyknął do Stolarczyka.

– Spokojna głowa, mój ojciec był furmanem! – odpowiedział z wysokości kozła przodownik.

Dorożka ruszyła w szalonym tempie w kierunku placu Teatralnego. Ludzie rozstępowali się, słysząc galopującego konia i widząc, że nie powozi ubrany w tradycyjny uniform i maciejówkę sałata. Nie to jednak było niezwykle, lecz fakt, że powożący szaloną dorożką stangret stał na kozle, drąc się jak opętany: – Z drogi, z drogi!

Może by i ktoś zlekceważył te krzyki, ale Stolarczyk strzelał z bata.

– Wariat, szalenciec, zawołać policję! – krzyczeli przechodnie.

Jakiś posterunkowy kierujący ruchem próbował powstrzymać dziką dorożkę, ale Stolarczyk strzelił mu z bata nad uchem i ryknął: – Z drogi, jedzie Urząd Śledczy!

Dojechali tak do Hotelu Europejskiego, gdy nagle dorożka stanęła w miejscu tak gwałtownie, że sałata i Strasburger polecili naprzód.

– Wysiadka, pod Lourse'em stoją taksówki, biegiem, gazu! – krzyczał Stolarczyk i zeskoczył z kozła na bruk.

– Kto mi zapłaci za kurs? – zajęczał sałata.

– Urząd Śledczy! – zaśmiał się Strasburger, który w ślad za Stolarczykiem wyskoczył z dorożki i pobiegł do taksówki.

Przodownik dopadł do chevroleta, krzyząc: – Pakuj się, Kornuś, ten jest najszybszy!

– Panie, co pan? – zawołał szofer. – Czekam na Bodo!

– A ja jestem chiński cesarz – odpowiedział Stolarczyk, wyciągając rewolwer i przystawiając go do głowy kierowcy.

– Jezus Maria!

– Zmieniamy pojazd – niespodziewanie zaordynował Stolarczyk, wyskakując jak oparzony z taksówki. – Dawaj, dawaj, biegiem!

Ruszyli do kolejnego pojazdu.

– Mówiłeś, że ta gablota jest najszybsza! – zawołał z wyrzutem Strasburger – tracimy czas.

– Ale szofer zeszczął się ze strachu! – wyjaśnił w biegu przodownik.

– Po cholere machałeś rewolwerem, nie mogłeś mu pokazać legitymacji?

– Myślałem, że tak będzie szybciej, poza tym wychodziłem tylko na papierosa i krótką rozmowę, więc zostawiłem legitymkę!

Strasburger dopadł kolejnej taksówki i podsunął kierowcy pod twarz swoją legitymację.

– Aspirant Kornel Strasburger, Urząd Śledczy Policji Państwowej w Warszawie – przedstawił się.

– Panie, ja nic nie wiem, to nie ja! – zapłakał taksówkarz. Był blady, a ręce mu się trzęsły.

– Przed Maciejowskim się będziesz tłumaczył, na Saską Kępe, ale już, to sprawa życia i śmierci!

Żart z Maciejowskim stanowczo się Strasburgerowi nie udał. Na dźwięk nazwiska kata cierpiarz wpadł w panikę.

– Neeee, mam żonę i dzieci, co mnie podkusiło z tern taksometrem, a te panienki, przecież...

Kornel Strasburger już go chciał wyszarpnąć zza kierownicy, ale przecież ani on, ani Zyga Stolarczyk nie potrafili prowadzić. Wtem rozległ się damski głos: – Tutaj, panowie, tutaj!

Przed pięknym, lśniącym kabrioletem stała młoda kobieta.

– Szybko, do mnie!

Była nie tylko młoda, ale i zgrabna, sukienka tuż za kolana odkrywała piękne długie nogi. Nie za chude i nie za grube, takie w sam raz, wręcz idealne. Była blondynką z kształtnym noskiem i z piegami na policzkach. Bogini, istna bogini! Strasburger i Stolarczyk zachowywali się tak, jakby nie mogli uwierzyć, że ta młoda osóbką woła właśnie do nich.

– Jadą panowie czy nie?! – krzyknęła, tupiąc nogą obutą w zgrabny pantofelek.

Kolejny raz nie trzeba było im powtarzać.

– Aleksandra Fuks! – przedstawiła się, a oni szybko podali jej swoje nazwiska i stopnie służbowe.

Na pocałunek w rękę zabrakło czasu, pani szofer szybko zajęła miejsce za kierownicą, obok niej usiadł Strasburger, a Stolarczyk wskoczył na tylną kanapę.

– Saska Kępa? – upewniła się Fuks. – Dobrze słyszałam?

– Tak, droga pani, tak! – potwierdził Strasburger.

Nim dokończył, usłyszał pisk opon i poczuł, jak głowa odlatuje mu do tyłu, aż zabolowało go w karku. Ruszyli w takim tempie, jakby to był diabelski młyn, a nie samochód. Nie minęła chwila, jak trąbiąc, auto wpasowało się z Ossolińskich w Krakowskie Przedmieście, po czym ślizgając się po bruku, weszło w Karową.

– O rany Julek! Pani uważaaa! – zakrzyknął Stolarczyk.

– Krzyczeli panowie, żeby szybko, że to sprawa życia i śmierci, a tak poza tym jestem panną!

– Tak, ale... – Strasburger nie zdążył dokończyć, bo panna Fuks zamiast wyhamować przed dorożką dała jeszcze gazu, zjeżdżając na lewą stronę drogi, a tam jechał wóz z węglem. Znów zamiast pisku hamulców usłyszeli terkot pobudzonego silnika i wrzaski furmanów i przechodniów. Panna Fuks odbiła z powrotem w lewo i auto dalej gnało w dół Karowej.

– Zakręt, uwaga, zakręt! – zawołał Stolarczyk.

– Przecież wiem! – z radością odkrzyknęła panna Aleksandra.

Czyżby postradała zmysły, była szalona, a może to automobilowa morderczyni? Auto skręciło w prawo,

po czym rozpoczęło jazdę w dół. Obaj śledczy czuli się jak na karuzeli, świat wirował im przed oczyma, i to wcale nie w równomiernym rytmie. Szalona automobilistka nie tylko pokonywała krętą trasę w niewiarygodnym tempie, ale i wyprzedzała inne pojazdy. To, co stało się na Karowej, ta mijanka z udziałem dorożki i wozu z węglem, to była tylko przygrywka. Takich scen rozegrało się jeszcze kilka i każda z nich powodowała, że dłonie Strasburgera i Stolarczyka jeszcze mocniej zaciskały się na drzwiach i burtach auta. W końcu zjechali na dół.

– Uff-jęknął Stolarczyk i drążącą ręką chciał sięgnąć po chusteczkę, by otrzeć pot z czoła.

W tym momencie usłyszał dzwonek tramwajowy, na skrzyżowaniu z Dobrą był już rozpędzony wagon! Panna Fuks odpowiedziała rykiem klaksonu i naciśnięciem nie na pedał hamulca, lecz gazu. Auto z impetem godnym pociągu ekspresowego przeskoczyło przed buforami tramwaju i znalazło się po drugiej stronie skrzyżowania. Po chwili z piskiem opon wjechali na Wybrzeże Kościuszkowskie.

– Teraz będzie spokojnie, już tylko prosta. – Aleksandra Fuks uśmiechnęła się czarująco.

Nie było, bo auto grzało grubo ponad sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Przepraszam, że panów tak wytrzęsło, ale ta wielka gablota to auto papy, ja preferuję małe pojazdy, sportowe i bardziej żwawe od tej kobyły. – Panna Fuks z uroczym uśmiechem przekrzykiwała ryk silnika i szum powietrza. – Torpeda Fiata pięknie wygląda, ale nadaje się tylko na spacer.

Znów uśmiechnęła się tak, że Strasburger zastanawiał się, czy na pewno siedzi obok niej w aucie, czy też tylko śni. A może zaiwanili w ten wóz z węglem i są już w niebie?

– Mam nadzieję, że panowie nie wypiszą mandatu.

– Może szanowny papa wypisze skierowanie na badania serca, jeśli jest oczywiście doktorem – siedzący z tyłu Stolarczyk starał się przekrzyknąć szum powietrza.

– Ha, ha, ha, ha – zaśmiała się perliście panna Fuks. – Jest doktorem, ale praw, i wcale wziętym adwokatem! Stoi na czele kancelarii Fuks, Herring i Chazan!

– Józef Fuks? – zakrzyknęli razem policjanci.

– Ten sam!

– To niech nas wybroni z rąk mecenasa Herringa! – poprosił Stolarczyk.

– A co panowie zrobili mojemu wujaszкови Hipciowi?

– Uprawdziliśmy jego dorożkę – odpowiedział Strasburger.

– Ha, ha, ha, ha, to cudne!

Po raz pierwszy od momentu, w którym ruszyli w zwariowaną podróż, poczuli się lepiej, trudno zresztą, by dwaj dorośli faceci nie czuli się dobrze w obecności tak czarującej osoby jak panna Aleksandra Fuks. Zaraz jednak przypomnieli sobie, że są we wnętrzu pojazdu, który mknie przez Wybrzeże Kościuszkowskie w tempie pocisku, podskoczyli na jakimś wertepie i frunęli w górę. Pojazd przywalił o bruk, zarzuciło go, ale zmieścili się w drodze i jechali dalej.

– Kurtka na wacie! – ryknął Stolarczyk. – Zaraz będzie ślimak na most Księcia Józefa!

Obawy starego śledczego okazały się słuszne, najpierw poczuli szarpnięcie, panna Fuks zredukowała bieg i nacisnęła hamulec, znów nimi szarpnęło, a następnie bokiem wpasowali się we wjazd na wiadukt łączący Wybrzeże Kościuszkowskie z mostem Poniatowskiego. Wykonali obrót o dziewięćdziesiąt stopni, po czym potrzęsnęło nimi jak wisielcem na stryczku, auto wyrwało w górę po brukowanej stromiźnie.

– Porzygam się – zajęczał Stolarczyk.

Ale nikt go nie usłyszał, silnik ryczał jak szalony. Po chwili byli na górze, a tam znów klakson, pisk opon, dzwonki tramwajowe i przekleństwa furmanów. Byli na zatłoczonym moście.

Mknęli na drugą stronę Wisły, a panna Aleksandra odwróciła się i spojrzała na Zyge Stolarczyka. – Co pan taki błąd, panie przodowniku? Wszystko w porządku?

– Wszystko!

– Boi się pan tego, co was czeka? – Fuks przekrzyzczyła pęd powietrza.

– Nieee! – odpowiedział jej Strasburger. – To to przyszcz, my bandytów się nie boimy, ale jazda z panią, panno Fuks, robi wrażenie.

Aleksandra Fuks zaśmiała się, odrzucając w tył głowę i pokazując rząd równych białych zębów. Widać było, że to był dla niej najpiękniejszy komplement.

– Proszę się nie bać, prowadzę pewnie i startowałam nawet w rajdzie tatrzańskim!

Kolejny wiraż, auto wpadło na drogę, przy której stały nowe wille, to była Francuska, ulica, która stawała się osią dzielnicy równie modnej, jak Żoliborz i Sadyba oraz Mokotów. Bliżej parku Skaryszewskiego stało już całkiem sporo domów, ale dalej ulica była zabudowana coraz słabiej.

– To przy Francuskiej?

– Nie, dalej, do Zwycięzców i Saskiej proszę! – odpowiedział Strasburger.

– Tam coś się buduje?

– Tak, i wychodzi na to, że tylko po to, by się budować – wyjaśnił aspirant. Jest tu bandycka melina, mamy podejrzenia, że kryje tajemnicę, być może straszną tajemnicę.

– Morderstwo?

– Zbrodnia lub uprowadzenie, a może jedno i drugie. Pani zwolni, panno Aleksandro. To tutaj.

– Strasburger wskazał na budującą się ogromną willę.

– Czyj to dom? To ktoś z towarzystwa?

– Tak można powiedzieć. Zyga, wysiadamy! – rzucił w kierunku tylnego siedzenia Strasburger.

Spocony ze strachu i wymęczony szaloną jazdą przodownik z ulgą wygramolił się na zewnątrz.

– Musimy się śpieszyć, zmrok szybko zapada – powiedział, jakby dodając sobie otuchy po sensacjach, jakich dostarczyła mu jazda z panną Aleksandrą.

– A ja? – zapytała panna Fuks.

– Pani niech zaczeka w aucie. Najlepiej niech kluczyki będą w stacyjce, to wszystko, co tu się dzieje, może być niebezpieczne. – Strasburger stojąc obok auta, ścisnął jej dłoń leżącą na kierownicy.

– Oczywiście, panie inspektorze, oczywiście. – I znów ten czarujący uśmiech.

Strasburger nie prostował, że jest tylko aspirantem, za to elegancko uchylił kapelusza i machnął ręką na Stolarczyka. Ruszyli.

Gdy już byli daleko od auta i panny Fuks, Stolarczyk dał Strasburgerowi sójkę w bok.

– Fajowa ta panna Fuks, co nie?

– Fajowa, tylko szkoda, że nie jestem naczelnikiem policji albo przynajmniej inspektorem.

Z niższą szarżą nie mam szans.

Zaśmiali się, po czym spoważnieli.

– Może nie być do śmiechu, cholera wie, co tam zastaniemy – burknął Stolarczyk.

– Boję się o nią – odezwał się po chwili milczenia Strasburger.

– Da radę, klawa i szybka babka, auto stoi tak, że nikt jej nie zaskoczy, a jeździ jak szatan. Lepiej sprawdź broń!

– Szkoda, że nie możemy sprawdzić latarek. Nie wziąłem swojej, a w środku jest ciemno.

– Ja też, przecież wychodziliśmy tylko zapalić, przewietrzyć się i pogadać z chłopakami.

Sprawdzili broń i weszli na teren działki, minęli baraczek, doszli do budynku. Wejście było zamknięte prowizorycznymi drzwiami z potężną sztabą.

- Nie da rady – szybko oszacował Stolarczyk.
- Szukajmy słabego punktu – zarządził Strasburger.

Obeszli dom od tyłu, tam było okno, wysokie, niezabite deskami. Szybko poradzili sobie, podstawiając skrzynię. Wdrapali się do środka. Ściemniało się, a do tego pozostałe okna i drzwi były pozabijane deskami, ale zauważyli schody.

- Ja w górę, ty w dół – szepnął Strasburger.

Stolarczyk zaczął powoli schodzić. Schował browninga do kieszeni i zapalił zapałkę. Dotarł do sutereny, obszedł puste pomieszczenia. Przez jedno z drzwi wyszedł na kolejną klatkę schodową, schody prowadziły w dół. Było ciśniej i ciemniej, jak tak dalej pójdzie, to zużyje wszystkie zapałki. Na szczęście wyglądało na to, że niżej już nic nie ma. Ruszył ciasnym korytarzem.

Nagle usłyszał jakiś szmer. Odwrócił się, z mroku wyłoniła się potężna postać.

- To ty, hincie?! – zawołał olbrzym. – Stolarczyk niedorostek? Szybki cwaniak? *Wigejtz*[45]?

– Zaśmiał się upiornie. – Ha, ha, ha, ha, zatańczymy, oj, zatańczymy, ty zapaśniku. Ciebie z małpami w cyrku stawać, a nie w zapasach, co za przybłęda, co za zaszany pies nazwał się Sztekkerem?!

Typ go znał, a co najgorsze, i on znał typa. I to na tyle dobrze, że po plecach popłynęła mu strużka potu. Wielu już kładł na łopatki. Rach-ciach i po krzyku. Zbiry, co go znały, nawet nie próbowały startować, ci, którzy o nim słyszeli, także. Ale przyszła kryśka na matyska. Nie będzie łatwo. Olbrzym nazywał się Szmul Asz i był kiedyś zawodowym zapaśnikiem. Szybko zszedł z areny w cyrku na Okólniku, ale fakt, że w ogóle tam trafił, mówił o nim sporo. Mistrzem nie był, ale swoje potrafił, a do tego był silny jak tur. Bez dwóch zdań Szmul Asz był najlepszym zapaśnikiem wśród warszawskich bandytów.

- Won mi z drogi – sapnął olbrzym i ruszył w kierunku policjanta.

Zyga może by i nawiał, ale nie było jak, a poza tym Szmulowi nie o to chodziło. Droga kończyła się ślepo, Stolarczyk cofał się wąskim korytarzem, na którego końcu była ściana.

- Ścisnę cię tak, że aż się zesrasz – dyszał Asz. – Zesrasz się krwią, psie.

Tak mogło być. Tak będzie. Tak już powinno być, ale wyraźnie olbrzym sycił się tą sytuacją.

– A może już się zesrałeś ze strachu? – wrzasnął głosem, który mógł konkurować z dzwonem w niejednym kościele.

– Chcę cię tylko przesłuchać! – krzyknął Stolarczyk. – Nie zamierzam cię wsadzać, nie mam za co! – Kłamał i sam nie wierzył, że bandyta nabierze się na te słowa.

Zabrzmiało to na tyle mało przekonująco, że Szmul Asz zaniósł się śmiechem.

- Ty? Mnie? Coś ci się pokręciło, ty głupi pies?!

- Daję ci szansę, zatrzymaj się i pójdź ze mną do Urzędu...

– Ja już teraz ci mogę powiedzieć to, co ty chcesz wiedzieć, to nie ja zarżnąłem ten pies, co zabił naszą dziwkę! Ale bardzo chciałem, uj, jak ja chciałem! Ja tylko zatłukłem tych dziadów z Krochmalnej, było miło, ale to nie to samo, co zatłuc psa. Nic straconego, przybyłeś ty, hincie, *harcin dank* za twoja tu obecność!

Asz, mówiąc to, pokręcił głową, jakby próbował rozruszać swój potężny kark. Z ust zniknął uśmiech, a pojawił się grymas. Olbrzym splunął i wyciągnął swe potężne łapska, a nogi przyśpieszyły kroku. To już, za chwilę, teraz!

Rozległ się huk. Olbrzym przystanął, jakby się zawahał. Jego spojrzenie wyrażało bezgraniczne zdumienie.

Szmul Asz nie czuł rąk ani nóg, nie był w stanie zrobić pół kroku, nie mógł wyciągnąć rąk, by złapać policjanta i zacząć go miażdżyć. A chciał go złapać za głowę i spróbować zrobić to, co udawało mu się z arbusami. Ścisnąć, tak by trzasnęło i wyprysła różowa masa. Dopadła go jednak niemoc, którą poprzedził

huk. Głina też był zdziwiony, a do tego ten dymek idący z płaszcza... Przepalił go sobie papierosem głupi pies, czy jak?

Asz zwał się z hukiem na ziemię, a z twarzy Zygi Stolarczyka zniknęło przerażenie pomieszane ze zdziwieniem. Na obliczu przodownika pojawiła się za to ulga.

– Ożeż ty kurwa jego mać – jęknął. – Faktycznie o mało nie zesrałem się ze strachu.

Po chwili rozległ się tupot nóg i do wąskiego korytarzyka, w którym przed chwilą rozegrał się dramat, wbiegł Kornel Strasburger.

– Zyga! – krzyknął aspirant. – Zyga, kurna jego olek, mieliśmy go przesłuchać!!!

Strasburger podszedł do przodownika, ale zamiast dalej wyrzekać po prostu pokręcił głową i wziął starego śledczego w ramiona.

– Zyga, on mógł cię rozerwać na strzępy!

Stolarczyk spojrzął na przełożonego z wyrzutem.

– Trochę więcej wiary w starego glinę, szefie. Fakt, mógł rozerwać, ale skończyło się troszkie inaczej. Tak czy owak szkoda przesłuchania, ale on wiedział, że nawet jeśli się zerwie ze stryczka, to i tak do końca życia pomieszkałby na Świętym Krzyżu.

Strasburger pokiwał głową.

– Wiedział, oj, wiedział.

– Dlatego było mu ganz egal, i tak miał zapisane niekończące się gnucie w pierdłu albo ekspresowe rendez-vous z mistrzuniem Maciejowskim, co nie? – Zaśmiał się ponuro. – Palisz?

– Stolarczyk wyjął z kieszeni zmiętą paczkę.

– Palę.

Stolarczyk przypalił papierosa i poczęstował kolegę.

– W co go trafiłeś? – zapytał Strasburger – W to, czego nie ma – zaśmiał się Stolarczyk. – Zaraz zobaczysz!

Stary śledczy zaciągnął się i jakby nabrał wigoru, bo szybko pochylił się nad olbrzymem Aszem i zaczął go obracać na plecy.

– Pomóż mi – powiedział półgębkiem, bo w ustach miał papierosa.

– Ciężki skurwysyn – zasapał Strasburger. – O ile nie obrażam mamusi.

– Niekoniecznie. Synem kurwy był i znały go ulice – zaśpiewał przodownik, bawiąc się tekstem piosenki z przedmieścia.

– W jaja go trafiłeś, panie śpiewak?

– Nie! – sapnął Stolarczyk. – Jeeest, o, zobacz!

W końcu olbrzym obrócony został na plecy.

– Trafiłeś go w łeb, a łeb ma jak sklep! – zawołał Kornel Strasburger.

– Ale jak pusty sklep, bo w tym łbie nie ma mózgu! – odparował Zygmunt.

– Zyga, wyfasowałeś mu kulę po mistrzowsku, między ślepie!

– Tak wyszło, mój drogi Kornisiu, tak wyszło.

Prawie dwumetrowy zwalisty bandzior leżał na plecach z tępym wyrazem twarzy, na której dokładnie między oczyma widniała krwawa plama.

– Nie gadaj, wyłączyłeś go z kontaktu jak nocną lampkę!

– Sam wiesz, że nie poszło tak, jak trzeba. Miał zeznawać. Załatwił glinę ze Starego Miasta, a i w paru innych sprawach był mocno podejrzany. Chciałem, ale zaskoczył mnie. Po pierwsze, nie po niego

przyszliśmy, po drugie... – Przodownik zaciął się, kolejne słowa nie chciały mu przejść przez gardło.

– Co po drugie, no, gadaj, Zyga, co po drugie! – gorączkował się Strasburger.

– Po drugie to się przestraszyłem. Wiesz, że nie pękam, że łapię ich jak frajerów gołymi rękoma, ale jak go zobaczyłem, to aż mi pot wystąpił. Wszędzie, na całym ciele. O mało się nie zesrałem, bo wiem, jaki to mocz. Bałem się robić gwałtowne ruchy, bo bydlak szybki, cholernie szybki. Pistolet miałem w kieszeni, schowałem, żeby sobie rozjaśnić ten bałagan zapalnikami, i wiedziałem, że nie zdążę go wyszarpnąć, więc wypaliłem przez kieszeń, o zobacz! – Stolarczyk zaprezentował dziurę w płaszczu. – Trzeba będzie przenicować albo załatać. Palilem tak, żeby trafić i skończyć. Wysoki, więc ustawiłem spluwę prawie pionowo. Wyszło, jak wyszło, ale mózdzek ma mały, a kula poszła z dołu. Myślałem, że nie trafiłem jak trzeba, patrzyłem na niego jak zamurowany, a on na mnie, ale po dwóch sekundach zwałił się na ziemię. To tyle. – Stolarczyk zakończył opowieść i zaciągnął się dymem. – A teraz idziemy zadzwonić po pomoc. Niech tu przyślą patrolę i zawłoką to ścierwo na Oczki. Tak zakończyła się kariera najlepszego zapaśnika wśród warszawskich bandytów, to znaczy najlepszego spośród tych, których ktokolwiek widział.

– Przepraszam, Zyga, po prostu liczyłem na świadka, ale zdrowie ważniejsze. Nie wiem, co bym zrobił na twoim miejscu, może po prostu dałbym się zabić, w końcu to słynny Goliat...

– Co?

– No mówię, że załatwiłeś Goliata, nigdy nie widziałem tego bandziora, ale słyszałem, że jest wielki, nie miałem jednak pojęcia, że aż tak! – Strasburger kręcił głową, obchodząc trupa.

– Ledwośmy go obrócili na plecy!

– Ale to nie Goliat, Goliat jest od niego większy.

– Gadasz! Poza tym powiedziałeś, że zabiłeś najlepszego zapaśnika...

– Tak jest! Najlepszego poza Goliatem, ten to była insza inszość.

– Nie wierzę!

– To uwierz! – zaśmiał się Stolarczyk, ale natychmiast mina mu zrzęda.

Nim Kornel Strasburger zrozumiał, co się dzieje, usłyszeli potworny ryk. Ciasnym korytarzykiem waliła na nich postać tak wielka, że wypełniała jego wnętrze od podłogi do sufitu. Gdyby olbrzym się nie pochylił, to rozbiłby sobie głowę o sklepienie. To coś było niemal tak wielkie jak goryl, którego aspirant widział kiedyś w zoologu. Poczuł uderzenie, zapadła ciemność.

Policjanci weszli do budynku parę minut temu. Był październik, więc nie tylko temperatura gwałtownie się obniżała, ale i ciemność zapadała błyskawicznie. Aleksandra Fuks wysiadła z samochodu i zaczęła się nerwowo przechadzać. Nie była bojaźliwą panną, raczej niecierpliwą. Poza tym zaczęło jej być zimno. Sięgnęła do schowka na rękawiczki, tam papa trzymał zawsze papierosy. Wołała damskie, ale niech tam... Wyciągnęła papierosa z pudełka i zapaliła.

Przynajmniej coś robi, w życiu najbardziej bała się nudy. Nuda, nuda, nuda... Precz z nudą! Działanie, nauka, praca, przygody. Gdyby nie automobile, gdyby nie kurs pilotażu, który miała rozpocząć, zanudziłaby się na śmierć. Oficerowie zbyt mało skomplikowani, literaci mało męscy, baletmistrze... zapomnij! Bankierzy, prawnicy... To już lepiej jakiś przystojny pastor albo rabin! Ale jak się dziadek przechrzczył w katolickim kościele, to raczej nic z tego nie wyjdzie, zaśmiała się w duchu. Aktorów nie lubiła, za dużo grali, koledzy ze Szkoły Sztuk Pięknych niezyciowi. Ten policjant, młodszy z tej dwójki, wydawał się dość interesujący. Miał rewolwer, był pewny siebie, nawet wygadany, tylko że leciało od niego trochę alkoholem, ale w końcu czym się pachnie po nocy w Oazie i IPS-ie zakończonej wizytą w apaszowskim szynku. To nie znaczy, że jest pijakiem, po prostu tak jak ona lubi się bawić! – znalazła szybko usprawiedliwienie. Aspirant Strasburger, ciekawe, jak ma na imię? Rozpierała ją energia i szukała prawdziwego życia oraz przygody, ach, żeby być taka jak Amelia Earhart. Kobieta lotnik, przeleciała Atlantyk, co prawda jako pasażer, ale była pierwsza i będzie pierwszą, która to zrobi za sterami. Tak powiedziała. A jak powiedziała, to dotrzyma słowa. Albo Tamara de Lempicka, kobieta wulkan,

automobilistka, muza, artystka. No i oczywiście Halina Konopacka. Tak, Konopacka! Sportsmenka, która przyniosła chwałę krajowi, poetka, kobieta podziwiana przez wszystkich, od robotników po skamandrytów. Szyk, siła, subtelność i mądrość.

Rozmyślenia przerwał huk wystrzału. Przeszył ją dreszcz. Poczwała strach, tym razem nie przed nudą, nie przed zjazdem na nartach Suchym Żlebem, nie jak na kładącej się na falach łódce czy pędzącym leśną drogą rowerze. Szybko się jednak otrząsnęła. Podbiegła do bagażnika i wyciągnęła łyżkę do zmiany opon. Zważyła ją w ręku. Ciężka, w sam raz. Ruszyła w kierunku budowy. Zaczęła się skradać, napięcie zmalało, teraz znów była sobą, Olą Fuks, nieustraszoną panną Fuks, która nie boi się pędzić na koniu, wspinać po górach, walić na łeb na szyję na nartach, autem czy żaglówką, odważną i skoncentrowaną. Była napięta, jakby pełnym gazem najeżdżała na wiraż przy Wodogrzmostach Mickiewicza: trzeba jechać tak szybko, by nie wypaść z gry, ale na tyle wolno, by nie wypaść z trasy i nie polecieć na dno siklawy. Koncentracja, uwaga, staranność. Usłyszała szmer. Przywarła do ściany domu. Zobaczyła, nie, to nie był cień, to była potężna sylwetka, prawdziwy kolos! Olbrzym biegł susami jak zwierzę, jak goryl, jak King Kong, jakiś potwór. Mocniej chwyciła łyżkę i podążyła za nim. Szła ostrożnie, trzymając dystans, bo choć uspokoiła bicie serca, to jednak i tak miała wrażenie, że potwór może usłyszeć, jak wali. Schodami w dół, dokąd docierało już tylko światło z małych okienek. Suterena? Piwnica? Nagle zobaczyła, że na końcu tego korytarzyka stoją Strasburger i Stolarczyk. Potwór wydał z siebie ryk i ruszył na policjantów. Zabije ich!

Śmiech na sali, że Kornisz wziął Asza za Goliata! Asz nie miał dwóch metrów wzrostu i nie ważył więcej niż sto dwadzieścia kilo. Goliat był z dziesięć centymetrów wyższy i trzydzieści kilogramów cięższy. Był prawdziwym potworem, który miał szansę zostać czempionem jak Pytłasiński, Cyganiewicz czy Sztekker. Ale nie został, bo nim stanął na arenie, popełnił zbrodnię. Nie odpokutował za nią, zszedł na zawsze do podziemia i nawet w przestępczym świecie nie został gwiazdą, nie śpiewano o nim jak o Felku Zdankiewiczu czy Krwawym Wiktorze, wiedzieli o nim tylko wtajemniczeni. Asz był przy Goliacie Fajgenblacie niegroźnym wypierdkiem. Już miał wyśmiać Strasburgera, gdy zaniemówił: na końcu korytarza zobaczył sylwetkę potwora. To mógł być tylko Goliat. Stolarczyk usłyszał ryk, góra mięsa zbliżała się do nich z przerażającą prędkością. Próbował zrobić jakiś ruch, ale było za późno, stojący przed nim aspirant poleciał jak słomiana kukła, impet dosięgnął i jego, pofrunął na ścianę, szczęściem nie przywalił o nią głową. Był pewien, że za chwilę Goliat przygniecie go i zadusi. Ten jednak potknął się o ciało swojego kompana i upadł tuż przed Stolarczykiem. Policjant szybko zebrał się w sobie i sięgnął do kieszeni. Rewolweru w niej nie było, musiał się wyślizgnąć, gdy upadał. Nie miał szans znaleźć broni, małe okienka dawały wątłe światło, a w powietrzu unosił się piwniczny kurz i pył. Zrobił to, czego nie uczą w zapaśniczych klubach, ale co potrafią robić ludzie zaprawieni w ulicznych bójkach, zrobił to, co zalecał na spotkaniu w Urzędzie Śledczym mistrz Pytłasiński. Z całej siły kopnął podnoszącego się z ziemi Goliata. Przysolił mu jak trzeba, innemu urwałoby łeb, a przynajmniej straciłby przytomność. Tymczasem Goliat jęknął i zaczął się dźwigać, Stolarczyk ponowił więc atak, ale tym razem gigantyczny bandyta był na to przygotowany. Odbił jego kopniaka swą potężną ręką i zrobił to z taką siłą, że policjant fiknął jak małpka. Przetoczył się do tyłu, ale on już nad nim stał. Co zrobić, próbować mu podciąć nogi, rzucić się do gardła i przegryźć żyły, wbić palce w oczy, a może złapać za jaja? Nagle usłyszał głuchy odgłos, Goliat zachwiał się, Stolarczyk rzucił się między jego nogi.

To, co zobaczyła, było przerażające, olbrzym przewrócił Strasburgera z takim impetem, że ten padł na ziemię jak nieżywy. Potwór potknął się i nie dosięgnął przodownika, ten... o Boże, czemu nie wyciągnął rewolweru? Policjant dał potężnego kopa, potwór jednak otrząsnął się i przy ponownej próbie zwałił go z nóg. Ruszyła naprzód i wymierzyła cios łyżką, chciała z całych sił uderzyć nią w łeb wielkości dyni. Celu trudno było chybić, ale popełniła błąd, po pierwsze, drgnęła, bo zobaczyła na ziemi nieboszczyka z raną na czole, a po drugie, zawadziła łyżką o sufit i uderzenie wytraciło impet. Olbrzym jęknął, ale nie padł, zamierzyła się po raz drugi. Usłyszała potężny ryk. Bandyta wykonał piruet, między jego nogami wisiał Stolarczyk, który z wściekłością psa wgryzał mu się w krocze. Olbrzym nie wiedział, czy zając się najpierw nią, czy policjantem, ból był większy niż strach przed kobietą trzymającą stalowe narzędzie, złapał napastnika rękoma za szyję. W tym momencie panna Fuks zadała kolejny cios, uderzyła bekhendem, ale nie

takim z kortu, lecz oburęcznym. Trafiła w brodę, usłyszała trzask, bandyta nie padł, ale puścił Stolarczyka i zrobił obrót, Aleksandra Fuks jak na korcie zmieniła pozycję, uderzyła z forhendu, tym razem w skroń. Po tym ciosie olbrzym padł, przygniatając Stolarczyka. Nie wiedziała, co robić, czy tłuc dalej potwora, czy zająć się nieprzytomnym Strasburgerem, czy też wyciągnąć Stolarczyka. Policjant jęczał: – Pomocy, bo się uduszę!

Pociągnęła gigantyczną nogę bandyty, Stolarczyk zastękał i spluwając, krzyknął.

– Oż kurtka na wacie, ale smród, on się chyba nigdy nie mył. A teraz odwróćmy go na brzuch.

Mocowali się, ale opadli z sił. Stolarczyk zaklął i zdjął pasek od spodni. Szybko skrępował nim nogi olbrzyma. W tym czasie panna Fuks była już przy Strasburgerze, uklękła przy nim. Oddychał!

Sen nie sen, co to jest? Powoli otwierał oczy. Kobieta, młoda, piękna...

– Panie inspektorze, panie policjancie!

Mówi do niego! Ależ tak, to...

– Panna Fuks?

– Tak, to ja. – Nagle pocałowała go w czoło. – Pan żyje, pan żyje, panie inspektorze!

– Jestem tylko aspirantem – zaśmiał się Strasburger – ale żyję i jestem w niebie.

– Ach, znowu przekreśliłam, nie mogę spamiętać waszych stopni, aspirant, przodownik, inspektor...

– Te, żartowniś, lepiej dawaj pasek-odezwał się przodownik.

– Co? – zdziwił się aspirant.

– Muszę skrępować Goliata, bo Asz to już chyba załatwiony na amen.

Strasburger podniósł się, stękając i jęcząc. Chciał ze względu na pannę Fuks uniknąć tych kompromitujących dźwięków, ale nie mógł. Był poobijany i miał wrażenie, że ma połamane żebra. Zdjął pasek i podał go Stolarczykowi.

– Poświęć zapalkami – komenderował przodownik – a pani niech w tym czasie poszuka naszych rewolwerów. Umie się panna obchodzić bronią?

Aleksandra Fuks prychnęła obrażona.

– Gdyby były zawody dla kobiet, to miałabym złoty medal!

Przodownik Zygmunt Stolarczyk skrępował bandytę i zbliżył się z odrazą do jego potężnej brodatej głowy.

– Dyszy, a więc żyje. Mamy świadka!

Wymówił to w złą godzinę, nagle Goliat drgnął, a następnie ryknął tak, że Zyga poczuł się jak w tunelu, w którym lokomotywa daje sygnał gwizdkiem. Gigantyczny bandzior szarpnął, zastękał i zrzucił ich z siebie. Zataczał się, ale wstał. Wyglądał jeszcze straszniej, ze złamaną szczęką, zakrwawiony, z oczyma płonącymi nienawiścią. Patrzył na nich, jakby się zastanawiał, od kogo zacząć. Ruszył, sapiąc, a oni cofali się wąskim korytarzem w kierunku ściany i miejsca, w którym leżał Asz.

– Kurwa – jęknął Zyga – brakuje mi już pomysłów.

– Lecimy na niego, a panna Ola za nami, może uda się go na chwilę zatrzymać.

– Szanse takie jak na loterii – bąknął Zyga.

– Ale są tacy, co wygrywają.

Spojrzeli na siebie.

– Na trzy – powiedział Zyga – Raz, dwa, trzy!

Ledwo ruszyli do przodu, rozległ się strzał, po nim kolejny. Goliat zachwiał się, ryknął i odwrócił. W tym momencie piwniczny korytarz wypełniło światło latarki, w jego tle majaczyły dwie postacie. Goliat ruszył w ich kierunku, ale zatrzymały go kolejne strzały. Trach, trach, trach, trach, trach, trach, trach!!! Po

nich nastąpiło kliknięcie. Ten, który strzelał, opróżnił magazynek, ale kule nie były mu już potrzebne, podziurawiony jak sito Goliat jęknął i zwałił się na ziemię, wznecając kurz.

– Kto to? – zawołał Strasburger.

– Jung i Rybski, panie aspirancie!

– Nasi wybawiciele! – krzyknął Zyga Stolarczyk. – Złoci chłopcy!

Zamiast rzucić się sobie w ramiona ruszyli do Goliata, bo nikt nie wierzył, że ten nie żyje, zresztą nawet nieżywy budził grozę, wszak już raz dzisiaj zmartwychwstał.

Goliata, a w zasadzie jego zwłoki, na wszelki wypadek skrupowali jak baleron, to samo zrobili z Aszem, który, jak się okazało, jeszcze żył.

– A więc nie trafiłem w jego mały mózdzek. – Zyga pokręcił głową z niezadowoleniem, po czym uśmiechnął się szeroko. – Dzięki temu, że odstawiłem fuszerkę, będziemy mieli świadka!

– Skąd się tu wzięliście? Skąd ta broń? – zapytał chłopaków Strasburger.

– Wpadliśmy do Urzędu Śledczego i składaliśmy pana prośbę dyżurnemu, wtedy jak raz wszedł pan nadkomisarz Słubica-Popielski, on szybko zarządził alarm, a wtedy my czmychnęliśmy na ulicę. Akurat jechała taryfa i kazaliśmy się wieźć na Saską Kępe – relacjonował Rybski. – Przyjechaliśmy tu przed resztą policji. Zobaczyliśmy dom w budowie i stojące przed nim auto, więc ruszyliśmy do środka, a dalej to wiadomo.

– Nic nie wiadomo! – wykrzyknął Zyga. – A broń?

– To browning taty – wyjaśnił Jung – a latarkę zawsze noszę przy sobie, byłem skautem.

– Latarka to rozumiem, ale co robił w twojej kieszeni browning?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Ja używam browninga, powiesz, że go podniosłeś z ziemi – zaordynował Zyga. – Sprawa jest jasna, nikt nie będzie dokładnie pistoletu badał.

– A jak sobie zażyczy tego sędzie śledczy? – spytał Jung.

– To go poprosimy, żeby tego nie robił.

Chłopcy w mig pojęli, co Stolarczyk miał na myśli.

– Co dalej? – zapytał Rybski.

– Tu są jakieś pomieszczenia, czuć jakimś podłym żarciem, nie jestem ekspertem od kuchni, ale pamiętam z wojska, że taki smród unosi się tam, gdzie gotuje się dla więcej niż dwóch osób, przeszukajmy dom!

Podchodzili do drzwi i próbowali je otwierać, niektóre były pozamykane, zza jednych dobiegł odgłos, jęk, a może raczej pisk. Myszy?

– Gdzie jest ta łyżka do opon? – krzyknął Stolarczyk.

Po chwili drzwi wyskoczyły z zawiasów, w nozdrza buchnął smród niemytych ciał i ekskrementów. W środku było z dziesięć młodych kobiet kulących się ze strachu.

Nieszczęsne, brudne, cuchnące dziewczyny słały się na nogach, ale na widok leżących na ziemi Asza i Goliata nagle odzyskały siły i z nieludzkim skowytom rzuciły się na potężnych bandytów. Kopały ich, próbowały paznokciami rozszarpać twarze, policjanci ledwie je odciągnęli.

– Trzeba dzwonić po pogotowie i do brygady obyczajowej – zarządził Strasburger.

– Brawo, tylko skąd zadzwonić? – zapytał Jung. – To nowa dzielnica, nie ma jeszcze komisariatu.

– Mieszkają tu przyjaciele papy, przy Katowickiej, dziesięć minut stąd, na pewno mają aparat.

– Świetnie. – Strasburger mocno chwycił ją za rękę. – Niech pani biegnie do auta, na wszelki wypadek niech pan Jung będzie obstawą. Proszę dzwonić pod numer dwieście siedemdziesiąt cztery – dwanaście

i poprosić o połączenie z panią aspirant Paleolog, to kierowniczką Brygady Sanitarno-Obyczajowej. Może być w urzędzie, bo to godziny jej pracy, wiele dzieje się wieczorem. Pamięta pani telefon?

– Tak, dwieście siedemdziesiąt cztery – dwanaście!

Panna Fuks znów pocałowała go w czoło i pobiegła wraz z Jungiem do auta. Szybko wskoczyła do środka, odpaliła silnik, włączyła światła i ruszyła, wzniecając pył. Strasburger wiedział, że jest bezpieczna: gdy była w aucie, to inni musieli się bać.

Auto minęło kępę drzew i zarośli. Gdy ujechało kilkadziesiąt metrów, z kryjówki wyszedł postawny mężczyzna. Splunął siarczyście, po czym wyjął z kieszeni browninga, przyjrzał mu się z uwagą i przemówił jak do człowieka: – Niestety, mój przyjacielu, to nie był czas dla nas. Nie dzisiaj.

Schował broń do kieszeni płaszcza i ruszył w kierunku rogu Zielenieckiej i Poniatowskiego, bo tam był najbliższy przystanek tramwajowy. Czekał go półgodzinny marsz, po drodze wszystko sobie przemyśli, o ile będzie jeszcze o czym myśleć.

ROZDZIAŁ IX

w którym mimo triumfu Kornel Strasburger czuje niedosyt, przy Łazienkowskiej pada tuzin goli, trzynasty dzień miesiąca, choć to nie piątek, daje o sobie znać, a na koniec każdy dostaje to, na co zasłużył.

Warszawa, czwartek 2 października 1930

To była wielka niewiadoma, ze środka dobiegły strzały, najpierw jeden, a później osiem. Przy czymś takim ktoś musiał paść, czy Asz i Goliat nie żyją obaj, czy też jeden z nich? W każdym razie to policja była górą, bo po strzelaninie z domu wyszedł śledczy, który zawsze kręcił się na miejscu zbrodni. Posłał po coś autem dziewczynę i chłopaka, na początku zdawało mu się, że po posiłki, ale gdy był przy Francuskiej, jechał już cały sznur policyjnych aut. Domyślił się, że nie o to chodziło. Tak szybko nie dojechaliby tu na wezwanie, przecież to była Saska Kępa, a więc prawdziwy warszawski koniec świata. Dopiero gdy był niedaleko Zielenieckiej i piłkarskiego boiska klubu Makabi, nadjechali ci, których pewnie wezwali. Jechały dwa auta osobowe, buda oraz karetka pogotowia. Ciekawe, ile trupów stamtąd wywiozą, w każdym razie trzeba być gotowym, gdyby przypadkiem okazało się, że któryś z nich przeżył.

Byli zbyt zmęczeni i poobijani, by wyciągnąć z piwnicy potężnych Asza i Goliata. Olbrzym zginął od ośmiu kul słuchacza szkoły policyjnej Tomasza Junga, a Asz był tylko nieprzytomny. Kula rozorała czoło, oszołomiła go i upuściła mnóstwo krwi, ale nie zabiła ani nawet nie uszkodziła czaszki.

– Takich łatwo nie zabijesz, zresztą czasem człowieka trudno zabić – powiedział Zyga. – Na wojnie różne rzeczy widziałem, ty pewnie też, no i w końcu kropnąłeś Krwawego Wiktora.

– Nie sam, do spółki z Denhelem.

Zapalili po papierosie i uśmiechnęli się do siebie. Strasburger wyczuł, że Stolarczykowi zebrało się na dłuższą gadkę. Zyga patrzył na przyjaciela, lustrował go i zbierał myśli, w końcu zaczął.

– W życiu na wyścigach nie wygrałeś, w żadnej loterii także, przy awansach pod górkę, z babkami zawsze jakieś qui pro quo i katastrofy, tylko w karty wygrywałeś, bo masz łeb jak sklep...

– Zaciągnął się papierosem. – Teraz jednak życie wynagrodziło ci te lata bez fartu, trafił ci się prawdziwy fuks!

– Co ty opowiadasz?

– Wiesz, jak ta babka na ciebie patrzyła? – zaśmiał się. – Ta panna Fuks to twój prawdziwy fart!

– Gadanie...

– Nie wiesz, boś był nieprzytomny!

– Po prostu bała się, że umrę, to zwyczajnie ludzkie.

– Może i ludzkie, ale na pewno nie patrzyła jak siostra na brata! Oj, trafiła ci się panienka, trafiła, wygrałeś ją jak los na loterii!

– Tobie też się trafiła – zachnął się Kornel Strasburger. – Gdyby nie ona, to Goliat zrobiłby z nas mokrą plamę!

– A czy ja mówię, że nie? – Wzruszył ramionami. – Ale z tej znajomości to skorzysta przede wszystkim moja Jadwisia i dzieciaki, a tu... – oblizał się lubieżnie – jak najbardziej ona sama! No, chyba że ci się nie podoba i zostawisz ją na lodzie!

– A dajże spokój, pewnie, że się podoba! Ale... no wiesz... rozumiesz...

- Wiesz, rozumiesz, wiesz, rozumiesz... – przodownik przedrzeźniał swojego przełożonego.
- Nie zacinaj się jak aspirant Kodymowski z fałszerskiego, tylko pomyśl z biglem! Masz jaja, co więcej, ona też je ma, więc szuka takiego gościa jak ty!
- Aleś się na mnie uwziął, stary...
- Nie uwziąłem, nie uwziąłem. Przyjmujemy zakład?
- Jaki zakład i o co?
- Że ją poderwiesz i to tak, że wiesz... – Stolarczyk mrugnął okiem – a wtedy ja jako wygrany będę twoim świadkiem na ślubie. No, ale nie chrzestnym, bo tu musi być ktoś z kasą i pozycją, co nie? To jak, stoi?
- Stoi – zaśmiał się Strasburger – stoi, ty stary wariacie. A co proponujesz, jak przegrasz?
- Czyś ty z byka spadł, jakie przegrasz? Przecież to ty przegrasz, bo tego chcesz!
- Akonto mogę ci postawić kolejkę! W końcu gdyby nie ty, to panna Aleksandra nie miałaby czego zbierać.

Stolarczyk klepnął Strasburgera po plecach.

- Oj, chłopaku, chłopaku, razem to zrobiliśmy, to ty przyjąłeś pierwsze uderzenie!
- I razem byśmy przegrali. Gdybyśmy mieli latarki elektryczne, to nie byłoby takich atrakcji.
- Nie byłoby! Ale Jung miał i latarkę, i pistolet!
- Wypaliliśmy, więc zejdźmy do Wicka, siedzi tam nad tymi potworami z łyżką do zmiany opon, gdyby nagle postanowili zmartwychwstać – powiedział aspirant i rzucił tłącego się papierosa na ziemię.

Nadkomisarz Słubica-Popielski nie mógł uwierzyć w informację, którą zastał w Urzędzie Śledczym. Posterunkowy ze Starego Miasta i słuchacz szkoły policyjnej z Ciepłej zgłosili, że na ulicy zaczepili ich Strasburger i Stolarczyk. Śledczy prosili o wsparcie, a sami pognali gdzieś na koniec ulicy Saskiej po drugiej stronie Wisły.

Kac wyparował z niego podczas jazdy na Saską Kępę, po drodze zastanawiał się, co się mogło tam wydarzyć. Nie daj Boże zrobili jakieś głupstwo, przecież to, co wiedział do tej pory, przyprawiało o grozę. Na miejscu zobaczył stojące przed domem auto, a przy nim Strasburgera i Stolarczyka. Przed domem siedziały brudne i sponiewierane dziewczyny, na widok zajeżdżających pojazdów policji inna, wcale czysta, młoda i atrakcyjna, dołączyła do śledczych.

– *Veni, Midi, vicil* – krzyknął na widok Słubicy-Popielskiego Strasburger, obejmując ramionami pannę Fuks i Zygę Stolarczyka.

– *Venimus, vidimus, Micimus*. – Zamiast się ucieszyć Słubica-Popielski złapał się za głowę, a Wolf krzyknął z niesmakiem: – Liczba mnoga, kolego Strasburger, liczba mnoga! – Nagle jednak opanował swoje belferskie zapędy i ryknął: – Co się właściwie stało? I kim jest ta pani?

– Aleksandra Fuks – przedstawiła się z gracją panna Fuks.

– Pani została uwolniona?

– Nie, ja panów tu przywiozłam!

– Jak to? – zdziwił się nadkomisarz i spojrzął na Strasburgera. – Opowiadaj pan!

Przyjazd kolumny policyjnej z nadkomisarzem Słubicą-Popielskim i aspirantem Wolfem oraz niemal tuzinem ludzi wsparcia wprawił Strasburgera w euforię. W końcu będzie mógł pójść do domu i zwalić się na łóżko, najpierw jednak musi sprzedać swojemu szefowi bajkę. Wawrzyniec Słubica-Popielski został już wtajemniczony w wiele szczegółów, ale lepiej, by nie znał całej prawdy. Aspirant opowiedział, jak było, pomijając kilka faktów, bez których jego zdaniem cała historia wyglądała zdecydowanie lepiej. Nie powiedział o cynku od Kurnatowskiego, nie wyjawiał, że młodzi policjanci śledzili dla nich sędziego i adwokata, wreszcie sprawę zastrzelenia Goliata scedował na Zygę Stolarczyka.

– Miał nabój w lufie? – zapytał, a raczej stwierdził fakt nadkomisarz. – Siedem kulek w magazynku i jedna w lufie. Dobrze, że nie zastrzelił Asza, będzie kogo postawić przed sądem! Najważniejsze, że uwolniono te nieszczęsne kobiety, gdy dojdą do siebie, obciążą tych drani.

– A więc *veni, vidi, vici!* – powtórzył Strasburger.

– No, rzecz jasna w liczbie mnogiej. – Nadkomisarz skrzywił się, po czym podszedł do całej trójki i wyściskał ją serdecznie. – *Venimus, vidimus, vicimus* - zagrzmiał tak, że słyszano go chyba na całej Saskiej Kępie.

Do grupy rozmawiających podeszli Jung i Rybski.

– To są ci młodzi ludzie, którzy wyświadczili nam nieocenione usługi – zaanonsował Strasburger. – Pan posterunkowy Wincenty Rybski i pan słuchacz, a już niedługo aspirant Tomasz Jung. To oni wszczęli alarm w urzędzie, a następnie pomknęli tu taksówką. Gdyby nie odwrócili wraz z panną Fuks uwagi bandziorów, to byłoby po nas!

Obaj wyprężyli się, choć Jung trochę komicznie, bo odruchowo chciał ukryć browning ojca, który miał w kieszeni marynarki.

– A czemu to właśnie panów poprosiliście o pomoc? – Mina nadkomisarza mówiła: „w takie przypadki to ja nie wierzę”.

– Spotkaliśmy ich przy okazji morderstw na Krochmalnej i Niskiej, obaj mówili wtedy, że ich marzeniem jest praca w służbie śledczej. Pan Jung przewidział zresztą rozwój wypadków – za raportował Zyga.

– Słucham? – Słubica-Popielski był zdziwiony.

– Pan Jung powiedział, że skoro jest Goliat, osobnik tyleż silny, ile pozbawiony sprytu, to musi być też Dawid, cwaniak i człowiek z pomysłem, taki spirytus... – Żydze zabrakło drugiego słowa.

-*Spiritus movens*, siła sprawcza! – Mówiąc po łacinie, Słubica-Popielski wyraźnie się odprężył.

– A więc panowie byliby zainteresowani pracą w naszych szeregach?

Obaj młodzieńcy skłonili głowy.

– A pani dokąd się wybiera? – zawołał nadkomisarz za oddalającą się od nich panną Fuks.

– Idę pomóc tym dziewczynom, kobiety nie będą się bały, widać, że po tym, co przeszły, nie mają zaufania do mężczyzn – odpowiedziała pana Ola. – Oczywiście do panów mają, boście załatwili ich oprawców, chodźcie ze mną, będą mieli panowie prawo odpocząć i sycić się sukcesem, dopiero gdy nadjedzie pogotowie i panie z brygady obyczajowej.

Buda Brygady Sanitarno-Obyczajowej, karetka pogotowia i dwa auta z panią aspirant Paleolog oraz jej podwładnymi nadjechały po kwadransie. Stanisława Paleolog i jej dziewczyny szybko ruszyły do porwanych, pomagały im dojść do siebie, wytypowały te, które potrzebowały najszybszej pomocy, rozpytywały, a przede wszystkim opatrywały i karmiły nieszczęsne istoty przetrzymywane w melinie na Saskiej Kępie.

– A teraz co? Teraz musimy się modlić, żeby dorożkarz spod aresztu i taksówkarz spod Lourse'a nam nie zaszkodzili. – Strasburger zmarkotniał.

– No i ich klienci, ma się rozumieć! – dodał Stolarczyk.

– Stryjka Śledzia biorę na siebie! – zapewniła panna Fuks.

– To dobrze, bo mecenas Herringto ciężki kaliber, a Bodo?

– Jaki Bodo? – zdziwiła się Aleksandra Fuks.

– Ten taksówkarz mówił, że czeka na Bodo! – wyjaśnił przodownik Stolarczyk.

– Oni pod Lourse'em zawsze tak mówią, czekają na lepszych klientów-zaśmiała się Fuksówna.

– A nie na takich obszarpańców jak my – także z uśmiechem dokończył Strasburger.

– Ale panie... A jak pan ma właściwie na imię? – zapytała.

– Kornel – Bardzo ładnie, bardzo stylowo, nietuzinkowo, oryginalnie. I ładnie się pan uśmiecha... Stolarczyk stojący poza zasięgiem wzroku panny Fuks puścił porozumiewawczo oko do Strasburgera i wyciągnął w górę kciuk.

Wracali do miasta razem z Jungiem i Rybskim. Wiozła ich eleganckim autem ojca panna Fuks. Mecenasówna wysadziła policyjne towarzystwo na rogu Marszałkowskiej i Alej, więc po takich emocjach nie było niczym nadzwyczajnym, że cała czwórka pogadała o tym, co się stało, Pod Setką. Ta swoista narada potrwiała pół godziny, po niej młodzież wróciła do domów, a Strasburger i Stolarczyk zostali jeszcze na jednego.

– Wódka to największy wróg człowieka – skrzywił się Strasburger. – Miał być jeden, a jest już trzeci.

– Więc co proponujesz? – zapytał zaniepokojony Stolarczyk. – Kończymy?

– Ależ skąd! – Strasburger nalał kolejkę. – Nie wiesz, co mówi Pismo Święte? – Przodownik spojrzął na komisarza wielkimi oczyma. – A więc Pismo nakazuje miłować swoich nieprzyjaciół. *Sursum corda, Sigismundzie, sursum corda*

- Z tobą to zawsze jest humorek i piękna zabawa, żeby tylko ta mecenasówna tego nie popsowała. Przywłaszczysz cię ta mała spryciara i stary Zyga będzie pił do lustra!

Wypili szybko po kolejce, po czym Zyga stwierdził filozoficznie: – Życzę ci tego, mój złociutki, tylko wódeczki żal, boja naprawdę nie potrafię pić do lustra! Kornel Strasburger rozłożył ręce.

– Mówi się trudno, mój drogi, Jadwiga się ucieszy, jak będziesz wracał o czasie do domu!

Warszawa, piątek 3 października 1930

Jeszcze wieczorem ustalili, że nie będą niszczyć sędziego Jakowicza. Zyga długo stawiał się przełożonym, ale w końcu przekonał go głos nadkomisarza.

– Po pierwsze, szanowny panie, ja nie wnिकam, jak zdobyliście informacje o panu Jakowiczu, a gdyby sprawa się rozlała, ktoś mógłby zupełnie niepotrzebnie zrobić się dociekliwy. Po drugie, niech pan pomyśli o przyszłości. Ja swoją łączę z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, a panowie nadal ze służbą śledczą, a zatem pytam się, na co panom sędzia Jakowicz? Niech go awansują, przy okazji zdejmując z funkcji sędziego apelacyjnego, i usadzą z daleka od was, czyli w Ministerstwie Sprawiedliwości, niech tam przerzuca papiery po pięknym blacie biurka, niech się tam hibernuje, niech zwolni stanowisko w Sądzie Apelacyjnym dla sędziego Czechowicza.

Zyga pokręcił głową.

– Masz pan łeb jak sklep, panie nadkomisarzu, z pana jest wielki polityk – powiedział, żydłacząc jak kupiec z Nalewek.

Wawrzyniec Słubica-Popielski kupił to, bo rozłożył ręce niczym sprzedawca witający w progach swego sklepu i powiedział z uśmiechem: *-Beatus, qui prodest, quibus potest* – po czym dodał: – To oczywiście, proszę panów, oznacza: szczęśliwy jest ten, który pomaga, komu może!

Dobry nastrój ich nie opuszczał, ale nagle nadkomisarz zmarszczył brwi. Była jeszcze jedna rzecz do zrobienia, bez której ich sprawy nie pójdą, jak należy.

Od rana w redakcji „Expressu Warszawskiego” wrzało. Naczelny Józef Dobosz był zły jak osa, oberwał niemal każdy, a najbardziej ci, którzy zwykle wiedzieli najwięcej. Dostało się Zulusowi i Januszowi, a nawet Rysiowi, ale najmocniej zebrał on, Edward Giez.

– Reporter śledczy! – darł się Dobosz. – Detektyw za dychę, a nie reporter śledczy! Taki z pana śledczy, jak z koziej dupy trąba! – grzmiał naczelny.

Na te wrzaski weszła do redakcji Alicja Pohulanka. Zwykle jej pojawienie się było jak grecka *ekechejria*^[46], jak wylanie oliwy na wzburzone fale. Ale nie tym razem, tego dnia wejście Królowej

Warszawskiego Salonu było jak dolanie oliwy do ognia.

– A pani co? Co?! – ryknął Dobosz. – Przyszła pani pachnieć i prezentować paryski szyk? Co to jest, Dom Mody Hersego czy redakcja?! Tu się pracuje, do cholery!

– Ale... – zaczęła Alicja Pohulanka, wciąż jeszcze mając na ustach czarujący uśmiech.

– Żadnego ale! Żadnego ale, żadnego, żadnego, żadnego!!! Jesteśmy dziś pośmiewiskiem! Po-śmie-wiskiem!!! – wykrzyczał Józef Dobosz.

– Przecież nikt nic nie wie... – zaczął nieśmiało Giez.

– Nikt nic nie wie, nikt nic nie wie – Dobosz przedrzeźniał Gza. – Tak, cholera jasna, nikt nic nie wie, a najmniej z tych, co nic nie wiedzą, wiemy my!

– Daliśmy notkę o tajemniczej akcji policji na Saskiej Kępie. – Na twarz Alicji Pohulanki wrócił czarujący, uwodzicielski wręcz uśmiech.

– A gówno daliśmy, nie notatkę! – zawył tak, że słycać go chyba było nie tylko w całym Domu Prasy, ale i w drukarni, a może nawet w barze Pod Dwójką oraz po drugiej stronie placu Unii Lubelskiej. – Proszę, proszę – syczał, podtykając Królowej Warszawskiego Salonu gazetę niemal pod nos. – Niech się pani nie fatyguje, bo znam tę notatkę na pamięć! „Jak dowiedzieliśmy się ze źródeł policyjnych, na Saskiej Kępie doszło do zlikwidowania złodziejskiej meliny. Zatrzymano wiele osób, padli ranni i zabici”.

Dobosz chodził w kółko, tłukąc złożoną gazetą w biurka i oparcia krzesel.

– Niech pani zadzwoni do tego kochasia, z którym pani robiła wywiad, i niech on mówi, co wie! My musimy to podać, musimy!

– Po pierwsze, dzwoniłam i nawet sędzia śledczy do spraw nadzwyczajnych nie wie, co się stało. – Pohulanka gniewnie tupnęła nogą. – A po drugie, po drugie, ale dla mnie ważniejsze, to niech pan z łaski swojej waży słowa i nie mówi o panu sędzim Jakowiczu per kochaś, bo obraża pan nie tylko osobę urzędową, ale także mnie i mojego narzeczonego pana Konrada Lehra! W karnawale bierzemy ślub i mam w nosie pracę w takich warunkach! Zamierałam złożyć wymówienie z etatu na koniec roku, ale chciałam z redakcją współpracować. Chciałam, ale już mi przeszło, bo nie będę dłużej znosić takich impertynencji! Odchodzę dzisiaj i niech pan będzie pewny, że „Kino” przyjmie mnie z pocałowaniem ręki! Tuż po ślubie wyjeżdżamy z inżynierem Lehrem w podróż poślubną do Ameryki, a tam odwiedzę studia filmowe i mam już umówione spotkania z gwiazdami! Oto, co pan stracił, panie... – Alicja Pohulanka szukała odpowiedniego słowa, ale zamiast użyć obraźliwego epitetu rzuciła porcelanową filiżanką o podłogę. Ta rozłukła się na tysiąc kawałków, a panna Pohulanka obróciła się na pięcie i wyszła. W drzwiach zatrzymała się i rzuciła na pożegnanie: – Au revoir, panie naczelny wieprzu!

Józef Dobosz stał jak wryty, ale o wiele gorzej czuł się Edward Giez. To, co wydarzyło się kilka dni temu, może i było rozczarowujące, ale przecież jakoś doszliby pewnie do tego, że ich spotkania stałyby się bardziej udane. Nie wiedział, jak to wyrazić, ale czuł się pozbawiony zdobyczy, jego męska duma została zraniona, poczuł się jak zabawka. Musiał przysiąść, poczuł lekki zawrót w głowie, jakby miał gripę. Myślał, że jest kimś, że jest asem dziennikarstwa, ale na kogoś takiego jak ona jest za krótki, tu trzeba być inżynierem Konradem Lehrem! Inżynierem, prezesem, producentem, finansistą... Jednym słowem bogaczem i bywalcem.

– Co się pan tak rozsiadasz! – usłyszał głos naczelnego. – Baba z wozu, koniom lżej, do roboty panowie, do roboty! Na jutro musimy to mieć! Musimy!

Zyga Stolarczyk ruszył dziarskim krokiem w kierunku placu Teatralnego, tam mógł złapać dziewiątkę, która jechała z Ulrychowa na plac Unii. Wchodząc na plac, zawahał się, a może lepiej pójść na plac Zamkowy i wsiąść do tramwaju jadącego z Pragi przez Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat? Osiemnastka czyjej połówka, czyli dziewiątka? Z kłopotu wybawił go widok autobusu linii A, który miał swój końcowy przystanek na placu Teatralnym. Zygmunt wsiadł, kupił bilet, rozsiadł się jak panisko, a po minucie pojazd ruszył. Pięknie, pomyślał, gdy autobus mknął przez plac Piłsudskiego, ale już na

Mazowieckiej mina mu lekko zrzędła, gdy autobus zwolnił, bo zrobiło się ciasno. Może lepiej było na stojaka, ale za to szybszym tramwajem? Pies to ganiał, byleby tylko dojechał na czas, a to nie było uzależnione tylko od tempa jazdy autobusu, ale i od zbiegu okoliczności. Raz szybciej, raz wolniej, czasem z klaksonem i gniewnymi pomrukami kierowcy, a raz spokojnie jechał autobus linii A warszawskimi ulicami. Na odcinku Mazowiecka – plac Trzech Krzyży się włókł, później na Nowogrodzkiej i Kruczej niemal stał, ale wjeżdżając w Mokotowską, pięknie finiszował. Minęło pół godziny i autobus wraz ze swoimi pasażerami osiągnął plac Zbawiciela, stąd przodownik Stolarczyk ruszył Marszałkowską na piechotę w kierunku placu Unii. Ale to nie plac będący jeszcze niedawno krańcem Warszawy i nie Dom Prasy były jego stacją końcową.

Opeer zebrany od szefa bolał i nie było to jedyne zmartwienie. Edward Giez czuł się podle. Miał kłopoty z apetytem, nie dokazywał ze Stellą, był jakiś zmarnowany. Po spotkaniu w redakcji miał pustkę w głowie, postanowił pobudzić organizm jakimś bodźcem, wyszedł więc z redakcji i zapalił papierosa. Zwykle dodawało mu to szwungu, ale tak naprawdę kiepeła pracowała dopiero po kawce i szczeniaku. Wszedł Pod Dwójkę, zamówił, co trzeba, i wypił, jak należy. Kropelki przyjęte, teraz trzeba czekać na pozytywne efekty. Nic z tego, zamiast miłych odczuć pot na skroniach i narastająca słabość. Co jest? – pomyślał. Nawet kawa, wódka i papierosy nie stawiają na nogi. Trzeba będzie pójść do doktora! Zaczął gramolić się od stolika. Wtedy zauważył, że stoi nad nim człowiek, którego wolałby nie spotkać.

Stolarczyk szybkim krokiem wszedł do baru Pod Dwójką, rozejrzał się i odetchnął z ulgą. Reporter Edward Giez siedział i ze skwaszoną miną popijał kawę. Pismak odstawił niedopitą filiżankę i chciał wstać, odwrócił się i wtedy ich spojrzenia się spotkały.

– Nic mi nie możecie zrobić – wycedził przez zaciśnięte, lekko sine usta.

Edward Giez był przyzwoicie ubrany, ale wyglądał jak sto nieszczęść. Stolarczyk przytrzymał go za ramię swoją silną dłońią zapaśnika i szybko przysiadł się obok.

– To miejsce jest wolne?

– Wolne, bo ja już wychodzę.

– To niedobrze – powiedział z troską Zyga. – Powinieneś pan zostać!

– Nic nie powinienem, nic nie muszę, może mi pan skoczyć!

– Oczywiście, że pan nic nie musisz, ale pan chcesz!

– Niczego nie chcę!

Giez próbował się szarpnąć.

– Nie rób pan scen, mnie przypała, a sobie wstydu... – Stolarczyk zaprezentował szeroki uśmiech. – Papieroska? Sporcika, żeby się czas nie dłużył, a może piwko?

O co chodzi temu glinie? – zastanawiał się Giez, ale jedyne, co mógł powiedzieć, odnosiło się do kufla złocistego napoju, który proponował mu Stolarczyk.

– Żadnego piwa.

– Może być bez piwa. – Twarz Stolarczyka nadal przypominała dobrotliwe słoneczko z dziecięcej malowanki.

– Wychodzę!

– A proszę bardzo, bardzo proszę – Stolarczyk uśmiechnął się jeszcze promiennie – wypieprzaj pan w podskokach, jeśli masz pan takie zasrane życzenie, ale wiedz pan, że dzisiaj to ja miałem mówić, a pan pytać, więc moja strata jest nieduża.

Giez, któremu Stolarczyk zwolnił nacisk na ramię, wstał i oszołomiony patrzył na policjanta.

– No, jeszcze pan nie poszedłeś? – zdziwił się Zyga. – Szkoda, bo ja właśnie sobie pomyślałem, że mógłbym się z tą sprawą zgłosić do kogoś innego. Innych nie znam, więc nie miałoby to osobistego charakteru, mógłbym nawet za to prosić o jakiś dobry pieniądz.

Edek Giez dalej stał jak osłupiały.

– No, co się pan tak gapisz, jakbym panu rodzinę harmonią zabił?

Reporter usiadł.

– Co jest grane?

– Nic wielkiego. Takie tam drobiazgi, wczoraj na Saskiej Kępie wydarzyło się coś, o czym jeszcze nikt nie wie... Coś tam w prasie napisali, ale tak naprawdę nic nie wiedzą, powiedziałbym wręcz, że wiedza prasy na ten temat jest nie tyle żadna, ile gówniana.

– Co takiego? – Giez wybałuszył oczy.

– Coś, o czym wszyscy słyszeli, ale nikt nie wie, co się tam naprawdę stało. Coś takiego, czegoś pan nie widział i nie zobaczysz, ale jak to opisziesz, to inni padną plackiem i znienawidzą cię, chłopaku, z zazdrości.

– Po co mi chcesz to pan opowiedzieć?

– Bo jak policja ponosi porażkę, to wie o tym całe miasto, ale jak poczciwi funkcjonariusze odniosą sukces, to wszyscy mają gęby zamknięte na kłódkę. Pies też człowiek, jeśli tak można powiedzieć, i chce zaznać troszkę sławy. Wiem, że to słabość, ale któż nie chce być sławny, pan też chyba tak masz. No i pieniądze pan lubisz, a szanowna dyrekcja „Expressu” powinna taką sensację, o jakiej panu opowiem, docenić.

Giez czuł się kompletnie zdezorientowany i jedyne, na co go było stać, to kiwnięcie głową.

– Czy to, co się stało na Saskiej Kępie, jest może związane ze sprawą Goliata? – zapytał z nadzieją w głosie.

– No dobra, widzę, że pan coś tam kapujesz. Ciężko, bo ciężko, ale kapujesz pan, co jest grane. No to teraz słuchaj pan...

Warszawa, sobota 4 października 1930

Tej soboty było więcej luzu niż zwykle. Zaczęło się od przyjemnej lektury „Expressu Warszawskiego”. Giez sprawnie opisał to, co mu przekazał Zyga.

PRZEMYT KOBIET UDAREMNIONY!

BYLI ZABICI I RANNI, OSŁAWIONY GOLIAT NIE ŻYJE!

Historia jak z filmu Szlakiem hańby, ale to się działo naprawdę! Na Saskiej Kępie policja rozbiła szajkę związaną z osławioną grupą bandycką Zvi Migdal.

Podczas pełnej poświęcenia akcji Brygady Specjalnej Goliat zabito bandyckie monstrum Jakuba Fajgenblata i aresztowano jednego z przywódców przestępczego podziemia stolicy Szmula Asza.

W tekście były peany na cześć bohaterstwa śledczych Strasburgera i Stolarczyka, młodych ochotników Junga i Rybskiego, intelektu nadkomisarza Słubicy-Popielskiego i staranności aspiranta Wolfa oraz niezwyklej odwagi pewnej młodej damy, która chciała zachować anonimowość.

Ta młoda dama miała nie tylko odwagę, ale i znajomości, to uratowało śledczych przed kilkoma problemami. Przede wszystkim załagodziła gniew mecenasa Hipolita Herringa, któremu uprowadzili spod aresztu dorożkę. Panna Ola mówiła przez telefon, że wujcio Hircio był zachwycony tą historią. Podobno mniej zachwycony był aktor Bodo, ale i do niego panna Ola dotarła z przeprosinami, a artysta gdy tylko się dowiedział, że policjanci, którzy niemal śmiertelnie przestraszyli czekającego nań szofera, rozwiązali sprawę Luksa, natychmiast wyłożył pieniądze na nowy uniform oraz zadośćuczynienie dla taksówkarza. Był też telefon od Mietka Fogla, znajomy śpiewak dowiedział się pantoflową pocztą artystów, że mordercę Huberta Luksa dosięgła sprawiedliwość, więc poinformował kolegę z podwórka, że ma abonament do Qui Pro Quo i to w pierwszych rzędach. Strasburger skorzysta z tego już w niedzielę, ale najpierw ma sobotnie popołudniowe spotkanie z nadkomisarzem. Wawrzyniec Słubica-Popielski zaprosił go do Lourse'a, a więc tym razem będzie elegancko. Lourse, wyprawa do Qui Pro Quo, na którą zgodziła się wybrać z nim panna

Aleksandra, wreszcie fatalny stan wyjściowego ubrania sprawiły, że aspirant wyskoczył na zakupy. Koniec z dziadowaniem, pora kupić nowy ancug. Zabrał się do sprawy w piątek. Ale nowy to nie zawsze znaczy dobry, wyda pieniądze na jakiś worek i co mu z tego przyjdzie? Arbiter elegancji z jego kamienicy Alfred Szczepański doradził mu z miejsca: – Jak masz tylko dzień, to jest na to patent. Śmigamy najpierw do jakiegoś sklepu, gdzie kupimy garnitur. Dobiorę ci co w miarę porządnego, ale rzecz jasna nie szalowego. Szalowe rzeczy to się kupuje za wielkie pieniądze u Hersego albo się szyje, ale na to drugie nie mamy czasu. Kupimy garnitur z bielskiej wełny, dobiorę ci taki w miarę możliwy, potem walimy na Nowolipie do Fiszela Goldringa, a po drodze zahaczymy o sklep Hirsza Gerstensanga przy Franciszkańskiej. Gerstensang ma przednie dodatki krawieckie, wynajdziemy tam jakieś klawe guziki, fabryczne bywają banalne i bez polotu. Normalnie to Goldring by ci wszystko uszył od a do z. Wzięłyby miarę, dobralibyśmy materiał, ale musimy się streszczać. Damy mu garnitur jak prostą piosenkę, a on może nie zrobi z niego szlagieru, ale na pewno walnie takie poprawki, że będziesz wyglądał jak z żurnala.

Strasburger poddał się woli Szczepańskiego i w parę godzin niemal worychtował nowy garnitur. Niemal, bo odebrał go dopiero w sobotę. Wyglądał znakomicie, a gdy już go miał na sobie, elegant z sąsiedztwa pomógł mu także dobrać buty i krawat.

- No, to teraz wyglądasz jak nowoczesny mężczyzna.
- A kapelusz?
- Kapelusz ci pożyczę, tylko nie pognieć albo w czymś nie utyłaj!
- Nie pogniotę, spokojna głowa, wróci cały i zdrowy.
- No, jak patrzę na twoją łepetynę, to nie bardzo w to wierzę – zaśmiał się Szczepański.

Fakt, twarz aspiranta z sińcem i zadrapaniami, pamiątką po czwartkowym starciu z Goliatem, była dość dosadną informacją, że kapelusz włożony na tę głowę niekoniecznie musi wrócić cało do właściciela.

Edward Giez przeszedł w ostatnich dniach prawdziwą huśtawkę nastrojów. Najpierw wykolegowany, a później zaspokojony przez Alicję Pohulanekę zdobył coś, co wydawało mu się nieosiągalne, po czym stracił to w błyskawicznym tempie. Zrealizował marzenie samca zdobywcy: choć rozkosz nie była rajską, to jednak posiadał kobietę, o której marzył. Chciał zakończyć układ ze Stellą. Dziewczyna dawała mu wprawdzie w łóżku wszystko, czego pragnął, on jednak wolał paradować po Nowym Świecie z kobietą, która była na liście marzeń wielu mężczyzn. Bo Alicja, Królowa Warszawskiego Salonu, była niczym aktorka lub piosenkarka, a zatem była zdobyczą cenniejszą niż auto, willa w modnej dzielnicy czy stanowisko dające władzę. Każde z tych trofeów stanowiło przede wszystkim dowód na posiadanie gotówki, ale taka kobieta jak Alicja to było coś więcej.

Nikt jednak o jego triumfie nie wiedział i się nie dowie. Jego sen był krótki, nie pochwalił się, nie obnosił, nie był obiektem zazdrości i komentarzy: ten to musi mieć w sobie coś, skoro zdobył taką kobietę. Pozostawało to jego tajemnicą, sekretem, wspomnieniem. Namacalnym dowodem jego niezwykłości i statusu, który osiągnął w ostatnich miesiącach, pozostawała pozycja w gazecie. Zbudował ją, utrzymał i wzmocnił. Brakowało mu jeszcze jakiejś kropki nad i, jakiegoś silnego akcentu, czegoś, co by uspokoiło i dało ukojenie. Zupełnie nie wiedział, co dalej, czego naprawdę oczekuje od życia, tak od zaraz potrzebował się lepiej czuć. Myślał o Stelli, którą przed tygodniem skreślił, pragnął jej, ale jednocześnie spotkanie z nią wydawało mu się teraz kapitulacją. Do tego w ogóle nie miał siły. Chyba go dopadła jakaś grypa czy inna cholera, a przecież niedługo sprawa alfons-pogromu wejdzie na wokandę. Trzeba się ogarnąć, odpocząć, nabrać energii. Teraz przecież będą konfitury, nie odda ich nikomu, nie spaprze sprawy, przecież to wszystko jest jego i tylko jego!

Kornel Strasburger wkroczył do kawiarni Lourse'a w nowym garniturze, nowych błyszczących butach i w pożyczonym kapeluszu. Poczul się w tym rynsztunku pewniej, a siły dodał mu dzisiejszy artykuł, szkoda, że nie był ze zdjęciem.

– Dzień dobry szanownemu panu – powitał go kierownik sali. – Niestety wszystkie miejsca są w tej chwili zajęte, jak to zwykle w sobotę o tej porze.

- Jestem umówiony z panem nadkomisarzem Słubicą-Popielskim, chyba siedzi przy stoliku w głębi sali.
- Kogo mam zaanonsować?
- Moje nazwisko Strasburger, aspirant Kornel Strasburger.
- Ależ oczywiście, panie aspirancie, pan pozwoli za mną! – Kierownik zgiął się w ukłonie. Chyba nie rozpoznał w nim skromnie ubranego petenta, który ostatnio bywał tu, by przysiąść się do stolika Ludwika Kurnatowskiego. – Proszę za mną, to zaszczyt, że panowie umówili się w naszym lokalu!
- Zdjęć nie było, ale ich nazwiska powtarzały się w artykule wystarczającą liczbę razy, by zostali zapamiętani.
- Zrobiło się o nas głośno – powitał go nadkomisarz.
- Tak miało być – odpowiedział aspirant. – W końcu dopięliśmy swego, panie podinspektorze in spe, choć żaden z nas nie miał do końca racji.
- *Benefacit, qui ex aliorum erroribus sibi exemplum sumit.*
- Dobrze robi, który błądzi... – Strasburger podjął się karkołomnej próby tłumaczenia.
- Dobrze czyni ten, kto uczy się na cudzych błędach, gdyby był pan uczniem, tobym powiedział: siadaj, pała.
- Ale ja już nie jestem uczniem, a pan już nie jest nauczycielem.
- Sporo się nauczyłem – uśmiechnął się kwaśno belfer.
- I ja też...
- A to ciekawe czego – zdziwił się Słubica-Popielski. – Jest pan pierwszorzędnym śledczym, do tego z silnym kręgosłupem moralnym, upartym, pewnym swych racji, dociekliwym. Nie sprzedał pan tanio skóry, musiałem pana kusić niemal jak Mefistofeles Fausta!
- A może po prostu potrafię się targować?
- Być może, ale ja dałem propozycję nie do odrzucenia i chodziło w niej nie tylko o pańskie profity. Wierzę, że decydowały też ambicja, chęć postawienia na swoim i... choć wyglądało to na uległość, dojdzie do prawdy.
- Pół na pół. Umie pan kusić i miał pan argumenty, panie nadkomisarzu.
- Panie aspirancie, a w sumie panie podkomisarzu Strasburger, bo to już tylko kwestia dni i tak powinienem do pana mówić, żeby się pan przyzwyczaił...
- Tak jest, panie podinspektorze! – przerwał mu Kornel Strasburger.
- Wolę, żeby mnie pan tytułował dyrektorem! – Słubica-Popielski najwyraźniej nie mógł się doczekać objęcia posady w ministerstwie.
- Wymienili uśmiechy.
- Nie za wcześnie na takie triumfy? Czy to nie jest dzielenie skóry na niedźwiedziu? – zapytał Strasburger, który wciąż był aspirantem.
- Żadnych obaw, otrzymałem dzisiaj kilka ważnych, pochwalnych telefonów. Idziemy w górę, panie Kornelu, idziemy w górę! Czeka pana awans, podwójny awans, stopień i funkcja, a do tego mieszkanie. Zasłużył pan na to nie tylko bohaterską końcówką tej sprawy, ale i całą dotychczasową służbą, a także lojalnością. Ujęło mnie, że pan walczył o Stolarczyka, żeby się stał pana sąsiadem z osiedla Szarych Domów.
- Aż takim łachmytą nie jestem, żeby zapomnieć o człowieku, któremu tyle zawdzięczam.
- Tego się domyślałem, więc miałem przygotowane dojeżdżenie do drugiego lokalu.
- Pięknie mnie pan ocenił, a ja pana podle. – Strasburger spojrzał w oczy Słubicy-Popielskiemu. – Sądziłem, że nie jest pan prawdziwym hintem... Mimo wszystko chciał pan tak to rozegrać, żeby ocalić

zespół, żeby też pozbyć się ciężaru, jakim była dla pana ta służba.

– Tak, musiałem się pozbyć ciężaru, ma pan, a raczej miał pan rację. Ja nie jestem gliną z krwi i kości, nie jestem hintem, ja jestem pedagogiem. Marzył mi się porządek, więc poszedłem do policji, najpierw go pilnować, a później coś mnie podkusiło, żeby pobawić się w śledczego. Wpadłem na trop sprawy ohydnej, którą zatuszowano, a mnie jak uczniaka owinięto wokół palca i dano eleganckiego kopa w siedzenie. Tak właśnie objąłem kierowniczą posadę na Kresach, a później trafiłem tutaj. To, co działo się w Poznaniu, wciąż nade mną ciąży, utrzymuję kontakt z kolegami, których obarczyłem ponurą wiedzą, ale wciąż są bezradni. Może gdy będę w ministerstwie...

– Co to za sprawa?

– Zbrodnia przeciwko dzieciom... Powiązania oplatają najwyższe kręgi towarzyskie w mieście.

– Mogę jakoś pomóc?

– Musiałby pan być jednym z nich i wyznać prawdę jak na spowiedzi.

Strasburger pokiwał głową.

– Ale pan nie rezygnuje?

– Nie rezygnowałem i nie rezygnuję z tego, by polska policja była bardziej cywilizowana i europejska. To misja, do której się nadaję, której oddam się skuteczniej niż łapaniu bandytów, ale z rozwiązania tamtej sprawy nie rezygnuję. Wykorzystam stanowisko do tego, by zbierać dowody i budować sieć mogącą pognębić tych ludzi. Na razie miałem tylko poszlaki, a teraz będę miał za sobą dowody i znajomości.

– Za pozwoleniem panie podinspektorze...

– O co chce pan zapytać?

– O nazwisko.

– Pan komisarz Edward Popielski ze Lwowa nie jest moim krewnym, a jeśli, to niemożliwie dalekim. My, Popielscy z Wielkopolski, mamy nazwisko poprzedzone herbem.

– No właśnie, o to się chciałem zapytać, Słubica...

Na pucułowatym obliczu przyszłego dyrektora Departamentu Kultury i Oświaty Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pojawił się uśmiech.

– Tak, to dość dziwaczne, wszędzie indziej nazywalibyśmy się Prus-Popielscy, bo jesteśmy herbu Prus właśnie. Ale rozumie pan, być Prusem w Wielkopolsce... Określalibyśmy się dla wielu jako Niemcy. To bzdura, bo Prusowie nie byli Niemcami, to niemieccy rycerze z zakonu krzyżackiego zmusili nas do tego, byśmy zaczęli służyć polskim królom, a ci na pamiątkę dali nam herb świadczący o naszym pochodzeniu. Słubica to inna, mniej popularna nazwa naszego herbu, ale los sprawił, że zostaliśmy na nią skazani.

Nadkomisarz upił z filiżanki łyk kawy i popatrzył badawczo na aspiranta.

– A o Fryderyka Wolfa pan nie zapyta, nie jest pan ciekawy, czy nie jest to mój dawny uczeń?

Strasburger drgnął i uśmiechnął się niepewnie, jakby był chłopakiem, który przyłapany przez belfra usiłuje zbagatelizować swoją wpadkę. Tak w istocie było, wydawało mu się, że ze swoim charakterem i pozycją szkolnego lizusa Wolf może być dawnym uczniem Słubicy-Popielskiego. Nadkomisarz odpowiedział dobrotliwym uśmiechem i powiedział: – To by było zbyt oczywiste, poznaliśmy się dopiero w Poznaniu, gdy pracowaliśmy przy tej feralnej sprawie. Wiedział dużo, więc także dostał bilet na Kresy.

Wydawało się, że to koniec miłej rozmowy, że rozejdą się do swoich obowiązków, ale Strasburger zadał pytanie: – Nie dokończy pan tej sprawy?

– Za kogo pan mnie ma? – zdumiał się Wawrzyniec Słubica-Popielski. – Przecież mówiłem panu, że dołożę wszelkich starań, by zrewanżować się za wygnanie z Poznania i ukarać te potwory.

– To wiem, panie nadkomisarzu, ale ja mam na myśli tę ostatnią.

– Chyba wszystko jasne. – Nadkomisarz po swojemu uniósł brwi. – Przecież to Asz i Goliat byli

sprawcami tych morderstw!

– Nie wszystkich!

– Oczywiście, że nie, opętany ksiądz zamordował Luksa i Czarnego Piotrusia, ale nie będziemy drążyć tej sprawy. Zabił i tyle. Już dość było telefonów z kurii, a nawet – Słubica-Popielski uniósł palec – z nuncjatury. Pewnie był kochankiem któregoś z nich, może zabił z zazdrości, a może dlatego, że Piotruś go szantażował, był przecież z tego znany. Zabił i już, nie będziemy się w to zagłębiać. Fordanserka przedawkowała, a wystraszony klient upozorował morderstwo, mamy go już pod kluczem, ekspertyza grafologiczna powinna potwierdzić jego udział w tym zdarzeniu. I to wszystko, koniec, co jeszcze?

Wawrzyniec Słubica-Popielski ze spokojem dopił kawę, po czym spojrzał na Kornela Strasburgera.

– A pan ma inne zdanie? – zapytał.

– Tak, mam inne zdanie.

– Niech pan znajdzie dowody, poza poszlakami, słabymi zresztą, że mordy na Kamiennych Schodkach, mógł się dopuścić ktoś inny, cała reszta jest dziełem tej bandy.

– Będę szukał – powiedział twardo Strasburger.

– Ja pana od tego nie odwiodę, ale sąd może panu pozostawić małe pole manewru.

– Nadkomisarz uśmiechnął się chłodno. – Dziękuję panu za rozmowę!

– To ja dziękuję, nie zgadzamy się, ale nie wystawia nas pan do wiatru.

– *Pada sunt servanda*, ja swoich zobowiązań dotrzymuję, może się pan już tytułować podkomisarzem!

Pożegnali się i Strasburger opuścił Lourse'a. Wychodząc, zobaczył, że przy swoim stoliku siedzi Ludwik Kurnatowski. Był w gronie żydowskiej delegacji, rozmawiali z ożywieniem. Były nadkomisarz pozdrowił go, aspirant odpowiedział tym samym. Czemu mu pomógł, czy zrobił to bezinteresownie, czego chce w zamian? Kornel Strasburger uważał, że ta sprawa jeszcze się nie skończyła i w każdej chwili może do niego wrócić. Nie uważał jej za zamkniętą, uwierało go, że będzie o niej myślał, być może nawet latami, i że to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich paru miesięcy, go niespodziewanie zaskoczy. To nie była miła perspektywa, postanowił o tym nie myśleć, wyprzeć to z umysłu i skupić się na innych wyzwaniach. Na jutro był umówiony w Qui Pro Quo z panną Olą. Kabaret, bilety w pierwszych rzędach, wieczór z młodą damą z wyższych sfer, a przy okazji spotkanie z kolegami Mietka Fogla, którzy chcieli mu podziękować za rozwiązanie sprawy Luksa. To stanowczo było poważniejszą sprawą od śledztwa, trema to uczucie gorsze niż niepewność.

Warszawa, niedziela 5 października 1930

Edward Giez dalej czuł się źle. Postanowił się przewietrzyć i wyszedł ze swojego mieszkania na Brackiej. Powłókł się na spacer w kierunku Alej Ujazdowskich, ale przy placu Trzech Krzyży miał już dość. Nie wiedział, co z sobą robić, nie miał ochoty pojechać do Stelli, palenie nie sprawiało mu przyjemności, bo bolało go gardło, nie miał apetytu. Cały ten pomysł ze spacerem był do kitu, zwłaszcza że zaczęło solidnie padać, więc obrócił się na pięcie i ruszył do domu. Wtem usłyszał wołanie: – Edek, to ty już ludzi nie poznajesz?

Spojrzał w kierunku, z którego płynął głos, i zobaczył reportera Piotra Zulskiego. Wypadło niezręcznie, chcąc nie chcąc, podszedł do Zulusa, który stał na przystanku tramwajowym. Właśnie podjechała dwójka, a Zulus niespodziewanie powiedział: – Łazisz jakoś bez sensu, choć na mecz, dziś derby, wpadnie i Janusz!

Faktycznie włóczył się bez sensu i nie miał żadnego pomysłu, więc dał się wciągnąć do tramwaju, który zjeżdżał Książęcą do Czerniakowskiej.

– Byłeś kiedyś na meczu futbolowym? Nie? To zobaczysz, jaki to ubaw, dziś może być i sześć tysięcy ludzi, bo Legia gra z Polonią, a derby to derby! Dawaj, będzie byczo, nie zmokniesz, bo trybuna prasowa jest pod dachem.

Giez słuchał go, bo było mu trochę wszystko jedno, niech tam, pojedzie, przesiedzi na świeżym powietrzu z godzinę czy dwie, ile tam trwa taki mecz, i wróci do domu, tak jak przyjechał, tramwajem. Tymczasem Piotr Zulski gadał bez przerwy.

– Ja to chodzę, jak tylko mogę, że u nas sporo zespołów, to i często są derby. – Edek nie wiedział, że Zulus jest takim miłośnikiem futbolu. – Bo nie ma to jak derby, na przykład wiosną był niezły ubaw! Na starym placu Legii był A-klasowy mecz Warszawianka II – Gwiazda. Było komicznie, bo Żydzi z Gwiazdy mieli nadzieję, że awansują z A-klasy i powtórzą tym samym sukcesy Jutrzenki z Krakowa i lwowskiej Hasmonei. Do tego zwolennikom i klubowiczom Warszawianki zawsze było bliżej do narodowców i Żydzi u nich nie grywali. Coś tak jak z Wisłą z Krakowa i poznańską Wartą. Nic dziwnego, że nastroje z miejsca były gorące, ale nikt nie przypuszczał, że będzie tak, jakby to grały dwie żydowskie drużyny. Bo wiesz, jak Żydzi grają między sobą, to zawsze jest ostro, każdy ich klub jest partyjny, więc na trybunach w try miga robią się wiece, publika się drze, a piłkarze koszą równo z trawą. Ale te siedem miesięcy temu to była szopka, jakiej jeszcze nie widziano. Zaczęło się od tego, że jak Luxenburg strzelił gola dla Warszawianki, to bramkarz Gwiazdy kopnął go z zemsty w siedzenie. Może Luxenburg coś mu powiedział, a może zwolennicy Gwiazdy go podpuścili? Nie wiadomo, na pewno Luxenburg nie pozostał dłużny i chciał wyrównać rachunki, ale nie udało mu się, bo dostał fangę od stopera i padł bez tchu na boisko. Wtedy ruszyła reszta graczy Warszawianki i zrobił się niezły tumult, który przeniósł się na widownię.

Ta piłka może być nawet ciekawa, pomyślał Giez.

– I co dalej? – zapytał. – Mordobicie?

– Nie, bo major Piasecki uruchomił hydrant i schłodził gorące głowy.

– Ale gdzie indziej to chyba jeszcze większa granda, Iwowiaki i ci ze Śląska podobno potrafią narozrabiać? – Giez jednak coś się tam na futbolu znał.

– U nas i na Śląsku lecą najlepsze wiąchy, ale w Krakowie lubią nawet uświetnić derby bijatyką, a w Łodzi przekłuwać piłki i grozić sędziemu. Ale chrzanić to, Warszawa zawsze była i będzie na widelcu.

I tak przejechali aż do rogu Czerniakowskiej z Łazienkowską. Zulus wspominał mecze, wymieniał graczy, pomyłki sędziów, piękne gole i kiksy. Giez zorientował się, że niemal cały tramwaj był wypełniony fanatykami futbolu.

Na stadionie było mnóstwo ludzi, robiło to wrażenie. Weszli na trybunę prasową, na której spotkali Janusza.

– Za kim jesteś? – zapytał Janusz.

– Ja za Polonią – dumnie odparł Zulus.

– A ja jestem kibicem zwycięskich drużyn – zaśmiał się Janusz, nie wyciągając z ust papierosa.

– Ja też kibicuję Polonii – powiedział Giez z rozpędu, bo w końcu to Zulski zabrał go na mecz – więc jest nas dwóch, a że Polonia wygra, to po meczu będzie nas trzech.

– U nas na Sielcach chłopaki mówią, że wygra Legia. – Tym razem Janusz sięgnął dwoma palcami po papierosa, bo ten był już tak krótki, że żar zdawał się dochodzić do warg. Wyrzucił i zdeptał niedopałek, po czym dokończył swą myśl. – Wojskowi wygrają, bo są najbliżzej Sielc i Czerniakowa, prosta sprawa. Powiśle też z nimi trzyma.

– Ale w czerwcu Polonia wygrała trzy do jednego, bezapelacyjnie i bez szemrania. – Zulus wyjął pudełko papierosów i poczęstował Janusza. – I tak będzie, mój drogi, także tym razem.

– Może będzie, a może nie.

– Tylko nie mów, że ci wsio ryba.

– Nie mówię, ale ty trząśłeś portkami, że Polska polegnie w Sztokholmie, a trafiliśmy Szwedów trzy do zera, więc naród się zainteresował i mimo lejącego deszczu mamy prawie komplet!

Publika ryknęła radośnie, bo na boisko wbiegły zespoły, Legia na biało-czarno, a Polonia na odwrót,

poinstruował Gza Janusz.

- Przecież wiem – obruszył się Giez. – Polonia to Czarne Koszule!
- O proszę, jaki fachowiec – zaśmiał się Janusz. – Prawie taki sam jak kolega Zulus.
- Co ci nie pasuje? – obruszył się Zulus.
- Nie pasuje mi, bo stawiasz na Polonię.
- A założysz się?
- Proszę bardzo, o piweczko, ale nie o jedno, ja bym się ze trzy napił!
- I ja też – dołączył Giez, w którym obudził się hazardzista.

Zaczął się mecz, zaraz po gwizdku, w pierwszej akcji Polonia wkopała piłkę pod bramkę Legii, a tam zawodnik w czarnej koszulce skierował ją głową do bramki!

- Brawo Pazurek, *allez, allez*, Polonia! – darł się Zulus, ściskając Gza. – Szykuj pieniądze!
- wykrzyczał do Janusza.

– Spokojna głowa, jeszcze osiemdziesiąt dziewięć minut, skoro w minutę można strzelić bramkę, to w całym meczu dziewięćdziesiąt. – Janusz robił dobrą minę do złej gry swojego zespołu.

Po pięciu minutach Zulus znów darł się wniebogłosey i nawet Gzowi udzielił się entuzjazm, zapomniał o złym samopoczuciu i zaczął skakać.

- No i co? – krzyczeli do Janusza. – Ogrodziński i już dwa do zera!
- I jeszcze osiemdziesiąt cztery minuty gry – odpowiedział z kamienną twarzą, żując zapałkę.

Po chwili triumfował: – I co, gamonie, po takim woleju jak ten Ciszewskiego widać, kto jest lepszy, już tylko jeden do dwóch.

Nie minął kwadrans, gdy podobnym uderzeniem piłki z powietrza popisał się polonista Malik. Zulus z Gzem rzucili się sobie w ramiona.

- My też ładujemy z woleja – triumfował Giez, który nie tylko poczuł się polonistą, ale cieszył się z nowo poznanego słowa.
- Spokojnie, nie ma jeszcze połowy meczu. – Januszewski był niezatapialny.

Kolejną bramkę strzeliła Legia i Janusz ze stoickim spokojem oświadczył: – To drugi gol Ciszewskiego, a jeszcze żadnego nie wbił Nawrot, ale jak się rozpędzi...

Janusz miał rację, jeszcze przed przerwą Nawrot trzy razy pokonał bramkarza Polonii i na przerwę Legia schodziła, prowadząc pięć do trzech.

- Ale to dopiero połowa meczu!-Giez przyjął strategię Janusza.
- Ale to była ta wasza lepsza połowa – zaśmiał się złowieszczco Janusz.

I nie mylił się, po przerwie Polonia trafiła do siatki rywala tylko raz, za to Nawrot strzelił swoją czwartą bramkę w meczu, a Przeździecki dołożył kolejne dwa gole. Wojskowi wygrali z Czarnymi Koszulami osiem cztery, co było dla Gza przykrą niespodzianką: pierwszy raz był na meczu, zaangażował się w doping i nawet założył się o trzy piwa. Co za kłapa!

– No i co? – triumfował Janusz – Czy to w ogóle warszawska drużyna? – prychnął Zulus. – Nie dość, że ją krakusy ze Iwowiakami gdzieś nie wiadomo gdzie założyli, to jeszcze ta ich cała ferajna dzień koleją i parę godzin wołami po metrykę musi dymać. Bramkarz Żukowski z Rumunii przez Żyrdów do Warszawy dojechał. On to by musiał po metrykę cały tydzień zaiwaniać.

- Co ty mi nie powiesz – zaśmiał się Janusz.
- A Cebulak, Martyna, Schaller, Nawrot i Ciszewski z Krakowa, tu biega prawdziwa galicyjska banda, bo są jeszcze Rajdek z Jasła, a Ziemian z Tarnowa!
- Co za pierdoły opowiadasz! – zaciechwierzył się Janusz. – Chyba nie znasz składu Polonii, zacznijmy

od bramki: Kisieliński urodził się w Ostrawie, a Polonia wyciągnęła go z policyjnego klubu w Katowicach. A Jurek Bułanow? Toż to Ruski rodem z Moskwy, którego Polonia podprowadziła nam parę lat temu, Seichter to krakus skaperowany z Wawelu, a ten brutal Ałaszewski[47] jest z miasta Łodzi i grał w ŁKS-ie. Podobno pięknie rysuje, więc modlę się, żeby się tym zajął na stałe, zanim połamię komuś nogi! A Malik? Malik to kolejny gracz ze Śląska, przed Polonią kopał w katowickiej Pogoni, a czy Pazurek to nie jest czasem krakus? Jeden brat gra w Garbarni, a drugi dla Wisły! Jak się chcesz licytować, to pierw zajrzyj swoim graczom w metryki, a poza tym jak się chce robić dobry futbol, to trzeba ściągać najlepszych z całej Polski. Legia tak robi i Polonia także! Powiedziałbym żegnam, ale wisicie mi piwo. Idziemy do źródelka na chmielowy nektar, panowie stawiają, a ja piję! – uśmiechnął się Janusz, przekładając przy tym zapalną z jednego kącika ust do drugiego. – A ty co robisz?

Giez zaczerwienił się ze wstydu. Faktycznie, co on robił, cholera, drapał się po kroku jak małpa. Czyżby majtki były źle wypłukane? Zarabia coraz więcej, powinno go być stać na siłę fachową, która w pewnym sensie będzie oznaczała oszczędności. Zdarzało mu się wyprać ubrania tak, że nadawały się tylko do wyrzucenia, a źle wypłukane skarpetki czy bielizna przesładowały go już nazbyt często.

Jeszcze raz, ale już tym razem dyskretniej podrapał się po kroczu, ale uczynił to niezgrabnie, aż go zabolalo. To wina tego zakichanego popołudnia. Był wściekły, musiał uznać wyższość tego sieleckiego cwaniaczka Janusza i jeszcze postawić mu piwo, do tego wymarzył i czuł, że jego pęcherz domaga się natychmiastowego opróżnienia. Poszedł do szaletu, znalazł wolne miejsce wśród sikających dziesiątek mężczyzn i nieco panicznie zaczął się mocować z rozporkiem. Niemal wyszarpnął interes z majtek, zrobił to niezgrabnie i zahaczył paznokciem o czułe miejsce, chwilę później nieomal syknął z bólu, bo oddając mocz, poczuł nieznośne pieczenie. Z trudem opróżnił pęcherz, coś takiego zdarzyło mu się po raz pierwszy. Z przerażeniem pomyślał, że musi jeszcze dzisiaj nie tylko postawić, ale i wypić piwo. Nie miał na to najmniejszej ochoty, po jaką cholere dał się zaciągnąć na ten mecz!

To był piękny wieczór, pierwszy taki od wielu lat. Panna Ola skomplementowała go za ubiór, przedstawienie było znakomite, a już po jego zakończeniu artyści zaprosili ich do pobliskiej Oazy. Winszowano mu sukcesu, dziękowano za rozwiązanie sprawy Luksa i uwolnienie dziewczyn na Saskiej Kępie. Poczuł się jak bohater, nawet polubił tę rolę i nie omieszkał podzielić się sławą z Aleksandrą Fuks. Młoda pasjonatka sztuki, która wkracza do akcji, gdy policjanci są w opałach, to robiło wrażenie! Ktoś nawet powiedział, że są piękną parą, inny, że o takich ludziach jak oni powinno się pisać szlagiery, następny, że to materiał na wspaniałą przebój filmowy. Cudowny wieczór zakończył się na placu Unii pod wielką kamienicą Łaskiego, panna Ola wskazała na sam szczyt i powiedziała: – Mieszkam w jednej z tych wieżyczek, tam mam swoją pracownię, to prezent od papy, czyż nie wspaniały?

– Jak najbardziej, panno Aleksandro.

– Czy chce się pan ze mną jutro spotkać?

– A jest na to szansa?

– Jak najbardziej, chyba że pan nie lubi kart, bo jutro przy Bagateli...

– Brydź u pani prezesowej?

– Skąd pan wie?

– Jestem policjantem z Urzędu Śledczego – zaśmiał się. – Oczywiście żartowałem, nie śledzę pani!

– A to wielka szkoda – odpowiedziała mu z zalotną miną panna Fuks.

– Wiem, bo mnie tam tydzień temu zapraszano...

– Ach, to pan jest tym policjantem, który o mało nie zepsuł nam gry!

– Ja ją mogę naprawdę zepsuć, ale swoją obecnością!

– Ale z pana żartowniś! Proszę być jutro o szóstej i nie spóźnić się ani minuty, kategorycznie panu zabraniam!

No jasne, że będzie, nie ma takiej siły, która by go od tego odwiodła.

Warszawa, poniedziałek 6 października 1930

Franciszek Wlazło siedział ze swoją ferajną w dorożkach na Siekierkach i czekał na jelenia, który miał przynieść pieniądze. Śliczny Michaś był w tym dobry, może nie tak dobry jak Czarny Piotruś, ale też potrafił łowić naiwne cioty. Ale Piotrusia już w tym interesie nie ma. Rozgrzał jakiegoś klechę, a ten zawiedziony pociągnął go nożem. Miał rozmach, bo rozpruł też i tego artystę Luksa. Wielka szkoda, aktor miał być kolejnym dochodowym jeleniem, ale pies to ganiał, dziś sobie odbija. Zaraz przyjdzie jakiś frajerzyna, co jest hrabią i literatem. Jak nie na raz, to na raty muszą z niego wyciągnąć z dziesięć tysięcy. Minimum dziesięć. Wlazło rozparł się w skrzypiącym krześle i liczył w pamięci dochody z ostatnich miesięcy. Aż się uśmiechnął, choć uśmiechał się rzadko.

Dojenie bogatych ciot to był całkiem dobry interes, nie tak dobry jak opylanie do Argentyny głupich chamek ze wsi, naiwnych dziewczuch z miasta i przymierających głodem Żydówek, ale pięknie dokładał się do budowania mająteczku. A ten będzie jeszcze większy, bo z areny zeszli Asz i ten jego pomagier Goliat. Policja załatwiła za niego całą robotę, teraz nie ma już konkurencji, wszyscy przejdą do nowej bandy, która stanie się tak samo wielka i skuteczna, jak wileńska Bruderferajjn. Pójdą po amerykańsku, tam Włosi, Żydzi i Irlandczycy stworzyli taką chęwę, że rząd i policja ani zipną. Tu tylko dwie narodowości, ale jedno wyznaczenie: mamona. Nic tak bardzo nie łączy, jak wspólne zarabianie pieniędzy i niechęć do psów.

Szło mu ostatnio bardzo dobrze, wręcz znakomicie, choć oczywiście do ideału trochę brakowało. Od ponad dziesięciu lat się ukrywał i zmieniał nazwiska, ale do tego już przywykł. Nie rezydował w jednym miejscu. Miał swoje meliny na Czerniakowie, miał w Chełmie no i, ma się rozumieć, w Gdyni, skąd wysyłano w świat żywy towar. Ważne, że cieszył się poważaniem, że nie tylko frajerzy, ale, co najważniejsze, także szemrani czuli mores. Dlatego trzeba było sprzątnąć te dwie dziwki ze Starówki i apasza z Czerniakowa. Splunął z odrazą na ich wspomnienie, bo to były zwykłe śmiecie. Szkoda tylko tych trzech chłopaków, którzy wpadli. Jeden padł na miejscu, drugi kofnął w szpitalu, a trzeci... No cóż, czasem tak trzeba. Tak naprawdę szkoda tylko Morela. Był silny, bezwzględny i co najważniejsze starozakonny. Teraz trzeba sobie poszukać innego łącznika, ale przecież silnych żydowskich bandziorów nie brakuje, musi po prostu sobie kogoś wybrać.

– O, idzie ten hrabia mordą drę o trotuar! – zaanonsował jeden z jego ludzi, widząc w oknie sylwetkę w charakterystycznym płaszczu.

– To nie byle jaki Pentelewicz – zaśmiał się Wlazło – to sam jaśnie pan hrabia Leopold Walewski. Trochę tu z nim zatańczymy, bo to dobra majątna rodzina i to, co nam proponuje, to troszkę mało. Jest sam?

– Jest sam!

Po parunastu sekundach drzwi otworzyły się i do środka wszedł człowiek w eleganckim płaszczu i w kapeluszu. Wcisło otaksował go w sekundę. Z zadowoleniem stwierdził, że hrabiowski frajer miał spuszczone łeb i bał się patrzeć w twarze zebranych. Piszpan, tchórz, frajer i ciota, pomyślał, idealny gość do dojenia. Zabrał się do wydłubywania brudów zza paznokci. W końcu musi być elegancki, bo będzie gadał z arystokratą. Usłyszał szelest i skrzypienie podłogi, tak jakby wszyscy wewnątrz pomieszczenia się poruszyli. Podniósł głowę i zobaczył, że to nie hrabia Poldek Walewski, tylko ktoś zupełnie inny, co nie znaczy, że nieznany. Wprost przeciwnie, Wlazło znał go doskonale i wiedział, że broń, którą trzymał, jest w jego rękach bardziej śmiertelnościnnym narzędziem niż w jakichkolwiek innych. Rozległ się terkot, lufa trysnęła ogniem i gradem kul.

Strasburger i Stolarczyk krążyli po podwórku dorożkami i palili papierosa za papierosem. Policyjna bezradność mierzona była petami, które zaściewały obejście.

– A może panie przyszły podkomisarzu kropnął ich jaki zwolennik Marszałka? – z głupia frant zapytał Stolarczyk – Dlaczego sądzi pan, panie przyszły starszy przodowniku, że to zwolennik Marszałka? – zdziwił się Strasburger.

– Dlaczego? Panie komisarzu, a kto powiedział: Bić alfonsów, kurwy i złodziei? – zaśmiał się

Stolarczyk. – Albo ktoś z naszych... – uciął nagle.

Widać było, że teraz stary śledczy nie żartuje. To aż zmroziło Strasburgera.

– Co ty opowiadasz? – powiedział zaniepokojony. – Zyg, co ty masz na myśli?!

– Tak mi się skojarzyło. – Zygmunt Stolarczyk zaciągnął się głęboko i wypuszczając dym, mówił: – Taką broń ma tylko policja. Tu faktycznie było jak w Chicago i użyto pistoletów maszynowych systemu Thompsona. Młody jesteś, nie byłeś wtedy jeszcze hintem, więc nie pamiętasz, jak kupiono amerykańskie pistolety maszynowe. Z siedem lat temu ministerstwo sprowadziło pięćdziesiąt takich zabawek, poszły do rezerwy i na granice. Nie miałem w ręku, ale cztery lata temu czytałem broszurkę *Instrukcja obsługi pistoletu maszynowego*. To się nazywa Tomas, Tom, czy coś takiego. Bije seriami i jest rozdzielane po jednym na czteroosobowy zespół.

– Myślisz więc...

– Tak myślę, Kornelu, tak myślę, zwłaszcza po tym, co powiedział ten mundurowy. To robota jak z Chicago, a ja czytałem różne rzeczy o masakrze w Dniu Świętego Walentego. Wiesz, kogo widziano na miejscu zbrodni?

Kornel Strasburger domyślał się, jaka jest odpowiedź, ale nie przechodziła mu ona przez gardło.

– Tam byli gliniarze! Rozumiesz?!

Strasburger nerwowo zaciągał się papierosem.

– Trzeba będzie zbadać wszystkie pistolety maszynowe, jakie są na stanie. Nie ma innego wyjścia.

– Może się okazać, że któregoś brakuje – dopowiedział Stolarczyk. – Tak czy owak lista zainteresowanych ukręceniem łba naszemu Franiowi jest grubsza niż książka telefoniczna, ale...

– Stolarczyk zawiesił głos. – Chętni zapełniliby książkę telefoniczną, ale takich, którzy by się odważyli go odstrzelić wraz ze świtą, i to w tak kozackim stylu, jest zapewne tylu, że zmieściliby się na liście apartamentów pierwszorzędných hoteli, a takich w naszym kochanym mieście mamy ledwie kilka.

Kornel Strasburger pokiwał głową. Chętnych do zabicia Franciszka Wlazły były całe tłumy, ale takich, którzy mogliby to zrobić w tym stylu, doprawdy niewielu. I w tym był właśnie problem.

– Na razie raz jeszcze przejrzyjmy ich kieszenie i sprzęty-zarządził Strasburger.

Po kilku minutach rozległ się triumfalny okrzyk Stolarczyka.

– Jest, mam! – darł się, jakby go obdzierano ze skóry. – W szufladzie stołu była karteczka.

Śledczy ostrożnie, przez chustkę do nosa rozwinął kawałek papieru pakowego. Widniały na nim naskrobane ołówkiem słowa: *Tak kończą łajzy bez chonoru którzy jak wszy i pjawki żyją z cudzej krwi... Piekło was dranie nieominie*

– Myślisz, że ten, co to zorganizował, to aż taki prostak? – zapytał Strasburger.

– Myślę, że to niezły cwaniak.

– My się na to nie nabierzemy, ale nasi szefowie i inni koledzy...

– Zrobi się zamieszanie, bałagan. To jak najszybciej musi trafić do grafologa, a najlepiej do Rafała Schermana.

– No i odciski palców.

– Chyba w marzeniach. Kartoteka zawiera wszystko, tylko nie odciski palców, słyszałeś, żeby kogoś dzięki temu złapano?

– Też nie sądzę, ale spróbować trzeba, bo cuda się zdarzają.

– Ale tu trzeba wyjątkowych cudów, bo pół Warszawy i kawałek Lwowa oraz cholera wie, kto jeszcze pragnął pomsty na tym typie. W innym przypadku lecielibyśmy z listy, ale tu... – Strasburger się zamyślił. – Nikt nie przychodzi mi do głowy, bo nie słyszałem o kimś tak bezwzględnym, sprawnym i sprytnym. Ten list to błąd, żaden z nas nie ma wątpliwości.

– Zgadza się – przytaknął Stolarczyk. – Morderca zabijający z taką gracją i pewnością to jak Bodo z Dymszą w jednym.

– Taki mord to jak msza dla kardynałów celebrowana przez papieża – uzupełnił Strasburger – to...

– To jak kwinta złożona z wygranych pięciu fuksów – usłużnie dodał Zyga Stolarczyk.

– Boję się, że tak jest, mamy do czynienia z jakimś papieżem zbrodni, z prawdziwym artystą, z mistrzem nad mistrze. Póki on i jego wspólnicy sami się nie wysypią, to możemy co najwyżej dać ogłoszenie do gazety, by się uprzejmie zgłosili.

Zapaliliby, ale już nie mieli czego, z utęsknieniem czekali więc na przyjazd ekipy z Ciepłej, oni na pewno będą mieli co palić.

– Nie ma też innego wyjścia, jak zakończyć śledztwo w sprawie pomordowanych dziwek, bo wychodzi na to, że to był ostatni, brakujący elemencik. – Stolarczyk znalazł w tym całym galimatiasie coś pozytywnego.

– Masz rację, prędzej się na tych cholernych Siekierkach Matka Boska objawi, niż znajdziemy zabójców tych bandytów – westchnął Strasburger. – Dlatego zamknijmy coś do końca, może przy tej okazji dowiemy się czegoś nowego.

Z pogotowia przyszedł cynk, że na Siekierkach znaleziono pięć trupów posiekanych kulami, tak jakby ktoś rąbał do nich z karabinu maszynowego. Taka informacja to był rarytas.

– Panie Giez... – zawołał naczelny. – Panie Giez!

– Przepraszam, ale czuję się jakoś źle – wydusił reporter.

– No faktycznie, od paru dni wyglądasz pan nieszczęśliwie. Zmiataj pan do lekarza, a na Siekierki niech jedzie Januszewski.

Bronisław Januszewski wyszczerzył zęby w bezczelnym uśmiechu, wygrał wczoraj przy Łazienkowskiej, wygrywa i teraz. Edward Giez powłókł się do wyjścia, niech tylko lekarz nie spartoli roboty, bo przecież już za tydzień pierwszy sądowy występ bandyty Szmula Asza.

Sprawa na Siekierkach przeciągnęła się, ale Strasburger zdążył na brydża. W ostatniej chwili, ale zdążył. Panna Aleksandra powitała go niezwykle wylewnie, niemal jakby był bratem wracającym z wojny. Doktor Józef Potocki puścił do niego oko i szepnął coś na ucho swojej pięknej żonie. Po salonie rozeszła się wieść, że to ten Strasburger od Goliata.

To był niezwykle miły wieczór, z kilkoma partyjkami, w których wraz z Aleksandrą Fuks tworzyli brydżowy duet.

– Niezwykle z państwa dobrana para – podsumowała ich występ prezesowa Irena Leszczycka.

– Miał nas dzisiaj odwiedzić gość z Ameryki, pan Henry Haas, ale już za nim nie tęsknię, to żadna strata, jeśli się gra z tak wybornym brydżystą jak pan, panie aspirancie.

Zasiedzieli się do dziesiątej i choć z kamienicy przy Bagateli dziesięć do kamienicy Łaskiego, w której miała swe mieszkanie Aleksandra Fuks, były dosłownie dwa kroki, Kornel Strasburger odprowadził swoją partnerkę pod samą bramę. Pożegnanie było jakieś krępujące, w głowie huczało mu od nadmiaru pomysłów, a każdy z nich uważał za zbyt śmiały.

– Panie Kornelu, czy wie pan, że ta wieżyczka ma taras na dachu i że można z niego podziwiać niebo? Dziś jest tyle gwiazd, nie chciałby pan na nie popatrzeć?

Jasne, że chciał, weszli do eleganckiej klatki schodowej, później do windy. Gdy ruszyła, zaczęli się całować, a na taras wyszli dopiero wtedy, gdy nie było już gwiazd, tylko piękne błękitne niebo. Była ósma rano, a panna Ola zaparzyła wyborną kawę, którą pili objęci mocno, jakby ktoś ich chciał rozdzielić.

Warszawa, wtorek 7 października 1930

Po pełnej wrażeń nocy i pięknym poranku przyszła szara rzeczywistość. Kornel Strasburger był niewyspany i musiał wypić kolejną kawę.

– Cytryny żeś się najadł, czy co, komisarzu? – zapytał Stolarczyk.

– Prosiłem, żebyś tak do mnie nie mówił! – Strasburger skrzywił się jeszcze bardziej. – Wczoraj na Siekierkach cały czas pytowałeś komisarzu, komisarzu. Ja nie mówię do ciebie panie starszy przodownik.

– A szkoda – westchnął Zyga. – Byłeś Dodkiem, a teraz robi się z ciebie jakiś Węgrzyn[48], do tego mocno skwaszony. – Przodownik zaśmiał się z własnego dowcipu. – Mundur przygotowany, jeszcze tydzień i będą nas awansować, a potem parę dni i dostaniemy nominacje. Nowy wicenaczelnik urzędu i szef Brygady do spraw Ciężkich Zbrodni pan komisarz Leon Przygoda i jego prawa ręka, kierownik brygady specjalnej pan podkomisarz Kornel Strasburger! Brzmi to wszystko jak marzenie. Zacznij się tym wszystkim cieszyć, chłopie.

– Może i powinienem, ale ja wciąż mam po tej sprawie kaca. Nadal o zbyt wielu sprawach nie wiemy, a do tego te Siekierki! Tego nie zrobili Asz z Goliatem, bo jeden siedzi w areszcie, a drugi wacha kwiatki od spodu. To wszystko gryzie mnie i drażni jak wełniany sweter włożony na gołe ciało. Rozumiesz?

– Rozumiem, mię też tak gryzie, ale wtedy skupiam się na myśleniu o przyjemnościach, he, he, to zupełnie inaczej niż wtedy, gdy jestem z Jadzią. Rozumiesz, jedziesz rozpędzony jak pociąg ekspresowy i zara przelecieś przez Warszawę Główną na wylot. Wtedy trzeba sobie pomyśleć o czymś innym, żeby nie skończyć jazdy w try miga, kapujesz, co nie?

– I myślisz wtedy o nierozwiązanych do końca sprawach?

– Coś ty, z byka spadł? W ten sposób zrobiłaby się z ekspresu dreżyna z zaciągniętym hamulcem i wszystko zatrzymałoby się przy placu Zawiszy albo poszło w kibinimetry na bocznicę towarową na Czystem. Jak raz myślę wtedy o takim gryzącym sweterku albo bluzie mundurowej włożonej na gołe ciało. Brrr.

– Pomaga?

– Pomaga. – Stolarczyk uśmiechnął się szelmowsko. – Dojeżdżam szybko i z fasonem, ale nigdy przed czasem!

Przodownik i jego łóżkowe perypetie wprowadziły na twarz aspiranta uśmiech, nie za szeroki, ale jednak uśmiech, który Stolarczyk postanowił z miejsca poszerzyć.

– Kochany, skoro twą duszę opatula gryzący sweterek, to się rozchmurz, myśląc o czymś przyjemnym, na przykład o jakimś fiki-miki z panną Fuks!

Strasburger roześmiał się pod nosem.

– To aż tak sobie to wyobrażasz?

– Ja sobie, Zyga, nie wyobrażam, ja sobie wspominam...

– Ożeż ty z kuriera wycięty! – Zyga patrzył na Kornela Strasburgera z niekłamanym, szczerym podziwem. – Romeo szarpany, amant filmowy, w jasną cholerę Szejka z Długiej, Rudolf Valentino w pinechę! – Zyga dla podkreślenia wagi swych słów klepnął go po plecach. – Ożeż ty kurdebalans, masz wszystko, awans, funkcję, mieszkanie z wygodami i taką pannę? I dalej jesteś niezadowolony? Ja ci chyba po ojcowsku nakopię do tyłka!

Warszawa, poniedziałek 13 października 1930

Zbliżała się chwila, na którą czekała bez mała cała Warszawa. W sądzie przy Miodowej miało się odbyć pierwsze przesłuchanie bandyty Szmula Asza. To była prawdziwa sensacja! Przed policją i sędzią śledczym nie chciał nic powiedzieć, więc ludzie tym bardziej byli ciekawi tego herszta straszliwej bandy, który kierował prawdziwym potworem, Jakubem Fajgenblatem. Chętnych było kilka razy więcej, niż mogła pomieścić największa sala rozpraw, tłum stał także wokół budynku, by choć przez chwilę zobaczyć

największego przestępcę w najnowszej historii Warszawy. Asza znali już wszyscy, nawet małe dzieci, bo przecież kim, jak nie człowiekiem, który panował nad Goliatem, straszyć rozwyrzone bachory? Dzieciarnia nie bała się, lecz podziwiała, czuła, podobnie jak dorośli, fascynację mordercami. Na podwórkach najsilniejsi byli Goliatami, ale ich szefowie Aszami. W szkołach nauczyciele bezskutecznie walczyli z plagą, jaką była zabawa w Goliata. Olbrzym morderca fascynował tym silniej, że nikt nie wiedział, jak wyglądał, były opisy, rysunki, ale żadnego zdjęcia. Niektórzy fotografowie prasowi oraz gapie, którzy nie zmieścili się w budynku sądu, postanowili zapolować na jego szefa przy Daniłowiczowskiej, bo w sądzie obowiązywał zakaz robienia zdjęć. Może mignie jego profil lub choćby cień, gdy będzie jechał karetką więzienną? Na pewno taka kibitka nie ma okien – mówili sceptycy. Nie będę się przepychał w tłumie od rana, by popatrzeć na łotra – mówili ci, którzy poszli na Daniłowiczowską. Tłumek rósł, mężczyźni palili papierosy, dzieciaki grały w zośkę, a handlarze sprzedawali precle. Każdy chciał potem móc powiedzieć – widziałem, jak go wieźli, widziałem, jak wyjechała więzienna karetka.

Edward Giez z trudem wstał z łóżka. Lekarz kazał mu leżeć i nie ryzykować, bo choroba była poważna. Gdy usłyszał gonorrhoea, nie miał pojęcia, o co chodzi, chociaż nawet jakby doktor powiedział abrakadabra, to powinien wiedzieć, co jest grane. Lekarz też tak uważał, więc uśmiechnął się cierpko: – Nie możesz pan sikać, bo piecze pana cewka, masz pan na członku wysięk i nie domyślasz się, co to jest gonorrhoea? Złapałeś pan wiewióra, trypra, a jak pan i tego nie rozumiesz, to powiem inaczej, masz pan rzeżączkę! To niby było oczywiste, ale oszukiwał się, że to nie to. To drapanie na meczu, potem bolesne sikanie... – Niech pan tego nie lekceważy!

– grzmiał po ojcowsku doktor. – To nie syfilis, więc żadna tragedia, ale wiedz pan, że trypra pierdem nie wyleczysz!

Wrócił do domu, jak raz przyszła Stella, pytała, co jest, dlaczego nie robią tego razem... Ściągnął gacie i zrobił jej awanturę, wyładował na niej całą złość, bo było dla niego jasne, że to wina dziwki. Ona popłakała się i pokazywała mu tę swoją czarną książeczkę, mówiła, że ma badania i że przez ostatnie dwa tygodnie nie byli ze sobą. Wybiegła z płaczem, wtedy pojął, co się stało... Poczul się jak Świnia, jak łajza, jak skończony palant. Pojechał do niej, ale nie chciała mu otworzyć, wył pod drzwiami. Teraz też mu się chciało wyć, bo stał na ostatnich nogach w tłumie oczekującym na przejazd Szmula Asza. Odpuścił salę sądową, boby na niej nie wysiedziały. Wszystko to poirytowało Józefa Dobosza, który coś kwękał o pokoleniu kruchym jak szkło.

Na Daniłowiczowskiej stały już dwa policyjne auta, które miały wieźć eskortę. Cholera wie, co się może zdarzyć, a jak go będą chcieli odbić? Ale tak po prawdzie bardziej obawiano się żadnego sensacji tłumy. Żaden sport ani walki na Okólniku z udziałem samego Teodora Sztekera, ani też derby na Łazienkowskiej czy na Polu Mokotowskim, ani pokazy lotnicze nie elektryzowały Warszawy tak jak pierwszy dzień procesu Asza. Wiadomo było, że będą to same pierdoły zakończone powrotem oskarżonego do celi przy Daniłowiczowskiej, ale już sama możliwość popatrzenia na słynnego zbrodniarza była jak magnes. W autach miało być po pięciu policjantów, na trasie przejazdu dalszych kilkudziesięciu, a pod sądem okręgowym konna z Ciepłej i chłopcy z Gołędzinowa. Więziennarka była solidną ciężarówką ze stalową budą, w której skuty łańcuchami Asz miał być jeszcze dodatkowo przyczepiony do specjalnego uchwytu w ścianie. Za kierownicą siedział doświadczony szofer przodownik Alojzy Kojber, a obok niego jako eskorta zasiadali Strasburger i Stolarczyk.

– Tylko żeby panowie się za bardzo nie uśmiechali, proszę zachować powagę – starał się żartować zastępca naczelnika Urzędu Śledczego nadkomisarz Słubica-Popielski. Tak naprawdę myślami był już przy jutrzejszej uroczystej nominacji na podinspektora.

– Mnie tam nie do śmiechu, po pierwsze primo, panie nadkomisarzu, to coś mię łupie w kościach, tak jak w tysiąc dziewięćset dwudziestym, kiedy ranili mnie bolszewicy, a po drugie na wszystkich fotografiach wyglądam, jakbym właśnie stał za trumną. Małżonka moja Jadwiga schowała nasz portret ślubny, żeby ludzie nie pomyśleli, że się z nią ożeniłem za karę.

– Łupie pana, bo dziś taka pogoda – zaśmiał się nadkomisarz – a co do zdjęć... No cóż, w końcu

w waszym duecie pan jesteś Sztekker, a pan aspirant to Dodek. Powodzenia, panowie. – To mówiąc, uścisnął im dłonie. – Jadę do sądu wraz z eskortą, do zobaczenia na miejscu.

Po paru minutach czterech rosłych strażników wyprowadziło skutego kajdanami olbrzyma. Asz nie był tak wielki jak Goliat, ale robił wrażenie. Czterech trzymało łańcuchy, kolejnych czterech stanowiło zabezpieczenie. Bandzior szedł, patrząc gdzieś w dal, a na jego twarzy trudno było wyczytać jakiegokolwiek emocje, ale wsiadając do więźniarki, rzucił nienawistne spojrzenie.

Stolarczyk i Strasburger wskoczyli do kabiny i zajęli miejsca przy szoferze. Ten przeżegnał się i ruszyli.

– Ciebie też łupie w kościach? – zapytał Zyga Stolarczyk.

Strasburger nic nie odpowiedział.

– Przecież nie powiedziałem do ciebie komisarzu!

Kornelowi Strasburgerowi nadal nie było do śmiechu.

Przedstawienie się rozpoczęło, Giez, tak jak inni ludzie zgromadzeni przed aresztem, usłyszał skrzypienie zawiasów. Brama gmachu aresztu śledczego, który wyglądał jak stare zamczysko, otworzyła się i wytoczyła się z niej karetka więzienna.

Tłumek zafalował, a fotografowie przybrali swe komiczne pozy.

– Jadzie, jadzie, wiozą go – rozległo się z dziesiątek ust.

Ruszyły auta eskorty i konwój zaczął powoli przyśpieszać na śliskim bruku. Wtedy spośród tłumu wyszedł na ulicę mężczyzna, mocny, postawny, w sile wieku, wyglądający na żydowskiego rzemieślnika albo tragarza. Przed sobą pchał dziecięcy wózek.

– Co on robi?! – krzyknął ktoś.

Kierowca nacisnął na klakson, ale mężczyzna zamiast stanąć przyśpieszył, zamiast przepuścić auto postanowił przed nim skoczyć. Rozległ się pisk hamulców, ale więźniarka nie była w stanie wyhamować na śliskim bruku. Było za późno, mężczyzna z wózkiem nie zdążył przebiec na drugą stronę jezdnii, do pisku hamulców dołączył się trzask wózka łamanego przez koła auta, na ziemi pojawiła się czerwona plama. Drugie auto eskorty wpasowało się w tył ciężarówki, zderzenie nie było dla pasażerów niebezpieczne, ale błotniki się pogięły, a spod maski osobowego auta poleciała para z pękniętej chłodnicy. Tłum wydał z siebie jęk, bo ludzie, którzy przyszli tylko po to, by popatrzeć, jak wiozą mordercę, zobaczyli prawdziwą tragedię. Krwawa plama rosła, a mężczyzna stał jak słup soli. Z szoferki wyskoczył policjant prowadzący auto.

– Cóżżeś narobił, człowieku, Jezus Maria, co za nieszczęście!

Giez mimo bólu ruszył w stronę miejsca tragedii, gdy nagle mężczyzna od wózka wyciągnął z kieszeni browninga. Z pozoru ociężały facet, który przed chwilą wpakował pod auto wózek z dzieckiem, był szybki jak tygrys. W okamgnieniu chwycił ramieniem szofera pod szyję, a do skroni przystawił mu lufę.

– Zaszczelę go, zaszczelę!

Żyd, odnotował Giez, nie tylko mówił w specyficzny sposób, ale miał też brodę i charakterystyczną czapkę z daszkiem.

– Cofnąć się – ryknął do policjantów i poddusił szofera, który aż jęknął.

Policjanci z bronią wykonali polecenie.

– Ty zostajesz, do ciebie mówię!

Giez pojął, że chodzi o niego.

Bandyta cały czas trzymał lufę przy skroni kierowcy.

– Wyłaż – krzyknął do Zygi Stolarczyka, który wychylił się z szoferki. – Ten drugi zostaje, ty wychodź!

Zyga zwlekał, więc nie wysiadł, lecz wypadł z auta, bo napastnik uderzył go pistoletem w głowę. Wtedy zbir zwrócił się do Strasburgera.

– A ty szpokojnie, bo zabiję te oba psy i ten człowiek. – Edward Giez nie miał tym razem wątpliwości, że chodzi o niego. – Podnieś ręce w górę, a teraz ostrożnie wyjmij rewolwer i podaj mi go, trzymając za lufę.

Po chwili nagant zmienił właściciela.

– Umiesz prowadzić auto? – zapytał napastnik Strasburgera.

– Nie.

– A ty? Ciebie się pytam. – Słowa bandyty skierowane były do Gza.

– Umiem – odpowiedział niepewnie reporter, który nauczył się prowadzić w wojsku, ale ledwo co pamiętał, jak się to robi.

– Umiesz?

– Tak, umiem – powtórzył już nieco pewniej, zrozumiał bowiem, że bandyta szuka kierowcy, który by nie był policjantem.

– To teraz wyjmij kajdanki i skuj się z tym tutaj, ale tak, żeby mógł prowadzić samochód. – Tym razem mężczyzna z bronią wydał rozkaz Strasburgerowi.

Policjant zrobił, co mu kazano.

– Włóż kluczyki do kieszeni w płaszczu – wydał mu kolejny rozkaz. – Pakujcie się do szoferki!

Strasburger popatrzył na jego twarz, ocenił, że ma plus minus pięćdziesiąt lat. Był atletycznie zbudowany, dość ciężki, ale mimo że nie młodzieniaszek, bez trudu wskoczył do szoferki, wciągając za sobą swojego zakładnika. Był silny, sprawny i podejmował szybkie decyzje. Aspirant zrozumiał, że nie będzie lekko.

– Jedź w kierunku placu Bankowego, ale przedtem stań przy autach.

Giez, który mimo chłodu powoli zaczął się zalewać potem, kiwnął głową, ale niezbyt energicznie, bo się bał, że napastnik mu tę głowę odstrzeli. Zrozumiał poniewczasie, że wpakował się w historię, od której powinien się trzymać z daleka. A jeśli źle poprowadzi auto, to co się stanie? Myśl o tym zmroziła go od palców stóp aż po czubek głowy.

– Jedź i zatrzymaj się przy policyjnych autach! – ryknął bandzior z brodą. – Czy ciebie wszystko czeka dwa razy powtarzać?

Reporter lewą, wolną od kajdanek ręką trzymał kierownicę, a prawą miał w bransoletce, która łańcuszkiem i drugą częścią kajdanek łączyła go z aspirantem Strasburgerem. Wrzucił bieg skutą ręką, udało się, policjant powtarzał za nim ruch, więc dał radę, gorzej było z ruszeniem. Ciężarówka skoczyła do przodu jak kangur, po czym z piskiem zatrzymała się przy autach policyjnej eskorty.

– Nie jedźcie za nami, bo zastrzelę najpierw tajniaka, a później kierowcę. Umiesz prowadzić, więc mi są niepotrzebni. Niech wszyscy wyjdą z aut i idą przed więźniarką.

Dowódca eskorty dał znać, by policjanci opuścili auta, po chwili posłusznie truchtali przed pojazdem porwanym przez tajemniczego bandziora. Gdy więźniarka dojechała do zbiegu Senatorskiej i placu Bankowego, stanęła, a jej piesza eskorta sapiała jak lokomotywy.

Bandyta wychylił się przez okno szoferki i krzyknął: – A teraz zatrzymajcie ruch, tak bym mógł przejechać przez plac i wjechać w Elektoralną.

Policjanci wyciągnęli pałki i wstrzymali ruch, z miejsca zrobił się straszny zamęt, po minucie padła kolejna instrukcja, tym razem przeznaczona dla Gza.

– Na cmentarz żydowski pod synagogę.

Uzbrojony bandyta powiedział to z takim spokojem, jakby instruował taksówkarza. Tymczasem Giez nie był spokojny, nie dość, że tryper dawał mu się we znaki, to na dodatek bał się, że robi coś nie tak. Wrzucił drżącą ręką pierwszy bieg, po czym nacisnął na gaz, pojazdem szarpnęło, z tyłu więźniarki dobiegły

przekleństwa Asza, którego gwałtowny skok auta przewrócił na podłogę.

Koła więźniarki lekko zabuksowały na śliskim bruku, ale już po kolejnym kangurzym skoku pojazd sunął przez plac Bankowy, zostawiając w tyle spieszonych policjantów z eskorty. Po chwili mundurowi rzucili się w tył, by biec do pozostawionego na środku Daniłowiczowskiej samochodu, dwóch zaś puściło się w bezsensowną pogon za odjeżdżającą więźniarką. To był błąd, bo gdy zesli z placu, na którym nie tylko zbiegało się kilka ulic, ale i krzyżowały tory tramwajowe, stało się to, co z egipskimi rydwanami, nad którymi zamknęło się Morze Czerwone. Zapanował nieopisany chaos, który zdołaliby opanować tylko doświadczeni funkcjonariusze służby drogowej. Sprawa pościgu była zatem przegrana, uprowadzona więźniarka mogła pojechać w kierunku szosy poznańskiej lub krakowskiej, ale bardziej prawdopodobne było, że zagłębiła się w którąś z ulic dzielnicy żydowskiej albo w jedno z setek podwórek czy zaułków. Ściganie uprowadzonego auta przypominało szukanie igły w stogu siana, a czym było odnalezienie Szmula Asza... Wawrzyniec Słubica-Popielski dosłownie rwał włosy z głowy.

Tymczasem ludzie zgromadzeni na Daniłowiczowskiej ruszyli do zmasakrowanego wózka dziecięcego i rannego policjanta. Ostrożnie podnoszono szczątki wózka wypełnionego szkłem.

– Tu nie było żadnego dziecka, tylko słój z czerwoną farbą – krzyknął ktoś spośród grzebiących w szczątkach.

Inni cucili Zygę Stolarczyka. Przodownik jęcząc i sapiąc, próbował wstać samodzielnie, ale zakręciło mu się w głowie i padłby z powrotem na bruk, na szczęście podtrzymały go ręce gapiów i policjantów.

– Kurwa, zostawcie mnie, gońcie ich! – wrzasnął.

– Ale kogo i jak? – zapytał go jeden z mundurowych.

– No właśnie, kogo i jak, wiedziałem, że coś wisi w powietrzu, kości łamią mnie dokładnie jak wtedy w tysiąc dziewięćset dwudziestym, kiedy... – Stolarczyk nie dokończył swej myśli, znów osunął się zemdłony.

W szoferce panował ścisk, mało wprawny w prowadzeniu takiego auta Giez potrzebował dużo miejsca, by kręcić kierownicą, w dodatku jego prawa ręka była połączona kajdankami z lewą ręką Strasburgera. Aspirant zastanawiał się, co może zrobić, skoro browning napastnika cały czas wisi nad jego skronią. Gdy już wszyscy oswoili się z tą nadzwyczajną sytuacją, zapytał: – Pracujesz dla Zvi Migdal? Bo nie dla tego szumowiny Wlazły, on od tygodnia jest już poza interesem.

– Pan zupełnie nie rozumiesz tej sytuacji, pan nie wie, o jaki interes tu się rozchodzi – zaśmiał się posępnie bandyta. – Policja i pismaki trąbili o nowy alfons-pogrom, o Zvi Migdal, o zemsta, wielka zemsta, wy wiecie tylko, że jest *mojsze kajojer*[49], ale nie wiecie, o co chodzi w tym *miszegas*!

– A o co chodzi teraz, jak nie o odbicie Asza?

Znów usłyszał śmiech, upiorny śmiech.

– Mówisz pan, panie hint, że chodzi o odbicie, o oswobodzenie, tak? Nic takiego tu nie ma miejsca, on nie jest odbijany, on pewnie by tak chciał, ale dla niego stałoby się lepiej, gdyby mnie tu nie było. On jedzie na śmierć!

Strasburger osłupiał, a Giez z wrażenia aż stracił na moment panowanie nad kierownicą i uderzył w stojący na skraju ulicy wózek z warzywami. Ciężarówką zakołysało, ale udało się uniknąć większego nieszczęścia.

– Wy *riľfersztejen*, nic a nic!

– Chyba rozumiem. – Giez nabrał śmiałości. – To dalszy ciąg alfons-pogromu I Znów usłyszeli upiorny śmiech.

– To zupełnie inna historia, ona się zaczęła w alfons-pogrom, ale wtedy to była polityka, a teraz to jest moja własna zemsta. Wtedy walczyliśmy o honor Żydów i mściliśmy się na carskich konfidentach, zabijaliśmy ich, paliliśmy ich przybytki za to, że oni robili wielkie zło Żydom, i za to, że się sprzedali ochronie. Tak wtedy trzeba było! – powiedział twardo.

– A teraz... – Giez był coraz bardziej odważny i ciekawski.

– Teraz to ty wjedź, panie szofer, na cmentarz!

Auto zatrzymało się, a mężczyzna pokazał im browningiem, że mają wysiadać.

Gdy wyszli, podeszli do nich dozorczy cmentarza, szybko jednak wycofali się, widząc browninga.

– Otwieraj – rzucił porywacz do Strasburgera.

Aspirant pokręcił głową.

– On musi odpowiedzieć przed sądem!

– Jestem Chaim Goldberg i to ja jestem sędzią, sądem i katem!

– Dlaczego? – zapytał Giez. – Przecież on jest w drodze do sądu!

– Bo on wrobi we wszystko Goliata, Galę i innych. Oni to byli dranie, oni zasłużyli na śmierć, ale ja muszę mieć pewność, że za to, co mi zrobił, on niedługo, i to w męczarniach, do nich dołączy!

– Co zrobił? – Giez już się nie bał, ciekawość brała górę nad strachem.

– On zabrał mi wszystko, co miałem, otumanili moją córkę Chaję i wysłali ją do Argentyny, nie poddała się, więc ją zabili, myślałem, że mi pęknie serce, ale nie pękło, za to mojej żonie Sarze pomieszały się zmysły. Przez rok umierała w cierpieniach, aż odeszła dwa tygodnie temu. Nie zdążyłem posłać tam jeszcze przed nią wszystkich tych drani, ale dzisiaj to się stanie, to się dopełni, więc i ja będę mógł dołączyć do mojej żony Sary i córeczki Chai... Jestem Chaim Goldberg, ale mógłbym być Srul Gutman, Izrael Aronson, Dawid Kohen czy Josele Landau. Do dziś moje imię i nazwisko nic nikomu nie mówiło, tak jak nazwiska tysięcy ojców i braci, których córki i siostry zostały porwane do zamorskich burdeli. Dlatego ja tu teraz jestem sędzią, sądem i katem!

Asz musiał to wszystko słyszeć, bo zaczął się szarpać w więziennej budzie.

– Zgotuję ci straszny los, ty nawet nie wiesz jaki – powiedział w kierunku auta Chaim Goldberg.

– Mimo wszystko, proszę pana... – Strasburger zrobił w jego kierunku krok, pociągając za sobą Gza.

– Wszystko na nic, ja już nie chcę żyć, a on nie ma prawa żyć.

– Kogo pan zabił, kogo? – Giez zadał pytanie w strachu, że Goldberg zabije Asza oraz siebie i zabierze tajemnicę do grobu.

– Kogo ja zabiłem, panie reporter? Pan powinieneś wiedzieć, pan jesteś wielki detektyw, ja o panu czytałem w gazetach.

– Tak, to ja pisałem – Giez nie mógł sobie odmówić przechwałki.

– Pan Giez, Edward Giez... Aleśmy się spotkali, co za okazja, właściwi ludzie na właściwym miejscu i we właściwym czasie. A to jest czas na umieranie Szmula Asza i to jest czas na całą prawdę! Zobaczymy, panie aspirant, jaki z ciebie policjant!

Strasburger ułożył już sobie wszystko w głowie.

– Zabiłeś Galę, to ty uruchomiłeś to wszystko!

Goldberg pokiwał głową.

– Ślady wskazywały, że to ktoś silny, wysoki, wprawiony w takich rzeczach i jednocześnie bijący zapalczywie. Zmasakrowałeś ją!

– Tak, zrobiłem to, zmiażdżyłem tę piękną buźkę, która stała za wywozem mojej córki i innych dziewczyn, od niej zacząłem, bo była czujna, wiedziałem, że jak jej zabraknie, to wśród dziwek i alfonsów zapanuje chaos.

– Ale w jaki sposób dała się podejść?

– Była chytra, ja jej powiedziałem, że z Paryża przyjeżdża biały generał, ruski książę, który jej kiedyś płacił złotem. Uwierzyła, że wysiądzie z pociągu, zostanie przez nią zaspokojony, zostawi świnki i pojedzie

do Wilna, gdzie miał jakieś interesa do załatwienia.

– Gdy jej zabrakło, to zaczęli się wycinać między sobą, tych sutenerów z Krochmalnej załatwił Asz, silny, wyższy od ciebie, ale nie miał do nich prywatnej sprawy, tylko interes, więc, jeśli mogę to tak nazwać, nie włożył w to tyle serca, co ty w zabicie Gali.

Chaim Goldberg pokiwał głową.

– Goliat nie mordował, on gwałcił. Dziewczyny się go bały, on im odbierał wszystko, siłę, chęć przetrwania i godność. One po spotkaniu z nim stawały się niewolnicami. Goliat był za głupi, żeby gdzieś pójść i zabić, jego trzymali jak zwierzę i dostarczali mu kobiety, to było jego całe życie, miska, łóżko, dziewczyna rzucona jak bestii na pożarcie, trochę wódki. Na ulicy każdy by go zauważył, więc nie wychodził, nie potrzebował tego, był upośledzony i bał się świata, zgiełku ulic. Był zwierzęciem Asza, które odbierało kobietom człowieczeństwo, za to Asz zapłacił jak trzeba.

– Oczy Goldberga płonęły nienawiścią, ale swoją kwestię wypowiedział spokojnie, wręcz beznamiętnie.

Z karetki znów doszły odgłosy szamotaniny.

– Dwóch urningów z Widok to nie był przypadek. – Strasburger się zamyślił. – Tak jak Asz bił młotkiem, żeby upodobnić śmierć sutenerów do zabójstwa Gali, tak zabójca Luksa i Czarnego Piotrusia zostawił list pożegnalny. Później było zabójstwo na Kamiennych Schodkach, tu wiem, że dokonał tego sam lub przez swoich ludzi ten Wlazło, którego rozsiekano na Siekierkach. Sprawa z Niskiej jest jasna, starszy przodownik Spychalski spił się i zabił pannę Elefant, gdy ją bił, do akcji wkroczył mieszkający przez ścianę Goliat i złamał mu kark.

– To mi skomplikowało sprawę, jak już doszedłem do tego, gdzie mieszka, to musiał uciekać, Asz go gdzieś wywiózł i straciłem okazję, by go zabić – powiedział Chaim Goldberg z troską, z jaką mówiłyby pewnie myśliwy, któremu pies zagryzł kuropatwę zamiast ją wystraszyć.

– Ale nie młotkiem?

– Oczywiście, że nie, żyła jeszcze Sara i musiałem się nią opiekować, zastrzeliłbym go z browninga. Młotek to było zbyt duże ryzyko!

Strasburger zadał to pytanie pro forma, bo było jasne, że ktoś tak doświadczony i rozważny jak Chaim Goldberg nie poszedłby na taki numer.

– Pożar na Smoczej... Młotek znów zmiażdżył twarz, kim ona była, co zrobiła?

– To ona była jedną z naganiaczek, gdyby Chaja jej nie poznała... Ona otrzymała ode mnie niejedną nagrodę.

– Co ma pan na myśli, panie Goldberg? – zapytał Giez.

– Nieważne! – Chaim Goldberg uznał, że nie będzie mówił reporterowi, że wcześniej ją brutalnie zgwałcił.

– No i siódmy grzech główny, jakeście sobie ubzdurali. – Strasburger spojrzał na Gza.

– Fordanserka z Bałtyku była narkomanką, przedawkowała opium i ten, kto z nią był, chciał odwrócić uwagę, znów list, tym razem na lustrze, i nieudolna próba zabicia trupa.

– Zabicie trupa... – Edwardowi zaświeciły się oczy, to był atrakcyjny temat, piękny tytuł.

– A Siekierki to już wiadomo, że nie Goliat z Aszem, zresztą amerykański pistolet maszynowy to nie w ich stylu.

Strasburger ugryzł się w język, powiedział chyba za dużo.

– Ale ja mogłem to zrobić – zaśmiał się Goldberg. – Tak, to moja robota, zabiłem łotrów żyjących z nierządu, dopełniłem nowego alfons-pogromu, został mi już tylko Asz! Zastrzeliłbym ich obu, ale policja weszła mi w paradę na Saskiej Kępie.

Giez słuchał tego z zapartym tchem, czuł się źle, bał się, że zemdleje, ale trzymały go na nogach nowe

informacje.

– On kłamie – zaprotestował Strasburger. – Chaim Goldberg chce wziąć na siebie cudze grzechy, chce ocalić mordercę z Siekierok, bo zabił jego zdaniem właściwych ludzi.

– Tak, biorę to na siebie i robię to w obliczu śmierci, to ja ich zaszcześliłem – zażydłaczył Goldberg. – Nie zabierzcie mi tego! Ja jestem człowiekiem przeklętym, a klątwa dosięgła mnie i moją rodzinę. To kara za to, co zrobiłem dwadzieścia pięć lat temu. Gdybym wtedy po tym wszystkim, po wyjściu z burdelu na Szpitalnej, wpadł pod furmankę, to zaoszczędziłbym cierpienie żonie i córce. Sara by mnie nie poślubiła, a Chaja urodziłaby się z innego ojca. Niedobrze jest umierać samemu, a umierający winien wyznać grzechy, zrobiłem to...

Strasburger drgnął, przed oczyma stanął mu obrazek z dzieciństwa, pierwszy dzień w Warszawie, padający śnieg, który okazał się pierzem z poduszek i kołder, wreszcie mężczyzna, który w ostatniej chwili uskoczył przed ich wozem... Chciał zapytać, ale nie zdążył, rozległy się policyjne dzwonki i gwizdki, to pościg, a raczej pewnie patrol wezwany przez opiekunów cmentarza.

Goldberg nie zastanawiał się długo, podszedł z brownie do karetki i szykował się do odstrzelenia zamka. Strasburger chciał go powstrzymać i ruszył, pociągając za sobą Gza.

– Jak chcecie żyć, to się cofnijcie! – powstrzymał ich Goldberg, który rozpiął płaszcz i odsunął na boki jego poły. Był okrecony tałesem, ale to nie był zwykła chusta anitalit katan. Był jakiś grubszy, coś się pod nim kryło.

– Mam tam granaty, ten tałes zaniesie śmierć Aszowi i mnie, ale przedtem się z nim zabawię, tak jak potrafi się zabawić były pomocnik rzeźnika. – To mówiąc, wyciągnął z kieszeni rzeźnicki nóż i obciął cyces, frędzel na tałesie.

To oznaczało śmierć, bo cyces obcinało się tylko na chuście zmarłego.

– Tamci nie zasługiwali na szlachę – ciągnął Goldberg, patrząc na nich straszonym wzrokiem – on też i dlatego nie zginie od noża, ale i tak się z nim zdąży zapoznać, a potem... – uśmiechnął się pośpiesznie, klepiąc po tałesie.

Strasburger i Giez cofnęli się, właśnie na teren cmentarza wbiegli policjanci.

– Chłopaki, chodu! – krzyknął Strasburger.

Nie zrozumieli, o co chodzi.

– Padnij, on się chce wysadzić!

Tymczasem Goldberg przestrzelił zamek i drzwi karetki się otworzyły. Wszedł po stopniu do środka, Asz, który wiedział, jaki będzie koniec, zaczął krzyczeć. Darł się, płakał, błagał i szlochał, a więc rzeźnicki nóż robił swoje. Gdy już nie miał siły się drzeć, usłyszeli charakterystyczny plask. Goldberg bił go po twarzy.

– Skamlaj o litość!

Kolejne chwile wypełniły wołania o litość, odgłosy bicia i skamlenie ciętego nożem Asza. Wreszcie jego płacz stał się ledwie słyszalny i rozległo się przejmujące wołanie Chaima Goldberga: – *Hineni, hineni!*^[50]

Zaraz potem nastąpiła eksplozja, z otwartych drzwi więziennej karetki wyleciały krwawe szczątki.

Giez stracił siły i osunął się na ziemię, pociągając za sobą aspiranta.

EPILOG

Warszawa, środa 24 grudnia 1930 roku

Przez ostatnie tygodnie Edward Giez czuł się podle. Czuł się jak Świnia, jak zbrukana Świnia. Lekarz zalecił mu dwumiesięczną pauzę i leczenie, najlepiej w dobrym sanatorium. Nie zachwyciło to Józefa Dobosza, ale naczelny „Expressu Warszawskiego” poskrobał się po głowie i dał mu spisany na kartce numer telefonu.

– To do znajomego w Zakopanem, jedź pan na dwa miesiące, przyda się, bo w Warszawie nic po panu. Trochę kosztów będzie, ale nie martw się pan, trochę pan przecież zarobiłeś i jeszcze niemało zarobisz. – Ścisnął mu dłoń i mrugnął okiem.

A więc sztama, pomyślał reporter i skorzystał z propozycji. Pięknie tam było i wygodnie, ale w końcu zaczęło go to wszystko męczyć. Po raz kolejny zszedł na śniadanie, na którym znów miał zasiąść pośród kandydatów i kandydatek na suchotników, nerwowo wyczerpanych i alkoholików, którzy uciekając przed wielkomięskim szalem, wpadli tu z deszczu pod rynnę. Bo w Zakopanem piło się wybornie, a i rznąło niczym w tartaku. On tylko pił, mimo że atrakcyjnych kobiet było więcej niż przystojnych młodych dżentelmenów. Parę tygodni temu pobiłby tu parę alkowianych rekordów w gimnastyce i w wyścigach na najprzeróżniejszych dystansach: od sprintu po maraton, ale to było kiedyś. Teraz czuł lekki lęk i odrazę i myślał tylko o Stelli. Zastanawiał się, co zastanie w Warszawie, palił się do roboty, dzwonił zrozpaczony do Dobosza, a ten uspokajał go słowami: przydasz się pan, jak będziesz na całkowitym chodzie, spokojna głowa, mam co do pana pewne plany, i zaśmiał się na koniec. Co ten stary cap miał na myśli, zastanawiał Giez się przed powrotem.

Do Warszawy zajechał na dzień przed Wigilią, z pociągu wysiadał z duszą na ramieniu, bo dostał cynk, że po świętach ich gazetę zamykają. Mają wyjąć, ile się da, z reklam i zlikwidować.

– Kryzys, panie redaktorze, kryzys jak psia mać – powiedział mu szofer Stanisław Brylewski, który przyjechał po niego na dworzec.

Jak to często bywa, to szofer wiedział wszystko pierwszy, i o zamknięciu „Expressu Warszawskiego”, i o tym, co się będzie działo dalej.

– Dom Prasy uznał, że ma dość takich tytułów, jest „Express Poranny”, „Kurier Czerwony” no i była ta nasza gazeta – zaśmiał się Brylewski.

– Panie szofer, i co teraz z nami będzie?

– Same dobre rzeczy! Najlepsi przechodzą z nieboszczyka „Expressu Warszawskiego” do innych tytułów.

– A co ze mną i w której redakcji będzie pan Dobosz?

– Jak to, nie wiesz pan? Panowie się stąd wynoszą! – powiedział Brylewski z szerokim uśmiechem.

– Jak to?

– A tak to! Zapalisz pan? Mam takiego fajowego egzotycznego szluga, dostałem paczkę tego wynalazku, jak parę dni temu czekałem na szefa pod knajpą, w której sekretarz prasowy amerykańskiego poselstwa organizował jakiś jubel dla redaktorów i wydawców. Wtedy wiadomo, szefowie się bawią, a szoferaki gadają i palą szlugi, a jak już palą, to się wzajemnie częstują. Podeszedł do mnie taki jeden bardziej hebanowy i mówi: Poczęstuj się, Stan, fajowe! Tak powiedział i nie był to bajer.

Giez skorzystał z poczęstunku i zaciągnął się zagranicznym papierosem.

– Ale co z nami?

– Wieżę was do Krakowa!

– Do Krakowa?

– Dąbrowski, ten lajkonik od „Ikaca”, roztwiera magazyn sensacji, ma się nazywać „Tajny Detektyw”!

– I ja nic o tym nie wiem?

– Już pan wiesz, już pan wiesz, tylko gęba na kłódkę, panie ładny, bo mię pan Bębenek obsztorcuje! Poza tym nie wiadomo, czy pan nie zostaniesz w Warszawie, ale nie przypuszczam.

– Brylewski zrobił cwana minę. – Ja na ten przykład się przenoszę, więcej płacą i życie tańsze!

Giez wiedział już, że wylądował na czterech łapach, a zamiast obrazu chaosu, który miał przed sobą chwilę temu, malował się teraz całkiem interesujący widok.

– Znaczy się dobrze płacą?

– Dobrze płacą? Oni nas, panie kochany, kupili za górę złota!

– Ale pan Bębenek był przywiązany do Domu Prasy, tu było jego miejsce...

– Było, ale się zmyło i nie rozchodzi się wyłącznie o pieniądze. – Brylewski zrobił dumną minę.

– Toż to było nasze dziecko! – Szofer klepnął się po piersi, jakby to on zbudował budynek redakcji i drukarnię oraz prowadził wydawane w nim gazety. – Pan Józef czuje się właśnie tak, jakby mu zabrano rodzone dziecko, jak się dowiedział o zamknięciu tytułu, to dostał szału. „Idę stąd w kibinimetry, teraz to mnie mogą w dupę pocałować!” Chcieli go zatrzymać, ale Dąbrowski przyjechał z Krakowa i osobiście go namawiał. Na panu też mu zależało, zresztą własny szofer – Brylewski wyprężył się z dumą – oraz reporter Giez to były jego warunki do spełnienia.

A więc tak to się wszystko potoczyło... Sam by tego lepiej nie wymyślił, genialnie, pierwszorzędnie! Wyjedzie do Krakowa i zabierze ze sobą Stellę, tam nie będzie była dziwką, tam nikt nie rozpozna w niej grandesy z Gastronomii, tam będzie panią redaktorową Stefanią Giez!

– I jeszcze jedno – zawołał Brylewski. – Panna Pohulanka była jakiś czas w Szwajcarii, podobnież zupełnie jak pan też zaniemogła – szofer mrugnął znacząco – a na święta wychodzi za męża.

– Ten inżynier, producent filmowy – machnął ręką Giez-to stara sprawa!

– Ależ skąd, to się rozpadło w drebiezgi, ale nie jest stratna, poznała tam jakiegoś zagranicznika, co naszego inżyniera Kornela Lehra wciąga nosem!

Ależ się porobiło, pomyślał Giez z zadowoleniem, zaciągając się papierosem od szofera. Humor poprawiał mu się z minuty na minutę. Pies ganiał Alicję, niech jedzie sobie nawet do Pernambuco, miał to gdzieś, ważne, że on ułoży sobie życie!

Podinspektor Słubica-Popielski zajechał właśnie na Nowy Świat 69, gdzie w przypominającej pałac kamienicy Zamoyskiego rezydowało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Wawrzyniec Słubica-Popielski, dyrektor Departamentu Kultury i Oświaty, taką mosiężną tabliczkę zamówiono na drzwi jego biura. Będą w nim pracować dwie sekretarki, obok kilku urzędników, a ostatnie biurko przed wejściem do jego gabinetu zajmować będzie Fryderyk Wolf. Dostojny, piękny gmach, wślawiony zamachem na namiestnika Berga i barbarzyńskim zniszczeniem przez rosyjskich żołdaków fortepianu Chopina. Nie to, co ten skromny budynek ukryty za ratuszem, którego sąsiedztwo było wulgarnie zarówno pod względem formy architektonicznej, jak i spełnianej przez gmach Aresztu Śledczego funkcji. Tu co innego, Pałac Staszica, Krakowskie Przedmieście i brama uniwersytetu, gdy spojrzeć z okna w lewo, a w prawo – Nowy Świat. Tak, to dla niego inny, nowy świat i nowa misja. Nowa-stara, bo przecież wyszedł ze szkolnictwa i oświaty. Zstępując w roku 1918 z katedry gimnazjum w Grodzisku, nie przypuszczał, że nie wróci już na swoje miejsce. Powstanie wielkopolskie, służba w policji, zesłanie na wschód i ten szalony rok w Warszawie. Po dwunastu latach zajmie się tym, co kocha, już poczuł nerw i pobudzenie silniejsze niż przy sprawach kryminalnych. Żona, pamiętająca jak się angażował w szkolne problemy, wołała, by pozostał w Urzędzie Śledczym, ale on odpowiedział jej z uśmiechem: – Moja Teklo, *bella res est morte sua mori!* Tak jej

powiedział, piękną rzeczą jest umrzeć swoją własną śmiercią. Czuł się szczęśliwy na swym posterunku, nawet budynek architekt Marconi skroił kiedyś pod jego gust. Klasyczna forma, piękny tympanon i kolumny...

Z pewnym niepokojem pomyślał o tym, że będzie musiał wizytować komendy wojewódzkie i powiatowe, zwłaszcza te na wschodzie. Ale trudno, nikt nie mówił, że będzie łatwo, nikt tego za niego nie zrobi, nie pobuduje odpowiedniej liczby świetlic, bibliotek, amatorskich teatrów i orkiestr. A może by tak wprowadzić kursy łaciny? Może kiedyś, kto wie... Najpierw inspekcje toalet, szaletów i wygódek. Pan minister Sławoj Składkowski zobowiązał go do tego i uczynił ze sprawy higieny i porządku warunków nadrzędny jego pracy w ministerstwie. Zgodził się z tym, nie da się krzewić kultury, jeśli nie ma gdzie umyć rąk ani załatwić się w cywilizowanych warunkach, a poza tym *pada sunt servanda*, umów należy dotrzymywać, zwłaszcza takich, co do których nie miało się żadnych wątpliwości i były wypełniane także przez drugą stronę. A pan minister nie zawiódł, nominacje i awanse dla Strasburgera i Stolarczyka były podpisane, podobnie jak papiery spółdzielni mieszkaniowej oraz kredyt bankowy.

Przodownikowi Stolarczykowi humor dopisywał, żona od kilku dni czyściła jego galowy mundur i liczyła zyski z nowej szarży. Podwyżka znaczna, ale i tak pieniędzy nie za dużo, bo przecież trzeba będzie urządzić nowe mieszkanie, do którego niedługo mają się przeprowadzić. W końcu Jadwisia i Kornel się poznają, to nieuniknione, będą przecież sąsiadami. Albo i nie, bo Strasburger tak naprawdę mieszka w wieżycze przy placu Unii Lubelskiej. Dobrze mu z tą panną Olą, dziewczyneczka prima sort, fajna, bez much w nosie, mimo że tatuś dziany jak sto pięćdziesiąt. Trafiło się chłopakowi, ale bez dwóch zdań Kornel sobie na to zasłużył. Dobrze, że rozwiązano sprawę zabójstwa fordanserki, morderca sam wpadł policji w ręce. Był to Wacław Drozd, kierownik sali z Bałtyku. Drozd miał słabość do pańienek i do opium, wciągnął w tę zabawę Lolę i za którymś razem dziewczyna przedawkowała. Najpierw wpadł w panikę, a później wymyślił, że upozoruje mord, więc poderżnął jej gardło i zostawił list napisany szminką na szybie. Nie przewidział, że policja wykryje jego szwindel metodami naukowymi, a tym bardziej nie spodziewał się, że Brygada Sanitarno-Obyczajowa rozpracuje kwiaciarnię, w której sprzedawano narkotyki. Bywalcy tego przybytku wiedzieli, że jak się prosiło o bukiet róż za dwadzieścia złotych, to ekspedientka dołączała do niego paczuszkę z narkotykiem. Wpadł w kocioł, zbadano mu odciski palców, charakter pisma i skierowano sprawę do sądu. Trochę pan Drozd posiedzi. Sprawę strzelaniny umorzono, bo uznano, że to faktycznie Chaim Goldberg mógł być sprawcą mordu. Uwierzyli w to wszyscy, tylko nie Kornel Strasburger. Nowy szef Brygady Specjalnej Goliat zapowiedział, że nie da za wygraną. Oj, będą się z nim mieli, on, Zyga Stolarczyk, i tych dwóch młodziaków Rybski i Jung. Dadzą radę i będzie klawo!

Ludwik Kurnatowski pomyślał sobie, że to wszystko, co się wydarzyło w ostatnich miesiącach, byłoby pierwszorzędnym materiałem na powieść sensacyjną, która przyniosłaby mu wcale niezły dochód. Ta książka jednak nie powstanie, wyjdą za to inne, które też odniosą sukces. Planowane na przyszły rok *Branka Cyganów*, *Szpilka z trupią główką* i *Tajemnica Belwederu* będą przebojami! Trudno by było inaczej, skoro wszystko, czego się dotknął, było sukcesem. Być może koniec jego policyjnej kariery był niezbyt fortunny, ale mimo wszystko ocalił przecież nie tylko wolność, ale i piękną policyjną emeryturę, a nade wszystko opinię niepokonanego detektywa. Wciąż był potrzebny i wciąż potrafił wykorzystywać swój talent, umiejętności i znajomości. No i szczęście, bo jednak trzeba było mieć trochę szczęścia, by doprowadzić sprawę nowego alfons-pogromu do udanego finału. Wystarczyło, że skojarzył parę faktów, że dostał dobry cynk, no i przede wszystkim, że w urzędzie śledczym pracował Kornel Strasburger. To on jak nikt inny potrafił skorzystać ze wskazówki, dzięki czemu mógł spiąć wszystkie wątki i przeprowadzić udany finisz. Przed swoimi zleceniodawcami, którzy chcieli uspokoić nastroje w żydowskiej dzielnicy, grał oczywiście rolę kierownika tego dochodzenia, człowieka, który miał nad wszystkim kontrolę, i to on zgarnął dziesięć tysięcy złotych, które zebrali kupcy i gmina. Godny zarobek, którym nie musiał się dzielić ze Strasburgerem, bo ten przecież skorzystał na tej sprawie jeszcze więcej.

To był jeden z ostatnich dni Kornela Strasburgera na Długiej, wkrótce przeprowadzał się do Szarych Domów, a ojciec zostawał tu, powiedział, że jest za stary, by się gdziekolwiek ruszać. Szkoda, bo ten lokal na Mokotowie będzie stał pusty, on i tak noce spędzał na placu Unii Lubelskiej. Kto by pomyślał, że tak mu

się to wszystko ułoży, awans, funkcja kierownika brygady specjalnej, mieszkanie no i przede wszystkim Ola Fuks. Czasem wydawało mu się, że to sen, z którego ktoś go gwałtownie obudzi, ale jak widać, zdarzają się takie zbiegi okoliczności. Cały czas myślał o wspomnieniu z dzieciństwa i o tym, co mówił tuż przed śmiercią Chaim Goldberg: „Gdybym wtedy po tym wszystkim, po wyjściu z burdelu na Szpitalnej, wpadł pod furmankę, to zaoszczędziłbym cierpień żonie i córce”. Czy faktycznie była to Szpitalna i czy to, co się wtedy działo, to był alfons-pogrom? Zapytał ojca, a ten rozgądał się jak nigdy. Uderzyli przy śledziku po kielichu, a stary zawinszował sobie kolejnego i jeszcze jednego.

– Matka byłaby z ciebie dumna, synu. Szkoda, że tego nie doczekała. Ale ja się cieszę za nas dwoje! Dwadzieścia pięć lat temu... – zawiesił głos – dwadzieścia pięć lat i sześć miesięcy temu przyjechaliśmy z Zawad do Warszawy. Niby niedaleko, tuż za Wilanowem, ale to był zupełnie inny świat, zupełnie inne czasy. Wtedy można było dojechać tylko ciuchcią albo furą, a teraz... Teraz na Czerniaków pod wojskowe domy i fort chodzi tramwaj, elektryczny tramwaj, bo jakież by inny! Jak wtedy przyjechaliśmy do Warszawy, to jej kresem był plac Keksholmski, znaczy się dzisiejszy Unii Lubelskiej. Były tam rogatki i małe domki, żadnych wielkich, pięknych kamienic, po prostu koniec świata. Po ulicach kursowały omnibusy i konne tramwaje, a automobili było może z kilka. Rządzili jeszcze ruskie, a na ulicach wiało grozą.

– Grozą?

– Jak jechaliśmy Szpitalną, to żydowscy robotnicy dopadli jakiś burdel. Bili, mordowali i wyrzucali przez okna, co się dało. Pierze z pościeli latało w powietrzu, jakby w środku maja padał śnieg. Nie możesz tego pamiętać, miałeś wtedy niespełna trzy latka.

Stukot kopyt, szum, gwar i ten śnieg, co się okazał pierzem...

– Pamiętam, mnie się wtedy wydawało, że to aniołki pogubiły pióra! A później kozacy, pamiętam kawalerię, tak, pamiętam! Tata, a czy wtedy o mało nie przejechaliśmy jakiegoś człowieka?

– To ty pamiętasz takie szczegóły?! Nic dziwnego, że pracujesz w Urzędzie Śledczym.

Kornel Strasburger przytulił ojca i pomyślał, że życie zatoczyło wielkie koło, że pewnie pisane było mu to szaleństwo, które przeżył w ostatnich kilka miesięcy.

POSŁOWIE

Pogromcy grzeszników i historii dochodzenia prowadzonego przez aspiranta Kornela Strasburgera oraz Zygę Stolarczyka nie byłoby, gdyby nie wiele osób i szereg zdarzeń. Inspiracji dla cyklu *Śmierć frajerom*, który rozrośnie się wkrótce do czterech części, oraz nowego, poświęconego śledztwom Kornela Strasburgera, którego pierwszą część właśnie Państwo przeczytali, dostarczyły książki Marka Krajewskiego i Marcina Wrońskiego. Pozwoliłem więc sobie skorzystać z imion i nazwisk użytych przez moich Szanownych Kolegów w ich powieściach. Dlatego nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski, myślący nieustannie o seryjnym zabójcy, którego mógłby spotkać na kartach powieści Krajewskiego, nazywa się podobnie jak lwowski policjant komisarz Edward Popielski, a współpracownik aspiranta Strasburgera, przodownik, ma na imię Zygmunt Zyga, czyli dokładnie jak bohater lubelskiej serii Wrońskiego komisarz Zyga Maciejewski. Dziękuję Wam, Panowie, za inspirację i za uruchomienie mojej warszawskiej ambicji, by także i stolica miała kogoś swojego na kryminalnym firmamencie przedwojennej Polski.

W ten pomysł jako pierwsza uwierzyła moja żona Beata, a później znajomi, którzy utwierdzili mnie w przekonaniu, że warto spróbować. To przekonanie potwierdziło wydawnictwo Muza i w ten sposób najpierw Heniek Wcisło, a następnie Kornel Strasburger trafili do Państwa domów.

Wymyślona i spisana przeze mnie historia nie wydarzyłaby się także, gdyby nie to, do czego doszło w Warszawie w maju 1905 roku. Alfons-pogrom naprawdę miał miejsce i, na ile było to możliwe, bo prasę kontrolowały carska cenzura i ochrona, został zrelacjonowany przez gazety. To, co pisali reporterzy, było wstrząsające, były wylewające się wnętrzności, trupy, pożary. Oficjalnie zginęło pięć osób, a dziesięć zostało ciężko rannych. Większość okaleczonych i pobitych zmarła później w szpitalach, było również czterdziestu rannych, którym pomocy udzieliło warszawskie pogotowie. Można przypuszczać, że poszkodowanych było znacznie więcej, ale nie wszystkich ujęły szpitalne i policyjne ewidencje, a wielu z nich nie zgłosiło się na pogotowie. Zniszczeniu uległo około stu pięćdziesięciu lokali i mieszkań, a straty materialne szacowano na ponad dwieście tysięcy rubli. Było to niemało, dość powiedzieć, że słynne jajo Faberge z roku 1897, tak zwane koronacyjne, kosztowało około sześciu tysięcy rubli, a „zimowe” z roku 1913 około dwudziestu pięciu tysięcy rubli. Niemal wszystkie przypuszczalne powody wybuchu zamieszek opisują bohaterowie mojej książki. Zapewne prawda leży gdzieś pośrodku i być może temat pogromu alfonsów doczeka się poważnej monografii historycznej.

Na pewno wydarzenia z maja 1905 roku zasługują na co najmniej taką samą uwagę, z jaką polskie media traktują niemieckiego zbrodniarza Petera Kurtena, który gości na łamach naszych gazet i stron internetowych częściej niż alfons-pogrom.

Chcąc zgłębić tematy poruszone w mojej powieści polecam także książki *Warszawa miasto grzechu. Prostyucja w IIRP* Pawła Rzewuskiego, *Epokę Hipokryzji* Kamila Janickiego, *Życie przestępcze w przedwojennej Polsce* Moniki Piątkowskiej oraz serię *W niegdysiejszej Warszawie* Stanisława Milewskiego. Bliskie tematowi mojej książki motywy zawiera współczesna powieść Jacka Małeckiego *Prawda to marny interes, a policja wie tylko tyle, ile ludzie jej powiedzą*. Warszawa między rewolucją 1905, a wybuchem I wojny światowej, świat przestępców, dzielnicy północnej, bojowców, konfidentów, ochrony i prasy. Czytając, aż drżałem, czy nie pojawią się wątki, wokół których zbudowałem intrygę, na szczęście nie pojawiły się, był za to klimat Warszawy roku 1909. Skoro mowa o przedwojennych śledztwach, to pozdrawiam Ryszarda Ćwirleja i Antoniego „Antona” Fischera!

Uwadze czytelników chcących dowiedzieć się nieco więcej o problemie warszawskiej prostytucji, o osławionej organizacji Zvi Migdal oraz działalności Bundu i anarchistów polecam wspomnienia Noj Gitera Granatsztajna zatytułowane *Barykady i katorga, wspomnienia anarchisty*, powieść noblisty Isaaca Bashevisa Singera *Szumowiny*, a także *Pamiętnik warszawskiego taksówkarza* Mariana Sękowskiego.

Warszawa była dotknięta plagą prostytucji i pod tym względem nic nie trzeba było uatrakcyjniać. Madame Gala jest postacią fikcyjną, ale już „pensjonat” pani Szlimakowskiej z ulicy Towarowej to zapisana w historii miasta instytucja. Paweł Rzewuski opisuje Szlimakowską jako „niekwestionowaną królową branży”, dla której pracowało pięćdziesiąt prostytutek. Panie miały niebywałą prezencję oraz przepiękne stroje, a także umiejętności niczym japońskie gejsze. Mniej kontrowersyjną działalność prowadził noszący to samo nazwisko Władysław Kalinowski. Ta zbieżność nazwisk sprawiła, że nie potrafiłem sobie odmówić przyjemności umieszczenia paru scen *Pogromcy grzeszników* w lokalu Kierbedzianka, który Władysław Kalinowski prowadził przy ulicy Bednarskiej.

O ile pozwoliłem sobie na uproszczenie sprawy związanej ze stopniami, o tyle z całą powagą podszedłem do postaci komisarza Władysława Pytłasińskiego i aspirant Stanisławy Paleolog. Dla warszawskiej i nie tylko warszawskiej publiczności Pytłasiński był jak później Kazimierz Deyna czy Jerzy Kulej i podobnie jak ten drugi sportowiec grywał także w filmach (*Bartek zwycięzca* - rola tytułowa, *Pan Tadeusz*). To był nie tylko wielki sportsmen, wspaniały zapaśnik, światowej klasy czempion, ale także, po zakończeniu kariery, popularyzator zapasów i organizator ich amatorskiej odmiany. Tak jak Deyna był zawodowym wojskowym, a Kulej milicjantem, tak Pytłasiński był policjantem. Najpierw, jeszcze w Łodzi, pomógł odradzającej się Rzeczpospolitej i wstąpił do Straży Obywatelskiej, a po zejściu z maty zajął się nie tylko trenowaniem zwykłych zawodników, ale i szkoleniem policjantów.

Legendarną postacią jest także Stanisława Paleolog, kobieta wojownik, żołnierz podziemnej Polskiej Organizacji Wojskowej, która walczyła później w obronie Lwowa oraz w wojnie z bolszewikami, a w czasie drugiej wojny światowej była w ZWZ i AK oraz brała udział w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie Stanisława Paleolog uczestniczyła w działalności emigracyjnej i była nawet ministrem w rządzie RP na uchodźstwie. Do historii przeszła przede wszystkim jako organizatorka policji kobiecej, a ojej pracy pisała nie tylko polska prasa, ale i poczytny angielski dziennik „Daily Express”. Dla współczesnych była symbolem walki z handlem żywym towarem.

Pozostali policjanci, z wyjątkiem dwóch, to postaci wymyślone, a te wyjątki to były nadkomisarz Ludwik Kurnatowski i komisarz Leon Przygoda. Przygoda? Przecież to ten szczegółarz z *Vabanków* Juliusza Machulskiego! Tak, ten sam, urodzony w Warszawie 24 października 1891, weteran wojny z bolszewikami, komendant powiatowy w Zamościu, następnie kierownik ekspozytury śledczej w Siedlcach, a od grudnia 1929 znów w swojej rodzinnej Warszawie. W roku 1936 przeniesiony do Rawy Mazowieckiej, gdzie pełnił funkcję komendanta powiatowego. Komisarz Leon Przygoda zginął w 1940 w Miednoje zamordowany przez NKWD, jak tysiące innych oficerów wojska i policji.

Ludwik Kurnatowski też odszedł w roku 1940, ale zmarł śmiercią naturalną, w Warszawie. Miał 73 lata i za sobą niezwykle lata służby w carskiej i polskiej policji kryminalnej. Nazywany warszawskim Sherlockiem Holmesem był nie tylko ważną osobą w stołecznej policji, ale i autorem podręcznika dla służb śledczych oraz... aferzystą. Wraz ze swoim asystentem Danielem Bachrachem oskarżony został o poważne nadużycia. Uciekł, po czym został zatrzymany w Wolnym Mieście Gdańsk, ale uniknął więzienia, odszedł jednak z policji i zajął się pracą pisarza.

Nie mniej słynną, legendarną wręcz postacią był szef resortu spraw wewnętrznych, czyli minister Felicjan Sławoj Składkowski. Faktycznie doktor i generał, a później także i premier w jednej osobie zwracał ogromną uwagę na higienę (słynne inspekcje i wychodki nazwane na jego cześć sławojkami) oraz kulturotwórczą rolę policji, więc ktoś taki jak nadkomisarz Wawrzyniec Słubica-Popielski miałby szansę zrobić w jego gabinecie nie lada karierę. Minister Składkowski miał także słabość do korzystania ze służbowego auta, stąd słowa Marszałka: „Chłopak zupełnie mi się wykoleił – nic nie robi, tylko autem jeździ” i delegowanie do ministerstwa Bronisława Pierackiego. Podobną przypadłość miał szef policji pułkownik Janusz Jagrym-Maleszewski. On także korzystał ze służbowego pojazdu i został zapamiętany jako wiecznie nieobecny, a wszystko to z tęsknoty za armią, z której został oddelegowany do policji.

Chcąc zgłębić historię Policji Państwowej polecam *Korpus policji w II Rzeczypospolitej* autorstwa Roberta Litwińskiego oraz wspomniany przez aspiranta Strasburgera i przodownika Stolarczyka podręcznik

służby śledczej Piątkiewicza, Laxa i Jakubca. W świat skomplikowanych relacji między policją i sędziami śledczymi wprowadził mnie pan doktor Marcin Wielec z Wydziału Prawa i Administracji UKSW. Panie Adiunkcie, dziękuję za rozmowę oraz za wskazanie przydatnych źródeł i publikacji.

Kolega Kornela Strasburgera z ulicy Długiej, Mietek Fogiel, był dzielnym facetem i w przeciwieństwie do Dodka i Bodo nie zadekował się, lecz brał udział w wojnie z bolszewikami (został nawet ranny), a w czasie Powstania Warszawskiego, choć był żołnierzem, szybko został odesłany na estradę, co wcale nie znaczyło na tyły, lecz na pierwszą linię. Nie było chyba wielu ludzi w historii, którzy tak narażaliby życie, śpiewając swoje przeboje. W dowód uznania Mieczysław Fogg został odznaczony Krzyżem Walecznych.

Jedną z kluczowych postaci jest reporter Edward Giez, postać fikcyjna, podobnie jak jego szef, naczelny Józef Dobosz, redakcyjna koleżanka i koledzy. Także „Express Warszawski” jest wymyślony, ale za to koncern wydawniczy Dom Prasy i jego siedziba oraz pozostałe tytuły prasowe istniały naprawdę. „Tajny Detektyw”, do którego poszedł pracować Giez, to także prawdziwy tytuł, a artykuły i notki zawarte w powieści, choć nieprawdziwe, to jednak możliwie wiernie oddają charakter przedwojennej prasy brukowej. Współczesne bulwarówki wcale nie były pierwsze!

Zakład z ulicy Oczki udało mi się opisać dzięki pomocy redaktora naczelnego „Skarpy Warszawskiej”, pana Rafała Bielskiego. Za internetowe rozmowy o starej Warszawie i architekturze dziękuję panu Jerzemu S. Majewskiemu, a za nieustanne konsultacje związane z gwarą warszawską oraz miejskim folklorem jestem dozgonnie wdzięczny panu Januszowi Dziano oraz Kubie Kozakowi i ferajnie z Trupy Teatralnej Warszawiaki.

Końcówka mojej powieści to hołd oddany Leonardowi Cohenowi. Gdy pisałem książkę, po raz pierwszy usłyszałem *You Want It Darker*, utwór z jego ostatniej płyty, a gdy kończyłem *Pogromcę grzeszników*, Cohen zmarł, postanowiłem więc wkomponować w finałową scenę przejmujące wołanie z ostatniej pieśni wielkiego barda.

Oczywiście jako były dziennikarz sportowy, który komentował finały Ligi Mistrzów, Pucharu Polski oraz mecze reprezentacji, a także mecz otwarcia nowego stadionu przy Łazienkowskiej (pamiętne Legia – Arsenal 5:6), nie mogłem sobie odmówić piłkarskiego obrazka. Padło na mecz wyjątkowy, derbowy pojedynek Legia – Polonia, w którym publika wypełniła stadion niemal po brzegi i padł tuzin goli. Pisząc o tym meczu, oparłem się na relacji z „Przeglądu Sportowego” oraz z książki wydanej na stulecie Legii Warszawa. Miło mi, że w zespole redakcyjnym książki był Wiktor Bołba, z którym wspólnie napisałem swoją pierwszą książkę *Kici. Lucjan Brychczy legenda Legii Warszawa*, oraz Adam Dawidziuk, czytelnik moich książek i fan Heńka Wcisły.

Jaki będzie kolejny mecz, na który trafią bohaterowie powieści o Kornelu Strasburgerze *Tajemnica rodzinna*? Tego jeszcze nie wiem, szukam takiego wyjątkowego spotkania, ale wiem, czego będzie dotyczyło śledztwo i że sprawa będzie się rozgrywać w jeszcze bardziej tajemniczym środowisku, hermetycznym, niemal zakonnym, niezbadanym i niedostępnym osobom postronnym.

Naczelnik Urzędu Śledczego, podinspektor Antoni Sitkowski, to postać historyczna, ale już Wawrzyniec Słubica-Popielski jest postacią fikcyjną. Wymyśliłem go, ale brudna sprawa, na której trop wpadł w Poznaniu, istniała naprawdę i wróć do niej w jednej z kolejnych książek. Swoje imię były nauczyciel łaciny z Grodziska Wielkopolskiego zawdzięcza... rusycyście, mojemu serdecznemu przyjacielowi z Poznania, profesorowi UAM Wawrzyńcowi Popiel-Machnickiemu. Nazwisko, wiadomo, od seryjnych zbrodni z powieści Marka Krajewskiego, a szlachecki herb to już wycieczka w głąb rodzinnej przeszłości. Elżbieta Prus-Rozparzyńska spisująca dzieje rodu Świętochowskich, a więc i moich antenatów herbu Prus, uświadomiła mi, że w jakiejś części jestem potomkiem emigrantów z północy. Było to jakieś sześćset lat temu, jak pruscy rycerze przeszli na służbę polskiego króla, a „ci nasi” osiedli w Tarcynie pod Warszawą, ale to już zupełnie inna historia.

W książce sporo jest postaci, o których zwykło się pisać, że „wszelkie podobieństwo do realnych osób i zdarzeń jest niezamierzone i całkowicie przypadkowe”, są jednak również postaci, które stanowią odwzorowanie nam współczesnych. Na przykład przywołujący do porządku reportera Gza redaktor

Bonifacy Kalicki. Oczywiście zbieżność nazwisk z wybitnym dziennikarzem i popularyzatorem historii Włodzimierzem Kalickim jest nieprzypadkowa. Nie mogę odżałować, że autorzy tacy jak pan Kalicki w świecie media workerów, przepisywaczy i kopistów są jak ostatni Mohikanie. Na szczęście jego fascynujący gazetowy cykl *Zdarzyło się wczoraj* doczekał się wersji książkowej. Na łamach „Pulsu Biznesu” pisze Marcin Piotr Dobrowolski, który swoimi publikacjami z pogranicza historii i gospodarki ma szansę dorównać kiedyś mistrzowi Kalickiemu.

Na koniec wypadałoby napisać słów kilka o głównym bohaterze. Czy to możliwe, by interesować się starożytnością i być z łaciny kompletną nogą, czy są naprawdę tacy ludzie? Patrząc w lustro, jestem tego pewien! Czytam dużo o starożytności i z osławionym egzaminem na pierwszym roku historii problemów nie miałem, tylko ta łacina... No i te imprezy studenckie, na których bywali „gramatycy” i recytatorzy tacy jak Strasburger. Były momenty naszego triumfu, gdy oglądając kultową komedię *Top Secret*, padaliśmy ze śmiechu, a inni nie wiedzieli, o co chodzi, zwłaszcza w scenie, podczas której ksiądz prowadzący skazańca na egzekucję recytował Cezara oraz odmieniał zaimki i przyimki. Oczywiście byli i koledzy, którzy z łaciną żyli lepiej niż dobrze, jak choćby Aleksander Wolicki i Michał Cichy. Temu drugiemu oprócz znakomitych poetyckich książek o Ochocie zawdzięczam również, z niemałą grupą osób, frazę klucz – *effectus nullus*. Pisząc o klasykach, muszę pozdrowić moją cierpliwą i znakomitą wykładowczynię z UW panią Iwonę Żółtowską oraz Stanisława Tekieli. Stasiu, pomyśl, by w czasie wojny zaśpiewać Chorwatom polski hymn, był zaiste szatański i godny poczucia humoru Kornela Strasburgera.

Wygląda na to, że odwlekam moment, w którym wyjaśnię, co przedwojenny śledczy, Kornel Strasburger ma wspólnego ze współczesnym nam aktorem Karolem Strasburgerem. To zaczęło się jeszcze w pierwszej części łotrzykowskiej sagi *Śmierć frajerom*. Wtedy, tworząc powieściową ekipę Urzędu Śledczego, wpadłem na pomysł, by policjanci nosili nazwiska prezenterów prowadzących teleturnieje. Tak więc w zespole znaleźli się panowie: Pijanowski, Sznuć, Urbański i... Strasburger. Siłą rzeczy aspirant Strasburger był tym, który opowiadał dowcipy i to niekoniecznie te najbardziej trafione.

W kolejnych częściach książki o przygodach warszawskiego kasiarza Kornel Strasburger powraca, za każdym razem nie tylko opowiada coraz to lepsze dowcipy, ale staje się bardzo ważną postacią warszawskiego Urzędu Śledczego. W końcu uznałem, że mógłby zostać samodzielnym bohaterem mojej najnowszej powieści. Z pewnością, kreując jego postać, kierowałem się sentymentem do Karola Strasburgera, którego dziś wielu widzów kojarzy wyłącznie z *Familiadą*, ale dla mojego pokolenia to przede wszystkim filmowy Agent nr 1, czyli Jerzy Iwanow-Szajnowicz, Siwy z *Kolumbów* czy bohater serialu młodzieżowego *Karino*. Szkoda tylko, że jeśli powstałby serial lub film, to Karol Strasburger nie mógłby już zagrać Kornela Strasburgera, ale kto wie, może zagrałby jego ojca?

A kto nagrałby soundtrack? Pewnie Czarno-Czarni, w tym miejscu pozdrawiam Was także jako zespół Big Cyc, a przede wszystkim jako moich czytelników i promotorów. Serdeczne podziękowania za nieustające wsparcie należą się także Muńkowi Staszczukowi i basiście Kultu, Irkowi Wereńskiemu.

Serial o Kornelu Strasburgerze to marzenie, być może takie, które nigdy się nie spełni, ale kolejne książki powstaną na pewno. I jestem pewien, że tak jak i przy *Pogromcy grzeszników* otrzymam wsparcie od mojej żony Beaty, szefów wydawnictwa, pań Małgorzaty Czarzasty i Małgorzaty Burakiewicz, Marcina Garlińskiego, że jak zwykle panie Irma Iwaszko i Adrianna Michalewska, redaktorki i pierwsze recenzentki moich książek, wykażą się anielską cierpliwością, a Anna Małyśiak i cały zespół Bussines & Culture znów staną na wysokości zadania.

Warszawa-Bukowina Tatrzńska wiosna 2016-lato 2017

- [1] Murdziel – potoczna nazwa warszawskiego Muranowa, inaczej Dzielnicy Północnej. Mieszkali tam niemal wyłącznie Żydzi.
- [2] *Sursum corda* (łac.) – w górę serca.
- [3] Oddział III b Sztabu Generalnego armii pruskiej – wywiad wojskowy.
- [4] Ilustrowany Kurier Codzienny – IKC.
- [5] Puryc (jidysz) – bogacz.
- [6] Hinty (od niem. *Hund*) - psy, policjanci.
- [7] Kiepeła (jidysz) – głowa.
- [8] Kipisz na chawirze – bałagan w domu, kipisz w gwarze złodziejskiej bałagan, rewizja, a chawira w gwarze warszawskiej (z jidysz) to mieszkanie lub dom.
- [9] Kanadyjka – łóżko połowę.
- [10] Poniatówka – plaża nad Wisłą.
- [11] Aligancki (gwarowe) – elegancki.
- [12] Cierpiarz, także cierp, taryfiarz, taksjarsz, zmotoryzowany sałata (gwarowe) – taksówkarz.
- [13] *Tatę, mamę, bobę, zajdę, bubele* (jidysz) – tata, mama, babcia, dziadek, dzieciak.
- [14] *Fersztejen* (niem. i jidysz) – rozumieć.
- [15] Kitrać (gwarowe) – chować.
- [16] Świnka – złota pięciorublówka.
- [17] Papuga (gwarowe) – prawnik, adwokat.
- [18] *Harcin dank* (jidysz) – dziękuję.
- [19] *Miszegas* (jidysz) – szaleństwo.
- [20] *Ojfwiderzejn* (jidysz) – do widzenia.
- [21] *Zoj zoj azoj* (jidysz) – niech tak będzie.
- [22] *Kibicer* (jidysz) – żartowniś.
- [23] *Szajgec* (jidysz) – chłopak, który nie jest Żydem.
- [24] Dintojra (gwarowe, z jidysz)-sąd bandycki.
- [25] Kowboje – przedwojenna marka papierosów.
- [26] *Cures* (jidysz) – kłopot.
- [27] Fertik (gwarowe, z niem. i jidysz) – gotowe, w porządku.
- [28] Kojber (gwarowe)-torba, pakunek, bagaż.
- [29] Paragraf-ołowiana kulka na sprężynie.
- [30] Jerzy Boczkowski – współzałożyciel i kierownik kabaretu Qui Pro Quo.
- [31] Zagwozdka (gwarowe, z rosyjskiego) – zagadka, problem.
- [32] Ekadka – EKD, Elektryczne Koleje Dojazdowe.
- [33] Abarot (gwarowe, z rosyjskiego) – z powrotem.
- [34] Mantykować (gwarowe) – narzekać, głądzić.
- [35] Farmazon (gwarowe) – oszust. Nie wstawiaj mi farmazonów – nie oszukuj, nie opowiadaj niestworzonych rzeczy.
- [36] Breguet – Breguet XIX, samolot produkcji francuskiej.
- [37] Pałac Badenich – siedziba Sądu Apelacyjnego, pałac Raczyńskich – siedziba Ministerstwa Sprawiedliwości.

- [38] Katolik (gwara warszawska) – śledź.
- [39] *Medicus homo est* (łac.) – lekarz jest tylko człowiekiem.
- [40] ul. Bracka 23, kamienica Warszawskiego Towarzystwa Handlu Herbatą A. Długokęcki, W. Wrześniewski.
- [41] Pasterzanki – Zgromadzenie Służebnic Matki Dobrego Pasterza.
- [42] Podpułkownik Izydor Mikołaj Prokop, komendant Warszawskiej Straży Ogniowej (1926 -1934).
- [43] *Inter arma silent leges* (łac.) – w czasie wojny milczą prawa.
- [44] *Bonum vinum laetificat cor hominis* (łac.) – dobre wino cieszy serce człowieka.
- [45] *Wi gejtz?* (jidysz) – co słyhać?
- [46] *Ekechejria* (grec.) – pokój zawierany na czas igrzysk.
- [47] Edward Ałaszewski (1908-1983) – sportowiec i rysownik, przez lata nadworny karykaturzysta „Przeglądu Sportowego”.
- [48] Józef Węgrzyn, aktor.
- [49] *Mojsze kapojer* (jidysz) – zamieszanie, bałagan.
- [50] *Hineni, hineni!* (hebr.) – Jestem gotów!

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz